

A winter scene with snow-covered trees and a person walking in the distance. The image is a book cover for 'Charlotte Link' with the title 'Obserwator'. The background is a photograph of a snowy landscape with bare trees and a person walking away in the distance. The text is overlaid on the image.

Charlotte | Link

Obserwator

On obserwuje. Czeka. Czy zabija?



CHARLOTTE LINK

OBSERWATOR

(Der Beobachter)

Przełożyła Anna Makowiecka-Siudut

TMN

Wydanie polskie: 2012

Wydanie oryginalne: 2011

Prolog

Pytał sam siebie, czy jego żona już coś zauważyła... Czasami patrzyła na niego tak dziwnie. Nieufnie. Badawczo. Nic nie mówiła, ale to nie znaczyło, że go nie obserwowwała i nie rozmyślała. Pobrali się w kwietniu, teraz był już wrzesień, a oni ciągle jeszcze byli w takiej fazie, w której drugą osobę traktuje się z niesłychaną ostrożnością, nie zdradzając przy tym własnych dziwactw. A mimo to już teraz było dla niego jasne, że ona prędzej czy później okaże się zwykłą zrzędą. Choć nie była typem kobiety, która kłóci się głośno, rzuca talerzami czy też nawet grozi wyrzuceniem męża z domu. Była kobietą, która lamentowała cicho, lecz nieubłaganie, rujnując przy tym skutecznie nerwy mężczyźnie.

Ale teraz ciągle jeszcze panowała nad sobą. Próbowwała mu dogadzać. Przygotowywała dokładnie takie potrawy, jakie lubił, we właściwym czasie wstawiała do lodówki piwo, prasowała jego spodnie i koszule, razem z nim oglądała w telewizji programy sportowe, choć właściwie wołała filmy o miłości.

A przy tym stale go obserwowwała, przynajmniej on czuł, że tak właśnie jest.

Wyszła za niego, bo nie mogła być bez mężczyzny, bo musiała się czuć chroniona, otoczona opieką i troską. A on ożenił się z nią, bo był o krok od stoczenia się na dno. Żadnej stałej pracy, mało pieniędzy. Zaczął za dużo pić. Od czasu do czasu był jeszcze w stanie zdobyć jakąś dorywczą pracę, dzięki której mógł opłacić czynsz za swoje ponure, brzydkie mieszkanie. Ale powoli tracił apetyt na życie i nie widział już dla siebie żadnej perspektywy.

I wtedy zjawiła się Lucy, a wraz z nią mały warsztat rowerowy, który odziedziczyła po swoim zmarłym mężu. Uchwycił się tej możliwości.

Zawsze umiał wypatrzeć swoją szansę i był dumny z tego, że nie jest kimś, kto długo i niepotrzebnie się waha.

Był więc już żonaty. Miał dach nad głową. Miał pracę. Wszystko w jego życiu znowu zaczęło funkcjonować.

I akurat teraz właśnie to. Te dziwne uczucia, wręcz obsesja, niemożność myślenia o czymkolwiek i kimkolwiek innym niż ona.

Choć tak naprawdę wiedział o tym już wcześniej. Bo ona to przecież nie była Lucy.

Była blondynką. Nie miała tak źle ufarbowanych włosów jak Lucy, u której tu i ówdzie pojawiały się siwe pasma, lecz była naturalną blondynką. Jej rozpuszczone włosy sięgały aż do talii i błyszczały w słońcu jak złocisty jedwab. Miała też niebieskozielone oczy, których kolor zmieniał się zależnie od tego, jak jasno było na dworze, także od koloru noszonego przez nią ubrania i od barwy otoczenia, na tle którego się poruszała. Czasami były tak niebieskie jak niezapominajki, to znów

zielone jak głębokie jezioro. I właśnie ta intensywna gra kolorów jej oczu zawsze go fascynowała. Czegoś podobnego nie było mu dotychczas dane widzieć u nikogo.

Lubił też jej ręce. Bardzo drobne i szczupłe, o długich, smukłych palcach.

Lubił jej nogi. Były tak delikatne, niemal kruche. Wszystko w niej było właśnie takie, zupełnie jak wyrzeźbione z pięknego, jasnego drewna przez kogoś, kto miał wiele czasu, aby móc zadać sobie taki trud. Nie było w niej niczego, co byłoby nieforemne, niezgrabne czy też prostackie. Była skończoną, pełną wdzięku doskonałością.

Pot występował mu na czoło, kiedy tylko o niej myślał. Kiedy ją widział, nie był w stanie oderwać od niej wzroku i Lucy prawdopodobnie także to zauważyła. Zawsze starał się być w bramie domu, kiedy ona szła ulicą w dół. Przeważnie właśnie wtedy wypróbował na chodniku czyjś akurat naprawiony rower, aby tylko mieć jakiś pretekst i móc się tam kręcić. Kochał jej ruchy. Jej długie, płynne kroki. Nigdy nie dreptała, tylko po prostu powoli kroczyła. We wszystkim, co robiła, było tyle siły. Czy to biegła, czy mówiła, czy też się śmiała: tak, we wszystkim, co robiła, była jakaś nieposkromiona siła. I energia.

Piękność i uroda. Był w niej taki nadmiar urody i doskonałości, że on sam chwilami nie ważył się nawet w to wierzyć.

Czy to, co odczuwał, to była miłość? To musiała być miłość, nie tylko pożądanie, podniecenie i wszystko, co się z tym wiązało, a co mogło jednak zrodzić się dlatego, że ją kochał. Miłość była początkiem, podstawą jego narastającej tęsknoty. Takiej tęsknoty, której nigdy nie odczuwał w stosunku do Lucy. Przecież Lucy była tylko czymś w rodzaju kompromisowego rozwiązania, z którego nie mógł zrezygnować, bo bez niej ciągle groził mu po prostu socjalny upadek. Lucy stanowiła coś w rodzaju gorzkiej konieczności, której należało ulec, czasami wymagało tego życie. Już dawno się nauczył, że sprzeciwianie się życiowym koniecznościom zwykle do niczego nie prowadziło. A jednak był w nim jakiś wszechogarniający opór. Opór i ta niszcząca wszystko beznadzieja. Bo jaką miał szansę? Nie był atrakcyjnym mężczyzną, co do tego nie miał już żadnych złudzeń. Kiedyś może i tak, ale dzisiaj... Brzuch zawdzięczał swojemu upodobaniu do piwa i tłustego, ciężkiego jedzenia. Rysy jego lekko obrzmiałej twarzy były już obwisłe. Miał czterdzieści osiem lat, ale wyglądał tak, jakby miał dziesięć lat więcej, zwłaszcza wtedy, kiedy wieczorem zbyt wiele wypił. I niestety nie potrafił przestać. Musiałby zacząć uprawiać sport, jeść więcej warzyw, pić wodę i herbatę, ale na miłość boską, jeśli ktoś przez trzydzieści lat żył inaczej, to wcale nie tak łatwo zrezygnować z dawnych przyzwyczajeń. Pytał sam siebie, czy ten złocistowłosy elf, ta piękna wróżka mogłaby go mimo wszystko pokochać. Mimo dużego brzucha i worków pod oczami, i mimo tego, że przy najmniejszym wysiłku stękał i się pocił. Bo przecież miał pewne wewnętrzne wartości i może właśnie jej potrafiłby je przekazać. Już dawno temu zrozumiał, że nie mógłby o niej zapomnieć, przestać o niej myśleć. Mimo Lucy i jej zazdrości, i mimo ryzyka, na które się narażał.

Był czterdziestoosmioletnim workiem tłuszczu, a jego ciało i dusza stały w płomieniach.

Problem polegał na tym, że ona, wróżka, istota, za którą umierał z tęsknoty dniami i nocami, była o wiele młodsza. Wiele, wiele młodsza.

Miała dziewięć lat.

Część I

Sobota, 31 października 2009

Lizie udało się niepostrzeżenie opuścić uroczystość akurat wtedy, kiedy syn jubilata zamierzał właśnie wygłosić mowę. Uderzył kilkakrotnie widelcem w kieliszek, zadźwięczało szkło i po dłuższej chwili około stu zaproszonych gości zrozumiało wreszcie, co to oznacza. Rozbrzmiewające w sali głośne rozmowy i śmiechy cichły powoli, a wszystkie spojrzenia skierowały się na nieco zdenerwowanego mężczyznę, który w tym momencie niczego chyba nie żałował tak, jak swojej decyzji o wygłoszeniu laudacji z okazji siedemdziesiątych piątych urodzin ojca.

Kilku panów dowcipkowało nieco złośliwie, bo mówca na przemian czerwienił się i bladł, a już na samym początku przejęzyczył się tak bardzo, że musiał zaczynać wszystko trzykrotnie. W każdym razie swoim nieco niezręcznym wystąpieniem już na wstępie przyciągnął uwagę wszystkich.

Nie mógł się trafić bardziej korzystny moment.

Liza w ciągu ostatnich piętnastu minut niepostrzeżenie przesuwiała się w stronę wyjścia i teraz musiała zrobić tylko kilka kroków, aby wreszcie znaleźć się na zewnątrz. Zamknęła za sobą ciężkie drzwi, oparła się na chwilę o ścianę i odetchnęła z ulgą. „Jaki tu jest spokój pomyślała. I jaki przyjemny chłód!”. W sali balowej za sprawą obecności wielu zaproszonych osób panował nieznośny zaduch. Choć Liza miała wrażenie, że nikt z tego powodu nie cierpiał tak jak ona. Przeciwnie, wydawało się, że wszyscy goście bawili się tego wieczoru znakomicie. Piękne suknie, biżuteria, perfumy, stonowane śmiechy, rozmowy. A ona pośrodku tego rozbawionego tłumu czuła się taka wyobcowana, jak gdyby ją i wszystkich innych dzieliła jakaś niewidoczna ściana. Uśmiechała się mechanicznie, odpowiadała, jeśli ją o coś pytano, kiwała głową lub nią potrząsała, zaprzeczając, piła szampana, ale przez cały czas czuła się jak ogłuszona. Miała wręcz uczucie, że nie jest zdolna do żadnego samodzielnego działania i funkcjonuje jak zawieszona na sznurkach marionetka, którą wprawia w ruch ktoś inny. I właściwie było tak już od wielu lat: nie żyła w zgodzie z własną wolą. Jeśli to, co robiła, można było w ogóle nazwać życiem.

Obok niej przeszła młoda pracownica eleganckiego hotelu Kensington, w którym odbywało się urodzinowe przyjęcie. Kobieta zatrzymała się na chwilę, patrząc niezdecydowanie na Lizę i zastanawiając się zapewne, czy tamta nie potrzebuje pomocy. Liza przypuszczała, że musiała sprawiać wrażenie wykończonej, jeśli wyglądała tak, jak się czuła. Wyprostowała się i spróbowała się uśmiechnąć.

- Wszystko w porządku? spytała pracownica. Liza skinęła głową.

- Tak. Tylko tam w środku jest dosyć gorąco odparła spokojnie, wskazując ruchem głowy zamknięte drzwi. Młoda kobieta raz jeszcze spojrzała na nią ze współczuciem i poszła dalej. Liza postanowiła znaleźć toaletę i poprawić makijaż. Pomyślała, że zapewne wygląda nie najlepiej, skoro zwróciła uwagę przechodzącej.

W eleganckim, wyłożonym marmurem pomieszczeniu światło było przytłumione, a z ukrytych głośników dobiegała cicha, relaksacyjna muzyka. Poczowała obawę, że także tutaj kogoś spotka, ale przekonała się, że jest zupełnie sama. Wydawało się, że w kabinach toaletowych też nie ma nikogo. Ale było jasne, że taki stan nie może trwać długo, skoro niedaleko odbywa się urodzinowy bankiet na stu gości, którzy zatrzymali się przecież na nocleg w tym hotelu. W każdej chwili ktoś mógł wejść. Oparła się o jedną z luksusowych umywalek i spojrzała w lustro. Jak często przy takiej okazji, miała wrażenie, że nie zna kobiety, którą zobaczyła przed sobą. I byłoby tak nawet wtedy, gdyby nie była tak zestresowana i zmęczona jak teraz. Jej jasnoblond włosy, upięte misternie z tyłu głowy, zwisały w licznych pasmach wokół twarzy, a pomadka do ust została zapewne na kieliszku do szampana wargi miała blade i bezbarwne.

Pociła się, miała błyszczący nos i rozmazany makijaż.

Czuła to. Przypuszczała. Dlatego od dwudziestu minut niczego nie pragnęła tak bardzo, jak tego, żeby wreszcie opuścić tamto okropne, duszne, zatłoczone pomieszczenie. I teraz musiała się jak najszybciej doprowadzić do właściwej formy i spróbować jakoś przetrwać ten wieczór. W końcu nie będzie trwać wiecznie. Powitanie kieliszkiem szampana było już praktycznie zakończone, następnym punktem programu miało być otwarcie bufetu. Dzięki Bogu było to lepsze niż serwowane do stołu posiłki składające się z pięciu dań, co zwykle ciągnęło się godzinami, a każdy, kto tymczasem próbował zniknąć, był natychmiast zauważany, przynajmniej przez osoby siedzące obok. Przy otwartym bufecie było więcej możliwości szybkiego, dyskretnego opuszczenia sali.

Odstawiła torebkę na marmurową płytę, przez chwilę nerwowo majstrowała przy zamku, w końcu udało jej się wydobyć puderniczkę i tubkę z podkładem. Gdyby tylko nie drżały jej tak ręce! Musiała się skupić, żeby nie poplamić sukni tylko tego by brakowało w ten koszmarny wieczór. Kiedy próbowała otworzyć puderniczkę, co nie udało jej się od razu, nagle zaczęła płakać. To zaczęło się całkiem niepozornie: z jej oczu po prostu popłynęły łzy i nie była już w stanie nic zrobić. Z przerażeniem podniosła głowę i zobaczyła w lustrze przed sobą obcą twarz, która zamieniała się w dodatku w twarz zapłakaną. To dopełniło dramatu. Jak miała wrócić do sali z czerwonymi, zapuchniętymi oczami?

Niemal w panice wyszarpnęła ze srebrnego pojemnika na ścianie plik miękkich chusteczek kosmetycznych i próbowała zatamować łzy. Ale wydawało się, że skutek był odwrotny: potok łez stał się jeszcze bardziej gwałtowny. Jej oczy były zalane łzami. „Muszę do domu, do domu myślała w panice. To nie ma sensu, muszę stąd uciec!”

I jakby tego było mało, usłyszała za sobą szmer otwieranych drzwi. Rozległo się stukanie obcasów na podłodze. Patrząc przez lży w lustro, Liza dostrzegła za sobą sylwetkę kobiety, która właśnie zmierzała w stronę toalety. Liza przycisnęła do twarzy całą garść chusteczek i próbowała udawać, że po prostu wyciera nos.

„Pośpiesz się myślała o obcej kobiecie zniknij stąd!”.

Kroki nagle ucichły, kobieta się zatrzymała. Przez krótką chwilę w pomieszczeniu panowała absolutna cisza. Potem tamta się odwróciła, podeszła do Lizy i delikatnie położyła rękę na jej drgających od płaczu plecach. Liza podniosła głowę i zobaczyła przed sobą w lustrze zatroskaną twarz. Tuż obok swojej, zapłakanej. I pytające oczy tamtej kobiety. Liza jej nie знаła, ale sądząc po ubiorze, musiała to być jedna z osób zaproszonych na przyjęcie urodzinowe.

- Czy mogę pani jakoś pomóc? spytała tamta ostrożnie, po czym dodała: Nie chciałabym być natrętna, ale...

Pełna sympatii troska brzmiąca wyraźnie w jej spokojnym głosie była czymś więcej, niż Liza mogła znieść. Opuściła rękę z chusteczkami, odsłaniając twarz.

A potem po prostu przestała walczyć z wszechogarniającym bólem i nie próbowała już zatrzymać łez.

Niedziela, 22 listopada

Był już późny niedzielny wieczór, kiedy Carla z całą świadomością usłyszała nadjeżdżającą windę i hałas otwierających się drzwi. Aż do tej chwili zdawała sobie wprawdzie sprawę, że nie pozostało jej już zbyt wiele życia, ale teraz siła wyobraźni nie wystarczyła, żeby odmalować sobie to, co miałyby się jej stać tej nocy.

Siedziała w swoim mieszkaniu nieco zdziwiona, bo nagle ogarnęło ją wrażenie graniczące z pewnością, że tak działo się już od dobrych kilkunastu dni: winda jechała aż na ósme piętro, gdzie mieszkała tylko ona, zatrzymywała się, drzwi otwierały się automatycznie, ale potem nie działo się już nic. Nikt nie wysiadał, bo wtedy musiałyby słyszeć kroki w korytarzu. Nikt też nie wsiadał, bo także w tym wypadku musiałyby słyszeć kroki. Ale ona była pewna, że nie słyszała żadnych kroków, bo ich po prostu nie było. Zarejestrowałyby je na jakiejś płaszczyźnie swej świadomości. Ten dom nie należał do budowli dobrze pochłaniających dźwięki: wysoki blok z lat siedemdziesiątych, pozbawione ozdób pudło z długimi korytarzami i licznymi mieszkaniami w środku. Większe mieszkania zajmowały rodziny z dziećmi, mniejsze należały przeważnie do całkowicie zaangażowanych w życie zawodowe singli, których praktycznie nigdy nie było w domu. Londyńska Hackney była jedną z uboższych dzielnic, ale zakątek, w którym mieszkała Carla, wcale nie był taki zły. Zastanowiła się, kiedy dokładnie po raz pierwszy usłyszała nadjeżdżającą windę, z której nikt nie wysiadł. Choć od samego początku było oczywiste, że coś takiego miało prawo się zdarzyć.

Ktoś pewnie użył złego przycisku, potem zauważył swoją pomyłkę, wysiadł wcześniej, ale później winda jechała na ósme piętro, otwierały się drzwi i windę wzywano ponownie. Jednak w ostatnim czasie zdarzało się to zbyt często. Niezwykle często. Może od tygodnia? A może nawet od czternastu dni? Wyłączyła telewizor, bo nadawany akurat talk-show i tak jej nie interesował.

Podeszła do drzwi wejściowych, przekręciła klucz w zamku i otworzyła je. Przycisnęła wyłącznik zaraz obok dzwonka i korytarz zalało jaskrawe, białe światło. Kto zainstalował tu takie lampy? W ich świetle każda twarz miała trupio bladą barwę.

Spojrzała w głąb długiego, cichego korytarza. Nie było widać nic ani nikogo. Drzwi windy znów się zamknęły. Może to jakiś żartowniś. Jakiś niedorostek, dzieciak mieszkający w tym bloku, który umyślnie przyciskał guzik z napisem „osiem”, po czym spokojnie zjeżdżał w dół. Ale co on mógł z tego mieć, to już było dla Carli zagadką. Choć prawdę mówiąc, wiele z tego, co poruszało innych ludzi, co oni robili bądź do czego dążyli, było dla Carli zagadką. W końcu, myślała niekiedy, żyła trochę poza obrębem społeczeństwa. Samotna, opuszczona i od pięciu lat na rencie. Jeśli ktoś wstaje rano, zjada śniadanie, spędza dzień na czytaniu bądź

oglądaniu telewizji w małym mieszkaniu, od czasu do czasu wybiera się na krótki spacer, wieczorem je kolację i znów siada przed telewizorem, a wszystko to w zupełnej samotności, prędzej czy później traci kontakt z normalnym światem. Traci też kontakt z ludźmi, których codzienność składa się z pracy zawodowej, kolegów i koleżanek, małżonków, dzieci i wszystkich związanych z tym problemami, kłopotami, ale także radości. Z pewnością sprawiała wrażenie dziwaczki, i to bardziej, niż sama zdawała sobie z tego sprawę.

Zamknęła drzwi mieszkania, oparła się o nie od wewnątrz i odetchnęła głęboko. Kiedy wprowadziła się do tego bloku jednego z niewielu w Hackney, gdzie przeważały wiktoriańskie, zwykle nieco podupadłe budowle miała nadzieję, że teraz już będzie lepiej. Sądziła, że w tym domu pełnym ludzi nie będzie się czuła taka samotna, ale w rzeczywistości było dokładnie odwrotnie. Każdy tutaj przedzierał się pracowicie przez swoją codzienność i związane z nią problemy, wydawało się też, że ludzie w gruncie rzeczy w ogóle się nie znali i wszyscy żyli w ogromnej, pełnej chłodu i dystansu anonimowości. Kilka mieszkań było też zupełnie pustych tu, na ósmym piętrze, oprócz Carli od pewnego czasu nikt nie mieszkał.

Wróciła do salonu, przez chwilę rozważała, czy jednak nie włączyć telewizora. Rozmyśliła się i zamiast tego naląła sobie jeszcze trochę wina. Lubiła wypić co wieczór trochę wina, choć narzuciła sobie zasadę, że nigdy nie będzie tego robić przed ósmą. Do tej pory udawało jej się dotrzymywać tego zobowiązania.

Drgnęła nagle, usłyszawszy znów szmer windy. Tym razem jechała w dół. Widocznie ktoś, kto był na dole, właśnie ją wezwał. Zawsze był to jakiś znak normalności. Przecież ludzie wracali do domu i wychodzili z niego. Nie była więc sama. „A może jednak powinnam sobie poszukać innego mieszkania?” pomyślała nagle.

Na zbyt wiele, co prawda, nie mogła sobie pozwolić emeryturę miała raczej skromną. A poza tym było wątpliwe, czy gdzie indziej czułaby się mniej samotna. Może więc nie ten dom był przyczyną, lecz ona sama?

Nagle wydało jej się, że nie będzie w stanie znieść panującej dookoła ciszy, wyciągnęła telefon i wybrała numer córki, na tyle szybko, żeby strach albo nieśmiałość nie zdusiły tego zamiaru w zarodku. Właściwie zawsze miała dobry kontakt z Keirą, ale odkąd córka wyszła za męża i urodziła dziecko, ich kontakty nieco się rozluźniły. Jak to zwykle bywa, młodym ludziom ciągle brakowało czasu, byli też całkowicie zajęci sobą i swoimi sprawami. Skąd mieli brać energię, żeby zajmować się jeszcze matką i jej nieudanym życiem?

Carla chwilami sama nie mogła w to uwierzyć: małżeństwo zakończone rozwodem po dwudziestu ośmiu latach. Jej mąż był stale zadłużony po uszy, bo zawsze lubił prowadzić wystawne życie i właściwie całą swoją egzystencję budował na długach. A któregoś dnia po prostu zwiął, zanim wierzyciele zdążyli go pociągnąć do odpowiedzialności; Carla od lat nie miała od niego żadnej wiadomości ani też znaku życia. Ona sama zaś była często roztrzęsiona i wечно

narzekająca. Z tarapatów, w które wpędziła rodzinę zawodowa plajta ojca, Keira uciekła w bezpieczną mieszczańską egzystencję: zdobyła solidne wykształcenie, kończąc studia matematyczne, została urzędniczką w banku i wyszła za mąż za mężczyznę, który pracował jako urzędnik. Zamieszkali w Bracknell, w domu w jednym z niezliczonych osiedli szeregowców, oddalonym zaledwie o kwadrans drogi na południowy wschód od centrum Londynu. Carla wiedziała, że właściwie powinna się z tego wszystkiego cieszyć.

Keira zgłosiła się już po drugim sygnale. W jej głosie słychać było stres i napięcie, w tle płakał ich mały synek.

- Halo, Keira, to ja, mama. Chciałam tylko wiedzieć, co u was.

- O, mama, cześć odpowiedziała Keira. Nie sprawiała wrażenia zachwyconej. Tak, wszystko w porządku. Tylko mały znów nie chce zasnąć. Właściwie bez przerwy krzyczy. Jestem już tym wszystkim wykończona.

- Pewnie zaczyna ząbkować.

- Tak, chyba masz rację. Keira umilkła na chwilę, po czym spytała, chyba głównie z poczucia obowiązku: A co u ciebie?

Przez jedną sekundę Carla wahała się, czy nie powiedzieć prawdy: że jest jej źle, że czuje się potwornie samotna. Ale wiedziała, że córka, przeciążona przecież pracą, nie chciałaby tego usłyszeć, i w efekcie byłaby tylko rozdrażniona.

- Ach, nic powiedziała więc tylko często czuję się samotna. Od kiedy jestem na rencie... Nie dokończyła zdania.

Przecież i tak nic by to nie zmieniło.

Keira westchnęła.

- Mamo, musisz poszukać sobie jakiegoś zajęcia. Hobby, jakieś zainteresowania, dzięki którym znajdziesz się wśród ludzi o podobnych zapatrywaniach i problemach. Nawet jakiś kurs gotowania, na który mogłabyś się zapisać, albo może jakiś sport, który zaczniesz uprawiać! Najważniejsze, żebyś była wśród ludzi.

- E, ciągle skakać wśród starych kobiet na zajęciach gimnastyki dla seniorów..

Keira znów westchnęła, tym razem z wyraźnym zniecierpliwieniem.

- Przecież to nie musi być gimnastyka dla seniorów. Mój Boże, tyle jest różnych ciekawych ofert. Możesz wśród nich coś wyszukać, coś, co będzie odpowiadało twoim wymaganiom!

Przez chwilę Carla miała ochotę powiedzieć córce, że właśnie całkiem niedawno przyłączyła się do takiej grupy samotnych kobiet, ale znów nie udało jej się nawiązać tam trwałych przyjaźni czy choćby znajomości. Chyba dlatego, że za dużo narzekała i nikt nie mógł z nią długo wytrzymać. Lepiej, żeby Keira w ogóle nie wiedziała o tych próbach.

- Myślę, że właściwie wszystko mnie przygnębia powiedziała. Kiedy w środku dnia idę popływać albo gotuję, uświadamiam sobie, że nie jestem już pełnowartościowym członkiem społeczeństwa. Bo już nie pracuję i nie mam rodziny, o którą musiałabym się troszczyć. A kiedy wracam do domu, to i tak nikt na mnie nie czeka.

- Ale na pewno poznałabyś tam jakieś sympatyczne panie, z którymi mogłabyś coś wspólnie robić!

- Jednak większość z nich ma rodziny i z pewnością nie miałyby dla mnie czasu.

- Tak, oczywiście, bo jesteś jedyną rozwiedzioną, samotną rencistką w całej Anglii odparła szorstko Keira. Czy naprawdę chcesz spędzić resztę życia, siedząc w mieszkaniu przed telewizorem z nosem spuszczonego na kwintę?

- I do tego denerwując córkę!

- Tego nie powiedziałam!

- Ten dom jest przygnębiający rzekła Carla. Nikt tu nikogo nie obchodzi. A winda stale wjeżdża na moje piętro i nikt z niej nie wysiada.

Keira wydawała się już nieco zirytowana.

- Co takiego? spytała.

Carla pożałowała swoich słów.

- Ach, zauważyłam to po prostu. To znaczy, rzecz w tym, że zdarza się to dosyć często. W końcu oprócz mnie nikt tu na górze nie mieszka. A jednak stale wjeżdża tu winda.

- Przecież ktoś ją po prostu wysyła na górę. Albo cały system jest tak ustawiony, że winda musi za każdym razem automatycznie zaliczyć każde piętro.

- Ale tydzień czy dwa tygodnie wcześniej tak nie było.

- Mamo...

- Tak, wiem. Robi się ze mnie dziwaczka, tak właśnie myślisz. Nie martw się, jakoś sobie jeszcze poradzę ze swoim życiem.

- Z pewnością. Mamo, mały płacze bez przerwy i...

- Już, już kończę! Byłoby fajnie, gdybyście mnie znowu odwiedzili, ty i mały właśnie. Może w któryś weekend?

- Zobaczę, czy się uda powiedziała Keira niezobowiązująco, a potem pożegnała się szybko, zostawiając Carlę z niemiłym uczuciem, że była natrętna i męcząca.

„To w końcu moja córka pomyślała jakby na przekór swoim odczuciom. I to normalne, że od czasu do czasu do niej dzwonię. I że mówię jej o tym, że nie jest mi zbyt dobrze”.

Spojrzała na zegarek było dopiero niewiele po dziesiątej.

Mimo to postanowiła iść do łóżka, może trochę poczytać przed snem. Miała nadzieję, że uda jej się szybko zasnąć. Chciała właśnie iść do łazienki, żeby umyć zęby i w tym momencie usłyszała wjeżdżającą na górę windę.

Zatrzymała się na środku korytarza, nasłuchując.

„Ależbym chciała, żeby ktoś mieszkał na tym piętrze” pomyślała. Winda stanęła, otworzyły się drzwi.

Carla czekała. Czekala na to, że potem nie będzie już nic, jak zwykle.

Żadnego dźwięku, nic.

Ale tym razem coś usłyszała. Ktoś wyszedł z windy. Usłyszała kroki i to bardzo wyraźne. Kroki tam, na zewnątrz, w oświetlonym jaskrawym światłem korytarzu.

Przełknęła ślinę, poczuwszy nagle suchość w ustach i osobliwe mrowienie na skórze.

Tylko teraz nie wariuj! Dopiero co się denerwowałaś, bo nikt nie wysiadał z windy, a teraz się denerwujesz, bo ktoś właśnie z windy wysiadł!

Kroki były coraz bliższe.

„Do mnie pomyślała Carla ktoś idzie do mnie”. Stała przed drzwiami wejściowymi jak sparaliżowana. Ktoś był po drugiej stronie.

Kiedy zabrzmiał dzwonek, poczuła wręcz ulgę. Dzwonek to była normalność.

„Włamywacze przecież nie dzwonią” pomyślała.

Na wszelki wypadek ostrożnie wyjrzała przez wizjer. Zawahała się.

A potem otworzyła drzwi.

Środa, 2 grudnia

1.

Gillian wróciła do kuchni.

- To była matka Darcy wyjaśniła i dodała: Darcy nie przyjdzie dziś do szkoły. Ma zapalenie gardła.

Nawet dzwonek telefonu nie wyrwał Becky z letargu dziewczynka w pełnej melancholii zadumie wpatrywała się w miskę płatków owsianych i suszonych owoców zmieszanych z mlekiem.

„Dopiero co skończyła jedenaście lat pomyślała Gillian a już jest mrukliwa i apatyczna jak nastolatka w szczytowej fazie dojrzewania. Czy my też tak to przechodziliśmy?”.

- Hm... mruknęła Becky bez większego zainteresowania. Obok niej na krześle siedział jej czarny kocur noszący imię Chuck. Chuck został znaleziony w czasie rodzinnej wyprawy do Grecji półżywy z głodu siedział na poboczu drogi jak istna kupka nieszczęścia i przeschmuglowany do hotelu. W rezultacie pozostała część wakacji składała się głównie z problemu, jak co dzień niepostrzeżenie wynieść Chucka z hotelu do weterynarza i powtórzyć to samo z powrotem. Gillian i Becky całymi godzinami wlewały mu pipetką do pyszczka płynny pokarm, a wszystko przemawiało za tym, że zwierzę jednak nie przeżyje.

I choć Becky płakała prawie bez przerwy, wszystko było trudne i wyczerpujące nerwowo, to w efekcie wspólnego zmartwienia matka i córka były sobie wtedy bardzo bliskie.

Ostatecznie zwyciężyła wola życia kocura Chucka, który ze swoją nową rodziną pojechał do Anglii.

Gillian usiadła przy stole naprzeciw córki. Za chwilę miała odwieźć Becky do szkoły. Miały układ z matką Darcy i w tym tygodniu przypadała jej kolej odwożenia dziewczynek do szkoły. Oczywiście z wyłączeniem dnia, w którym jej córka nie mogła iść do szkoły.

- Przy okazji dowiedziałam się czegoś interesującego oznajmiła córce. A mianowicie, że piszecie dziś klasówkę z matematyki.

- Możliwe usłyszała w odpowiedzi.

- Nie, to nie jest „możliwe”, tylko tak jest! Piszecie dziś klasówkę, a ja nie mam o tym pojęcia.

W odpowiedzi Becky wzruszyła ramionami. Nad górną wargą miała wyraźne ślady po wypitym kakao. Włożyła dziś swoje czarne dzinsy, tak obcisłe, że Gillian

pytała samą siebie, jak ona zdołała się w nie wcisnąć, do tego czarny, równie obcisły sweter, a wokół szyi zawinęła sobie czarną chustkę. Jej wysiłki, żeby za wszelką cenę wyglądać „cool”, były żałosne w zestawieniu ze śladami kakao wokół ust, dzięki którym wyglądała jak mała dziewczynka na osobliwej maskaradzie. Oczywiście Gillian wystrzegająca się starannie, aby nie wspomnieć jej o tym ani słowem.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? Codziennie pytałam, czy kiedyś będziecie pisać test. A ty twierdziłaś, że nie. Dlaczego?

Becky znów wzruszyła ramionami.

- Czy możesz mi łaskawie odpowiedzieć? spytała ostro Gillian.

- Nie wiem wymamrotała niechętnie Becky.

- Czego nie wiesz?

- Nie wiem, dlaczego ci nie powiedziałam.

- Przypuszczam, że nie miałaś ochoty zabrać się przed tym do nauki stwierdziła Gillian z rezygnacją.

Becky spojrzała na nią ze złością.

„Co ja robię źle pomyślała Gillian co ja robię źle, że ona patrzy na mnie czasem wręcz z nienawiścią? Dlaczego matka Darcy wiedziała o tym teście? Dlaczego prawdopodobnie wiedziały o nim wszystkie pozostałe matki?”

- Umyj zęby powiedziała. I pośpiesz się. Musimy już jechać.

W czasie jazdy do szkoły Becky nie odezwała się ani słowem, patrzyła tylko bezmyślnie przez okno. Gillian miała na końcu języka pytanie, czy córka nie przecenia swoich umiejętności, czy choć trochę przygotowała materiał, ale nie odważyła się go zadać. Obawiała się opryskliwej odpowiedzi i miała niedobre przeczucie, że po prostu wybuchnie wtedy płaczem. Często jej się to zdarzało w ostatnim czasie i zupełnie nie potrafiła znaleźć sposobu, aby się z tym uporać. Była na najlepszej drodze do tego, żeby zamienić się w płaczliwą bekę, która wiecznie narzeka na wszystko, co ją w życiu spotyka, a prowokujące zachowanie własnej córki powoduje u niej tylko lęk. Jak kobieta w wieku czterdziestu dwóch lat mogła tak dalece stracić umiejętność panowania nad sobą i własną niezależność?

Becky pożegnała się z matką w kilku mało sympatycznych słowach i ruszyła w stronę szkoły, krocząc niezdarnie na swoich długich, zbyt chudych nogach. Jej długie, rozpuszczone włosy rozwiewał wiatr, a plecak („mamo, dziś się już nie nosi tornistra, tylko plecak!”) kołysał się na jej ramionach. Nawet nie spojrzała w stronę matki. Kiedy była w niższych klasach, na pożegnanie posyłały sobie ręką całusa, uśmiechając się przy tym do siebie. Jak można się tak dalece zmienić w ciągu zaledwie kilku lat? Gillian czuła tego ranka, że jest w całkowitej defensywie. Wiedziała, że praca z matematyki pójdzie córce źle i że błędem było nieprzygotowanie się do niej. Była zła na siebie i czuła, że musi coś zrobić.

Pytała samą siebie, czy wszystkie nastolatki są właśnie takie. Tak agresywne. Tak nierozsądne. Tak bezlitosne.

Włączyła silnik, pojechała ulicę dalej, po czym zatrzymała się i zaparkowała tuż przy krawężniku. Otworzyła okno, zapaliła papierosa. W okolicznych ogrodach trawę pokryła szadź. W oddali dostrzegła rozlaną szeroko Tamizę, która zdążyła powoli ku morzu jak szara wstęga ołowiu, całkowicie poddana nieubłaganemu rytmowi przypływów i odpływów. Wiatr niósł zapach alg, z daleka dobiegał krzyk mew. Było zimno. Lodowaty, szary, zimowy poranek.

Kiedyś rozmawiała o tym z Tomem, dawno, przed dwoma laty. A dokładniej, próbowała o tym porozmawiać. O tym, czy ona jako matka robi coś źle. Albo czy inne dzieci też są takie. Ale on nie znał odpowiedzi na jej pytania.

- Gdybyś miała więcej kontaktów z innymi matkami powiedział w końcu to może wiedziałabyś, czy i dlaczego tak jest. Wiedziałaabyś, czy robisz coś źle. Może nawet wiedziałaabyś, jak należałoby postępować właściwie. Ale ty z jakiegoś powodu wzbranasz się przed stworzeniem sobie grupy znajomych, które mają podobne problemy.

- Nie wzbraniam się. Po prostu nie mogę się dogadać z innymi matkami.

- Ale to są przecież normalne kobiety! I nic ci nie zrobią! Oczywiście miał rację. Ale nie to było problemem.

- One mnie po prostu nie akceptują. I zawsze jest tak, jak gdybym... jakbym mówiła innym językiem. Wszystko, co mówię, wydaje mi się niewłaściwe, nie na miejscu. Nie pasuje do tego, co one mówią...

Było dla niej jasne, że Tom, stuprocentowy racjonalista, odbierał jej słowa jak bzdurę, kompletną bzdurę.

- Bzdura! tak właśnie wtedy natychmiast zareagował. Myślę, że po prostu wmawiasz sobie to wszystko. Jesteś inteligentną, atrakcyjną kobietą. Odnosisz zawodowe sukcesy. Masz przystojnego męża, który także nie może się uskarżać na brak sukcesów w swoim zawodzie. Masz także śliczne, mądre i zdrowe dziecko. Skąd więc biorą się twoje kompleksy?

Czy ona miała kompleksy?

Zupełnie zatopiona w swoich myślach strzepnęła popiół z papierosa przez otwarte okno.

Nie było powodów, żeby mieć kompleksy. Piętnaście lat temu razem z Tomem założyli w Londynie firmę specjalizującą się w doradztwie podatkowym i gospodarczym. Musieli się zdobyć na olbrzymi wysiłek, ale się opłaciło: dziś zatrudniali szesnastu pracowników, a firma prosperowała znakomicie. Tom ciągle podkreślał, że wszystko to nie udałoby się bez Gillian. Od chwili urodzenia Becky Gillian nie pracowała już codziennie w biurze, miała jednak kilku klientów, którymi się nadal opiekowała. Trzy lub cztery razy w tygodniu jechała pociągiem do Londynu i załatwiała wszystkie sprawy związane z jej pracą w firmie. Miała możliwość samodzielnego regulowania swojego czasu pracy i dzięki temu niesłychane poczucie wolności. Jeśli tylko Becky potrzebowała jej obecności, Gillian

po prostu nie szła do biura, przynosiła do domu zaległą pracę i nadrabiała zaległości w weekend.

Wszystko było w jak najlepszym porządku. Mogła być całkowicie zadowolona ze swojego życia.

Zerknęła w lusterko wsteczne i dostrzegła swoje ciemnoniebieskie oczy i rude, kręcone włosy nad czołem. Te długie włosy nie dawały się nigdy uporządkować, wyglądały zawsze tak, jak gdyby były nieuczesane. Gillian doskonale pamiętała, jak bardzo cierpiała z tego powodu w dzieciństwie. Głównie dlatego, że były mocno kręcone. I rude. Także z powodu piegów, które przy jej karnacji zawsze pojawiały się na twarzy. A potem któregoś dnia zjawiała się na uniwersytecie i poznała Thomasa Warda, swojego pierwszego chłopaka, który miał się stać mężczyzną jej życia i wielką miłością. To on podziwiał kolor jej włosów, liczył jej piegi i nagle sama zaczęła uważać siebie za piękną i cenić wyjątkowość swojego wyglądu.

„O tym też powinnaś pamiętać pomyślała o wszystkich dobrych rzeczach, które zjawily się w twoim życiu dzięki Tomowi. Poślubiłaś cudownego mężczyznę”.

Skończyła palić papierosa i zastanawiała się, czy powinna pojechać do biura. Czekala na nią masa pracy, a z doświadczenia wiedziała, że praca była najlepszym lekarstwem na ponure rozmyślenia. Postanowiła więc pojechać do domu, wypić jeszcze jedną filiżankę kawy, przebrać się i ruszyć w drogę do Londynu.

Przekręciła kluczyk i włączyła silnik.

Może powinna była spotkać się z Tarą Caine. Jej przyjaciółka pracowała jako prokurator w Londynie i była przynajmniej według Toma, który niespecjalnie ją lubił radykalną feministką. W każdym razie rozmowy z nią zawsze dobrze robiły Gillian.

W czasie ich ostatniego spotkania Tara oświadczyła wprost, że Gillian tkwi w głębokiej depresji.

Może miała rację.

Samson długo nasłuchiwał i dopiero kiedy był zupełnie pewny, że nikogo nie ma na klatce schodowej, przemknął w skarpetach na dół. Chciał możliwie szybko i niepostrzeżenie wskoczyć w buty, wciągnąć kurtkę i zaraz potem wymknąć się na dwór, ale akurat kiedy stał pochylony do przodu i wiązał sznurówki, drzwi kuchni otworzyły się i pojawiła się jego bratowa Millie. Sposób, w jaki się zbliżała, sprawiał, że przypominała Samsonowi drapieżnego ptaka, który właśnie wypatrzył swój łup.

Wyprostował się.

- Dzień dobry, Millie powiedział niepewnie.

Millie Segal należała do tych kobiet, którym zawsze, nawet jeszcze zanim skończyły czterdzieści lat, towarzyszyły niejednoznaczne określenia typu: ach, jaka ona była kiedyś piękna. Miała blond włosy, świetną figurę i regularne rysy, ale jednocześnie na jej twarzy pojawiło się już tyle zmarszczek i blizn, będących następstwem zbyt intensywnego opalania i zbyt wielu wypalonych papierosów, że wyglądała na o wiele starszą, niż rzeczywiście była. Poza tym sprawiała wrażenie wiecznie strapionej i przedwcześnie zgorzkniałej. Przyczyną tego ostatniego był nie tyle niezdrowy tryb życia, ile fakt, że zawsze była ze wszystkiego niezadowolona. I sfrustrowana. Samson rozmawiał o tym czasami ze swoim bratem, a on mu wyjaśniał, że Millie żyła w przekonaniu, jakoby była skrzywdzona przez los, i to nie dlatego, że ktoś jej wyrządził wielką krzywdę, lecz dlatego, że doszukiwała się dyskryminacji swojej osoby w sumie wielu codziennych niesprawiedliwości i rozczarowań.

Kiedy Gavin, jej mąż, dopytywał się, co dokładnie zatruwało jej życie, odpowiadała zawsze: „Wszystko. Po prostu wszystko razem”.

Na nieszczęście Samson wiedział, że w owym wszystko razem on też odgrywał pewną rolę.

- Tak myślałam, że cię słyszę rzekła Millie. Nie była jeszcze ubrana. Kiedy miała iść do pracy później niż zwykle, wskakiwała rankiem w dres do joggingu i przygotowywała śniadanie dla męża, zanim ten wyruszy do pracy na poranną zmianę. Gavin był kierowcą autobusu i często musiał wstawać już o piątej rano. Millie parzyła dla niego kawę, smażyła jajecznicę na boczku, wsuwała chleb do tosterka i szybko smarowała masłem kanapki, które on zabierał do pracy. Każdego dnia sprawiała wrażenie przyjemnie zatroskanej, ale Samson był przekonany, że jej rzekoma serdeczność i ciepło nie były szczerze. Bo Gavin płacił za wspaniałe śniadania wysoką cenę: przez cały czas musiał wysłuchiwać jej lamentowania, narzekania i wyrzutów, a Samson zastanawiał się czasami, czy jego brat nie wolałby rano posiedzieć w kuchni w spokoju samotnie z gazetą, jedząc przyrządzony własnoręcznie tost z marmoladą i pijąc zaparzoną przez siebie kawę.

- Zaraz wychodzę powiedział do szwagierki, wkładając szybko kurtkę.

- Wyjaśniło się już coś z twoją pracą? spytała Millie.

- Jeszcze nie.

- A szukasz czegoś w ogóle?

- Oczywiście. Ale czasy są ciężkie.

- Nie dałeś w tym tygodniu żadnych pieniędzy do domowego budżetu. W końcu muszę robić zakupy. A przy jedzeniu też nie jesteś zbyt powściągliwy.

Samson wygrzebał z kieszeni spodni portfel i wyciągnął banknot.

- Wystarczy na razie?

- No, zbyt wiele to nie jest odparła Millie, ale oczywiście wzięła pieniądze. Lepsze to niż nic.

„Czego ona właściwie chce? zastanawiał się Samson. Przecież nie dopadła mnie tutaj z powodu pieniędzy”. Popatrzył na nią pytająco. Ale Millie powiedziała tylko:

- Gavin wraca dziś w południe. Jemy obiad o drugiej. Idę do pracy dopiero po południu.

- Nie będzie mnie na obiedzie. Wzruszyła ramionami, dodając obojętnie:

- Sam musisz wiedzieć, co robić.

I ponieważ nie było już nic do załatwienia, skinął głową, otworzył drzwi i wyszedł wprost w mroźny dzień.

Po spotkaniu z Millie zawsze był zdenerwowany, niepewny siebie i zaniepokojony. Źle się czuł w jej obecności. Tu, na dworze, od razu zrobiło mu się lepiej.

Podśluchał kiedyś pewną rozmowę między Millie a jego bratem i od tej pory wiedział, że Millie niczego innego tak nie pragnęła, jak tego, żeby on się wreszcie wyprowadził z ich wspólnego domu. Wprawdzie było to dla niego jasne już przedtem, a Millie też nie pozostawiła cienia wątpliwości co do tego, że uważała go wyłącznie za mąciciela ich spokoju, ale usłyszeć coś takiego powiedziane wprost to zupełnie co innego. Przy tym Samson nie wiedział, że wywierała w tej sprawie ogromny nacisk na jego brata.

- Chcę z tobą żyć w małżeństwie, w zupełnie normalnym małżeństwie wyszczała wtedy. A co to jest to, co mamy teraz? Rodzaj jakiejś wspólnoty mieszkaniowej?

- Nie możesz tego tak określać odparł Gavin nieswojo, z wyczerpaniem zdradzającym człowieka, który musi zbyt często zajmować się niemiłym dla siebie tematem. On jest moim bratem. Nie jest przecież jakimś podnajemcą!

- No, gdyby chociaż nim był! To przynajmniej płaciłby nam czynsz. Ale tak...

- Millie, to także jego dom. Obaj odziedziczyliśmy go po rodzicach. On ma takie samo prawo tu mieszkać jak my.

- To nie jest kwestia prawa!

- A czego?

- Poczucia taktu. Przyzwoitości. Mam na myśli to, że my oboje, my jesteśmy małżeństwem. Może kiedyś będziemy mieli dzieci. Będziemy wtedy prawdziwą rodziną. A on jest sam. Jest po prostu piątym kołem u wozu. Każdy inny człowiek zauważyłby, że przeszkadza, i poszukałby sobie czegoś innego.

- Nie możemy go przecież zmusić. Jeśli się wyprowadzi, to musiałbym go spłacić, na co mnie nie stać, albo musielibyśmy płacić mu czynsz, przynajmniej częściowo. Mój Boże, Millie, wiesz przecież, ile zarabiam! Będzie nam wtedy ciężko!

- Nie wolno mu właściwie brać od ciebie pieniędzy to przecież twój brat.

- Ale wtedy musiałby gdzieś płacić czynsz. A jest przecież bez pracy. Jak miałby to zrobić?

- No to my się wyprowadźmy!

- Naprawdę tego chcesz? Domek z ogrodem możesz sobie wtedy wybić z głowy. Nie mam nic przeciwko mieszkaniu na piętrze w bloku, ale jesteś pewna, że tobie to wystarczy?

Samson, który stał na dworze pod drzwiami i podśluchiwał, pocąc się przy tym niemiłosiernie, skrzywił się z pogardą. Oczywiście, że to by jej nie wystarczyło. Millie ceniła prestiż nade wszystko, nawet kosztem wspólnego mieszkania z nielubianym szwagrem. Pochodziła z ubogiej rodziny i małżeństwo z właścicielem domu w dobrej dzielnicy stanowiło w jej życiu niesłychany awans socjalny choćby to była tylko szeregowka przy bardzo ruchliwej ulicy. Uwielbiała zapraszać tu swoje przyjaciółki i chwalić się rzeczywiście wypielęgnowanym i zadbanym ogrodem. I chyba nie mogłaby nigdy pogodzić się z myślą, że miałyby opuścić ten świat. Nie, Millie nie chciała się stąd wyprowadzać. Chciała, żeby to Samson się wyprowadził.

Nie odpowiedziała więc na ostatnie pytanie męża, ale milczenie, które potem zapadło, było aż nadto wymowne.

Samson odpędził teraz myśl o jakiegokolwiek rozmowie na ten temat i ruszył w drogę. Stosował przy tym bardzo określony system i dokładny plan czasowy, który już uległ opóźnieniu o pięć minut bo tak długo zwlekał z opuszczeniem klatki schodowej, a potem zatrzymała go jeszcze Millie.

Stracił swoją pracę w czerwcu. Pracował jako kierowca w pewnym serwisie zajmującym się urządzeniami chłodniczymi do mrożonek, ale te były bardzo drogie, a kryzys gospodarczy sprawił, że ludzie stracili poczucie bezpieczeństwa i liczba zleceń drastycznie spadła. Ostatecznie firma musiała zredukować liczbę kierowców. Samson spodziewał się tego, a ponieważ został najpóźniej zatrudniony, najwcześniej też stracił pracę.

Szedł teraz spokojnie przez ulicę. Dom, który on i Gavin odziedziczyli po rodzicach, leżał przy końcu ulicy łączącej się z bardzo ruchliwą arterią przelotową, głośną i niezbyt elegancką. Stały przy niej wąskie domy, przed którymi ciągnęły się długie, równie wąskie paski ogrodów. W przeciwnym kierunku ta sama ulica prowadziła do Thorpe Bay Club, w zupełnie inny świat: znacznie większe domy ozdobione wieżyczkami i wykuszami, stojące na okazałych działkach z wysokimi

drzewami, zasłonięte wypiełgnowanymi żywopłotami, wszystko otoczone dodatkowo kutymi w żelazie płotami albo pięknymi kamiennymi murami. Marki stojących na podjazdach samochodów świadczyły o zamożności ich właścicieli, a dookoła panował przyjemny, idylliczny spokój.

Southend-on-Sea położone było czterdzieści mil na wschód od Londynu i ciągnęło się wzdłuż północnego brzegu Tamizy aż do ujścia tej wielkiej rzeki do Morza Północnego. Miasto oferowało przybyszom wszystko, czego tylko można było zapragnąć: bogate możliwości zakupów, szkoły i przedszkola, teatry i kina, obowiązkowy park rozrywki przy nadbrzeżnej promenadzie, długie piaszczyste plaże, kluby surfingowe i żeglarskie, puby i wytworne restauracje. Przeprowadziło się tu wiele rodzin, dla których mieszkania w samym Londynie były za drogie, także dla ich dzieci było pod każdym względem bardziej korzystne i zdrowsze, że nie musiały dorastać w samym sercu wielkiej metropolii. Southend obejmowało kilka dzielnic, wśród nich Thorpe Bay, gdzie mieszkał Samson. Thorpe Bay składała się w większości z rozległych, lekko pofalowanych łąk należących do klubów golfowych i z kortów tenisowych położonych zaraz za plażą, od której oddzielała je tylko jedna ulica. Jeśli ktoś tu zamieszkał, miał wrażenie, że znalazł się w samym sercu jakiejś wiejskiej idylli: ulice, wzdłuż których ciągnęły się drzewa, wypiełgnowane ogrody, zadbane domy. Wiatr ciągnący od rzeki niósł z sobą kojący, słony zapach morza.

Samson wychował się tutaj. Nie potrafił sobie wyobrazić, że mógłby zamieszkać gdzie indziej.

Dochodził właśnie do Thorpe Hall Avenue, gdy spotkał młodą kobietę z ogromnym psem mieszańcem na smyczy. Wychodziła z nim na spacer każdego ranka. Ale o tej porze była już w drodze powrotnej. Samson nieraz szedł za nią aż do bramy jej domu i znał już dobrze jej sytuację rodzinną: nie miała męża ani dzieci. Nie potrafił powiedzieć, czy była rozwiedziona, czy też nigdy nie wyszła za mąż. Zajmowała połowę malutkiego domku i miała ogromny ogród. Wydawało się, że pracuje w domu, bo poza wychodzeniem na zakupy i spacerami z psem nie opuszczała za dnia swego mieszkania. Za to często dostarczali jej coś kurierzy. Samson wywnioskował stąd, że pracowała dla firmy, której zlecenia mogła wykonywać w domu. Może miała jakieś biuro. A może wykonywała ekspertyzy albo była redaktorem w jakimś wydawnictwie. Zauważył też, że czasem wyjeżdżała. Wtedy mieszkała u niej jakaś przyjaciółka i to ona wyprowadzała psa. Widocznie kobieta musiała pokazać się od czasu do czasu u swojego pracodawcy.

Kawałek dalej na ścieżce prowadzącej do domu zauważył starszą damę. Często można było spotkać ją na dworze. Dziś zamiatała liście, te ostatnie, które przefrunęły do jej ogrodu z drzewa stojącego za płotem. Często zamiatała ulicę, nawet wtedy, kiedy każdy inny uznałby, że właściwie jest to całkiem niepotrzebne. Samson wiedział, że ta kobieta jest zupełnie samotna. Nawet mało uważny obserwator dostrzegłby, że starała się robić cokolwiek, żeby tylko wyjść z domu i dzięki temu doczekać się choćby zwykłego „dzień dobry”. Nikt jej nie odwiedzał,

więc pewnie nie miała dzieci albo może one się o nią nie troszczyły. Nie zauważył także przyjaciół, żadnych znajomych, którzy by ją odwiedzali.

- Dzień dobry powiedziała zadyszana, ledwie go tylko zobaczyła.

- Dzień dobry mruknął Samson w odpowiedzi. Miał żelazną zasadę, by nie wchodzić w żadne kontakty z ludźmi, których śledził, bo było dla niego bardzo ważne, żeby nie został zauważony. Ale nie mógł przejść koło tej kobiety bez pozdrowienia. Gdyby tego nie robił, może ona właśnie dlatego by go zapamiętała? *Cóż to za nieuprzejmy mężczyzna, który przechodzi tędy każdego poranka?...* A tak w jej pamięci pozostał pozytywny obraz jego osoby.

Dotarł właśnie do szeregu domów z pięknymi terenami zielonymi po przeciwnej stronie, gdzie w lecie drzewa porośnięte były szczególnie gęstym listowiem. Jeden z tych domów należał do rodziny Wardów. Samson wiedział o nich więcej niż o innych, bo Gavin w swoim czasie skorzystał z pomocy Thomasa Warda, kiedy po śmierci rodziców miał problemy z podatkiem spadkowym. Ward i jego żona pracowali w Londynie jako doradcy gospodarczy i finansowi i Ward wskazał wówczas Gavinowi najbardziej korzystne warunki spłaty podatku, dlatego Gavin do dziś nie pozwoliłby komukolwiek powiedzieć złego słowa o Wardzie. Choć Thomas Ward stanowił w oczach obu braci obraz człowieka, który był dla nich synonimem kogoś niezbyt sympatycznego: dość duże auto, ubrania z delikatnego, doskonałego materiału, dyskretne, ale z pewnością bardzo drogie krawaty..

- Nie wolno człowieka oceniać według jego wyglądu mawiał często Gavin, kiedy była mowa o Wardzie, i dodawał: Ward jest w porządku, cokolwiek by mówić.

Samson wiedział, że Gillian Ward nie jeździła codziennie do pracy w londyńskiej firmie. Nie udało mu się jednak ustalić jakiejś regularności jej czasu pracy. Prawdopodobnie tej regularności wcale nie było. Ale przecież Gillian miała dwunastoletnią córkę Becky, którą też musiała się zajmować, a która sprawiała wrażenie dziewczynki zamkniętej w sobie i pełnej przekory. Samson sądził, że Becky często bywała w buntowniczym nastroju. Matka z pewnością nie miała z nią łatwego życia.

Zdumiał się, kiedy nagle zobaczył samochód Gillian, który jechał w dół ulicy, po czym skręcił prosto na wjazd do garażu. Było to co najmniej osobliwe. Wiedział, że Gillian i matka jednej z koleżanek jej córki odwoziły dzieci do szkoły na zmianę co tydzień, i był pewien, że w tym tygodniu kolej przypadała na matkę koleżanki. Może Gillian wcale nie odwozła dzieci do szkoły? To gdzie w takim razie była o tak wczesnej godzinie?

Zatrzymał się. Czy Gillian miała zamiar jechać do pracy? Zwykle jeździła samochodem na dworzec kolejowy w Thorpe Bay albo Southend Central, a dalej pociągiem na Fenchurch Station w Londynie. Znał tę drogę dokładnie, bo już kilka razy jechał za nią.

Patrzył, jak zniknęła w domu, a po chwili w sieni zapaliło się światło.

Piękne, pomalowane na czerwono drzwi Wardów miały w górnej części oszklone otwory w kształcie rombów, więc z ulicy można było bez trudu zobaczyć wnętrze korytarza i położonej w jego końcu kuchni. Kiedyś obserwował przez to nader praktyczne okno, jak Gillian rankiem po wyjściu całej rodziny usiadła spokojnie przy stole i naląła sobie filiżankę kawy, po czym piła ją powoli małymi łykami. Obok niej leżała gazeta, ale Gillian do niej nie zajrzała. Wpatrywała się tylko w przeciwną ścianę. I wówczas Samson pomyślał po raz pierwszy: ona jest nieszczęśliwa!

Ta myśl była dla niego niemal bolesna, bo zdążył już polubić Wardów. Nie pasowali zupełnie do wzoru ludzi, których lubił śledzić, a były to samotne kobiety, toteż zaczął się już wręcz niepokoić i zadawać sobie pytanie, dlaczego właściwie akurat do nich tak się przywiązał. Pewnego letniego wieczoru, kiedy włóczył się bez celu po ulicach i w końcu zaczął się gapić bezmyślnie na ogród Wardów, gdzie mała rodzina siedziała przy grillu na tarasie, śmiejąc się i rozmawiając, oświeciła go nagła myśl: oni byli perfekcyjni, idealni. I tu tkwiła magiczna moc, która go do nich przyciągała. Absolutnie perfekcyjna rodzina. Atrakcyjna, inteligentna matka. Śliczne, żywe dziecko. Przemięty czarny kocur. Piękny dom. Zadbany ogród. Dwa samochody. Nie jakieś ociekające luksusem bogactwo, ale po prostu solidna klasa średnia. Świat, w którym wszystko było w porządku.

Świat, o którym on zawsze marzył.

Świat, do którego się nigdy nie dostanie, ale uświadomił sobie, że znajdował jakąś pociechę w tym, że mógł w jakiś sposób brać udział w ich życiu, choćby tylko patrząc zza płotu.

Podszedł bliżej domu, tuż pod bramę do ogrodu, i próbował zajrzeć do kuchni. Rzeczywiście dostrzegł Gillian, która właśnie oparła się o stół. Aha, znów naląła sobie kawy. Trzymała w obu rękach gruby ceramiczny kubek i piła małymi łykami, tak jak to już kiedyś zaobserwował.

O czym ona ciągle rozmyślała? Często wydawała się całkowicie zatopiona w swoich myślach.

Szybko poszedł dalej, nie mógł sobie przecież pozwolić na to, żeby zbyt długo sterczeć w jednym miejscu, w każdym razie nie na środku ulicy. A tak chętnie by się dowiedział o przyczynie zmartwienia Gillian i było dla niego jasne, dlaczego chciałby to zrobić: bo miał nadzieję, że wówczas sam osiągnie jakiś spokój. To z pewnością musiało być coś chwilowego, co szybko minie. Bo nie było to nic, absolutnie nic związanego z ich rodziną. Może któreś z jej rodziców było chore i z tego powodu się martwiła. Albo coś w tym rodzaju.

Szedł w dół ulicą Thorpe Hall Avenue, wzdłuż ciągnących się przy niej parków i kortów tenisowych Thorpe Bay Garden, przeszedł Thorpe Esplanade, gdzie zwykle panował ożywiony ruch, a teraz trwał senny spokój, i dotarł na plażę. Zimną, opuszczoną i pustą. Nigdzie nie było widać żywej duszy.

Odetchnął głęboko.

Czuł się tak wyczerpany, jak ktoś po długim, ciężkim dniu pracy, i wiedział, co było tego przyczyną: zobaczył Gillian. Zetknął się z nią niemal bezpośrednio. To zdarzenie, na które nie mógł się przygotować, wyczerpało go emocjonalnie tak bardzo, że szedł na plażę szybkim krokiem, z czego zdał sobie sprawę dopiero znacznie później. Odejść. Jak najdalej. W ciszę. Tylko tak mógł uspokoić rozdygotane nerwy.

Obserwował tak wielu ludzi. Zapamiętywał rytm ich codziennego dnia, ich przyzwyczajenia, próbował zrozumieć wszystkie okoliczności wydarzeń w ich życiu. Nie potrafił nikomu wyjaśnić, dlaczego tak go to fascynowało, ale to było jak jakiś wir czy prąd, w który się wpadało. Jeżeli się już zaczęło, nie sposób było z tym skończyć ani też tego przerwać. Czytał kiedyś o fanatykach komputera, że w swoim second life zbudowali sobie równoległe życie, i rzeczywiście tacy ludzie oraz to, czym i jak żyli, wydawali się wręcz z nim spokrewnieni. Drugie życie obok zwykłego bytowania. Ludzkie losy i marzenia, w które można było się wślizgnąć. Czasami wydawało mu się, że był odnoszącym sukcesy Thomasem Wardem, z pięknym domem i drogim autem. A czasami był tym opanowanym i zimnym typem mężczyzny, który ani się jąkał, ani też nie czerwienił i zapraszał na randkę ową piękną dziewczynę z psem oczywiście możliwość dostania kosza nawet nie wchodziła w grę. Codzienne życie wydawało mu się dzięki temu pełne blasku i radości, a jeśli nawet było to groźne, jeśli każdy psycholog określiłby jego hobby jako co najmniej niebezpieczne i budzące wątpliwości to dla niego była to jedyna możliwość uporania się z dręczącą go melancholią.

Ale stopniowo coś się zmieniało i to go niepokoiło.

Poszedł kilka kroków wzdłuż plaży. Wiało tu o wiele mocniej niż na górze, na ulicach, przemarzył więc dość szybko. Zapomniał zabrać rękawiczki i teraz, chuchając w dłonie, próbował je ogrzać własnym oddechem. Oczywiście nie zamierzał rezygnować ze swoich ściśle wyznaczonych obserwacji, Nawet utworzył w komputerze osobny plik, gdzie dokładnie opisywał swoje obiekty i każdego wieczoru z poczucia obowiązku notował wszystko, co zobaczył i przeżył. Ale nie robił już tego z takim zaangażowaniem i oddaniem jak kiedyś. Pojął teraz, dlaczego: przyczyną była Gillian Ward. Wardowie stawali się dla niego z każdym dniem ważniejsi. Byli już *jego* rodziną. Gościli codziennie w jego marzeniach, nie było już niczego, czego nie chciałby o nich wiedzieć ani też wespół z nimi przeżyć.

Zainteresowanie innymi ludźmi, których życie tak go pochłaniało, jednocześnie powoli go paraliżowało i prawdopodobnie był to proces nieunikniony. Miał jakieś nieokreślone przeczucie, że to wszystko nie było dla niego dobre. Zrozumiał teraz, dlaczego od samego początku wyszukał sobie dość liczną grupę ludzi, których życie obserwował i zapisywał: zrobił tak po to, żeby żadna z tych osób nie miała większego znaczenia. Żeby mógł brać udział w jej życiu, ale nie zatracał się w obserwacji pojedynczej osoby.

Ale jeśli chodzi o Gillian to właśnie mogło się zdarzyć.

Wiejący z północnego wschodu wiatr był rzeczywiście lodowaty. Nie, to nie jest dzień, który można by spędzić na plaży. Latem jaką przyjemność sprawiałoby włóczenie się po ulicach od rana do wieczora, dzięki czemu mógł uciec od przygnębiającej atmosfery w domu. Teraz, zimą, wszystko wyglądało oczywiście zupełnie inaczej. Jediną zaletą tej pory roku było to, że wcześniej robiło się ciemno i najpóźniej od piątej po południu mógł bez przeszkód zaglądać do jasno oświetlonych wewnątrz domów. Choć co prawda właśnie zimą można było sobie przy tym odmrozić wszystkie możliwe części ciała.

Podniósł głowę i zaczął węszyć jak zwierzę. Stwierdził, że powietrze pachniało śniegiem. Tu, w południowo-wschodniej Anglii, rzadko padał śnieg, ale teraz byłby skłonny się założyć, że w tym roku będą mieli kilka białych nocy. Choć do tej chwili, oczywiście, wiele mogło się zmienić.

Uznał, że jest zdecydowanie za zimno, żeby iść dalej.

Wyszedł z plaży i zatrzymał się koło kiosku na promenadzie. Niestety oddał niemal wszystkie pieniądze chciwej Millie, ale po dłuższym grzebaniu w kieszeniach znalazł dwa funty. Wystarczyło na gorącą kawę.

Pił, stojąc za drewnianą budą, która choć trochę chroniła przed lodowatym wiatrem, i rozkoszował się ciepłem trzymanego w rękach kubka. Niemal przed samym nosem miał stojak z codzienną prasą. Czytał machinalnie nagłówki, aż jego uwagę zwrócił tytuł w „Daily Mail”: *Okrutne morderstwo w Londynie!*

Przechylił się, chcąc przeczytać chociaż kawałek tekstu pod tytułem. Starsza kobieta mieszkająca w bloku w dzielnicy Hackney została zamordowana w wyjątkowo brutalny sposób. Oceniano, że leżała dziesięć dni w swoim mieszkaniu, zanim została znaleziona przez córkę. Nie natrafiono na nic, co wskazywałoby na motyw zbrodni.

- Okropna sprawa stwierdził właściciel kiosku, który zauważył, na czym zatrzymał się wzrok Samsona. To znaczy, przede wszystkim te dziesięć dni. Że ktoś tak długo jest martwy i nikt nic nie zauważa. Co się stało z naszym społeczeństwem?

Samson wymruczał coś w rodzaju potwierdzenia.

- Świat z każdym dniem robi się coraz gorszy dodał kioskarz.

- Tak, to prawda odparł Samson. Wypił swoją kawę. Reszta pieniędzy wystarczyła akurat na „Daily Mail”.

Kupił gazetę i w zamyśleniu poszedł dalej.

Przynajmniej wreszcie przestała się trząść i dygotać.

Detektyw inspektor Peter Fielder z Metropolitan Police London, bardziej znanej jako Scotland Yard, nie był pewien, czy ta kobieta w ogóle była dziś zdolna do składania zeznań. Ale wiedział, że czas nagli. Carla Roberts przypuszczalnie ponad tydzień leżała martwa w swoim mieszkaniu, zanim wczoraj znalazła ją córka, a ta okoliczność dawała mordercy ogromną przewagę. Należało działać szybko, ale na razie nic nie dało się wydobyć z młodej kobiety, która dygotała jak liść osiki, tuliła do siebie niemowlę i płakała natychmiast po usłyszeniu kilku słów od usiłującej ją przesłuchać policjantki. Jeszcze wczoraj samochód patrolowy odwiózł ją do szpitala, gdzie zatrzymano ją na noc i podano środki uspokajające. Dziś rano przywieziono ją do domu w Bracknell.

Policjanci, którzy jej towarzyszyli, dali znać przez telefon Fielderowi, że Keira Jones czuje się już nieco lepiej. Wkrótce potem inspektor siedział w jej ciepłym, pięknie urządzonej salonie i pił wodę mineralną, naprzeciw niego zaś siedziała Keira z kredowobiałą twarzą, ale wyraźnie bardziej opanowana niż poprzedniego dnia. Jej mąż, Greg Jones, także był w domu. Nakarmił i przewinął dziecko, położył je znów do łóżeczka, akurat kiedy przyszedł Fielder, po czym stanął przy oknie z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Był wyraźnie wstrząśnięty, ale starał się zachować opanowanie i spokój.

- Mrs Jones zaczął ostrożnie Fielder wiem, że rozmowa ze mną nie przychodzi pani teraz łatwo i jest mi naprawdę przykro, że muszę nalegać, ale niestety nie mamy czasu do stracenia. Zgodnie ze wstępną oceną lekarza sądowego pani matka mogła być martwa już od dziesięciu dni, to znaczy, na nieszczęście została tak późno znaleziona...

Keira zamknęła oczy i skinęła głową.

- Mamy małego synka, który właśnie przechodzi trudny okres, inspektorze wtrącił jej mąż. A moja żona jest od miesięcy u kresu sił. Ja pracuję cały dzień i niewiele mogę jej pomóc. Moja teściowa czuła się trochę zaniedbywana, ale...

- Greg! powiedziała Keira z wyraźną udręką. To nie tak, że ona tylko *czuła się* zaniedbywana. Ona *była* przeze mnie zaniedbywana.

- Dobry Boże, Keira, ja naprawdę ciężko pracuję. Mamy małe dziecko. Nie mogłaś przecież ciągle jeździć do Hackney i trzymać twojej matki za rękę!

- Powinnaś być przynajmniej częściej do niej dzwonić.

- Kiedy zadzwoniła pani do niej po raz ostatni? spytał Fielder. Albo, mówiąc dokładniej: kiedy w ogóle kontaktowała się pani w jakiegokolwiek formie ze swoją matką?

Keira zastanawiała się przez chwilę.

- To było... Tak, to było w przedostatnią niedzielę. Czyli ponad tydzień temu. Zadzwoiła dość późno wieczorem, gdzieś około dziesiątej.

- A potem już pani z nią nie rozmawiała?

- Nie.

Fielder policzył szybko.

- A więc musiało to być w niedzielę 22 listopada. Dziś mamy drugiego grudnia. Wiele przemawia za tym, że wkrótce po rozmowie z panią została... napadnięta.

- Została zamordowana wyszeptą Keira. Skinął głową.

- Tak. Została zamordowana.

- To potworne powiedział Greg Jones. Po prostu potworne. Ale kto mógł coś takiego przypuścić?

Fielder spojrział przez okno. W zadbanym ogródku zobaczył huśtawkę, piaskownicę i małą zjeżdżalnię. Wszystko kolorowe i wesołe, zbudowane zapewne nieco przedwcześnie przez dumnego ojca dla małego synka. Jonesowie wydawali się szczęśliwą rodziną. Ani Keira, ani Greg nie sprawiali wrażenia osób egocentrycznych czy pozbawionych serca. To zbieg okoliczności, że Greg był zestresowany z powodu nawału pracy, a Keira z powodu trudnej fazy w rozwoju dziecka. Hackney leżało daleko i niełatwo było tam dojechać, a już zwłaszcza z dzieckiem w nosidełku. Przy tym wszystkim nieco osamotniona babcia nie mieściła się po prostu w obrazie młodej rodziny. Carla była zapewne stałą przyczyną wyrzutów sumienia jej córki, ale Keira nie bardzo wiedziała, jak zintegrować matkę ze swoim życiem.

I tak działo się w wielu rodzinach.

- Pani matka była rozwiedziona? spytał Fielder. Keira mówiła o tym już w czasie krótkiego przesłuchania na miejscu zbrodni, ale inspektor chciał wiedzieć coś więcej.

- Tak odpowiedziała. Od dziesięciu lat.

- Czy utrzymuje pani kontakt ze swoim ojcem? I czy pani matka miała z nim jakiś kontakt?

Keira potrząsnęła głową i powiedziała:

- Nie. Nawet nie wiemy, gdzie on teraz przebywa. Miał firmę handlującą materiałami budowlanymi, więc żyliśmy zawsze dostatnio i myślałam, że wszystko jest w porządku. Ale potem okazało się, że jest zadłużony po uszy. Wszystko runęło i ojciec się wyprowadził, chyba za granicę pewnie uciekając przed swoimi wierzycielami.

- Ale jeszcze przedtem rodzice się rozwiedli?

- Tak. Kiedy bankructwo wyszło na jaw, wydało się także, że ojciec miał jakiś romans z jedną z młodszych pracownic. Matka natychmiast wniosła o rozwód.

- Ale nie jest pani pewna, że ojciec przebywa za granicą?

- Nie. Zawsze tylko przypuszczaliśmy, że tak jest.

- I wie pani, że on od lat nie utrzymywał kontaktów z pani matką?

- Tak. Gdyby było inaczej, powiedziałyby mi o tym. Fielder zapisał coś w notatniku.

- Spróbujemy odnaleźć pani ojca. Czy zna pani nazwisko i adres jego ówczesnej kochanki?

Keira potrząsnęła głową.

- Zdaje mi się, że ma na imię Clarissa, ale nazwiska nie pamiętam. Nie mieszkałam już wtedy z rodzicami, bo studiowałam w Swansea. Niewiele szczegółów do mnie dotarło. Myślę, że... nagle zaczęła płakać.

- Moja matka zadzwoniła wtedy do mnie szlochając. Była zrozpaczona, bo zawaliło się całe jej życie. Ojciec oszukiwał ją od lat, miał romans z inną kobietą, w dodatku wtedy właśnie znikły wszystkie pieniądze i dom został zlicytowany na poczet długów.. Matce było wtedy bardzo ciężko, ale ja ją ciągle spławiałam. Nie chciałam... nie chciałam mieć z tym wszystkim nic wspólnego... Keira płakała coraz bardziej rozpaczliwie.

Greg podszedł do niej i nieporadnie pogłaskał ją po włosach, mówiąc:

- Nie rób sobie tylu wyrzutów. Studiowałaś wtedy i miałaś własne życie. Nie mogłaś zajmować się jeszcze problemami twoich rodziców.

- Powinnam była być dla niej pomocą, wtedy i teraz. A ona leżała tyle dni zamordowana w swoim mieszkaniu i nikt nawet nic nie zauważył! Coś takiego w ogóle nie powinno było się stać!

W pokoju obok zaczęło płakać dziecko i Greg wyszedł z pewną ulgą. Sytuacja po prostu go przerastała, ale w końcu, pomyślał Fielder, nie było w tym nic dziwnego. W ich życiu zaszło coś niesłychanego, niepojętego i zapewne nigdy nie będą się w stanie po tym pozbierać.

Keira wyjęła z leżącej obok torebki chusteczkę i wytarła sobie nos.

- On też nie palił się za bardzo, żeby odwiedzić moją matkę albo zaprosić ją tutaj rzekła, wskazując ruchem głowy drzwi, za którymi zniknął jej mąż. Ciężko pracuje, więc w weekendy myśli tylko o tym, żeby odpocząć... Widzi pan, moja matka nie była osobą, która potrafi stwarzać wokół siebie miłą atmosferę. Stale narzekała i lamentowała. Z powodu tego rozwodu, bankructwa i w ogóle wszystkiego. Potrafiła być bardzo... męcząca. Moim zdaniem z tego powodu miała także trudności ze znalezieniem przyjaciół. Większość ludzi... po prostu zaczynała jej po pewnym czasie nie znosić. To, co mówię, brzmi potwornie, prawda? A przecież nie chcę mówić o niej źle. A poza tym... niezależnie od tego, jak bardzo potrafiła innych wkurzać... to niczym nie zasłużyła na taką śmierć, niczym!

Fielder obserwował ją ze współczuciem. Widział martwą Carlę Roberts. Leżała w swoim salonie, z rękami i kostkami u nóg oklejonymi plastrem. Sprawca wepchnął jej do gardła zwinięty kawałek materiału, jak się okazało, kuchenną ścierekę. Pierwsze badanie wykazało, że Carla Roberts kilkakrotnie zwymiotowała w tę ścierekę, usiłując za wszelką cenę wypchnąć ją z gardła.

Co właściwie powinno było jej się udać, jak stwierdził na miejscu lekarz sądowy. „Według mnie wygląda to tak, że sprawca tak długo wpychał jej pięścią do gardła tę ścierkę, aż się udusiła własnymi wymiocinami. To musiała być okrutna walka o życie”.

Fielder miał nadzieję, że Keira nigdy nie będzie go pytać o takie szczegóły.

- Mrs Jones zaczęła powiedziała pani wczoraj, że kiedy po kilkakrotnym dzwonku do drzwi mieszkania pani matki nikt nie otworzył, zrobiła to pani sama, posługując się drugim kluczem. A jak poprzednio wchodziła pani do jej mieszkania? Czy miała pani klucz także do drzwi wejściowych do bloku?

- Tak, ale na dole i tak zawsze było otwarte. Zadzwoiłam, ale nie czekałam, tylko od razu pojechałam windą do góry. Na górze zadzwoniłam znowu, raz, drugi. W końcu otworzyłam swoim kluczem.

- Czy myślała pani wtedy, że coś mogło się stać? Keira potrząsnęła głową.

- Nie. Nie zapowiedziałam się przecież i pomyślałam, że mojej matki po prostu nie ma w domu. Że poszła na zakupy albo na spacer czy coś takiego. Chciałam poczekać na nią w mieszkaniu.

- Czy ktoś oprócz pani ma jeszcze klucz do jej mieszkania?

- Ja nic o tym nie wiem.

- Wygląda na to powiedział Fielder że pani matka sama wpuściła sprawcę do domu. W każdym razie nie ma żadnych śladów włamania. Oczywiście jest za wcześnie, żeby wyciągać ostateczne wnioski, ale może być tak, że pani matka знаła sprawcę.

Keira spojrzała na niego z przerażeniem i spytała:

- Że go znała?

- Czy wie pani coś o kręgu znajomych pani matki?

Zauważył, że Keira znowu miała łzy w oczach, ale jakoś udało jej się w tej chwili je powstrzymać.

- Ona właściwie nie miała znajomych, i to właśnie był jej problem. Żyła w całkowitej izolacji. Tego wieczoru, kiedy.. kiedy z nią rozmawiałam, robiłam jej nawet wyrzuty z tego powodu. Że wiecznie siedzi w domu, nie próbuje nawiązać przyjaźni, że niczego nie próbuje robić... Słuchała cierpliwie, ale nie miałam wrażenia, że to cokolwiek zmieni.

Fielder skinął głową. To wszystko pasowało do całości obrazu. Nie zdarza się, żeby człowiek, który żyje w normalnym środowisku społecznym, leżał dziesięć dni martwy w mieszkaniu i nikt nie zauważył jego zniknięcia.

- Od kiedy pani matka nie pracowała?

- Od prawie pięciu lat. Po rozwodzie znalazła pracę w drogerii, ale to zajęcie nie sprawiało jej przyjemności. I w końcu, mając sześćdziesiąt lat, przeszła na emeryturę. Na szczęście miała do tego prawo dzięki pracy w pierwszych latach

swego małżeństwa, bo inaczej finansowo byłoby całkiem źle. A tak mogła jakoś związać koniec z końcem.

- Czy w tej drogerii miała jakieś nieprzyjemności z powodu innych pracowników? Jakies kłótnie, konflikty?

- Nie. Z wszystkimi żyła dobrze i oni z nią też. Ale wszystko się urwało po przejściu na emeryturę. Nie sądzę, żeby utrzymywała kontakt z kimś, kogo знаła z tamtych czasów.

- A oprócz tego? Czy może miała jakieś hobby, którym zajmowała się razem z innymi ludźmi?

- Nie, nie było nic takiego.

- A w bloku? Miała kogoś, kto byłby jej bliższy?

- Też nie. Tam, w tym bloku każdy wydaje się żyć zupełnie anonimowo i samotnie. A moja matka nie była człowiekiem, który potrafiłby do kogoś tak po prostu pójść. Była na to zbyt nieśmiała i miała zbyt mało pewności siebie. Z drugiej strony nikomu też nie zrobiła nic złego. Była dobrym człowiekiem. Przyjaźnie nastawionym do świata. Nie rozumiem po prostu, jak *ktoś* mógł znaleźć w sobie tyle nienawiści w stosunku do niej. Nie pojmuję tego.

Fielder pomyślał o brutalności, z jaką Carla została zamordowana. Wszystko wskazywało na to, że sprawca nie miał żadnego konfliktu właśnie z Carłą, sympatyczną, choć nieco skłoną do biadolenia emerytką. Nie miał nic akurat przeciwko niej. Ale może miał jakiś problem z kobietami. Może to był sadysta. Psychopata. Typ człowieka z głębokimi zaburzeniami. To, co zrobił, na coś takiego wskazywało.

- Czy jest jeszcze coś, o czym powinienem wiedzieć? spytał. Keira zastanawiała się przez chwilę.

- Nie sądzę rzekła i nagle dodała nieoczekiwanie: A może tak. Nie wiem, czy to jest ważne, ale tego wieczoru, kiedy moja matka po raz ostatni do mnie telefonowała, powiedziała coś osobliwego... A przynajmniej jej samej wydawało się to osobliwe. Powiedziała, że winda bardzo często jeździ na jej piętro, ale nikt z niej nie wysiada.

- Była tego pewna? To znaczy tego, że nikt nie wysiada?

- Tak, najwyraźniej tak. Inaczej coś by usłyszała. A że oprócz niej nikt na tym piętrze nie mieszkał, to w końcu wydało jej się to dziwne.

- A kiedy zauważyła tę osobliwość? Czy coś o tym wspomniała?

- Mówiła coś o jednym albo dwóch tygodniach. I że przedtem tak nie było. Bo ja powiedziałam, że może system jest tak ustawiony, żeby winda w określonych odstępach czasu jechała sama na każde piętro... Ale matka szybko dała spokój temu tematowi. Widać zauważyła, że chciałam wtedy zakończyć tę rozmowę.

Keira zagryzła wargi.

Fielder pochylił się do przodu. Czuł głębokie współczucie dla tej młodej kobiety. Ciężko jest stracić matkę, a cóż dopiero w tak drastyczny sposób, wskutek tak brutalnej zbrodni. Keira będzie musiała żyć dalej z myślą, że zaniedbywała matkę to mogło być trudne do zniesienia.

- Mrs Jones spytał ponownie. Czy ma pani wrażenie, że pani matka czuła się zagrożona?

Oczy Keiry znów wypełniły się łzami.

- Tak wyrzuciła z siebie gwałtownie i zabrzmiało to jak szloch. Tak. Sądzę, że się bała. Nie potrafiła tylko powiedzieć czego. Ona czuła się zagrożona. A ja się tym w ogóle nie przejmowałam. Ani przez sekundę.

Opuściła głowę na kolana i zaczęła krzyczeć.

Matka Darcy piekła muffinki.

Dlaczego właściwie wszystkie matki piekły dziś muffinki? pytała samą siebie Gillian i czuła przy tej myśli lekki, lecz narastający ból głowy. Kto miał zjeść wszystkie te muffinki, które codziennie piekły miliony matek?

Diana, matka Darcy, wybierała łyżką ciasto z wielkiej ceramicznej miski i wlewała je do foremek. Kuchnia pachniała czekoladą, masłem i migdałami. Na stole stały grube czerwone świece i dzbanek z herbatą waniliową. Obok miseczka z kandyzowanym cukrem.

- Napij się jeszcze herbaty powiedziała Diana.

Była atrakcyjną kobietą. Szczupła, wysoka blondynka. Znakomicie grała w tenisa i golfa. Umiała fantastycznie gotować. Potrafiła też przytulnie i ze smakiem urządzić dom. Córki ją kochały. Podczas szkolnych uroczystości zawsze zgłaszała się do dekoracji sali, jeździła też na szkolne wycieczki jako osoba towarzysząca. Dlatego kochali ją także nauczyciele.

I piekła muffinki.

Ale w tej chwili Diana zawzięcie wałkowała temat, który miał mało wspólnego z przytulną przedświąteczną atmosferą jej kuchni: sprawę morderstwa popełnionego na samotnej starszej kobiecie mieszkającej w Londynie. Ponoć wszędzie o tym mówiono i tylko do Gillian jakoś nic nie dotarło. Becky chciała przynieść zadania domowe chorej Darcy i dlatego przyszły tutaj obie z matką. Dziewczynki poszły do pokoju Darcy, a Diana zaprosiła Gillian na herbatę. Gillian początkowo chciała odmówić. Mimo że była śmiertelnie zmęczona po powrocie z Londynu, postanowiła towarzyszyć Becky do przyjaciółki, bo nie chciała, żeby córka szła sama po ciemku. Nie miała jednak najmniejszej ochoty na rozmowę. Ale pierwsze pytanie, które Diana zadała jej jeszcze w drzwiach, brzmiało:

- I co myślisz o tym *ohydnym* morderstwie?

Gillian spytała oczywiście, o co chodzi, i tym samym jej los został przypieczętowany. Przynajmniej jeśli chodzi o ten wieczór. Diana, znalazłszy kogoś, z kim mogła poplotkować, zaciągnęła ją do kuchni i opowiedziała szczegółowo o wszystkim, czego zdołała się dowiedzieć.

- Ona leżała ponad tydzień w swoim mieszkaniu i nikt niczego nie zauważył! Czy to nie potworne? To znaczy, być tak samotnym, że trwa to całą wieczność, zanim ktoś zauważy, że człowiek już nie żyje!

- Jeszcze bardziej potworny wydaje mi się fakt, że została zamordowana we własnym mieszkaniu powiedziała Gillian. Jak sprawca w ogóle się tam dostał? Czy już coś o tym wiadomo?

- Ponoć nie ma najmniejszych śladów włamania. To znaczy, że ona sama wpuściła go do domu. Czyli to mógł być jakiś jej znajomy. Bo chyba nikt nie jest tak

nieostrożny, żeby otwierać drzwi na oścież, kiedy tylko ktoś zadzwoni, w dodatku jak się mieszka samemu.

Diana poświęciła dłuższą chwilę wyrabianemu przez siebie ciastu na muffinki, a Gillian piła herbatę i rozmyślała o wszystkim, co możliwe, a zwłaszcza o morderstwie w Londynie i o perfekcyjnych matkach. Przez cały czas próbowała odetchnąć i rozluźnić się, bo to czasem pomagało, kiedy czuła zbliżający się ból głowy.

Diana napełniła już wszystkie foremki ciastem, wsunęła je do piekarnika, nastawiła odpowiednią temperaturę, po czym usiadła przy stole i naląła sobie herbaty.

- Ponoć ta kobieta miała dorosłą córkę. I to właśnie córka ją znalazła.

- Okropne! skomentowała Gillian.

- No tak, ale ta córka przedtem w ogóle nic nie zauważyła, mimo że matka od dziesięciu dni nie dawała znaku życia. I samo to jest dziwne. Coś takiego nie mogłoby się zdarzyć mnie i moim córkom.

Gillian pomyślała o prowokacyjnym zachowaniu własnej córki w stosunku do niej. Czy ona powiedziała by tak o swojej córce z równie głębokim przekonaniem? *Mnie coś takiego nie mogłoby się przydarzyć.*

- A jak...jak ona została zamordowana? spytała z niepokojem.

- Na ten temat policja milczy odpowiedziała z żalem Diana. Chcą wykluczyć ewentualność naśladowania i fałszywych zeznań. Tak piszą w gazecie. Ale podobno została zamordowana w wyjątkowo brutalny sposób.

- To musiał być jakiś perwersyjny morderca powiedziała Gillian zdegustowana.

Diana wzruszyła ramionami.

- Albo ktoś, kto z jakichś powodów nienawidził tej kobiety.

- Ale tak bardzo chyba nie można nienawidzić. W każdym razie to nie jest normalne. Mam nadzieję, że szybko złapią sprawcę.

- Też mam taką nadzieję stwierdziła z przekonaniem Diana. Obie kobiety milczały przez chwilę, wyraźnie przybite.

A potem Diana nieoczekiwanie zmieniła temat.

- Przyjdiesz na imprezę bożonarodzeniową do klubu piłki ręcznej? W piątek? spytała.

- Nic o tym nie wiem. Impreza?

- Becky ci chyba nic nie opowiada! zauważyła Diana z bezwiednym okrucieństwem.

- Może coś mówiła, a ja nie słuchałam odparła Gillian, choć wiedziała, że to nieprawda. Bo słuchała bardzo uważnie, kiedy Becky coś opowiadała. Ale Becky prawie nic nie mówiła. I tu właśnie tkwił problem.

- Ale przyjdiesz, prawda? dopytywała się Diana. Każdy ma przynieść jakieś ciasto albo coś podobnego. Z pewnością będzie fajnie. Tak, z pewnością!

A ty z pewnością przyniesiesz te swoje głupie muffinki!

Kwadrans później Gillian udało się wymknąć pod pretekstem, że Tom wraca do domu i musi przygotować kolację. Poczła się o wiele lepiej, kiedy znalazła się z Becky na pustej ulicy i odetchnęła świeżym powietrzem. Zimny wiatr dobrze jej robił. Jeszcze chwilę temu myślała o świątecznie przystrojonej kuchni i zapachu wypieków, którego perfekcjonistka Diana tak bardzo nie znosiła.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że macie pojutrze imprezę bożonarodzeniową w klubie piłki ręcznej? spytała Becky, kiedy tylko dotarły do domu. Córka przez całą drogę jak zwykle milczała.

- Nie miałam ochoty wymamrotała Becky.

- Na co nie miałaś ochoty? Powiedzieć mi o tym? Czy tam iść?

- Powiedzieć ci o tym.

- Dlaczego?

Becky nie odpowiedziała i bez słowa weszła przez otwarty wjazd na podwórze. Samochód Toma stał przed garażem. Tom jeździł przeważnie do Londynu znacznie wcześniej od Gillian i później wracał. Gillian musiała się zająć domem i Becky, dlatego jeździli osobno.

Gillian chwyciła córkę za ramię.

- Chciałabym usłyszeć odpowiedź! rzekła ostro.

- Na co?

- Na moje pytanie! Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

- Chcę mieć wreszcie połączenie z Internetem!

- To nie jest odpowiedź.

- Wszyscy w mojej klasie...

- Bzdura! Nie jest tak, że wszyscy w twojej klasie mają łącze internetowe! Internet...

- ... jest strasznie niebezpieczny, są tam źli mężczyźni, którzy na czacie zwabiają młode dziewczyny i potem... dokończyła ironicznie dziewczynka.

- Niestety tak jest, to prawda odparła Gillian. Ale to nie jedyne niebezpieczeństwo związane z Internetem. Uważam przede wszystkim, że jesteś za młoda na to, żeby całymi dniami bez kontroli siedzieć przed komputerem. To nie jest dobre dla ciebie.

- Dlaczego? spytała Becky.

- Bo ważniejsze jest to, żebyś odrabiała lekcje, spotykała się z przyjaciółmi, uprawiała sporty wyliczała Gillian i jej samej wydało się nagle, że mówi jak guwernantka.

Becky ostentacyjnie przewróciła oczami.

- Mamo, ja mam dwanaście lat. A ty traktujesz mnie tak, jakbym miała pięć.

- To nieprawda.

- Tak, prawda. Nawet jak chcę iść do Darcy, to idziesz ze mną, bo myślisz, że coś może mi się po drodze przydarzyć. A przy tym boisz się jak zarazy rozmowy z jej matką. Dlaczego nie pozwolisz mi iść samej?

- Bo jest ciemno. Bo...

- Dlaczego nie możesz mi po prostu zaufać? spytała Becky. A potem dostrzegła swojego ojca, który właśnie otworzył drzwi i stał w jasno oświetlonym wejściu do domu. Pobiegła wprost do niego i zarzuciła mu ręce na szyję.

Gillian weszła za nią powoli i w zamyśleniu.

Przeraziła się, kiedy na ścianie za telewizorem zobaczyła przesuwający się krążek światła, lecz po chwili zaczęła się zastanawiać, czy aby sobie tego nie wmawia. Albo czy jej się coś nie przyśniło. Bo zasnęła, i to mimo trzymającego w napięciu kryminału, który akurat leciał w telewizji. Ale to zdarzało jej się często. Była typem rannego ptaszka. Już od wpół do szóstej rano leżała w łóżku całkowicie obudzona, pełna zapału i chęci do działania.

Za to wieczorem... Czasami szła do łóżka już wpół do ósmej.

Wyprostowała się w fotelu.

Nasłuchiwała przez chwilę, czy z zewnątrz nie dobiegają jakieś odgłosy. Nic jednak nie słyszała.

W ostatnim czasie zauważyła to trzy albo cztery razy. Że nadjeżdżało auto. Wieczorem, w ciemności. Słyszała włączony silnik, widziała światła reflektorów przesuwające się po ścianie salonu. A potem nie było nic. Żadnego dźwięku, światła, w ogóle nic. Jak gdyby ktoś się zatrzymał, wyłączył silnik i światła.

Żeby stać tam na dworze w ciemności... *i co robić?*

Anne Westley nie była strachliwą kobietą. Za pierwszym razem po prostu wstała i wyszła przed drzwi domu na dwór, poszła nawet po ułożonej z płyt ścieżce przez ogród, aż do bramy. Próbowwała coś rozpoznać, ale tu, na dworze, było to prawie niemożliwe. Las sięgał aż do granic jej działki. Noc właściwie nigdy nie jest całkowicie czarna, Anne wiedziała o tym, ale teraz właśnie taka była. Niemal nieprzenikliwie czarna.

A położenie jej domu także przyczyniało się do tego, że pojawienie się jakiegoś auta wydawało się czymś wręcz osobliwym. W bezpośredniej bliskości nie było nawet żadnej ulicy. Spory kawałek dalej znajdował się parking, z którego prosto w las prowadziły różne szlaki turystyczne. W czasie weekendów, zwłaszcza latem, panował tu spory ruch, ale zimą, kiedy wcześniej zapadała ciemność, prawie nikt się tu nie zapuszczał. Czasami tylko zjawiała się jakaś parka, żeby móc się obściskować bez świadków. Ale nikt nie wjeżdżałby dalej do lasu i nie niszczył auta na wąskiej ścieżce, która kończyła się przed furtką ogrodu Anne.

Wstała, podeszła do okna i spróbowała przez nie wyjrzeć, ale zobaczyła tylko swoją odbitą w szybie twarz. Wyłączyła małą lampkę stojącą w rogu i telewizor pokój natychmiast pograżył się w mroku. Znowu popatrzyła z napięciem w ciemność za oknem. Trudno było tam cokolwiek rozpoznać.

Bardziej domyślała się, niż widziała własny ogród z licznymi, gęstymi krzakami, wysoką trawą i bezlistnymi teraz drzewami owocowymi. Latem z upodobaniem zrywała wiśnie, jabłka i gruszki, a było tego tyle, że owocowe zniwa wydawały się nie mieć końca. Potem całymi godzinami smażyła konfitury, robiła galaretki i dżemy, napełniała słoiki zamykane pokrywkami z uszczelniającą je gumką, wszystko starannie opisywała i naklejała etykiety.

A przy tym rozmyślała ciągle o Seanie. Że on o tym właśnie marzył: o drzewach w ogrodzie i własnej marmoladzie robionej z ich owoców. Anne wiedziała, że tylko z jego powodu zbierała te owoce i robiła przetwory, bo sama wcale nie przepadała za dżemem czy konfiturami. Przez całą resztę swojego życia nie byłaby w stanie zjeść tego wszystkiego, co rok w rok gromadziła w piwnicy. Przecież kiedyś w końcu i ona umrze i wówczas trzeba będzie zutylizować te tony przetworów razem ze słoikami.

Sean i ona znaleźli ten dom osiem lat temu w czasie leśnej wędrówki. Wybrali się wówczas na wycieczkę do Tunbridge Wells uroczego miasteczka położonego najbardziej na zachód wysuniętym krańcu hrabstwa Kent. Miasteczko było ukryte wśród łąk, pól, wzgórz i głębokich lasów. Okolica słynęła z sadów i rozległych plantacji chmielu. Deszcze padały tutaj rzadko, lata były suche i gorące, a późną wiosną można się było rozkoszować ciężkim, słodkim zapachem kwitnących drzew owocowych. Sean i Anne szli powoli przez las, w którym właśnie kwitły konwalie i zawilce, kiedy nagle tuż przed nimi pojawił się dom, zapewne dawna leśniczówka lub domek myśliwski. Budynek był opuszczony, trochę zaniedbany, z całą pewnością niezamieszkały i nie zachęcał do tego, by zajrzeć do środka. Ale Seanowi to zupełnie nie przeszkadzało. Zakochał się z miejsca w otaczającym dom ogrodzie i w ogóle nie był w stanie przestać o tym myśleć i mówić.

- Taka ogromna działka! I tyle drzew owocowych. Bzy! I akacje, jaśminy, co tylko chcesz. I ten las dookoła. To przecież jest coś, czego zawsze szukałem. Zawsze na to właśnie czekałem!

Ona wcale nie musiała tego wszystkiego mieć. Oboje mieli wtedy po sześćdziesiąt lat i Anne uważała, że byłoby rozsądniej nie obciążać się w tym wieku posiadłością wymagającą ciężkiej pracy fizycznej. Ale Sean miał na to tysiąc kontrargumentów.

- Akurat kiedy oboje przejdziemy na emeryturę, będziemy mogli sobie na to pozwolić. Będziemy mieli wówczas dużo czasu i nie musimy podejmować pochopnych decyzji. A co, mamy siedzieć w mieszkaniu i godzinami gapić się tylko przez okno? Znajdźmy w sobie jeszcze trochę odwagi! Pozwól, żebyśmy spróbowali czegoś nowego!

No i rzeczywiście udało mu się nabyć ten domek. Dokładnie rzecz biorąc, nie było to właściwie trudne, bo oprócz nich nie było nikogo, kto chciałby go kupić. Dom należał do gminy Tunbridge Wells i wszyscy w ratuszu się cieszyli, że mogą się go pozbyć.

Od tego czasu spędzali tu każdą wolną chwilę, każdy weekend i urlop, i powoli, dzień za dniem remontowali dom, co kosztowało ich mnóstwo mozolnej pracy, ale jak stwierdziła z zaskoczeniem Anne, sprawiało im także ogromną satysfakcję. Wycykinowali stary parkiet, położyli kafelki w kuchni i łazienkach, pomalowali ściany, wstawili nowe okna, usunęli też niektóre ściany, dzięki czemu tam, gdzie uprzednio znajdowały się liczne ciasne pokoje, powstały przestronne pomieszczenia. Od południowej strony domku zbudowali rozległy, otoczony niską

poręczą taras, z którego schody prowadziły wprost do ogrodu. Kilka drzew musieli wyciąć, żeby do domu i ogrodu docierało więcej słońca, dzięki czemu zrobiło się jaśniej. A na górze, na strychu, Anne urządziła pracownię kilka lat wcześniej odkryła malowanie, które szybko stało się jej wielką namiętnością.

Zastanawiała się teraz, czy powinna wyjść na zewnątrz, żeby jednak zobaczyć, czy rzeczywiście zaparkowało tam auto, musiałaby pójść aż do bramy ogrodu. Przestraszyła ją perspektywa zimna na dworze, a poza tym prawdopodobnie znów niczego by nie zobaczyła. Może naprawdę tylko wmówiła sobie to światło z samochodowych reflektorów. Przecież ucięła sobie drzemkę. I spała całkiem głęboko.

Ale coś ją jednak obudziło.

Próbowała zwalczyć niesamowite, dziwne uczucie, które ją opanowało. Tu, w tym odległym zakątku, była rzeczywiście zupełnie sama. Za dnia bez trudu dawała sobie z tym radę, ale wieczorem musiała czasem mocno wziąć się w garść, żeby nie poddać się niespokojnym myślom.

Włączyła znów światło i poszła do kuchni cudownego pomieszczenia w drewnie, pomalowanego białą bejcą, tylko z wielkim piecem pośrodku i bufetem naprzeciwko drzwi wiodących na taras, gdzie latem można było zjeść śniadanie, poczytać gazetę czy tylko wypić kawę. Anne nalała sobie teraz wódki, wypiała kieliszek jednym haustem, po czym nalała drugi. Zwykle nie usiłowała zwalczać swoich problemów za pomocą alkoholu, ale w tej chwili wódka rzeczywiście wydawała się ją trochę uspokajać.

Nawet nie próbowała się pocieszać alkoholem po śmierci Seana. W ogóle nie brała pod uwagę konieczności jakiejś pomocy. Zgodnie z jej doświadczeniem najlepszą pomocą w psychicznych problemach była praca fizyczna, dlatego rzuciła się wtedy w wir pracy w ogrodzie, dużo malowała i w ten sposób przetrwała najgorszy pierwszy rok. A kiedy upłynęły kolejne dwa lata, miała już wszystko pod kontrolą. Siebie, swój ból i to życie tutaj, w całkowitym odosobnieniu.

Sean zmarł akurat wtedy, kiedy wszystko było już gotowe. Na samym początku lata, kilka tygodni przed swoimi sześćdziesiątymi piątymi urodzinami. W czerwcu wycofał się całkowicie z życia zawodowego, cztery tygodnie po tym, jak Anne zlikwidowała swoją praktykę lekarza pediatry i przeszła na emeryturę. W początku czerwca chcieli zorganizować uroczystą inaugurację nowego domu, w ogrodzie, który wtedy wydawał się wprost tonąć w kwitnących jaśminach. Zaprosili prawie osiemdziesiąt osób i prawie wszyscy potwierdzili przyjazd. W przeddzień uroczystości Sean wspiał się na dach domu, bo wbił sobie do głowy, że musi przymocować wzdłuż rynny dachowej łańcuch kolorowych lampek. Schodząc, nie trafił stopą na górny szczebel drabiny i spadł na dół. Wszystko wyglądało bardzo dramatycznie, ale skończyło się na szczęście tylko złamaniem szyjki kości udowej. Sean był oczywiście wściekły i rozczarowany faktem, że musi leżeć w szpitalu, a tak długo przygotowywaną uroczystość trzeba było odwołać. Ale potem przyplątało się nie wiadomo skąd zapalenie płuc, nie pomagały żadne antybiotyki i w ciągu

czterech tygodni Sean zmarł, Anne zaś nie była nawet w stanie pojąć, co się właściwie stało.

Pochowała męża i kiedyś w listopadzie sama weszła na dach i zdjęła wiszący tam do tej pory sznur lampek. Głupi, kolorowy łańcuch, który, na Boga, doprawdy nie był wart tego, czego stał się przyczyną.

Drugi kieliszek wódki sprawił, że Anne poczuła się wyraźnie rozluźniona. Doszła do wniosku, że naprawdę wmówiła sobie światło samochodowych reflektorów. A zbudziło ją to, co było fragmentem kryminału w telewizji: krzyk i strzał. W końcu coś takiego było częścią każdego kryminału.

Pomimo to postanowiła jednak dobrze zamknąć drzwi wejściowe, także na łańcuch, czego nigdy nie robiła. Zdecydowała też zamknąć okiennice w oknach na parterze.

To z pewnością nie zaszkodzi.

Piątek, 4 grudnia

1.

I jak teraz, co robisz całymi dniami? spytał Bartek.

W pubie było głośno, jak zwykle. Wszystkie stoły były zajęte, wszyscy gadali, pili, śmiali się, wydzielali. Samson niezbyt chętnie tu chodził, ale Bartek nalegał, żeby spotykać się właśnie tutaj, a że Bartek był właściwie jego jedynym przyjacielem, Samson nie chciał go irytować. Spotykali się tu czasem w piątki, kiedy Bartek miał wolne, wcześniej, zwykle koło szóstej albo wpół do siódmej. Dziewczyna Bartka robiła mu wymówki, kiedy spędzał swój wolny wieczór w knajpie, tylko z przyjacielem, dlatego najpóźniej o wpół do dziewiątej szli do domu. Samson przyjechał samochodem, choć to znaczyło, że nie będzie mógł nic wypić. Ale właściwie nigdy nie był wielkim amatorem alkoholu, a przy tym jazda autobusem wydawała mu się zbyt uciążliwa. Nie miał wielkiej ochoty stać w zimnie na przystanku, podobnie jak nie uśmiechał mu się dłuższy spacer wieczorem. Bo cały dzień włóczył się jak zwykle ulicami. Kiedyś w końcu można mieć dość.

Samochód odziedziczył po matce. Wiedział, że także z tego powodu Millie była pełna zawiści. I to ciągle jeszcze, nawet po tylu latach. Nie mogła znieść tego, że ktoś dostawał coś, co ona akurat chciała mieć.

- No, nie siedzę cały czas w domu, jeśli to masz na myśli odpowiedział na pytanie Bartka. To byłoby po prostu zbyt nudne. A poza tym w tym tygodniu Millie pracuje po południu i pół dnia jest w domu, i... no, wiesz. Mogę spokojnie obyc się bez jej towarzystwa.

Millie pracowała w zakładzie opiekuńczym dla starszych osób i Samson wiedział, że nienawidziła swej pracy. Czasami słyszał, co mówiła o swoich podopiecznych, a wtedy przerażała go już sama perspektywa tego, że kiedyś będzie stary i zdany na łaskę i niełaskę osób pokroju Millie.

- Że też nie masz tego dosyć zauważył Bartek. Cały czas mieszkać z bratem i bratową! Jesteś na to po prostu za stary!

- Ale ten dom należy także do mnie!

- No to niech ci płacą czynsz, choćby częściowo, ale poszukaj sobie czegoś własnego. Przecież traktują cię tam paskudnie!

- Boję się samotności, kiedy zamieszkał sam odparł cicho Samson. Bartek uniósł brwi.

- Ile ty masz teraz lat? Trzydzieści cztery! Byłby już czas, żebyś poszukał sobie kobiety, z którą mógłbyś zamieszkać. Nie masz zamiaru ożenić się kiedyś i założyć

rodziny?

Samson upił łyk swojego bezalkoholowego piwa.

Bartek dotknął bolesnego punktu. Już dawniej czasami o tym rozmawiali: ożenić się, mieć dzieci, wieść normalne życie po prostu. Bartek, który od roku miał dziewczynę, nie za bardzo umiał się uporać z tym tematem. Jego dziewczyna już od dawna chciała za niego wyjść, ale on, choć miał prawie czterdzieści lat, trochę się obawiał stałego związku. Samson, który nigdy nie chciał się przyznać, że miał dokładnie odwrotny problem, także schronił się w domniemanym lęku przed czymś, choć tak naprawdę wcale go nie odczuwał. Wręcz przeciwnie, za niczym i nikim nie tęsknił tak, jak za kobietą, która zgodziłaby się go poślubić. Dom, ogród, dzieci, pies... Właśnie taki obraz miał stale przed oczami i często myślał, że dałby wszystko za to, żeby to stało się rzeczywistością. Ale nieprzyjemnym jego zdaniem perwersyjnym faktem było to, że właściwie jeszcze nigdy nie miał dziewczyny.

Ani w czasach szkolnych, ani potem. W ogóle nigdy. I jak dotychczas nawet nie dotarł w pobliże tematu *ożenić się*.

- No tak powiedział wymijająco. To nie jest tak, że każdego dnia można spotkać kobietę, z którą człowiek chciałby się ożenić!

- No, moja dziewczyna w końcu dopięła swego oświadczył Bartek i wcale nie wyglądał przy tym na nieszczęśliwego. Postawiła sprawę na ostrzu noża i może tak jest lepiej. W przyszłe lato się pobieramy. Będzie wielkie wesele. Oczywiście jesteś zaproszony.

- Ale fajnie powiedział Samson, próbując wszystkiego, żeby tylko w jego głosie nie było słyhać zazdrości. Bartek był po prostu szczęściarzem. I to zawsze, i pod każdym względem. Poznali się w czasie, kiedy Samson jeszcze nie pracował w firmie zajmującej się mrożonkami, lecz w serwisie limuzyn. Bartek też tam wtedy pracował i w przeciwieństwie do Samsona nie dostał wypowiedzenia. Kogoś takiego jak Bartek się nie zwalniało. Był po prostu za bardzo lubiany przez ludzi, poczynając od szefa, poprzez pracowników, a skończywszy na klientach. Bartek otrzymywał wiele konkretnych ofert, kiedy wynajmowano samochód. *Czy możemy prosić o Bartka jako kierowcę? Możemy prosić o tego sympatycznego Polaka?*

Bartek mówił perfekcyjnie po angielsku, miał jednak szarmancki wschodnioeuropejski akcent, który podobał się szczególnie kobietom. Potrafił rozbawić ludzi, opowiadając kilka przeważnie wymyślonych na poczekaniu historii ze swojego życia, dzięki czemu skupiał na sobie zainteresowanie całego towarzystwa i stwarzał znakomitą atmosferę.

Samson, który nieraz leżał nocami, nie śpiąc i rozmyślając, dlaczego kobiety w ogóle go nie dostrzegają, a przy każdej fali wypowiedzeń on dostaje je pierwszy, często sądził, że może przyczyną jest jego niemal groteskowo nudna biografia. Bo cóż interesującego miał do opowiadania? A może powodem było jego imię kto dziś nazywa się Samson? Jeżeli czegoś nie mógł wybaczyć swoim zmarłym rodzicom, to właśnie tego, że dali mu takie imię. Jego matka, będąc w ciąży, czytała książkę, w której pojawiła się jakaś postać o imieniu *Samson* i to imię bardzo jej się spodobało.

Starszy o dwa lata brat Samsona miał więcej szczęścia. Można się nazywać Gavin i nie być z tego powodu wykpiwanym przez cały okres nauki w szkole.

- Musisz więcej przebywać wśród ludzi rzekł Bartek. Inaczej nigdy nie znajdziesz kobiety swojego życia. Co ty właściwie robisz przez cały dzień, kiedy nie siedzisz w domu?

W ogóle nie wspominałem o tym, co robię całymi dniami pomyślał Samson urażony. Bartek czasami nie słuchał go uważnie. No tak, ale to, co on mówił, nigdy nie robiło zbyt dużego wrażenia.

Zastanowił się szybko, czy byłoby sensowne zwierzyć się Bartkowi, bo przecież tak chętnie by z kimś porozmawiał, a oprócz Bartka nie miał nikogo.

- W pewnym sensie zaczął tajemniczo jestem cały dzień między ludźmi.

- Tak? A co robisz?

- Przyglądam się życiu innych.

- He? zdumiał się Bartek.

- Chodzę ulicami. Zawsze w tym samym, określonym czasie. I to jest bardzo interesujące... To znaczy, można się dowiedzieć mnóstwa rzeczy o ludziach z najbliższej okolicy. Jak oni żyją. Czy są samotni, czy mają rodziny. Czy są szczęśliwi, czy nieszczęśliwi. Coś takiego właśnie.

Samson pomyślał nagle, że popełnił błąd. To był idiotyczny pomysł, tak się otwierać przed Bartkiem. Widział to po wyrazie twarzy przyjaciela.

- Czy to znaczy, że ty regularnie śledzisz ludzi? spytał Bartek po chwili, w czasie której wyraźnie starał się jakoś uporządkować to, co usłyszał.

- Ja ich analizuję wyjaśnił Samson.

- Jak to analizujesz? Jak to rozumiesz?

- Próbuję ustalić różne okoliczności ich życia. Na przykład dlaczego ktoś jest sam. I jak sobie z tym radzi.

- I co ci to daje?

- Poznanie.

- Dobrze, ale po co? To znaczy, co chcesz właściwie przez to osiągnąć?

Samson pojął, że to było bez sensu. Bartek go nie zrozumie. A może tego wszystkiego rzeczywiście nie dało się w ogóle zrozumieć.

- No więc, ja na przykład też jestem sam próbowałem mimo wszystko wyjaśnić. I cały czas borykam się z pytaniem, dlaczego tak jest. I próbuję ustalić, dlaczego inni są w takiej samej sytuacji jak ja.

- Tak, ale nie bierz mi tego za złe, lecz to jest... no tak, jakaś nienormalna metoda! Dlaczego po prostu nie siądziesz przy komputerze i nie pogrzebiesz w Internecie? Tam jest mnóstwo ludzi, którzy mają podobne problemy. Są też niezliczone fora, na których możesz wymienić swoje spostrzeżenia i uwagi.

- To też robię przyznał Samson. Ale tam każdy jest taki anonimowy. Czasami czuję się podwójnie samotny, kiedy przez całe popołudnie siedzę na czacie z kimś,

kto mieszka pięćset mil ode mnie i kogo zupełnie nie znam, a kto przypadkowo podobnie jak ja nie może znaleźć kobiety.

- Czyli głównie chodzi jednak o to, że nie możesz znaleźć kobiety?

- Tak. Także o to.

- No ale czy myślisz, że znajdziesz młodą samotną kobietę, włócząc się po ulicach i zaglądając do cudzych domów? spytał Bartek, który wyraźnie starał się znaleźć jakąś logikę i pewną strukturę w tym, co usłyszał.

- Nie bezpośrednio.

- No to, do diabła, co ci to daje? Samson wzruszył ramionami.

- Ach, wszystko jedno.

- Nie, nie wszystko jedno. Nie bierz mi tego za złe, Samson, ale dla mnie brzmi to dość dziwacznie. Jeśli więc mnie pytasz... Bezrobocie wyraźnie ci nie służy. Zaczynasz z tym wszystkim cudować i robisz się dziwny.

- Nie pchałem się do tego, żeby być bezrobotnym.

- Nie, oczywiście, że nie. Ale czy starasz się znaleźć sobie coś nowego, jakieś zajęcie? Przecież jesteś jeszcze młody! W razie konieczności możesz zostać taksówkarzem... czy coś takiego. Ale skradać się przez cały dzień za innymi ludźmi, to przecież do niczego nie doprowadzi!

- To jest interesujące. Bartek potrząsnął głową.

- Boże, Samson, naprawdę... Znalazłeś przy tym choć jakąś kobietę, która by ci pasowała? Żeby to wszystko do czegoś prowadziło i miało jakiś sens.

Samson musiał przyznać, że jego „zysk” w postaci młodych samotnych kobiet był dość ograniczony.

- Większość z nich to oczywiście kobiety starsze. Znacznie starsze niż ja. Ale jedna należy do... Do mojego programu. Jest mniej więcej w moim wieku i mieszka sama. Pracuje w domu w jakimś wolnym zawodzie i ma wielkiego psa.

- No i co? Próbowalesz z nią porozmawiać?

Samson zauważył, że Bartek rzeczywiście niczego nie rozumiał. Nie odważyłby się zagadnąć kobiet, które śledził.

- Nie.

- To zaprosz ją po prostu na kawę.

- Mogę tak zrobić powiedział Samson, chcąc już tylko, żeby Bartek dał temu spokój.

- Przez Internet też przecież można znaleźć kobietę dodał Bartek.

- Wiem, ale...

- Nie ma żadnego ale. Nie możesz tylko o tym mówić. I marzyć. Musisz zacząć działać!

- Jest pewna rodzina zaczął Samson z wahaniem. Właściwie nie chciał jeszcze bardziej odsłonić się przed Bartkiem, ale miał uczucie, że musi coś zrobić, żeby

tamten nie uważał, że chodzi tu tylko o kobiety. Bartek wydawał się dość zszokowany i Samson nie chciał, żeby tak pozostało. Nie chciał, żeby przyjaciel widział w nim tylko kogoś w rodzaju przestępcy seksualnego.

- Oni mieszkają na drugim końcu naszej ulicy... Zaraz przy tym pasie zieleni, naprzeciw klubu golfowego.

- Aha. I co z nimi?

- On jest doradcą gospodarczym. Nawet pomógł kiedyś Gavinowi. Ona jest bardzo atrakcyjna. I mają uroczą córeczkę. Tak mniej więcej około dwunastu lat.

Bartek wyglądał na nie mniej osłupiałego niż przedtem.

- No dobrze, i co z nimi? Chcesz poderwać tę atrakcyjną mamę?

- Nie, oczywiście, że nie. Oni tylko... są perfekcyjni, idealni, no wiesz. Wymarzona rodzina. Rodzina, jaką kiedyś chciałbym mieć!

Teraz Bartek wydawał się zaniepokojony.

- Samson, mam wrażenie, że za bardzo oddalasz się od rzeczywistości. Żyjesz marzeniami o świecie innych ludzi, ale przez to nie zmienisz swojego ani odrobinę. Wydaje mi się, że to jest coś w rodzaju ucieczki!

„A jeśli nawet pomyślał Samson czy czasami to też nie jest potrzebne? Po prostu mieć możliwość ucieczki”.

- Poradzę sobie zapewnił. Po co właściwie zaczął w ogóle o tym mówić? Miał uczucie, że Bartek wgryzł się w temat jak terier i zaraz do niego wróci.

- Zobaczę, czy da się coś dla ciebie zaaranżować powiedział Bartek.

Gdzieś w końcu musi być jakaś kobieta właśnie dla ciebie! Nie wyglądasz źle, należy do ciebie dom... No, przynajmniej połowa domu... Nie jesteś głupi i nie masz jakichś odstręczających cech. Byłoby śmieszne, gdyby...

- Jestem bezrobotny.

- Dlatego byłoby też ważne, żebyś się zajął szukaniem pracy.

- Szukam jak szalony.

To nie było prawdą. Samson tym razem nawet nie zgłosił się do urzędu i nie zarejestrował oficjalnie jako bezrobotny. I wiedział, że to był błąd. Przede wszystkim nie mogło to trwać wiecznie, bo nie dostałby zasiłku, a jego oszczędności szybko by się skończyły. Ale gdyby się zarejestrował, musiałby wypełniać całe góry różnych dokumentów aplikacji o pracę, musiałby stale przedkładać dowody, że tej pracy szuka a jak mógłby pogodzić szukanie z tym, co robił? Wiele razy myślał: Od jutra zacznę się troszczyć o moją przyszłość! Jutro zarejestruję się jako bezrobotny i zabiorę się do swojego problemu!

Ale nigdy tego nie zrobił. Jego pragnienie, żeby dalej obserwować ludzi, w których życiu brał o wiele bardziej intensywny udział, niż był w stanie powiedzieć Bartkowi czy komukolwiek innemu, było już zbyt wielkie. A własne życie, które miałby wieść bez swego dotychczasowego zajęcia, wydawało mu się wręcz bezsensowne.

- Jeżeli rzeczywiście zadasz sobie nieco trudu, to z pewnością coś znajdziesz powiedział optymistycznie Bartek i potem, ku ogromnej uldze Samsona, zmienił temat. Zaczął mówić o swojej przyszłości: o planowanym weselu, o projekcie kupienia dla siebie i narzeczonej mieszkania, otrzymaniu kredytu na ten cel i... i... i... Samson puszczał to wszystko mimo uszu. Nic nie jadł od śniadania, a jego sytuacja finansowa nie pozwalała na to, żeby zamówił teraz burgera, najtańsze danie w pubie.

Ale nie przeszkadzało mu to. W jakiś przyjemny sposób kręciło mu się w głowie, a wszystko dookoła wydawało się rozmyte, przytłumione, o rozmazanych konturach: głosy i sylwetki ludzi, ich śmiech i rozmowy, dźwięczenie szklanek, zimne powietrze wpadające tu przez otwarte drzwi, kiedy ktoś wchodził lub wychodził. Gadanina Bartka. Wszystko.

Myślał o Gillian Ward.

„Gdyby tak można było niepostrzeżenie zniknąć” pomyślała Gillian.

Ale to oczywiście nie wchodziło w grę. Nie mogła wyjść stąd bez Becky, więc jakakolwiek możliwość *niepostrzeżonego* zniknięcia odpadała. Dzieci z różnych grup klubu piłki ręcznej szalały na dole na boisku, wśród nich Becky w czarnych legginsach i różowej koszulce jako jedna z najbardziej szalonych dziewcząt. Wyciągnięcie jej stamtąd było niemożliwe. Rodzice, przeważnie matki, siedzieli w należącej do klubu i oddzielonej od hali sportowej wielką szklaną taflą restauracji, w której zwykle odbywały się posiedzenia związku i uroczystości. Pomieszczenie było świątecznie przystrojone, a z odtwarzacza CD dobiegał dźwięk kolęd. Przy barze można było dostać kawę, herbatę lub szampana. Jedzenie rodzice przynieśli z sobą i ustawili wszystko na długim stole, tworząc w ten sposób coś w rodzaju bufetu. Były tam niesłychane ilości pierniczków, puddingu śliwkowego i różnych ciast, ale także sałatki, dwa talerze z serem i liczne miski z ciasteczkami do chrupania. Zjedzenie tego wszystkiego było niemożliwe. Gillian upiekła ciasto czekoladowe i postawiła je koło innych wypieków, ale nikt nie zjadł jeszcze ani jednego kawałka, jak zauważyła kątem oka; ten fakt wpędził ją ku jej własnemu zaskoczeniu w niemal dziecinne strapienie. Jej ciasto wcale nie wyglądało źle. Były tu co prawda jeszcze dwa inne ciasta czekoladowe, niemal identyczne, i może to było powodem, że nikt ich jeszcze nie próbował.

Diana w ostatniej chwili zrezygnowała z przyjscia stan chorej na zapalenie gardła Darcy nieco się pogorszył, więc Gillian przez pierwsze pół godziny siedziała zupełnie sama, bo z żadną z przybyłych tu matek nie nawiązała wcześniej jakiegoś kontaktu. Trzymała w rękach filiżankę z kawą i mimo braku apetytu zjadła kilka ciastek coś w końcu musiała robić, żeby nie patrzeć bezmyślnie w ścianę. Wszystkie pozostałe matki wydawały się z sobą zaprzyjaźnione, bo w sali panował głośny gwar, rozbrzmiewały śmiechy, wołania i rozmowy. Każdy czuł się tu potrzebny i ważny.

Każdy oprócz Gillian. W końcu usiadła koło niej jedna z matek, ale tylko dlatego, że się spóźniła i nigdzie nie było już wolnego miejsca. Postawiła przed sobą na stole tacę z różnymi rodzajami sałatek, serem i wielkim kieliszkiem szampana.

- Boże, ależ jestem głodna powiedziała i spojrzawszy na spodek Gillian z dwoma nadgryzionymi pierniczkami, dodała: A pani nie je?

- Nie jestem specjalnie głodna odparła Gillian. Kobieta spojrzała na nią uważnie.

- Pani ma na imię Gillian, prawda? Matka Becky?

Gillian przytaknęła i spytała samą siebie, skąd inne kobiety to wiedziały. To znaczy, jak się która nazywa i czyją jest matką. Ona nie miała o tym pojęcia.

Siedząca przy jej stole matka zaczęła łąpczywie jeść i opowiadała przy tym rozwlekłe o swoim synu, który od dzieciństwa musiał się borykać z atopowym

zapaleniem skóry, różnego rodzaju alergiami i dlatego miał wiele problemów z odpowiednim jedzeniem. Matka była z nim u wszystkich znanych lekarzy, wypróbowała już wszystko, co tylko możliwe, odradzała kortyzon, bo miała z nim bardzo złe doświadczenia, ale polecała różne maści i tabletki i w ogóle znakomicie orientowała się w temacie.

- Czy Becky też cierpi na jakieś alergie? spytała.

- Nie odparła Gillian i przełknęła słowa, które miała na końcu języka: Mnie się zdaje, że ona ma alergię na mnie. Już od dłuższego czasu nie usłyszałam od niej ani jednego dobrego słowa. Chciałabym, żeby cierpiała na jakiś inny rodzaj alergii, na pyłki traw, na roztocza domowe albo laktozę. Wtedy miałabym jakiś powód, żeby coś robić. A teraz nie mam żadnego.

Oczywiście nic nie powiedziała, ale czuła, jak niewiele brakowało, żeby wyrzuciła z siebie to wszystko, i niemal ją to przeraziło. Przed nią siedziała przecież zupełnie obca kobieta, z którą nie łączyło jej nic poza faktem, że ich dzieci grały w tej samej drużynie piłki ręcznej. A ona o mały włos nie powierzyła jej tak ogromnego zmartwienia, o którym myślała, że po prostu złamie jej serce.

„Weź się w garść” przykazała sobie. Postanowiła zadzwonić jeszcze tego wieczoru do swojej przyjaciółki Tary Caine. Tara był wierna i niezawodna i Gillian wiedziała, że nie wygada niczego, z czego ona jej się zwierzy.

Druga matka której imienia Gillian ciągle nie znała wypita duży łyk szampana i zmieniła temat.

- Czy Burton nie wygląda znów fantastycznie? spytała nieoczekiwanie przytłumionym głosem.

Gillian rozejrzała się po sali i dostrzegła Johna Burтона, trenera, otoczonego wianuszkami matek, którym prawdopodobnie musiał teraz szczegółowo opowiadać o postępach ich dzieci. Nawet jeśli była to dla niego stresująca sytuacja, to nie dawał niczego po sobie poznać. Ale też dla niego nie była to jakaś niezwykła sprawa. Za każdym razem, kiedy przywoziła i odwoziła Becky, Gillian widziała, że zawsze otaczały go kobiety. Może rzeczywiście chciały być poinformowane o wszystkich, nawet mało znaczących wydarzeniach w drużynie. Ale bez wątpliwości oddziaływanie Burтона na kobiety też grało tu pewną rolę. Był bardzo przystojny, a w dodatku towarzyszyła mu aura tajemniczej przeszłości: podobno pracował przedtem w policji i zrobił tam błyskotliwą karierę, ale w wieku trzydziestu siedmiu lat wystąpił ze służby w tajemniczych i niejasnych okolicznościach, o których dokładnie nikt nic nie wiedział. Potem miał założyć prywatną firmę ochroniarską, zatrudniał przeszło dwudziestu pracowników, zajmował się głównie ochroną budynków i osób. Mieszkał i pracował w Londynie, ale dwa razy w tygodniu przyjeżdżał tutaj, do Southend, żeby zajmować się trenowaniem dwóch młodzieżowych drużyn piłki ręcznej. Uważał sport, a zwłaszcza sport drużynowy, za najbardziej efektywny środek prewencyjny chroniący młodzież, szczególnie tę narażoną na niebezpieczeństwo, przed stoczeniem się na drogę wiodącą do przestępstwa. Gillian usłyszała kiedyś przypadkowo, w jaki sposób wyjaśniał to

matkom, które ze wstrzymanym oddechem wpatrywały się w niego jak w obraz. Szczególnie dla kobiet z dobrych mieszczańskich rodzin był wręcz kimś w rodzaju bohatera, ratownika czy też wojownika. Gillian mogła sobie wyobrazić, jak bardzo kobiety go idealizowały, opowiadając sobie jakieś niejasne, romantyczne historie.

Musiała jednak przyznać, że był bardzo atrakcyjny.

- Tak odpowiedziała w końcu. On rzeczywiście dość dobrze wygląda.

- Dość dobrze? powtórzyła tamta i dodała: Kiedy go widzę, muszę zawsze uważać, żeby w mojej głowie nie rozwinęły się jakieś nieprzyzwoite fantazje erotyczne. Zabawne, że ktoś taki jak on nie ma żony.

- Może ma mnóstwo romansów.

- Ale w końcu jeden z obiektów jego romansów pojawiłby się tutaj. Przynajmniej żeby go odwiedzić albo coś w tym rodzaju. To doprawdy osobliwe. Nigdy go nie widziałam z żadną kobietą.

- Nie chce się pewnie afiszować ze swoim prywatnym życiem rzekła Gillian. Doskonale to rozumiała. Pomyślała, że baby tutaj są doprawdy jak sępy.

- A ja mimo wszystko uważam, że to dziwne upierała się tamta. I jeszcze parę szczegółów z nim związanych.

Gillian nie chciała się dopytywać, co ona właściwie miała na myśli, i nie odpowiedziała, ale nie powstrzymało to gadatliwej sąsiadki przed dokładniejszym wyrażeniem swoich poglądów.

- Chętnie bym się dowiedziała, dlaczego on właściwie odszedł z policji. Był przecież w Scotland Yardzie! To piękna kariera i dobrowolnie chyba się z niej nie rezygnuje! No i te treningi u nas. Przecież on mieszka w Londynie! I chce mu się jeździć taki kawał drogi do nas? Może żaden z londyńskich klubów go nie chciał? Ciekawe dlaczego?

Gillian miała wrażenie, że nie wytrzyma, jeśli będzie musiała dalej wysłuchiwać po szczegółowej opowieści o chorobie syna tamtej kobiety także jej dokładnego zdania na temat prywatnego życia trenera. Spojrzała w zadowoloną, o grubych rysach twarz siedzącej przed nią kobiety i wstała gwałtownie.

- Przepraszam. Muszę koniecznie zapalić papierosa powiedziała, po czym spróbowała złagodzić nieoczekiwane zakończenie rozmowy, dodając: Cóż za przekłety nałóg...

Dobry Boże, żeby ona tylko nie była palaczką i nie poszła za mną...

Kobieta uśmiechnęła się kwaśno. Czuła się obrażona, co było aż nadto widoczne.

Gillian pomyślała, co też powiedziałyby teraz Tom. Widzisz, dlatego jesteś ciągle sama! Jak ktoś próbuje się do ciebie zbliżyć, to jest natychmiast odrzucany.

Przecisnęła się przez zatłoczone pomieszczenie, odetchnęła, kiedy znalazła się w garderobie. Co za spokój. Docierające tu głosy były stłumione przez zamknięte drzwi. Gillian potarła ręką czoło i poczuła, że jest jej gorąco.

Trwało to chyba z pięć minut, zanim znalazła swój płaszcz pod górą innych okryć. Ubrała się i wyszła na dwór, w ciemny wieczór. Było zimno, ale już nie tak wietrznie jak w ostatnich dniach. Od rzeki ciągnęła mgła. Niemal otuliła jej głowę, zupełnie jak zimna, wilgotna chusta. Gillian wygrzebała z torebki papierosa, zapaliła i kilka razy zaciągnęła się głęboko. Jak zawsze nikotyna działała na nią odprężająco, choć natychmiast ogarnęło ją też poczucie winy. Tom nienawidził, kiedy paliła, i każdy jego argument w tej kwestii był słuszny. Jak zawsze pomyślała, że tym razem po sylwestrze już naprawdę rzuci palenie.

I jak zawsze nie dotrzyma słowa.

Lewym palcem wskazującym delikatnie masowała sobie skronie.

Powietrze w pomieszczeniu było doprawdy okropne, dopiero teraz przyszło jej to głowy. Wrócić tam nie, to nie do pomyslenia.

„Posiedzę tutaj jakieś pół godziny, a potem powiem Becky, że musimy iść” postanowiła. Oczywiście będzie to oznaczało kolejny punkt na minus dla niej. Może nie powinna się dziwić, że córka nie mogła się z nią dogadać. Może to ona zadręczała Becky, i to o wiele bardziej, niż sobie z tego zdawała sprawę.

Akurat kiedy gasiła papierosa w pustej doniczce na kwiaty, zobaczyła Johna Burtona wychodzącego z drzwi. Był ubrany w czarną kurtkę, a na szyi miał zawiązany szalik. Uśmiechnął się, kiedy ją zobaczył.

- Czy robi pani to samo co ja? spytał. Maltretowanie płuc? Skinęła głową.

- Obawiam się, że tak. Poza tym... Nie dokończyła zdania, bo nie chciała go urazić, ale on wydawał się rozumieć, co miała na myśli.

- A poza tym to dobra okazja, żeby zwać przed nimi rzekł, wskazując ruchem głowy na halę sportową za nimi. To nie do zniesienia.

- Też pan tak uważa? spytała zaskoczona.

Wyjął paczkę papierosów, poczęstował ją, a ona nie odmówiła. Wsunął papierosa do ust i próbował zapalić zapalniczkę, ale nikły płomień gasł niemal natychmiast. Burton zaklął. Gillian wyciągnęła swoją zapalniczkę i podała mu ogień, po czym zapaliła swojego papierosa.

- Dziękuję powiedział.

Palili przez chwilę w milczeniu, a w końcu on się odezwał:

- Widziałem, jak pani wychodziła. Sprawiała pani wrażenie kogoś, kto chce uciec.

- Miałam nadzieję, że nikt tego nie zauważy.

- Poza mną chyba nikt nie zauważył. One raczej nie zwracają uwagi na innych, w każdym razie nie pod tym względem. Ale cały czas miałem wrażenie, że pani niezbyt dobrze się tam czuje.

Gillian przełknęła ślinę. To zdumiewające, jakie działanie może mieć głos pełen zrozumienia z lekkim odcieniem współczucia. Miała takie wrażenie, jak gdyby wzbierały w niej łzy. Co oczywiście byłoby okropne. Cóż za koszmar

perspektywa, tu, w ten mglisty wieczór stać przed halą sportową obok trenera drużyny piłki ręcznej własnej córki i wypłakiwać się przed nim.

- Musiałam wysłuchać długiej i skomplikowanej historii choroby pewnego chłopca powiedziała. Ze wszystkimi szczegółami. Wszystkie możliwe alergię. O, ta kobieta była wyjątkowo natrętna. Wreszcie zaczęło mi wprost dudnić w głowie. Może dlatego sprawiałam wrażenie udręczonej.

- Tak, to była matka Filipa wyjaśnił John. Bardzo miły, bystry chłopak. Moim zdaniem on wcale nie cierpi na żadną alergię. Ma taką matkę i to jest jego problem.

Powiedział to tak sucho i rzeczowo, że Gillian musiała się nagle roześmiać. Dziwiła się przy tym sama sobie, bo jego słowa wcale nie brzmiały zabawnie. Ale ten śmiech powstał gdzieś głęboko w jej wnętrzu, w brzuchu czy gdzieś, i po prostu musiał się z niej wydobyć. Roześmiała się z jakąś ogromną ulgą i pomyślała, że już dawno nie śmiała się tak z całego serca, a jednocześnie wiedziała, że coś tu nie gra, bo śmiała się bardziej, niż to było w tej sytuacji konieczne. Niewiele brakowało, a wpadłaby wręcz w histerię i wydawało jej się, że John Burton też patrzy na nią podejrzliwie i ze zdumieniem.

- Ależ nie, co się dzieje? spytał w końcu, kładąc rękę na jej ramieniu, a ona wtedy zauważyła, że już się nie śmiała, lecz po prostu płakała i zupełnie nie zauważyła, kiedy jedno przeszło w drugie. Łzy płynęły jej po twarzy, której skóra i tak była wilgotna od mgły, a teraz zrobiła się mokra i słona.

- Nie wiem... zdołała w końcu wykrztusić. Przepraszam... nie wiem...

Z przerażeniem stwierdziła, że nie potrafi przestać płakać.

- O Boże... wystękała w końcu.

Burton zgasił swojego papierosa, wyjął papierosa z jej ręki i także go zgasił w doniczkę. A potem ujął ją za ramię.

- Chodźmy. Nie chce pani chyba dostarczyć im materiału do plotek na najbliższe kilka miesięcy.

Nie była w stanie nic powiedzieć, lecz potrząsnęła głową. Bezwolnie pozwoliła się poprowadzić przez parking, wsiadła do samochodu, którego drzwi on przed nią otworzył. Zauważyła, że wsiadł z drugiej strony. Ciągle jeszcze płakała, ale przynajmniej zaczęła szukać w torebce chusteczki.

- Przepraszam, przykro mi szlochała. Burton potrząsnął głową.

- Niech pani przestanie przeproszać. Obserwowałem panią cały wieczór i widziałem, jak bardzo była pani nieszczęśliwa. I wie pani, co pomyślałem?

- Nie.

- Pomyślałem: ona w końcu zacznie płakać. I miałem nadzieję, że to się nie stanie tam w środku. Wolę, żeby pani płakała w moim aucie.

Wreszcie znalazła chusteczkę i wytarła sobie nos. Ciągle jeszcze z oczu płynęły jej łzy, ale pierwsza faza gwałtownej, niepoahamowanej rozpacz minęła.

- Mówiąc szczerze, też wolę tutaj płakać powiedziała. I dziękuję.

- Już lepiej?

- Względnie. Ale nie mogę teraz tam wejść, do środka. Burton zastanawiał się przez chwilę.

- Tu w pobliżu jest pub. Jeśli pani chce, możemy tam wypić po kieliszku wódki. To czasem pomaga.

- Dobry pomysł. Mam nadzieję, że nie sprawiam panu zbyt wielkiego kłopotu.

Włączył silnik i ruszył powoli w kierunku wyjazdu z parkingu.

- Sądzi pani, że mam wielką ochotę na to towarzystwo w środku?

- Raczej trudno to sobie wyobrazić.

- Właśnie.

Po kilku minutach dotarli do Halfway House, stojącego przy Eastern Esplanade, tuż przy plaży, z widokiem wprost na Tamizę, której oczywiście w tej mgłę i ciemności nie było widać. Okna pubu były jasno oświetlone, a głośna muzyka dobiegała aż tutaj.

- Nie jest to najlepsze miejsce, które to miasto ma do zaoferowania powiedział John, kiedy wysiedli. Ale za to niedaleko. I przypuszczalnie nie spotka tu pani nikogo znajomego.

Gwar głosów i śmiechy stały się jeszcze bardziej donośne już w drzwiach wejściowych. Gillian zobaczyła pomieszczenie pełne ludzi, bar, liczne stoły i krzesła. Na biało pomalowanych ścianach nie wisały żadne obrazy, na parapetach okiennych nie było też kwiatów. Surowość tego wnętrza wręcz rzucała się w oczy. Gości stanowiły grupy ludzi w najróżniejszym wieku, a w każdym razie Gillian stwierdziła, że John miał rację: nie było to miejsce, które odwiedziłby Tom. Albo ktoś z kręgu ich znajomych.

Burton wypatrzył wolny stół i przecisnął się przez tłum.

- Czego się pani napije?

- Jakiejś wódki. Najlepiej podwójną.

Skinął głową i zaczął się przedzierać w kierunku baru, a Gillian zdjęła płaszcz, przewiesiła go przez poręcz krzesła i usiadła. Wyjęła lusterko z torebki i oceniła swoją twarz. Wyglądała na dość zapłakaną, miała plamy na skórze i zapuchnięte powieki. Czerwony nos. Z tym jeszcze można było sobie poradzić. Cała Gillian. Przy tym wszystkim zdołała wylądować w knajpie z całkiem pociągającym mężczyzną, a wyglądała jak zapłakana uczennica. A dokładnie rzecz biorąc, uczennica byłaby z pewnością lepszym wariantem.

„Bo wyglądam, jakbym była przynajmniej dziesięć lat starsza, niż jestem pomyślała z rezygnacją rzeczywiście jak kobieta, nad którą można się tylko litować”.

Rozejrzała się po pomieszczeniu w nadziei, że zdoła wypatrzeć wejście do toalety. Może trochę zimnej wody na twarz dobrze by jej zrobiło. Ale w pubie było tylu ludzi, stojących w dodatku w licznych grupach, że trudno było cokolwiek

dostrzec. Rozglądała się ciągle, aż jej oczy zatrzymały się nagle na twarzy pewnego mężczyzny, która wydała jej się znajoma. Mężczyzna był młodszy od niej, miał najwyżej trzydzieści kilka lat, siedział przy stole naprzeciw innego mężczyzny nad szklanką piwa i wpatrywał się w nią bezustannie. Gillian była pewna, że go zna, potrzebowała jednak kilku sekund, żeby sobie przypomnieć, kto to właściwie jest. I nagle przyszło jej do głowy, że on przecież mieszka na tej samej ulicy, tylko w przeciwległym końcu. Razem ze swoim bratem i bratową. Temu bratu Tom doradzał kiedyś w sprawie spadkowej i stwierdził potem, że to trochę dziwni ludzie. Gillian uśmiechnęła się teraz niepewnie do niego. No pięknie! To tyle na temat, że tutaj na pewno nie spotka nikogo ze swoich znajomych. Można się naprawdę pomylić. Przyszła zapłakana do knajpy, z mężczyzną, który nie był jej mężem, i natychmiast trafiła na sąsiada. Czasami trudno nie wierzyć w czary.

Młody mężczyzna uśmiechnął się do niej nieśmiało i sprawiał przy tym wrażenie nieco zdziwionego. Chyba nie można było brać mu tego za złe.

John Burton wrócił do stołu, niosąc dwie wielkie szklanki z wódką.

- Nie dało się szybciej wyjaśnić przepaszająco i zajął miejsce naprzeciw niej. Zaaklimatyzowała się pani trochę?

- Tak. I stwierdziłam, że wyglądam okropnie. Przepraszam.

- Przecież uzgodniliśmy, że nie będzie pani już za nic przepraszać. Podniósł szklankę.

- Za pani zdrowie.

Wypiła od razu duży łyk. A zaraz potem jeszcze jeden. Wódka wprost paliła gardło, za chwilę fala gorąca dotarła do żołądka. To chyba był błąd, że postanowiła się napić. Zwłaszcza jeśli chodzi o ilość. To nie była podwójna wódka było jej chyba dwa razy tyle. A ona przez cały dzień niewiele zjadła. Zaraz potem miała przecież zabrać córkę i odwieźć ją samochodem do domu, a teraz piła. Jednak porzuciła te myśli i wypiła kolejny łyk. W tej chwili pragnęła tylko jakiegoś odprężenia, które dawał alkohol. Dystansu do wszystkiego. Do zmartwień, lęków i smutku.

- Czy chce pani... porozmawiać o tym, co panią gnębi? spytał po chwili John.

A właściwie dlaczego nie?

- Tak w kilku słowach zaczęła. Moja córka mnie odrzuca, bo czuje się prowadzona przeze mnie za rączkę i uważa mnie za nadopiekuńczą, mój mąż mnie już nie dostrzega. A więc przypuszczalnie nic niezwykłego.

Spróbowała się uśmiechnąć.

John Burton nie odpowiedział, ale patrzył na nią w zamyśleniu.

- O pani mężu nie mogę nic powiedzieć. Ale przynajmniej znam pani córkę, i to dobrze. Lubię Becky. Jest wysportowana, ambitna, potrafi pracować w zespole. Jest silna i bardzo niezależna. Jasne, jest też uparta, czasami nieznośna. Ale możliwe, że przechodzi teraz trudny okres i rani te osoby, które są jej najbliższe. Nie powinna się pani zbyt martwić: wkrótce wszystko wróci do normy.

Powiedział to tak prosto i jasno, że zaskoczona spytała:

- Jest pan pewien? Skinął głową.

- Mógłbym się założyć.

- Dziękuję rzekła zafascynowana tym, że za pomocą kilku zdań udało mu się przywrócić jej jakiś rodzaj spokoju i lekkości. Oczywiście nie chodziło o to, że nagle wszystko było już w porządku, ale bez wątpienia poczuła się wyraźnie lepiej. Potraktował ją poważnie i po prostu spróbował jakoś wesprzeć czy pocieszyć. Zupełnie inaczej niż Tom, który przeważnie twierdził, że ona sobie coś wmawia. Także inaczej niż Tara, która natychmiast robiła wykład na temat skomplikowanych procesów psychologicznych w taki sposób, że każdemu mogło się zakręcić w głowie. Oraz inaczej niż Diana, która za każdym razem, kiedy Gillian skarżyła jej się na Becky, potrafiła tylko zapewniać, że ona sama jest bardzo szczęśliwa ze swoimi córkami nie sprawiającymi jej żadnych kłopotów.

Po raz pierwszy Gillian miała wrażenie, że ktoś jej naprawdę pomógł.

- Doskonale rozumie pan dzieci rzekła.

- Znam się trochę na sporcie. A można dowiedzieć się bardzo dużo o ludziach, jeśli obserwuje się ich w czasie uprawiania sportów drużynowych. Wszystko jedno, czy są to dzieci, młodzież czy dorośli. W gruncie rzeczy wszyscy zachowują się wtedy jak w prawdziwym życiu.

Popatrzyła na niego z zainteresowaniem.

- Właściwie czy to prawda, że pracował pan w Scotland Yardzie? spytała.

Jego twarz stała się nagle czujna i zamknięta.

- Tak odparł krótko.

Było jasne, że nie chce mówić o swoim zawodzie, a przede wszystkim o okolicznościach, które doprowadziły do jego wydalenia z policji. Dlatego Gillian zmieniła temat, pytając:

- A co pan sądzi na temat tej okropnej zbrodni? Tego morderstwa popełnionego na starszej kobiecie w Hackney?

- Niewiele mogę na ten temat powiedzieć. Nie wiem nic więcej niż to, co można przeczytać w gazetach.

- Ale miał pan zawodowo do czynienia z czymś takim.

- Tak. Ale nie potrafię ocenić tego przypadku. Policja nie mówi ani słowa o tym, jak ofiara została zamordowana. Przypuszczalnie w jakiś niezwykle sposób i na ten temat świadomie zachowuje się milczenie, żeby łatwiej było udowodnić winę sprawcy. Czytałem tylko, że nie została obrabowana ani też zgwałcona. Nie chodziło więc o pieniądze ani o seks, przynajmniej przy powierzchownej ocenie sprawy.

- Oceniając powierzchownie?

- Gdyby została zamordowana w szczególnie sadystyczny sposób, w grę mogłyby wchodzić motywy seksualne.

- Czy sądzi pan, że coś takiego może się powtórzyć? Że będzie następna ofiara?

- Możliwe. Nie jest jeszcze jasne, jaki był motyw zbrodni. Może był to jakiś osobisty problem między ofiarą a sprawcą, ale także w takim wypadku człowiek, który dopuszcza się czegoś takiego, jest tykającą bombą zegarową. Nie jest to normalny sposób rozwiązywania sporów i waśni między ludźmi.

- Ale taki wypadek rodzi obawy u każdego rzekła Gillian. Za każdym razem, kiedy czytam o takich rzeczach, myślę, że to istny cud, kiedy w miarę spokojnie, bez jakichś większych uszczerbków na zdrowiu uda nam się przemknąć przez życie.

- Z pewnością będzie to wyjaśnione. Większość zbrodni jest prędzej czy później wyjaśniana.

- Ale nie wszystkie.

- Nie wszystkie przyznał.

Odważyła się na kolejną próbę i spytała ostrożnie:

- Czy dlatego odszedł pan z policji? Bo nie do zniesienia był ciągły kontakt z wszelkimi przejawami najokropniejszej przemocy i przy tym świadomość niedoskonałości organów ścigania?

Na jego twarzy znów pojawił się wyraz chłodu i obojętności.

- Było wiele powodów odparł wymijająco, a potem wypił swoją wódkę do końca i spojrzał na zegarek.

- Obawiam się, że musimy wracać do klubu. Nie dlatego, że mnie tam bardzo ciągnie, ale jak wszyscy zauważą, że tylko nas dwojga brakuje, to zaczną im przychodzić do głowy głupie pomysły.

Zdała sobie sprawę, że się w niego bez przerwy wpatruje. Nie w taki sposób, w jaki patrzy się na partnera w rozmowie ona po prostu nie mogła oderwać wzroku od jego twarzy. Ludzie naokoło, dźwięki dobiegające do jej uszu wszystko nagle znalazło się gdzieś daleko, na drugim planie. Zupełnie jak gdyby między resztą świata a nią i Johnem pojawiła się cienka, nieprzenikalna ściana.

„To pewnie przez tę wódkę pomyślała. Wiedziałam, że to za dużo”.

- Jakie pomysły? spytała nagle i przerażona natychmiast wyzywającym tonem swojego głosu. To nie był jej sposób bycia. I flirtowania. Ona właściwie nigdy tego nie robiła. Uważała, że każda kobieta sprawiała przy tym wrażenie nieco głupkowatej.

- Myślę, że pani wie odparł John i wstał. Miała wrażenie, że jest nieco zirytowany i nie zareagował na sposób, w jaki próbowała z nim rozmawiać. Może miał ją za prostytutkę. A może za daleko się posunęła, próbując go wypytać o jego wcześniejszy zawód. W każdym razie znikła owa cienka ściana oddzielająca ich oboje od reszty świata, za którą przez krótki czas byli zupełnie sami. A teraz znowu byli częścią przepełnionej knajpy, gdzie dookoła stali i siedzieli ludzie, zewsząd dobiegał gwar głosów, śmiechy i dźwięczenie szklanek, woń alkoholu była aż nadto intensywna i mieszała się z zapachem potu i wilgotnych okryć.

Kiedy przeciskali się do wyjścia, minęli stolik, przy którym siedział mężczyzna mieszkający przy tej samej ulicy co Gillian, i ona nagle przypomniała sobie jego nazwisko: Segal, Samson Segal.

- Do widzenia rzuciła w jego stronę.

Skinął głową w odpowiedzi, patrząc na nią uważnie. Dokładnie tak samo jak na początku, kiedy go zauważyła.

Z niepokojem spytała samą siebie, czy tak było przez cały czas. Czy on przez cały czas wpatrywał się w nią w taki sposób.

Sobota, 5 grudnia

1.

Była sobota, ale nie miało to najmniejszego wpływu na czynności dochodzeniowe.

Detektyw inspektor Fielder obiecał żonie, że pójdzie z nią do miasta i razem zrobią trochę świątecznych zakupów, lecz potem nagle znów został wezwany na miejsce zbrodni, gdzie Carla Roberts została w tak okrutny sposób pozbawiona życia. Wiedział, że będzie musiał rozczarować żonę. Ale w tym dochodzeniu liczyła się każda godzina. Zaciśnięte wargi żony i wyraz twarzy, z jakim zareagowała na jego prośbę o zrozumienie, kazały przypuszczać, że najbliższy weekend nie będzie łatwy. I że nastąpi dziś przynajmniej jedna zasadnicza debata, która i tak niczego nie zmieni.

Jego pracownicy przeczesałi dokładnie dom, w którym została zamordowana Carla. Porozmawiali z mieszkańcami, zadali mnóstwo pytań, zostawili też numery telefonów na wypadek, gdyby się komuś coś przypomniało. Niewiele przy tym zdołano ustalić, właściwie nic. Nikt nie znał Carli osobiście. Jeśli ktoś w ogóle potrafił ją sobie przypomnieć, opisywał ją jako kobietę cichą, zamkniętą w sobie, żyjącą w zupełnej samotności. Jeśli spotykano ją na schodach, to rzadko, a wówczas zawsze bardzo uprzejmie mówiła „dzień dobry”, ale była zbyt nieśmiała, żeby z kimkolwiek nawiązać bliższy kontakt.

- Myślę, że rzadko wychodziła z mieszkania powiedział mężczyzna z szóstego piętra. Miała mnóstwo dziwnych zahamowań i była zapatrzona w siebie. Całkowicie osamotniona, jeśli pan o to pyta. Pies z kulawą nogą się nią nie interesował.

Fielder zastanawiał się, czy właśnie to spowodowało, że padła ofiarą zbrodni. Czy nie było żadnej innej okoliczności niż ta, że żyła w takiej izolacji, która nie tylko ułatwiła sprawcy dokonanie zbrodni, ale dzięki której zyskał on tak dużą przewagę czasową, zanim policja rozpoczęła czynności śledcze. Jeśli sprawca cokolwiek wiedział na temat życia Carli Roberts, to miał w swój czyn wkalkulowany fakt, że jej zwłoki nie będą zbyt szybko znalezione i może długo potrwać, zanim ktoś zauważy jej zniknięcie. Ogromna przewaga sprawcy: czas, który upłynął, zanim ruszyła policyjna machina, pracował na jego korzyść. I przeciwko policji.

Zupełnie jak w ubiegłą środę w mieszkaniu Keiry Jones Fielder pomyślał: „Sprawca nie miał nic akurat przeciwko Carli Roberts. On miał po prostu problem z kobietami. I wyszukiwał sobie takie, które niejako ułatwiały mu zadanie”.

Taka możliwość była w istocie najgorsza ze wszystkich. Bo jeśli nie istniały żadne osobiste powiązania między Carla Roberts a jej mordercą, choćby sięgające

daleko w przeszłość, szukanie mordercy stawało się teraz błędzeniem we mgle.

Pozostawała więc jedna istotna okoliczność: Carla sama wpuściła swego mordercę do domu. Tu był cień nadziei na dalszy postęp śledztwa. Jedyne, co wskazywało na to, że ona być może całkiem przelotnie go знаła.

Detektyw sierżant Christy McMarrow podeszła do Fieldera, kiedy ten wreszcie znalazł miejsce do zaparkowania samochodu i wysiadł. Fielder lubił Christy, bo była bardzo zaangażowana w pracę i przyznawała jej absolutny priorytet w swoim życiu. Christy była dyspozycyjna dzień i noc. Była ambitna. I pełna zapału. Wprost paliła się do pracy.

W dodatku Fielder uważał, że była niesłychanie atrakcyjną kobietą, choć wiedział, że o tym nawet nie wolno mu myśleć.

- Zadzwonił do nas dozorca domu, sir powiedziała. I myślę, że powinien pan coś obejrzeć.

Dozorca, niewysoki, krępy mężczyzna z twarzą o niezdrowej czerwonej barwie, stał przed wejściem i z wrażenia osiągnął już niemal stan hiperwentylacji. Fielder znał tego człowieka. Wypytywał go o windę w bloku zaraz po rozmowie z Keirą Jones. Zgodnie z zeznaniami dozorca nie mogło być tak, że winda jechała na któreś piętro bez wezwania. Jeśli Carla Roberts słyszała windę dziwnie często wjeżdżającą na jej piętro, to znaczy, że ktoś ją tam wezwał lub wysłał z dołu.

Albo wjeżdżał windą na górę. I potem z niej nie wysiadał, co rzeczywiście, uważał Fielder, mogło robić bardzo dziwne wrażenie.

- Odkryłem, że z tymi drzwiami coś nie gra, inspektorze powiedział dozorca, gdy tylko zobaczył Fieldera. Wskazał na oszklone drzwi wejściowe do bloku. I nie rozumiem, jak mogłem tego dotychczas nie zauważyć. Gdzieś tak... już od dłuższego czasu można je było otworzyć, tylko popychając. Raz czy dwa razy pomyślałem, że to po prostu niedbalstwo, bo ludziom nie chce się zamykać porządnie drzwi, ale dziś przyszło mi do głowy, że to może wcale nie być niedbalstwo. I wtedy zadzwoniłem do pana pracownicy.

- To była właściwa decyzja zapewnił go Fielder. Spojrzał uważnie na drzwi i pomyślał o tym, co mówiła Keira Jones: drzwi na dole były otwarte, kiedy przychodziła odwiedzić matkę.

- Dlaczego dziś przyszło panu do głowy, że być może nie chodzi tu o, jak pan to nazywa, niedbalstwo? spytał.

Dozorca sprawiał wrażenie poruszonego.

- Bo zacząłem o tym rozmyślać. To znaczy.. po tej okropnej historii człowiek stale zadaje sobie pytania... No i nagle pomyślałem, że to niemożliwe. To z drzwiami. One mają sprężynę i jeśli się wchodzi do środka i zatrzaskuje drzwi, to zamek sam się zamyka. Zawsze. Trzeba być bardzo uważnym, jeśli się nie chce do tego dopuścić, to znaczy chce się, żeby pozostały otwarte. Rozumie pan? Wtedy pojąłem, jaki byłem głupi. Te drzwi nigdy nie były zamknięte, jak gdyby każdy, kto

wchodził do bloku, tylko je ostrożnie przymykał. A po co ludzie mieliby tak robić? To byłoby absurdalne!

- Istotnie przyznał inspektor Fielder. A więc mechanizm sprężyny jest uszkodzony?

Dozorca przytaknął.

- Tak. Drzwi zamykają się tak powoli, że zamek się nie zatrzaskuje.

- Od kiedy tak jest? Albo dokładniej: kiedy pan to zauważył?

- Niedługo. Może... od czterech tygodni? Fielder zwrócił się do Christy.

- Jeden z naszych techników musi sprawdzić, co jest powodem tego defektu. Czy to zwykle zużycie materiału, czy też ktoś tu coś majstrował.

- W porządku.

- Załóżmy, że ktoś majstrował przy drzwiach. Może wówczas bez problemu wchodzić i wychodzić. Obserwuje Carlę Roberts. Terroryzuje ją trochę w taki sposób, że po prostu wysyła windę na górę. I kiedyś idzie wreszcie do jej drzwi, dzwoni, a ona wpuszcza go do środka... czy ona by to zrobiła? To znaczy, czy otworzyłaby komuś drzwi? Kiedy była taka zupełnie sama na górze?

- Mogło być tak, że spotkała sprawcę raz czy dwa w samym bloku stwierdziła Christy nie wiedząc, że on od czasu do czasu zakrada się do środka i krąży sobie po piętrach. Może uważała go za jednego z lokatorów. Komuś z bloku można przecież otworzyć drzwi, prawda? Choć akurat w takim bloku, gdzie ludzie się właściwie nie znają, mogło to być czymś w rodzaju obosiecznej broni.

Fielder przytaknął z roztargnieniem. Zbyt wiele było w tej sprawie niewyjaśnionych pytań: ciągle jeszcze nie udało im się znaleźć byłego męża Carli. A jeśli on rzeczywiście od lat mieszkał za granicą, możliwe, że gdzieś na drugiej półkuli, to poszukiwania będą bardzo trudne. W każdym razie w takim przypadku najprawdopodobniej nie ma nic wspólnego ze śmiercią byłej żony. Także próby znalezienia jego ówczesnej kochanki spełzły na niczym. Ustalono jej tożsamość, ale pod ostatnio znanym adresem nie mieszkała już od lat. Fielder przypuszczał, że może wyjechała za granicę z kochankiem.

Potaął podbródek zmęczonym gestem.

- Musimy koniecznie spróbować ustalić coś na temat prywatnego życia Carli Roberts. Nie może przecież być tak, że nie ma absolutnie nikogo, z kim by rozmawiała, spotykała się albo chodziła do kina. Ma już coś pani na ten temat?

- Jeszcze nie musiała przyznać Christy. Córka wie tak mało na temat życia swojej matki, że też niewiele mogła nam pomóc. Ale mam notatnik z adresami zmarłej i jest tam kilka nazwisk, które muszę sprawdzić. Według córki są to głównie pracownicy drogerii, w której kiedyś pracowała jej matka. Może dzięki tym osobom ruszymy choć trochę do przodu.

- Niech pani spróbuje powiedział Fielder.

Z jakiegoś powodu czuł, że nie należy sobie po tym zbyt wiele obiecywać. Koledzy Carli z dawnego miejsca pracy, w którym nie pracowała już od lat. Czego tu można się było spodziewać?

Nie powinien jednak komplikować sprawy, zniechęcając do działania swoją najlepszą pracownicę.

Poniedziałek, 7 grudnia

Czy rzeczywiście próbowałaś porozmawiać z Becky tak naprawdę szczerze? spytała Tara. To znaczy w taki sposób, żeby zrozumiała, że traktujesz ją poważnie. Widocznie ona czuje się przez ciebie jakoś ograniczana, traktowana jak dziecko, dlatego się buntuje. I z czasem będzie jeszcze gorzej. Powinnyście znaleźć taki sposób rozmowy, żeby nie kłócić się dzień w dzień.

- Tara, możliwe, że traktuję ją jak dziecko, ale ona *jest* dzieckiem! Ma dwanaście lat! Wiem, że jej się zdaje, że jest już dorosła, ale tu niestety się myli.

- Dziś dziewczynki w wieku dwunastu lat są bardziej dojrzałe niż za naszych czasów. Nie mówię, że nagle masz jej zacząć pozwalać na wszystko, na co ma ochotę. Ale nie powinnaś lekceważyć jej problemów.

- Nie lekceważę. Ale kiedy próbuję wyjaśnić jej mój punkt widzenia, to od razu zaczyna się kłótnia wyjaśniała Gillian. Niestety, z jej strony nie mogę się doczekać choćby najmniejszej gotowości, żeby spojrzeć na wszystko także z mojego punktu widzenia. Dlatego ciągle się kłócimy.

- A ty byłaś w stanie to zrobić, kiedy miałaś dwanaście lat? spytała Tara. Czy potrafiłaś wtedy wczuć się w emocje, zmartwienia i potrzeby twojej matki?

Siedziały obie w kuchni. Był poniedziałek, późne popołudnie. Becky zaraz po szkole poszła z Darcy do niej do domu. Gillian pracowała do wczesnego popołudnia, męcząc się w firmie ze szczególnie niesympatycznym i niezadowolonym nowym klientem. Potem pojechała na zakupy i właśnie przyniosła do kuchni niezliczone torby i torebki z jedzeniem, karmą i żwirkiem dla kota, kiedy zadzwoniła Tara. Miała za sobą rozmowę z jakimś świadkiem odgrywającym kluczową rolę w sprawie, która właśnie znalazła się na jej biurku, a że w drodze powrotnej jechała niemal tuż koło domu Gillian, postanowiła wstąpić na chwilę.

Krótko potem stała już w drzwiach, jak zawsze zestresowana, ale przy tym chłodna i bardzo elegancka w ciemnoniebieskim garniturze, beżowych kozaczkach i dopasowanym do całości płaszczu. Zabiegana Gillian, która w pośpiechu wypakowała zakupy i właśnie nakarmiła bardzo już niezadowolonego Chucka, wydała się samej sobie kimś, kto nie sięga Tarze do pięt.

- A jak Becky dogaduje się z Tomem? spytała Tara.

- Z Tomem? Znakomicie odparła Gillian. Ale to żaden cud. On bywa w domu bardzo rzadko i już choćby dlatego przez ten czas, który z nią spędza, może bez trudu odgrywać rolę wymarzonego, najwspanialszego tatusia, który jej na wszystko pozwala i razem z nią robi wszystkie możliwe bzdury. A dzień powszedni, pełen wszelakiego rodzaju pułapek, należy do mnie.

Tara przyjrzała jej się uważnie.

- A jak jest między wami? To znaczy między tobą i Tomem? Gillian westchnęła głęboko.

- Nie za dobrze. To znaczy, właściwie nie jest źle. Nie jest tak, że się kłócimy. Tylko niewiele z sobą rozmawiamy. On, jak już mówiłam, rzadko tu bywa. Żyje naszą firmą i klubem tenisowym, poza tym nie zostaje mu już na nic zbyt wiele czasu.

- Ciągle jeszcze jest takim fanatycznym sportowcem?

- No, z tym jest coraz gorzej. Przyjeżdża do domu, przebiera się i zaraz wyjeżdża. Inni wolą wypić parę szklanek piwa, żeby się odprężyć po pracy, a on musi się wyszaleć. Już wołałabym piwo, szczerze mówiąc, bo wtedy siedziałby więcej w domu. Ale dla niego istnieje tylko sport. Musi oczywiście brać udział w posiedzeniach związku i innych spotkaniach, także w przygotowaniach do turniejów. A w każdy wtorek spotykają się jeszcze dodatkowo całą grupą. Czasami mi się wydaje, że mogłabym leżeć na łożu śmierci, a on i tak nie opuściłby żadnego spotkania. Nawet nie wiem, czy rzeczywiście lubi tam chodzić, ale to już tak weszło w zwyczaj, że reszta pewnie zareagowałaby na czyjąś nieobecność najwyższym zdumieniem.

- A może mogłabyś mu towarzyszyć?

- Tak, mogłabym. Ale ja nie gram w tenisa, a oni nie mówią o niczym innym. Poza tym niechętnie zostawiam Becky samą. W każdym razie nie wieczorem.

Tara się uśmiechnęła.

- Niezła z ciebie kwoka powiedziała. Ale zabrzmiało to życzliwie, więc Gillian uśmiechnęła się do niej.

Tara i Gillian poznały się kiedyś w Londynie na kursie francuskiego, w którym pięć lat temu obie brały udział. Gillian chciała wtedy poprawić swój szkolny francuski i zgłosiła się do szkoły językowej, a Tara po kilku latach pracy jako adwokat w Manchesterze dostała właśnie pracę w londyńskiej prokuraturze i akurat pierwsza sprawa, jaka znalazła się na jej biurku, wymagała lepszej znajomości francuskiego niż ta, którą dysponowała. Typowe dla niej było, że po tym doświadczeniu natychmiast poszukała sobie odpowiedniego kursu. Siedziały na zajęciach obok siebie i natychmiast się polubiły. Od tego czasu były zaprzyjaźnione.

- Ale nie wchodzi w grę, że Tom... Nie miej mi za złe, dobrze? Nie jest możliwe, że on ma jakiś romans?

- Tom? Nigdy w życiu odpowiedziała przerażona Gillian i dokładnie w tym momencie wydarzyły się dwie rzeczy: zadzwonił telefon, a przymocowany na kuchennym oknie świąteczny łańcuch ze światełkami, który był połączony z zegarem sterującym, niespodziewanie się włączył.

- O Boże powiedziała Tara, uśmiechając się kwaśno, bo uważała Boże Narodzenie za okropne święta.

- Przepraszam rzekła Gillian i podeszła do telefonu, który znajdował się na korytarzu.

- Gillian Ward odezwała się, podnosząc słuchawkę.

- John Burton. Nie przeszkadzam?

Zaskoczyło ją, że na sam dźwięk jego głosu poczuła osobliwe łaskotanie gdzieś w brzuchu. Coś dziwnego jakby skurczyło się w jej wnętrzu w taki sposób, w jaki dawno nie było jej dane tego przeżyć. Mimo woli przypomniała sobie słowa tamtej kobiety na imprezie bożonarodzeniowej: *Kiedy go widzę, muszę zawsze uważać, żeby w mojej głowie nie rozwinęły się jakieś nieprzyzwoite fantazje erotyczne.*

„Dlaczego akurat teraz?” spytała samą siebie w następnej chwili.

- Nie odpowiedziała. Nie przeszkadza pan w ogóle.

- Chciałem się dowiedzieć, czy dotarła pani w piątek bez problemów do domu.

- Och tak, dziękuję. Dotarłam bez problemu. Poczekała chwilę. Wydało jej się, że jej głos brzmi nienaturalnie. I uświadomiła sobie, że Tara w kuchni uważnie się przysłuchiwała.

- I chciałem jeszcze pani powiedzieć mówił dalej Burton że w środę wieczorem znów będę w Halfway House. Gdyby miała pani ochotę spotkać się tam ze mną, bardzo bym się ucieszył.

Była zaskoczona. W piątek za dużo wypita i próbowała z nim flirtować, co było upokarzające. Miała wrażenie, że go zirytowała, ale przez weekend doszła do uspokajającego wniosku, że między nimi nie będzie nigdy nic więcej. Choć był trenerem Becky. Do tej pory przy odbieraniu bądź przywożeniu Becky na treningi nie doszło między nimi do żadnej bardziej osobistej rozmowy i nigdy nie stanowiło to problemu, choćby dlatego, że w tym czasie Burton był zwykle otoczony wianuszkami innych matek i nie można się było do niego dopchać. I tak będzie również w przyszłości. Piątek był zwykłą pomyłką, o której należało jak najszybciej zapomnieć. Płakała, za dużo wypita i flirtowała z nim. Wszystko było z sobą powiązane. Burton z pewnością umiał to właściwie ocenić. A jeśli nie, to i tak wszystko jedno.

- W środę powtórzyła.

- Tak. Będę tam około dziewiętnastej, po treningu z grupą młodzieżową.

Becky należała do grupy dzieci, nie do młodzieżowej. W środy nie chodziła na treningi.

- Ja... nie jestem pewna.

- Może się pani zastanowić powiedział Burton ja i tak tam pójdę, a pani może się zdecydować w ostatniej chwili.

Przyszło jej do głowy jedno pytanie.

- Dlaczego?

- Dlaczego co?

Trudno było rozmawiać w obecności Tary, ale Gillian nie chciała dłużej mówić urywanymi, pojedynczymi słowami. John Burton pewnie pomyślał, że nie potrafi skleić jednego porządnego zdania.

- Dlaczego chce się pan ze mną spotkać?

- Uważam panią za interesującą kobietę odparł.

Milczała. Jak, do cholery, należało się zachować w takiej sytuacji?

- Zastanowię się powiedziała w końcu.

- Okay odpowiedział Burton. Miała wrażenie, że był pewien, że ona przyjdzie.

- A więc, być może, na razie powiedziała, a on odparł:

- Na razie! i odłożył słuchawkę. Nie powiedział *być może*.

„Jesteś bardzo pewny siebie” pomyślała. A Tara oczywiście natychmiast spytała:

- Kto to był? Oczywiście nie chcę cię peszyć, Gillian, ale miałaś tak dźwięczący głos, a jeszcze teraz masz zaczerwienione policzki. Co się dzieje?

- To był trener piłki ręcznej Becky, John Burton.

- I co?

- Chce się ze mną spotkać w środę wieczór. Tara spojrzała na nią uważnie.

- Czy jest coś, o czym chcesz mi opowiedzieć?

Gillian przystanęła. Sama czuła, że jej twarz wprost płonęła.

- Jeszcze nie. Jeszcze nie ma niczego, o czym *mogłabym* opowiadać. A czy w ogóle coś takiego będzie... nie mam pojęcia.

- Hm... odparła Tara nieprzekonana. Zupełnie nie sprawiała też wrażenia, że wierzy w nieszkodliwość i niewinność tej historii, pojęła jednak, że w tej chwili niczego się już nie dowie.

Spojrzała na zegarek, wzięła torebkę i wstała.

- Muszę, niestety, jechać. Mam jeszcze jedno spotkanie.

- Jakaś ciężka sprawa?

- Ujdzie. Tara znów popatrzyła na Gillian przenikliwie.

- Pójdiesz tam? W środę? spytała. Gillian wzruszyła ramionami.

- Jeszcze nie wiem. A gdyby... mogłabym powiedzieć Tomowi, że poszłam do ciebie?

Tara uśmiechnęła się nieco złośliwie.

- Jasne. Zapewnię ci w każdej chwili alibi. Tylko daj mi po prostu znać.

Gillian odprowadziła ją do drzwi. Zastanawiała się, czy to był pierwszy krok w kierunku oszustwa i czy ona już go zrobiła: jeśli prosi się przyjaciółkę, żeby potwierdziła spotkanie, którego naprawdę nie będzie. Bo zamiast tego idzie się gdzieś z innym mężczyzną.

Na dworze było zupełnie ciemno. I zimno. Wszystkie domy na ulicy były już świątecznie przystrojone, przeróżne lampki błyskały, migotały i świeciły, błyszcząły srebrne łańcuchy.

- Jeśli chodzi o Becky dodała Tara nie poddawaj się. Nie jestem psychologiem, ale wyobrażam sobie, że ona w tej sytuacji między wami też cierpi. Widać wyraźnie, że jesteś niezadowolona i nieszczęśliwa. A ona tego nie chce. Dzieci wolą wesołe i radosne matki.

- Ale...

- Ale matki nie zawsze mogą być radosne. I także z tym dzieci uczą się sobie radzić.

- Mam nadzieję. Myślę, że trochę dystansu dobrze nam zrobi. Po świętach Becky aż do końca stycznia będzie jak zwykle u moich rodziców i wtedy będziemy miały od siebie wolne na jakiś czas.

Był to coroczny zwyczaj, jeszcze z czasów, kiedy Tom i Gillian chodzili na sylwestrowe bale i także w tym okresie wyjeżdżali. Czego jednak już od dawna nie robili.

- Nie myśl tylko o niej. Pomyśl też o sobie poprosiła Tara.

W świetle latarni Gillian dostrzegła wyraz twarzy przyjaciółki. Sprawiała wrażenie naprawdę zatroskanej.

Jakiś mężczyzna przeszedł powoli ulicą wzdłuż płotu, spojrzał krótko na obie kobiety i poszedł dalej. Tara potrząsnęła głową, mówiąc:

- Ten znowu tutaj!

- Jak to znowu?

- Ach, włóczył się tu także wtedy, kiedy przyjechałam.

- Jesteś pewna? Teraz jest tak ciemno.

- Mimo to. Rozpoznałam jego twarz. Przedtem też tu tkwił. Gillian spojrzała w kierunku oddalającego się mężczyzny.

- To mógł być Samson Segal stwierdziła. Spotykała go czasami, kiedy wychodziła z domu, i wydawało jej się teraz, że rozpoznała go po sposobie chodzenia.

- Jest sympatyczny i zupełnie nieszkodliwy. Mieszka na drugim końcu ulicy.

I chodzi do niewłaściwych knajp, i widział cię z Johnem Burtonem!

- Pomyśl o licznych zbrodniach, do których codziennie dochodzi ostrzegła ją Tara. Na tej planecie pełno jest różnych podejrzanych typów!

Gillian musiała się roześmiać.

- Przy twoim zawodzie też bym tak na to patrzyła!

- W każdym razie bądź ostrożna poprosiła znów Tara i otworzyła drzwi swojego ciemnozielonego jaguara. Gillian popatrzyła za nią z westchnieniem, po czym włożyła buty i płaszcz. Postanowiła pojechać po córkę do jej przyjaciółki Darcy, nawet gdyby miało to oznaczać kolejną kłótnię i odrzucenie z jej strony. Czy Gillian rzeczywiście przesadzała i była nadopiekuńcza? Zdaniem Becky z pewnością. Ale świat był miejscem niebezpiecznym, tu Tara miała rację. A kto jak kto ale ona wiedziała o tym na pewno.

Lepiej unikać ryzyka. Gillian ruszyła w drogę.

Wtorek, 8 grudnia

1.

Kupił kiełbaski oraz trochę krakersów dla psów i rzeczywiście udało mu się sprowadzić psa z drogi, którą zwykle biegał. Znał dokładnie szlaki, którymi biegał pies, i także tego ranka nie zaszła w tym żadna zmiana. Pies pobiegł właśnie w dół na łąkę, a jego pani w ogóle nie było jeszcze widać. Samson wiedział, że pies miał tam mniej więcej dziesięć minut czasu na zabawę, a potem zza drzew wyjdzie jego młoda pani. Ukryty za pozbawionymi liści krzakami, oderwał zębami zielony pasek na opakowaniu, wziął do ręki kawałek kiełbasy i wabił psa, jak umiał najlepiej.

- Chodź, piesku! No, chodź! Mam coś smacznego do jedzenia. Niestety nie wiedział, jak pies ma na imię. Nigdy nie słyszał, jak jego właścicielka go wołała. Pozostawała mu tylko nadzieja, że ciekawość zwierzęcia będzie silniejsza niż obawa przed obcym. I że zapach mięsa zrobi swoje.

I rzeczywiście pies, machając ogonem, skoczył w jego stronę i powitał go jak kogoś dobrze sobie znanego. Połknął kiełbasę, nawet jej nie gryząc, i pobiegł za obcym mężczyzną pełen radosnego oczekiwania. Samson, idąc, zrobił wielki łuk i wyszedł na łąkę w innej stronie parku. Nie wolno mu było dopuścić do tego, żeby ktoś go zobaczył z psem.

Z daleka usłyszał, jak ona woła:

- Jazz! Hej, Jazz, gdzie jesteś?

A więc Jazz. Wreszcie to wielkie, kudłate zwierzę miało swoje imię. Jazz nastawił uszu i odwrócił głowę. Samson wziął więc do ręki kolejną kiełbasę, mówiąc:

- Jazz! Masz kiełbasę.

Łakomstwo psa zwyciężyło i Jazz pobiegł dalej za Samsonem. A po chwili Samson odważył się też chwycić zwierzę za obrozę na szyi i poprowadzić je za sobą. Dotarli w ten sposób aż do końca wielkiej łąki i przeszli przez ulicę, aby potem iść dalej wzdłuż rozległego pola golfowego, dokładnie w tym kierunku, z którego przyszli. Samson sądził, że właścicielka Jazza będzie go szukać raczej w dole nad rzeką, bo wiedział, że po raz ostatni widziała psa biegnącego właśnie w tym kierunku i tam znikającego. Z pewnością obawiała się, że pies będzie chciał przebiec ruchliwe skrzyżowanie na dole przy Esplanade i może przy tym paść ofiarą ruchu drogowego. Toteż Samson wolał pokręcić się jakiś czas koło klubu golfowego i potem pójść na plażę.

Przed nim był długi, zimny dzień. Grudzień z pewnością nie był najlepszym miesiącem na tego rodzaju akcję, ale czy mógł sobie pozwolić na to, żeby trwonić

cenny czas i czekać aż do lata? Samson wziął sobie do serca rozmowę z Bartkiem. I nie chciał już jak wariat po prostu stać, czekać jak ktoś, kto oddala się od rzeczywistego świata i ściga absurdalne marzenia. Coś musiał zrobić. Być po prostu aktywny. Tu Bartek rzeczywiście miał rację.

Pomysł z Jazzem przyszedł mu do głowy dwie noce wcześniej i Samson uważał, że był to pomysł genialny. Porwać psa, trzy czwarte dnia powłóczyć się z nim gdzieś, a potem oddać go zrozpaczonej właścicielce. Wyjaśnić, że go gdzieś złapał. Ona zareaguje zapewne z wdzięcznością i ulgą i może zaprosi go na kawę. I może z tego będzie coś więcej.

Jazz zjadł już drugą kiełbasę oraz wszystkie krakersy i zrobił się niespokojny. Było wyraźnie widać, że chce zawrócić. Samson w końcu wyciągnął pasek ze spodni i przeciągnął go przez obrozę, żeby mieć coś w rodzaju smyczy. Cały czas przemawiał uspokajająco do psa.

- Pójdziemy w końcu do ciebie do domu, nie martw się. Twoja pani szuka cię teraz i denerwuje się. Jest mi z tego powodu tak samo przykro jak tobie. Ale jak myślisz, ona na pewno będzie się bardzo cieszyć, kiedy wreszcie obaj staniemy przed jej drzwiami, prawda? Może mnie wtedy też polubi. Mnie jeszcze nigdy żadna kobieta nie lubiła, wiesz?

Jazz słuchał uważnie i machał ogonem. Fajnie jest tak po prostu rozmawiać z psem, stwierdził Samson. Pies miał w oczach wyraz takiej koncentracji, jak gdyby rzeczywiście rozumiał, o co tu chodzi. I można było mieć pewność, że nie będzie kpić i śmiać się, bez względu na to, z czego mu się zwierzy. I nie będzie zdradzał niczych tajemnic.

- Zawsze chciałem mieć psa powiedział głośno Samson. Ale moi rodzice byli temu przeciwni. A teraz przeciwna jest Millie.

Poczuł nienawiść, zupełnie jak mały, gorący płomień gdzieś w brzuchu, kiedy tylko wymówił imię bratowej. Millie, która była tak zimna i wiecznie niezadowolona. Która na każdym kroku dawała mu do zrozumienia, za kogo go uważa: za nieudacznika. Kogoś męczącego, zbędnego. Kto niczego nie zdołał w życiu osiągnąć.

- Millie wszystkim u nas rządzi zwierzał się Samson psu. A przy tym dom należy do mnie i mojego brata. Ale niestety Gavin jest całkowicie pod jej pantoflem. Nie mogę doprawdy pojąć, jak on mógł się ożenić z taką wredną jędzą. No, choć dawniej była nawet dość atrakcyjna...

Gavin nigdy nie miał problemów z kobietami. Nie był co prawda mężczyzną, na którego leciały wszystkie, ale nie był też kimś, kogo omijałyby szerokim łukiem. Jakoś wszystko u niego przebiegało dosyć normalnie. Nic nie rzucało się w oczy po prostu. Gavin był przeciętny pod każdym względem. Samson wiedział, że większość ludzi irytowało określenie „przeciętny”. Ale nikt nie miał pojęcia, jak to jest być kimś, komu nic się nie udawało i kto czuł się stale deptany przez wszystkich. Kimś, kto właśnie był poniżej przeciętności.

- Twoja pani jest śliczna, tak uważam powiedział do Jazza. Nie podoba mi się tak jak Gillian, ale Gillian jest już, niestety, mężatką.

Jazz wydał z siebie głośne *hau*. Samson pogłaskał go po kudłatej głowie.

- Twoja pani dotychczas wcale mnie nie dostrzegała. Ale może to się zmieni już dzisiaj. Naprawdę nie musisz się obawiać. Dziś wieczorem znów ją zobaczysz.

Dotarli już do parkingu koło klubu golfowego. Stało tam tylko jedno auto, poza nim cały parking był zupełnie pusty w ten zimny, wczesny poranek. Tylko dlatego Samson odważył się na spacer wokół budynku klubu. Nie było w nim nikogo, wszystkie okna były ciemne. Na drzwiach wejściowych wisiał wielki plakat informujący o wielkim balu świątecznym, który miał się odbyć już w najbliższą sobotę. Organizatorem balu, co było wypisane na plakacie wielkimi czerwonymi literami, był znany londyński adwokat Logan Stanford. Najważniejszym punktem balu miała być loteria tombola, z której dochód miał być przeznaczony dla rosyjskich dzieci ulicy.

Samson znał Logana Stanforda. Nie osobiście, rzecz jasna. Znał go z licznych plotkarskich gazet, które tak lubiła czytać Millie i które leżały w domu dosłownie wszędzie. Stanford był adwokatem odnoszącym wielkie sukcesy, który w dodatku miał znakomite stosunki ze wszystkimi bogatymi i wpływowymi ludźmi w kraju, nawet z tymi z Downing Street. Dysponował tym, co najważniejsze, żeby stać się znanym: wpływami i pieniędzmi. A znany był także dzięki licznym imprezom charytatywnym, które organizował w całym kraju. Z tego powodu nosił nawet przezwisko „Miłosierny Stanford” i robił wszystko, żeby miało ono swoje uzasadnienie. Gromadził liczne i sute darowizny i faktycznie przekazywał je na rzecz wszystkich potrzebujących pomocy na świecie. A jednak Samson miał do niego jakieś zastrzeżenia, kiedy na kolorowych okładkach widział jego twarz krzyczącą *Hello!* Stanford robił na nim wrażenie bezkrytycznego, zadufanego i zapatrzonego przede wszystkim w siebie. A jego goście... Te ogromne tłumy, twarze po licznych liftingach, zastygłe maski z botoksu, drogie wieczorowe suknie, migocząca biżuteria, szampan na każde skinienie. To towarzystwo celebrowało przede wszystkim samo siebie, ale koniec końców w efekcie znajdowały się pieniądze dla tych, którym nie powiodło się tak dobrze jak brytyjskiej *upper class*.

- No i co z tego? odparła Millie, kiedy raz odważył się wyrazić swoje zdanie w tej sprawie. Gdzie jest problem? Oni przynajmniej coś robią. A jeśli jeszcze sprawia im to w dodatku przyjemność to komu to przeszkadza?

Nie potrafił jednak dokładnie określić, co go w tym raziło. Może było to przeświadczenie, że w gruncie rzeczy tym ludziom nie chodziło o biedę na świecie, tylko przede wszystkim o coś w rodzaju autopromocji. Jakoś nie mógł znaleźć związku między problemami rosyjskich dzieci ulicy a operowanymi w salonach piękności małżonkami ludzi, którzy znajdowali się na liście dziesięciu tysięcy najbogatszych przedsiębiorców w Anglii.

Ale może to był nonsens. Może ostatecznie rzeczywiście chodziło tylko o wynik, a nie o to, czy wszyscy biorący w tym udział mieli dobre intencje, czyste serca i z

przekonaniem oddawali się działalności charytatywnej. Tu Millie faktycznie miała rację: przynajmniej coś robili.

Samson dłuższą chwilę włóczył się w pobliżu budynku klubu golfowego i po parkingu, a potem odważył się w końcu zejść w dół ku rzece. Oczywiście cały czas istniało ryzyko, że natknie się na odchodzącą od zmysłów właścicielkę psa, ale niczym mu to nie groziło: w takim wypadku twierdziłby, że złapał psa i był właśnie w drodze do siebie do domu.

Dotarł na plażę nie niepokojony przez nikogo. Piasek był mokry i ciężki, a mgła wisiała nisko nad wodą wespół z ciemnymi chmurami. Nawet krzyk mew wydawał się przytłumiony. Nie było już tak zimno jak przed kilkoma dniami, ale Samson odbierał wilgoć jako coś gorszego od zimna. To wilgoć właśnie niepostrzeżenie zakradała się pod ubranie, docierając aż do szpiku kości. Pod jej działaniem człowiek nie tylko marzł, ale był osłabiony.

Szli wzdłuż plaży, mijając puste, pozamykane domki plażowe z kolorowymi fasadami i drewnianymi ozdobami na dachach. Dookoła nie było żywej duszy. Jazz wydawał się pogodzony z nową sytuacją. Dreptał obok Samsona, co chwila węszył wśród śmierdzących, wyrzuconych przez rzekę przedmiotów i podnosił tylną łapę, kiedy coś jego zdaniem pachniało interesująco. Wyglądało na to, że jest dobrej myśli.

Samson miał ochotę sam siebie spoliczkować za to, że nie przyszło mu do głowy, żeby zaparkować gdzieś tutaj swoje auto, w którym mógłby się od czasu do czasu ogrzać. Założył, że będzie czekać do późnego popołudnia, zanim pójdzie oddać psa. Im bardziej zdenerwowana i przestraszona będzie właścicielka Jazza, tym większa będzie jej wdzięczność. Ale on, Samson, do tego czasu niechybnie złapie grype.

Sam siebie zrobiłem w konia, a chciałem być przebiegły. No, typowe.

Po jakimś czasie, który wydawał mu się wiecznością, dotarli do miejsca, gdzie Tamiza uchodziła do Morza Północnego. Tu właśnie, koło Shoeburyness, ciągnęły się przepiękne plaże i rozległe łąki, a między nimi można było zobaczyć stare fortyfikacje, za pomocą których Anglia szykowała się w czasie ostatniej wojny do odparcia ewentualnej ofensywy niemieckiej. Samson znał tę okolicę. Gavin i on jako dzieci często się tutaj bawili, choć to miejsce było dość oddalone od Thorpe Bay. Gavin przyprowadzał tu swoich przyjaciół, a Samsonowi też wolno było brać udział we wspólnych zabawach. Bo przy tym upierała się jego matka. Inne dzieci co prawda trochę szemrały, ale w końcu się godziły. Już wówczas Samson dowiedział się, co to znaczy być nielubianym. Nieakceptowanym.

Myślał teraz o tym, co przedtem, jeszcze przy klubie golfowym, powiedział do Jazza wydawało się, że od tej chwili upłynęły całe godziny. Że jego pani bardzo mu się podoba. Dlaczego w ogóle przyszło mu do głowy, że musi wyjaśniać to Jazzowi? Bo tak naprawdę on wcale tak nie uważał?

No dobrze, nie można było powiedzieć, że *nie była* piękna, Ale mówiąc uczciwie, na jej widok serce nie biło mu szybciej niż zwykle. I nie była kobietą, wokół której

krażyły jego myśli, kiedy wieczorem leżał w łóżku, w słabym świetle latarni wpatrywał się w sufit i centymetr po centymetrze znów oglądał znaną od lat strukturę tynku, jego drobnych pęknięć i plam. Była tylko jedyną kobietą w sąsiedztwie, która była w jego wieku. Która w dodatku najwyraźniej nie była w jakimś stałym związku. Oczywiście Bartek znów uniesie w zdumieniu brwi do góry i spyta, dlaczego, do diabła, on się tak ogranicza. Dlaczego jedyna pasująca do niego kobieta, którą zauważył w czasie swych wędrówek po ulicach, była dla niego najwyraźniej jedyną kobietą na świecie? Bartek zaraz wspomniałby o Internecie i o innych możliwościach. Sprytnie, bardzo sprytnie, jak gdyby Samson już sam na to dawno nie wpadł. Nawet poznał w ten sposób kilka kobiet. Wszystkie spotkania wspominał jako męczące, niektóre jako pełne udręki. Nie miał pojęcia, co ma robić, żeby zainteresować sobą jakąś kobietę i zawsze po kilku minutach dostrzegał, jak jego vis-à-vis zaczyna się nudzić. I wtedy jąkał się jeszcze bardziej, i próbował mówić na najbardziej niemożliwe tematy. A gdy kobiety dowiadywały się, że mieszka z bratem i jego żoną, to dawały drapaką niemal dosłownie. Fakt, że był bezrobotnym, jeszcze tylko pogarszał sprawę.

Opuścili plażę, przeszli przez wielki parking koło klubu golfowego, latem zawsze zastawiony autami, a teraz zupełnie pusty, i skierowali się w stronę Gunners Park, rozległego terenu, który mimo licznych krzyżujących się tam dróg był zachowany w pierwotnym stanie i niemal nietknięty ręką człowieka. Łąki, pola, lasy, rozległe przestrzenie porośnięte trawą ciągnęły się daleko i swobodnie docierał tu wiatr znad Morza Północnego. Park, którego pewne części były niedostępne dla publiczności, stanowił rezerwat przyrody i był rajem dla gnieźdzących się tu licznych gatunków ptactwa. Był też ulubionym celem wycieczek mieszkańców okolicznych miast. Samson w szkolnych czasach był tu na wielu szkolnych wycieczkach, kończących się zwykle imprezą i grillowaniem. Nad ogniskami pieczono kiełbaski, w przyniesionych plastikowych opakowaniach były różnego rodzaju sałatki, a w butelkach sok jabłkowy. Podczas takich wycieczek wszyscy znakomicie się bawili i cieszyli dniem, który dane im było tu spędzić, i tylko Samson niecierpliwie wyczekiwał końca imprezy. Bo pośrodku tego tłumu rozbawionych ludzi czuł się wyizolowany. Siedział sam ze swoim pieczołowicie zapakowanym przez matkę plecakiem. Widział, że sposób, w jaki matka wyposażała go na takie wycieczki, świadczył o tym, jak bardzo go kochała i jak bardzo pragnęła, żeby syn spędził w parku przyjemne chwile. Ale to pragnienie z każdym rokiem stawało się coraz bardziej nierealne. Kiedy był małym dzieckiem, jego matka była w stanie zmusić inne dzieci, żeby się o niego troszczyły. Ale w starszych klasach szkoły podstawowej przestawało to działać. A już ostatecznie przestało, kiedy stał się pryszczatym nastolatkiem. I w jego kontaktach z dziewczynami matka też nie mogła mu pomóc.

Usiadł na ławce, a Jazz przycupnął u jego stóp. Mgła otoczyła ich ze wszystkich stron i skutecznie ograniczała widoczność. Morze znikło gdzieś w gęstym, mokrym welonie.

Samson myślał o Gillian Ward.

Właściwie od pewnego czasu myślał tylko o Gillian Ward, i to w sposób, w jaki nie należało myśleć o zamężnej kobiecie. Poprzedniego dnia zakradł się pod jej dom. Widział przyjeżdżającą, a potem wyjeżdżającą przyjaciółkę i rzucił szybkie spojrzenie na Gillian. Ostatnio inwestował niemal cały swój czas w Gillian.

- Nigdy nie starałbym się o nią jako o kobietę powiedział do Jazza bo ona jest mężatką i ma dziecko. Wardowie są rodziną jak z obrazka. Takiej rodziny nie wolno niszczyć.

Jazz przekrzywił głowę, zapewne w nadziei, że uda mu się cokolwiek zrozumieć z tego, co chciał mu powiedzieć Samson.

Rodzina jak z obrazka...

Samson był niemal śmiertelnie przerażony, kiedy w piątkowy wieczór zobaczył Gillian wchodzącą do Halfway House. Dlaczego ona tam w ogóle przyszła? I to bez swojej rodziny? I kim był ten mężczyzna, który jej towarzyszył? Samson nie znał go, nigdy go też nie widział w pobliżu rodziny Wardów. Już od pierwszego spojrzenia nie mógł znieść tego faceta. Ale jednocześnie próbował jakoś obiektywnie przeanalizować swoją niechęć. Czy był po prostu zazdrosny? Bo przecież od razu było widać, że w wypadku towarzysza Gillian chodziło o mężczyznę, który potrzebuje tylko kiwnąć palcem, żeby każda kobieta poszła z nim do łóżka, i tego dotyczyła zawiść Samsona. A może ten człowiek miał w sobie coś takiego, że podejrzliwość Samsona była usprawiedliwiona? Coś nieczystego, nieuczciwego? Coś nieszczerego? Tak Samson określiłby tego mężczyznę, któremu zarazem nie chciał wyrządzić krzywdy. Przecież ten człowiek przyszedł do pubu z kobietą, z którą Samson aż nazbyt chętnie też by gdzieś poszedł przynajmniej w swojej fantazji. Bo jeśli chodzi o świat realny, to Samson już przy samym wyobrażeniu sobie czegoś takiego umierał niemal po tysiąc razy. Siedzieć z nią przy stole, wypić kieliszek wina, rozmawiać, ależ to było niemożliwe, bo ona by natychmiast zauważyła, jaki on jest beznadziejny i nędzny. Przecież nie potrafił dyskutować, nie był w ogóle dowcipny ani interesujący. I często plątał mu się język, jękał się i zarzynał puentę każdego dowcipu o ile udało mu się w ogóle dobrnąć do puenty. Zauważył już u kilku kobiet, że kiedy z nimi przebywał, one prędzej czy później zaczynały zerkać nieznacznie na zegarek i mniej albo bardziej skutecznie ukrywały ziewnięcia. Pot występował mu wtedy na czoło i ogarniała go rozpacz. Nie wyobrażał sobie, że coś takiego mogłoby mu się przydarzyć z Gillian. Przypuszczał, że wówczas zacząłby rozmyślać o samobójstwie.

A więc musiał się teraz zająć panią Jazza. Zobaczymy, czy coś z tego będzie. Gdybyż to tylko nie trwało tak długo! Spojrzał na zegarek. Dziewiąta rano.

Przed zapadnięciem ciemności nie należało się u niej zjawiać.

Przeklął swój pomysł. Z którego ostatecznie i tak pewnie nic nie wyjdzie.

O godzinie dwunastej Millie kończyła pracę i natychmiast ruszała do domu. Nie zostawała ani sekundy dłużej w domu opieki dla osób starszych, w którym pracowała, jeśli tylko nie było to konieczne. Z trudem znosiła panującą tam woń. I widok starych, niedołączonych ludzi. Nieskładne zdania, bezsensowną gadaninę chorych na demencję starczą. Długie korytarze, obrzydliwe linoleum na podłodze. Widok wielkiego wózka na kółkach, na którym już przed południem wieziono do pokojów pensjonariuszy jedzenie. Millie uważała to jedzenie za tak obrzydliwe, że często potem w domu już nie mogła nic jeść przez cały dzień, bo zawartość plastikowych talerzy i misek po prostu odbijała jej się w żołądku. Przynajmniej dzięki temu mogła być szczupłą, i to była chyba jedyna zaleta jej zawodu. Zdawało jej się, że starzała się w przyspieszonym tempie, ale przynajmniej miała świetną figurę. Czasami kręciła się przez pół godziny przed lustrem w swojej sypialni, żeby poprawić sobie nastrój i dzięki temu nie wpaść w depresję. Widok własnego ciała w obcisłych dżinsach i głęboko wyciętych topach mógł jej z pewnością nieco poprawić humor.

Musiała jechać pociągiem z Tilbury do Thorpe Bay. Gavin i ona mogli sobie pozwolić tylko na jedno auto i przeważnie jeździł nim Gavin, bo inaczej musiałby wstawać jeszcze wcześniej, żeby zdążyć na pierwszą zmianę. Millie bardzo drażnił fakt, że Samson miał własny samochód i w dodatku przeważnie zostawiał go przed domem. Pytała samą siebie, jaki diabeł doradził zmarłej matce obu braci zapisanie auta w spadku temu nieudacznikowi. Gavin wyjaśnił jej, że matkę i Samsona łączył bardzo głęboki związek i że ona sądziła, że musi się o niego troszczyć i chronić go w sposób szczególny.

- On był trudnym dzieckiem. Zawsze sam, zawsze zamknięty w sobie. Wszystko jedno, do czego się brał, nigdy nie szło to tak, jak powinno. Zawsze był niezdara, a w dodatku miał problemy z nawiązywaniem kontaktów. I to począwszy od przedszkola. Zanim nasza matka zmarła, przed śmiercią dręczyła ją myśl, co będzie z Samsonem.

Już na samo wspomnienie tej rozmowy Millie jeszcze teraz wykrzywiła twarz.

To przecież było takie niesprawiedliwe! Gavin miał zawód. Gavin miał żonę. Gavin zachowywał się całkiem normalnie. I kto dostał auto? Jego mały brat, który każdemu w swoim otoczeniu działał na nerwy.

Podróż kolejną trwała wieki i Millie ciągle musiała odpędzać myśl, jak szybko mogłaby dotrzeć do domu autem. A wtedy była jeszcze bardziej wściekła, choć wiedziała, że to ta wściekłość żłobiła głębokie zmarszczki na jej twarzy i nadawała jej wyraz goryczy.

Wściekłość ją postarzała.

Dreptała ulicą do domu, a z dworca był to spory kawałek. Wieczorami i wcześniej rano w oknach i na drzwiach domów błyszczały i migotały liczne ozdoby

święteczne, ale teraz, w południe, dookoła panowała niemiła atmosfera mglistego grudnia. Jesienią kolorowe liście krzewów i drzew rosnących w ogrodach wprost żarzyły się czerwienią i złotem, teraz jednak drzewa były czarne, od dawna łyse i przez to tworzyły ostry kontrast z ołowianym niebem. Mgła nie stała się już tak nisko nad ziemią i chyba rzeczywiście po południu można było liczyć choć na kilka bladych promieni słońca. Ale ponieważ tak wcześnie robiło się ciemno, z pewnością będą to bardzo krótkie chwile. Millie schowała głowę w ramiona. Gdyby miała pieniądze, prawdziwe, duże pieniądze, wyemigrowałaby stąd. Tam, gdzie zawsze jest ciepło i słonecznie.

Kobietę, która szła w przeciwnym kierunku, zarejestrowała chyba tylko w podświadomości, choć była to jedyna osoba, która oprócz niej znajdowała się teraz na ulicy. Millie drgnęła przestraszona, kiedy kobieta nagle zwróciła się właśnie do niej:

- Przepraszam panią! Jasny, wysoki głos. Nieco ostry. Pełen rozpacz.

- Tak? Millie się zatrzymała.

- Szukam mojego psa. Kobieta miała szeroko otwarte oczy, potargane włosy. Jej nos błyszczał od potu, co wskazywało na to, że pewnie już od dłuższego czasu biegała po osiedlu. Była zgrzana i wydawała się całkowicie wyczerpana.

- Jazz. Mieszaniec owczarka niemieckiego, dość duży, długowłosy. Może go pani widziała?

Millie nie przepadała za psami.

- Nie. Dopiero co przyjechałam pociągiem z Tilbury.

- Uciekł mi dzisiaj rano. Było jeszcze dość ciemno i... Nie rozumiem, on jeszcze nigdy czegoś takiego nie zrobił!

Millie zauważyła z zawiścią, że kobieta była mniej więcej w jej wieku, ale nawet w stanie rozpacz jej twarz była o wiele gładsza, świeższa i młodsza. Przypuszczalnie wykonywała zawód, który sprawiał jej przyjemność.

- Nie widziałam żadnego psa. Jak coś zauważę, mogę pani dać znać, Mrs...

- Miss Brown, Michelle Brown. Młoda kobieta wyjęła z kieszeni płaszcz kawałek papieru oraz długopis i szybko napisała kilka cyfr.

- Mój numer telefonu. Proszę, jeśli pani... On jest dla mnie wszystkim.

„Czyli jednak nie tak całkiem szczęśliwe życie” pomyślała Millie. Schowała kartkę, skinęła głową w kierunku Michelle i ruszyła w drogę. Mało prawdopodobne, że zobaczy tego psa.

Auto Samsona stało na podjeździe. Wszedł więc rano z domu, ale znów zostawił samochód. Millie kiedyś go o to zapytała, a on odrzekł, że benzyna jest dla niego za droga. To rzeczywiście był argument. Zwłaszcza u bezrobotnego.

Otworzyła drzwi. Przypuszczała, że szwagra nie było w domu. Od kilku miesięcy wychodził wcześnie rano i wracał późno, ale w gruncie rzeczy jej to odpowiadało.

Ale jednocześnie nastrojało ją nieufnie i podejrzliwie. Co on, do diabła, robił przez cały dzień?

Nie wierzyła mu, kiedy mówił, że szuka pracy. Już choćby dlatego, że to w żadnym wypadku nie wymagało przebywania poza domem niemal przez cały dzień. Zgodnie z jej wiedzą poszukiwanie pracy polegało głównie na pisaniu aplikacji, i to całymi dniami, aż do bólu palców. Samson siedział wprawdzie często do późna w nocy przed swoim komputerem, ale właściwie po co, skoro równie dobrze mógłby to samo robić za dnia. I kolejna sprawa: jeśli ktoś szuka pracy i nie może jej znaleźć, to zwykle otrzymuje odmowy. Pisemne odmowy dostarczane przez pocztę. Oczywiście, to i tamto można było załatwić poprzez e-maile, ale wszystko? Nigdy w życiu! A właśnie Millie była tą osobą, która często zaglądała do skrzynki pocztowej i ją opróżniała. I już od miesiący nie przyszło nic, co byłoby adresowane do Samsona. Jedna czy dwie reklamy, które abonował w jakiejś firmie jeszcze w lepszych czasach. Ale nie było wśród tych przesyłek żadnego listu, choćby z najodleglejszego miejsca, który można by zidentyfikować jako odmowę aplikacji o pracę.

Spojrzała na zegarek. Kwadrans po pierwszej. Za pół godziny przyjdzie na obiad Gavin, który dziś także wcześniej kończy zmianę. Ale na razie miała chwilę czasu i mogła coś rozmrozić. Jedną z niewielu pozytywnych stron wspólnego zamieszkiwania z Samsonem był fakt, że od czasu pracy w serwisie mrożonek stale miał na nie rabat.

Zdecydowała się szybko i weszła po schodach na górę. Już kilka razy weszła w pokój Samsona pod jego nieobecność i uspokajała swoje sumienie, wmawiając sobie, że on jest jednak obłąkany, więc dla niej i dla Gavina ważne jest, żeby zdobyć na jego temat jakieś bliższe informacje. Gavin dorastał razem z Samsonem, brat był mu bliski. Dlatego nie był w stanie dostrzec, że Samsonowi brakowało piątej klepki. Ale ona, Millie, czuła to od pierwszego momentu. Już kiedy Gavin dawno temu przedstawił jej Samsona, jej pierwszą instynktowną myślą była ta, że z tym facetem coś jest nie w porządku. I jej przekonanie, że miała rację, z roku na rok było coraz bardziej niezachwiane.

Zawołała szwagra po imieniu, a kiedy nie otrzymała żadnej odpowiedzi, weszła do jego pokoju. Choć znała to pomieszczenie od lat, z niechęcią potrząsnęła głową. To był pokój nastolatka, a nie mężczyzny w wieku trzydziestu pięciu lat.

Wąskie łóżko, w którym sypiał jeszcze jako chłopak. Proporczyk klubu piłkarskiego na ścianie choć z tego, co wiedziała Millie, Samson nigdy nie grał w żadnym klubie. Na regale książki przygodowe. W oknie zasłony w kwiatki, uszyte kiedyś jeszcze przez jego matkę.

Pokój był starannie posprzątany. Nigdzie ani śladu kurzu. Kapa na łóżku ułożona równo w kant. Millie pytała samą siebie, jak to ostatnie mu się udawało próbowała to zrobić na łóżku swoim i Gavina, ale nigdy nie osiągnęła podobnej perfekcji.

Spojrzała na półki, zerknąwszy uprzednio przez okno, które wychodziło na ulicę, dzięki czemu mogła zobaczyć, czy Samson przypadkiem nie wraca wcześniej do domu. Choć wszystko wskazywało na to, że znów wróci dopiero wieczorem.

Otworzyła drzwi szafy na ubrania. Klasyczna młodzieżowa szafa z jasnego drewna. W środku równiutko poukładane swetry, kilka koszul, dżinsy. Wszystko porządne i solidne. Millie w ogóle się nie dziwiła, że Samsonowi nie udało się znaleźć kobiety. Pomijając już jego nieśmiałość oraz skłonność do jąkania się i czerwienienia, także jego sposób ubierania się był tego przyczyną. Bo wyglądał jak mały chłopiec. Millie nie zdziwiłaby się, gdyby się dowiedziała, że większość ubrań kupiła mu bądź uszyła jeszcze jego matka.

Tym jednak, co ją najbardziej interesowało, był stojący na biurku komputer. Samson kupił go wtedy, kiedy pracował w serwisie limuzyn i całkiem nieźle zarabiał. Spory, płaski ekran. Komputer był jedynym przedmiotem, który wnosił do tego staroświeckiego pomieszczenia jakieś tchnienie nowoczesności.

Samson, o ile nigdzie nie wychodził, siedział przy komputerze całymi godzinami. Ale Millie nigdy nie udało się ustalić, co on właściwie wtedy robił. Kilka razy weszła do pokoju nagle i bez pukania, ale stwierdziła, że szwagier potrafił zareagować błyskawicznie: obojętne czym się zajmował, zawsze zdążył szybko kliknąć w klawiaturę, zanim Millie mogła spojrzeć w monitor.

Wiedziała, że to, co teraz zamierzała zrobić, było w najwyższym stopniu naganne, ale uspokoiła wyrzuty sumienia stwierdzeniem, że dla niej i dla Gavina bardzo ważne było ustalenie, czym naprawdę się zajmuje i na co traci czas Samson. W końcu mieszkali pod jednym dachem, nie można więc było pozwolić sobie na lekkomyślność. Może surfował po stronach internetowych z pornografią dziecięcą. A ona i Gavin chcieli w końcu kiedyś mieć dziecko. Wyjaśnić możliwość takiego niebezpieczeństwa to był wręcz jej obowiązek.

Włączyła komputer, usłyszała cichy szum. Szybkie spojrzenie w okno, ciągle ani śladu Samsona. Ekran zamigotał na niebiesko. I tak, jak się obawiała, otworzyło się okno i pojawiło pytanie o hasło.

No jasne, całkiem głupi to on nie był. Millie rozmyślała gorączkowo. Większość ludzi używa jako hasła imienia bliskiej im osoby. Dzieci, małżonków, nawet zwierząt domowych. Ale niestety w życiu Samsona nikogo ani niczego takiego nie było. Jego jedynym żyjącym krewnym był brat. Na próbę Millie wklepała słowo „Gavin”, ale komputer nie zareagował.

„Mojego imienia chyba nie użył pomyślała cholera, kogo on jeszcze może znać?”. Przy takich zaburzeniach w nawiązywaniu kontaktów, jakie miał jej szwagier, było to nader trudne pytanie. Jednak z drugiej strony liczba takich osób zwykle bywa bardzo ograniczona.

Samson miał przyjaciela jeszcze z czasów pracy w serwisie limuzyn, z którym spotykał się czasem w piątki w pubie nad rzeką. Jak też się nazywał ten przyjaciel? Ach prawda, Bartek. Wpisała słowo „Bartek”. Próba nieudana.

Millie jednak nie rezygnowała. Właściwie pierwszy raz odważyła się na coś takiego. Podejść do jego biurka. Usiąść przy jego komputerze. Spróbować go włączyć i do niego zajrzeć. Musiała pomyśleć. Działać logicznie. O ile Samson nie użył jakiegoś słowa wziętego wprost ze świata fantazji albo kombinacji cyfr, to prędzej czy później musiało się udać złamać zabezpieczenie.

Rozejrzała się po pokoju, jak gdyby białe ściany i czysta, szara wykładzina dywanowa mogły dać jej jakąś wskazówkę. Szafa na ubrania, pełna odzieży i swetrów, które kiedyś zrobiła na drutach mama. Zastłonki w oknie, które uszyła mama. Przygodowe książki na regale, które kiedyś kupiła mama i których on nie wyrzucił, choć już od dawna ich nie czytał. O tym właśnie opowiadał jego pokój: o ogromnej miłości między Samsonem i jego matką. Miłości, która przetrwała mimo śmierci matki. Pokój opowiadał o bezgranicznej wprost trosce tej kobiety o syna, o jej trudnym, tak bardzo doświadczonym przez cierpienie dziecku. I o bólu, jaki to dziecko w sobie do dziś nosiło po stracie jedynej bliskiej osoby w życiu.

Imię nieżyjącej teściowej Millie brzmiało Hannah.

Powoli wklepała to słowo. Komputer otworzył się z melodyjnym dźwiękiem.

- Co ty, na miłość boską, tutaj robisz? rozległ się głos za jej plecami.

Odwróciła się gwałtownie. W otwartych drzwiach stał Gavin i patrzył na nią z przerażeniem.

Millie natychmiast wyłączyła komputer i wstała. A ponieważ zawsze wychodziła z założenia, że atak jest najlepszą obroną, odpowiedziała pytaniem:

- Czy zawsze musisz się tak skradać?

- Jak możesz grzebać w komputerze mojego brata? spytał Gavin wstrząśnięty.

W odpowiedzi lekceważąco wzruszyła ramionami i dodała:

- Uważałam to za konieczne ze względu na nasze bezpieczeństwo.

- Bezpieczeństwo? Jakie bezpieczeństwo? Samson muchy by nawet nie skrzywdził!

- A skąd wiesz? Czy masz pojęcie, czym on się zajmuje wieczorem, kiedy godzinami tkwi przed komputerem? Może ściąga sobie pełne przemocy gry. Albo ogląda filmy porno.

- Jest dorosłym mężczyzną. Może sobie oglądać, co chce.

Przecisnęła się koło niego i zeszła po schodach. Wiedziała, że chcąc nie chcąc, Gavin pójdzie za nią.

- Ja to widzę inaczej oświadczyła. Samson ma jakieś zaburzenia psychiczne, a na takich ludzi trzeba mieć oko. I na to, co wyprawiają. A może chcesz, żeby twój brat któregoś dnia w amoku pojawił się w jakiejś szkole albo coś podobnego?

- Dlaczego niby miałyby coś takiego zrobić?

Dotarli oboje do kuchni. Millie otworzyła zamrażarkę, wyjęła paczkę z gotowym daniem i rzuciła ją gwałtownie na stół. Gavin drgnął przerażony.

- Albo nie czytasz gazet, albo nie rozumiesz, co tam piszą. Jeśli chodzi o większość ludzi, którzy nagle dostawali napadu szaleństwa i masakrowali innych, to ich krewni stwierdzali potem ze zdumieniem, że nigdy nie spodziewaliby się po nich czegoś takiego. Ale jeśli trochę podrażnić sprawę, to okazuje się, że taka osoba już znacznie wcześniej zachowywała się dziwnie i gdyby inni wcześniej się tym zainteresowali, nie doszłoby do wielu tragedii.

- Ależ Samson...

- Chodzi tylko o trochę zapobiegliwości, tak na wszelki wypadek. Miała ochotę spoliczkować sama siebie za to, że była tak nieostrożna i dała się złapać Gavinowi. Jeżeli on teraz powie coś Samsonowi, to ten natychmiast zmieni hasło i tym razem wymyśli takie, jakiego ona nigdy nie będzie w stanie odgadnąć. Z drugiej strony instynktownie czuła, że Gavin będzie trzymał buzię na kłódkę nie znała kogoś bardziej unikającego konfliktów niż on. Z pewnością dobrze się zastanowi, zanim doleje oliwy do ognia, coś powie i pogorszy i tak już nie najlepsze stosunki między żoną a bratem.

- To co, będziesz dalej lamentował, czy chcesz, żebym ci coś ugotowała do jedzenia? spytała zimno.

Wydawało się, że zamierza coś odpowiedzieć, ale zrezygnował. Był zmęczony. Dzień zaczął się dla niego bardzo wcześnie: już o piątej rano. Dziś woził swoim autobusem do szkoły krzyczące dzieci i wprost ryczące nastolatki. Czuł się wykończony i ona doskonale czytała z jego twarzy, jak bardzo chciał mieć ten temat z głowy, bo po prostu brakowało mu energii, żeby wszczynać kolejną kłótnię.

- Jeść powiedział posłusznie jak dziecko.

Wtorek, 8 grudnia, godz. 22.10

Nie jest inna niż pozostałe kobiety. Ani odrobinę. Michelle Brown. Teraz znam już jej nazwisko, znam też jej charakter. Jest arogancka, zarozumiała, niewdzięczna. A poza tym wcale nie jest ładna, w każdym razie widać to, gdy się stoi tuż przed nią. Z większej odległości wygląda o wiele lepiej. Była trochę zapłakana i dlatego miała plamy na twarzy, a jej szminka na ustach i tusz na rzęsach kompletnie się rozmazały. Jak to porównam z Gillian Ward! Ostatnio w Halfway House Gillian też była zapłakana, ale nie zaszkodziło to nic jej urodzie. Raczej sprawiało, że wydawała się eteryczna, delikatna, wprost chciało się wziąć ją w ramiona i chronić przed wszystkim. Michelle Brown nigdy nie mógłbym wziąć w ramiona. Ona w ogóle nie jest w moim typie. Ale mimo to nie było najmniejszego powodu, żeby potraktować mnie tak wyniośle.

Siedzę teraz tutaj i mam na szyi swój wełniany szal, przede mną stoi wielki kubek gorącego soku cytrynowego z miodem. Czuję, że złapię przeziębienie. W ogóle nie mogę się rozgrzać. Wszystko wskazuje na to, że za przygodę pod tytułem Michelle Brown będę musiał zapłacić grypą.

Byłem u niej już o wpół do szóstej. O wpół do piątej ruszyłem w drogę powrotną, dłużej mimo najlepszych chęci nie mogłem już wytrzymać w Shoeburyness. Czuję zimno po prostu we wszystkich kościach, zdawało mi się, że poruszam się jak starzec. Byłem potwornie głodny, ale do centrum Shoeburyness było za daleko, no i nie wiem, gdzie tam jest jakiś supermarket. Latem można kupić na plaży coś do jedzenia, ale w grudniu oczywiście nie. Powinienem być o tym pomyśleć i zabrać z sobą jakąś kanapkę, ale Millie tak często powtarza, jaki jestem głupi, że to aż przykre, i prawdopodobnie ma rację. Miałem z sobą tylko mały kawałek kiełbasy, ale to było dla Jazza, i chociaż robiło mi się już niedobrze, odmówiłem sobie tego smakowitego kąska. Choćby dlatego, że przynajmniej Jazz był tak miły i sympatyczny i wszystko tak cierpliwie znosił, bo przecież też marzył. I chyba obawiał się, że już nigdy nie zobaczy swojej pani. Aż miałem wyrzuty sumienia, jeśli o niego chodzi. Dlatego to on dostał kiełbasę, a nie ja. Już od samego zapachu zrobiło mi się niedobrze. Ze zdenerwowania mało co zjadłem na śniadanie.

Jakiś czas spacerowałem po plaży. Byłoby przyjemnie, gdyby nie to okropne zimno. Zrobiło się ciemno, fale huczały tajemniczo w mroku. Mgła nieco się rozproszyła i widać było, że mimo wilgoci szykuje się ładny dzień. Nawet mogłem sobie popatrzeć na zachód słońca. Czerwone zimowe słońce zniknęło powoli za horyzontem, w szarozółtym smogu nad Londynem. A wszystko na tle ciemnych wód rzeki, po której powoli płynęła w stronę ujścia barka. Kiedy się odwróciłem, na wydmie zobaczyłem w ostatnich promieniach wysokie, chwiejące się na wietrze trawy. Cudowna, pełna melancholii atmosfera. Chciałbym, żeby Gillian była tam ze mną. Chciałbym móc dzielić z nią ten osobliwy nastrój.

O wpół do szóstej zadzwoniłem do drzwi tej Brown, kiedy dowlokłem się tam na ostatnich nogach przez całą plażę z powrotem do Thorpe Bay. Gwałtownie otworzyła drzwi

i stanęła naprzeciw mnie, patrzyła na Jazza, który machał ogonem jak szalony, a potem dosłownie chwyciła go w ramiona, to znaczy ona kucnęła na ziemi, a on skomlał, przebierał łapami, lizał ją po zapłakanej twarzy, a na mnie z początku nikt nie zwracał uwagi. Wreszcie ona się podniosła. Miała jeszcze bardziej potargane włosy i była jakoś... zakłopotana.

Nie wiem, czego się spodziewałem. Ostatniej nocy wyobrażałem sobie czasem, że ona mnie spontanicznie obejmie. Rozpromieniona. Pełna wdzięczności. Ale ona była pełna zahamowań. Może najchętniej zatrzasnęłaby mi drzwi przed nosem, skoro odzyskała swój klejnot, ale na to była oczywiście zbyt uprzejma.

- Gdzie go pan znalazł? spytała.

Zrobiłem nieokreślony ruch ręką w kierunku rzeki.

- Byłem na spacerze. Poszedłem daleko, w stronę morza, byłem już prawie w Shoeburyness i nagle on do mnie przybiegł.

Kiedy to mówiłem, czułem, że zaczynam się czerwienić, i to coraz bardziej. Miałem nadzieję, że Michelle nie zauważy mojego zakłopotania.

Patrzyła na mnie bezradnie.

- Ale czego on tam szukał? Nie rozumiem... Nie rozumiem, dlaczego uciekł. Nigdy przedtem tego nie robił.

- Może poczuł albo zobaczył innego psa i pobiegł za nim wyraziłem swoje przypuszczenie.

Nie wydawała się przekonana, ale oczywiście nawet przez myśl jej nie przeszło, że wszystko mogło wyglądać zupełnie inaczej.

- Jak dobrze, że ma przy obroży tabliczkę z moim adresem i numerem telefonu powiedziała Michelle. Bo inaczej niełatwo by panu przyszło mnie znaleźć. Choć oczywiście zgłosiłam zaginięcie psa na policji i w związku kynologicznym. W najgorszym wypadku tam by się pan dowiedział, do kogo on należy.

Nie miała pojęcia, jak dobrze ją znałem. Jej uwaga sprawiła mi przykrość: dobre pół roku mijaliśmy się w pewnej odległości każdego ranka, kiedy wychodziła z psem na spacer, i najwyraźniej wcale mnie nie widziała. Ani słowa w stylu: ach, czy to nie pana spotykam niemal codziennie rano na spacerze?

Zamiast tego traktowała mnie jak kogoś zupełnie obcego. Typowe: kobiety w ogóle mnie nie dostrzegają. A jeśli nawet, to zapominają o mnie już w następnej sekundzie. Jestem człowiekiem, którego nawet nie zaszczycają kolejnym spojrzeniem, co najwyżej jakąś kpiącą myślą. Tak już jest. W najbardziej beznadziejnych chwilach wiem, że tu nigdy nic się nie zmieni.

- No w każdym razie cieszę się, że go znalazłem i mogłem przyprowadzić do pani. To bardzo miły pies!

- On jest dla mnie jak dziecko powiedziała Michelle miękko.

Byłem potwornie przemarznięty i miałem nadzieję, że zaprosi mnie chociaż na kawę. Oczywiście nie zdawała sobie sprawy, jaki ciężki dzień miałem za sobą, ale w końcu

przyprowaǳiłem do niej „jej dziecko”! Czy już samo to nie było warte kawy?

Staliśmy przed sobą nieco zakłopotani i w końcu Michelle powiedziała:

- A więc, jeszcze raz wielkie ǳięki, Mr...

- Segal, Samson Segal.

- Mr Segal. Jestem Michelle Brown. Czuję przeogromną ulgę. Ten ǳień był dla mnie okropny. W myślach widziałam już Jazza przejechanego albo uprowadzonego gdzieś, gdzie przeprowadza się eksperymenty na zwierzętach. Wyobrażenia podsuwała mi przed oczy straszne obrazy..

- A więc ǳyczę wam teraz obojgu miłego wieczoru powiedziałem i odwróciłem się, żeby odejść. A ona mnie nie zatrzymała.

Nie zawołała do mnie raz jeszcze, że mi ǳiękuje, kiedy byłem przy furtce.

I to wszystko. Kiedy już na ulicy obejrzałem się, zobaczyłem, że zamknęła drzwi.

A ja stałem tam. Zmarznięty. Głodny. Całkowicie wyczerpany. Za nic. Najgorsze jest to, że w takich sytuacjach zawsze myślę, że coś takiego zdarza się tylko mnie. Że to wszystko moja wina, a nie czyjaś. Wyobrażam sobie, jak na przykład Bartek przyprowadziłby tego psa i jak by to rozegrał. Bartek, ze swoimi czarnymi włosami, ciemnoniebieskimi oczami, wyzywającym spojrzeniem i lekkim akcentem. Bartek, który zaraz jest w lepszej formie, jeśli tylko widzi przed sobą kobietę. Który potrafi być dowcipny i szarmancki i który budzi ogólną sympatię. Jego na pewno zaprosiłaby do domu. Może wypiliby zaraz prosecco z okazji szczęśliwego powrotu psa do domu, może nawet Michelle zapaliłaby kilka świec albo ogień na kominku, jeśli w ogóle ma kominek. Bartek nie musiałby wlec się do domu jak obsikany pudel.

Oczywiście dzięki takiemu zachowaniu dowiedziałem się mnóstwo o samej Michelle Brown. Mężczyźnie takiemu jak Bartek rzuciłaby się pewnie na szyję, a mnie odprawia jak namolnego domokrążcę. Jak gdybym próbował wcisnąć jej prenumeratę jakiejś gazety. Takie zachowanie w ogóle dużo mówi o kobietach. Większość z nich jest niestety tania. Czarne pasma włosów, które niby przypadkiem spadają na czoło, wschodnioeuropejski akcent i już można dostać wszystko, czego tylko mężczyzna zapragnie. Bartek nie jest złym chłopem, ale jest dosyć płytki i zawsze patrzy tylko za własnym interesem. A we mnie jest tyle głębi. Ja mógłbym kobiecie dać o wiele więcej uczucia i ciepła, ale kobiety musiałyby mi dać szansę, żebym mógł im to udowodnić. Mama też mi to zawsze mówiła. Samson to mężczyzna, którego docenia się później, tak zawsze mówiła. Z wielkim sercem, ale to trzeba umieć odkryć.

Ale to nie jest potrzebne kobietom. Widzą nieśmiałego człowieka, który lekko się czerwieni i któremu dowcipne uwagi nie przychodzą do głowy natychmiast. Jak słyszą, że jest się bezrobotnym, to wtedy koniec. Kobietom chodzi tylko o pieniądze. Michelle jest pewnie taka sama. Patrzyła na mnie taksująco. Zauważyła, że moje ubranie nie jest drogie, za to dość znoszone. Iz tego powodu byłem w jej oczach skończony. Dobry tylko do tego, żeby złapać jej psa i przyprowadzić go do niej. Ale żeby mnie na chwilę zaprosić do domu, na to się już nie zdobyła.

Jest taka sama jak wszystkie. Te wszystkie przeklęte kobiety, które mężczyźni pokazują, kim jest w ich oczach: zwykłym śmieciem. Niczym.

Myślę, że nienawidzę Michelle. Nienawidzę każdego, kto zadaje mi ból.

Środa, 9 grudnia

1.

„Nawet najdłuższa noc kiedyś się kończy” myślała Anne.

Była szósta rano, kiedy wreszcie ustąpiło jej napięcie. Za oknem ciągle panował głęboki, czarny mrok i tak miało być jeszcze przez następne dwie godziny, lecz Anne zawsze wstawała o szóstej rano; w każdy dzień powszedni, żeby iść do gabinetu, a także w czasie weekendów, żeby bez przeszkód malować dwie godziny, zanim zacznie przygotowywać śniadanie. Nieważne, czy było ciemno czy jasno, dla niej dzień zaczynał się zawsze o szóstej rano. Lubiła się budzić, kiedy inni jeszcze spali. Ale teraz, kiedy mieszkała zupełnie sama w tym domu w lesie, niemal nie doznawała już uczucia, że porusza się w błogiej ciszy. Szmery, odgłosy i szepty lasu słyszała nocą jako coś zupełnie innego niż za dnia, a widok ciemnego lasu nocą nie był tym samym, co patrzenie na milczące, ciemne domy. Tu, w tej samotności, niebezpieczeństwo polegało na tym, że dzień i noc, sen i jawa stapiały się w jedno, tworząc niesamowitą całość. Zwłaszcza w tym ciemnym czasie przed świętami Bożego Narodzenia.

Ostatnią noc Anne spędziła w salonie. Zawinięta w ciepły koc piła małymi łykami mleko i próbowała uspokoić roztrzęsione nerwy. Poprzedniego wieczoru poszła spać o wpół do jedenastej, pół godziny jeszcze czytała w łóżku, a potem szybko zasnęła, jednak w środku nocy nagle się obudziła i przez ułamek sekundy obserwowała światło samochodowego reflektora przesuwające się po ścianie sypialni i słuchała hałasu silnika. Za chwilę światło zgasło i silnik ucichł.

Gdzieś tam w zimnej grudniowej nocy stał samochód. Siedział w nim człowiek i... i co? Co ktoś miał robić na tej polanie, tak daleko od ludzkich siedzib? Obserwować jedyny na tym pustkowiu dom stojący w ogrodzie, pośród łysych drzew owocowych? Po co?

Leżała w łóżku, nasłuchując gwałtownych uderzeń serca, ale wiedziała, że to nie był sen. I że niczego sobie nie wmawiała. Zbyt często się to działo w ostatnim czasie. Powinna zacząć brać to poważnie. Nawet nie mając najmniejszego pojęcia, o co tutaj chodziło, ani czym było owo *to*.

Świecące cyfry jej radiowego budzika obok łóżka wskazywały prawie wpół do pierwszej.

W końcu pozbierała się, wstała i podeszła do okna. Tu na górze też były okiennice, ale nigdy ich nie zamykała. Poruszała się powoli, żeby nikt nie mógł jej zobaczyć z zewnątrz, i wyjrzała ostrożnie. Słabe światło księżyca zza chmur. Nie

mogła niczego dostrzec, ani samochodu, ani choćby czyjegoś cienia. Ale wiedziała, że ktoś tam był. Że ktoś tam czekał, oddychał.

Przez chwilę rozważała, czy nie zadzwonić na policję. Mieszkam tutaj w środku lasu, w dawnej leśniczówce. Samochodem to może dziesięć minut drogi od Tunbridge Wells. Na zewnątrz stoi samochód. Sądzę, że ktoś obserwuje mój dom. Trwa to już od kilku tygodni. Widzę światła, kiedy samochód tutaj się zbliża. Gdy jedzie po wyboistej leśnej drodze, innego dojazdu tutaj nie ma. A potem reflektory gasną. Auto musi gdzieś tu stać. I nie wiem, czego może chcieć kierowca. Czego on chce ode mnie.

Już dwa razy sięgnęła po słuchawkę telefonu i dwa razy ją odłożyła. Pomyślała, że to wszystko będzie brzmiało jak brednie zdziwaczalnej starej kobiety. Mogła sobie wyobrazić, jakie wrażenie by to wywarło: starsza pani, tuż przed siedemdziesiątką, na tyle zdziwaczała, że zamieszkała w takim miejscu, na tym pustkowiu zapomnianym przez Boga i ludzi.

Owdowiała. Nieco strachliwa w stosunku do ludzi. Maluje kolorowe, szalone obrazy. A teraz wmawia sobie światła samochodowych reflektorów. I hałas silnika.

Włożyła w końcu dres do joggingu i zeszła na dół. Na parterze okiennice były mocno pozamykane. Dawniej Anne zostawiała je przeważnie otwarte. Ale od kiedy zaczęły się dziać te dziwne rzeczy, już się na to nie odważała.

Przynajmniej nie mogła stąd zobaczyć nikogo, kto był na zewnątrz. Zapaliła wszystkie światła, włączyła telewizor. Głosy. Słyszeć kogoś. Upewnić się, że nie jest sama na tym świecie.

Zagrzała sobie mleko, zdziwiła się, że tak marznie, i zawinęła się w wełniany koc. Nie mogłaby już zasnąć tej nocy, to było dla niej jasne. Zupełnie rozbudzona patrzyła na zmianę to w telewizor, to na ścianę, podczas kiedy ktoś tam siedział na zewnątrz i przypuszczalnie gapił się na jej dom. Wiedziała, że przez szpary w okiennicach widać było światło w domu. Kimkolwiek był ten obcy, mógł teraz zobaczyć, że ona nie spała. Ale czy ten fakt miał dla niego jakieś znaczenie, tego nie potrafiła powiedzieć.

Rankiem koszmar utracił swoje ostre kontury. Anne postanowiła pojechać do miasta i zawieźć na pocztę kilka paczek z prezentami świątecznymi dla przyjaciół. Wiedziała, że codzienna normalność przepędzi nocne strachy, pozwoli jej dostrzec jako coś prawie irracjonalnego. Cieszyła się teraz, że nie zadzwoniła na policję i nie ośmieszyła się. Była nawet zadowolona z tej długiej nocy, bo dzięki niej podjęła pewną decyzję: sprzeda ten dom i wróci do Londynu. Tam, gdzie spędziła niemal całe swoje życie. I gdzie mieszkali ludzie, których znała jeszcze z dawnych czasów.

Rozważała to wielokrotnie w czasie tych długich godzin, których nie było czym wypełnić. Jeszcze raz przeżywała ból, jakiego doznawała tak długo po śmierci Seana. Swoją determinację, z jaką postanowiła walczyć z samotnością i strachem. Przede wszystkim wymogła na sobie obietnicę, którą złożyła Seanowi w szpitalu za jego życia: będę dalej realizować twoje marzenie. Żyć w domu, który tak kochałeś. Z

owocowymi drzewami, na werandzie w czasie letnich wieczorów i cichymi nocami zimą, kiedy cały las pokrywa się szadzią. Będę przeżywała to wszystko dla ciebie.

Tego ranka zwolniła samą siebie z tamtej obietnicy.

Nie tylko dlatego, że gdzieś tu w lasach włóczył się szaleniec, który mógł zagrażać jej życiu. Ktokolwiek to był i cokolwiek zamierzał, pozwolił jej tylko podjąć decyzję.

Pojeła tej nocy wszystko: żyła marzeniem Seana. Ale to marzenie nie miało nic wspólnego z nią, z jej życzeniami, tęsknotami, wyobrażeniami o życiu. We dwojkę życie w tym domu miałoby swój urok. Ale dla człowieka samotnego mogło stać się koszmarem.

Była zmęczona, ale wręcz zelektryzowana swoim odkryciem. Radosna. Uwolniona.

Poszła do kuchni, włączyła ekspres do kawy, ugotowała jajko, wyjęła tost z opakowania. Nuciała jakąś melodię. Jak załatwi wszystko na poczcie, zaraz pójdzie do pośrednika od nieruchomości. Może będzie mógł wszystko obejrzeć w najbliższych dniach i powiedzieć jej, na jaką sumę w razie sprzedaży będzie mogła liczyć. A potem zacznie szukać. Jakieś ładne trzypokojowe mieszkanie z dużym balkonem, gdzie posadzi mnóstwo kwiatów. W jakimś domu, gdzie wokół będą ludzie, z którymi można się zaprzyjaźnić. Wieczorem otoczą ją światła wielkiego miasta. Zauważyła, że ma w oczach łzy już na samą myśl o tym wszystkim, i pojęła, jak ciężko było jej znosić izolację, w której żyła. Teraz, kiedy w ogóle pozwoliła sobie na tę myśl, zrozumiała też, że była po prostu nieszczęśliwa. Jak bardzo żyła wbrew swoim marzeniom.

Nuciała jakąś melodię.

A najpiękniejsze było wrażenie, że Sean życzliwie jej przytakuje.

No i co? spytał Peter Fielder, kiedy Christy weszła do jego pokoju. Było bardzo wczesnie rano i w biurach oraz na korytarzach Metropolitan Service nie było jeszcze nikogo. Peter lubił przyjeżdżać do pracy bardzo wczesnym rankiem. Nikt wtedy do niego nic nie mówił, nikt mu nie przeszkadzał i można było zrobić mnóstwo rzeczy, zanim jeszcze zaczynał się codzienny pośpiech. Przeszkadzali mu biegający tam i z powrotem pracownicy, dzwoniące bez przerwy telefony i ciągłe konferencje w pokojach obok.

Christy McMarrow odczuwała to podobnie i chyba także dzięki tej zgodności, myślał Peter, byli w sprawach zawodowych tak dobrze funkcjonującym zespołem.

Jego „I co?” dotyczyło przekonania, że Christy przynosiła ważne dla niego informacje. Nigdy nie przychodziła tylko na kawę czy na niewinną pogawędkę.

Ale dziś nie wydawała się zadowolona. Bez względu na jej ustalenia, nic nie wskazywało na to, że w śledztwie nastąpił jakiś istotny przełom.

- Rozmawiałam wczoraj z dwiema dawnymi koleżankami Carli, które pracowały z nią w drogerii zaczęła Christy. Obie opisywały Carlę jako kobietę sympatyczną, miłą, ale bardzo zamkniętą w sobie, chociaż serdeczną i zawsze chętną do pomocy. Obie wykluczyły możliwość, by Carla miała wrogów w swoim miejscu pracy. Ale porozmawiam jeszcze z kierownikiem filii tej firmy, choć prawdę mówiąc, instynkt mi mówi, że nic ciekawego tu nie znajdziemy.

- Hm skwitował to wszystko Peter. Coś jeszcze?

- Przejrzałam notatnik z adresami Carli i prawie nie ma tam wpisów. Właściwie są tylko adresy koleżanek z drogerii. Wydaje się, że po swoim odejściu z pracy nie zapisała już żadnego adresu. Albo nie zawierała nowych znajomości, albo ich nie zapisywała. Znalazłam jeszcze jedną jej znajomą z dawnych lat, z czasów, kiedy Carla nie była jeszcze mężatką. Eleonor Sullivan. Była luźno zaprzyjaźniona z Carlą. Ją też odwiedziłam.

- I jak zareagował tutaj pani instynkt? Peter wcale nie kpił, pytając w ten sposób. W ostatnich czasach nauczył się, że na instynkt Christy naprawdę można liczyć. Co miało związek także z tym, że podziwiał ją jako kobietę i bardzo cenił.

- Mój instynkt nie za bardzo dał o sobie znać musiała przyznać z żalem Christy. Właściwie wcale nie dał. Moim zdaniem to nieprawdopodobne, żeby morderca Carli był kimś z jej wcześniejszego życia chyba że jest coś, o czym nikt nie wie. Mrs Sullivan dobrze pamięta Carlę i opisuje ją tak jak wszyscy pozostali: nieśmiała, zamknięta w sobie, miła i bardzo sympatyczna. Powiedziała też, że według jej wiedzy Carla nigdy nie miała żadnych problemów z innymi ludźmi. Sformułowała to tak: „Carla była zawsze zbyt cicha i nierzucająca się w oczy, żeby mogła się z kimś pokłócić”. Musiała być wyjątkowo skromnym człowiekiem, który schodził wszystkim z drogi, unikał konfliktów i ich nie prowokował.

- Hm odezwał się znów Peter. To już ręce opadają: nawet nie miała komputera. Nie ma więc żadnych kontaktów e-mailowych, żadnego forum internetowego, żadnych stron, które przeglądała. Drepczemy po omacku!

To, co tak bardzo utrudniało życie Carli Roberts jej nieśmiałość i niepozorność utrudniało zarazem także wyjaśnienie okoliczności jej okrutnej śmierci. Kobieta bez wad i zalet, która nigdy nie miała z nikim żadnego konfliktu. A której mimo wszystko przyszło umrzeć tak straszną śmiercią. W kimś ten jej całkowity brak agresji i bezkonfliktowość musiały właśnie wyzwolić pokłady wyjątkowej agresji.

- Musiało być w jej życiu coś powiedział z namysłem co doprowadziło sprawcę do takiej brutalności. To kwestia tego, czy kogoś można z pewnej odległości po prostu odpalić, jak telewizor pilotem. Ale inną kwestią jest kogoś związać i wepchnąć mu ścierkę w gardło tak głęboko, że aż wywoła to odruch wymiotny. I wciskać mu tę ścierkę dalej, aż nieszczęśnik po okrutnej walce ze śmiercią udusi się własnymi wymiocinami. Moim zdaniem to się wiąże z ogromnym ładunkiem nienawiści. Czym Carla Roberts ją wywołała? Nie mogła więc przemykać się przez życie tylko jako istota sympatyczna i niemal niezauważona przez innych.

- Znaczyłoby to, że morderstwo nie miało nic wspólnego z jej osobą podsunęła Christy. Lecz wiązało się z faktem, że ona w swojej samotności bardzo komuś pasowała na ofiarę. Mężczyźnie, który ma jakiś problem z kobietami. To chyba była pierwsza myśl, która nam wszystkim przemknęła przez głowę, kiedy zobaczyliśmy, co jej zrobiono.

- Mimo wszystko musimy się odwoływać do jej życia, bo nie mamy żadnych innych punktów zaczepienia. Powstrzymał ziewnięcie. Był naprawdę zmęczony. Czy ta Mrs Sullivan mówiła coś o małżeństwie Carli Roberts?

- Tak. To było całkiem normalne małżeństwo. Bez wzlotów i upadków. Mąż Carli dużo pracował, ciągle siedział w firmie. Carla spadła z obłoków na ziemię dopiero wtedy, kiedy dowiedziała się o finansowej katastrofie i o tym, że była całe lata oszukiwana. Najbardziej wstrząsnęło nią to, że sama niczego wcześniej nie zauważyła. Mrs Sullivan dzwoniła wtedy do niej i Carla powtarzała w kółko stereotypowe zdanie: *Dlaczego ja nic nie zauważyłam? Dlaczego ja nic nie zauważyłam?*

- Czy jej mąż kiedykolwiek używał wobec niej przemocy? Albo czy zauważono u niego jakąś skłonność do przemocy?

- Nie. To musiało być w pewien nudny, mało spektakularny sposób, ale jednak całkiem szczęśliwe małżeństwo. On też uchodził za spokojnego, raczej zacnego towarzysza życia. Według Eleonor Sullivan rozwód też przebiegł bez zakłóceń i szybko. Finansowo także nie było żadnych problemów, bo on wszystko stracił. A poza tym zniknął zaraz potem i nigdy się nie pojawił.

Fielder co prawda raczej nie mówił nic o instynkcie, gdy chodziło o jego pracę, ale teraz miał wyraźne przeczucie, że tracą czas, węsząc za dawno przepadłym eksmężem Carli. Nie sądził, żeby miał on coś wspólnego z morderstwem.

Zmienił temat.

- A co z drzwiami wejściowymi do bloku Carli? Jest coś nowego? Tym razem Christy miała coś interesującego.

- Tak. Nasz technik mówi, że z pewnością coś tam manipulowano. Sprężyna, dzięki której drzwi automatycznie się zamykają, została wyciągnięta z zaczepu za pomocą obcęgow. Dlatego każdy mógł wejść i wyjść bez klucza.

- Czy mógł to zrobić morderca?

- Tak. Ale niekoniecznie. Dozorca mówi, że wciąż mają do czynienia z wandalizmem. Hackney nie jest dobrą mieszczańską dzielnicą o nieposzlakowanej opinii. Jakiś młody człowiek mógł sobie pozwolić na żart, co mogło być też bardzo na rękę mordercy.

Peter Fielder potarł ręką zmęczone oczy. Potrzebował teraz koniecznie czegoś, jakiegoś nikłego śladu, który pozwoliłby przynajmniej poruszać się w jakimś określonym kierunku w tej nieprzeniknionej mgle. Jakiegoś punktu zaczepienia. Czegoś, co spowodowałoby błyskawiczny dopływ adrenaliny i usunęło to cholerne zmęczenie. Ale jak na złość niczego takiego nie było. Choćby jakiegoś przecucia, że w tych gęstych oparach zmierza w jako tako prawidłowym kierunku.

Christy zauważyła jego przygnębienie.

- Hej, szefie! Nie tak smutno! Wkrótce święta! Nawet nie zadał sobie trudu, żeby się uśmiechnąć.

- Tak. Wkrótce święta. Ale tam na dworze spaceruje sobie spokojnie szalenciec. Tego nawet święta nie są w stanie zmienić.

- Sądzi pan, że on znowu to zrobi?

- Możliwe. Być może ma jakiś problem, którego nie rozwiązała nawet śmierć Carli Roberts.

- Typ człowieka, który nienawidzi kobiet? I po prostu czyha na dogodną okazję, żeby wyrzucić z siebie swoją nienawiść? To potwierdzałoby teorię przypadkowej ofiary.

- Umiarkowanie. Nic nie dzieje się *tylko* przypadkiem. Gdzieś w życiu Carli Roberts musiał być jakiś punkt przecięcia z życiem jej mordercy. Mogło to być coś bardzo nieistotnego, mającego tak małe znaczenie, że będziemy mieli ogromne trudności, żeby to ustalić. Ale nie sądzę, że ktoś jedzie po prostu na najwyższe piętro jakiegoś bloku, dzwoni do pierwszych lepszych drzwi i morduje kobietę, która przypadkowo mieszka tam sama, i nie wie nic na temat jej egzystencji i trybu życia.

Fielder wstał, zdecydowany nie poddawać się wyczerpaniu i zniechęceniu.

- Nie, ja sądzę, że morderca dobrze znał Carłę Roberts. I że dużo o niej wiedział. Dlatego musimy dokładnie zająć się jej życiem. Każdym najdrobniejszym szczegółem. Prawdopodobnie musimy szukać tam, gdzie wydawałoby się, że nie znajdziemy rozwiązania. I musimy sobie uświadomić, że być może nie mamy zbyt wiele czasu.

Christy milczała.

Wiedziała, że Fielder myślał o następnej ofierze.

W Halfway House tym razem nie było tak tłoczno jak poprzednio, w piątek. Ale i tak panował ożywiony gwar, a bar otaczała liczna grupa mężczyzn. Podłoga była mokra i brudna, bo każdy wnosił z dworu na butach trochę wstrętnego błota. Gdzieś w tle z radia dobiegały kolędy.

Jeszcze stojąc w drzwiach, Gillian upewniła się, że ten człowiek z jej ulicy, Samson Segal, nie przyszedł tutaj także dziś. Gdyby tak było, zawróciłaby z miejsca. Nie chciała, żeby widział ją po raz drugi w czasie poufalej rozmowy z obcym mężczyzną. Ale wydawało się, że go nie było, o ile mogła to stwierdzić na pierwszy rzut oka. Nie mogła stać dłużej w otwartych drzwiach i wypatrywać, bo ci najbliżej siedzący już zaczęli się skarżyć:

- Drzwi! To nie jest ciepła letnia noc, młoda kobieto!

John Burton podszedł do niej, kiedy już sądziła, że zabraknie jej odwagi. Miała niemal nadzieję, że po prostu sobie poszedł, bo spóźniła się prawie piętnaście minut. Pochlebilo jej, że mimo wszystko czekał, ale jednocześnie poczuła w żołądku nerwowy skurcz.

- Miło, że pani przyszła powiedział. Wziął jej z ręki płaszcz i ujął ją za ramię, prowadząc do stojącego w rogu małego stolika, na którym stały karafka z winem i dwa kieliszki.

- Mam nadzieję, że może być ten stół? spytał.

- Tak, oczywiście. Przykro mi, że się spóźniłam, ale jeszcze nie zostawiamy Becky samej wieczorami i musiałam poczekać, aż mój mąż wróci do domu.

W rzeczywistości Tom wrócił tego dnia do domu o wiele wcześniej niż zwykle. Gillian powiedziała mu jeszcze rano, że na wieczór umówiła się z Tarą i on bez protestów podporządkował się umowie, którą mieli od dawna przewidzianą na takie sytuacje: przyjechał do domu tak wcześnie, jak tylko mógł, żeby Gillian także mogła odpowiednio wcześniej wyjść z domu.

Ale ona tym razem zwlekała i wahała się. I cały czas pytała samą siebie, dlaczego czuje się tak niepewnie. John Burton był trenerem piłki ręcznej jej córki. Zaprosił ją na kieliszek wina. Nie do siebie do domu, lecz do publicznego pubu. Nie było w tym nic dwuznacznego. I było śmieszne, że ona z tego powodu czuła się tak rozstrojona.

Tara, do której zadzwoniła w czasie przerwy obiadowej, żeby potwierdzić swoje alibi, oceniła sprawę inaczej.

- Jeśli to nic poważnego, dlaczego po prostu nie powiesz swojemu mężowi prawdy? Dlaczego ja jestem ci potrzebna?

- Tom mógłby powziąć jakieś fałszywe obawy i coś pomyśleć.

- A ty masz jakieś obawy?

- Tara...

Tara się roześmiała.

- Kochanie, posłuchaj, nie musisz się przede mną tłumaczyć. I możesz spokojnie zasłonić się mną przed Tomem. Dla mnie nie będzie też żadnego problemu, jeśli pójdziesz dziś do łóżka z tym mężczyzną ze swoich marzeń. Tylko nie spodziewaj się po tym rozwiązaniu swoich problemów. Romans niczego nie rozwiązuje. To tylko miły skok w bok. Nic więcej.

- Przecież nie idę z nim do łóżka!

Na to Tara nic już nie odpowiedziała, ale Gillian bardzo dokładnie zrozumiała, co oznacza termin *wymowne milczenie*.

W końcu wyjechała z domu już chyba tylko dlatego, że nie chciała być tchórzem we własnych oczach. Zastanawiała się nad ubraniem i zdecydowała się na dzinsy i sweter, starannie wyszczotkowała włosy, tylko lekko pociągnęła usta szminką, ale nic poza tym. Burton nie powinien myśleć, że z jego powodu stroi się i maluje. A pomijając to, musiała być wiarygodna w oczach Toma: kiedy jechała na spotkanie z Tarą, nigdy się nie malowała.

Kiedy usiedli, John nalał do kieliszków czerwonego wina.

- Oni tutaj mają zdumiewająco dobre wino. Ale jeśli jest pani głodna...

Przerwała mu natychmiast. O jedzeniu nie była w stanie nawet pomyśleć w tym momencie.

- Nie, dziękuję. Chciałabym tylko czegoś się napić.

Wypiła łyk. Wino jej smakowało, ale przede wszystkim poczuła jego odprężające działanie. Natychmiast poczuła się swobodniej.

- Co słysząc u Becky? spytał John. Gillian potrząsnęła głową.

- Nic nowego. W tej chwili po prostu nie potrafi się ze mną dogadać. Kiedy dziś rano powiedziałam, że wieczorem mnie nie będzie, zareagowała zaskakująco pozytywnie ucieszyła się i natychmiast poprawił jej się nastrój. Uwielbia jeść z ojcem sama w domu i potem razem z nim oglądać telewizję. Próbuję nic sobie z tego nie robić, ale to po prostu boli.

- Myślę, że wiele dziewcząt w pewnym wieku ma dokładnie tak samo: silny związek z ojcem. Matka wtedy tylko przeszkadza. Ale to się zmieni. Nagle, ni stąd, ni zowąd stanie się pani jej najlepszą powiernicą, a ojciec nawet nie będzie miał pojęcia, co się dzieje. W końcu któregoś ranka natknie się w łazience na chłopaka, który akurat nocował u jego córki, i będzie się zastanawiał, czy czegoś nie przeoczył.

- Tak jak pan to mówi, brzmi to bardzo nieskomplikowanie. John wzruszył ramionami.

- Moim zdaniem dziś rodzice traktują zbyt dramatycznie wszystko, co się dzieje z dziećmi i młodzieżą. A czasami trzeba ich po prostu zostawić w spokoju.

- Ale nieraz skutki tego mogą być fatalne.

- Tu nie ma sprawdzonego rozwiązania stwierdził John. Gillian zmieniła temat.

- Oficjalnie jestem u mojej przyjaciółki Tary rzekła. Powiedziałam mężowi, że jadę się z nią spotkać.

- Wykiwała go pani?

- Tak.

- Nie wygląda pani na kobietę, która robi to często.

Gillian wypła szybko kolejny łyk wina i zastanawiała się, dlaczego posunęła się tak daleko. Tylko nie zaczynaj go prowokować. Albo z nim flirtować czy robić coś równie głupiego. To nie w twoim stylu!

- Nie. Oczywiście, że nie. Ale... chciałam po prostu uniknąć problemów.

- On miałby coś przeciwko temu, że spotyka się pani ze mną, to jasne.

- A pan na jego miejscu też miałby coś przeciwko temu?

- Nie jestem żonaty. Świadomie. Żeby w ogóle nie musieć się zajmować takimi problemami.

- Po prostu było łatwiej powiedzieć, że jadę spotkać się z Tarą powiedziała Gillian.

Skinął głową, jak gdyby przekonała go ta prosta odpowiedź.

- Rozumiem powiedział.

Przez chwilę oboje milczeli, aż w końcu Gillian spytała:

- Dlaczego chciał się pan ze mną spotkać? To znaczy... nasze ostatnie spotkanie nie było chyba dla pana zbyt interesujące.

- Dlaczego nie?

- Głównie się przed panem wyplakiwałam. I opowiedziałam panu o kilku banalnych i zwykłych zmartwieniach. To niezbyt ciekawe.

Patrzył na nią uważnie.

- Nie miałem wrażenia, że jest pani kobietą z banalnymi zmartwieniami.

- A kim?

- Kobietą bardzo atrakcyjną, która ma akurat kilka problemów. A kto ich nie ma?

- Pod koniec miałam wrażenie, że był pan zirytowany.

- Nie byłem zirytowany. Może trochę nieprzychylny, bo poruszyła pani temat, o którym nie chciałem mówić.

- Pańskie odejście ze służby w policji?

- Tak jest potwierdził i jego twarz znów zrobiła się nagle zamknięta i chłodna.

Tym razem Gillian była na tyle mądra, żeby nie nalegać.

- Nie odpowiedział pan na moje pytanie powiedziała. Z jakiego powodu to spotkanie dzisiaj?

Uśmiechnął się.

- Ależ tak. Właściwie na nie odpowiedziałem. Czekala.

- Dopiero co powiedziałem, że jest pani bardzo atrakcyjną kobietą oświadczył.

- I to jest powód?

- Mówiąc szczerze tak.

Jego bezpośredniość miała w sobie coś rozbijającego. Gillian musiała się roześmiać.

- Jestem mężatką.

- Wiem.

- I dokąd to ma prowadzić?

- To pani o tym zdecyduje powiedział John. W końcu to pani jest zamężna. Ma pani rodzinę. Upozorowała pani wizytę u przyjaciółki, żeby spotkać się ze mną. Musi pani wiedzieć, jak daleko chce się pani posunąć.

- Może chcę tylko wypić do końca wino i pojechać do domu.

- Może powiedział John i uśmiechnął się.

Miała wrażenie, że jego uśmiech był nieco wyniosły i że on nie wierzył, że Gillian tak zrobi. Poczwała irytację. John Burton wydawał się mężczyzną o dużej rutynie, a ona sama stwierdziła, że czuje się manipulowana. Może na tym właśnie polegała jego gra: na świadomych krokach do przodu, a potem wycofywaniu się, na obojętnych oświadczeniach i pokusie nieco cynicznego uśmiechu w odpowiedniej chwili. Przypomniła sobie imprezę świąteczną w klubie, gdzie jedna z matek próbowała coś odgadnąć na temat miłostnego życia przystojnego trenera. Prawdopodobnie w jego życiu rzeczywiście nie było stałej partnerki i on do tego wcale nie dążył. Uwodził kobiety, które mu się podobały i które znalazły się na jego drodze, miał za sobą krótkie romanse, które szybko kończył, żeby zwrócić się ku następnemu obiektowi swoich żądz.

Gillian była świadoma tego, że czasami nie do końca wiedziała, czego naprawdę chce, ale przynajmniej w tym momencie jedno było dla niej jasne: nie chciała być kolejnym trofeum wśród długiego łańcucha zwycięstw jakiegoś kobieciarza. Wypiła ostatni łyk ze swojego kieliszka i odmówiła, kiedy John wziął do ręki karafkę.

- Dla mnie już nie, dziękuję. Miło było z panem, John, ale myślę, że pojedę już do domu.

Sprawił wrażenie zaskoczonego.

- Już, tak szybko? Wstała.

- Tak. Wie pan, po prostu się zdecydowałam.

Podniósł się także, ale ona już pobiegła do garderoby, chwyciła swój płaszcz i wyszła za drzwi, nawet nie zdążywszy się ubrać. Z przyjemnością odetchnęła świeżym, wilgotnym powietrzem wieczoru po wyjściu z dusznego pomieszczenia. Rozkoszowała się przez chwilę chłodem i ciszą. Wprost przed nią była plaża i rzeka. Popatrzyła na ciemną wodę, usłyszała ciche bulgotanie fal. Czowała zapach słonej wody i wodorostów. Dopiero teraz szybko włożyła płaszcz. Poczwała, że spadł

jej wielki kamień z serca. O czym ona w ogóle myślała, kiedy zdecydowała się tutaj przyjechać?

Była już przy swoim samochodzie, który zaparkowała koło ulicy, kiedy tuż za nią pojawił się John. Był trochę zadyszany.

- Mój Boże, ależ pani ma tempo. Musiałem przecież zapłacić...

- Nie zależało mi na tym, żeby na pana czekać powiedziała i otworzyła pilotem drzwi samochodu. Chciała wsiąść, ale John przytrzymał ją za ramię.

- Co zrobiłem źle? spytał.

- W zasadzie nic odparła. Tylko ja po prostu nie chcę.

- Czego pani nie chce? Wypić czegoś ze mną? Porozmawiać?

- Nie chcę okłamywać mojego męża i mojej córki. Nie chcę wplątywać się w coś, co spowodowałoby taką konieczność.

- Już dziś okłamała pani swojego męża.

- I to wystarczy. Nie muszę tego powtarzać.

- Niech pani chwilę poczeka poprosił. Proszę, niech pani jeszcze nie wsiada i nie odjeżdża. Przykro mi, jeśli dziś sprawiałem wrażenie zblazowanego. Głupio się zachowałem. Podniósł rękę, kiedy chciała coś powiedzieć. Nie, tak rzeczywiście było. Chciałem uchodzić za wielkiego uwodziciela i prawdopodobnie to właśnie panią zirytowało, i mogę to zrozumieć. Przykro mi. Cóż mogę jeszcze powiedzieć. Naprawdę jest mi przykro.

- Już w porządku. Tylko...

- ...tylko proszę mi dać jeszcze jedną szansę.

- John, proszę zrozumieć...

- Nie możemy na chwilę usiąść w pani aucie? - poprosił. - Jest dość zimno i nigdy nie wiadomo, kto nas słyszy tutaj, na ulicy.

- Okay powiedziała Gillian. Usiadła za kierownicą, a on wsunął się na siedzenie pasażera.

- Fascynuje mnie pani powiedział. I chciałbym panią jeszcze zobaczyć. Zakładam, że już to pani zauważyła. Wiem, że wszystko przemawia przeciwko temu. Jednak mimo wszystko. Nie mogę po prostu wybić sobie pani z głowy. Próbowałem w czasie ostatniego weekendu. Ale nie udaje mi się to.

- Z pewnością jest wiele kobiet, które będą mogły pana pocieszyć powiedziała Gillian.

Spojrzał jej prosto w oczy, a jego twarz miała poważny i szczerzy wyraz.

- Nie powiedział nie ma takich kobiet. Może to nie pasuje do plotek na temat mojej osoby, ale jednak tak jest: nie ma takich kobiet.

- Wśród matek w klubie uchodzi pan za pierwszorzędnego uwodziciela.

- Wspaniale. Ale to nieprawda. Mój ostatni związek zakończył się ponad rok temu. Od tego czasu żyję jak mnich.

- No, jednak wydaje się pan mieć niezłą wprawę w zdobywaniu kobiet.

- Gdybym rzeczywiście miał w tym wprawę, to szybko zauważyłbym, że w pani przypadku ta metoda zupełnie nie zdaje egzaminu. Przeprosiłem panią, Gillian. Po prostu chciałem sprawić wrażenie faceta pewnego siebie i na luzie. I to było idiotyczne.

- Teraz próbuje pan sprawić wrażenie faceta tajemniczego.

- Co pani chce wiedzieć? Opowiem pani! Spojrzał na nią wręcz błagalnie. Nie chcę niczego przed panią ukrywać, Gillian.

- Dlaczego został pan wydalony ze służby w policji?

Wydawało się, że dosłownie się skulił czy też jakby zapadł w sobie po tym pytaniu. Podniósł obie ręce w geście bezradności.

- O Boże. Nie daruje pani tego pytania, prawda?

- Interesuje mnie to odparła Gillian.

- W porządku powiedział z rezygnacją. Choć prawdopodobnie wyrzuci mnie pani natychmiast z samochodu, kiedy odpowiem na to pytanie. I wypisze pani córkę z klubu.

- To nie brzmi dobrze.

- Nie brzmi. Osiem lat temu złożono na mnie doniesienie z powodu molestowania seksualnego. Pewna młoda kobieta była u mnie praktykantką. Prokuratura umorzyła postępowanie z powodu braku dowodów, dlatego odstąpiono od wniesienia oskarżenia. Mimo to nie mogłem potem zostać w policji, po prostu nie było to już możliwe. Jest pani zadowolona?

Patrzyła na niego przerażona.

Kiedy skręciła na wjazd do garażu, na drodze pojawił się cień jakiejś osoby zmierzającej w kierunku domu. Tom.

- Usłyszałem twój samochód powiedział na jej widok. I pomyślałem...

Zamknęła samochód.

- Co pomyślałeś? spytała.

- Pomyślałem, że po prostu wyjdę ci naprzeciw.

Jego troska wzruszyła Gillian. Często miała ostatnio wrażenie, że Tom jest żonaty z firmą, a nie z nią, a w drugim rzędzie z klubem tenisowym, były jednak chwile, kiedy czuła ciepło, które istniało między nimi przed laty, ale przecież także teraz, choć tak skutecznie kryło się ono w szarej codzienności. Ale akurat dziś wieczorem z wszelkich przejawów tego ciepła chętnie by zrezygnowała.

Czuła, że Tom obserwował ją uważnie z boku.

„Co on widzi?” zastanawiała się niespokojnie.

Ale podobne i równie niespokojne myśli pojawiły się także w głowie Toma. Patrzył na Gillian, na jej długie włosy, ciągle sprawiające wrażenie nieuczestnych, na jej delikatny profil. Widział kobietę, którą znał od przeszło dwudziestu lat, którą poznał już jako student i bez której bardzo szybko przestał sobie wyobrażać swoją przyszłość i życie. Dawno nie postrzegał jej tak intensywnie jak teraz. I jakiś nagły niepokój w nim samym kazał mu opuścić ciepły pokój, wyjść na dwór i stojąc w przenikliwym zimnie, nasłuchiwać jej nadjeżdżającego samochodu.

Zaintrygowany, ale i niespokojny, pytał sam siebie, jaki jest powód tego niepokoju.

Gillian miała dziewiętnaście lat, gdy rozpoczęła studia na uniwersytecie i fascynowała go od pierwszej chwili, kiedy ją zobaczył. Była inna niż wszystkie studentki, co wiązało się nie tylko z jej rozwianymi włosami. Miała w sobie coś staroświeckiego, co wyraźnie odróżniało ją od innych. Gillian była jedynym dzieckiem nadmiernie troskliwych i opiekuńczych rodziców, którzy praktycznie na każdym kroku strzegli jej i chronili przed całym złem tego niedobrego, niebezpiecznego świata. Studia były dla dziewczyny czymś w rodzaju tchnienia wolności, której zaznała po raz pierwszy w życiu. Wybrała Glasgow, choć pochodziła z Norwich w East England, i zdecydowała o tym jedna myśl, którą znacznie później zdradziła Tomowi: jak największa odległość między nią a rodzicami, żeby matka nie mogła przyjeżdżać w każdy weekend i patrzeć, co robi córka.

Gillian sprawiała wrażenie dziewczyny niezbyt pewnej siebie, niedoświadczonej i często się wahającej, ale jej kryjąca się za nieśmiałością radość życia była aż nadto wyraźna. I aż do tej chwili matce udawało się nadzorować ją tak bezustannie, że żadnemu mężczyźnie nie udało się choćby przez chwilę zostać z nią sam na sam.

Także ta okoliczność była powodem braku pewności siebie Gillian. Większość dziewcząt już od szesnastego roku życia miała swojego chłopaka. Ona nie miała pojęcia, jak postrzegają ją mężczyźni i czy w ogóle postrzegają.

Ale wówczas zjawił się Tom, zaczął ją adorować, bardzo szybko zostali też parą i Gillian nagle rozkwitła, nie tylko z powodu młodego, przystojnego mężczyzny, który w dodatku uchodził za uniwersytecką gwiazdę tenisa, ale także dzięki temu, że odkryła w sobie siłę i zdolności oraz to, że świat, wbrew ostrzeżeniom jej matki, nie jest niebezpieczny, lecz przede wszystkim ekscytujący i pełen radosnych wyzwań. Była bardzo lubiana wśród kolegów, koleżanek, także profesorów, miała zawsze dobre stopnie i tańczyła całymi nocami przez niemal wszystkie weekendy. Kiedy po ukończeniu studiów postarała się na krótko o pracę przy produkcji jakiegoś filmu, żeby zarobić trochę pieniędzy, nie tylko nie pozwolono jej potem odejść, lecz zaoferowano stałe zatrudnienie i powierzono pierwsze naprawdę poważne zadania. Już po kilku miesiącach wykonywała samodzielnie kalkulacje finansowe różnych projektów. W tym czasie Gillian wydawała się pełna jakiegoś wewnętrznego światła.

„I to się zmieniło pomyślał Tom i może właśnie dlatego się niepokoję. Ona nie jest już pełna tego wewnętrznego światła. Po prostu zgasła”.

- A jak było z Tarą? spytał, kiedy dotarli do drzwi i weszli do domu.

Byłyście w knajpie?

- Tak. Dlaczego?

- Czuć to od ciebie. Ale wyjątkowo wcześniej wróciłaś.

Po szybkim pożegnaniu z Johnem pojechała w pobliże szkoły Becky i dłuższy czas czekała tam na parking, by nie wrócić do domu za szybko, bo byłoby to dziwne. Przez chwilę nawet rzeczywiście chciała pojechać do Tary i przedyskutować z nią niepokojące nowiny, choć musiałyby w tym celu jechać aż do Londynu, ale pomyślała, że przyjaciółka byłaby jednak niewłaściwym partnerem do rozmowy na ten temat. Burton byłby w jej oczach na zawsze skończony, a ona sama nie miałaby spokoju aż do chwili wypisania Becky z klubu. Tara była prawnikiem. Fakt, że postępowanie w sprawie Johna zostało umorzone i nie wniesiono oskarżenia, przypuszczalnie nie wywarłoby na niej większego wrażenia. Za to określenie: *z braku dowodów* było dla niej czymś aż nadto dobrze znanym.

W końcu Gillian zmarzła w samochodzie na pustym parkingu i ruszyła w drogę do domu, ale jak na wieczór z Tarą była to niezwykle wczesna pora.

- Tara miała jeszcze jakiś termin rzekła w odpowiedzi na uwagę Toma. Wiesz, ona w zasadzie nigdy nie ma czasu. Mogłyśmy się zobaczyć tylko na krótko w połowie drogi do Londynu.

- Rozumiem powiedział Tom. Patrzył na Gillian w jasnym świetle wejścia do domu.

- Wyglądasz na wyczerpaną i rozdrażnioną. Wszystko w porządku?

- Oczywiście. Ale... Opowieści Tary o jej pracy mogą czasem każdemu podziać na nerwy.

- Nie rozumiem właściwie, dlaczego akurat... zaczął Tom, ale ona mu przerwała, zanim znów mógł się wypowiedzieć na temat jej przyjaźni z Tarą:

- Becky już śpi?

- Poszła do łóżka dwadzieścia minut temu i kiedy do niej zajrzałem, już spała. Oczywiście z Chuckiem w ramionach. Nie było z nią problemów.

Jasne. Tych nie ma między nim a Becky. Wszystkie problemy wydają się zarezerwowane dla niej, Gillian.

- Zamówiliśmy pizzę podjął Tom i zjedliśmy ją potem przed telewizorem. Wiesz, tak jak ona to lubi, wprost z pudełka i siedząc na podłodze.

- Nie mogę tego robić każdego wieczoru rzekła Gillian. Ona musi jeść także zdrowe potrawy i od czasu do czasu używać noża i widelca.

I muszę wyprawiać ją wcześniej do łóżka, niż ty to robisz, bo inaczej następnego dnia zaśnie w szkole na lekcjach.

Zauważyła, że zabrzmiało to bardziej surowo i ostrzej, niż zamierzała. Tom sprawiał wrażenie dotkniętego.

- Przecież nie miałem zamiaru cię krytykować, Gillian! Oczywiście coś takiego musi być wyjątkiem. Ale niezbyt często jestem z Becky sam, więc możemy wtedy zrobić coś szczególnego.

Sama nie wiedziała, co ją napadło. Tom miał rację i przecież nie miała nic przeciwko ich wspólnemu wieczorowi z pizzą przy telewizorze. Była dorosłą kobietą i chyba było śmieszne, że odczuwała zazdrość i czuła się źle traktowana. Było to niewłaściwe, a jednak normalne w wielu rodzinach: Tom był ojcem, który miał bardzo mało czasu, ale kiedy wreszcie mógł spędzić parę godzin z córką, to robili razem coś niezwykłego albo wręcz nierozsądnego, co dziecku sprawiało ogromną frajdę. Gillian jako matka, która poświęcała córce o wiele więcej czasu, nie była tak atrakcyjna, bo to ona stawiała na stole sałatkę oraz odpowiednio podany obiad, pilnowała zadań domowych i strofowała córkę, kiedy w jej pokoju panował coraz większy chaos. To na nią złościła się córka, jednocześnie bezgranicznie podziwiając Toma.

- Może powinnam jeździć do Londynu codziennie powiedziała pozornie bez związku. I więcej pracować. Może by mi to dobrze zrobiło.

Tom spojrzał na nią zaskoczony.

- Nie będę mieć nic przeciwko temu. Świetnie sobie radzisz z pracą i byłoby wspaniale, gdybyś była częściej i dłużej w firmie. No ale Becky..

- Becky może spokojnie częściej zostawać sama. I tak czuje i mówi mi, że jestem zbyt troskliwa. Nadopiekuńcza. Powinnam zostawiać jej więcej swobody. Zawsze zarzucałam moim rodzicom, że swoją przesadną troską tylko mnie ograniczali, i coś mi się zdaje, że zaczynam powtarzać ich błędy.

- Becky ma dopiero dwanaście lat przypomniał Tom. W tym wieku dzieci często się przeceniają.

Poszedł do pokoju, stanął przy oknie i patrzył w ciemność, w której widział właściwie chyba tylko odbite w szybie wnętrze.

- A może rzeczywiście powinniśmy tego spróbować rzekł po chwili. Zdjęła buty i podeszła do niego.

- Ona oczekuje, że będę jej bardziej ufać. I nie chciałabym tego zignorować.

Odwrócił się do niej. Dostrzegła, że był bardzo zmęczony i wyczerpany. Jednocześnie wprost się palił do działania; pewnie najchętniej znów szalałby na korcie tenisowym w klubie i posyłał przeciwnikowi przez siatkę piłki nie do odbicia. W ostatnich latach był to jego stały problem: nie potrafił obniżyć obrotów po powrocie ze stresującej pracy w biurze i po prostu się zrelaksować. Wydawało się, że wciąż jest pod silnym działaniem adrenaliny. Spowodowała to samodzielność w pracy. Był pełen niepokoju i sprawiał wręcz wrażenie kogoś, kto ciągle bierze jakieś środki pobudzające czego nie robił i Gillian o tym wiedziała. Wpadał w ten stan niejako sam z siebie. Gillian w regularnych odstępach czasu zaklinała go, żeby poszedł do lekarza. Bała się, że Tom prędzej czy później doprowadzi się do ataku serca, bo wszystko, co robił i jak się czuł, niejako spełniało klasyczne po temu warunki.

„Moje serce jest zupełnie w porządku” kwitował jej prośby.

Ale czy na pewno tak było? W końcu od kiedy go znała, omijał zawsze wielkim łukiem wszystko, co choćby w najmniejszym stopniu przypominało gabinet lekarski.

Podeszła do niego blisko i położyła mu rękę na ramieniu.

- Wszystko będzie w porządku powiedziała łagodnie.

- Oczywiście odparł Tom.

Nie za bardzo wiedział, o czym ona mówi, ale miał wrażenie, że zostawiła temat Becky, bo tak naprawdę chodziło jej o coś innego. Miało to coś wspólnego z jej dziwnym dystansem, z tym, że nie było już w niej tego wewnętrznego światła. Że nie miała już tak błyszczących, pełnych życia oczu. Miało to związek także z tym, że on za dużo pracował, zbyt często fanatycznie grał w tenisa i za mało czasu spędzał z żoną. Gillian nigdy nie robiła Tomowi wyrzutów z powodu licznych nadgodzin w pracy, jego firma była także jej firmą, wiedziała też o trudnościach, w których pogrążonych było tylu ludzi, od kiedy świat ogarnęła recesja największa od lat dwudziestych ubiegłego wieku. Nie była kobietą, która lamentowała i narzekała tylko dlatego, że jej mąż walczył ze wszystkich sił o utrzymanie tego, co razem zbudowali. Z jednej strony rozumiała nawet, dlaczego on tak zawzięcie uprawiał sport, wiedziała, że był to swego rodzaju wentyl, sposób rozładowania napięcia, bez czego nie mógłby chyba wytrzymać morderczego obciążenia.

Ale nie rozumiała, dlaczego on właściwie nie był już z nią. Dlaczego był taki daleki. Nawet nocą, kiedy leżał obok niej tak blisko w łóżku. I z tego powodu

cierpiała.

On sam tego nie rozumiał. Kochał przecież Gillian. Wiedział dokładnie, kiedy stało się dla niego jasne i oczywiste, że chce się z nią ożenić i że nie będzie już dla niego od tej chwili żadnej innej kobiety: jeszcze w czasie studiów pojechali któregoś jesiennego weekendu na wędrowkę po Szkocji, z namiotem i sprzętem do biwakowania. Była cudowna słoneczna pogoda, siedzieli zupełnie sami na rozległym pustkowiu szkockich torfowisk, a rozciągające się dookoła łagodne wzgórza były wprost liliowe od kwitnących wrzosów. Wieczorem nadciągnął chłód, rozpalili więc ognisko i zawinęli się po kolacji w jeden śpiwór w namiocie, tuląc się do siebie i grzejąc nawzajem ciepłem swych ciał. Kiedy następnego ranka wypęzli z namiotu, pogoda zmieniła się zupełnie: mgła była tak gęsta, że ledwo widzieli przed sobą własną wyciągniętą rękę. Ruszyli w drogę powrotną, ale na stromym podejściu, na które musieli się wspiąć, Tom się poślizgnął i upadł tak nieszczęśliwie, że jak się później okazało, doznał złamania stopy. Leżał między kamieniami, w mokrej mgle, był półprzytomny z bólu i dostał torsji. Potem było mu ciągle niedobrze i nie miał pojęcia, jak wydostaną się teraz z tego zapomnianego przez Boga i ludzi zakątka i jak dotrą do parkingu, gdzie zostawił swoje auto był to stary, zardzewiały gruchot. Gillian była śmiertelnie przerażona, ale szybko wzięła się w garść: nie wybuchnęła płaczem ani nie pograżyła się w całkowitej bezradności. Z gałęzi i bandaża zrobiła coś w rodzaju prymitywnej szyny, za pomocą której usztywniła jego kostkę, wzięła na plecy ciężki namiot i pomogła Tomowi wstać. Potem podpierała go, mężczyznę o wzroście stu dziewięćdziesięciu centymetrów, kiedy powoli brnęli po wąskich ścieżkach, przez rozległe bagniste doliny, skaliste, wietrzne wzgórza, gdzie chłód przenikał ich do kości. Potrafiła go podtrzymać na duchu, kiedy jęczał z bólu, i choć ledwie mogła się utrzymać na nogach z wyczerpania, na wpół niosąc go i podpierając, szła uparcie z zaciśniętymi zębami, nie poddając się ani przez chwilę.

I wtedy on pomyślał: „Nie zostawię jej”.

Nie dlatego, że zdawał sobie sprawę, że go po prostu uratowała. Zrozumiał, że jej zasadnicza cecha to siła. Jej wola, żeby mimo wszystko zrobić to, co musiało być zrobione.

Pobrali się jeszcze w czasie studiów.

Do dziś jego najgłębsze uczucia się nie zmieniły, wiedział o tym. Gillian ciągle była kobietą, którą kochał, człowiekiem, na którego mógł się zdać ślepo i bez wahania. Była kimś, kto go wspierał, i zarazem jego towarzyszką. Ale żeby jej to okazać, musiałby się czasem zatrzymać i wsłuchać w siebie, a to mu się już nie udawało. Nie potrafił się zatrzymać, głęboko odetchnąć i być tym Thomasem z przeszłości. Życie zrobiło z niego kogoś, kto wciąż dokądś pędzi. A on już nie potrafił zwolnić tempa.

Dosłownie nie wiedział, co ma teraz zrobić.

- Kocham cię, Gillian powiedział cicho.

Zdumienie, z jakim ona popatrzyła teraz na niego, było niemal bolesne. Czy rzeczywiście upłynęło tak dużo czasu, od kiedy powiedział to ostatnio?

- Też cię kocham odparła.

Popatrzył badawczo w jej twarz i miał wrażenie, że coś się zmieniło. Coś się stało w jej życiu, w niej samej, a on nie wiedział, co to było.

- Muszę ci coś powiedzieć zaczęła nieoczekiwanie. Byłam dziś... Umilkła nagle.

Tom popatrzył na nią pytająco.

- Tak? spytał.

- Ach, nieważne powiedziała. Właściwie to nie ma żadnego znaczenia.

Zaledwie półtorej godziny wcześniej siedziała razem z Johnem Burtonem w samochodzie i po jego wyznaniu przez kilka minut nie była w stanie wydobyć z siebie choćby jednego słowa. Po dłuższym milczeniu John wziął leżący przed nim jakiś zapomniany paragon kasowy, wyciągnął z kieszeni długopis i coś napisał.

- To numer mojego telefonu. Nie będę ci się już naprzykrzać, ale gdybyś chciała ze mną porozmawiać, możesz zadzwonić w każdej chwili. Powiedziałem ci to, co chciałaś wiedzieć, i może chciałabyś się dowiedzieć czegoś więcej. A może chciałabyś pomówić o czymś innym, nieważne, zadzwoń po prostu, jeśli tylko będziesz miała ochotę.

Po tych słowach po prostu wysiadł i znikł w ciemności, i dopiero dobrą chwilę później Gillian stwierdziła, że do niej będzie należał ewentualny następny krok. Mogła do niego zadzwonić. Mogła też spróbować zapomnieć o tym epizodzie.

- Jesteś pewna? spytał Tom. Jesteś pewna, że to nie ma znaczenia? Skinęła głową.

- Chodźmy spać powiedziała.

Czwartek, 10 grudnia

Nie będzie łatwo znaleźć kupca na tę posiadłość powiedział pośrednik jeszcze w czasie rozmowy telefonicznej. Nazywał się Luke Palm i mieszkał właściwie w Londynie, ale Anne skontaktowała się z nim z polecenia swojej przyjaciółki, a wtedy Luke przyjechał natychmiast do Tunbridge. Rynek nieruchomości nie kwitł ostatnimi czasy. Każdy agent nieruchomości chwycił więc to, co tylko dało się zdobyć, nawet jeśli trzeba było w tym celu jechać spory kawałek.

Teraz Luke stał w kuchni u Anne, rozglądał się, a jego spojrzenia zdradzały, że był pod wrażeniem. Przypuszczalnie nie spodziewał się, że taki stary dom będzie tak pięknie i komfortowo urządzone. I jak zawsze, kiedy goście z podziwem oglądali dom, Anne czuła niemal dziecinną dumę oraz głęboką radość. Sean i ona dokonali naprawdę czegoś wspaniałego. Wspólne idee i starania, choć włożyli w ich urzeczywistnienie ciężką pracę, były wynagrodzone. Uznanie sprawiało jej przyjemność i jedyne, czego pragnęła, to żeby Sean także mógł się z tego cieszyć i być dumny.

- Muszę pani powiedzieć zaczął Luke że ten dom to prawdziwy klejnot.

- Mój mąż, kupując ten dom, spełnił marzenie swojego życia wyjaśniła Anne. Zainwestowaliśmy tu wiele miłości i energii.

- Tak, to widać. Jednak... położenie domu...

- Wiem odparła Anne. W końcu był jakiś powód, dla którego chciała się pozbyć tego kawałka raj. Wiem, dom jest położony daleko od wszystkiego. To jest jeden z powodów mojej decyzji. Mój mąż i ja chcieliśmy spędzić tu starość, ale teraz jestem sama i... czuję się samotna.

Ciągle jeszcze odczuwała potrzebę usprawiedliwienia swojego kroku, nawet wobec tego w gruncie rzeczy obcego mężczyzny, ale właściwie mówiła sama do siebie. Nic nie zachwiało jej decyzji podjętej przedostatniej nocy ani przekonania, że ta decyzja jest słuszna. Ale czym innym było coś teoretycznie zaplanować, a czym innym wykonać pierwsze kroki, żeby te plany stały się rzeczywistością.

- Też nie mógłbym tutaj sam mieszkać zgodził się z nią Luke Palm.

Myszę, że pani decyzja jest jak najbardziej słuszna. Bo nie jest tu całkiem bezpiecznie... być tak zupełnie samej w tym lesie...

- Co pan ma na myśli? spytała Anne. Nie wspomniała przecież nic o światłach reflektorów widzianych w nocy, o obcym samochodzie, o swoim uczuciu, że jest obserwowana i śledzona.

- No, nieprędko ktoś zauważy, jeśli przytrafi się pani coś złego. Może pani przecież po prostu upaść, leżeć ze złamaną nogą na schodach, nie będąc w stanie dotrzeć do telefonu... Przecież nie ma tu sąsiadów, którzy usłyszą pani wołanie.

- Ach, o tym pan myśli odpowiedziała Anne i uspokoiła się.

- Nie mówiąc już o tym, że na tym podłym świecie pełno jest różnych podejrzanych typów dodał Luke. Myślę, że nawet ja obawiałbym się tutaj mieszkać.

Anne natychmiast znów poczuła się nieswojo. Skoro miała tu jeszcze mieszkać, wolałaby usłyszeć, że to nonsens, żeby ciągle się martwić i bać na zapas. Że prawdopodobieństwo, by dotarł tu jakiś kryminalista czyhający na bezbronne kobiety, jest jak jeden do miliona i histeria jest zupełnie nie na miejscu. Wydało jej się nieprzyjemne, że każdy doskonale rozumiał jej lęk. Także przyjaciółka, do której zadzwoniła, pytając o agenta, natychmiast użyła tego argumentu.

- Będę spokojniejsza, Anne, kiedy nie będziesz już siedziała sama w tym lesie, niemal jak żer i łakomy kąsek podany na talerzu każdemu rabusiowi i mordercy.

„Dziękuję miała ochotę powiedzieć Anne zanim znajdzie jakieś inne lokum, dzięki twoim słowom będę mogła z pewnością spokojnie spać”.

- To jest dom dla dużej rodziny zauważył Luke Palm. Albo dla ludzi, którzy mają wiele zwierząt. Którzy szukają alternatywnej formy życia lub czegoś podobnego. To wprost marzenie dla outsidera!

Chodząc po domu, zrobił mnóstwo notatek, a także liczne fotografie, i wreszcie powiedział, że przygotowuje odpowiednią prezentację.

- Jak tylko pojawią się zainteresowani, dam pani znać. Oczywiście proszę się liczyć z oględzinami.

- Nie ma problemu powiedziała Anne. Przeważnie jestem w domu. Po prostu proszę do mnie wcześniej zadzwonić.

Pożegnali się, a pośrednik był wyraźnie zadowolony i dobrej myśli. Spodziewał się, że znajdzie tutaj w lesie coś w rodzaju opuszczonej noclegowni, a teraz miał w rękę cenny klejnot. Kiedy wyszedł przed dom, w powietrzu wirowały płatki śniegu. Był już późny wieczór. W wierzchołkach drzew szumiał wiatr.

- Jest pani bardzo odważną kobietą powiedział na pożegnanie. Ale proszę dobrze pozamykać wszystkie drzwi.

- Zrobię to oczywiście. Ale złego diabli nie biorą.

Patrzyła za nim, jak znikał między krzewami, które rosły wzdłuż ścieżki prowadzącej przez ogród. Starła się sprawić wrażenie bardziej odważnej, niż naprawdę była. Ostatniej nocy nie słyszała silnika samochodu ani nie widziała świateł reflektorów, ale wcale nie była dzięki temu spokojniejsza. Wręcz odwrotnie, czuła niemal jeszcze większy niepokój. Ani nie sądziła, że wszystko sobie wmówiła, ani nie wychodziła z założenia, że sprawa sama się jakoś wyjaśni. Raczej wydawało jej się, że coś tam czeka na dworze. I nie potrafiła choćby w największym przybliżeniu zdefiniować owego *czegoś*, nie miała też pojęcia, czemu miałoby służyć owo czekanie. Ale czuła, że jest w niebezpieczeństwie, i ta świadomość powodowała, że tak przyjazną dotychczas okolicę odbierała zupełnie inaczej: było to tak, jak gdyby drzewa nagle znalazły się bliżej jej domu. Jak gdyby szum poruszanych wiatrem łysych gałęzi był groźny. Jak gdyby podłogi w domu

skrzypiały, czego przedtem nigdy nie słyszała. Jak gdyby świat, zawsze pełen ludzi, jeszcze bardziej się od niej oddalił.

Starannie zaryglowała drzwi wejściowe i wróciła do jasno oświetlonej kuchni. Na stole stały świece, wokół okien umocowała łańcuchy lampek. Z zewnątrz jej dom musiał dzięki temu sprawiać wrażenie wyjątkowo ciepłego i przytulnego, ale kto to widział?

Odsunęła od siebie tę myśl. Właśnie o tym nie chciała w tej chwili rozmyślać: o tym, kto mógł coś zobaczyć z zewnątrz.

Nastawiła wodę na herbatę i zajęła się broszurami, które zostawił jej Luke Palm. Oferty kupna mieszkań w Londynie. Była zdenerwowana.

„Mam tu dla pani kilka rzeczywiście ciekawych propozycji - powiedział. - Jasne, przestronne mieszkania. Z pięknymi, słonecznymi balkonami. Proszę przejrzeć te oferty w spokoju. Możemy się spotkać w przyszłym tygodniu na oględziny”.

„Mój pierwszy rzeczywiście samodzielny krok” - pomyślała i popatrzyła w zadumie na błyszczący papier leżącej przed nią broszury. Miała dwadzieścia sześć lat, kiedy poślubiła Seana. Od tej chwili razem decydowali o każdym posunięciu. Życie było dla niej ciągłą koniecznością zawierania kompromisów z drugim człowiekiem. A teraz miała zamieszkać w swoim wymarzonym mieszkaniu. W swojej wymarzonej okolicy. I miała je urządzić dokładnie według własnych wyobrażeń.

Nagle poczuła się tak pełna energii, jak chyba nigdy. Po raz pierwszy po śmierci Seana opanowało ją uczucie, jak gdyby była przed wielką podróżą. Uczucie radosnego podniecenia. Oczekiwania.

Nalała sobie herbaty i zapaliła świece. To będzie cudowny wieczór. Będzie się zajmowała swoją przyszłością, oglądała fotografie, studiowała plany mieszkań, piła herbatę. A potem uczci to wszystko lampką szampana.

Usiadła za stołem.

I w tym momencie usłyszała jakiś szmer.

Las na zewnątrz, a także dom były pełne różnych szmerów, ale tym razem Anne odebrała dźwięk na jakiejś innej płaszczyźnie podświadomości. Znała dźwięki, jakie wydawały trzeszczące belki dachu, gulgotanie rur ogrzewania, szum poruszanych wiatrem drzew i odgłosy zwierząt, które żyły w lesie. Ale ten dźwięk był zupełnie inny i kazał jej podnieść głowę.

Brzmiało to tak, jakby ktoś był na werandzie przed kuchnią.

Jej pierwszą myślą było, że może Mr Palm czegoś zapomniał i wrócił ale przecież wówczas zadzwoniłby do drzwi wejściowych.

W napięciu patrzyła przez okno, lecz na dworze było zupełnie ciemno, a w kuchni bardzo jasno; widziała jedynie odbity w szybie obraz własnej kuchni, świece, dzbanek z herbatą i siedzącą przy stole kobietę z szeroko otwartymi oczami.

Dlaczego przedtem, kiedy agent był jeszcze w pobliżu i nie była tak rozpaczliwie sama, nie zamknęła okiennic?

Dlaczego w ogóle nie spakowała wszystkich swoich rzeczy i nie zamieszkała u przyjaciółki w mieście albo w hotelu?

Podniosła się, wstrzymując oddech, i wyrzała przez okno na zewnątrz. Nie było słyhać niczego nowego oprócz zwykłych, codziennych dźwięków.

„Może sobie coś wmówiłam pomyślała mój system nerwowy jest chyba mocno nadszarpnięty”.

Tak, okiennice powinny być zamknięte, to rzeczywiście było ważne. Czułaby się wtedy bezpieczna. Wyłamane okiennice kosztowałyby mnóstwo sił i czasu, a w dodatku spowodowałyby mnóstwo hałasu. Najgorsze było to, że Anne musiałaby teraz otworzyć drzwi na taras, wyjść na zewnątrz, żeby odsunąć zasuwki i zamknąć okiennice.

„Nie zachowuj się jak rozhisteryzowana starucha powiedziała surowo sama do siebie. Usłyszałaś jakiś niezwykły dźwięk, a przynajmniej wmawiasz to sobie. Może rzeczywiście niczego takiego nie było. Bo przecież nie możesz przysiąc, że naprawdę coś usłyszałaś. Wykończysz się w ten sposób, a na to nie możesz sobie pozwolić. A więc idź i zamknij teraz te cholerne okiennice!”.

Nie słyszałaś tego dźwięku tylko raz. Słyszałaś też samochód. I to kilka razy. W środku nocy. Tutaj coś nie gra i nie ma to nic wspólnego z histerią i wmawianiem sobie.

Zignorowała swój wewnętrzny głos.

Musiała zamknąć okiennice. Potem będzie mogła spokojnie rozmyślać o tych wszystkich dziwnych rzeczach, które wydarzyły się ostatnio w jej życiu. Będzie mogła oddać się rozmyślaniam o strachu i o wszystkich możliwych okropieństwach. Ale w tej chwili nie wolno jej było poddać się paraliżującemu strachowi.

Zdecydowanym ruchem otworzyła drzwi. Śnieg sypał teraz o wiele intensywniej. W ogrodzie na trawie leżała już cienka biała warstwa. Także na schodach, które prowadziły z ogrodu na werandę.

Wpatrywała się w zasypane schody.

Jej mózg pracował osobliwie powoli. Ślady stóp na śniegu. Grube podeszwy o szerokim profilu. Ktoś ubrany w ciężkie zimowe buty zakradł się tutaj. To nie były jej ślady Anne nie wychodziła na te schody przez cały dzień. Z Lukiem Palmem byli w ogrodzie, ale obeszl dom, wychodząc głównymi drzwiami. A śnieg dopiero teraz przestał topnieć.

Ktoś dopiero co musiał tutaj wejść. W ciągu ostatnich dziesięciu minut.

Od ściany domu oderwał się jakiś cień. Anne zauważyła to kątem oka. Wydało jej się, że odwróciła się w zwolnionym tempie. Zauważyła grubą czarną kurtkę i zrobioną na drutach czapkę, głęboko wciśniętą na oczy.

Ciągle myślała zdumiewająco analitycznie: nikt nie miał najmniejszego powodu, żeby stać tutaj nocą, na jej tarasie.

Pojęła, że pod żadnym pozorem nie powinna była wychodzić na dwór.

Sobota, 12 grudnia

1.

Sobota, 12 grudnia, 19.05

Millie i Gavin oglądają na dole wiadomości. Millie już się ubrała, ma na sobie płaszcz i buty. Ma nocną zmianę w domu starców, musi wyjść za pół godziny. I oczywiście jest w odpowiednim do tego humorze, kolację ledwo można było znieść. Ona jest zawsze rozdrażniona, zupełnie jak zły pies, kiedy musi iść do pracy, ale w weekendy jest jeszcze gorzej.

Przy jedzeniu byłem oczywiście czymś w rodzaju piorunochronu.

Kiedy drugi raz nałożyłem sobie na talerz smażonych kartofli, spytała, kiedy zamierzam wpłacić coś do domowej kasy, bo tych parę groszy z ostatniego tygodnia dawno już poszło. Miała czujny wyraz twarzy, gdy wpatrywała się we mnie, i powiedziała jeszcze, że przecież dostaję „zapomogę”.

- Pisziesz przecież regularnie aplikacje, prawda? spytała. I szukasz pracy? Bo w takim wypadku dostajesz też pieniądze.

- Oczywiście skłamałem. Zaczerwieniłem się przy tym, ale to zdarza mi się stałe, kiedy coś mówię, więc chyba nic nie zauważyła.

Obawiam się, że ona coś podejrzewa. Millie to wstrętna matła, ale nie jest głupia. Zbyt długo nie ma mnie w domu całymi dniami i pewnie od dawna się zastanawia, co ja robię na dworze. Chyba nie sądzi, że chodzę od drzwi do drzwi i proszę o pracę. Byłoby dobrze, gdybym kilka dni poobijał się w domu. Nie kupuję niczego dla siebie, ale muszę płacić swój udział za prąd, ogrzewanie, jedzenie, i resztki oszczędności topnieją. Wczoraj w Halfway House wysepiłem nawet trochę forsy od Bartka. Trochę marudził też nie jest przy forsie, a jego narzeczona wydaje się wymagająca i droga. Ale dal mi pięćdziesiąt funtów. I wyciągnąłem je wczoraj z kieszeni szerokim gestem, po czym położyłem przed Millie na stole.

- Czy to na razie wystarczy? spytałem, a ona skinęła głową, dość ostupiała. Ale jej nieufność wcale dzięki temu nie zmalała. Jednak nie miała już powodu do ataków i na razie nic nowego nie przyszło jej do głowy.

Gavin jak zwykle nie mówił nic. Przeżuwał bezmyślnie jedzenie i miał nadzieję, że sytuacja nie będzie eskalować.

Widziałem dzisiaj w południe Gillian, Toma i Becky. Zdaje się, że wyszli na spacer. Akurat byłem przed ich domem, kiedy wychodzili, musiałem więc powiedzieć dzień dobry. Wszystko nie było takie przypadkowe i niewinne, ale mam nadzieję, że nie będą się nad

tym zastanawiać. Może w ogóle nie zauważyli, że się tam od dłuższego czasu włóczę, może pomyśleli, że szedłem tamtędy przypadkiem. Zareagowali na mój widok z takim roztargnieniem, że chyba nie mam powodu się niepokoić. Jednak postanowiłem być ostrożniejszy. Te krótkie, ciemne, grudniowe dni sprawiają, że człowiek staje się lekkomyślny, bo ukryty pod osłoną ciemności. Ale przecież każdy jest bardziej widoczny, niż mu się wydaje, a w środku dnia jest w końcu całkiem jasno. Choć niebo jest zachmurzone, a lato jest tak odległym wspomnieniem, jak gdyby nigdy miało go już nie być.

Na pierwszy rzut oka Wardowie wydają się zdrową, normalną rodziną, tak jak myślałem na początku. Wszyscy troje mieli na sobie zimowe kurtki, buty i kolorowe czapki, i można by przypuszczać, że cieszą się z tego wspólnego spaceru. Ale nauczyłem się już obserwować i chyba w tej rodzinie coś nie gra. Thomas Ward naprawdę źle wygląda. Jest szary na twarzy, robi wrażenie wyczerpanego, a przy tym jest jakoś niezdrowo ożywiony. Zbyt ożywiony. Ten człowiek wręcz wibruje. Na dłuższą metę to niezdrowe.

Becky wygląda jak wiecznie niezadowolona, dojrzewająca nastolatka. Nie wydaje się szczęśliwa, lecz mój instynkt mówi, że za tym wszystkim nie kryje się nic poważnego. Okres dorostania jest naprawdę trudny, wiem o tym aż za dobrze.

Ale naprawdę obawiam się o Gillian. Nie wygląda co prawda na tak wykończoną i wyczerpaną jak jej mąż, i o jej zdrowie chyba nie potrzebuję się martwić. Nie jest też w takim kiepskim nastroju jak jej córka. Ale jest... można by powiedzieć, niespokojna, choć też nie jest to do końca słuszne określenie. Niespokojna to chyba zbyt delikatnie. Ona jest pełna napięcia, nerwowa, jakoś niezdrowo ożywiona. Robi na mnie wrażenie człowieka rozdartego i zastanawiam się dlaczego. Co jest przyczyną jej rozdarcia?

Uśmiechnęła się do mnie przelotnie, ale bez ciepła. W końcu właściwie mnie nie zna. Nie ma pojęcia, jak głęboko tkwi już w moich myślach, w moich marzeniach za dnia i nocą, w mojej podświadomości. Jak bardzo pragnąłbym być dla niej kimś bliskim. Ale wcale nie chcę niszczyć tej rodziny! Każda rodzina jest dla mnie święta. To okropne, że ludzie tak szybko się rozstają, rozwodzą i natychmiast próbują wejść w nowy związek. Jak gdyby małżeństwo było jakąś miłą, chwilową sytuacją, z którą można się natychmiast pożegnać, jak tylko coś nie gra. Dlatego nigdy nie próbowałbym zdobywać względów żadnej zameżnej kobiety. Gardziłbym sobą już na samą myśl o tym.

Chcę tylko brać jakiś udział w życiu Gillian. W życiu jej rodziny. To tęsknota za tym, żeby choć współuczestniczyć w przeżywaniu czegoś, czego nigdy w życiu nie będę miał. Nigdy mi się nie uda założyć rodziny, nigdy się nie ożenię, nigdy nie będę ojcem. Wiem o tym od dawna, nawet kiedy mój przyjaciel Bartek nie odpuszcza i wczoraj znów zaczął szukać dla mnie randki w Internecie. To po prostu nic nie da. Nie będę nikim więcej niż widzem i świadkiem czyjegoś szczęścia.

Patrzyłem za nimi, jak odjeżdżali. Stałem tam na zimnie, było lodowato, tego dnia akurat od czasu do czasu sypał śnieg i czułem, jak gdzieś w moim wnętrzu robi się coraz zimniej. To miało coś wspólnego z Wardami. Coś się stanie, czułem to wtedy aż nadto dobrze i czuję to także teraz.

Ruszyłem potem dalej na swój codzienny spacer, ale nie mogłem się jakoś skoncentrować, skupić. To intensywne uczucie zbliżającego się nieszczęścia... Nie jestem jasnowidzem, ale moje zmysły nie śpią. Nagłe przyszedł mi do głowy ten facet, z którym Gillian siedziała w pubie. Nie potrafię tego jeszcze pozbierać do kupy, ale ten typ mi się nie podobał i to pasuje do tej jakoś pełnej nieszczęścia sytuacji, która wydaje się niemal wisieć nad rodziną Wardów.

Na dole zatrzasnęły się drzwi. Słyszę kroki Millie na ścieżce w ogrodzie. Wściekłe, energiczne kroki, a drzwi też mogłaby zamykać ciszej. Przypuszczam, że znowu się pokłóciła z Gavinem.

Przypuszczam także, że to ja byłem powodem kłótni.

Może rzeczywiście powinienem się wyprowadzić. Tylko utrudniam życie Gavinowi, i sobie też. To okropne, być tak niechcianym i źle widzianym. To już chyba samotność byłaby lepsza.

Najlepiej by było, żebym to nie był ja. Tylko ktoś zupełnie inny.

Wybrała jego numer, zanim opuściła ją odwaga. Było po dziesiątej wieczorem, ale na ile zdążyła poznać Johna, sądziła, że nie należy on ludzi, którzy wcześniej chodzą do łóżka. W dodatku kwestia późnej pory nie była w tej sprawie największym problemem. Problemem był sam fakt, że ona to robiła: że dzwoniła do mężczyzny, który powiedział, że jest nią zafascynowany.

Który całkiem wyraźnie miał ochotę na mały romans z nią. Podczas kiedy ona była przecież mężatką.

Tom poszedł wcześniej do sypialni. Słyszała, że włączył tam telewizor i oglądał jakiś program sportowy. W południe wszyscy razem pojechali do Windsoru, poszli tam na długi spacer, wypili kawę w jakiejś wiejskiej restauracji i wrócili z rumieńcami na twarzach, w dobrym nastroju. Gillian upiekła w piekarniku bagietki z masłem ziołowym i razem zjedli je na kolację. Becky chciała potem koniecznie zobaczyć na DVD *Zmierzch*, Gillian poszła więc z nią do salonu i próbowała zrozumieć, dlaczego córka i jej przyjaciółki są wręcz uzależnione od tego filmu. Spacer po południu w zimnym powietrzu zmęczył Becky, w końcu więc dziewczynka przytuliła się do matki i usnęła. Gillian głaskała jej palce, co robiła zawsze, kiedy Becky była mała, i także teraz córka oddychała spokojnie, śpiąc, a wyglądała tak słodko i różowo jak malutkie dziecko, którym kiedyś była.

Gillian dawno przestała zwracać uwagę na Edwarda i Bellę na ekranie telewizora, patrzyła za to na spokojną, delikatną twarz córki, miłą i nie tak naburmuszoną jak codziennie.

„Jak bardzo ją kocham” - pomyślała. Jednak wewnętrzny niepokój nie ustąpił.

W końcu zaniósła pogrążoną we śnie Becky do łóżka, przykryła ją starannie, co rzeczywiście wydało się sprawiać jej przyjemność, i zeszła do salonu. Po dwóch kieliszkach wina czuła się o wiele bardziej rozluźniona. A ponieważ rzadko piła alkohol i reagowała silnie nawet na jego niewielką ilość, dwa kieliszki wina graniczyły niemal z upiciem się.

Paragon kasowy, na którym John napisał swój numer telefonu, miała w kieszeni dzinsów. Wyciągnęła papierek, przyniosła telefon z korytarza i znów usiadła w salonie.

„Zadzwonić to przecież nic nadzwyczajnego” - pomyślała.

Zgłosił się po trzecim sygnale. W tle słyszała wyraźnie jakieś głosy, śmiechy i brzęk szkła.

- To ja, Gillian.

- Dobry Boże powiedział John. Obawiałem się już, że nigdy nie zadzwonisz.

Wydawało się, że rzeczywiście czekał na jej telefon.

- W czasie naszego ostatniego spotkania powiedziała zareagowałam chyba nieco zbyt ostro. Nie chciałam... tego tak zostawić.

- Pod jakim względem zbyt ostro?

- Nie powinnam była natychmiast wstawać i wychodzić. Obawiam się, że sytuacja nieco przerosła moją wytrzymałość nerwową.

Śmiech słyszany w tle stał się naraz jeszcze głośniejszy.

- Gdzie jesteś? spytała.

- W Halfway House. Mieliśmy turniej w klubie i potem przyszedłem tutaj. Możesz przyjść? Siedzę tu sam jak pies i za bardzo pocieszam się whisky.

Gillian stwierdziła z zaskoczeniem, jak bardzo się ucieszyła i jaką ulgę sprawiły jej te słowa: że był sam.

- Nie mogę tak po prostu wyjść. Nie dziś wieczór.

- Kiedy możesz? spytał John. Roześmiała się.

- A skąd wiesz, że chcę się z tobą spotkać? Był poważny.

- Powiedziałaś przed chwilą: *nie dziś wieczór*. Zabrzmiało to dla mnie tak, jakby to była tylko kwestia godziny i dnia. A nie ogólnie słowa *nie*.

- Masz rację zastanowiła się. Chciałabym po prostu porozmawiać. Byłam przerażona, kiedy mi powiedziałeś, z jakiego powodu zostałeś wydalony z policji. Chciałabym się o tym dowiedzieć czegoś więcej.

- Powiedz po prostu kiedy.

- W następny czwartek Becky jest zaproszona na urodziny i ma tam nocować. Mój mąż ma wieczorem spotkanie w klubie tenisowym. Jestem wolna cały wieczór.

- W następny czwartek? To niemal za tydzień.

- Wiem. I całe mnóstwo czasu, żeby to przemyśleć.

- *Take it or leave it* odparł John. To przypuszczalnie jedyny wybór, który mam. W porządku. Następny czwartek. Przyjdiesz do mnie?

- Do ciebie do domu?

- Dlaczego nie?

Nie chciała wyjść na głupią. Albo na nieśmiałą i pruderyjną.

- Hm... Dobrze, w porządku. Mieszkasz w Londynie?

Podyktował jej swój adres w Paddington, a ona zapisała wszystko pod numerem telefonu.

- A więc na razie.

- Cieszę się odparł John.

Czwartek, 17 grudnia

1.

Luke Palm miał trzydzieści osiem lat i od ośmiu pracował jako samodzielny pośrednik nieruchomości. Jego zasadą było nigdy nie deptać swoim klientom po piętach. Doskonale znał stereotyp obleśnego, natrętnego agenta, który potrafił tak długo narzucać się ludziom, że w końcu kupowali obiekty, których uprzednio wcale nie zamierzali nabywać, w dodatku nieświadomi wad i usterek przedmiotu swojego zakupu. A wszystko w efekcie pseudoelokwencji i podobnych działań pozbawionego skrupułów agenta. Chciał się bezwzględnie odciąć od takiego obrazu. Jego sukces miał być sukcesem w pełni zasłużonym. Cieszył się opinią pośrednika uczciwego i poważnego. Ludzie szybko zaczęli mu ufać.

Także Anne Westley zjawiała się u niego, bo poleciła go jej przyjaciółka. Anne wydała mu się sympatyczną, mądrą starszą panią. Od razu doskonale się z nią rozumiał. Poza tym klientka taka jak ona to wyjątkowo szczęśliwy przypadek: nie tylko chciała sprzedać dom, ale szukała też dla siebie mieszkania własnościowego. A więc zarobiłby podwójnie. Było więc oczywiste, że Luke zadał tu sobie znacznie więcej trudu niż zwykle.

Przez tydzień próbował się do niej dodzwonić, i to wiele razy, ale ciągle odpowiadała mu tylko automatyczna sekretarka. Pilnie prosił o telefon, ale daremnie. Chciał ją koniecznie zawiadomić o sukcesie: nie tylko znalazł klientów gotowych kupić dom w lesie w Tunbridge Wells, ale miał też do zaoferowania urocze mieszkanie w dzielnicy Belgravia, które znakomicie odpowiadało wymaganiom Anne Westley. W obu przypadkach chciał koniecznie przeprowadzić oględziny jeszcze przed świętami.

Nie rozumiał zupełnie, dlaczego Anne nie reagowała na jego telefony. Sprawiała wrażenie bardzo zainteresowanej i zdecydowanej opuścić za wszelką cenę swoją wątpliwą idyllę w lesie. Luke rozumiał to aż za dobrze. Cudowna posiadłość, ale on nie wytrzymałby tam nawet trzech dni.

Małżeństwo, które zainteresowało się tą posiadłością, miało pięcioro dzieci i mnóstwo zwierząt. Także w tym przypadku Luke Palm był przekonany, że jest w stanie zaoferować swoim klientom coś, co będzie akurat odpowiadało ich potrzebom i chęciom. Dlatego był coraz bardziej zdenerwowany, że nie udawało mu się w żaden sposób skontaktować z Anne.

Coraz bardziej go to martwiło i niepokoiło.

W ostatni czwartek dzwonił do niej kilkakrotnie. Znów tylko sekretarka. Nie zostawił żadnej wiadomości, bo jego tekst musiał być nagrany już chyba z pięć albo

sześć razy. Ale zaczął się zastanawiać, czy sprzeniewierzył się swojej zasadzie, by nigdy nie narzucać się klientowi.

Walczył z myślą, żeby to jednak zrobić. Po prostu tam pojechać i odwiedzić Anne Westley. Zobaczyć, co się właściwie stało.

Było wczesne popołudnie, nie miał już żadnych innych terminów, tylko trochę papierkowej roboty, którą mógł się zająć w domu. Właściwie zamierzał teraz jechać do domu i spędzić kilka godzin za biurkiem, ale się wahał. Może jednak powinien pojechać do Tunbridge Wells i zobaczyć Anne. Była przecież tak cholernie samotna tam w lesie. Oczywiście było możliwe, że porzuciła plan przeprowadzki, ale na ile był w stanie ją ocenić, dałaby mu o tym znać. Nie znikłaby tak po prostu.

Luke Palm spojrzął na zegarek. Tuż po trzeciej. Na dworze padał śnieg. Coraz większe płatki i coraz gęstsze. W poprzednim tygodniu już kilka razy padał przelotnie śnieg, ale wszystko szybko się stopiło. Teraz chyba naprawdę szła zima i we wszystkich miejscowościach wszystko wskazywało na to, że w tym roku będzie białe Boże Narodzenie. Meteorolodzy zapowiedzieli na wieczór silne opady, ale ponieważ Luke nie zamierzał zatrzymywać się u Anne dłużej, miał nadzieję, że do tego czasu zdąży wrócić do domu. Chciał przecież tylko do niej zajrzeć. Upewnić się, że wszystko jest w porządku i powiedzieć, że znalazł klientów, którzy bardzo by chcieli obejrzeć jej dom.

Dwadzieścia po trzeciej wyruszył w drogę.

Trwało to dłużej niż zwykle, zanim udało mu się wyjechać z miasta, bo śnieg sypał coraz intensywniej i nieprzyzwyczajeni do tego kierowcy zaczęli wpadać w histerię. Była prawie piąta, kiedy zaparkował samochód na małym parkingu na skraju lasu w Tunbridge Wells, gdzie miały początek liczne szlaki turystyczne. Oprócz jego samochodu nie było tam żadnego innego. Po krótkim rozmyśleniu Luke postanowił zostawić tutaj auto i pójść dalej piechotą. Śnieg padał naprawdę gęsto, a Luke nie bardzo ufał nieutwardzonej drodze prowadzącej do domu Anne. Nie miał ochoty utknąć gdzieś po drodze i być zmuszonym wykopywać potem auto z zasy.

Zrobiło się ciemno, a w tym lesie, pośród wysokich drzew, było chyba jeszcze ciemniej. Luke brnął w śniegu po wąskiej drodze, panujący tu nastrój wydawał mu się z jednej strony bardzo świąteczny i romantyczny, ale zarazem pełen jakiejś grozy. Świat pokryty coraz grubszą warstwą śniegu stał się jakby jeszcze cichszy czy też wstrzymywał oddech? Luke nie był w stanie tego ocenić. Zastanawiał się po raz kolejny, jak człowiek może tutaj w ogóle wytrzymać.

I nagle stwierdził z irytacją: on nie powinien być, nie wolno mu było tego robić. Sean Westley. Ciągnąć tutaj swoją żonę, żeby urzeczywistniać własne marzenia. Czegoś takiego nie wolno robić drugiemu człowiekowi!

Nie, Anne się nie skarżyła. Ale Luke Palm był wrażliwym człowiekiem. I szybko się zorientował, że ten dom i przeprowadzka tutaj to było przede wszystkim życzenie zmarłego męża Anne. Jego pomysł. I Anne nie przyszło łatwo na to

wszystko przystać. Teraz zatrzymywała ją tutaj tylko lojalność w stosunku do Seana, silniejsza nawet niż śmierć.

Droga doprowadziła go wreszcie na rozległą polanę, na której stał dom. Wszystko było tak jak przedtem, nawet jeszcze bardziej czarowne, bo dookoła wirowały płatki śniegu, a wszystkie drzewa i krzewy wyglądały już jak posypane miałkim cukrem. Bajka w zimowym lesie.

„Mam nadzieję, że nie będzie wkurzona, kiedy zjawię się nagle ni stąd, ni zowąd” - pomyślał Luke.

Nigdzie w domu nie świeciło się światło, ale na podjeździe zobaczył samochód Anne, więc musiała być w domu. Bez samochodu nie za bardzo mogła się stąd wydostać.

Otworzył bramkę do ogrodu, poszedł ścieżką pomiędzy wysokimi krzewami. Bzy, o ile mógł rozpoznać, a między nimi jaśmin. Latem i wiosną ten ogród musiał być jak marzenie. Tylko że jak komuś się tutaj, nie daj Boże, coś przytrafi, to nikt się o tym nawet nie dowie.

Wszedł po schodach do drzwi i zadzwonił. Czekał. Było zupełnie cicho, w domu nic się nie ruszało.

Oczywiście mogła wyjść na spacer. Odetchnąć trochę świeżym powietrzem. Do tego nie potrzebowała przecież samochodu. To zupełnie możliwe. Luke sam nie był w stanie stwierdzić, dlaczego jednak w to nie wierzył. Dlaczego zamiast tego ogarniało go rosnące poczucie zagrożenia. Ależ tu było wszędzie pusto i samotnie! On sam trzymałby przynajmniej dwa wielkie dobermany, gdyby wpadł mu do głowy szalony pomysł, żeby się wyprowadzić na takie pustkowie. A kobieta dobiegająca siedemdziesiątki, sama jak palec... Wydało mu się to wręcz kuszeniem losu.

Bzdura. Prawdopodobnie sam to wszystko rozdmuchiwał. Pewnie okaże się, że poszła z siekierą sama do lasu, żeby wyciąć sobie choinkę, a on malował w wyobraźni okropne obrazy, w których Anne padła ofiarą jakiegoś rabusia i mordercy.

Postanowił jednak spróbować szczęścia po drugiej stronie domu. Po swojej wizycie tutaj wiedział, że była tam weranda i drugie wejście, które prowadziło wprost do kuchni.

Okrzyżował dom. Mimo mroku zauważył natychmiast, że drzwi werandy były szeroko otwarte. A na stopniach przed tarasem i na jego niezadaszonej części gromadził się już śnieg. Świeży śnieg. I choć drzwi stały otworem, nikt stamtąd nie wychodził w ciągu ostatnich kilku godzin.

Zatrzymał się i usłyszał w ciszy swój własny oddech. To nie wyglądało dobrze. Anne musiała być w domu, ale dlaczego nigdzie nie świeciło się światło? Przypomniał sobie łańcuchy lampek, dzięki którym w kuchni panował taki miły, świąteczny nastrój. W tej chwili nie świeciło się nic.

Teraz był pewien: ta cisza wokół niego nie była pełna spokoju. Kryła jakąś straszną tajemnicę, była przyczajona i groźna.

Zaczął szukać telefonu i stwierdził, że oczywiście zostawił go w aucie. Najchętniej zawróciłby i pobiegł z powrotem na parking, ale się powstrzymał. Musiał zobaczyć, co tu się stało. Może Anne Westley upadła. I leżała gdzieś w domu, niezdolna do wykonania choćby jednego ruchu, a przecież chodziło o życie i śmierć.

Ale dlaczego te drzwi są otwarte?

Powoli wszedł po stopniach na taras. Wolałby, żeby było jasno. Panujące ciemności tylko wszystko pogarszały.

Zawołał:

- Halo, jest ktoś w domu? To ja, Luke Palm! Nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

Wszedł do kuchni, w której nie było cieplej niż na zewnątrz. Te drzwi musiały być otwarte już całą wieczność. Wymacał na ścianie wyłącznik i zapalił światło. Drgnął, kiedy ciemność zniecka ustąpiła i pomieszczenie zalał potok światła.

Rozejrzał się.

Z wyjątkiem faktu, że ściany były zupełnie wychłodzone, kuchnia wyglądała tak, jakby ją opuszczono zaledwie przed kilkoma minutami. Dzbanek z herbatą, jeszcze napełniony do połowy, stał na stole. Przed nim kubek. Luke zobaczył leżące na stole broszury z prezentacjami mieszkań, które wręczył Anne podczas swoich ostatnich odwiedzin. Obok stały świece, wypalone aż do podstawy świecznika. W zlewozmywaku zobaczył niepozmywane naczynia. Spojrzenie Luke'a padło na wiszący obok kuchenny kalendarz. Widniała na nim kartka z datą 10 grudnia. Był to czwartek w ubiegłym tygodniu, kiedy on oglądał dom. Od tego dnia nikt nie zerwał kolejnej kartki.

Pełen niepokoju spojrzął na łańcuchy z lampkami. Wtyczka była wyciągnięta z kontaktu, dość gwałtownie, jak mu się wydawało, bo jeden łańcuch zsunął się z okna, zwinął i spadł na stojący pod oknem ekspres do kawy.

- Tu coś nie gra powiedział głośno Luke już tylko po to, żeby usłyszeć własny głos, co go nieco uspokoiło.

Wszedł z kuchni na korytarz i także tutaj włączył światło.

- Mrs Westley? zawołał jak najciszej i spytał sam siebie, dlaczego właściwie zachowuje się tak cicho. Znał odpowiedź: bał się, że tutaj nie zdarzył się zwykły wypadek, tylko coś o wiele gorszego. Że na tym pustkowiu doszło do czegoś przerażającego. Że za tym wszystkim stał ktoś, komu wcale nie chodziło o tę pustkę. On szukał kogoś lub czegoś innego. I być może ten ktoś jeszcze tutaj był, gdzieś w tym ciemnym, starym domu albo w lesie, który otaczał dom.

Luke pomyślał, że byłoby lepiej, gdyby zniknął. Ale najpierw musi znaleźć Anne. Gdyby teraz zwyczajnie uciekł, nie mógłby po prostu spojrzeć na siebie w lustrze.

Zastanawiał się, czy popełnił błąd, zapalając wszędzie światło. Przecież w ten sposób zasygnalizował swoją obecność. Ale jak inaczej miał cokolwiek stwierdzić? Przeklął sam siebie za pomysł, żeby tu przyjechać. Mógł od dawna siedzieć w domu przy biurku, z filiżanką kawy. Zamiast tego...

Krótkie spojrzenie w okno salonu pozwoliło stwierdzić, że śnieg padał coraz intensywniej. Do tego wszystkiego będzie jeszcze miał problem z wyjechaniem z parkingu.

Wszedł na schody prowadzące na górę. W połowie drogi zaskoczyła go po raz pierwszy dziwna woń.

- Do jasnej cholery! powiedział głośno.

Nie robił już sobie żadnych złudzeń: to był zapach rozkładu.

Znalazł Anne Westley w łazience, która znajdowała się zaraz obok ich sypialni. Stara kobieta leżała przed prysznicem, w poprzek pomieszczenia, na frotowym chodniku, a spojrzenie nieruchomych oczu miała skierowane na sufit. W jej nienaturalnie szeroko otwartych ustach coś tkwiło, jakiś materiał w kratkę, chustka czy szalik, Luke nie był w stanie tego rozpoznać. Nos kobiety był zaklejony szeroką taśmą klejącą. Także jej nadgarstki i kostki nóg oklejała taśma. Było aż nadto wyraźnie widoczne, że to nie był *wypadek*. Że Anne została w najbardziej brutalny sposób zamordowana. Morderca udusił ją, blokując wszystkie drogi oddechowe. Jak rozpaczliwie musiała walczyć z materiałem tkwiącym w jej krtani. Jak beznadziejnie i bezskutecznie.

Mogło się to stać 10 grudnia, w każdym razie wskazywał na to jednoznacznie kalendarz w kuchni. Po tym, jak on, Luke, od niej wyszedł. Po tym, kiedy jeszcze jej radził, żeby dobrze zamknęła drzwi.

Luke Palm osunął się na brzeg wanny, bo nagle poczuł, jak miękną mu kolana i obawiał się, że straci równowagę. Przez chwilę miał uczucie, że jego krążenie nie wytrzyma i sam osunie się zaraz na podłogę obok Anne. Na twarzy i całym ciele gwałtownie wystąpił mu pot. Oparł głowę na rękach, starając się nie patrzeć na zmarłą, nie czuć tej strasznej woni. A mimo wszystko oddychał głęboko.

Nagła słabość ustąpiła.

Podniósł głowę. Zobaczył, że klamka przy drzwiach w łazience wisiała krzywo w jakiś osobliwy sposób, a okucie wokół zamka było zniszczone. Wyglądało to tak, jak gdyby ktoś wyłamał zamek.

Stęknął cicho, kiedy pomyślał, jaki dramat musiał się tu rozegrać: morderca zapewne wdarł się do domu, ale widocznie Anne udało się uciec.

Uciekła do łazienki, jedyne pomieszczenia, które mogła zamknąć, i zabarykadowała się tutaj. Ale jej prześladowca nie ustąpił. Zniszczył zamek i dostał się do łazienki.

Anne musiała długo znosić potworny strach przed śmiercią. Zamknięta w małym pomieszczeniu, bez możliwości zatelefonowania po pomoc, nawet bez

szansy wołania przez okno. Kto miałby ją usłyszeć? I powoli docierało do niej, że przeciwnik wygra. Że drzwi nie wytrzymają.

Luke wstał, mając nadzieję, że zdoła się utrzymać na drżących nogach. Musiał zadzwonić po policję. Liczył na to, że telefon, który o ile sobie przypominał, znajdował się w salonie na dole, funkcjonował. Luke ciągle jeszcze odczuwał strach, choć zdawał sobie też sprawę, że Anne była zapewne martwa już od tygodnia. Wszystko na to wskazywało. Było mało prawdopodobne, że jej morderca wciąż jeszcze tu jest. Udało mu się oceniać wszystko w miarę racjonalnie i rozsądnie i gdzieś w podświadomości dziwił się sam sobie, że jest taki spokojny. Dopiero znacznie później zdał sobie sprawę, że cały czas był w szoku.

Schodząc po schodach, powtarzał sobie cicho numer policji:

- Dziewięć, dziewięć, dziewięć, dziewięć, dziewięć, dziewięć.

W żadnym wypadku nie wolno mu było teraz zapomnieć tego numeru.

Popełniłem wtedy straszny błąd powiedział John i miałem ochotę policzkować sam siebie każdego dnia jeszcze całe miesiące po tym. To było idiotyczne. Ona studiowała w Hendon Police College. Ja byłem detektywem inspektorem w Metropolitan Police. Ona odbywała u mnie praktykę. W żadnym razie nie wolno mi było czegoś takiego robić. Zaczynać z nią kręcić.

Na dworze padał śnieg coraz więcej białych płatków leciało na ziemię. Gruba biała warstwa coraz dokładniej zakrywała ziemię, a świat wydawał się wprost tonąć w śniegu. Nawet tutaj, w centrum miasta, wszystkie dźwięki były przytłumione. Dookoła panowała przedświąteczna cisza.

Umieblowanie sypialni Johna w jego obszernym mieszkaniu w starym budownictwie w Paddington składało się jedynie z szafy na ubrania i leżącego wprost na podłodze materaca. Nie było tu żadnych zasłon w oknach ani dywanu. Na parkiecie leżało kilka kolorowych czasopism. W kącie stała opróżniona do połowy butelka wody mineralnej.

Gillian odsunęła kołdrę, bo było jej gorąco, choć ogrzewanie nie dawało zbyt wiele ciepła. Czuła się wypoczęta i rozluźniona, choć wiedziała, że właśnie zaczyna się wikłać w liczne problemy. Jednym z nich, może w tej chwili najbardziej palącym, było pytanie, czy wobec intensywnych opadów śniegu uda jej się dotrzeć do domu odpowiednio wcześnie, jeszcze przed Tomem. Mniej palącym problemem, z którego konsekwencjami będzie musiała się liczyć znacznie dłużej, była sytuacja, w której znalazła się zgodnie z własną wolą: romans z innym mężczyzną. Było nieprawdopodobne, że później nie wynikną z tego poważne kłopoty.

Po wszystkich przemyśleniach i wątpliwościach, z którymi walczyła przez cały tydzień, kiedy już umówiła się z Johnem, wszystko, co wydarzyło się później, działo się szybko i niemal nieuchronnie. Zadzwoiła do drzwi mieszkania Johna, a on otworzył prawie natychmiast, ujął ją za rękę i pociągnął lekko do środka. Już na sam jej widok sprawiał wrażenie kogoś pełnego ulgi i radości.

- Aż do tej chwili powiedział obawiałem się, że nie przyjedziesz.

- Nie mogłam inaczej odpowiedziała Gillian. Ciągle zastanawiała się, czy ma odmówić i po prostu zapomnieć o tej przygodzie, ale teraz pojęła, że nie miała szansy. Była bardziej uwikłana, niż sama sądziła.

Ciągle jeszcze trzymając jej rękę, spytał:

- Chcesz kawy?

- Potem powiedziała i w następnej sekundzie pomyślała: o Boże, Gillian, przecież tego nie powiedziałaś! Każdy, kto cię zna, byłby przerażony! To nawet tobie samej wydaje się nieprzyjemne!

Zdziwił się i unióśł brwi do góry.

- Dobrze powiedział. A więc potem.

Pomógł jej zdjąć płaszcz, a następnie natychmiast poszedł z nią do swojej spartańskiej sypialni. Gillian od prawie roku nie uprawiała seksu. Niczego tak teraz nie żałowała jak swego braku skrupułów i chęci pójścia z nim natychmiast do łóżka. Przypuszczała, że on odebrał to jako ogromną niezręczność.

- Może jednak... wolałabym kawę powiedziała. Uśmiechnął się.

- Jak chcesz.

Cofnął się. Dlaczego ona w jego obecności chciała koniecznie uchodzić za kogoś innego, niż była naprawdę? Flirtowała, prowokowała, pozwalała sobie na inicjatywę, i to nawet wtedy, kiedy chodziło o seks. A wszystko po to, żeby nagle się wycofać i samej sobie wydać się śmieszna.

- Nie wiem. Nie wiem sama, czego chcę. Patrzył na nią wyczekująco.

- Ja nie jestem taka powiedziała. Mam na myśli, że nie taka, jaką ty mnie widzisz. Kiedy jestem z tobą, mówię i robię rzeczy, które w ogóle do mnie nie pasują. Jestem sobie obca. Nie wiem, dlaczego tak jest.

Wyciągnął rękę i delikatnie przesunął ją od jej podbródka, przez szyję aż do wycięcia bluzki. Gillian nie mogła powstrzymać dreszczu.

- Czy nie pomyślałaś, że może być odwrotnie? spytał. Że ta Gillian, która właśnie jest tak bezpośrednia i otwarta, jest prawdziwą Gillian? A ta inna, którą znasz z powszedniego dnia, jest właśnie tą obcą?

Zdumiona milczała. On miał rację. Może jeszcze było w niej jednak więcej tej nieśmiałej, ograniczonej konwencjami dziewczyny, niż sama sądziła? Może nie pozbyła się jeszcze surowych zasad swojego wychowania, które ją stale ograniczały. Może nigdy jej się to nie uda.

- Nie chcę tobą manipulować powiedział John.

- Nie pozwolę też sobą manipulować odparła.

Mam tylko tę jedną jedyną chwilę pomyślała - jeśli - teraz zrezygnuję, wypiję z nim kawę i potem pojedę do domu, nie odważę się już nigdy więcej. Potem już nigdy więcej nie będzie sytuacji takiej jak ta.

- Chcę iść z tobą do łóżka powiedziała. Objął ją ramionami.

- Co za szczęście wyszeptał. Niczego innego bym teraz nie wytrzymał.

Kiedy, jak jej się wydawało, upłynęła wieczność i oboje potem leżeli obok siebie całkowicie wyczerpani, może nawet zasnęli na chwilę, John otworzył oczy i powiedział, że ją kocha.

Gillian spojrzała na niego uważnie i zrozumiała, że mówi prawdę.

Znowu zasnęła i obudziła się, kiedy John wstał i wyszedł z pokoju. Obserwowała go, kiedy wrócił z dwiema dużymi filiżankami kawy. Pili kawę i patrzyli na padający śnieg za oknem. Gillian widziała szczyt domu po drugiej stronie ulicy. W górnym oknie ktoś powiesił gwiazdę. Warstwa śniegu na dachu powyżej była coraz grubsza i przypominała osobliwą poduchę.

- Dlaczego właściwie nie masz porządnego łóżka? spytała. Wzruszył ramionami.
- Jeśli rozejrzysz się po moim mieszkaniu, stwierdzisz, że prawie w ogóle nie mam mebli. Chyba mam jakąś blokadę.
- Blokadę? Roześmiał się.
- Możesz sobie wyobrazić mnie w sklepie z meblami? Jak kupuję meblościankę, stół i kanapę albo puffy?
- Sądzę, że wszystko zależy od poszczególnych części umeblowania.
- To, co posiadam, pochodzi z różnych pchlich targów i ogranicza się do rzeczy najkonieczniejszych. Jak wokół mnie robi się wygodnie i mieszczaczo, to będę niespokojny.

- Zawsze tak było?

Odgadł, o co właściwie chciała zapytać.

- Chodzi ci o to, czy to ma coś wspólnego z moim zawodem? A mówiąc dokładnie z faktem, że musiałem z niego zrezygnować?

- To chyba była wielka katastrofa w twoim życiu.

- Ale nie taka, która zmieniła mnie jako człowieka. Zawsze byłem taki. Dość niekonwencjonalny. W przeciwnym wypadku nigdy bym nie dopuścił do tego, żeby wszystko wtedy tak się poplątało.

- Chciałeś mi o tym opowiedzieć przypomniawszy Gillian. Bawił się machinalnie jej włosami, patrzył na nią zatopiony we własnych myślach.

- Tak powiedział w końcu. Myślę, że mogę ci o tym opowiedzieć.

A potem zaczął mówić o swoim błędzie. O błędzie, który zmienił całe jego życie.

- Ale to, co koniecznie chcieli mi potem przypisać, czyli molestowanie seksualne, to była po prostu nieprawda. Tak, mieliśmy z sobą romans. Ona pragnęła tego tak samo jak ja. Wysyłała jednoznaczne sygnały. Oczywiście fakt, że się w to wdałem, był z mojej strony całkowitą głupotą.

- Jak długo trwał ten romans?

- Około czterech miesięcy. Spędziliśmy z sobą piękne chwile. Ona była młoda i bardzo atrakcyjna, a mnie po prostu było z nią dobrze.

- Ile miałeś wtedy lat?

- Trzydzieści siedem, a ona dwadzieścia jeden. Myślałem... no tak, myślałem, że jest nam na razie fajnie, ale potem ona spotka kogoś, kto będzie dla niej bardziej odpowiedni wiekiem i kogo ona poślubi... Po prostu korzystałem z tamtych chwil.

- I kiedy to się skończyło? Uśmiechnął się gorzko.

- Kiedy oblała egzaminy. Właściwie była bardzo zdolna, ale chyba miała zły dzień. Zawaliła bardzo ważną pracę. Ale w gruncie rzeczy nie był to aż taki dramat. Musiała po prostu powtórzyć ten przedmiot i wszyscy szybko by o tym zapomnieli. Ale ona... kompletnie zwariowała. Nie potrafiła się pogodzić z taką klęską. Błagała mnie, *żebym coś z tym zrobił*. Porozmawiał z egzaminatorem, namówił go, żeby przymknął oko, zmienił ocenę, czy ja wiem...

Gillian potrząsnęła głową.

- Przecież nie mogłeś.

- Oczywiście, że nie. Nawet gdybym chciał: tego się po prostu nie dało zrobić. Wyjaśniłem jej to. Ale z nią ledwo można było rozmawiać.

Teraz on potrząsnął głową, ciągle jeszcze udręczony sytuacją, w której się nagle wtedy znalazł.

- Była jak nieprzytomna. Groziła, że rozgłosi w całym Scotland Yardzie o naszym romansie, jeśli się za nią nie wstawię. Ale mimo to nie mogłem nic zrobić. Po prostu nie miałem możliwości.

- I jak doszło do tego molestowania?

- Nie było żadnego molestowania oświadczył zdecydowanie. Chciałem wreszcie zakończyć ten romans. Po prostu nie miało to już sensu. Na nieszczęście byłem na tyle głupi... urwał.

- Że co? spytała Gillian.

- Byłem na tyle głupi, żeby się wtedy z nią znów przespać. Podczas kiedy właściwie z nią skończyłem. To była zawiła sytuacja, sam już nie wiem, jak mogłem to zrobić.

- Przypuszczalnie dlatego, że była młodą, bardzo atrakcyjną kobietą stwierdziła Gillian rzeczowo i trzeźwo.

Westchnął.

- Tak. Masz rację. W każdym razie wtedy pojęła wreszcie, że to i tak niczego już nie zmieni. Że mimo to wszystko między nami skończone. I wtedy wpadła w histerię. Nagle stwierdziła, że tego ostatniego stosunku nie chciała. Krzyczała: *Gwałt!* I poleciała do moich przełożonych. Zaczęło się dochodzenie. Sprawa wylądowała nawet w prokuraturze.

- A ty znalazłeś się w tarapatach.

- Można chyba tak powiedzieć. Łatwo było udowodnić, że miesaliśmy z sobą stosunki, ja temu też nie zaprzeczałem. Twierdziłem tylko, że to się odbywało przy obopólnej zgodzie. Tymczasem ona sama się pokaleczyła i zachowywała się tak, jak zachowuje się kobieta w traumie. Do tego doszło jeszcze, że podczas praktyki byłem jej szefem. Popełniłem przestępstwo nie dlatego, że miałem z nią romans, ale że naruszyłem całą masę niepisanych praw. Przejściowo zostałem zawieszony w służbie.

- Ale mogłeś udowodnić, że byłeś niewinny?

- Nie. *Udowodnić* w tego rodzaju historiach jak ta nie można niczego. Na szczęście znalazło się parę opinii medycznych, w których owe liczne zranienia ciała zostały potraktowane bardzo sceptycznie. Napisano tam, że niektóre z tych zranień zadała sobie z całą pewnością sama, a inne z dużym prawdopodobieństwem. Poza tym ona sama zaplątała się w sprzeczności. I właściwa dla sprawy prokuratura już nie mogła przeprowadzić badania dowodów. Nie doszło do wniesienia oskarżenia.

- Mimo to musiałeś odejść?

- Mogłem zostać. Ale jedno było jasne: gdybym został, musiałbym wziąć na siebie odpowiedzialność za to wszystko. Tak, nie wolno mi było nawiązywać z nią romansu. Czyli błąd i wina były po mojej stronie. Dość szybko wtedy zakończyłem służbę. Wiedziałem, że ta historia będzie mi towarzyszyć wiecznie. Nigdy się od niej nie uwolnię. I miałem wszystkiego dość. Obłądy moich kolegów, spojrzeń pełnych współczucia albo faryzejskiej radości, tuszowania sprawy, której nie było... Chciałem odejść i odszedłem, i do dziś jestem zadowolony z tej decyzji.

- Jesteś naprawdę zadowolony?

- Zdecydowanie tak! Założyłem firmę ochrony osób i mienia, jestem samodzielny, jestem też panem samego siebie i to jest właśnie sposób, w jaki chcę żyć. Nie jestem stworzony do tego, żeby się wic i służyć w jakiejś hierarchicznej strukturze, w której aż się roi od intryg, faworyzowania, lizusostwa i tym podobnych rzeczy. Dość późno to zrozumiałem, ale na szczęście nie za późno.

Patrzyła na niego uważnie i zastanawiała się, czy rzeczywiście czuje tak, jak myśli, czy też przedstawia to samemu sobie w innym świetle.

- Dlaczego właściwie wstąpiłeś do policji?

- Idealizm odparł. Chciałem chronić tych dobrych i uczciwych, a ścigać złych. Tak chyba było na początku. Oczywiście szybko traci się złudzenia, kiedy zaczyna się naprawdę wykonywać ten zawód, ale tak prawdopodobnie jest zawsze. To znaczy, chyba w większości zawodów.

- Dzieci, które trenujesz... Teraz się roześmiał.

- No dobrze. To są resztki idealizmu. Jestem przekonany, że da się odciągnąć dzieci i młodzież od tego wszystkiego, co niesie z sobą ulica. Że można ich energię skierować na właściwe tory. Właśnie to, że się nudzą, że obijają się bez celu po ulicach, czyni ich podatnymi na wszystko, co jest złe i co niesie z sobą zagrożenie, czyli narkotyki, przemoc, brak umiejętności nadania własnemu życiu jakiegoś celu. I właśnie sport uważam za najlepszą metodę. To jest coś, co mogę im zaoferować, i mam tu spore sukcesy.

- Dlaczego Southend? Dlaczego tak daleko?

- Najpierw próbowałem w dwóch londyńskich klubach. Za każdym razem były problemy, kiedy pręcej czy później wychodziło na jaw, że wcześniej byłem w Scotland Yardzie i dlatego stamtąd odszedłem. W końcu postanowiłem pojechać gdzieś dalej w nadziei, że nie wszędzie będzie można tak łatwo prześledzić mój życiorys. W Southend nie ma co prawda tak wielu rodzin z problemami i byłem tam trenerem dzieci, które z pewnością nie są aż tak zagrożone, ale niektórym mogłem rzeczywiście pomóc. I chyba dobrze, że tak się stało, prawda? wyjął jej z ręki filizankę i postawił ją obok materaca na podłodze. Objął Gillian mocno i pochylił się nad nią.

- Inaczej bym cię nie poznał zaczął ją całować coraz gwałtowniej. A byłoby bardzo szkoda...

Znów spali z sobą, na dworze i w pokoju zrobiło się już całkiem ciemno, a Gillian zauważyła w końcu, że zamykają jej się oczy. Osunęła się w sen z myślą: *w żadnym wypadku nie wolno mi teraz zasnąć*. Była szczęśliwa i bardzo zmęczona.

Kiedy się ocknęła, nic się nie zmieniło. Było ciemno, a w świetle ulicznej latarni w oknie widziała padający śnieg. Spojrzawszy na zegarek, przeraziła się: było wpół do dziewiątej. Najpóźniej o dziesiątej w domu miał się pojawić Tom. Pozostało jej zaledwie półtorej godziny, by dotrzeć do domu i wziąć prysznic. A wobec faktu, że od pięciu godzin nieprzerwanie padał śnieg, należało się też liczyć z dużymi utrudnieniami w drodze powrotnej.

Słyszała obok siebie spokojny oddech Johna. Wstała bezszelestnie, ubrała się, wzięła torebkę. Na palcach wyszła z sypialni. Także na długim korytarzu nie było żadnych mebli, jedynie wieszak na ubrania, na którym wisiało kilka kurtek i płaszczy. Na wierzchu znajdował się płaszcz Gillian, pod wieszakiem jej buty.

Ubierała się, kiedy John, z ręcznikiem na biodrach, pojawił się obok niej.

- Chcesz już iść? Chciałem coś dla nas ugotować. Wypić z tobą wino...

Potrząsnęła głową.

- Mój mąż wkrótce wróci do domu. Już i tak jestem mocno spóźniona. A poza tym boję się, że utknę w zaspie. Cały czas pada śnieg, i to jak.

- Mam cię odwieźć?

- Nie, dam sobie radę. Ujął jej twarz w obie ręce.

- Kiedy się zobaczymy?

- Zadzwonię do ciebie odpowiedziała Gillian.

3.

Przybyła do domu jednocześnie z Tomem, po koszmarnej jeździe, która wydawała się nie mieć końca. Zaspy, stojące w poprzek drogi samochody, ciągle korki. Niemal całą drogę klęła, wiedząc, że czas, który jej pozostał do przyjazdu Toma, się kończył. W dodatku ciągle prześladowała ją jedna myśl: musi koniecznie wziąć prysznic, bo przecież pachnie Johnem. Pachnie seksem.

Kiedy oboje jednocześnie, ale jadąc z dwóch różnych kierunków, skręcili na podjazd, Gillian wiedziała już, że w jakiś sposób będzie musiała sprostać trudnej sytuacji.

Było już prawie wpół do jedenastej. Także dla Toma było to późno.

- A skąd ty wracasz? spytał zaskoczony.

- Z Londynu odparła zgodnie z prawdą. Świąteczne zakupy. Tu przyszło jej na myśl, że nie ma z sobą ani jednej torby czy paczki. Ach... I tak nic w końcu nie kupiłam. Poszłam coś zjeść i tylko zmarnowałam czas. A potem ten śnieg. I te koszmarne korki.

- A co z Becky?

- Nocuje u Darcy. Party urodzinowe.

Wstawili samochody do garażu i weszli do domu. Chuck wybiegł im naprzeciw, głośno miaucząc, i zaczął się ocierać o ich nogi. Z korytarza dobiegał przerywany sygnał i mruganie automatycznej sekretarki z nieodsłuchanymi wiadomościami.

- Zdenerwowałam się w czasie jazdy powiedziała Gillian. I jestem okropnie spocona. Wskoczę szybko pod prysznic.

Tom w roztargnieniu skinął głową i uruchomił sekretarkę. Była tam tylko jedna wiadomość. Żadne z nich nie znało głosu, który teraz zabrzmiał:

- Tak... to... mówi Samson Segal. Jestem... mieszkam kilka domów dalej. Na końcu ulicy. Mój brat kiedyś był państwa klientem. Ja... chciałem powiedzieć, że córka państwa jest u mnie. Bo nie mogła wejść do domu i była zrozpaczona i ja ją... wziąłem do siebie. Możecie ją państwo odebrać. Segal umilkł na dłuższą chwilę. Było słyhać, że głos należał do kogoś, kto nie za bardzo lubi mówić do tego rodzaju urzędzeń. A więc... do widzenia. I znowu nastąpiła przerwa. I głośny oddech, pełen napięcia. Po czym usłyszeli odgłos odkładanej słuchawki.

- Co takiego? spytał Tom kompletnie wytrącony z równowagi. Gillian, która zatrzymała się w pół drogi do łazienki, odwróciła się powoli.

- To niesłychane! Przecież miała nocować u Darcy! wykrzyknęła.

- Dlaczego poszła z zupełnie obcym mężczyzną do jego domu?! zawołał Tom przerażony i wściekły. Dlaczego ciebie nie było?

- A dlaczego ciebie nie było?! krzyknęła Gillian w odpowiedzi.

- Byłem w klubie tenisowym. Powiedziałem, że wrócę późno!

- Ty zawsze wracasz późno! Jeżeli o to chodzi, w ogóle nigdy nie powinnam wychodzić, bo stale muszę być tutaj na posterunku! Ty praktycznie tu już nie mieszkasz!

- Czy sądzisz, że to jest właściwy moment, żeby się o to kłócić? odparł Tom zimno.

Gillian energicznie przecisnęła się obok niego, weszła do garderoby, i wzięła płaszcz.

- Przywiozę teraz moje dziecko! rzekła.

- Jadę z tobą powiedział Tom.

Kilka minut później dzwoniли do drzwi domu Segalów. Samson Segal otworzył po kilku sekundach.

- Ja... tak myślałem, że to państwo... jąkał się. Tom natychmiast wszedł na korytarz.

- Gdzie jest nasza córka? spytał.

- Ona... ona zasnęła. P... przed telewizorem wyjaśnił Samson.

Tom, nie czekając na zaproszenie, ruszył w kierunku głosów, które brzmiały tak, jakby dobiegały z telewizora. Gillian uśmiechnęła się przepraszająco do Samsona i poszła za mężem.

W salonie rzeczywiście grał telewizor. Przed nim na sofie leżała Becky i spała. W fotelu obok siedział Gavin Segal i wpatrywał się w jakąś dokumentację na ekranie komputera. Przy stole siedziała kobieta i malowała sobie paznokcie.

Gavin podniósł się natychmiast.

- Mr Ward...

- W jaki sposób Becky się tutaj znalazła? spytał Tom ostro.

- Tom... odezwała się uspokajająco Gillian.

- Mój brat chyba przypadkowo przechodził koło państwa domu, kiedy zobaczył, że ona tam stoi, dzwoni do drzwi i strasznie płacze wyjaśnił Gavin. Akurat wróciła od przyjaciółki, o ile dobrze zrozumiałem, i nikogo nie było w domu. Brat nie chciał po prostu zostawić jej samej tam w śniegu, na dworze, i dlatego zabrał ją do nas.

- Ale zaraz mu powiedziałam, że musi zostawić państwu wiadomość odezwała się kobieta.

Becky otworzyła oczy, ze zdumieniem zobaczyła swoich rodziców i wydała okrzyk radości.

- Tatuś! I rzuciła się w ramiona ojca.

- To bardzo miło z pana strony, Mr Segal powiedziała Gillian do Samsona, który zatrzymał się nieśmiało z tyłu za nimi. Moja córka miała właściwie przenocować u przyjaciółki. W przeciwnym wypadku jedno z nas byłoby oczywiście w domu.

- Bo ja się okropnie pokłóciłam z Darcy wyjaśniła Becky. I dlatego nie chciałam tam zostać.

- Czy matka Darcy wie, że poszłaś do domu? spytała Gillian.

- Tak. Powiedziała jej o tym.

- A ona nie upewniła się, czy ktoś z nas jest w domu? spytał Tom skonsternowany.

- Ona ma teraz w domu piętnaścioro dzieci i wszystkie tam nocują przypomniawszy Gillian. Przypuszczalnie ma niezłe urwanie głowy.

- Mimo wszystko, nie może być tak, że...

Marzyła, żeby Tom przestał się wreszcie wściekać na wszystkich i na wszystko.

I bez tego czuła się dość fatalnie.

Moja córka nie może wejść do domu, bo ja leżę z kochankiem w łóżku.

I była to prawda: w przeciwieństwie do Toma nie uprzedziła o swojej nieobecności. Becky była pewna, że zastanie matkę w domu.

Mogła wpaść w ręce jakiegoś niebezpiecznego człowieka i on mógłby ją zabrać...

- Chętnie zająłem się Becky odezwał się Samson. Ja... wie pani, ja lubię dzieci.

- Tak, dziękujemy odparł Tom, który choć z niechęcią, wreszcie jednak zauważył, że Samson Segal nie zrobił absolutnie nic złego.

- Je... jeśli państwo potrzebujecie... ja mam czas...

- Mój szwagier jest bezrobotny wtrąciła przenikliwym głosem kobieta, machając palcami i susząc świeżo polakierowane paznokcie.

- Dziękujemy powtórzył Tom. Chciał już wrócić do domu.

Gillian wiedziała, że pewnie wszystko tutaj wydało mu się okropne: ta wrzaskliwa kobieta z czerwonymi paznokciami, jękający się Samson, jego zmęczony, pełen jakiejś rezygnacji brat. Przegrzany salon, ryczący telewizor. Tom był wściekły i Gillian wiedziała, że jego wściekłość skierowana była przede wszystkim przeciwko niej. Bo jej nie było w domu. Bo przez nią doszło do takiej sytuacji.

Tom milczał zacięcie w czasie krótkiej drogi do domu. Także w domu z początku nie powiedział ani słowa. Dopiero później, kiedy Gillian położyła Becky do łóżka i wreszcie wzięła prysznic, stwierdził nagle:

- Nie podoba mi się ten typ. Moim zdaniem jest z nim coś nie w porządku.

Leżał w łóżku z książką w ręce, ale nie czytał, tylko patrzył na przeciwległą ścianę.

Gillian stała pośrodku pokoju i czesała mokre włosy.

- Kto? spytała.

- No, ten Segal. Ten z tym śmiesznym imieniem. Samson. Samson

Segal. On jest niespełna rozumu.

- Dlaczego? Jest nieśmiały i pełen zahamowań, ale sympatyczny.

- On nie jest normalny upierał się Tom. Jak można tak żyć? Ma z pewnością ponad trzydzieści lat, a mieszka z bratem i bratową. Nie potrafi wypowiedzieć słowa, nie ugryzłszy się przy tym w język. W jego życiu nie ma żadnej kobiety i...

- A skąd ty o tym wiesz?

- Czuję to. Jest na to zbyt nieśmiały. Zastanawiam się, na kim wyładowuje swoje niepowodzenia. Możliwe, że na dzieciach!

Gillian potrząsnęła głową.

- Zachowujesz się niemożliwie, Tom. Przedtem u nich też zachowywałeś się niemożliwie. Mr Segal zrobił dokładnie to, co zrobiłby każdy dobry sąsiad: zatroszczył się w potrzebie o kogoś z naszej rodziny. A ty za to robisz z niego pedofila. Cieszę się, że przechodził obok w odpowiednim momencie. To mógł być równie dobrze ktoś zupełnie inny i już na samą myśl robi mi się zimno.

- Właśnie odparł Tom i odłożył książkę, po czym usiadł prosto. Myślę, że to właśnie mnie irytuje: dlaczego on *znowu* przechodził tędy przypadkiem?

- Znowu?

- Przypomnij sobie ubiegłą sobotę, kiedy wróciliśmy do domu. Stał wtedy na chodniku, tuż obok żywopłotu przy naszym ogrodzie. Co on tam wtedy robił?

- Nie mam pojęcia. Poszedł na spacer. Może wtedy patrzy czasem na okoliczne domy i ogląda je. Jego szwagierka powiedziała przecież, że jest bezrobotny. Cały dzień kręci się po okolicy, bo prawdopodobnie nie wie, co ma robić.

- On się kręci zwłaszcza koło naszego domu! powiedział Tom.

- Wnioskujesz tak, bo widziałeś go tutaj w sobotę? spytała Gillian, ale i ona nie potrafiła się w tej chwili obronić przed niepokojącą ją myślą. Przypomniała sobie ostatnie odwiedziny Tary. Kiedy po pożegnaniu odprowadzała przyjaciółkę do drzwi, Samson akurat przechodził obok ich domu. A Tara stwierdziła, że także w chwili jej przyjazdu stał w tym samym miejscu. Drogi Samsona Segala w ciągu ostatnich tygodni rzeczywiście zbyt często krzyżowały się z drogami rodziny Wardów.

Mimo wszystko mógł to być przypadek.

Wsunęła się do łóżka i podciągnęła wysoko kołdrę pod brodę. Nagle musiała pomyśleć o Johnie z niesłychaną wprost intensywnością. Uplętnęło zaledwie kilka godzin od chwili, kiedy z nim spała. A teraz leżała obok Toma i oboje trochę zrzędzili po prostu o tym, że wieczór przygotował im dość niemiłą niespodziankę.

„A więc tak to jest pomyślała Gillian kiedy się prowadzi podwójne życie. Z jednej strony namiętny seks z ekscytującym i nader podejrzanym mężczyzną w jego dziwnie pustym londyńskim mieszkaniu. A z drugiej zadbane, przytulny domek w Thorpe Bay i zwykła małżeńska kłótnia, kłopoty z dzieckiem”.

- Becky musi się nauczyć, że nie wolno jej iść ot tak sobie, gdzieś z jakimś obcym mężczyzną powiedział Tom. Naprawdę myślałem, że ona o tym już od dawna wie i że to rozumie.

Nie miał zamiaru zostawić tego tematu. Gillian przewróciła oczami.

- Oczywiście, że wie o tym od dawna. Ale to był w końcu sąsiad choć co prawda dość daleki. Zna go przynajmniej z widzenia.

- Tak, i co z tego? Tacy sąsiedzi, z którymi dzieci idą, bo im ufają, często to potem wykorzystują. I nieszczęście gotowe.

- Jutro jeszcze raz z nią o tym porozmawiam powiedziała Gillian.

I nie spotkam się już więcej z Johnem przysięgła sobie taka sytuacja nie może się już nigdy powtórzyć.

I nie miała na myśli tylko tego, że jej córka stała zrozpaczona przed drzwiami, nie mogąc wejść do domu. Myślała o wszystkim, co z tym związane: kłamstwo, pełna pośpiechu podróż do domu. Pysznic brany w poczuciu wstydu.

Prawdopodobnie nie była stworzona do tego, by prowadzić podwójne życie.

Nagle zaczęła płakać. Cicho, z głową głęboko wciśniętą w poduszkę. Myślała o tym, jak było z Johnem w łóżku. Jak dziko. Jak tkliwie jednocześnie. Myślała o jego mieszkaniu, którego surowość stanowiła taki kontrast z jej własnym domem, tak pieczołowicie ozdobionym wieżyczkami i wykuszami.

Tęskniła za tym, żeby tam znów być.

Zadzwoń jutro do Tary. Opowie jej wszystko. No, prawie wszystko. Nie wspomni o tej ciemnej plamie z przeszłości Johna. John po prostu miał zawsze swoją firmę ochroniarską. A ponieważ Tara osiem lat temu nie mieszkała i nie pracowała w Londynie, nie będzie znała sprawy Burtona.

Ale też *sprawa Burtona* nie była zasadniczym problemem.

Problemem byli Tom, Becky i ich dotychczasowe wspólne życie.

Musi z kimś porozmawiać, potrzebuje czyjeś rady, co, na miłość boską, ma dalej robić.

Płakała coraz gwałtowniej na samą myśl o tym, że przypuszczalnie w tym przypadku także Tara nie będzie mogła nic jej poradzić.

Poniedziałek, 21 grudnia

1.

Jeszcze tylko kilka dni do świąt powiedział Peter Fielder przygnębiony.

A my siedzimy tutaj, mamy kolejną okrutną zbrodnię i nawet cienia jakiegoś śladu. Tymczasem tam na dworze spaceruje sobie morderca, który w bestialski sposób zabija kobiety i my nie możemy zrobić ani kroku dalej.

Peter siedział w swoim biurze, gdzie zjawił się jak zwykle skoro świt, otoczony osobliwą ciszą panującą o tej porze w ogromnym, niemal pustym budynku. Christy McMarrow też oczywiście była. Przyniosła kawę i siedziała naprzeciw niego. Oboje byli przemęczeni i całkowicie wyczerpani. Weekend, o ile to słowo łączyło się z pojęciami wolny czas i wyspać się, znaczył teraz zupełnie co innego. Zwłaszcza po tym, jak w późne czwartkowe popołudnie pewien agent nieruchomości wezwał policję do domu położonego gdzieś na pełnym odludziu, daleko za Tunbridge Wells, ponieważ w łazience tego właśnie domu znalazł zwłoki swojej klientki, które leżały tam najwyraźniej od co najmniej tygodnia. I tkwiąca głęboko w krtani ofiary ścierka do naczyń podsunęła przybyłemu na miejsce policjantowi myśl, żeby natychmiast zawiadomić detektywa inspektora Petera Fieldera ze Scotland Yardu. Jeszcze tego samego wieczoru Peter jechał razem z Christy na to pustkowie w gęstej zadymce. Ruch drogowy w Londynie i wokół niego załamał się niemal kompletnie, ale wreszcie, po męczącej jeździe, dotarli do celu. To, co zastali, było równie przerażające i wstrząsające jak to, co zobaczyli w mieszkaniu Carli Roberts. Tu całości dopełniało jeszcze odległe położenie domu w gęstym lesie.

- Przecież tu można zwariować powiedział Peter do Christy, nie mogąc zupełnie pojąć, jak osobliwe miejsca do zamieszkania wybierają sobie czasem ludzie.

W pierwszych godzinach to Luke Palm, pośrednik nieruchomości z Londynu, był osobą, która mogła im udzielić ważnych informacji o zamordowanej. Fielder zastał go na dole w salonie, siedzącego na sofie z twarzą białą jak kreda. Jedna z policjantek, poruszona jego stanem, wcisnęła mu do ręki kubek z herbatą, ale nie wydawało się, żeby Luke wypił choćby jeden łyk. Kurczowo trzymał kubek w ręce z wyrazem takiej koncentracji na twarzy, jak gdyby się obawiał, że ktoś za chwilę mu go odbierze. Fielder widział, że agent raz po raz przełyka ślinę i usiłuje zwilżyć językiem wargi.

Zeznał wszystko, co wiedział o zmarłej: że nazywała się Anne Westley, że miała prawie siedemdziesiąt lat i była wdową od trzech lat. Że ona i jej mąż kupili ten dom z myślą o zamieszkaniu tutaj na emeryturze, wyremontowali go i że jej mąż zmarł zaraz po zakończeniu remontu. Że Anne nie mogła znieść tej pustki i

izolacji, toteż zleciła jemu, Luke'owi Palmowi, sprzedaż domu. Że jednocześnie zleciła mu też znalezienie mieszkania w Londynie. I że w końcu wydało mu się dziwne, że w ogóle nie mógł się do niej dodzwonić, choć znalazł poważnie zainteresowanych klientów, o czym zostawił jej kilka wiadomości na sekretarce. No i dlatego tutaj przyjechał. Żeby odkryć, że...

Tu Luke zaczął tak dygotać, że herbata wylewała się na podłogę. Fielder ostrożnie wyjął mu kubek z dłoni.

- Czy była jakaś konkretna podstawa do tego, że zaczął się pan martwić? spytał ostrożnie. Nie mógł się pan do niej dodzwonić. Dobrze. Ale że specjalnie pan tutaj jechał...? W końcu to nie jest zaraz za rogiem, blisko. Czy było więc coś jeszcze? Coś, co pana zaniepokoiło? To może być dla nas ważne.

Palm zastanowił się, ale nic nie przyszło mu do głowy.

- Nie. Właściwie nic. To znaczy, niepokojący wydał mi się już sam fakt, że prawie siedemdziesięcioletnia kobieta mieszka zupełnie sama na takim odludziu. Ale raczej nie myślałem o zbrodni. Myślałem, co będzie, jeśli ona na przykład nieszczęśliwie się przewróci, nie da rady dotrzeć do telefonu i będzie bezradnie leżała gdzieś w domu. Nikt by tego nawet nie zauważył.

- Mrs Westley nie wspomniała, że wydarzyło się coś niezwykłego? Fielder musiał tutaj pomyśleć o windzie, która jeździła sama, co Carli Roberts krótko przed jej zamordowaniem wydało się dziwne.

- Coś niezwykłego? - spytał Luke.

- Dlaczego akurat teraz postanowiła się wyprowadzić? Tuż przed świętami, w środku zimy.. Czy to typowy okres, w którym ludzie się przeprowadzają?

- Raczej nietypowy musiał przyznać Luke.

- A co podała panu jako powód?

- Że jest tutaj zbyt samotna. Że właściwie już od dawna czuła się tu zbyt samotna. Nie powiedziała tego wprost, ale było dla mnie jasne, że wytrzymała tutaj tak długo chyba głównie z poczucia lojalności wobec zmarłego męża. I że to był przede wszystkim jego pomysł i projekt. Miała jakieś obiekcje, żeby zbyć to wszystko tak po prostu, tylko dlatego, że on jest już w ziemi. Ale już nie wytrzymywała.

- A powiedziała, co ją konkretnie do tego skłoniło?

- Nie.

- Koledzy z miejscowego posterunku powiedzieli mi, że był pan tutaj w ostatnim tygodniu, dziesiątego grudnia, żeby obejrzeć dom. Sądzi pan, że to był dzień, w którym dokonano zbrodni?

- Kalendarz powiedział cicho Palm. Kalendarz w kuchni. Tam ciągle wisi kartka z datą dziesiątego grudnia. Dlatego tak przypuszczam.

- Czy absolutnie nic pan nie zauważył, kiedy pan tu był?

- Nie.

- Czy na parkingu stały jakieś inne samochody?

- Nie.

- A kiedy pan wyjeżdżał, nie skręcało tu żadne inne auto?

- Nie, niestety. Palm potrząsał głową. Chętnie bym panu pomógł. Ale nie było niczego nadzwyczajnego. W każdym razie niczego, co bym zauważył.

W tym momencie do pokoju weszła Christy McMarrow i poprosiła Fieldera na górę.

- Koledzy z sekcji zabezpieczania śladów coś znaleźli powiedziała. Na górze przed drzwiami łazienki stał jeden z policjantów i trzymał w ręce przezroczystą torebkę z folii, w której znajdowała się łuska pocisku.

- Za pomocą tego zostały otwarte drzwi, za którymi zabarykadowała się ofiara. Sprawca przestrzelił zamek.

- Interesujące. Fielder obejrzał łuskę, mrużąc oczy. W poprzednim miejscu zbrodni nie znaleziono śladu użycia broni palnej. Ale ten pocisk musi zostać dokładnie zbadany.

- Sir, on został...

- Mimo wszystko. Jutro grupa dochodzeniowa jeszcze raz wejdzie do mieszkania Carli Roberts.

Dochodzenie i czynności śledcze trwały przez cały weekend. Nie znaleziono jednak żadnych śladów użycia broni palnej w mieszkaniu Carli, mimo drobiazgowego przeszukania. W zakładzie medycyny sądowej przeprowadzono obdukcję Anne Westley. Wyniki znalazły się na biurku Christy już w poniedziałek rano. Christy, pijąc kawę, powiedziała:

- Pracownicy medycyny sądowej potwierdzają przypuszczenia agenta, jeśli chodzi o czas dokonania zbrodni. Dziesiąty grudnia wydaje się bardzo prawdopodobny. Mógł to być także jedenasty, ale przeciwko temu przemawia kalendarz.

- Jaka jest przyczyna śmierci? spytał Peter. Czy też udusiła się wymiocinami?

- Nie. Sprawca z niesłychaną brutalnością wpychał jej do krtani ścierkę, ale nie wywołało to wymiotów. W końcu zakleił jej szczelnie nos taśmą klejącą. I to spowodowało uduszenie.

- Mógł ją bez trudu zastrzelić, jak wiemy.

- To byłoby prawdopodobnie za szybko.

Fielder skinął głową i spojrzał w swoje notatki. Ustalili, że Sean Westley, mąż Anne Westley, był profesorem na uniwersytecie w Londynie. I że trzy lata temu zmarł po wypadku na zapalenie płuc. Anne, zanim przeszła na emeryturę, pracowała jako lekarz pediatra w przychodni, w pewnej spółdzielni lekarskiej w Kensington. Własnych dzieci para nie miała.

- Musimy się rozejrzeć w przychodni stwierdził Fielder. Czy miał tam miejsce przypadek jakiegoś błędu lekarskiego, który ciążył na Anne Westley.

- Myśli pan o szukających zemsty rodzicach? spytała Christy. Jak to się ma do Carli Roberts?

- Wcale. Chcę to tylko wykluczyć. A więc oboje wychodzimy z założenia, że chodzi o tego samego sprawcę.

- Ponieważ sprawa użycia ścierki traktowana jest przez nas jako ściśle poufna, nie wchodzi w grę żaden naśladowca. Oba morderstwa zostały dokonane przez tego samego sprawcę. Przypuszczam, że w przypadku Roberts sprawca także miał przy sobie broń, ale nie było potrzeby jej użycia. Ale to wyjaśnia, dlaczego Carla Roberts najwyraźniej oddała się dobrowolnie w ręce mordercy i pozwoliła sobie okleić ręce i nogi taśmą: grozono jej pistoletem.

Fielder znów zaczął się wpatrywać w swoje notatki, jakby już tylko dzięki temu mogło mu nagle przyjść do głowy coś odkrywczego.

- Gdzie są punkty przecięcia się tych dwóch spraw? zamruczał. Sprawy Carli Roberts i Anne Westley?

- Na pierwszy rzut oka ich wspólną cechą wydaje się samotność odpowiedziała Christy. Obie mieszkały samotnie i były niezwykle odizolowane. Obie straciły partnerów, jedna w następstwie rozwodu, a druga śmierci. Anne Westley nie miała krewnych, Carla Roberts miała wprawdzie córkę, ale kontakty między nimi były bardzo luźne. W obu przypadkach sprawca mógł mordować bez przeszkód. I mógł też liczyć na to, że upłynie sporo czasu, zanim ofiary zostaną znalezione.

- I to jest właśnie wszystko.

- To bardzo wiele. Jeśli rozważyć, że być może to właśnie przyciągnęło sprawcę: sama okazja do dokonania zbrodni, doskonała sposobność. Nieważne, jaka to była kobieta, z jaką przeszłością.

- No ładnie stwierdził Fielder. Zasada przypadku. To może wiele wyjaśnić w sprawie Westley. Psychopata, który włóczy się po lasach i czyha na swoją ofiarę. I może łatwo ustalić, że jakaś kobieta mieszka zupełnie sama i nikt jej regularnie nie odwiedza. Ale jak zauważył specyficzną sytuację Carli Roberts? Nie, tu musi być coś jeszcze innego. Coś, co łączy Westley i Roberts poza ich samotnością. Emerytka z Hackney, która finansowo jakoś tam wiąże koniec z końcem. I była lekarka, wdowa po profesorze w Tunbridge Wells. Bardzo dobrze sytuowana. To dwa zupełnie różne światy.

- Carla Roberts nie mieszkała cały czas w tym bloku i nie żyła zawsze tylko ze skromnej emerytury przypomniała Christy. Zanim firma jej męża splajtowała, on zarabiał dużo pieniędzy. Można przyjąć, że Robertsowie i Westleyowie brali udział w tych samych wydarzeniach społecznych w Londynie.

- I że obie kobiety się znały?

- Prawda, że nie można tego całkiem wykluczyć? Na przykład można przyjąć, że doktor Westley leczyła kiedyś Keirę Jones, córkę Carli. To da się łatwo ustalić.

- Tak. Ale wszystko inne nie będzie już takie łatwe.

- Przed nami kupa ciężkiej roboty.

Zmęczony Fielder potwierdził. Potem przyszło mu do głowy coś jeszcze.

- Strych w domu Anne Westley.. Ona chyba namiętnie malowała. Czy w mieszkaniu Carli Roberts było coś, co wskazywałoby na to, że też miała takie hobby?

Christy z żalem potrząsnęła głową.

- Nie. Nic, zupełnie nic takiego tam nie było. W mieszkaniu nie znaleziono nawet pędzla, nie mówiąc już o jakimś rysunku czy czymś podobnym. Spróbuję jeszcze zapytać o to jej córkę, ale obawiam się, że możemy o tym zapomnieć.

Poniedziałek, 21 grudnia, godz. 22.05

Gillian Ward nie jest w niczym lepsza od Michelle Brown. Obie są niewdzięczne, zarozumiałe, pyszałkowate i mają kiepskie maniery. Jednej przyprowadziłem psa, który wydawał się treścią jej życia (faceta nie zdobędzie, co przy jej charakterze wcale mnie nie dziwi, żaden mężczyzna jej nie zechce, ja też bym nie chciał, nawet gdyby czołgała się przede mną na kolanach!). A jeśli chodzi o tę drugą, to zająłem się jej dzieckiem. Jej jedynym dzieckiem! I co za to dostaję? Letnie „dziękuję bardzo” i to wszystko! Do tego patrzyła na mnie nieufnie, tak mi się wydaje. Jak gdybym zabrał tę małą do siebie z jakichś niskich pobudek!

A jej mąż jest jeszcze gorszy. Thomas Ward, najbardziej niesympatyczny typ na świecie! Wpadł tutaj w ubiegły czwartek tak, jakby przypuszczał atak na kwaterę terrorystów! Widać było, że najchętniej porwałby swoją córkę i wyszedł bez słowa. Aż przykro było patrzeć, ile go to kosztowało, żeby mi w miarę uprzejmie podziękować. A Gavin uważa, że on jest całkiem sympatyczny, czego zupełnie nie rozumiem. Przecież ten człowiek jest taki arogancki. I jeszcze widać, że niszczy swoje małżeństwo, i sędzę, że nawet tego nie zauważa. Żyje tylko dla swojej firmy i dla sportu. Oczywiście, każdy może robić, co chce, tylko nie można przy tym zapominać o swojej żonie i swoim dziecku. Kiedyś Gillian od niego ucieknie, to pewne jak amen w pacierzu. A wtedy będzie stał jak głupek i pytał sam siebie, co on źle zrobił. A ja będę się cieszył, kiedy wieczorem będzie wracał do ciemnego, pustego domu. Najgorsze w tym wszystkim jest to, że na pewno szybko znajdzie sobie nową kobietę. Jest przystojny i porządnie zarabia, a to dla kobiet najważniejsze. Nawet jak są potem źle traktowane. Taki mężczyzna jak ja, który byłby miły i dobry dla kobiety i który poświęcałby jej cały swój czas i uwagę, tacy mężczyźni są właśnie niedostrzegani.

Wiem, dokładnie wiem, on myślał, że ja jestem pedofilem. To śmieszne, gdyby nie było tak upokarzające. Nigdy nie mógłbym nawet dotknąć dziecka. Lubię dzieci i chciałbym mieć własne. A jeśli chodzi o Becky, to chciałem jej po prostu pomóc. Co wolałby Thomas Ward? Żebym ją zostawił tam w ciemnościach i poszedł swoją drogą?

Widziałem Gillian tego samego popołudnia właśnie, jak wyjeżdżała swoim autem. Tego dnia nie była w biurze. Zanedbuję wszystkie moje pozostałe obiekty, bo niemal nie mogę się już od niej uwolnić. Wyszła z domu koło czwartej i wyglądała jakoś inaczej niż zwykle. Nie żeby była szczególnie wystrojona może trochę mocniej umalowana, ale nie ekstremalnie. Sędzę, że jej aura była jakaś inna. Trudno to opisać. Ale wyglądała pociągająco. Bardziej pociągająco niż widziałem to wcześniej.

Martwiłem się, kiedy odjechała. Myślę, że gdybym miał wtedy z sobą auto, tobym za nią pojechał. Ale moje auto było w garażu i zanimbym pobiegł do domu, to jej dawno by już nie było. Przez kilka kolejnych godzin nie mogłem myśleć o niczym innym jak o tym, dokąd ona pojechała. Byłem niespokojny, dręczyły mnie najgorsze przeczucia. Jakieś ciemne

chmury zbierają się nad tą rodziną, coś, co się dobrze nie skończy. A wszystko spowodował Thomas Ward. Ale często sprawy rozwijają się zgodnie z własną dynamiką i możliwe, że w tym wypadku to już nastąpiło.

Poszedłem potem na swoją codzienną rundę, było zimno, śnieg też padał coraz mocniej, ale nie byłem w stanie wrócić do mojego miłego, ciepłego pokoju. Chciałem wiedzieć, kiedy Gillian wróci do domu.

I kiedy stałem tam w coraz mocniej padającym śniegu, i obserwowałem dom, w którym wreszcie włączyło się automatyczne zasilanie świątecznych lampek i ozdób, nagłe z ciemności wynurzyła się Becky. Było tuż po szóstej. A w południe widziałem, jak poszła do swojej przyjaciółki, i sądząc po wielkiej grupie dziewczynek, które też się tam zjawily, chodziło pewnie o party urodzinowe. No i teraz party się chyba skończyło, ale Gillian nie było. To do niej nie pasuje, ona taka nie jest. W każdym razie zacząłem się zastanawiać, czy wszystkiemu nie jest winien śnieg. Może z tego powodu coś ją zatrzymało. To były tak naprawdę pierwsze porządne opady śniegu tej zimy, a wtedy zawsze drogowcy nie mogą się z niczym uporać.

Becky dzwoniła do drzwi, ale nikogo nie było. Znowu dzwoniła, potem cofnęła się i oglądała fasadę domu. I znów dzwoniła. W końcu zaczęła walić pięściami w drzwi i wybuchnęła płaczem.

No i w tej osobliwej ciszy, kiedy cały świat tonął w śniegu, dokładnie słyszałem jej szloch. Niemal mi serce pękało.

Przeszedłem przez ulicę, zatrzymałem się przy furtce i zawołałem ją:

- Becky!

Drgnęła przestraszona. Stałem dokładnie pod latarnią, mogła mnie bez trudu rozpoznać. Miło było widzieć, jak wyraźnie widoczny strach i nieufność ustąpiły, kiedy mnie rozpoznała. Mnie, mężczyznę, który mieszka na tej samej ulicy.

- Dzień dobry odpowiedziała głosem drżącym od łez.

- Nie ma nikogo w domu? spytałem, choć przecież wiedziałem o tym.

- Nie. Nikogo. A ja nie mam klucza odpowiedziała.

- A twoi rodzice wiedzą, że miałaś teraz przyjść do domu? Potrząsnęła głową.

- Miałam nocować u mojej przyjaciółki, ale pokłóciłyśmy się strasznie i dlatego poszłam do domu.

To przynajmniej w jakiś sposób tłumaczyło zachowanie Gillian: sądziła, że jej córka spędzi noc u przyjaciółki. Nie mogła przypuszczać, że Becky niespodziewanie wróci do domu.

- Wiesz co? powieǳiałem. Myślę, że się rozchorujesz, jak tu będziesz dłużej stać i marznąć. Albo zaprowadzę cię z powrotem do twojej przyjaciółki...

- Nie! krzyknęła.

- ...albo przyjdiesz po prostu do mnie. Potem odprowadzę cię z powrotem do domu. Co o tym sądzisz?

Nie była pewna, co ma robić, jasne, uczulono ją na propozycje pójścia dokądś z kimś obcym, a w końcu ja byłem dla niej obcy. Ale jednocześnie byłem kimś, kogo znała z widzenia, kogo pozdrawiali jej rodzice i ona też. To ułatwiło jej decyzję, że może ze mną iść. A poza tym nie miała wyboru. Skoro pokłóciła się tak bardzo ze swoją przyjaciółką, zostałem jej tylko ja.

Dostała u nas sok pomarańczowy i pieczone w domu ciastka i myślę, że wydaliśmy się jej sympatyczni. Opowiadała o szkole i o party, na którym była, i o tym, że ze swoją przyjaciółką nigdy w życiu nie zamieni już ani słowa. To było czarujące. Mówiła, że cieszy się na Gwiazdkę i na to, że pojedzie do swoich dziadków, do których zawsze jeździ 26 grudnia i zostaje tam do początku stycznia. To są rodzice jej mamy, mieszkają w Norwich. A więc Gillian pochodzi z East England i to do niej pasuje. Tam okolica jest bardzo rozległa i bardzo zielona. Mogę sobie wyobrazić Gillian spacerującą między jeziorami i rzekami Norfolk Broads, widzę ją pośród lawendowych pól i przypuszczam, że latem słońce barwi na srebrno pasma jej długich rudych włosów. Jeden dzień na plaży i pewnie ma na twarzy mnóstwo piegów, a morski wiatr sprawia, że jej włosy są jeszcze bardziej niesforne i kręcone.

Millie powiedziała, że powinienem zaraz zostawić rodzicom Becky wiadomość na sekretarce, co prawdopodobnie było dobrym pomysłem. Mimo to potem doszło do dziwnej sceny z ich strony. On zachował się ohydnie, a ona... No, bardzo się co do niej rozczarowałem. Jakoś miałem nadzieję, że ona kiedyś tu wpadnie. Jeśli nie następnego dnia albo w weekend, to przynajmniej dzisiaj. Żeby jeszcze raz podziękować i przeprosić za zachowanie swojego męża. Ale nic z tego. Już mnie znów nie zna. Dlatego zaraz na początku stwierdziłem, że ona jest taka jak ta Brown. Od niej też już nic nie słyszałem. Znów zadowolona wychodzi ze swoim psem na spacer, a ja... ja nie istnieję.

Kobiety mnie w ogóle nie dostrzegają. I wszystko jedno, co dla nich robię. Mógłbym być całkiem niewidzialny. Albo wydzielać jakąś niemiłą woń, i to na kilometr. Myślałem, że przynajmniej Gillian jest inna. Ale w gruncie rzeczy ona też traktuje mnie jak śmiecia.

Nie wolno mi pozwolić, żeby nienawiść we mnie rozwinęła się za bardzo. Nienawiść niszczy.

Także kogoś, kto ją odczuwa w sobie samym.

Czwartek, 24 grudnia

1.

Millie patrzyła z wychodzącego na ulicę okna gościnnej toalety położonej na parterze domu. Widziała Samsona, który właśnie wyszedł. Powiedział, że idzie do miasta, żeby kupić ostatnie prezenty, ale nie weźmie auta, bo się obawia, że w chaosie właściwym dla 24 grudnia nie znajdzie nigdzie miejsca do zaparkowania. Millie jak zwykle mu nie ufała. Była już przekonana o tym, że wcale nie chodzi szukać pracy, kiedy rankiem każdego dnia opuszcza dom, i cokolwiek w tym czasie robi, zanim wieczorem znów zjawi się na kolację, to z pewnością nie mogło to być nic dobrego. W końcu porozmawiałby o tym z kimś, przynajmniej z Gavinem, z którym miał przecież całkiem poprawne stosunki. Zapytała o to Gavina przed kilkoma dniami.

- Co właściwie Samson robi po całych dniach? spytała niby mimochodem. Nigdy nie ma go w domu, a na dworze jest za zimno, żeby cały dzień spacerować.

- Szuka pracy odparł Gavin. Brzmiało to jak machinalna odpowiedź, której się udziela, nawet się nad nią nie zastanawiając.

- Ale pracy nie szuka się przecież, chodząc po ulicach. Pisze się i wysyła aplikacje.

- Może to robi. W końcu siedzi godzinami przy swoim komputerze. Millie nie ustępowała.

- Ale przecież musiałyby wtedy dostawać odpowiedzi pocztą. Czy to pozytywne, czy też negatywne.

- Może załatwia to wszystko poprzez e-maile. To dziś chyba normalne, prawda?

- Dobrze, no to gdzie on jest przez cały dzień?

Gavin kartkował właśnie fachowe czasopismo o samochodach, opuścił je teraz, podnosząc głowę, i powiedział niemal prosząco:

- Zostaw go w spokoju, Millie. Nie znosisz go, wiem o tym, ale to jest mój brat i nie zrobił ci nic złego. Cały czas szukasz czegoś, o co można by się do niego przyczepić, i zdaje mi się, że wariujesz, jak nie możesz niczego znaleźć.

Zacisnęła wargi w odpowiedzi i pomyślała: „Już ja coś znajdę! Bo z pewnością coś takiego jest. Możesz mi wierzyć!”.

I teraz stała przy oknie, przyciskając nos do szyby, bo nie wierzyła Samsonowi, ale on oddalał się od domu w jakimś wyraźnie określonym celu. Kupować prezenty! Miała nadzieję, że dla niej nic nie zamierza kupić, bo ona dla niego nic nie miała. Gavin kupił mu jakąś książkę i to musiało wystarczyć.

Samson zniknął teraz za rogiem. Millie czuła gwałtowne bicie serca, ale pomyślała, że okazja była znakomita. Samsona nie będzie przez całe godziny bo poszedł do jakiejś galerii handlowej czy czegoś takiego. Gavin był w pracy do wczesnego popołudnia. A jej udało się od dziś dostać trzy dni urlopu.

„Spróbuję dziś jeszcze raz” - pomyślała.

Na palcach weszła po schodach na górę i sama sobie wydała się przy tym głupia. Bo w końcu nikogo nie było w domu, nie istniał więc powód, dla którego musiałaby zachowywać się jak najciszej, ale jednak czuła, że trzeba działać niepostrzeżenie. Otworzyła drzwi pokoju Samsona i weszła do środka. Posprzątane jak zawsze. Nigdzie ani śladu kurzu, kapa na łóżku zaścielona równiutko w kant.

„Już samo to pomyślała nie jest normalne!”

Włączyła komputer. Zanim wszystko się uruchomiło, znowu spojrzała przez okno. Rzeczywiście tym razem będzie chyba białe Boże Narodzenie. Od chwili gwałtownego ataku zimy w ubiegły czwartek, w efekcie czego wszędzie zapanował niemal stan wyjątkowy, cały czas sypał śnieg, a dachy, płoty, drzewa i ulice były już zupełnie białe. Millie lubiła Boże Narodzenie. To, co jej zawsze przeszkadzało, to fakt, że siedzieli w trójkę koło choinki.

Na dworze nie było widać nikogo. Podeszła znów do komputera, wpisała hasło, wstrzymując oddech. Jeśli Gavin powiedział coś Samsonowi... Ale widocznie milczał, bo ekran zajaśniał, gdy wpisała czarodziejskie słowo *Hannah*.

Usiadła, wzięła do ręki myszkę. W kilka sekund później zauważyła, że ciągle jeszcze wstrzymywała oddech. Odetchnęła, w skupieniu przesuwając mysz po poszczególnych folderach i klikała, otwierając kolejne pliki.

- No chodź, chodź mruzczała.

Z pewnością było tu coś interesującego. Musiało coś być. A ona musiała to za wszelką cenę znaleźć.

Dziesięć minut później znalazła. Plik nosił tytuł *Pamiętnik*.

Otworzyła, była na tyle przytomna, aby tymczasem raz jeszcze podejść do okna i wyrzucić. Nikogo nie było widać. Ale musiała się zabezpieczyć przed nieprzyjemnymi niespodziankami.

Za chwilę znów siedziała przy biurku, wpatrując się w ekran.

I czytała, czytała...Wkrótce potem wiedziała, że jej poszukiwania się opłaciły.

Samson był nienormalny. Prawdopodobnie był nawet niebezpieczny. Miała teraz na to dowód i nawet Gavin nie będzie mógł temu zaprzeczyć.

Dom był zimny, pusty i nawet jeszcze teraz czuć w nim było stęchliznę. Od tygodnia nie było tu nikogo. A tydzień wcześniej jego mieszkanka leżała około ośmiu dni martwa w łazience. Przez otwarte kuchenne drzwi do domu szybko wkradły się wilgoć i chłód.

„Jak to szybko idzie pomyślał Fielder. Rozkład. Dlaczego właściwie to tak szybko idzie?”

On i Christy jeszcze raz pojechali do Tunbridge Wells przez ciche, teraz całkowicie zaśnieżone lasy. Zostawili auto na parkingu, jak zawsze pustym, i brnęli mozolnie przez śnieg.

- Boże Narodzenie powinno się obchodzić w lesie powiedział Peter Fielder i popatrzył za wiewiórką, która w śmiałych susach popędziła do góry po pniu jodły.

- Tak tu spokojnie. Tak świątecznie dodał.

- I cholernie zimno odparła trzeźwo Christy.

Około godziny drugiej dotarli wreszcie do domu. Policjanci zamknęli poprzednio wszystkie okiennice i zaryglowali starannie drzwi. Fielder spodziewał się co prawda mroku i ciężkiego powietrza, ale przygnębiająca atmosfera domu zaskoczyła go ponownie. Także własna reakcja głęboki smutek i żal. Pracował już wiele lat w policji, nauczył się bronić przed uczuciami bólu, wściekłości, rozpacz i bezradności, a te towarzyszyły niemal każdej sprawie. Nie chciał poddać się psychicznie temu stanowi, w którym, jak mu się wydawało w takich razach, tkwił cały świat, bo gdyby tak się stało, musiałby się pożegnać z zawodem.

W zasadzie potrafił panować nad sobą i zachowywać odpowiedni dystans. Ale jednak właśnie tego dnia, w tym domu, na takim odludziu...

„To chyba wszystko przez te święta pomyślał taki wyjątkowy czas...”

- Sir? głos Christy wyrwał go z zamyślenia.

Wziął się w garść.

- Okay powiedział. Chciałem tylko jeszcze raz obejrzeć atelier. Weszli po schodach na górę. Ciągłe nie było w tym śledztwie żadnego punktu zaczepienia, czegokolwiek, co choć trochę przybliżyłoby rozwiązanie.

Christy była w przychodni, w której Anne pracowała jeszcze trzy i pół roku temu, ale nie ustaliła niczego, co wskazywałoby na jakiś skandal związany ze złą diagnozą albo błędem w sztuce lekarskiej.

- Anne była bardzo, ale to bardzo lubiana przez swoich małych pacjentów tak powiedziała jej koleżanka, która wydawała się wstrząśnięta wiadomością o zbrodni. Także przez ich rodziców i współpracowników. Absolutnie nie mam pojęcia o tym, żeby ktoś mógł jej przypisywać jakąś winę czy coś podobnego dodała jeszcze.

- A może dawniej, przed laty, miało coś takiego miejsce? drażyła Christy. Przecież pracowała tutaj ponad trzydzieści lat.

- Co było dawniej, zanim zaczęłam tu pracować nie wiem. Ale na pewno byłyby jakieś plotki, a te dotarłyby do moich uszu. Nie, nie było niczego takiego.

Christy skrupulatnie przejrzała wszystkie kartoteki pacjentów. Nie było wśród nich nikogo o nazwisku Keira Roberts. Żeby się upewnić, zadzwoniła jednak do Keiry i spytała ją o doktor Westley.

- Nie oświadczyła Keira. Jako dziecko nie miałam lekarki o tym nazwisku. Mieliśmy lekarza pediatrę, który mieszkał niedaleko nas, dwa domy dalej czy coś takiego.

- Ale czy nazwisko Westley było kiedykolwiek wymieniane przez pani rodziców? Czy mogła to być wszystko jedno jak daleka ale jednak jakaś znajomość?

Keira zadała sobie rzeczywiście sporo trudu, by poszukać w pamięci i przypomnieć sobie cokolwiek, ale w końcu powiedziała z rezygnacją:

- Nie. Przykro mi, pani sierżant. O ile wiem, nie było nikogo o takim nazwisku, kogo znaliby moi rodzice.

Minęli łazienkę, w której została zamordowana Anne Westley. Fielder, mimo wieloletniego doświadczenia i sporej rutyny, musiał jednak odwrócić głowę. Myśl o koszmarze, który przeżyła przed śmiercią ta miła starsza pani, ciągle nim wstrząsała.

Atelier na górze, pod samym dachem, było najjaśniejszym pomieszczeniem w całym domu i nawet tego pochmurnego grudniowego południa panowało tu przyjemne światło. Ściany wyłożone były drewnem, a od strony południowej znajdowały się trzy wielkie okna. W pomieszczeniu stały rozstawione sztalugi, wszędzie widniały oparte o ściany obrazy w różnym stadium wykończenia. Pachniało farbą i terpentyną. Kolorowo poplamiony kitel malarski wisiał na drzwiach. Wszędzie dominowały jasne, żywe kolory, a tematami obrazów były głównie kwiaty i krajobrazy.

- Wyjątkowo radosne obrazy stwierdziła Christy, rozejrzawszy się wokoło. Choć to co prawda nie mój gust.

- Hm... mruknął Fielder. Powoli podchodził kolejno do każdego obrazu.

- Sądzi pan, że coś tu znajdziemy? spytała Christy z powątpiewaniem.

- Nie wiem. Ale myślę, że w ten sposób Anne Westley może stać mi się bliższa. Te obrazy są częścią jej samej. Coś o niej mówią, choć oczywiście trzeba je odpowiednio zinterpretować.

- Może moja interpretacja jest naiwna powiedziała Christy ale gdybym miała opisać Anne Westley według tego, co tu widzę, powiedziałabym, że była to pełna radości, zrównoważona, szczęśliwa kobieta. Przy czym zdaję sobie sprawę, że żadna z tych cech nie chroni nikogo przed morderstwem.

Fielder się zatrzymał. Ściągnął ze stojących przed nim sztalug zasłonę i patrzył na obraz, który był dotychczas zakryty.

- Tu jest coś powiedział co nie ma nic wspólnego z radością życia. Christy podeszła bliżej.

Obraz rzeczywiście wyglądał zupełnie inaczej niż wszystkie, które znajdowały się w tym atelier. Czarne tło. Dwa stożki światła. Drgające promienie lamp czy też reflektorów. Namalowane niezbyt starannie i obrazowo, z pominięciem drobnych szczegółów, co wydawało się niezgodne ze zwyczajami artystki. Obraz był... jak podarty, płótno pokryte gniewnymi pociągnięciami pędzla. Obraz, mimo tak neutralnego motywu, wydawał się wyrażać wściekłość.

I strach.

Zdaniem Christy płótno świadczyło też o ogromnych zdolnościach malarki, o wiele bardziej niż kwiaty, drzewa i pogodne letnie krajobrazy. Zastanawiała się, jak obraz przedstawiający jedynie dwa stożki światła w ciemności może równocześnie wyrażać tak wiele emocji.

- Tak całkiem spontanicznie, sierżancie co właściwie przedstawia ten obraz? spytał Fielder.

Christy nie zastanawiała się długo.

- Reflektory samochodowe. Nocą odparła. Skinął głową, po czym zmrużył oczy.

- Czy nie ma pani wrażenia, że sama pani patrzy prosto w źródło światła?

- W źródło światła? Co pan ma na myśli?

- No bo ja właśnie nie mam takiego wrażenia. Mam natomiast wrażenie, że patrzę w lustro. To znaczy nie w samo światło, tylko na jego odbicie.

- Możliwe. I co to znaczy?

- Tego jeszcze nie wiem. Może odbicie światła reflektorów samochodowych, które przesuwają się po ścianie?

- Nie rozumiem, co...

- Ja też nie. To wszystko może nie mieć żadnego znaczenia. Ale ten obraz bardzo się różni od wszystkich pozostałych, które tu widzimy. A w dodatku był zasłonięty. Jak gdyby Anne Westley nie chciała na niego patrzeć. A mimo to namalowała go. I towarzyszyły temu dość silne uczucia, jak się wydaje.

Christy przyznała mu rację, ale nie sądziła, żeby stanowiło to choć jeden krok w kierunku przełomu w śledztwie.

- Sir my się cały czas opieramy na spekulacjach. Nie wiemy, czy... Przerwał jej niecierpliwie.

- To prawda. Nic nie wiemy. Ale musimy od czegoś wyjść. Ani nie jestem psychologiem, ani artystą, ale ten obraz mnie intryguje, bo przedstawia strach. O wiele bardziej niż wściekłość czy agresję. Anne Westley bała się czegoś czy kogoś. A to przypomina mi Carlę Roberts. Ona też się bała. Powiedziała o tym swojej córce w czasie ostatniej rozmowy telefonicznej. Tu widzę wspólną cechę obu spraw i dlatego to jest takie ważne.

- Ale czy dzięki temu posuniemy się choć trochę do przodu? Fielder cały czas spoglądał na obraz.

- Nie mam pojęcia. Ale jeśli mnie pani spyta, to powiem, że Anne Westley wiedziała o niebezpieczeństwie, które jej zagrażało. Dlatego chciała tak na gwałt sprzedać dom dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem. Sprawca już od dłuższego czasu był w jej pobliżu. I ona go zauważyła.

- I co teraz? spytała Christy.

Nie odpowiedział. Z trudem oderwał oczy od obrazu, bo dłuższe wpatrywanie się w niego nie miało w tej chwili sensu. Obraz był tak intensywny w swoim przekazie, zwłaszcza w związku z zamordowaniem tej kobiety, że Fielder wręcz odczuwał dreszcz przerażenia. Postanowił, że zabierze go z sobą. Będzie się w niego bezustannie wpatrywał w nadziei, że w końcu dozna jakiegoś oświecenia.

Schodzili oboje na dół. Christy przesunęła wzrok po rysunkach wiszących na ścianie, potem po pięknych dywanach na podłodze, firankach w oknie. Wszystko dobrane było niezwykle starannie i ze smakiem. I z ogromną miłością. Zgodnie z tym, co ten dom opowiadał o Anne Westley, trudno było sobie wyobrazić, że ona sama była przyczyną tak strasznej nienawiści, wyjaśniającej jej okrutną śmierć.

- Wyślę ze dwóch ludzi, którzy rozejrzą się w środowisku zmarłego profesora Westleya powiedział Fielder, kiedy już byli na dole. Choć, prawdę mówiąc, niewiele sobie po tym obiecuję. Bo jeśli dokonano tu konkretnego, osobistego aktu zemsty, to do tego wszystkiego nie pasuje Carla Roberts. I odwrotnie. Musi nam się udać ustalić związek między tymi kobietami, to nasza jedyna szansa.

Christy dotknęła lekko jego ramienia.

- Mimo wszystko, szefie. Teraz będzie pan uroczyście obchodził święta Bożego Narodzenia. Zasłużył pan na to w pełni.

Spojrzał na nią i zapytał sam siebie, jak ona będzie obchodzić te święta. Mieszkała sama, w towarzystwie dwóch kotów, o ile wiedział. Czy powiesi pończochę przy kominku? A jeśli tak to kto ją napełni prezentami?

Jak gdyby czytając w jego myślach, dodała:

- W każdym razie u mnie będzie jutro bardzo przytulnie i miło. Sądzę, że najpierw zostanę przez pół dnia w łóżku, a wstanę tylko po to, żeby przynieść sobie kolejne cappuccino. Takie prawdziwe cappuccino, z czekoladowymi wiórkami i pianką z mleka. A potem przekopię się przez wszystkie programy telewizyjne i po prostu się nimi ukołyszę. I na pewno nie będę myśleć o żadnej odrażającej zbrodni.

Uśmiechnął się i przyłapał na myśli, że byłoby wspaniale, gdyby mógł z nią dzielić taki dzień. Z telewizorem i cappuccino. I przede wszystkim w łóżku.

Schronił się w pełne zakłopotania pochrząkiwanie i kaszel. Nie wolno mu było o czymś takim myśleć.

- Do nas przyjechała w odwiedziny teściowa powiedział zgnębiony.

Jak co roku na święta.

- Czy ona jest taka zła?

- Dość dziwaczna. I kłótniwa. Christy się roześmiała.

- Uszy do góry, szefie! Święta też się kiedyś skończą. I to szybko.

- Chodźmy powiedział Fielder z westchnieniem. Coś miłego czekało go jeszcze w tym roku: wędrowka z Christy przez zimowy las.

Było to lepsze niż nic.

Wtorek, 29 grudnia

1.

Nocą znów padało i rankiem cały świat wyglądał tak, jak gdyby tonął w śniegu. Do popołudnia przynajmniej wszystkie główne ulice były już odśnieżone, ale na wieczór zapowiedziano kolejne opady.

Dla Gillian te świąteczne dni były trudne, ale próbowała robić, co tylko w jej mocy, żeby wszystko wypadło jak najlepiej. Ona i Tom chcieli właściwie iść z Becky na sanki i na łyżwy, ale rankiem w pierwszy dzień świąt dziewczynka zaczęła się skarżyć na ból gardła i wczesnym popołudniem miała już gorączkę. Zrezygowano więc z corocznej obowiązkowej podróży do Norwich, a Becky, która przedtem marudziła, że jest już za duża na ferie u dziadków, teraz zaczęła płakać jak małe dziecko. Stopniowo wpadała w coraz gorszy nastrój, aż wreszcie nikt już nie czuł się dobrze. Thomas i Gillian robili, co mogli: wieczorem szykowali razem z nią kolację, rozpalili ogień na kominku w salonie, grali z nią w karty, wreszcie pokornie oglądali po raz kolejny Zmierzch na DVD Tom kręcąc co chwila głową. Pokój tonął w ciepłym świetle elektrycznych lampek choinkowych, a śnieg, mróz i panująca za oknem ciemność grudniowych nocy znakomicie podkreślały świąteczny nastrój. Był to obraz małej, szczęśliwej rodziny na wyspie ciepła, przytulności i bezpieczeństwa, a jednak Gillian wiedziała, że to obraz fałszywy i że w żadnym wypadku nie było to związane z przeziębieniem Becky. Tom właściwie chciał koniecznie pojechać do biura, bo czekało tam na niego mnóstwo zaległej pracy. Boże Narodzenie, świąteczny nastrój i wszystko, co z tym związane, były dla niego niemal równoznaczne z nieznośną stagnacją.

A Gillian tęskniła... za Johnem. Przysięgła sobie, że już nigdy go nie zobaczy, ale jednocześnie tęskniła za wszystkimi uczuciami, które były z nim związane, a które narodziły się w niej dzięki niemu. Najbardziej brakowało jej uwagi, z jaką jej słuchał. Podziwu, z jakim na nią patrzył. A przecież tego potrzebuje większość ludzi, myślała Gillian, wiedząc, że próbuje w ten sposób uspokoić wyrzuty sumienia. Bo od chwili, w której spotkała Johna, czuła się silniejsza, bardziej bezpieczna. I to właśnie było czymś, za czym najbardziej tęskniła: za poczuciem bezpieczeństwa, które on jej dawał.

Następnego dnia po spotkaniu z Johnem długo rozmawiała z Tarą przez telefon. Tara ani słowem nie potępiła jej romansu, ale ona czuła, że jej przyjaciółka nie sądzi, żeby to był sposób rozwiązania problemów Gillian. I być może miała rację.

Dwa dni przed sylwestrem postanowiła odwiedzić Johna. Nie chciała iść z nim do łóżka, ale chciała go zobaczyć. Po prostu zobaczyć.

Powiedziała Tomowi, że chce odwiedzić Tarę. Zareagował dość opryskliwie.

- Co, znowu? Przecież widziałas się z nią tuż przed świętami.

- Trzy tygodnie temu! Doprawdy nie możesz twierdzić, że się często widzujemy!

- Ale ja właściwie chciałem pojechać na kilka godzin do biura...

- Becky ciągle ma lekką gorączkę. Nie chciałabym, żeby została sama.

Tom westchnął.

- Gdybym nie miał tyle zaległej roboty... Teraz właściwie jest dobry czas, żeby to wszystko załatwić.

- Tom, tylko dziś. Podaruj mi to popołudnie. Proszę. Jak Becky jutro nie będzie już miała gorączki, pojedziemy razem do Londynu i popracujemy cały dzień. Okay?

- Jeśli o mnie chodzi... No dobrze. Ale bądź, proszę, w domu o siódmej, wiesz...

Przerwała mu.

- Wiem. Nie myśl, że zapomniałam. Wtorek. Wieczór w klubie! Wydawało się, że on chce jeszcze coś powiedzieć, ale zrezygnował. Zacisnął tylko usta. Takim go zapamiętała, kiedy szła do garażu: stojącego w drzwiach z zaciśniętymi nieruchomo wargami.

Około czwartej podjechała pod dom Johna w Paddington, znalazła nawet w pobliżu miejsce do zaparkowania. Zadzwoiła do drzwi, ale w środku panowała cisza. Zadzwoiła jeszcze raz, cofnęła się i spojrzała na fasadę domu. Okna mieszkania Johna były ciemne. Wydawało się, że rzeczywiście nie ma go w domu.

Była idiotką. Czy nie potrafiła przewidzieć, że po prostu nie będzie go w domu? A czego się spodziewała? Że od czasu jej ostatniej wizyty w połowie grudnia będzie siedział kamieniem w domu, czekał na jej telefon lub wizytę i w przewidywaniu tego nigdzie nie wyjdzie? Pomyślała, że to chyba wszystko przez ten zwodniczy nastrój ferii i świąt, typowy dla okresu między świętami i sylwestrem. Zwodniczy bo właśnie w tym czasie budynki musiały być szczególnie chronione, a John prowadził przecież firmę ochroniarską. Z pewnością był tego popołudnia w pracy. A ona kradła swój wolny czas, okłamała Toma i przyjechała tutaj na darmo właściwie.

Powoli wróciła do samochodu. Myśl, że ma tak po prostu wrócić do domu i spędzić resztę dnia w przytulnym salonie z choinką, była po prostu nie do zniesienia. Zostało jej jeszcze trochę czasu. Z parkingu, siedząc w samochodzie, dobrze widziała wejście do domu Johna.

Usiadła w samochodzie, zawięła się w płaszcz i próbowała ignorować zimno, które powoli zaczynała coraz bardziej odczuwać. Szybko robiło się ciemno, w mieszkaniach zapalały się światła, większość okien ozdobiona była kolorowymi lampkami albo gwiazdami. Nawet ta pusta, szara ulica zyskała dzięki temu inny nastrój.

Pytała samą siebie, czy życie z Johnem wydawałoby jej się zupełnie inne niż życie z Tomem.

Czy wydawałoby jej się *stale* zupełnie inne. Tu, w tym nie do końca urządzonym mieszkaniu, na tej ulicy. Dlaczego mężczyzna po prostu kładzie na podłodze materac do spania i wbija hak w ścianę na korytarzu, żeby na tym powiesić swój płaszcz? Dlaczego tak daleka redukcja umeblowania? Dlaczego on nie ma żony, dzieci? W jego przeszłości tylko romanse, ale żadnego stałego związku.

Znów spojrzała w kierunku ciemnych okien. On nie odważył się na nic. Ani na małżeństwo, ani na partnerstwo życiowe. Nawet nie chciał mieć mebli, które dawałyby mu poczucie jakiejś trwałości w tym mieszkaniu. Nie trzymało go nic. Tak, jak żył, mógł w każdej sekundzie wstać i iść. Zamustrować się na statek i pożegłować w świat. Wyemigrować do Australii i założyć fermę strusi. Prowadzić turystów przez kanadyjskie parki przyrodnicze.

Uśmiechnęła się, bo sama zauważyła, jak szalone warianty przychodziły jej do głowy, ale ten uśmiech był nieco wymuszony i nie całkiem szczery wiedziała, że jej pomysły nie były wcale aż tak szalone. Odpowiadały właściwie obrazowi Johna, który on sam tworzył poprzez swój sposób bycia. Niczym niezwiązany, niestały, może nawet niezdolny do związku. Nieuchwytny, nieobliczalny.

„W żadnym wypadku pomyślała kobieta nie może sobie pozwolić na związek uczuciowy z takim mężczyzną. W każdym razie, jeśli się nie chce na koniec boleśnie wylądować na nosie, mówiąc metaforycznie”.

Dwadzieścia po szóstej wiedziała, że musi natychmiast podjąć decyzję. Droga do domu zajmie jej przynajmniej trzy kwadransy. Tom czekał z myślą, że ona przyjedzie o siódmej i zajmie się chorą Becky. A poza tym Gillian tymczasem tak przemarzła, że nabawi się ciężkiego przeziębienia, jeśli dłużej posiedzi w aucie.

Wysiadła, niezdecydowanie poszła ulicą w dół. Ciągle miała nadzieję, że on przyjdzie, że wyłoni się przed nią niemal jak z nicości i wówczas jej długie, smutne czekanie będzie miało sens.

Poczuła, że do oczu napłynęły jej łzy na samą myśl o tym, że będzie musiała jechać do domu. Zatrzymała się. Dotarła do końca ulicy, a tuż obok niej znajdowała się mała indyjska restauracja. Paddington było dosłownie zalane przez Hindusów i Pakistańczyków, więc niemal na każdym rogu był jakiś sklep albo restauracja, które oferowały specjały z tych zakątków świata. Lokal, przed którym stała, wydawał się dość zaniedbany, ale światło za niezbyt dokładnie wyczyszczonymi szybami obiecywało przynajmniej ciepło. Wejść tam i usiąść to w każdym razie oznaczało, że nie będzie musiała natychmiast wracać do domu.

„Tom może iść do klubu godzinę później” pomyślała i zdecydowanym ruchem otworzyła drzwi.

W środku nie było prawie nikogo. Za barem stał mężczyzna i dłużył coś przy staroświeckim ekspresie do kawy, który wydawał się pilnie potrzebować gruntownej naprawy. Przy stole w rogu siedziała jakaś młoda para i w milczeniu wpatrywała się przed siebie. Przy oknie umocowano kilka gałęzi jodłowych, które już niemal całkowicie straciły igły, a na żyrandolu pośrodku sufitu wisały srebrne kule.

- Ma pan otwarte? spytała Gillian.

Ciemnoskóry mężczyzna, najwyraźniej pochodzący z Indii, podniósł głowę znad ekspresu i przytaknął.

- Tak, nawet jeśli na pierwszy rzut oka na to nie wygląda odparł. O tej porze jest raczej spokojnie. No, nic na to nie poradzę. W sylwestra będzie tu dopiero chaos.

Spojrzał na nią uważnie.

- Dobry Boże, ale pani przemarza! Zima tego roku jest dość mroźna!

- Tak, to prawda. Powoli zdjęła płaszcz. Było jej tak zimno, że z trudem mogła poruszać rękoma.

- Radziłbym łyk porządnej wódki odezwał się znów barman. I mam gorącą zupę. Z pewnością dobrze pani robi.

Opadła na krzesło, z ulgą poczuła mrowienie w zmarzniętych stopach przynajmniej krew zaczynała krążyć. Po chwili stwierdziła, że było zaskakująco przyjemnie siedzieć samej w tej prawie pustej restauracji. Mogła pogadać z barmanem właściwie o niczym i z nikim nie musiała prowadzić rozmowy na jakieś śmiertelnie poważne, trudne tematy. Mogła coś zjeść, wypić, poczuć wreszcie przyjemne ciepło i po prostu gapić się w ścianę. Zupełnie jak ta parka w kącie, która też nic innego nie robiła. Nikt niczego od niej, Gillian, nie chciał i nie oczekiwał. Może to było przyczyną jej dobrego samopoczucia.

Gospodarz przyniósł jej wódkę i talerz parującej zupy. A Gillian, powodowana jakimś dziwnym impulsem, spytała nagle:

- Czy zna pan przypadkiem Johna Burtona? Może on tu czasem zagląda?

Gospodarz skinął głową i rzekł:

- Jasne, że znam Johna. Mieszka przecież na tej samej ulicy. Wpada czasem, żeby coś na szybko zjeść.

Spojrzał na nią ciekawie.

- Jest pani jego przyjaciółką?

Gillian przyszła naraz do głowy niemiła myśl, że może w tej speluncie pojawiała się już niejedna *przyjaciółka* Johna. I wiele kobiet, które daremnie na niego czekały. Nagle wyobraziła sobie, jaki obraz jej osoby zachowa w pamięci barman: kobieta w średnim wieku, zadurzona w przystojnym Burtonie, na wpół zamarznęta po bezowocnym wyczekiwaniu pod jego drzwiami, w nadziei, że on może przypadkiem zajrzy do tego pubu.

- John jest trenerem mojej córki. Stąd go znam odpowiedziała.

- Ach! widać było wyraźnie, że gospodarz chętnie dowiedziałby się więcej, ale na szczęście nie odważył się już zadawać nowych pytań.

- To w takim razie smacznego powiedział i zniknął za barem.

Zupa była ostra, bardzo gorąca i Gillian czuła, jak z każdym łykiem wracają jej siły. Kiedy skończyła, zamówiła jeszcze butelkę wody mineralnej i wzięła jedną z gazet z leżącego obok stosu. Gazeta była sprzed trzech tygodni, ale Gillian

przeczytała wszystko z dziwną, pełną spokoju koncentracją. Para w kącie milczała. Milczał też gospodarz. Cicho grało radio.

Minęła siódma.

Minęło wpół do ósmej. Minęła ósma.

To zdumiewające, jak lekko i swobodnie się czuła. Tylko dlatego, że odważyła się zignorować wszystkie oczekiwania w stosunku do niej.

Zegarek pokazywał prawie wpół do dziewiątej. Gillian przeczytała już trzy gazety, po zupie zamówiła jeszcze chleb typu pita i kolejną butelkę wody. Czuła się dobrze, choć wiedziała, że w domu czeka na nią już prawdopodobnie wściekły Tom i że niechybnie dojdzie do kłótni. Tymczasem rozumiała, że był to jeden z powodów, dla których weszła do tego lokalu i zrobiła coś, co do niej zupełnie nie pasowało i na co nigdy wcześniej by się nie odważyła: świadomie nie dotrzymała danego przez siebie słowa. Zachowała się nieodpowiedzialnie i egoistycznie. W efekcie jej mąż był teraz z pewnością niespokojny i zmartwiony. Tego rodzaju zachowania ona sama nie tolerowała. Ale tym razem było to tak, jak gdyby chciała kłótni i dążyła do niej. Chciała wręcz eskalacji konfliktu. Była nawet zdecydowana powiedzieć Tomowi o Johnie.

Jak by zareagował? Czy byłby wytracony z równowagi? A może agresywny?

A może ona chciała zakończenia swojego małżeństwa.

Choć nie czuła, żeby była z sobą w jakimś konflikcie, nie odczuwała też lęku, żywiła osobliwe przeświadczenie, że robi to, co jak najbardziej słuszne. A jednocześnie miała przeczucie, że dzieje się coś złego. Coś w tej sytuacji jednocześnie ją niepokoiło, nie wiedziała jednak co.

„Może sobie coś wmawiam” - pomyślała.

Za dwadzieścia dziewiąta wstała, włożyła płaszcz, podeszła do baru i zapłaciła.

Parka już znikła, ona była jedynym i ostatnim gościem.

- No, to idziemy do domu, prawda? spytał gospodarz. Czuła, że nie potrafił jej ocenić, jeśli chodzi o osobę Johna. Kobiety, które przesiadywały samotnie w knajpie, zwykle chciały się upić i zapomnieć o jakimś zmartwieniu, odreagować frustrację, której przyczyną był na ogół mężczyzna. I wypijały niesłychane ilości wina i wódki. Chwiały się na nogach, kiedy wreszcie ruszały w drogę do domu, do pustego mieszkania, gdzie czekało zimne łóżko. A Gillian, oprócz małego kieliszka wódki, piła tylko wodę mineralną i z wyraźnym zainteresowaniem czytała gazetę.

„Niech myśli, co chce” - pomyślała o gospodarzu.

Wyszła na ulicę. Było zimno, śnieg znów zaczął padać. Świeże powietrze dobrze jej robiło po zaduchu panującym w lokalu. Przyjemne wydało jej się też to, że nie słyszała głosów dobiegających z radia.

Szła w stronę auta, szukając w torebce kluczyków. Przy okazji wymacała też telefon i zatrzymała się gwałtownie, bo nagle zdała sobie sprawę, co ją niepokoiło: telefon nie zadzwonił ani razu. A mogła się spodziewać, że począwszy najpóźniej od piętnaście po siódmej, Tom będzie do niej dzwonić co pięć minut, by się

dowiedzieć, gdzie jest i czemu nie wraca. Bo przecież chciał wyjść. A także dlatego, że jej nieobecność powinna go niepokoić.

Wyjęła telefon i upewniła się w świetle latarni, że był włączony. Popatrzyła uważnie na wyświetlacz. Ani jednego połączenia.

Nagle poczuła gwałtowny niepokój i przyspieszyła kroku. Czy Tom był aż tak wściekły, że nawet nie zadzwonił?

To do niego nie pasowało.

Otworzyła samochód. Ruszyła za dziesięć dziewiąta.

Za piętnaście dziesiąta skręciła na podjazd do domu. W narożnym oknie salonu, które wychodziło na ogród, świeciło się światło. Zastony nie były zaciągnięte, co było bardzo intrygujące: Tom nie znosił siedzieć jak na cenzurowanym. Było do niego absolutnie niepodobne, że zapalił światło i nie zasunął zastłon.

Wysiadła, zamknęła samochód. Czuła niepokój i konsternację. I jednocześnie czuła się taka silna, kiedy siedziała w tamtej restauracji w Londynie i stawiała pod znakiem zapytania swoje dalsze życie z Tomem, ale teraz, kiedy miała stanąć twarzą w twarz z mężem, nogi drżały jej ze strachu. W drodze powrotnej przyszło jej do głowy, że może Tom zadzwonił do Tary i stwierdził, że ona go okłamała. Tym razem Gillian nie skorzystała z zabezpieczenia, jakim była przyjaciółka, i możliwe, że Tara też znalazła się w nieprzyjemnej sytuacji. *Poprosz Gillian do telefonu* powiedział zapewne Tom, a właśnie tego życzenia Tara nie mogła spełnić.

„Ale wówczas ona zadzwoniłaby do mnie i ostrzegła pomyślała Gillian. Tu też coś nie pasuje”.

I czy Tom zadzwoniłby do Tary? Czy on w ogóle miał jej numer? Czy nie było prościej zadzwonić od razu do żony?

Przyśpieszyła kroku. Złe przeczucie stało się jeszcze silniejsze. Wielkie płatki śniegu powoli osuwały się z chmur.

Otworzyła drzwi do domu. Także korytarz wejściowy był jasno oświetlony.

- Halo, Tom! zawołała półgłosem. Nikt nie odpowiedział.

„Pewnie siedzi w salonie, wypił kilka wódek i robi mi zaraz koszmarną awanturę” pomyślała z niechęcią.

- Tom? Jesteś?

Znów nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Zajrzała do salonu. Pusto. Powiesiła płaszcz w garderobie, zdjęła buty. W pończochach weszła do kuchni. Drzwi do ogrodu były szeroko otwarte i w pomieszczeniu było lodowato. Na stole stał talerz z kanapkami, obok leżał nóż i przekrojony pomidor. Koło zlewozmywaka stała zamknięta butelka wina, obok leżał otwieracz. Wyglądało to tak, jak gdyby Tom tu był, przygotowywał kolację dla siebie i Becky i coś nieoczekiwanego oderwało go od tej czynności. A potem nikt nic nie jadł ani nie pił. Może Tom postanowił nagle wszystko zostawić i zjeść coś w klubie? I może zabrał tam Becky? Która przecież była na to jeszcze zbyt chora.

Ale dlaczego zostawił wszystkie światła zapalone? I otwarte drzwi do ogrodu?

Gillian wyszła z kuchni i weszła do znajdującej się obok jadalni. Zobaczyła jakąś postać, która na wpół leżąc na podłodze, opierała się częściowo o krzesło.

Zobaczyła, że to był Tom. To był Tom wpołleżąc, opierał się o krzesło, twarz miał przyciśniętą do siedzenia i w nienaturalny sposób rozstawione nogi.

Podeszła do niego sztywno, jak w zwolnionym tempie.

Atak serca. Dostał ataku serca. Kiedy przygotowywał kolację. Poszedł akurat do jadalni, może żeby rozpałcić ogień na kominku albo nakryć stół obrusem, i upadł.

Wiedziała, zawsze wiedziała, że tak będzie. On przecież przez swój tryb życia w niemal samobójczy sposób dążył prosto do śmierci, w ogóle nie słuchając jej ostrzeżeń i upomnień.

Z jej krtani wydobył się zduszony dźwięk. Wielki Boże, dlaczego tak? Ona pojechała się spotkać z kochankiem, a Toma dosięgło przeznaczenie. I był sam. Bez żadnej pomocy. Zdany tylko na siebie i nie będąc w stanie sobie pomóc.

Gdzie była Becky?

Gillian precyzyjnie się koło stołu i pochyliła nad Tomem. Dobry Boże, pozwól, żeby on jeszcze żył.

Ostrożnie spróbowała go odwrócić i położyć delikatnie na dywanie. Był zadziwiająco ciężki, zbyt ciężki dla niej.

- Tom — wyszeptała przerażona i zrozpaczona, jeszcze nie pojmując.

Tom, powiedz coś. Tom! To ja, Gillian. Tom, proszę, odwróć się.

Położyła rękę na jego głowie, dotykała ostrożnie palcami jego twarzy i nagle poczuła, że jej palce były mokre. Cofnęła dłoń, popatrzyła na nią przerażona.

Osunęła się na kolana.

Jej ręka była cała we krwi.

Mózg Gillian pracował teraz gorączkowo, jakby poza jej udziałem, starając się odtworzyć ciąg jakichś mniej lub bardziej logicznych myśli na temat możliwych wydarzeń, ale przychodziło mu to z taką trudnością, jakiej nigdy przedtem nie było dane jej doznać. Jak gdyby jej głowa nie zgadzała się z faktami czy nie chciała wyciągnąć wniosku, który sam się nasuwał.

Przecież nie mógł się skaleczyć w głowę o siedzenie, do którego przyciskał twarz. Pewnie uderzył się wcześniej, jakoś się pozbierał, doszedł do stołu i tam nogi odmówiły mu posłuszeństwa... Gdzieś w pokoju musiała być krew, może na gzymsie kominka albo na drzwiach. Rozejrzała się gorączkowo. Nie mogła znaleźć miejsca, gdzie się uderzył, kiedy upadł.

Gdzie była Becky?

Becky musiała przecież zauważyć, że coś się stało, że coś było nie tak. Musiała zejść na dół, żeby sprawdzić, czemu ojciec nie woła jej na kolację. Musiała go znaleźć. Co zrobiłaby wtedy dwunastoletnia dziewczynka? Pobieglaby po pomoc. Do sąsiadów. Pewnie podniosłaby alarm. Dawno musiałoby tu być pogotowie, lekarz... Jak długo Tom mógł tak leżeć? Może od paru godzin?

Dlaczego drzwi do ogrodu były otwarte na całą szerokość?

Nagle do głowy przyszła jej kolejna myśl, która kazała spojrzeć na wszystko w zupełnie innym świetle.

Poderwała się na nogi.

Gdzie była Becky?

Wybiegła z pokoju, pomknęła po schodach na górę. Także tu wszędzie świeciło się światło.

- Becky! zawołała z rozpaczą. Becky! Gdzie jesteś?

Pokój córki był pusty. Lalki Barbie, którymi dziewczynka bawiła się już rzadko i trochę potajemnie, leżały rozrzucone na podłodze. Na biurku leżał blok do malowania, kilka pędzli, obok stało pudełko z farbami i jednorazowy kubek z wodą. Drzwi szafy na ubrania były otwarte, a większość swetrów, spódnic i dzinsów rozrzucona po podłodze, jak gdyby ktoś w dzikim pośpiechu zrzucił je z półek. Gillian ściągnęła kapę z łóżka, schyliła się i zajrzała pod nie, potem także za wielką skrzynię z zabawkami. Nic. Ani śladu Becky.

Szlochała, nawet tego nie zauważając. Jej mąż leżał martwy na dole w salonie, prawdopodobnie zamordowany przez włamywacza, a jej dziecko zniknęło bez śladu, zupełnie jakby je ziemia pochłonęła! Obojętnie, co tu się stało, Tom i Becky zostali kompletnie zaskoczeni. Dla obojga był to zwykły, spokojny dzień i nagle ktoś ten spokój naruszył, włamał się do domu ogarnięty żądzą przemocy, zdecydowany na wszystko. Gillian wydało się nagle, że to wszystko jest czymś w rodzaju koszmarnego snu, okrutnego i nierealnego, który przecież w każdej chwili może się skończyć ale mimo chaosu myśli nagle jedno stało się dla niej przerażająco jasne: że tu nie będzie pełnego ulgi przebudzenia. Że jej przerażenie musi się jeszcze spotęgować.

Pobiegła do pokoju obok, sypialni jej i Toma. Także tu paliły się wszystkie światła, drzwi szafy na ubrania były otwarte, ale pokój był pusty. Dlaczego wszędzie te światła? Dlaczego ktoś przeszukiwał wszystkie szafy? Becky najwyraźniej malowała w swoim pokoju, kiedy Tom stwierdził, że jego żona się spóźni i pewnie wówczas, zgrzytając zębami, zabrał się do robienia kolacji. Dlaczego w ich sypialni było zapalone światło? Dlaczego w łazience obok? I w pokoju gościnnym? Wbiegała do każdego z tych pomieszczeń, wszędzie było jasno, ale pusto. Ani śladu Becky.

Przeskakując po dwa stopnie, pobiegła schodami na strych. Było tu małe pomieszczenie używane jako coś w rodzaju komórki, gdzie trzymano wszelkie zbędne rzeczy, a obok większy pokój, w którym Tom umocował kiedyś na belce dachowej huśtawkę i rozłożył na podłodze maty do ćwiczeń. Dawniej, kiedy była brzydka pogoda, a w ogrodzie pełno błota, Becky szalała i bawiła się tu razem z innymi dziećmi. I nawet tutaj świeciła się umieszczona pod samym sufitem lampa.

Gillian oddychała ciężko.

- Becky! Becky, proszę, gdzie jesteś?! krzyczała rozpaczliwie. Chciała zbiec na dół, bo pomyślała o piwnicy, której jeszcze nie sprawdziła, ale w tym momencie usłyszała jakiś szmer. Wydawało jej się, że dobiegał właśnie z komórki.

Odwróciła się szybko.

- Becky?

Teraz wyraźnie usłyszała szlochanie.

- Mamusiu?

Błyskawicznie wpadła do komórki z rupieciami. Panował tu kompletny bałagan dawno miała zamiar zrobić z tym porządek, ale ostatnio jakoś ciągle brakowało jej na to czasu i energii. Były tu walizki i torby podróżne, stare skrzynie i kartonowe pudła, także stare zabawki Becky, stopy czasopism, o których ktoś sądził, że będą jeszcze potrzebne, kilka starych mebli i zwinięte w wielki rulon dywany. Nic nie dało się dostrzec, było ciemno.

- Becky? spytała Gillian wystraszona.

Pokrywa wielkiej walizki uniosła się nieco w górę i ukazała się twarz Becky. Dziewczynka miała potargane włosy, zaczerwienione, spuchnięte od płaczu oczy, bladą i pokrytą czerwonymi plamami twarz.

- Mamusiu! jej głos był jeszcze zachrypnięty po dopiero przebyтым zapaleniu gardła.

Gillian rzuciła się w jej stronę, potykając się o jakieś leżące wokół przedmioty, uklękła obok walizki i podniosła jej pokrywę. Objęła Becky ramionami.

- Becky! Na miłość boską... co tu się stało? Co się stało?

Becky próbowała się wyprostować i podnieść, ale z jękiem osunęła się w dół.

- Mamo, moje nogi! Tak strasznie bołą!

Gillian bezładnymi ruchami zaczęła rozcierać nogi dziecka. Becky leżała w walizce zwinięta w kłębek i skurczona, i to zapewne już od dobrych kilku godzin. Nic dziwnego, że nogi bolały ją tak, że nie była w stanie się podnieść.

- Kochanie, to zaraz przejdzie, zaraz będzie dobrze. Co się stało? Becky patrzyła na nią oczami rozszerzonymi lekiem, pełnymi zwierzęcego wprost przerażenia.

- Czy on jeszcze tam jest?

- Kto?

- Ten mężczyzna. Zrobił coś złego tacie, a potem szukał mnie po całym domu. Może jeszcze gdzieś jest.

- Nie sądzę. Kto to był?

- Nie wiem. Nie wiem.

Gillian zauważyła, że źrenice Becky były nienaturalnie rozszerzone i nieruchome. Potrzebni byli lekarz i policja. Natychmiast.

Podniosła Becky i postawiła ją na nogi.

- Jak teraz? Możesz iść? Becky z trudem zdusiła jęk.

- Tak. Nie... Jakoś... Już dobrze.

Dziewczynka oparła się o matkę z buzią wykrzywioną z bólu. Gillian próbowała odsunąć nogą leżące dookoła rupiecie, żeby dało się wyjść. Jakoś dotarły do drzwi.

Ostre światło na schodach przeraziło Becky. Cofnęła się.

- Jesteś pewna, że go tu już nie ma? wyszeptała.

Gillian skinęła głową, choć nie całkiem o tym przekonana.

- Byłam już wszędzie, w całym domu. Nikogo nie ma.

Nie była w piwnicy. Akurat ich dom należał do nietypowych w Anglii, bo miał podpiwniczenie. Gillian uważała to za bardzo korzystne, bo dzięki temu mieli znacznie więcej miejsca. Teraz chciałyby, żeby było inaczej.

Ale dlaczego ktoś miałby się tam ukrywać?

Morderca, który tylko czeka na to, żeby Becky wyszła ze swojej kryjówki. Becky stanowi dla niego zagrożenie. Bo jest w stanie zidentyfikować sprawcę?

Powoli kuśtykały po schodach w dół. Tam Gillian zaprowadziła Becky do jej pokoju.

- Zamknij za sobą drzwi na klucz! I nie otwieraj, aż ci powiem. Rozumiesz?

Becky kurczowo uczepliła się matki.

- Mamusiu! Proszę, nie idź! Nie zostawiaj mnie samej!

- Becky, ja muszę zadzwonić po policję. I po pogotowie. Proszę, poczekaj w swoim pokoju. I zamknij drzwi!

- Mamo...

- Proszę cię! Gillian, zauważyła, że niesłychane napięcie nerwowe nadaje jej głosowi ostry ton. Zrób, co d mówię, Becky!

Odsunęła od siebie dziecko. Było jasne, że dziewczynka może w każdej chwili wpaść w histerię, należało więc przedtem umieścić ją w bezpiecznym miejscu i wezwać policję.

- Idź do swojego pokoju, Becky. Natychmiast!

Becky patrzyła na matkę. Błada buzia z gorączkowymi wypiekami. Ciągle jeszcze nieruchome źrenice.

- Gdzie byłaś, mamo? Gdzie byłaś cały wieczór? Gillian nie odpowiedziała.

Czwartek, 31 grudnia

Prawie nie mógł oddychać, kiedy dotarł do drzwi domu, choć starał się sprawić wrażenie, że idzie powoli. Bał się, że zauważy go policyjny patrol, jeśli będzie biegł po nocy jak oszalały. Nie wiedział, jak szybko zaczęły działać policyjne procedury. Czy pościg za nim już ruszył? Czy każdy policjant miał już jego zdjęcie i rysopis? Czy już go wszędzie szukano?

Potań ręką czoło, stwierdził ze zdumieniem, że całą twarz miał kompletnie mokną. I to teraz, nocą, przy temperaturze minus dziesięciu stopni.

Było wpół do jedenastej, prawie półtorej godziny do północy. Ale w całym mieście już strzelały w niebo rakiety i wszelkiego rodzaju fajerwerki, kreśląc na ciemnym niebie kolorowe wzory. Ulicami ciągnęły grupy ludzi składające się z mniej lub bardziej pijanych osób. Ale niezbyt liczne było na to po prostu za zimno. Kto mógł, wolał zostać w domu.

Popatrzył na fasadę. Wielorodzinny dom w samym centrum Southend. Oprócz ostatniego mieszkania na samej górze, we wszystkich oknach świeciło się światło. Skądś dobiegała głośna muzyka. Jasne, kto chodzi spać w sylwestrową noc? Wszyscy świętowali, cieszyli się, tańczyli i bawili.

O ile nie byli poszukiwani przez policję.

Miał nadzieję, że zastanie Bartka w domu. I że odgłosy głośnej imprezy, które było słycać aż na ulicy, nie pochodziły z jego mieszkania. Bo co, jeśli tam na górze jest teraz trzydzieścioro ludzi w sylwestrowym nastroju? Zawahał się, ale w końcu nacisnął dzwonek. Nie miał wyboru. Musiał się gdzieś ukryć, a gdyby miał spędzić tę noc gdzieś na dworze, to z pewnością do rana by zamarznął.

Upłynęła dłuższa chwila, zanim domofon zabrzączał przeciągle. Otworzył drzwi i wszedł na schody prowadzące na drugie piętro. Był tu już kilka razy, ale nie pamiętał, żeby kiedykolwiek miał takie problemy z pokonaniem kilku schodów. Teraz parę razy musiał się zatrzymać i złapać oddech.

Był wykończony. Nerwowo i psychicznie. Przypuszczalnie dlatego miał też kłopoty z oddychaniem.

Na górze przed drzwiami do mieszkania stał Bartek, wypatrując go na schodach. Zza drzwi dobiegał głośny gwar, śmiechy i muzyka.

Rzeczywiście, to impreza u niego, pomyślał przygnębiony.

Bartek najpierw sprawiał wrażenie przerażonego, a potem zakłopotanego, kiedy wreszcie rozpoznał spóźnionego gościa.

- Och, Samson, fajnie, że wpadłeś! powiedział powoli. Mamy w domu kilku gości i... no, właściwie chciałem ciebie też zaprosić, ale wiem, że ty niezbyt lubisz imprezy, to pomyślałem, że może...

Samson pokonał kilka ostatnich stopni.

- Bartek, potrzebuję pomocy powiedział wprost.

- Ależ ty okropnie wyglądasz stwierdził Bratek. Przymknął drzwi do mieszkania, zostawiając tylko wąską szparę. Co się stało?

- Policja powiedział Samson. Ściga mnie policja.

- Coo?!

- Millie na mnie doniosła. A Gavin mnie ostrzegł. A teraz... nie wiem, dokąd mam pójść.

- Wielki Boże powiedział Bartek. Nie wyglądał już na tak opanowanego i spokojnego jak zwykle, raczej na skonsternowanego.

„Nic dziwnego pomyślał Samson. Sylwester, w mieszkaniu pełno gości, chciałby się z nimi bawić, a teraz ja się tu zjawiam z historią, która musi mu się wydawać wręcz absurdalna”.

- Co to znaczy *doniosła*? spytał Bartek. A z jakiego powodu można na ciebie donieść?

- Jeden wielki pech — odparł Samson i pomyślał, że bagatelizuje bez sensu.

Siedział w kłopotach po uszy jak jeszcze nigdy w swoim życiu.

- Opowiadałem ci, że ja... no, co ja robię przez cały dzień...

- Że... obserwujesz kobiety?

Jak to zabrzmiało! Nawet Samsonowi samo to stwierdzenie wydało się w najwyższym stopniu podejrzanym. *Obserwujesz kobiety*. Za tymi słowami krył się obraz, który nie miał nic wspólnego z tym, co się naprawdę stało, ale to był właśnie problem. Jego hobby było zbyt osobliwe, żeby wobec ostatnich wydarzeń traktować go teraz jako nieszkodliwego pomyślnika czy dziwaka.

- Ja to wszystko zapisywałem mówił pośpiesznie i chaotycznie. Te moje obserwacje i przemyślenia, i tak dalej; to wszystko było w moim komputerze. I Millie mnie wysłuchiwała. Rozpracowała moje hasło, wszystko przeczytała i wydrukowała, i dla niej to jest dowód na to, że ja jestem niebezpieczny.

Bartek potrząsnął głową.

- No, całkiem normalne to nie jest, to, co robisz przyznał.

- I przedwczoraj został zamordowany jeden mężczyzna. Na naszej ulicy. Został zastrzelony. W swojej jadalni.

- Czytałem o tym powiedział Bartek. Ale dlaczego...?

- Millie, odkąd przeczytała moje zapiski, cały czas kładła Gavinowi do głowy, że trzeba z tym iść na policję, a on jej usiłował to wyperswadować, no ale ona i tak zawsze robi to, co chce, i dzisiaj rano pomaszerowała z tym na najbliższy posterunek policji i oświadczyła tam, że uważa mnie za podejrzanego.

- No ale nie sądzę, żeby policja tylko z tego powodu... zaczął Bartek, ale przerwał. Drzwi się otworzyły, na korytarz wyjrzała młoda kobieta w krótkiej czarnej sukience i butach na niewiarygodnie wysokich obcasach.

- Tu jesteś, Bartek! Szukam cię wszędzie! Dostrzegłszy Samsona, przywitała go krótko:

- Cześć!

- Cześć odpowiedział Samson. Znał tylko przelotnie Helen, narzeczoną Bartka, pozdrowił ją ze dwa razy, kiedy był u Bartka. Ale ona widocznie nawet go nie zapamiętała.

- Mój przyjaciel Samson przedstawił go Bartek.

- Ach prawda, Samson. Czemu tu stoicie? W środku taki bombowy nastrój!

- Zaraz przyjdziemy odparł Bartek. Samson ma jakiś problem. Helen się roześmiała. Była bardzo atrakcyjna, jak stwierdził po raz kolejny Samson. Na pewno będą mieli kiedyś z Bartkiem przeurocze dzieci.

- No dobrze, to jak wyjaśnicie ten problem, chodźcie do środka! powiedziała Helen, po czym zniknęła za drzwiami.

Widać było, że Bartek już się niecierpliwił.

- No, Samson, więc jak mówiłem, uważam...

- Czekaj przerwał mu Samson. Jego przyjaciel musiał najpierw zrozumieć powagę sytuacji. Mężczyzna, który dwa dni temu został zamordowany.. to jest mąż tej kobiety, która mi się tak podoba. Opowiadałem ci o niej. Ta rodzina, wiesz, którą najczęściej... obserwowałem. No i to też było w moich zapiskach.

- O cholera... przerwał Bartek.

- I jest coś jeszcze...

- O nie!

- Ja tam zapisałem... no, moje wynurzenia były pełne nienawiści do tego mężczyzny. Bo... ja się okropnie zdenerwowałem z jego powodu krótko przed świętami.

- Dlaczego się zdenerwowałeś?

- Bo on... bo był nieuprzejmy w stosunku do mnie. Ja zabrałem do siebie do domu jego dwunastoletnią córkę i...

- Cooo?! Bartek patrzył na niego z przerażeniem.

„Tak, w powiązaniu ze wszystkim to brzmi strasznie pomyślał Samson wręcz potwornie. Ale przyjaciel nie może przecież pomyśleć, że ja... Na miły Bóg, dlaczego każdy zaraz uważa mnie za pedofila?!”.

- Nie powiedział zrozpaczony. To była przypadkowa sytuacja. Ona nie mogła wejść do domu, bo nie było żadnego z rodziców, a ja akurat przechodziłem obok i...

- Czyli znowu kręciłeś się koło domu tej rodziny stwierdził Bartek, a wyraz jego twarzy zdradzał wyraźnie, co myślał: *Dlaczego zaprzyjaźniłem się z tym idiotą i dlaczego muszę tutaj teraz stać i dawać się wciągać w to cholerne bagno?*

- Przecież nie mogłem zostawić tego dziecka tam na dworze, w śniegu. Ale kiedy rodzice je odebrali, ojciec zachowywał się tak, jak gdyby sądził, że... jak gdyby sądził, że...

Bartek westchnął.

- Napisałem, że go nienawidzę. No, a teraz on nie żyje, a ja... no, oni tam na policji stwierdzą, że to dziwne, że ja... obserwowałem tę rodzinę...

- Nie pojmuję stwierdził Bartek. Po prostu nie pojmuję! Mój Boże, powiedziałem ci przecież, że to wygląda trochę tak, jakbyś był niespełna rozumu, bo to, co ty wyprawiasz... Że to podejrzanе. Nic dziwnego, że masz teraz kłopoty! Jesteś całkiem pewien, że twoja bratowa poszła z tymi zapiskami na policję?

- Gavin powiedział mi o tym dziś w południe. Był zrozpaczony, bo nie mógł jej w tym przeszkodzić, no i że to w ogóle się stało!

- Mogę sobie wyobrazić mruknął Bartek.

- I potem w panice wyjechałem stamtąd swoim autem. Najpierw jeździłem bez celu po okolicy, przez całe popołudnie. Wreszcie przyszło mi do głowy, że to niebezpieczne... To znaczy, oni tymczasem na pewno ustalili mój numer rejestracyjny. Zostawiłem samochód przy Gunners Park i na piechotę wróciłem do miasta okrężnymi drogami. Bartek, jestem w drodze od wielu godzin. Jestem wykończony. Mogę tu zostać?

- W żadnym wypadku odparł Bartek, lecz na widok przerażonej twarzy przyjaciela dodał: To znaczy, to byłoby głupie. Policja na pewno będzie chciała znać nazwiska i adresy wszystkich twoich przyjaciół i twoja bratowa poda im moje nazwisko. Mogą łatwo przewidzieć, że szukasz kryjówki.

- Ale muszę dokądś pójść!

- Masz pieniądze?

- Sto funtów gotówką. To ostatnie, co miałem na koncie.

- Okay powiedział Bartek z namysłem. Okay. Wyraźnie było widać, że chodziło mu przede wszystkim o to, żeby pozbyć się teraz Samsona i zastanowić w spokoju, co robić dalej.

- Uważaj, to starczy na hotel. Jakiś mały, tani pensjonat. Poszukaj sobie teraz czegoś takiego i weź pokój. A jutro do mnie zadzwoń. Może do tego czasu przyjdzie mi do głowy jakiś genialny pomysł.

- Hotel? A to nie jest zbyt niebezpieczne?

- Powiedziałbym, że to nie jest nawet w połowie tak niebezpieczne jak moje mieszkanie stwierdził Bartek.

Samson skinął głową. Wiedział, że przyjaciel miał rację. Bartek spojrzał w stronę drzwi, za którymi wciąż rozbrzmiewały muzyka, śmiechy i brzęczenie kieliszków.

- Samson, ja mam gości. Muszę do nich iść. Zdzwoniemy się jutro.

- Pomożesz mi?

- Jasne powiedział Bartek, ale Samson miał wrażenie, że w tym momencie obiecałby mu wszystko. I że niczego tak nie pragnął, jak zakończenia tej niezbyt przyjemnej sytuacji.

- Bartek powiedział Samson błagalnie. Proszę, musisz mi uwierzyć: ja nie mam z tym nic wspólnego. Nie zamordowałem Mr Warda. Nie mógłbym nikogo zamordować. Ani zaatakować czy zranić. Jestem niewinny.

- Oczywiście, że ci wierzę powiedział Bartek uspokajająco. Brzmiało to tak, jak gdyby był lekarzem i rozmawiał z jakimś nieobliczalnym pacjentem.

Samson na chwilę zamknął oczy. Był wyczerpany.

- Ja naprawdę nic nie zrobiłem.

- Do jutra powiedział Bartek i zniknął w mieszkaniu, zamykając za sobą zdecydowanie drzwi.

Samson odwrócił się i zaczął schodzić. Wydawało mu się, że ma nogi z ołowiu. Gavin poradził mu w południe, żeby sam poszedł na policję.

- Tylko pogorszysz sprawę, uciekając. Jeśli nic nie zrobiłeś, to będziesz w stanie im to wyjaśnić. Ukrywanie się do niczego nie doprowadzi. Kiedyś cię w końcu złapią i dopiero wtedy będziesz miał kłopoty!

Z pewnością Gavin miał rację, ale mimo wszystko... Jego nerwy... Bał się. Bał się wręcz potwornie i mógł tylko iść za swoim instynktem, który mu podpowiadał, żeby się ukryć.

Ale gdzie?

Powoli zszedł po schodach w dół. Była jedenasta. Jeszcze godzina i zacznie się nowy rok.

Dla niego oznaczało to jedynie koszmar.

Piątek, 1 stycznia 2010

1.

Inspektor Peter Fielder wiedział, że oczekiwał od swojej żony najwyższego stopnia tolerancji, ale w sprawie serii okrutnych morderstw akurat 31 grudnia dokonał się nieoczekiwany zwrot. Było więc wykluczone, że inspektor spędzi dzień 1 stycznia w domu przy kominku. Choć niewątpliwie sprzyjałoby to jego małżeństwu.

Na przedpołudnie zwołał w Scotland Yardzie konferencję specjalną, dużym nakładem sił i czasu zdrapał lód ze swojego samochodu i już wczesnym, bardzo zimnym i ciemnym rankiem pojechał do biura. Był zmęczony, bo nocą wraz z żoną i zaprzyjaźnionym małżeństwem świętował nadejście Nowego Roku, ale wiedział, że Christy zaraz zaparzy mu dobrej kawy, co przywróci mu choć część sił witalnych. Nie znał doprawdy nikogo, kto parzyłby tak wspaniałą kawę, jak właśnie detektyw sierżant Christy McMarrow. Pomijając już to, należała ona do jego najinteligentniejszych i najbardziej bystrych współpracowników. Peter Fielder wiedział, że Christy może stanowić dla niego zagrożenie. On sam był w tych sprawach bardzo nieśmiały i nigdy nie zbliżyłby się do niej ani na krok, to było jasne. Ale gdyby to ona zrobiła choć jeden krok w jego stronę...

Konferencja okazała się bardzo męcząca, bo wszyscy byli skacowani, niewyspani i mieli mało motywacji do pracy. Detektyw konstabl Kate Linville wygłosiła nawet uwagę, że przecież sprawca już jest, należy więc tylko go znaleźć i ująć.

- Ach tak? spytał ironicznie Fielder. A kto jest tym sprawcą?. Młoda kobieta spojrzała niepewnie dookoła.

- Samson Segal. Myślę, że...

- Myślę, że powinniśmy tu być bardzo ostrożni przerwał jej Fielder.

Przyznaję, że kiedy czyta się jego notatki, to nasuwa się wniosek, że ma on nie po kolei w głowie. Ale tylko to i nic więcej.

- Wyraża się też bardzo agresywnie na temat Thomasa Warda upierała się Kate.

- Za to nie wypowiada się w ogóle na temat Carli Roberts i doktor Anne Westley.

- Godzinami włóczy się po okolicy, szpieguje zupełnie obcych ludzi. Przede wszystkim kobiety. Absolutnie by mnie nie zdziwiło, gdyby to on okazał się tym człowiekiem, który w bloku w Hackney jeździł w górę i w dół windą!

- Właśnie to zamierzamy sprawdzić odparł Peter Fielder. Ale dopóki nie mamy jednoznacznych wyników, powinniśmy się powstrzymać przed wygłaszaniem czystych spekulacji, konstablu Linville!

Kate Linville zaczerwieniła się. Nie była już młoda, dawno powinna była otrzymać awans, a jednak wciąż pozostawała w stopniu konstabla i czuła się chwilami jak zapomniana walizka w rogu pokoju. Była pracownikiem bardzo sumiennym i godnym zaufania, ale nie miała odrobiny wyczucia, tak ważnego w sprawach kryminalnych, jej znajomość ludzi była niewielka, nie wyróżniała się także wysuwaniem konstruktywnych propozycji. Bardziej typowe były dla niej wystąpienia podobne do dzisiejszego, kiedy zbyt szybko próbowała ustalić sprawcę; prawdopodobnie, jak przypuszczał Fielder, robiła to, żeby w ogóle cokolwiek powiedzieć na konferencji.

Tu zaś należało zastosować metodę małych kroków. Grupa fachowców zabezpieczających ślady była już w Thorpe Bay i zdjęła wszystkie odciski palców w domu Samsona Segala, lecz nie można ich było zidentyfikować z żadnymi odciskami w mieszkaniu Carli Roberts w Hackney ani z tymi w windzie jej bloku. Podobnie wypadły porównania ze śladami pobranymi w domu Anne Westley. Gdyby odciski Samsona pojawiły się w tych miejscach, w śledztwie nastąpiłby wielki przełom.

Pod koniec konferencji Peter Fielder wysłał konstabl Linville, by jeszcze raz porozmawiała z Millie Segal, kobietą, która poprzedniego dnia zjawiała się na posterunku policji w Southend-on-Sea z wydrukami zapisków swojego szwagra i która twierdziła, że zdemaskowała niebezpiecznego mordercę.

- To był on! To on zamordował Thomasa Warda. I kto wie kogo jeszcze. Proszę to przeczytać, to wówczas pani zobaczy, że ma pani do czynienia z niebezpiecznym psychopata!

Fielder w napięciu przeglądał liczne leżące przed nim na biurku notatki, które ułożył i opisał według pewnego systemu, niemożliwego do ustalenia przez kogokolwiek innego. Sprawa robiła się coraz bardziej zawikłana i czuł, że jest oddalony o lata świetlne od jej rozwiązania. Nikt w czasie dzisiejszej konferencji nie potrafił mu podsunąć żadnej wskazówki czy pomysłu, ale może zbyt wiele oczekiwał od swoich ludzi już pierwszego stycznia. Christy była teraz w pokoju obok i telefonowała. Inni albo poszli do domu, albo zajęli się przydzielonymi zadaniami.

Miał więc czas na rozmyślenia. Cały długi zimowy dzień.

Uderzyło go nazwisko *Thomas Ward* w jego notatkach. Zakreślił je kilkakrotnie czerwonym długopisem i postawił koło niego kilka znaków zapytania. Czy Thomas Ward w ogóle pasował do serii morderstw starszych, samotnych kobiet? Pojawiła się groźba, że policjanci ze Scotland Yardu połamią sobie na tej sprawie zęby. Na pierwszy rzut oka także na drugi i trzeci Thomas zupełnie tu nie pasował: był mężczyzną. Ostatnie, co można by o nim powiedzieć, to to, że był samotny. Zamordowano go, choć w domu była jego córka, i kilka godzin później został znaleziony przez żonę. Nie uduszono go za pomocą ścierki wciskanej do krtani.

Został zastrzelony. Morderca oddał dwa strzały. Jedna kula drasnęła go w skroń, ale nie ona była przyczyną śmierci, choć spowodowała dużą utratę krwi. Druga kula

rozerwała tętnicę szyjną. Thomas nie miał żadnych szans, nawet gdyby został znaleziony wcześniej.

Rutynowo przeprowadzono komputerową analizę łuski pocisku, porównując ją z niedawno użytą bronią i jej amunicją i tu policjanci z Southend doszli do zaskakującego wniosku, który pociągnął za sobą przeprowadzenie dokładniejszych badań. Potwierdziły one pierwszy wynik. Mianowicie Thomas Ward został zastrzelony z tej samej broni, za pomocą której morderca Anne Westley zniszczył zamek w drzwiach łazienki w jej domu.

Właśnie dlatego sprawa Warda wylądowała na biurku detektywa inspektora Fieldera i musieli się nią zająć jego ludzie. I w dodatku, by jeszcze bardziej skomplikować całą tę historię, na policję przyniesiono dziwaczne notatki Samsona Segala z Thorpe Bay, który mieszkał w sąsiedztwie Thomasa Warda i dla którego właśnie Thomas stanowił jakiś problem. Notatki oczywiście przekazano do Scotland Yardu.

Wszystko to było powodem zwołanej przez Fieldera pierwszego stycznia konferencji specjalnej.

Pod koniec której wszyscy byli bardziej bezradni niż przed nią.

Co wspólnego miał Thomas Ward z obiema zamordowanymi kobietami?

Christy McMarrow odważyła się wypowiedzieć decydującą myśl:

- A jeżeli to nie Ward miał być ofiarą? Jeżeli morderca chciał zabić jego żonę? I nie wiedział, że jej nie ma w domu?

Fielder w zamyśleniu pokiwał głową, zakreślając znów przed oczyma wyobraźni czerwone kółko wokół nazwiska Thomas Ward. Trzydziestego grudnia, dzień po morderstwie, Fielder rozmawiał z jego żoną, która była w stanie udzielić mu bardzo rzeczowych informacji. Zgodnie z jej słowami Ward rzeczywiście w każdy wtorkowy wieczór udawał się do klubu tenisowego na cotygodniowe spotkania. I zwykle nigdy nie wracał wtedy do domu przed dziesiątą czy nawet przed wpół do jedenastej. Kto znał choć trochę obyczaje tej rodziny, musiał wiedzieć, że tego dnia o tej porze zastanie w domu Gillian Ward, a nie jej męża.

Tak by było gdyby ona nie spróbowała akurat wtedy spotkać się ze swoim kochankiem. Także o tym mu opowiedziała. Przyszło jej to niełatwo, ale Peter nie miał wrażenia, że pominęła jakieś ważne szczegóły.

Gillian Ward.

To nazwisko też zanotował i zakreślił kilka razy. I zrobił koło niego strzałkę, która wskazywała na inne nazwisko: *John Burton*. Zapisał je czarnym, grubym pisakiem i kilkakrotnie podkreślił.

Naprawdę go to zafrapowało. Tak niespodziewanie natknąć się znów na Burtona. I to w związku z dochodzeniem w sprawie o morderstwo.

Detektyw inspektor Burton, dawny kolega, który w tak niepojęty, idiotyczny sposób zrujnował sobie karierę w Metropolitan Police. Burton, którego Fielder nigdy nie mógł ścierpieć, przy czym trudno mu było właściwie uzasadnić swoją

niechęć. Czasami podejrzewał, że nie lubił tego człowieka tylko dlatego, że ten potrafił w tak absolutnie beztroski i zarazem bezwzględny sposób iść przez życie o czym Peter Fielder tylko marzył od czasu do czasu, lecz na co się nigdy nie ważył. Burton swego czasu uważał pewną młodą kobietę za tak atrakcyjną i pociągającą, że bez namysłu, nie licząc się zupełnie z konsekwencjami, zakochał się po uszy i nawiązał z nią głośny romans. Kiedy wszystko rozwinęło się w niepożądanym kierunku, a Burton praktycznie nie miał innego wyboru, jak podać się do dymisji i wystąpić z policji, zrobił to z nonszalanckim spokojem i opanowaniem, pozostawiając w dodatku wszystkich kolegów w niemiłym przeświadczeniu, że oni zostają w szarej policyjnej rzeczywistości i muszą piąć się mozolnie po stopniach kariery, podczas kiedy on sam zyskał wolność oraz niezależność. Nawet ten moment, który można było uznać za największą życiową klęskę, dla Burtona okazał się zwycięstwem, a nie przegraną.

„Może właśnie to mam mu najbardziej za złe - pomyślał Fielder i zaraz przywołał sam siebie do porządku: Bądź ostrożny i obiektywny! Chętnie dałbyś Burtonowi nauczkę, ale teraz nie trać z oczu sedna sprawy”.

A teraz jeszcze Burton zaczął kręcić z tą Gillian Ward, której męża znaleziono zastrzelonego Fielder uważał to wszystko za co najmniej osobliwe. Burton, na którym nadal jeszcze ciąży piętno *molestowania seksualnego*, nawet jeśli wszystkie opinie rzeczoznawców go od niego uwolniły i prokuratura odstąpiła od wniesienia oskarżenia.

Christy weszła do pokoju i rzekła:

- Nowina, szefie. Znaleziono auto Samsona Segala. Koło Gunners Park, w Shoeburyness. Ale po Segalu ani śladu. A poza tym rozmawiałam z sekcją zabezpieczenia śladów. Żadnych wyników. Nie znaleźli odcisków palców Samsona Segala ani w mieszkaniu Roberts, ani w windzie bloku w Hackney. W Tunbridge Wells jeszcze szukają.

- I tak jestem zdania, że zbyt pochopnie uznaliśmy go za sprawcę i że...

Christy przerwała Fielderowi, mówiąc:

- Przepraszam, sir, ale wiem dokładnie, co się teraz z panem dzieje. Typuje pan jako sprawcę Burtona, a Segal i jego więcej niż dziwaczne zapiski nie za bardzo już panu pasują. Podobnie jak jego osobliwe zachowanie. Ale z jakiego powodu John Burton miałby..

- ...zamordować Thomasa Warda? No, ma przecież romans z jego żoną wszedł jej w słowo Peter.

- I dlatego miałby mordować jej męża? Po co? Jeśli planuje swoją przyszłość z Gillian Ward, to ona mogła się po prostu rozwieść!

- Może chciał zamordować Gillian. Zgodnie z tym, co mówiła, nie wiedział, że tego wieczoru chciała go odwiedzić i że w końcu siedziała cały wieczór w tym pubie w Paddington. Sądził, że jest sama w domu.

- I że córki Gillian nie ma w domu?

- On jest jej trenerem piłki ręcznej. To całkiem możliwe, że Becky opowiedziała mu o planowanych feriach u dziadków.

- A dlaczego miałyby chcieć zabić Gillian?

Fielder wstał, podszedł do okna. Nad miastem wisiały ciężkie chmury.

- Proszę nie zapominać, sierżancie, że Burton był kiedyś podejrzany o dokonanie deliktu seksualnego, co jest karalne. Co właściwie o nim wiemy? Może ten facet jest w najwyższym stopniu niebezpieczny. Może ma jakieś zaburzenia, skłonności do perwersji, czy ja wiem... Wyszedł z tego wszystkiego z nieco nadszarpniętą opinią, a mimo to został na własne życzenie bardzo szybko wydalony z policji. Dlaczego? Żeby nie dopuścić do dokładniejszego dochodzenia? Żeby nie wyszły na jaw sprawy, które mogłyby okazać się dla niego cholernie nieprzyjemne?

- Jakie sprawy? spytała Christy.

- Nie wiem. W końcu Burton cierpi na jakieś poważne zaburzenia, jeśli chodzi o seks.

- Sir, ja go naprawdę nie chcę bronić. John i ja byliśmy wtedy świetnym zespołem i znakomicie nam się współpracowało. Znam jego mocne strony znam też słabe. On nie potrafi się trzymać z daleka od pięknych kobiet, ale to jeszcze nie znaczy, że cierpi na jakieś poważne zaburzenia seksualne, jak pan to nazywa. Nikt z nas wtedy ani przez chwilę nie wierzył, że on rzeczywiście zgwałcił tę rozhisteryzowaną dziewczynę. Prokurator też w to nie uwierzył. Nie wierzyli też w to biegli, pracujący niezależnie od siebie. I mimo wszystko nie mógł zostać w policji. Bo chyba każdy z kolegów mężczyzn tu w Yardzie myślał sobie: a dobrze ci tak, i dawał mu to odczuć. No i stało się jasne, że ta historia będzie mu tutaj towarzyszyła przez całe życie. Nie jest miło, kiedy wysoki stopniem śledczy słyszy od złapanego przez siebie kryminalisty albo od jego adwokata złośliwe pytanie, czy to nie on jest tym gliną, przeciwko któremu prowadzono dochodzenie o gwałt. Tego też na pewno chciał uniknąć, doskonale go rozumiem.

- Christy, nie jest pani całkiem obiektywna, jeśli chodzi o Burtona. Wiem, że bardzo go pani ceniła jako policjanta. Ale to nie zmienia faktu, że pojawił się w związku z dochodzeniem o morderstwo i musimy zbadać jego osobę i rolę, jaką ewentualnie odegrał w tych wszystkich sprawach.

- Dobrze. To przyjrzyjmy się *tym wszystkim sprawom*. Dlaczego Carla Roberts i Anne Westley? One chyba nie były klasycznym typem trofeów Burtona, prawda? Jedna sześćdziesiąt pięć lat, druga prawie siedemdziesiąt. Z pewnością nie miał z nimi romansu.

- Ale jeśli chodzi o Thomasa Warda upierał się Fielder to Burton nie ma alibi na czas dokonania zbrodni.

Wysłał jednego ze swoich ludzi, żeby porozmawiał w tej sprawie z Johnem Burtonem. John zeznał, że we wtorkowe popołudnie był w swoim biurze. Miał tam klienta, który chciał założyć w swojej willi skomplikowany system zabezpieczeń i potrzebował rady. Rozmowa trwała do godziny osiemnastej, a jej fakt mógł być

potwierdzony przez klienta. Ale potem John został sam i zaczął dokładnie opracowywać koncepcję klienta, sporządzać kosztorys; musiał też być na dyżurze i odbierać telefony do dwudziestej drugiej. Dopiero później zmienił go pracownik i John poszedł prosto do domu. Na nieszczęście tego wieczoru nikt nie dzwonił, nic się też nie zdarzyło. Oznaczało to, że John między godziną osiemnastą a dwudziestą drugą mógł spokojnie pojechać do Londynu lub Thorpe Bay i nikt mógł o tym nie wiedzieć.

- Nie każdy, kto nie ma alibi, jest sprawcą zauważyła Christy. A poza tym John nie byłby tak głupi, żeby wychodzić, kiedy musiał być na dyżurze. To byłoby zbyt wielkie ryzyko.

Fielder odwrócił się od okna.

- Nie typuję Burtona na sprawcę, Christy powiedział. Próbuję tylko nie czepiać się za bardzo tego Samsona Segala. To takie osobliwe uczucie... Wszystko, co dotyczy tego człowieka, albo przynajmniej to, co my o nim wiemy, wydaje mi się zbyt... oczywiste. Może to po prostu dlatego, że oto dostajemy sprawcę podanego na tacy, a tak nigdy nie bywa. Nagle pojawia się ta kobieta, oświadcza spokojnie, że jej szwagier ma na sumieniu śmierć sąsiada i prezentuje kupę papierów, które tę tezę potwierdzają czarno na białym. U mnie w takim wypadku natychmiast zapala się światełko ostrzegawcze, nic na to nie poradzę.

- On uciekł. To nie za bardzo przemawia za nim. Ani też za jego niewinnością rzekła Christy. Potrząsnęła głową. Rozumiem, co pan ma na myśli, szefie. Ale to właśnie tak działa. Dlatego łapie się sprawcę, że ktoś, kto go zna i podejrzewa od lat, wreszcie przestaje trzymać buzię na kłódkę. A musi pan przyznać, że Samson wręcz podręcznikowo pasuje do naszego profilu sprawcy. Ma ogromny problem z kobietami, to potwierdza jego bratowa i można to wyczytać w jego zapiskach. Od lat marzy o jakimś związku i jest stale odrzucany. W jakimś sensie wyraża się o kobietach z nienawiścią. Śledzi kobiety, opisuje każdą drobnostkę związaną z ich życiem. Także z życiem ich rodzin. Wiedział doskonale, że Thomasa Warda we wtorki wieczór nigdy nie ma w domu. Wiedział też, że Becky Ward właściwie powinna być u swoich dziadków. Dysponował każdą potrzebną mu informacją.

- Nie każdą. Najwyraźniej nie miał pojęcia o romansie Gillian z innym mężczyzną. Przynajmniej nie wiedział nic konkretnego.

- Takie historie każdy ukrywa, jak tylko potrafi najlepiej.

- Być może. Ale mimo swojej intensywnej obserwacji nie zauważył, że córka Gillian jednak została w domu?

- Nie wychodziła z domu z powodu zapalenia gardła. Nie widział jej i musiał przyjąć, że wyjechała wyraziła przypuszczenie Christy.

- Ona co roku między świętami a sylwestrem jeździ do dziadków w Norwich. Każdy w otoczeniu Wardów o tym wiedział.

- Ale nie do każdego pasują wszystkie pozostałe osobliwości, które widzimy u Samsona Segala.

- A więc on był przekonany, że Gillian Ward była sama w domu? Włamał się, chcąc ją zabić? Kobieta, którą czci i uwielbia?

- Ale która nie słucha, co on ma do powiedzenia. Nie zauważa go. I która nie stanęła po jego stronie, kiedy jej mąż niemal go zwymyślał. Czuł się przez nią *potraktowany jak śmieć*, tak napisał. I daje wreszcie upust nienawiści, którą czuje. Tak, czcił ją, ale tymczasem wzięło to w łeb. Był nią gorzko rozczarowany.

Peter obiema rękami potarł twarz. Był zmęczony i zniecierpliwiony. Ten szampan z poprzedniej nocy po prostu go wykończył.

- A gdzie w tej teorii znajdziemy miejsce dla Westley i Roberts? Jedna w Hackney? Druga w Tunbridge Wells?

- Miał przecież auto. To nie były dla niego odległości nie do pokonania.

- Wspomnieliby o nich w swoich notatkach. Nie, sierżancie Fielder potrząsnął głową. Tutaj zbyt wiele rzeczy nie pasuje do siebie. I te niezbyt przekonujące teorie, które mamy na każdy „wszelki wypadek”, biorą w łeb. Wspólne cechy Westley i Roberts, które ustaliliśmy, to fakt, że obie były samotne, obie po przejściu na emeryturę i dość osamotnione. Gillian Ward jest zaś mężatką, ma córkę, pracuje.

- To oznacza powiedziała Christy że nasz wspólny mianownik, wokół którego krążymy, jest fałszywy. Fakt, że one są samotne, nie wydaje się ich decydującą wspólną cechą. Musi być coś innego. Coś, co nam umknęło.

- Musimy jeszcze raz zająć się dokładnie przeszłością Anne Westley powiedział Fielder. Carli Roberts też. I Gillian Ward, co będzie o tyle prostsze, że ona przynajmniej żyje. Tak, jeśli chodzi o Ward, musimy to zrobić.

- I musimy zadbać o to, żeby znaleziono Samsona Segala stwierdziła Christy. On jest naprawdę ważny, sir! Na pewno ma nieczyste sumienie, bo coś przeszkrobał. Albo okaże się bardzo interesującym świadkiem. Obserwował dom Gillian Ward i grzebał w jej życiu. Mógł zauważyć coś, co może się okazać decydujące.

- Ta jego bratowa jest właśnie jeszcze raz przesłuchiwana powiedział Fielder. Może coś nowego z tego wyniknie. Na dworze jest cholernie zimno. Segal musiał się gdzieś dobrze zaszyć w ciepłym miejscu.

- Złapiemy go zapewniła Christy.

Popatrzył na nią. W tym momencie niemal poczuł jej niezachwiane przekonanie, że mają już sprawcę. Ale on ciągle jeszcze w to nie wierzył.

2.

Miała uczucie, że od trzech dni siedzi na sofie, wpatruje się w przeciwległą ścianę i nie pojmuje, co zaszło w jej życiu. Co nie było prawdą. Przygotowywała posiłki, przede wszystkim dla Becky, sprzątała mieszkanie, rano brała prysznic i wkładała czystą bieliznę, napełniała zmywarę do naczyń, a potem ją opróżniała. Wieczorami brała silny środek nasenny, kładła się na sofie i zapadała niemal natychmiast w głęboką ciemność bez snów, z której budziła się rano mimo wszystko niewyspana. Przygotowywała śniadanie, wkładała pieczywo do tosterów, obierała owoce, smażyła jajka. Sama nie zjadała z tego wszystkiego ani kęsa.

Tara zaczęła protestować.

- Gillian, ja nic nie mam do roboty! Chcę się tobą zająć, ale mam wrażenie, że jest odwrotnie!

Patrzyła na przyjaciółkę prosząco.

- Pozwól mi coś zrobić, Tara. Inaczej oszaleję.

Tara natychmiast ustąpiła.

- Dobrze. Rozumiem cię.

Gillian i Becky przeprowadziły się do niej jeszcze tamtej strasznej nocy, razem z kocurem Chuckiem, którego Gillian znalazła po rozpaczliwym poszukiwaniu kilka ogrodów dalej, gdzie siedział w śniegu zupełnie dezorientowany i wystraszony. Zapewne w panice wybiegł przez szeroko otwarte kuchenne drzwi, kiedy dom był pełen przerażenia i przemocy. Miła i bardzo delikatna policjantka wytłumaczyła Gillian, że dom musi być teraz zabezpieczony jako miejsce zbrodni.

- Nie mogą zostać zniszczone żadne ślady powiedziała. Czy zna pani kogoś, u kogo mogłaby pani na razie zamieszkać?

Gillian pomyślała najpierw o rodzicach, ale oni mieszkali zbyt daleko, i wtedy przyszła jej do głowy Tara. Zadzwoiła do przyjaciółki i wyjaśniła, co się stało najpierw przez długi czas w słuchawce panowało milczenie, a wreszcie Tara, kompletnie wytrącona z równowagi, zapytała:

- Co, co się stało?

Ale już w następnej chwili okazała się kobietą, która zawodowo miała często do czynienia z podobnymi przypadkami. Jej działania były rzeczowe i energiczne.

- Zaraz przyjadę powiedziała. Zabiorę cię i Becky. Oczywiście możecie u mnie mieszkać, jak długo chcecie.

I od tej chwili były tutaj. W Kensington, w eleganckim mieszkaniu Tary w starym budownictwie. Tymczasem zjawił się detektyw inspektor Fielder ze Scotland Yardu, żeby porozmawiać z Gillian, a ona powiedziała mu wszystko, co wiedziała, powiedziała mu też całą prawdę, jeśli chodzi o jej historię z Johnem. Policjantka w obecności Gillian i psychologa rozmawiała też z Becky. Dziewczynka, o czym Gillian wiedziała, była bardzo ważnym świadkiem. Nie widziała wprawdzie

sprawcy, ale zakradła się po schodach na dół, kiedy usłyszała głośny hałas dobiegający z jadalni i krzyk ojca: „Na miłość boską, co to ma znaczyć?”.

A potem padły dwa strzały. Becky, stojąc na schodach, widziała, jak ojciec osunął się na krzesło i na podłogę.

- Czy nie myślałaś o tym, żeby natychmiast do niego podbiec? spytała policjantka.

Becky potrząsnęła głową.

- Nie. Zabrzmiało to przeprasząco. Wiedziałam, że tam ktoś jeszcze jest. Słyszałam, że mój tato z kimś rozmawiał. Słyszałam, że ktoś strzelał. Ja... tak strasznie się bałam. Chciałam uciekać. Tylko uciekać.

Dziewczynka nagle zbladła.

- Powinam była mu pomóc. Powinam była pójść... Do rozmowy natychmiast włączyła się psycholog.

- Absolutnie nie, Becky. Nie mogłaś nic dla niego zrobić. To było bardzo słuszne, że poszukałaś schronienia.

- Chciałam tylko ustalić, co wywołało u Becky ten błyskawiczny impuls, żeby się ukryć usprawiedliwiła się policjantka. Wszystko, co ona widziała i słyszała tego wieczoru, jest dla nas bardzo ważne.

Ale to, co powiedziała Becky, także nic nie wniosło do śledztwa. Tego wieczoru akurat malowała i była tym bardzo pochłonięta. I dopiero kiedy Thomas zaczął krzyczeć, zorientowała się, że ktoś jest w domu i grozi jej ojcu.

- Kiedy zobaczyłam, że tatuś upadł, byłam okropnie przerażona. Stałam na schodach i wtedy poślizgnęła mi się stopa. To było dość głośne i wtedy wiedziałam... Jakoś wiedziałam, że ten, kto to zrobił, już wie, że jestem w domu. I prawie oszalałam ze strachu. Pobiegłam na górę i zaczęłam szukać kryjówki.

Walizka w komórce przyszła jej do głowy dlatego, że dawniej chowała się tam, kiedy bawiła się w domu z dziećmi. I teraz także leżała w niej zwinięta w kłębek, wstrzymując oddech, skurczona, czując narastający, kłujący ból w ramionach i nogach. Słyszała też, jak sprawca przeszukiwał cały dom. Jak biegał po wszystkich pokojach, otwierał szafy, wyrzucał rzeczy na podłogę, nawet odsuwał meble.

- Kiedy wbiegł na górę, mało nie umarłam ze strachu. Myślałam, że zaraz mnie znajdzie. Zaczął strasznie hałasować w komórce, rzucać pudłami i skrzyniami. Myślałam, że już, zaraz umrę.

- Ale absolutnie nic nie widziałaś? Becky potrząsnęła głową.

- Pokrywa walizki była zamknięta. Wokół mnie było czarno. Całkiem czarno.

Policjantka chciała jeszcze wiedzieć, czy Becky słyszała wcześniej dzwonek do drzwi, ale dziewczynka nie potrafiła sobie tego przypomnieć.

- Nie sędzę. Nie wiem. Ale myślę, że zesłabym na dół, gdybym usłyszała dzwonek.

W dzień Nowego Roku Tara zabrała ciągle jeszcze oszołomioną i nieco bezwolną Becky na łyżwy do Hyde Parku. Chciała przekonać Gillian, żeby też z nimi poszła, ale Gillian odmówiła.

- Nie. Idźcie same. Będzie mi dobrze, jak zostanę sama z sobą.

Ledwie jednak wyszły, zadzwonił inspektor Fielder z pytaniem, czy może wpaść. Gillian miała przemożną ochotę po prostu go splewić, bo czuła potworną pustkę i ogromne zmęczenie, ale wiedziała, że musi się jakoś pozbierać. Inspektor wykonywał swoją pracę i potrzebował jej pomocy. Najważniejsze było w tej chwili schwytanie mordercy Toma.

Wkrótce Fielder siedział w fotelu w salonie Tary. Gillian zaparzyła kawę, którą on przyjął z wdzięcznością. Także wyglądał na zmęczonego, zapewne świętował nadejście Nowego Roku.

„Co za potworny pierwszy stycznia” myślała Gillian. Ze swojego miejsca widziała balkon i fragment szarego nieba. Przed oknem siedział Chuck. Kocur także zerkał przez szybę, śledząc wzrokiem ptaki, które od czasu do czasu siadały na balustradzie i bezczelnie patrzyły mu w oczy.

Detektyw Fielder rozwijał właśnie swoją teorię na temat tego, jak sprawca mógł się dostać do domu.

- Jeśli przyjmiemy, że faktycznie nie zadzwonił do drzwi, czyli nikt mu nie otworzył, to mogło tak być, że znalazł jakąś łatwiejszą i wygodniejszą drogę. Sprawdziliśmy to. Z ulicy można zajrzeć do wnętrza kuchni przez małe okno w drzwiach wejściowych widać stamtąd drzwi, które prowadzą z kuchni do ogrodu. Jeszcze lepiej widać to wieczorem, kiedy wszystko jest oświetlone. Przypuszczamy, że pani mąż otworzył drzwi do ogrodu. Chciał po prostu trochę wywietrzyć kuchnię. Nic nie wskazuje na to, że drzwi wyłamano. Sprawca, który być może najpierw zamierzał zadzwonić, dostrzegł swoją szansę, obszedł dom dookoła i wszedł do kuchni z ogrodu. Dlatego Becky nic nie słyszała.

- Czy są jakieś ślady stóp? Potrząsnął z żalem głową.

- Do chwili, kiedy przybyła policja, od kilku godzin cały czas intensywnie padał śnieg.

- Dlaczego tak? spytała bezradnie Gillian. Dlaczego ktoś miałby zabijać Toma?

Odpowiedział pytaniem:

- Czy mówią coś pani nazwiska Carla Roberts i Anne Westley?

Gillian potrzebowała kilku sekund, żeby zrozumieć pytanie ze wszystkimi jego konsekwencjami.

- Sądzi pan, że istnieje jakiś związek między...

- A więc wie pani, kim są te obie kobiety?

- Z gazet, tak. Ale ich nie znałam.

- Nigdy pani o nich przedtem nie słyszała? Pani mąż także nigdy o nich nie mówił?

- Nie. Nigdy.

- Doktor Anne Westley była lekarzem pediatrą w Londynie. Nie była pani z Becky..

- Nie. Jak mówiłam, nie znałam ich.

Peter Fielder wypił łyk kawy i ostrożnie odstawił filiżankę na spodek. Spojrzał z powagą na Gillian.

- Narzędzie zbrodni. Pistolet, z którego zastrzelono pani męża. Z dużym prawdopodobieństwem chodzi o tę samą broń, której użyto przeciwko obu tym kobietom.

- One też zostały zastrzelone? spytała obojętnie Gillian. W gazetach pojawiały się tylko spekulacje na temat przyczyny śmierci obu ofiar, bo policja nie udostępniła w tej sprawie żadnych dokładniejszych danych. Fielder chciał, jeśli chodzi o Gillian, także na tym poprzestać.

- Wszystko wskazuje na to, że tą bronią im grożono powiedział wymijająco. W przypadku doktor Westley sprawca przestrzelił zamek w drzwiach, za którymi starsza pani się zabarykadowała. Dlatego mogliśmy porównać łuski pocisku.

Gillian wydało się to co najmniej dziwne.

- Ale dlaczego ktoś, kto zamordował dwie starsze kobiety, miałby mordować mężczyznę w średnim wieku? Niczego u nas nie skradziono. To przecież nie ma sensu!

- Jak dotąd w całej tej historii nie udało nam się w ogóle dopatrzeć żadnego sensu powiedział Fielder z rezygnacją. A przynajmniej my tego sensu na razie nie dostrzegamy. Ale nasuwa się przypuszczenie, że... szukał odpowiednich słów. Nie chciał zbyt brutalnie przedstawić Gillian swojego podejrzenia.

Ale ona odgadła, co miał na myśli. Popatrzyła na niego uważnie.

- Sądzi pan, że to nie Tom miał być ofiarą? Myśli pan, że on zamierzał zabić mnie?

Fakt, że sama to powiedziała, wydawał się sprawiać mu ulgę.

- To tylko przypuszczenie. Ale rzeczywiście jest faktem, że pani męża we wtorki wieczorem nigdy nie było w domu. Także pani córki miało nie być. Ktoś, kto choć trochę posprawdzał pewne fakty, mógł założyć, że zastanie panią samą...

- Zajrzał do kuchni...

- Tak. Ale nie zobaczył nikogo, bo pani mąż widocznie był w jadalni. I wówczas sprawca dostrzegł jasną kuchnię i otwarte drzwi. Wszedł do domu i nagle, zupełnie nieoczekiwanie, stanął twarzą w twarz z mężczyzną zamiast, jak się spodziewał, z kobietą. I nie miał natychmiastowego wytłumaczenia, dlaczego zakradł się z pistoletem do domu. Wtedy nie pozostawało mu nic innego, jak zamordować Thomasa już choćby po to, żeby nie zostać później zidentyfikowanym. Potem, ku swemu przerażeniu, sprawca usłyszał jeszcze jakieś szmery na schodach. Pomyślał,

że to ktoś, kto być może także go zobaczył. Dlatego wpadł w popłoch i zaczął szukać jak szalony. Bogu dzięki, nikogo nie znalazł.

Gillian jęknęła cicho i schowała twarz w dłoniach.

- Gdyby jeszcze znalazł Becky..

- Becky miała wiele szczęścia. Miała też szczęście, kiedy poszukiwania okazały się tak czasochłonne, że sprawca zrezygnował. Widocznie obawiał się przebywać za długo w miejscu zbrodni. Anioł stróż czuwający nad pani córką naprawdę dobrze się spisał, Gillian.

Podniosła głowę.

- Ale dlaczego ja? Dlaczego chciał zabić mnie?

- To samo pytanie zadajemy sobie od tygodni w sprawie Westley i Roberts odparł Fielder. I jeżeli do tej serii zbrodni dołączymy panią i potraktujemy morderstwo pani męża jako coś w rodzaju niezaplanowanego nieszczęścia to mamy dwa dokonane morderstwa i próbę trzeciego, których motywy są dla nas absolutnie niezrozumiałe. Przy czym osoba, która morduje, wydaje się powodowana wyjątkową nienawiścią i ma jej niesłychane pokłady. To była zasadnicza informacja, jaką otrzymaliśmy. Mrs Roberts i Mrs Westley zostały zamordowane w wyjątkowo okrutny sposób. Sądziłyśmy z początku, że chodzi tu o sprawcę o ogromnym potencjale agresji wobec kobiet w ogóle, a Roberts i Westley wybrał on tylko dlatego, że były samotne, opuszczone i jako takie stanowiły dla niego łatwy łup. Obie zostały znalezione tydzień po dokonaniu morderstwa i tylko dzięki przypadkowi. Także do tego schematu pani nie pasuje. Musi więc być coś innego, co łączy panią z tymi kobietami.

- Ale przecież ja ich w ogóle nie znałam.

- Mimo to muszą tu istnieć jakieś punkty przecięcia.

- O Boże wymamrotała Gillian. Jakie to potworne.

- Co pani wie o Samsonie Segalu? spytał Fielder i otrzymał dokładnie taką odpowiedź, jakiej się spodziewał na podstawie notatek Samsona.

- Segal? Ten facet, który kręcił się ciągle koło naszego domu?

„Może Christy jednak ma rację” pomyślał, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, rozległ się dzwonek do drzwi. Gillian wstała, przeprosiła i wyszła. Kiedy wróciła, nie była sama.

Za nią wszedł do pokoju John Burton.

3.

Samson Segal przeraził się niemal śmiertelnie, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

W obskurnym hotelu, w którym znalazł pokój, z pewnością nie było pokojówek, więc Samson nie sądził, żeby to był ktoś z obsługi.

Ostrożnie spytał:

- Kto tam?

- To ja, Bartek. Otwórz.

Samson z ulgą odryglował drzwi. Zadzwoił do Bartka wczesnym rankiem, ale zgłosiła się tylko poczta głosowa. Zostawił więc wiadomość, gdzie się zatrzymał i prosił o pomoc głównie finansową. Od tej chwili siedział nieruchomo na zapadniętym łóżku, wpatrywał się w kawałek nieba widoczny z okna i z rozpaczą myślał, że jego przyjaciel w ciągu dnia nie odsłucha wiadomości. Samson wiedział, że ze śmieszną sumą stu funtów daleko nie zajedzie. Kiedy w środku nocy poprosił o pokój w tej obskurnej budzie, natychmiast odebrano mu trzydzieści funtów, a gospodyni, od której czuć było papierosy i alkohol, oświadczyła od razu, że za kolejną noc będzie musiał zapłacić następne trzydzieści, i to z góry. To znaczyło, że za trzy noce pieniądze się skończą.

- Trzydzieści funtów? spytał przerażony, a gospodyni natychmiast spojrzała na niego szyderczo.

- Na jakim świecie pan żyje, młody człowieku? Na takim, gdzie się wszystko dostaje za darmo? To proszę się natychmiast obudzić! A poza tym ta cena zawiera śniadanie, więc nie ma co narzekać!

Jakości tego śniadania Samson jednak jeszcze nie sprawdził. Czuł się jak sparaliżowany. Wiedział, że nawet na moment nie wolno mu opuścić tego stęchłego, zimnego pokoju z obrzydliwymi meblami. Wiedział też, że te bladezielone brudne ściany dają mu nader złudne poczucie bezpieczeństwa, za to świat na zewnątrz wydawał mu się w tej sytuacji prawdziwą paszczą rekina, Samson nie ważył się więc nawet wychylić nosa.

Bartek wyglądał okropnie, Samson zauważył to natychmiast, kiedy tylko jego przyjaciel wszedł do pokoju. Mocno podkrążone oczy, szare, spierzchnięte wargi. Zapewne świętował aż do białego rana, był skacowany i zmęczony. I zapewne zostałby w łóżku aż do popołudnia. Zamiast tego musiał się zająć przyjacielem, który tkwił po uszy w tarapatach.

Samson natychmiast poczuł się winny.

- Bartek! Jak to dobrze, że jesteś.

Bartek rozejrzał się po ciasnym pokoju. Hotel znajdował się w bezpośredniej bliskości stacji kolejowej Southend i był to stary, mocno zaniedbany budynek, którego pokoje miały niskie sufity oraz trzeszczące podłogi. Małe okna, obrzydliwe tapety. Widać było, że łóżko w pokoju Samsona jest zapadnięte i niemal sięgnie

podłogi, gdy się na nim położyć. Jeden fotel. Wąska szafa na ubrania z taniego drewna. Umywalka na ścianie. Do toalety trzeba było wyjść na korytarz.

Beznadzieja wręcz doskonała.

- O Boże powiedział Bartek, po czym zatrząś się i roztarł sobie ramiona. Zimno tutaj!

- Ogrzewanie niezbyt dobrze funkcjonuje wyjaśnił Samson.

- No wiesz co... odparł Bartek i niemal opadł na fotel. Samson, do cholery! Przedtem była u mnie policja!

- Co takiego?!

- I to nie jakiś policjant z posterunku tu, w Southend, lecz Scotland Yard, rozumiesz?!

- Na miłość boską...

- Policjantka. Detektyw konstabl Linville. Wcześniej była u twojej uroczej bratowej i to ona podsunęła jej pomysł, żeby zajrzeć do mnie. Naopowiadała, że jesteśmy bardzo dobrymi przyjaciółmi i Bóg wie co jeszcze! I tamta zaraz zjawiała się u mnie. Helen i ja byliśmy jeszcze w łóżku...

- Czy Helen powiedziała, że byłem u ciebie ostatniej nocy? Bartek potrząsnął głową.

- Dzięki Bogu, nie. Chociaż niczego nie uzgadnialiśmy. Była przerażona, kiedy zobaczyła w naszym mieszkaniu policjantkę, ale jest na tyle przebiegła, żeby w takich wypadkach trzymać buzię na kłódkę.

- Co ty powiedziałeś?

- Że ostatnio widziałem cię przed świętami. I że nie mam pojęcia, gdzie jesteś.

Samson poczuł pewną ulgę.

- Bartek, nie wiesz, jaki jestem ci wdzięczny.

Bartek znów potrząsnął głową, jakby usilnie odrzucał jego wdzięczność, jak gdyby wręcz chciał, żeby Samson trzymał się od niego jak najdalej.

- A potem odsłuchałem twoją wiadomość na komórce. Samson, to lekkomyślne! Nie rób tego więcej! Nie rozmawiaj ze mną poprzez pocztę głosową. I nie zostawiaj żadnej wiadomości na telefonie stacjonarnym. W ogóle nie dzwoń do mnie więcej!

Samson poczuł, jak kolana robią mu się miękkie. Z braku innego miejsca do siedzenia osunął się na łóżko, które rzeczywiście ugięło się z głośnym trzeszczeniem, sięgając aż do podłogi.

- Ale ja potrzebuję twojej pomocy, Bartek! Nie dam sobie rady sam!

- Z moją pomocą też nie dasz sobie rady powiedział Bartek. To jest fakt i musisz zdać sobie z tego sprawę. Masz tutaj sięgnął do kieszeni spodni i wyciągnął kilka zmiętych banknotów dwieście funtów. Więcej nie mogę ci dać. Więcej w ogóle nie mogę dla ciebie zrobić!

Samson pochylił się i wziął pieniądze. Mógł teraz zostać w tym pokoju przez niemal półtora tygodnia. Zakładając, że jego zdjęcie nie ukazało się w prasie.

Wówczas niebezpieczne będzie pozostawanie w jednym miejscu nawet przez kilka godzin.

- Dziękuję, Bartek. Wiem, że dla ciebie to jest...

- Dla mnie to jest bardzo niebezpieczne przerwał mu Bartek, a w jego głosie wyraźnie słychać było wściekłość. Ja nie jestem obywatelem brytyjskim, rozumiesz? Usiłuję zbudować sobie tutaj moją egzystencję. Ciężko pracuję. Helen i ja chcemy się pobrać. Chcemy kupić mieszkanie. Chcemy mieć dziecko. Wiesz, co to będzie znaczyć, kiedy wpłaczę się w dochodzenie o morderstwo? Wiesz, co to będzie znaczyć, kiedy zaczną cię oficjalnie ścigać, a ja ci pomogę się ukryć? Ty może powędrujesz na kilka lat do kicia, ale mnie grozi wydalenie. Wyląduję znów w Polsce i wszystko, co tu osiągnąłem, przepadnie! Jednym ruchem możesz przekreślić całą moją przyszłość!

- Ale Bartek, to nie ja... Ja nikomu nie zrobiłem najmniejszej krzywdy!

- To nie uciekaj! Idź na policję!

- Przecież już za późno! Teraz, kiedy już uciekłem!

- To możesz łatwo wyjaśnić, panika, strach, zaskoczenie. Po prostu sądziłeś, że to wszystko mogło im się wydać podejrzane i w pierwszym szoku uciekłeś.

- Oni mi nie uwierzą.

- Ale też nie będą w stanie niczego ci udowodnić, jeśli nic nie zrobiłeś!

- Przecież wiesz, jak to jest: potrzebują sprawcy, a ja im bardzo pasuję. Im jest wszystko jedno, czy ja...

- Ach, przestań przerwał mu Bartek. Nie wsadzą cię do kicia tak po prostu. Muszą ci udowodnić, że to zrobiłeś, a jeśli to nie byłeś ty, będą mieć z tym problem.

Wstał.

- Nie dam się w to wciągnąć, Samson. To było ostatnie, co dla ciebie zrobiłem, i mogę się tylko modlić, żeby mnie to nie pogrążyło. Od tej chwili musisz sobie radzić sam. Obiecałem to też Helen. Ona wprost nie posiada się z oburzenia. Rzadko zdarza mi się widzieć ją tak wściekłą.

Samson także wstał.

- Ale to nie byłem ja powtórzył bezradnie i czuł się już niemal jak młynek modlitewny.

- To nie potrzebujesz się niczego obawiać odparł Bartek.

- Ty także nie powiedział Samson. Bo nie pomagasz mordercy. Pomagasz niewinnemu.

W oczach przyjaciela dostrzegł zwątpienie.

Ze smutkiem pomyślał, że on nie jest tego pewny.

4.

Obaj mężczyźni stali przez chwilę naprzeciw siebie i patrzyli w milczeniu byli chyba tak samo zaskoczeni i w tym momencie niezbyt pewni, jak się znaleźć w takiej sytuacji. Pierwszy odezwał się Fielder:

- Witaj, John, Nie pomyślałbym, że...

Nie dokończył zdania, ale John oczywiście je podchwycił.

- Witaj, Peter. O czym byś nie pomyślał? Że się jeszcze kiedyś w życiu zobaczymy?

- Że zobaczymy się przy okazji dochodzenia w sprawie morderstwa. To miałem na myśli odpowiedział Fielder.

- Przecież twoi ludzie już mnie sprawdzili. Fielder uśmiechnął się przyjaźnie.

- Masz rację. I moi ludzie stwierdzili też, że nie masz alibi na czas popełnienia zbrodni. Jeśli chodzi o morderstwo Thomasa Warda.

Fielder podkreślił ostatnie wypowiedziane przez siebie zdanie, co kazało Johnowi zmrużyć oczy.

- A o jakie jeszcze alibi powinienem się według ciebie postarać?

- Nikt cię nie podejrzewa powiedziała Gillian. Fielder zauważył, że ręce lekko jej drżały. Przecież mnie też sprawdzili. To chyba normalne, prawda?

- Oczywiście przytaknął Fielder.

- O jakie inne alibi powinienem się postarać? powtórzył John.

- Tom został zastrzelony tą samą bronią, która odegrała pewną rolę przy morderstwie dwóch starszych kobiet wyjaśniła Gillian. Wiesz, tych, o których pisały gazety. Dlatego w tych trzech przypadkach chodzi prawdopodobnie o tego samego sprawcę.

John uniósł brwi.

- Ta sama broń?

- Tak jest potwierdził Fielder. Obserwował Johna uważnie i pomyślał, że tamtemu przyszło do głowy to samo, co wcześniej zostało głośno powiedziane na policji: że Tom był przypadkową ofiarą. Że sprawca zamierzał zabić jego żonę. Tę właśnie myśl Fielder niemal przeczytał w oczach Johna i pomyślał przy tym: albo on jest znakomitym aktorem, albo rzeczywiście nie ma z tym nic wspólnego.

John zwrócił się do Gillian:

- Gillian...

- Wiem odpowiedziała. Możliwe, że chciał zabić mnie. Jestem kobietą i tego wieczoru powinnam była być sama w domu, jak zwykle. Lepiej pasuję do tej serii niż Tom.

- Oczywiście nie wiemy tego z całą pewnością odezwał się Fielder. Ale byłoby lepiej, gdyby została pani tutaj przez jakiś czas. Nawet wtedy, kiedy policja opuści

już pani dom.

Niespodziewanie zwrócił się wprost do Johna, pytając:

- Skąd wiedziałeś, że Mrs Ward zatrzymała się u przyjaciółki?

- Ja wysłałam mu dziś rano SMS-a odpowiedziała Gillian, zanim John zdążył cokolwiek powiedzieć, po czym dodała:

- ...i prosiłam, żeby przyszedł. Zaraz po śmierci... Toma nie chciałam go widzieć, ale tymczasem... wzruszyła bezradnie ramionami i powiedziała cicho: Nie czuję się najlepiej, a muszę się jakoś trzymać ze względu na Becky. Tara, moja przyjaciółka, bardzo się o nas troszczy, ale ciągle myślę, że to jest dla niej jakiś problem, bo wtedy, tamtego wieczoru, chciałam się spotkać z Johnem. Nie mówi tego głośno, ale... w jej oczach czytam, że byłoby lepiej, gdybym po prostu rozstała się z Tomem, jeśli nie byłam z nim szczęśliwa. Stale muszę myśleć o tym, że ona w głębi ducha sądzi, że do nieszczęścia dochodzi wtedy, kiedy ludzie nie są w stosunku do siebie szczerzy i uczciwi.

Urwała, przełykając ślinę. Jej twarz drżała i widać było, że zadaje sobie wiele trudu, żeby powstrzymać łzy.

John podszedł do niej, objął ją ramieniem. Obaj mężczyźni spojrzeli sobie w oczy ponad jej głową. Obaj pomyśleli o tym samym. Nie trzeba było być psychologiem, żeby wiedzieć, że w tym momencie Gillian przypisywała Tarze myśl, która dręczyła bez przerwy ją samą: poczucie winy tak ogromne, że z trudem mogła je znieść.

- Nie wolno pani tak myśleć poprosił Fielder. Tu w ogóle nie chodzi o to, czy była pani moralnie w porządku wobec swojego męża, czy też nie. Tutaj chodzi o mordercę bez cienia skrupułów, który z jakiegoś nieznanego nam powodu upatrzył sobie także pani rodzinę, i jeżeli mamy wyjaśnić kwestię winy, to wyłącznie tej, którą ponosi ten człowiek. To on kiedyś, miejmy nadzieję, stanie przed sędzią, nie pani, Mrs Ward.

Wytarła łzy z policzka i opuściła ręce. Wydawało się, że całkiem odzyskała panowanie nad sobą.

- I sądzi pan, że to mógłby być Samson Segal? spytała, wracając do tematu, który przerwało im wejście Johna.

- Kto to jest Samson Segal? spytał natychmiast John.

- Mieszka u nas, na tej samej ulicy odpowiedziała Gillian. I on... zachowywał się nieco osobliwie. Tom był nawet trochę na niego zły.

Spojrzała na Fieldera.

- Jak pan w ogóle wpadł na to, że on może mieć z tym coś wspólnego? spytała.

- Otrzymaliśmy doniesienie odparł Fielder i dodał: Ale muszę powiedzieć, że nie mamy absolutnie pewności, czy jest w nim chociaż cień prawdy. Co pani ma na myśli, mówiąc *osobliwie*, Mrs Ward? I jak rozumie pani określenie, którego użyła pani przedtem, że *kręcił się* koło pani domu?

- Kiedyś zauważyliśmy, że widzieliśmy go praktycznie za każdym razem, kiedy wychodziliśmy z domu albo kiedy patrzyliśmy na ulicę. Albo akurat przechodził koło domu, albo stał i patrzył... Tom zauważył to wcześniej niż ja. Także Tara to dostrzegła, gdy mnie raz odwiedziła. Kiedy oni oboje to zauważyli, stwierdziłam, że rzeczywiście stale go spotykałam wzruszyła ramionami. Ale nie odbierałam tego jak zagrożenia. Wydawał mi się zawsze sympatycznym, bardzo nieśmiałym mężczyzną. Nieszkodliwy dziwak.

- Wrażenie nieszkodliwości może być mylące powiedział Fielder. Miałem już do czynienia ze zbrodniarzami, którzy sprawiali wrażenie tak nieszkodliwych, że każda babcia powierzyłaby im bez obaw zawartość swojej książeczki oszczędnościowej.

- Krótco przed świętami doszło do pewnego zdarzenia powiedziała Gillian. Opowiedziała o swoim spotkaniu z Johnem i o tym, że oboje z Tomem wrócili bardzo późno do domu. I że Becky wyszła z urodzinowego party u Darcy, gdzie miała nocować, a Samson Segal zabrał ją do siebie do domu. Także o tym, że Tom zachował się w stosunku do sąsiada nadzwyczaj agresywnie, podczas kiedy ona odczuwała wdzięczność. Peter znał tę historię z zapisków Segala, słuchał jednak z zainteresowaniem. W jego oczach duże znaczenie miał fakt, że Thomas Ward zachował się w stosunku do Segala niewłaściwie. Czyli Segal niczego tutaj sobie nie wmawiał ani nie uroił. Pomógł córce Wardów i został potraktowany przez jej ojca niezbyt miło a przede wszystkim nie doczekał się ani odrobiny wdzięczności.

- Czy wie pani, dlaczego mąż tak zareagował? spytał. Co on miał przeciwko Segalowi?

Zastanowiła się, próbując przywołać w pamięci ów wieczór i rozmowy. To dziwne, ale wydawało jej się, że to zdarzyło się bardzo dawno temu. Jak gdyby od tamtej chwili upłynęły już lata, a nie dwa tygodnie.

- Sądzę, że on sam nie potrafił tego uzasadnić stwierdziła po chwili.

Po prostu nie lubił Samsona. I był przerażony, kiedy się dowiedział, że ten prawie obcy człowiek zabrał do siebie Becky. Zaraz podejrzewał coś najgorszego, ale naprawdę sytuacja była zupełnie niegroźna. W domu był brat Samsona i jego bratowa, Becky siedziała na sofie w salonie przed telewizorem i w końcu zasnęła. Było mi nieprzyjemnie, kiedy Tom zachował się tak gburowato. Ale właśnie tego wieczoru Tom powiedział mi, że już częściej widywał Samsona przed naszym domem i fakt, że był tam akurat wtedy, kiedy zjawiała się Becky i na próżno dzwoniła do drzwi, to wcale nie był przypadek. Tomowi wydawało się to bardzo podejrzane.

- Wiemy, że tamtego wieczoru Becky opowiedziała Segalowi o planowanych feriach u dziadków w Norwich. Więc on też wiedział, że Becky nie będzie wtedy w domu powiedział Fielder.

- Czy przesłuchaliście już tego Mr Segala? spytał John.

- Nie odpowiedział Fielder. To jest właśnie problem. Bo on zniknął.

- Zniknął? Uciekł?

- Tak.

John gwizdnał cicho.

- Rozumiem. Niekoniecznie zwalnia go to od podejrzeń.

- Gdyby był niewinny, nie byłoby to najrozsądniejsze posunięcie z jego strony przyznał Fielder.

- Włóczył się koło domu Wardów powiedział John. Miał powód, żeby być wściekłym na Toma Warda. Czy jest jakiś związek między nim a obiema zamordowanymi kobietami?

Peter Fielder potrząsnął głową.

- Z tego, co wiemy dotychczas nie.

Miał wrażenie, że John doskonale się orientował, że on nie odkrył wszystkich kart i że było dla niego jasne, iż wypytywanie do niczego w tej chwili nie doprowadzi. Ten człowiek był kiedyś doskonałym śledczym, obdarzonym znakomitą intuicją i zdolnością domyślania się tego, co w ogóle nie zostało powiedziane.

Czy mógł być też mordercą?

„Masz problem z kobietami - pomyślał Fielder - założę się o to. Nie jest to tak wyraźnie widoczne i klasyczne jak u Segala, ale jest. U ciebie też coś nie gra. Kto rezygnuje z tak obiecującej kariery tylko dlatego, że nie potrafi zostawić w spokoju jakiejś panienki? Dlaczego nie jesteś w stanie zbudować w miarę normalnego związku? A skąd teraz ta historia z zamężną kobietą, matką dziecka, którego jesteś trenerem? Żoną ofiary morderstwa. To jest decydujące. Nieżyjący Thomas Ward stawia cię w pobliżu ohydnej serii morderstw, John, i jeśli masz z tym coś wspólnego, to przysięgam, że dojdę do tego i wsadzę cię za kratki, i będzie to dla mnie niesłychana satysfakcja!”

Gwałtowność tej myśli wręcz go przerażyła, podobnie jak emocje, które wywoływał w nim były kolega. Dostrzegł lekki, nieco dwuznaczny uśmiech w kącikach ust Burtona i miał niemiłe wrażenie, że wyraz jego własnej twarzy zdradza jego uczucia i że John to zauważył.

Zmusił się do rzeczowości i jeszcze raz podjął temat planowanego wyjazdu Becky na ferie.

- Kto wiedział, że Becky po świętach wyjeżdża? Nie możemy wykluczyć, że sprawca wkalkulował tę okoliczność w swoje działanie. Że pani córki nie będzie tego dnia w domu.

Gillian wykonała bezradny gest.

- Prościej byłoby spytać, kto o tym nie wiedział. Sądzę, że w jej klasie wiedziało o tym każde dziecko. Może też niektórzy rodzice. Także każdy w kręgu naszych znajomych o tym wiedział. Moja przyjaciółka Tara. Diana, matka Darcy, najlepszej przyjaciółki Becky. Także większość sąsiadów. Samson Segal też musiał o tym

wiedzieć. Od lat Tom, Becky i ja wyjeżdżamy 26 grudnia do Norwich i wracamy stamtąd dwa dni później. Mój ojciec przywozi ją potem wraz z początkiem zajęć w szkole. Zawsze tak było. Wiedziały o tym nawet różne sprzątaczkę, które pracowały u nas w biurze. Także nasi pracownicy. Właściwie każdy.

- Rozumiem odparł Fielder.

- Zanim spytasz, Peter: ja o tym również wiedziałem odezwał się John. Rozmawialiśmy z dziećmi o ich planach na ferie w czasie ostatniego treningu przed świętami. Becky opowiedziała o swoich.

- Proszę wybaczyć zwrócił się Fielder do Gillian ale muszę o to zapytać: czy Becky wiedziała o tym, co łączy panią z Mr Burtonem?

Potrząsnęła głową.

- Nie wyszeptała. I zaraz dodała: Przynajmniej mam nadzieję, że niczego nie podejrzewa.

- Przypuszczam, że wiele osób wiedziało, że Thomas Ward zawsze chodził do klubu tenisowego we wtorkowe wieczory?

- O tym też wiedziało wiele osób, tak.

- Ty o tym też wiedziałeś? spytał Fielder nieco obcesowo Johna.

- Tak. Gillian mi o tym wspomniała.

„I jesteś zbyt przebiegły, żeby mnie okłamywać w tych sprawach, które mogę sprawdzić pomyślał Fielder. Ale to nie znaczy, że nie kłamiesz jak z nut”.

Podał rękę Gillian.

- Do widzenia, Mrs Ward. Ma pani zamiar tutaj zostać? U pani prokurator Caine? Będę mógł tu panią zastać?

- Tak.

- Byłoby dobrze, gdyby pani... nie opuszczała tego mieszkania zbyt często. I gdyby pani była ostrożna. W stosunku do każdego.

Wyraźnie dał jej do zrozumienia, że nie ufał Johnowi i że byłoby lepiej, gdyby trzymała się z daleka od swego kochanka, ale nie mógł wyrazić swojego podejrzenia głośno. Byłby rad, mając Johna w ręku.

- Będę ostrożna obiecała Gillian. Miała lodowate palce. I tak nie zamierzam zbyt często wychodzić. Chcę spędzać jak najwięcej czasu z Becky. Ona mnie potrzebuje.

- Będziemy musieli jeszcze raz bardzo ostrożnie porozmawiać z Becky. Możliwe, że przypomni sobie jakieś szczegóły z tamtego wieczoru. Wszystko, co jej przyjdzie do głowy, może mieć znaczenie.

- Oczywiście odparła Gillian.

Odprowadziła inspektora Fieldera do drzwi, po czym zamknęła je bardzo dokładnie, zakładając dodatkowo łańcuch. Kiedy wróciła do salonu, zobaczyła, że John przykucnął i głaskał mruczącego kocura, który opuścił już swoje miejsce pod oknem.

- On mi nie ufa powiedział John na jej widok. Detektyw inspektor Fielder. Nigdy mnie nie mógł znieść i byłoby mu bardzo na rękę, że mogłbym być zamieszany w morderstwo.

- Robi wrażenie bardzo kompetentnego i rzeczowego powiedziała Gillian. Z pewnością nie pozwoli, żeby powodowały nim osobiste uczucia.

John wstał.

- Czy sądzisz, że ja mogłem to zrobić? Spojrzała na niego zdziwiona.

- Oczywiście, że nie.

Podszedł do niej. W jego głosie było wiele ciepła i łagodności, kiedy spytał:

- A jak ty się czujesz, Gillian? Nie mogłem o to zapytać w obecności mojego sympatycznego ekskolegi. Jesteś bardzo blada.

Przez cały czas jakoś się trzymała. Przede wszystkim z powodu Becky. Ale także dlatego, żeby nie paść ofiarą własnych uczuć. Ofiarą przerażenia, niezrozumienia, żalu, poczucia winy i strachu. Ale teraz, kiedy słyszała jego pełen ciepła i łagodności głos, mur, który z takim trudem wzniosła wokół serca i pulsującego jądra własnego bólu, zaczął się kruszyć.

Zacząła naprawdę płakać, po raz pierwszy od tamtej chwili, kiedy wydarzyło się coś, czego wciąż nie potrafiła pojąć. Nie było to kilka łez, jak dotychczas, nocą, z twarzą wciśniętą w poduszkę i wstrzymanym oddechem, żeby śpiąca obok Becky nic nie zauważyła. Teraz łzy płynęły jej z oczu, a ona drżała rozpaczliwie i pozwoliła, żeby John ją objął i przytulił do siebie. Czuła szorstką wełnę jego swetra pod swoim policzkiem, słyszała uderzenia jego serca i spokojny oddech unoszący pierś. Wydało jej się, że były to objęcia mężczyzny, który potrafił zapewnić spokój i który nigdy nie cofnąłby się nawet przed najgorszym niebezpieczeństwem.

W tych objęciach mogłaby znaleźć otuchę.

Nie poczuła jej i zrozumiała to dopiero wtedy, kiedy uwolniła się z jego ramion i znikła w łazience, żeby umyć twarz i wytrzeć nos.

Patrzyła na swoje odbicie w lustrze i nie rozumiała. Nie rozumiała, dlaczego gdzieś w głębi ducha czuła osobliwy chłód, pustkę i brak nadziei. Dlaczego nawet w jego objęciach czuła się tak przerażająco samotna.

Może nigdzie nie znajdzie już otuchy i spokoju. Nigdy. Znow zaczęła płakać.

Część II

Niedziela, 3 stycznia

1.

Niedziele były najgorsze. Nie dlatego, że wyglądały inaczej niż czwartki albo poniedziałki. Ale w niedziele na miasto spadał ciężki, ołowiany spokój, w każdym razie na tę bezduszną okolicę nowej zabudowy w Croydon, na południu Londynu, gdzie mieszkała Liza. Nawet tam, gdzie zwykle widziała ludzi, słyszała jakieś dźwięki czy odgłosy i ogólnie zauważała, że nie jest sama na świecie, to w niedziele te przejawy życia wydawały się ginąć w jakiejś gęstej, nieprzeniknionej mgle. Atmosfera bezruchu. Niedziele były martwymi dniami.

Kiedys przeczytała, że większość samobójstw popełniano właśnie w niedzielne popołudnia i ani przez sekundę nie wątpiła w prawdziwość tej informacji. Poza tym liczba samobójstw wzrastała także w sylwestrowe noce i zaraz potem, pierwszego stycznia. Także to doskonale rozumiała. Boże Narodzenie, co wydało jej się dziwne, nie zajmowało na tej liście czołowej pozycji. Jeśli ktoś miał jakiś problem, to jakoś sobie radził ze świętowaniem rodzinności i okresem zwrócenia się do własnego wnętrza. Może nawet znajdował w tym pewien spokój. Ale natrętna i obowiązkowo manifestowana radość sylwestrowej nocy ze strzelającymi korkami szampana, kolorowymi serpentynami i dudniącą muzyką powodowała, że własny ból przybierał wyjątkowo ostre kontury. I wówczas niczego nie można było wyprzeć ze świadomości. A pierwszy stycznia dodatkowo zanurzał wszystko w bladym zimowym świetle, które było aż bolesne dla oczu. Nowy rok zaczynał się równie beznadziejnie, jak kończył stary.

To może lepiej wszystko zakończyć.

Liza pokonała już wszystkie przeszkody. Boże Narodzenie, sylwester, pierwszy stycznia.

Tylko nie potrafiłaby się rozstać z życiem w takie smutne, puste i martwe niedzielne popołudnie.

Przysięgła sobie, że jednak wytrzyma. Gdzieś w jednym z mieszkań pod nią ktoś ćwiczył grę na fortepianie. Utwór wydał jej się mocno znajomy, ale nie potrafiła przypomnieć sobie dokładnie, co to jest. Był to jednak tylko krótki fragment. Pod koniec którego grający za każdym razem robił ten sam błąd i zaczynał wszystko od początku. Trwało to już mniej więcej od dwóch godzin. Pianista musiał mieć anielską cierpliwość.

Albo był po prostu tępy.

Oprócz fortepianu w domu nie było nic słyhać. Większość rodzin wyszła z pewnością na spacer. Na dworze świeciło słońce, śnieg błyszczał i migotał, było

lodowato zimno. Dokładnie taki dzień, w jaki z przyjemnością szło się na długi spacer, żeby potem rozgrzać się w salonie, pijąc grzane wino i szykując kolację.

To przynajmniej też mogła zrobić: ugotować sobie coś smacznego. Nie będzie to wprawdzie tak samo, jak po długim spacerze w zimowe popołudnie, ale zawsze to coś, na co można się było cieszyć.

Spojrzała na zegarek. Nie było jeszcze czwartej: Trochę za wcześnie, żeby myśleć o kolacji. Mimo to poszła do kuchni, zajrzała do lodówki. Było tam sporo produktów, które mogłaby wykorzystać. Mięso, ziemniaki, marchew... Irlandzki stek, to...

Nagle zrobiło jej się niedobrze, zatrzasnęła szybko drzwi lodówki i wyprostowała się. Apetyt i przedsmak radości momentalnie znikły.

Wyszła z kuchni. Nie będzie nic jeść. Minęły dwa miesiące od chwili, kiedy załamała się całkowicie w toalecie hotelu Kensington i od tej pory nic już nie było takie jak przedtem. Całe jej życie zmieniło się zupełnie, o ile to, co było przedtem, w ogóle można było jeszcze nazwać *życiem*. Praktycznie już się nie ruszała, snuła się po mieszkaniu w tym całkowicie anonimowym bloku jak zwierzę zamknięte w klatce. Bardzo schudła, a przecież już przedtem w poprzednim życiu także była zbyt szczupła. Najczęściej działo się tak, jak przed chwilą: czuła głód i miała wielką ochotę coś ugotować. A potem pojawiała się jakieś wspomnienie czy to sytuacji, obrazów, czy też chwil i niemal jednocześnie pojawiały się mdłości. Apetyt znikał natychmiast i zamiast gotowania była tylko rozpuszczona w wodzie tabletką aspiryny. Na wszelki wypadek. Bo zaraz potem, o czym wiedziała, zjawiał się ból głowy i wtedy zamykała się na długie godziny w zaciemnionym pokoju z zimnym okładem na głowie, próbując wytrzymać kolejny atak. Czasami obrona podjęta odpowiednio wcześniej przynosiła rezultaty.

Także teraz poszła do łazienki, wzięła tabletkę z szafki pod lustrem, wrzuciła ją do kubka do mycia zębów i zalała wodą. Z lustra spojrzała na nią istota o bladej twarzy i szarych, suchych wargach. Obróciła głowę i spojrzała na siebie z boku. Wyglądała dosłownie jak wrak człowieka, ale ciągle jeszcze miała piękne, lekko falujące, długie blond włosy. Były chwile, kiedy sądziła, że uda jej się jeszcze wrócić do tej normalności, w której żyli inni ludzie. Ale oczywiście nie nastąpi to tak długo, jak długo będzie tkwiła zabarykadowana w tym mieszkaniu, nie mając odwagi zrobić kroku na zewnątrz. Jak długo będzie unikać jakiegokolwiek kontaktu z innymi ludźmi.

W taki dzień jak dziś, kiedy śnieg iskrzył się w słońcu, a zimne powietrze szczypało w policzki, dużo dałaby za to, żeby móc wyjść. Po prostu pomaszerować przez park, poczuć, jak skrzypi pod butami śnieg, popatrzeć na dzieci, które lepią bałwana, zobaczyć bawiące się w śniegu psy.

Ale byłoby nierozsądne robić coś takiego. Wyjść z mieszkania tylko dla przyjemności. Dwa lub trzy razy w tygodniu szła na zakupy. To zawsze miało sens. I były jeszcze te wyprawy, które robiła do swojej dawnej dzielnicy, do dawnego życia: po to, żeby zobaczyć Finleya. Przynajmniej przez chwilę.

Bo inaczej w ogóle by tego nie wytrzymała. Po prostu usiadłaby w kącie i czekała na śmierć.

Małymi łykami piła wodę z rozpuszczoną tabletką. Zmusiła się, by nie dać się opanować złym, dręczącym myślom, które groziły wszechogarniającą paniką.

Bo to wszystko nie miało żadnych perspektyw. I to było najgorsze. Nie była w stanie przewidzieć okresu swego pobytu w Croydon. To był czas spędzany bez żadnej nadziei, bez celu. Może będzie musiała siedzieć w tym mieszkaniu pięć lat.

Ale może dziesięć lub nawet piętnaście.

Odstawiła kubek, poszła do salonu. Zapuściła żaluzje w dużym oknie wychodzącym na południe.

Po prostu nie mogła już dłużej znieść słońca.

Samsona obleciał paniczny wprost strach, kiedy ktoś zapukał do drzwi jego pokoju. Od chwili, kiedy Bartek zjawił się tu pierwszego stycznia, czuł lęk, że przyjaciel jednak go wyda. Bartek mówił o swoich obawach, że zostanie wciągnięty w tę niebezpieczną dla niego historię i Samson czuł, że ten strach naprawdę dręczył przyjaciela. A do tego Bartek wspomniał jeszcze o gniewie i lęku jego narzeczonej. Samson mógł sobie doskonale wyobrazić, jak teraz Helen pracowała nad Bartkiem. *Idź na policję! Powiedz wszystko, co wiesz! Teraz jeszcze wyjdiesz z tego bez szwanku! Chyba zwariowałaś, żeby nadstawiać własną głowę za tego idiotę! I tak naprawdę wcale nie wiemy, czy on rzeczywiście jest niewinny.*

Samson w gruncie rzeczy czekał na policję. Wiedział, że byłoby lepiej, gdyby jak najszybciej opuścił ten pokój, nie zawiadamiając o tym Bartka, ale brakowało mu już energii. I tak jego poddanie się w tej walce było tylko kwestią czasu. Kończyły mu się pieniądze. Jego odporność psychiczna też. Pewnie nie potrwa to długo i sam pomaszeruje na najbliższy posterunek policji.

Mimo to teraz zaczął wręcz dygotać, kiedy usłyszał pukanie do drzwi i ktoś chciał tu wejść. Czym innym było rozważać to w myślach i mieć uczucie, że jest się w stanie ustalić dokładny czas i przebieg wizyty nawet kilku policjantów, słyszeć dźwięk kajdanków, wyobrażać sobie, że za kilka minut będzie się aresztowanym i odwiezionym policyjnym samochodem.

- Kto tam? spytał. Głos miał cichy i drżący.

- John Burton. Jestem przyjacielem Gillian Ward. Może mnie pan wpuścić?

Przyjaciel Gillian? A skąd, do diabła, Gillian znała miejsce jego pobytu? Zupełnie zaskoczony otworzył drzwi. Mężczyzna, który za nimi stał, wydał mu się znajomy, ale w pierwszej chwili nie potrafił sobie przypomnieć skąd.

- Mogę wejść? spytał John.

Samson skinął głową i cofnął się. Szybko zamknął drzwi i spytał:

- Kim pan jest?

- Mój Boże, ależ tu zimno powiedział John. Przezornie został w swojej grubej zimowej kurtce. A Samsonowi w tym momencie przypomniało się, gdzie go widział: w Halfway House. Razem z Gillian.

- Pan jest przyjacielem Gillian? spytał powoli.

- Tak, jak już wspomniałem odparł John. Bez zaproszenia usiadł w fotelu.

- Na pewno się pan dziwi, skąd znam pana adres. Rozmawiałem z pańską bratową. A ona skierowała mnie do pańskiego przyjaciela, tego Polaka. U którego policja też już była.

No oczywiście, Millie. Pewnie stopniała jak masło na widok przystojnego Burtona, kiedy ten pojawił się niespodziewanie w jej drzwiach. I starała się, jak mogła, pomóc mu dosłownie czynem i słowem.

- I pański przyjaciel dał mi ten adres.

No wspaniale! Bartek przyśle tu każdego, kto o niego zapyta! Czemu jeszcze nie umieścił tego adresu w gazecie?

- Na pańskim miejscu podjął John zniknąłbym stąd najszybciej, jak się da. Ten Bartek wprost umiera ze strachu, że będzie wciągnięty w coś, za co może mu grozić wydalenie, a jego narzeczona niemal już wpada w histerię. Następnemu policjantowi, który do nich zajrzy, wszystko opowiedzą, jestem gotów się o to założyć.

- Nie wiem, dokąd mam pójść wyszeptał Samson. John przyjrzał mu się uważnie.

- Jest pan rzeczywiście w bardzo trudnej sytuacji. Czy na czas morderstwa Thomasa Warda ma pan przynajmniej mocne alibi?

- Kiedy dokładnie się to stało?

- Między siódmą a wpół do ósmej wieczorem, 29 grudnia. Samson potrząsnął bezradnie głową.

- Byłem w domu dopiero około dziewiątej. Ale sądzę, że nikt nawet tego nie zauważył. Moja bratowa pracowała wtedy, a brat już spał.

- Gdzie pan był do godziny dziewiątej?

„Prawdopodobnie to wszystko jedno, że on się dowie pomyślał Samson przypuszczalnie nic, cokolwiek zdarzy się w moim życiu, nie ma już znaczenia”.

- Pojechałem za Gillian Ward. Zobaczyłem ją wtedy wczesnym popołudniem, jak wyjeżdżała z domu swoim autem. Akurat siedziałem właśnie w moim samochodzie. Jeździłem trochę po okolicy..

„I obserwowałeś ludzi” uzupełnił John w myślach. Segal był rzeczywiście dziwnym typem.

- A więc pojechał pan za Gillian? spytał. Dlaczego?

To było najtrudniej wyjaśnić. On może sam tego właściwie nie rozumiał. W każdym razie nie był w stanie wyjaśnić tego racjonalnie. Z jednej strony swoich pogmatwanych uczuć wiedział, co się z nim działo, z drugiej jak miał to ująć w słowa?

- Nie chciałem być natrętny zaczął. Nigdy też się jej nie narzucałem. Chciałem tylko... brać udział w jej życiu. Nie, to nie tak. Coś mieć z jej życia. Brać udział ale wewnętrznie. Tak, to może tak. Chciałem tylko *brać udział wewnętrznie* urwał i spojrzał z rozpaczą na Johna. Nie potrafię tego wyjaśnić.

- Myślę, że rozumiem, co pan ma na myśli powiedział John. Na nieszczęście brzmi to wszystko trochę... neurotycznie. Nawet obsesyjnie. Umilkł na chwilę. Mr Segal, niestety teraz chodzi nie tylko o morderstwo Thomasa Warda. Czytał pan z pewnością w gazetach o zbrodni popełnionej na dwóch samotnych kobietach? W Hackney i Tunbridge Wells?

- Tak.

- Problem w tym... że broń, z której został zastrzelony Thomas Ward, to ta sama broń, której użyto w pozostałych dwóch sprawach. Czy pan rozumie, co to znaczy?

W oczach Samsona, dotychczas pełnych niedowierzania, pojawiło się zrozumienie.

- To był ten sam sprawca? We wszystkich trzech przypadkach?

- Policja musi tak założyć.

- I to miałbym być ja? Samson spojrział na Johna z przerażeniem. Ja... miałbym zastrzelić troje ludzi?

John potrząsnął głową.

- Wprost nikt teraz jeszcze by tego tak nie określił. Jest tu wiele sprzeczności. Ale wiem, że na podstawie wszystkich okoliczności policja zakłada, że sprawca jest mężczyzną o silnych zaburzeniach psychicznych, jeśli chodzi o kobiety. A pańskie zapiski, które są znane policji, pozwalają wywnioskować, że pan... no, że pan ma pewien problem z kobietami.

Samson skinął głową. Temu nie można było zaprzeczyć.

- Czy wtedy cały dzień śledził pan Gillian? spytał rzeczowo John. Wtedy, 29 grudnia?

- Nie. Zgubiłem ją. Na drodze A127. Gillian jechała bardzo płynnie i szybko, był duży ruch... I nagle znikła.

John skinął głową. Na czteropasmowej A127 łączącej Southend z Londynem często panował duży ruch i łatwo było kogoś zgubić.

- A potem? Do dziewiątej wieczór brakuje jeszcze dobrych kilku godzin.

- Nie chciałem jechać do domu. Wie pan, nie lubię tam być.

- Dlaczego nie? Samson się zastanowił.

- To taki niepokój powiedział po chwili. Jestem niespokojny. I nie wiem, co mam z sobą zrobić. Nie mam pracy. Nie mogę znaleźć kobiety. Nie mam nic. Moje życie jest absolutnie puste.

John milczał wyczekująco. Samson wpatrywał się w niego. Gdyby ja wyglądała tak jak on. Gdybym emanował czymś takim...

Z siłą, którą odczuł niezwykle wyraźnie, uświadomił sobie nagle, że tego mężczyznę łączą z Gillian intymne stosunki. On był nie tylko *przyjacielem*. On był jej kochankiem, mieli romans jeszcze za życia Thomasa Warda. W gruncie rzeczy Samson czuł to już tego wieczoru przed świętami, kiedy zobaczył ich oboje razem w pubie. Tylko wówczas nie odważył się tego powiedzieć sobie samemu głośno, starał się to raczej wyprzeć ze świadomości. Bo to coś, co czuł, to było jakies niewiarygodne napięcie między nimi i atmosfera wprost naładowana seksem.

„Pożadasz jej pomyślał teraz i uczucie, które go nagle ogarnęło, było tak obezwładniające, że na sekundę stracił oddech. Sypiasz z nią i jest ci zupełnie obojętne to, że ona ma rodzinę, męża i dziecko, i że to wszystko zniszczysz. No tak, mąż już nie żyje i dzięki temu droga wolna, i...”.

Nagle w jego umyśle pojawiło się pytanie: czy w tych okolicznościach John Burton sam nie jest postacią interesującą dla policji i na ile? W końcu miał romans z kobietą, której męża zastrzelono.

Czy w efekcie John Burton sam nie znalazł się w tarapatkach?

- Kim pan jest? spytał raz jeszcze. Mam na myśli: oprócz tego, że jest pan przyjacielem Gillian?

John się uśmiechnął. Wydawało się, że doskonale wyczuł nagłą agresję Samsona. Wstał.

- Samson, sam kiedyś pracowałem w Scotland Yardzie i dysponuję kilkoma dobrymi kontaktami. Które reaktywowałem w ciągu ostatnich dwóch dni. Dlatego wiem więcej o sprawie i znam fakty, które nie są znane szerszej publiczności.

- Rozumiem odpowiedział Samson, znów onieśmielony i trochę unizony. Właściwie nic nie rozumiał. Były glina. Dlaczego właściwie nie pracuje już w policji?

- Między innymi znam w ogólnych zarysach treść pańskiego... pamiętnika, jeśli można to tak nazwać mówił dalej John. I dlatego mogę zrozumieć, że na policyjnej liście podejrzanych zajmuje pan dość wysoką pozycję. Przez całe miesiące obserwował pan kobiety, przede wszystkim kobiety samotne, i notował pan sobie każdy szczegół z przebiegu ich dni. Między innymi jest tam także osobliwa historia o młodej kobiecie, której psa pan uprowadził, by poprzez jego zwrot zaskarbić sobie jej sympatię.

Samson poczuł, że policzki wprost go paliły. On sam uważał wtedy swój plan za tak genialny. A teraz robiło to wrażenie czegoś wręcz chorego.

- To była próba, żeby ją bliżej poznać wymamrotał zawstydzony.

- Tak, ale taka próba jest co najmniej niezwykła odparł John. W dodatku była to próba nieudana, a pan użył potem słów pełnych nienawiści w stosunku do tej kobiety. Ona teraz wyjechała i nie wróci aż do połowy stycznia w innym wypadku otrzymałaby ochronę policyjną. Tak poważnie jest traktowane to, co pan napisał!

Samson popatrzył na niego z rozpaczą. Ale przecież nigdy nie mógłbym... Tak, byłem na nią wściekły. Ale nigdy bym jej nie zaatakował. Jeszcze nigdy nikogo nie zaatakowałem. Ani też nikomu nie groziłem. Nie znajdzie pan nikogo, kto spotkałby się z agresją z mojej strony!

„To jeden z twoich problemów - pomyślał John - agresja, którą całe życie musiałeś dusić w sobie. Właśnie tę okoliczność każdy psycholog sporządzający czyjs profil umieściłby na liście cech charakterystycznych”.

Nie powiedział tego. Samson wydał mu się jak zwierzę zagnane w pułapkę. Nie chciał pogarszać jego sytuacji.

- Dał pan dość mocno wyraz swojemu uwielbieniu dla Gillian Ward, Samsonie. Doprowadził pan u siebie do powstania bardzo intensywnych uczuć w stosunku do niej...

„Ach tak? pomyślał wrogo Samson. To możemy podać sobie rękę, prawda?”.

- Na policji wszyscy sądzą, że Gillian jest w niebezpieczeństwie. Także ja żywię te obawy. Dlatego zależało mi na tym, by pana poznać. I zależy mi także, żeby się dowiedzieć, co pan robił w tym czasie, kiedy Thomas Ward został zamordowany. A więc? John wrócił do punktu wyjścia tej rozmowy. Co pan robił po tym, kiedy zgubił pan Gillian na drodze A127?

- Nic odparł Samson. Nic, co dałoby się udowodnić. Jeździłem po okolicy. Siedziałem w dwóch lub trzech pubach. Piłem herbatę. Było zimno.

- W których pubach?

- Nie mam pojęcia. Gdzieś w Wickford. W Raleigh. Było mi smutno i ciężko. Włóczyłem się po prostu. Nawet nie potrafiłbym znaleźć miejsc, w których się zatrzymałem. Nie mówiąc już o świadkach, którzy mogliby mnie widzieć. Myślałem tylko o Gillian, pytałem sam siebie, dokąd ona mogła pojechać. Zastanawiałem się, dlaczego życie mi się nie udaje. I dlaczego mi nie wychodzi. I wreszcie pojechałem do domu.

John przyglądał mu się badawczo.

- Muszę panu coś powiedzieć, Samson. Istnieje przypuszczenie, że morderca Thomasa Warda zamierzał zabić Gillian. Jako kobieta Gillian bardziej pasuje do serii morderstw popełnianych na kobietach, w każdym razie bardziej niż mężczyzna. W dodatku niemal każdy w ich bliższym i dalszym otoczeniu wiedział o tym, że we wtorki Ward chodzi do klubu tenisowego i że od tej reguły praktycznie nie ma wyjątku. Kto znał tę rodzinę chociaż trochę, musiał założyć, że spotka w domu Gillian. A pan znał tę rodzinę dość dobrze. Całymi miesiącami pan ją rozpracowywał.

- Ale... powiedział Samson i nagle poczuł nadzieję. Ale ja wiedziałem przecież, że Gillian nie było w domu! W końcu za nią pojechałem.

- To nie odciąża pana w stu procentach, Segal. Bo mógł pan założyć, że tymczasem Gillian wróciła do domu. Najpóźniej wtedy, kiedy zobaczył pan światło w ich domu. A poza tym to oczywiście teoria, że Thomas nie był właściwą ofiarą. Równie dobrze mógł pan z całą świadomością zamordować jego, ponieważ wpędził się pan w coś w rodzaju chorego szaleństwa, które jest związane z jego żoną.

Samson dosłownie skulił się w sobie.

- Ale dlaczego miałbym mordować tamte kobiety? John wzruszył ramionami.

- Odrzucenie. To pański zasadniczy problem.

- Przecież one były dla mnie o wiele za stare!

- Na bezrybiu i rak ryba... Ale nie mówię przecież, że tak było. Wyjaśniam panu tylko, jakie są możliwe scenariusze.

- Czego pan chce? spytał Samson cicho. Chce mnie pan zaprowadzić na policję?

- Przede wszystkim chciałem mieć jakiś obraz pana samego. Nie zadenuncjuję pana, Segal. Chciałem pana tylko poznać.

- Czy to znaczy, że uważa mnie pan za niewinnego?

- Tak bym tego nie sformułował stwierdził John. Gdybym nie miał żadnych wątpliwości co do pana niewinności, to *poszedłbym* teraz na policję. Rozumie pan?

Samson skinął głową z przygnębieniem. Czy w oczach Burtona był sprawcą, czy nie?

- Obawiam się rzekł John że policja wkrótce pana złapie, a ponieważ podejrzenia wobec pana są bardzo poważne, dojdzie do wniesienia oskarżenia. Tego nie można wykluczyć. Możliwe, że to nie wystarczy do wydania wyroku, ale w każdym razie sprawa będzie się długo ciągnąć. A w tym czasie sprawca pozostanie na wolności i nikt nie będzie go szukał. To mi się w ogóle nie podoba, zwłaszcza ze względu na Gillian, bo całkiem możliwe, że jest ona na liście osób przeznaczonych do odstrzału, jaką ma ten szaleniec. Nie leży w moim interesie podsufwanie policji najprostszego i najszybszego rozwiązania tej sprawy, co w rezultacie doprowadziłoby tylko do zwłoki w ujęciu prawdziwego sprawcy.

- To naprawdę nie byłem ja powiedział Samson. Ile razy powtórzył już to zdanie? Ile razy będzie musiał je powtórzyć, zanim zdoła udowodnić swoją niewinność?

John skinął głową.

- Tak mówią wszyscy podejrzani. A ja pracowałem dłuższy czas w policji. Dane mi było spotykać morderców, którzy sprawiali tak nieszkodliwe i miłe wrażenie jak pan, a popełnili przerażające czyny. I spotkałem też ludzi, którym można by przypisać każdą zbrodnię, a oni w rzeczywistości nie byłiby w stanie skrzywdzić muchy. To jest bardzo trudne. Nikt z nas nie ma swoich poglądów wypisanych na czole.

- Ale co ja mam teraz robić? Bartek powiedział panu natychmiast, gdzie jestem. Sam jest pan przekonany, że on to zrobi raz jeszcze, kiedy znów pojawi się u niego policja. Nie jestem tu bezpieczny. A poza tym nie mam już pieniędzy.

- Niech pan zostanie w tym pokoju powiedział John. Zastanawiam się nad czymś.

- Mogę się z panem jakoś skontaktować? spytał Samson. John podszedł do drzwi i otworzył je.

- Nie. Niech pan poczeka, aż się do niego odezwę.

- Proszę... Przyjdzie pan znowu?

- Wkrótce pan o mnie usłyszy obiecał John.

Czwartek, 7 stycznia

1.

Masz czas dzisiaj wieczorem? spytał John. Siedział za kierownicą swojego samochodu zaparkowanego tuż przed domem, w którym mieszkała Tara.

Gillian, która siedziała obok niego, potrząsnęła głową.

- Becky mnie potrzebuje. I... nie powinna odnieść wrażenia, że się stale spotykamy.

Policja oddała już dom Wardów do jej dyspozycji, ale Gillian postanowiła na razie się tam nie wprowadzać. Potworne wydarzenie było zbyt nieodległe w czasie, zbyt obecne. Gillian nie sądziła, żeby Becky była w stanie tam zamieszkać, a jeśli o nią samą chodziło, także nie była tego pewna. Chciała tylko zabrać trochę rzeczy, ubrania przede wszystkim, bieliznę, książki, a John zaofiarował się, że będzie jej towarzyszyć. Była wdzięczna, że nie musiała sama wchodzić do domu, który zbudowali razem z Tomem i w którym tyle lat mieszkali z Becky jako rodzina. W salonie stała jeszcze choinka, już niemal bez igieł, a w lodówce psuła się żywność. Łańcuchy lampek i słomiane gwiazdy sprawiały wrażenie reliktyw dawno zapomnianej epoki, w której panowały porządek, zaufanie, normalne życie i harmonia.

Ten czas już nigdy nie wróci.

- Będiesz chciała zatrzymać ten dom? spytał John, kiedy stali w jadalni i przygnębieni wpatrywali się w miejsce, gdzie została popełniona zbrodnia, i krzesło, na które upadł Tom.

Wzruszyła ramionami.

- Pytanie raczej, czy ja w ogóle będę chciała tu mieszkać. Czy będę mogła tu mieszkać.

- Co będzie z waszą firmą?

- Mamy dobrych pracowników. W tej chwili pilnują wszystkiego i nie muszę się zbytnio martwić. Oczywiście będę musiała wkrótce podjąć jakąś decyzję. To ja jestem teraz szefem. Ale nie wiem, czy będę w stanie dalej to prowadzić.

Potem zaczęła szukać swoich rzeczy, coraz szybciej i gwałtowniej, bo nagle poczuła, że nie wytrzyma w tym domu ani minuty. Odetchnęła, kiedy znalazła się w samochodzie.

- Było gorzej, niż myślałam.

John pomógł jej przenieść po schodach do mieszkania Tary dwa kosze z różnymi rzeczami i pożegnał się. Kiedy Gillian otworzyła drzwi do mieszkania i weszła do

salonu, zobaczyła swoją córkę jej oczy były pełne nienawiści.

- Po co go odsyłasz? Myślisz, że jestem głupia? Przecież wiem, że znowu z nim byłaś.

Tara, która siedziała właśnie przy stole przed górą różnego rodzaju akt, spojrzała zatroskana.

- Ona patrzyła z okna. Widziała ciebie i Burtona na dole.

Gillian spróbowała pogłaskać córkę po włosach, ale dziewczynka cofnęła się gwałtownie.

- To jest mój *trener piłki ręcznej*, mammo! Nie możesz go zostawić w spokoju? I on ciebie też?

- Becky, przecież on mi tylko pomógł przywieźć trochę rzeczy z naszego domu. Nie chciałam tam iść sama. Cieszyłam się, że ze mną poszedł.

- Nie masz nikogo, kto by ci w tym pomógł? Przecież Tara też by ci pomogła!

- Ktoś musi być z tobą, Becky przypomniawszy jej Tara.

- Naprawdę mogę parę godzin zostać sama. A poza tym mogłam też pojechać.

- W żadnym wypadku powiedziała Gillian. Becky, przeżyłaś w tym domu coś bardzo złego i nie byłoby dobrze... Zobaczyła wściekłość w oczach Becky.

- Mammo, przestań! Nie udawaj takiej zatroskanej! Jak gdybyś się o mnie martwiła! Gdybyś się naprawdę mną przejmowała, to przestałabyś się pieprzyć z Johnem!

- Becky! krzyknęła Gillian zszokowana.

- Becky, oskarżasz matkę bardzo niesprawiedliwie powiedziała Tara. A poza tym nie powinnaś używać tak wulgarного słownictwa.

- A jak mam nazwać to, co robi moja matka z Johnem? To, co oni robią, jest wulgarne, Tara, i nie potrzebuję szukać na to eleganckich określeń.

- My nic nie robimy powiedziała Gillian zmęczonym głosem. On jest tylko przyjacielem, Becky. Nikim więcej.

Becky pałała wściekłością.

- Przestań mnie traktować jak małe dziecko! Ciągle jeszcze nie powiedziałaś mi, co właściwie robiłaś tamtego wieczoru, kiedy tata został zamordowany! I wiem dobrze, że jesteś zbyt tchórzliwa, żeby mi to powiedzieć!

- Powiedziałam ci. Byłam w restauracji. Sama. Chciałam pobyć sama i pomyśleć.

- Ty w restauracji! Sama! odparła Becky zjadliwie. Nigdy nie chodzisz sama jeść. Spotkałaś się z Johnem i pewnie leżałaś z nim w łóżku, kiedy ktoś przyszedł i zamordował mojego ojca!

Przy ostatnich słowach głos odmówił jej posłuszeństwa. Mimo wściekłości, którą odczuwała w stosunku do matki, powodowały ją przede wszystkim ból, rozpacz i kompletna bezradność spowodowane strasznym przeżyciem. Własny, znoszony przez tyle godzin śmiertelny strach ciągle dawał o sobie znać. W końcu wciąż

jeszcze była dzieckiem, śmiertelnie przerażonym i ciężko skrzywdzonym dzieckiem.

- Becky, pozwól, że... powiedziała Gillian i zrobiła krok w jej stronę, ale Becky odwróciła się na pięcie i wybiegła z pokoju. Drzwi do łazienki zatrzęsły się za nią z hukiem, usłyszały przekręcany w zamku klucz.

Gillian i Tara spojrzały na siebie.

- Może nie powinnaś tak zaprzeczać powiedziała Tara temu, co jest między tobą a Johnem. Ona ma bardzo wyostrzony instynkt i po prostu wie, że między wami jest coś, co nie ma nic wspólnego ze zwykłą przyjaźnią. Każdy to czuje. Kiedy temu zaprzeczasz, ona ma uczucie, że jest przez ciebie okłamywana, a to nie jest dobre dla waszych stosunków.

- Ale kiedy przyznam jej rację, to też będzie mnie nienawidzić.

- W jej życiu zaszło coś potwornego. Ojciec został zamordowany, a ona sama uszła mordercy dosłownie o włos. Prześladowają ją nocne koszmary. Jej tak bezpieczny świat z dnia na dzień obrócił się w gruzy. A matka...

- Tak? spytała Gillian, kiedy Tara urwała. Co z jej matką?

- Sądzę, że ona ma uczucie, że zostawiła jej ojca w potrzebie. I że on dlatego musiał umrzeć.

- Przecież nie mogłam wiedzieć...

- Oczywiście, że nie. Ale spróbuj wyobrazić sobie obraz, który tak prześladowuje Becky: matka leży w łóżku z przystojnym trenerem piłki ręcznej, a w tym czasie ktoś się zakrada do domu i morduje jej kochanego nad wszystko tatusia. Kogo ma nienawidzić, jeśli nie ciebie? Nieznanego sprawcę bez twarzy?

- Zastanawiam się, czy my w ogóle to wszystko przetrwamy wyszeptała Gillian.

- To będzie długo trwało odpowiedziała Tara. Gillian osunęła się na fotel i ukryła twarz w dłoniach.

- Nie rzuciłam się w jakiś romans na łeb na szyję, nie bacząc na nic, Tara. To nie tak. To nie takie proste. Tom i ja w ciągu ostatnich lat bardzo się od siebie oddaliliśmy. Czulałam się w małżeństwie bardzo samotna.

- Niestety ten John też nie budzi wielkiej sympatii powiedziała Tara.

Być może przemawiają przeze mnie uprzedzenia, nie znam go też dobrze, raczej tylko przelotnie, ale dla mnie on jest zbyt atrakcyjny, zbyt pewny siebie i ma zbyt wiele rutyny. Wieczny uwodziciel, który nie wchodzi z nikim w bliższe relacje. Mam nadzieję, że u jego boku nie poczujesz się kiedyś bardziej samotnie niż z Tomem.

- Przecież ja zupełnie nie wiem, co z nami w ogóle będzie odparła Gillian, ale słowa Tary poruszyły ją do żywego.

Przyjaciółka powiedziała dokładnie to, co niepokoiło Gillian i co odbierała czasem jako zagadkę: dziwne życie Johna. Jego zwichnięta kariera. Fakt, że nie potrafił albo nie chciał zbudować trwałego związku. Jego mieszkanie, w którym praktycznie nie było mebli, jak gdyby się czegoś takiego obawiał.

Nagle poczuła potrzebę, żeby o tym porozmawiać.

Tara była prokuratorem. Ale także jej najlepszą przyjaciółką.

- On nie zawsze był szefem firmy ochroniarskiej powiedziała jakby mimochodem. Pracował też dla Scotland Yardu. Był inspektorem detektywem.

- Naprawdę? I dlaczego przestał tam pracować? Gillian wahała się, patrząc w podłogę.

- To była jakaś głupia historia powiedziała w końcu. Miał romans z praktykantką. I ta dziewczyna doniosła na niego, kiedy chciał to zakończyć. Doniosła, że to było molestowanie seksualne.

Podniosła wzrok, zauważywszy, że nie może się doczekać odpowiedzi Tary, i zobaczyła, że przyjaciółka patrzyła na nią kompletnie wytrącona z równowagi.

- Co takiego? spytała w końcu.

- Odkryto się wtedy dochodzenie, ale prokuratura w końcu nie wniosła oskarżenia. Kilka niezależnych orzeczeń lekarskich przemawiało na korzyść Johna, zwłaszcza że ta kobieta zaplątała się w liczne sprzeczności. John był absolutnie niewinny.

- Ach tak, oczywiście. To wprost gwarantowane, że doniosła na niego bez powodu!

- Wpadła w histerię, kiedy zawałiła egzamin, a John nie chciał jej pomóc wygrzebać się z tarapatów. Po prostu całkiem spanikowała. John postanowił jednak zakończyć ten związek. To ją jeszcze bardziej rozwścieczyło. No i potem... no, potem odpłaciła mu za to.

- Gillian, trochę się znam na takich sprawach. Jeśli rzeczywiście wszczęto dochodzenie i sprawa wylądowała u prokuratora, to musiały być wyraźne poszlaki przemawiające przeciwko Johnowi Burtonowi, a za tą młodą kobietą.

Gillian żałowała już, że w ogóle zaczęła o tym mówić. Liczyła na słowa otuchy, ale teraz było jasne, że Tara tylko potwierdzi jej obawy i lęki. Właściwie przypuszczała, że tak będzie i że nie należało w ogóle wspominać o tej historii. Powinna była wytrwać w tym postanowieniu.

- Kiedy John chciał się z nią rozstać, jeszcze raz doszło między nimi do stosunku, ale...

- Naprawdę? A więc mogli udowodnić obecność jego spermy?

- Tak. Ale on nigdy nie zaprzeczał, że...

- Pozwól mi zgadnąć, co było dalej rzekła Tara. Właściwie on chciał zakończyć ten związek. A z drugiej strony to młode stworzenie było takie urocze. A więc wskoczył z nią jeszcze raz do łóżka. Oczywiście za jej zgodą, bo choć on ją właśnie chciał rzucić, to jej nie przyszło do głowy nic lepszego, niż pozwolić sobie na jeszcze jeden numer. A potem rozzłościła się, że on mimo wszystko postanowił wszystko zakończyć i pobiegła mały, złośliwy, żądny zemsty potwór prosto na

policję, żeby go przynajmniej wsadzić do więzienia i zwichnąć mu karierę! Tak ci to przedstawił, prawda?

Gillian potarła ręką czoło.

- Może nie w takich słowach powiedziała. Ale jeśli chodzi o sens, to tak mniej więcej było.

- Jeśli chodzi o sens, to tak mniej więcej było powtórzyła Tara. Nawet nie przypuszczasz, jak często mam na biurku takie i podobne historie, Gillian! Zgodnie z tym w rzeczywistości nie ma w ogóle czynu przestępczego zwanego gwałtem. Bo to jest coś, co sobie tylko wymyśliły szczególnie perfidne kobiety, żeby dać porządną nauczkę tym mężczyznom, którzy nie chcieli zrobić tego, co powinni byli chcieć zrobić!

- Ona sama się potem okaleczyła. To potwierdziło kilku lekarzy, biegłych sądowych. Tara, nie możesz przecież twierdzić, że ci ludzie uknuli spisek, by uwolnić Johna od podejrzenia o dokonanie obrzydliwej zbrodni!

- W takich przypadkach jak ten powiedziała Tara nie ma jednoznacznych dowodów. Takich, które przemawiałyby na korzyść jednej bądź drugiej strony.

- Ja mu wierzę rzekła Gillian. Zachował się w tej sprawie idiotycznie i wie o tym. Ale nikogo do niczego nie zmuszał.

- I jesteś tego pewna? Znasz go aż tak dobrze?

- Nie potrafię sobie tego inaczej wyobrazić odparła Gillian, ale sama zauważyła, jak nieprzekonująco to brzmi.

Dlaczego właściwie prowadzimy tę głupią rozmowę? Dlaczego cały ten dzień jest taki zwariowany? Dlaczego najpierw atakuje mnie moja córka, a potem najlepsza przyjaciółka?

- Czego ty chcesz, Tara? spytała. Tara odetchnęła głęboko.

- Wybacz. Byłam zbyt gwałtowna. Nic nie chcę, Gillian. Dziwię się tylko, że ty...

- Tak?

- Nie mogłabym wejść w związek z mężczyzną, na którym ciąży takie podejrzenia. Dla mnie byłoby to po prostu zbyt niebezpieczne.

- To by oznaczało, że John, nawet jeśli jest niewinny, nie ma żadnej szansy na normalne życie!

- Akurat ty nie musisz być jego szansą...

- Dlaczego nie ja?

- Czy ty się w ogóle nie boisz? Gillian potrząsnęła głową.

- Nie.

- No pięknie! Tara podniosła w górę obie ręce. To jest... Może teraz przemawia przeze mnie moja fantazja. Burton jest tylko... Mam na myśli to, że widziałam go tylko dwa czy trzy razy, jak cię tu przywoził, ale wydaje mi się, że on ma w sobie coś agresywnego. Jest kimś, kto bierze to, co chce mieć, przynajmniej ja to w nim widzę. Gillian, przykro mi, ale ja go nie znoszę, a to, co mi właśnie opowiedziałaś,

tylko te uczucia potwierdza. A wywoływał je we mnie już od początku. Nie ufam mu. Dziwię się, że ty mu ufasz. Ale może to jest tylko kwestia punktu widzenia. I może cierpię na swego rodzaju skrzywienie zawodowe.

- Ale chyba nie myślisz, że on... ma coś wspólnego z Tomem? spytała Gillian po chwili, w czasie której usiłowała uporać się jakoś z tym, co właśnie usłyszała.

- Nie powiedziała Tara. Nie sądzę. Myślę tylko, że on nie jest kimś właściwym dla ciebie. Myślę, że to brutalny typ. Z zaburzeniami życia uczuciowego. I tym się martwię.

Umilkły obie wyczerpane sprzeczką. W końcu Gillian wstała.

- Zobaczę, co robi Becky powiedziała. Ponieważ córka ciągle nie chciała opuścić łazienki, Gillian wiedziała, że wykorzystuje to tylko jako pretekst, żeby uciec.

Zastanawiała się, czy ucieka przed Tarą. Czy też sama przed sobą.

2.

Detektyw inspektor Fielder był zaskoczony, kiedy przełączono do niego telefon. Ktoś dzwonił przez centralę, toteż Peter nie sądził, że usłyszy teraz ten głos.

Keira Jones. Córka Carli Roberts.

- Mrs Jones! powiedział. Jak miło, że pani dzwoni! Głos Keiry był cichy i bezbarwny.

- Dobry wieczór. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam?

- Ależ w żadnym razie. Jak się pani czuje?

- Nieszczególnie, jeśli mam być szczerą powiedziała Keira. Mieszkanie mojej matki zostało już zwolnione przez policję, więc zaczęłam je dziś opróżniać. Kiedyś trzeba to zrobić. I to... przychodzi mi bardzo ciężko. Tyle wspomnień przy tym odżywa.

Umilkła.

- Doskonale panią rozumiem powiedział Fielder. Przeżywa pani trudny okres. Zbrodnia to coś zupełnie innego niż zwyczajny zgon. Także najbliżsi krewni są tym bardzo dotknięci i cierpią.

- W ciągu ostatnich lat rzadko miewałam kontakty z matką powiedziała cicho Keira. A dzisiaj, kiedy grzebałam w jej rzeczach, nagle poczułam, jak bardzo była mi bliska. I poczułam się znów jak dziecko, a ona, moja mamusia, była zawsze wtedy, kiedy jej potrzebowałam... urwała, szlochając.

- Rozumiem powiedział Peter ze współczuciem.

- Ale... sprawa, z którą dzwonię... Keira zbierała się z wyraźnym trudem. Znalazłam w skrzynce pocztowej matki list do niej, który przyszedł chyba właśnie dziś. Zupełnie nie znam nadawcy to jakaś kobieta z Hastings. Przeczytałam ten list. Ta kobieta widać nie ma pojęcia, że moja matka nie żyje, ale w gazetach w East Sussex nie pisano o tym morderstwie tak często jak tutaj. Nie mówiąc już o tym, że w niewielu gazetach wymieniono nazwisko mojej matki. Nie jestem pewna, ale może treść tego listu jest ważna.

- Co ona tam pisze?

- Na pierwszy rzut oka nic, co mogłoby stanowić jakąś poszlakę czy punkt zaczepienia. Ale szukał pan ludzi, z którymi kontaktowała się moja matka i była pewna grupa... o której w ogóle nie miałam pojęcia.

- Co to za grupa?

- Jeśli dobrze interpretuję ten list, to moja matka jeszcze trzy miesiące temu chodziła raz w tygodniu na spotkania to pewien rodzaj grupy samopomocy. Dla kobiet, które żyją samotnie. Rozwiedzionych albo owdowiałych.

Spotykały się, żeby pomówić o swojej sytuacji. Aby poznać ludzi, których los był w jakiś sposób podobny. Matka nigdy mi o tym nie opowiadała.

Fielder się zastanowił. To był faktycznie jakiś punkt zaczepienia. Oczywiście mogło być tak, że to nie doprowadzi do niczego i zbrodnia popełniona na Carli Roberts nie będzie miała nic wspólnego z grupą samopomocy. Zawsze jednak była to możliwość, żeby porozmawiać z ludźmi, którzy znali Carlę Roberts, oprócz ludzi z jej pracy w drogerii, co miało miejsce już dość dawno temu.

Może znajdzie się tu coś nowego. Choć co prawda Fielder starał się nie mieć nadmiernie wygórowanych oczekiwań. Akurat w tej sprawie los nie robił mu zbyt wielu prezentów, Peter zdążył już to zauważyć.

- Czy z listu jednoznacznie wynika, że pani matka opuściła tę grupę już trzy miesiące temu? spytał.

Keira się zawahała.

- Jeśli dobrze rozumiem, kobieta, która napisała ten list, była inicjatorką tej grupy. I ona w kwietniu ubiegłego roku ze względów osobistych przeprowadziła się z Londynu do Hastings i wtedy chyba wszystko się rozleciało. Ta kobieta pisze, jak jej przykro, że grupa nie przetrwała jej odejścia. I wypytuje matkę bardzo dokładnie, jak ona się czuje, co u niej słyhać i tak dalej. Pisze, że się o nią bardzo martwi. Chce po prostu czegoś się o niej od niej samej dowiedzieć.

- Rozumiem. Bardzo dobrze, że pani do mnie zadzwoniła, Mrs Jones. Nasze dochodzenie w sprawie pani matki utknęło w miejscu, także dlatego, że właśnie w jej przypadku nie możemy natrafić na żaden krąg ludzi, którzy ją znali. Wyślę kogoś, żeby odebrał od pani ten list. Może mi pani podać nazwisko i adres nadawcy?

- Oczywiście. Ta kobieta nazywa się Ellen Curran Keira podyktowała adres i spytała: Będzie mnie pan informował o wszystkim na bieżąco?

- Oczywiście zapewnił Fielder.

Pożegnali się, po czym Peter natychmiast zadzwonił na informację i uzyskał numer telefonu Ellen Curran. Dlaczego nie spróbować od razu?

Było wpół do siódmej wieczorem, nawet jeśli ta kobieta pracowała, to była szansa, że zastanie ją w domu.

Mrs Curran podniosła słuchawkę po siódmym dzwonku i było słyhać, że jest zdyszana.

- Właśnie wróciłam do domu powiedziała przepraszącą, kiedy Peter już się przedstawił i powtórzyła przestraszona: Scotland Yard? Czy coś się stało?

- Tak, niestety powiedział Fielder. Opowiedział krótko o morderstwie Carli Roberts, nie wspominając przy tym, że chodzi tu prawdopodobnie o seryjnego zabójcę. Ellen Curran była przerażona nie miała o niczym pojęcia.

- To potworne! Na miłość boską! Wiadomo już, kto to zrobił?

- Działamy trochę po omacku musiał przyznać Fielder. Dochodzenie jest utrudnione także dlatego, że Carla żyła samotnie i miała tak mało znajomych. Właśnie z tego powodu nie mamy niemal żadnych możliwości, żeby choć trochę poznać jej życie. Nie mówiąc już o znalezieniu ewentualnych wrogów. Na szczęście

jej córka znalazła dzisiaj pani list, kiedy poszła do mieszkania matki, by je opróżnić. Pani grupa będzie jednym z niewielu punktów poszlakowych.

- Nie mieści mi się to w głowie powiedziała Ellen. Doprawdy, kto mógłby zamordować właśnie Carłę?

- Właśnie Carłę? Czy była tak lubiana? Z jakiego powodu wydaje się to pani tak absurdalne? To znaczy, że akurat ona?

- Nie była jakoś szczególnie lubiana powiedziała Ellen. Ale też nie była w żadnym wypadku nielubiana. Była osobą, jakich często się nie dostrzega. Taka szara mysz. Bardzo cicha, bardzo skromna, bardzo powściągliwa. Ale zawsze chętna do pomocy. Nie, to nie do pomyślenia, żeby ktoś miał coś przeciwko niej.

- Ile kobiet uczestniczyło w spotkaniach grupy? spytał Fielder.

- Pięć. Ze mną sześć.

- To pani powołała tę grupę do życia?

- Mój mąż opuścił mnie przed trzema laty. Klasyczna historia, znalazł sobie coś młodszego. Cały długi rok myślałam, że mnie to wykończy. Istny dramat. A potem postanowiłam sama siebie wyciągnąć za włosy z bagna. Poszukałam pracy i założyłam grupę dyskusyjną dla kobiet, które spotkał podobny los. To czasami pomaga, porozmawiać z innymi, którzy dokładnie wiedzą, co się czuje.

- Mogę to zrozumieć. Czyli założyła pani tę grupę przed dwoma laty? A trzy miesiące temu wyprowadziła się pani? To znaczy, grupa istniała przez mniej więcej rok i trzy kwartały?

- Tak.

- Czy Carla Roberts brała w tym udział od początku?

- Nie. Najpierw znalazły się tylko trzy kobiety. Carla przyłączyła się do nas gdzieś po pół roku. Trochę później znalazła nas jeszcze jedna kobieta.

- A jak Carla Roberts dowiedziała się o pani?

- Nie tak całkiem zwyczajnie. Miałam stronę w Internecie. I dzięki niej skontaktowały się ze mną pozostałe kobiety.

- A Mrs Roberts...

- Carla nie miała komputera. Nie miała dostępu do Internetu. Jakoś umknął jej uwadze tego rodzaju postęp techniki. Ale półtora roku temu pewne czasopismo zamieściło na swoich łamach artykuł o nas.

- Jakie?

- „Woman and Home”. Prawdopodobnie nie zna pan tego czasopisma, inspektorze, to jest...

- Moja żona czyta je czasami odpowiedział Fielder. Mam więc jakieś pojęcie. Klasyczne czasopismo dla kobiet. Moda, uroda, dieta. Doradztwo życiowe. Prominenci.

- W każdym razie Carla przeczytała ten artykuł powiedziała Ellen. I potem się z nami skontaktowała. I przyszła na nasze spotkanie.

- Czy dostaje pani wiele listów w związku z tym artykułem? Może listy z pogrózkami? Od mężczyzn, którzy postrzegają rozwiedzione kobiety wyłącznie jako krwiopicjów, albo te, które chcą ich oskubać?

- Nie. Dostawałyśmy listy, ale niemal wyłącznie od kobiet. I to były pozytywne reakcje.

- A było forum pod stroną?

- Tak.

- I nie pojawiły się tam jakieś agresywne posty?

- Nie. W ogóle było bardzo niewiele postów. Byłyśmy przecież tylko małą grupą.

- Czy nazwiska i adresy tych kobiet, które przyłączyły się do grupy, były wymienione na waszej stronie?

- Nie. Nigdy bym tego nie zrobiła. Nikt nie był w stanie ustalić, kto należał do naszej grupy.

- Waszej strony nie ma już w Internecie?

- Nie. Potem ja kogoś poznałam i wyprowadziłam się do Hastings. Nie ma już powodu, dla którego miałabym być obecna w Internecie.

- Dlaczego grupa rozpadła się po pani odejściu?

- Tak, to rzeczywiście szkoda powiedziała Ellen. Ale tak czasem jest, prawda? Z początku sobie tego nie uświadamiamy, ale w każdej grupie zwykle jest jakaś osoba, która tę grupę nakręca, jest jej centralnym punktem, wokół którego wszystko się obraca. I w tym przypadku taką osobą byłam chyba ja. Kiedy wyjechałam, żadna z pozostałych kobiet jakoś ani nie umiała zorganizować spotkania, ani też ustalić z pozostałymi paniami terminu kolejnego zebrania, a jeśli już takie było, to przychodziły na nie tylko dwie kobiety i siedziały razem... Aż w końcu wszystko się rozpadło. Jedna z uczestniczek napisała mi we wrześniu, że jakoś wszystkie potraciły się z oczu. Właściwie szkoda.

- Jak często spotykałyście się przedtem?

- W każdy czwartek. U mnie.

- Czy napisała pani z początkiem nowego roku także do innych kobiet? Czy tylko do Carli?

- Tylko do Carli.

- Dlaczego? Córka stwierdziła, że w liście martwi się pani o Carlę. Dlaczego właściwie martwiła się pani akurat o Carlę?

- Dawno nie miałam od niej żadnych wiadomości powiedziała Ellen.

Od pozostałych kobiet od chwili mojej przeprowadzki dostawałam od czasu do czasu jakieś maile, chociaż to stopniowo też się właściwie skończyło. Od Carli nie dostałam w ogóle nic, nawet zwykłego listu czy chociażby kartki. Wiedziałam, że ona była smutnym człowiekiem. Pomyślałam, że nie zaszkodzi zapytać, co u niej słychać.

- Mrs Curran powiedział Fielder. Carla Roberts została zamordowana w sposób, który świadczy o niesłychanej wprost nienawiści mordercy. Nie chodziło tu o rabunek. Nie było to też morderstwo o podłożu seksualnym. Ale sprawca musiał mieć nagromadzony w sobie niezwykle wręcz ładunek agresji. Nie wiemy jeszcze, czy ta agresja była skierowana przeciwko kobietom w ogóle, czy też miało to coś wspólnego z samą Carla Roberts. Dlatego proszę panią, żeby pani dokładnie się zastanowiła, czy Carla w czasie waszych spotkań opowiedziała o swoim życiu coś, co mogłoby mieć z tym jakiś związek. Może było coś w jej życiu, jakieś wydarzenie, jakiś człowiek, cokolwiek, co mogłoby wyjaśnić taką nienawiść.

Ellen Curran milczała bardzo długo. Wydawało się, że usilnie się stara coś sobie przypomnieć. W końcu powiedziała:

- Przykro mi, inspektorze. Nic nie przychodzi mi do głowy. Carla w ogóle nie mówiła zbyt wiele. A jeśli już, to głównie o swoim mężu. Że ją latami oszukiwał, zrujnował finansowo rodzinę, a potem się ulotnił. To ona miałaby powód, aby go nienawidzić, a nie odwrotnie!

- Będzie mi potrzebna lista uczestniczek waszych spotkań powiedział Fielder. Byłoby to możliwe? Nazwiska, adresy, o ile je pani ma.

- Gdzieś jeszcze mam taką listę. Poszukam i wyślę panu mailem.

- Byłbym pani bardzo wdzięczny Fielder podyktował jej adres swojej poczty elektronicznej. A potem dodał:

- Czy był w grupie ktoś, z kim Carla była trochę bliżej zaprzyjaźniona? Mimo jej nieśmiałości? Ktoś, kto byłby jej choć trochę bliższy? Komu ona może się zwierzała?

Ellen się zastanawiała.

- Zaprzyjaźnieniem chyba tego nie można nazwać powiedziała. Ale wydaje mi się, że faktycznie jedna z pań była jej chyba nieco bliższa. Liza Stanford. One przeważnie siedziały obok siebie, czasami coś do siebie szeptały. Ale nie wiem, czy się widywały poza naszymi spotkaniami urwała.

- Liza to był taki nasz anachronizm zaczęła po chwili. Tak wszystkie mówiłyśmy. Bo ona wcale się nie rozwiodła ani nie była wdową, nie była też samotna z jakiegoś innego powodu i z początku nie chciałam jej nawet przyjąć do naszej grupy. Ona była zamężna. Ale była bardzo nieszczęśliwa w małżeństwie, opuszczona. Zastanawiała się, czy nie byłoby dla niej lepiej, gdyby zaczęła wszystko od nowa. Lecz brakowało jej do tego siły i zdecydowania, miała więc nadzieję, że może uda się to z pomocą innych. Dlatego przychodziła na nasze spotkania. Była zresztą ostatnią kobietą, która się do nas przyłączyła i także tą, której najczęściej brakowało na spotkaniach. Co mnie trochę denerwowało.

- Rozstała się z mężem?

- Nie w czasie, kiedy ją znałam. Czy zrobiła to potem, tego nie wiem.

- Czy opowiadała coś więcej o problemach w swoim małżeństwie?

- Ona była taka trochę tajemnicza. Nie, właściwie nie mówiła nic konkretnego. Miałam wrażenie, że jest kobietą bardzo zamożną, która nie wie, co ma zrobić ze swoim życiem i dlatego cierpi na różnego rodzaju depresje. A mąż jest wtedy oczywiście wszystkiemu winien, bo się o nią nie troszczy. Ale skoro mnie pan pyta: coś z tą kobietą było nie tak. Czasami myślałam: biedny ten jej mąż! Nie chciałabym, żeby ona była moją żoną.

- Ale co dokładnie było z nią nie tak?

- Nie wiem. To po prostu z niej emanowało. Wydawała mi się bardzo neurotyczna. Jak ktoś, kto potrzebuje i chce pomocy, ale nie może jej przyjąć. Może jestem niesprawiedliwa i nie mam racji. Ale mam mało cierpliwości do takich znudzonych małżonek, które kultywują tylko swoje problemy, żeby w ogóle mieć coś, czym się można zająć.

Fielder zanotował jeszcze kilka zdań. A potem zadał swoje ostatnie pytanie, z którym zawsze wiązał wiele nadziei:

- Czy mówią pani coś nazwiska *Anne Westley i Gillian Ward*?

- Nie odpowiedziała Ellen Curran.

Sobota, 9 stycznia

1.

Przyczepa kempingowa miała mniej więcej pięć metrów długości i trzy metry szerokości. Była ogrzewana propanem, przytulna i ciepła, Samson musiał to przyznać. Wyposażenie miała raczej prowizoryczne, ale można tu było spokojnie mieszkać jeżeli tylko odpowiednio obniżyło się wszelkie wymagania. Była tu wygodna rozkładana sofa, stół i dwa krzesła. W rogu znajdowało się coś w rodzaju niszy kuchennej z kuchenką gazową i małym zlewozmywakiem, do którego woda docierała ze zbiornika. Obok była wbudowana wisząca szafka, w której znajdowały się plastikowe sztuczki i trochę zapasów żywności: kawa i herbata, mleko w proszku, kilka paczek makaronu i słoiki z sosem pomidorowym. W kącie malutka kabina prysznicowa i toaleta. Nienawidził panującej tu ciasnoty. Podobnie jak nienawidził opróżniania zbiornika z toalety. Uzupełniania zbiornika z wodą. Jedzenia każdego dnia spaghetti. Siedzenia jak w więzieniu w tej ciasnej klitce.

Ale nie miał wyboru i wiedział, że właściwie powinien być wdzięczny losowi. Cela w areszcie śledczym byłaby o wiele gorsza.

To John Burton przywiózł go tutaj. Jego Samson właściwie też nienawidził, ale musiał być mu wdzięczny. John był jedynym człowiekiem, który się o niego troszczył. I który może nawet był przekonany o jego niewinności. Czemu jednak nigdy nie dawał wyrazu głośno. Samson ciągle go o to pytał, a John odpowiadał zawsze: Jak długo coś nie jest udowodnione, to ja w to nie wierzę.

Samson pojął, że w tej chwili nie może się spodziewać więcej.

W firmie Johna grasowała grypa, dlatego było wiele problemów, jak zorganizować odpowiednie zastępstwa. Przyczepa kempingowa, w której miał mieszkać ktoś nadzorujący pobliską budowę, stała pusta.

- Może pan tu spokojnie mieszkać powiedział John do Samsona. Jak długo jest zimno i sypie śnieg, nic się tu nie dzieje i nikt się nie pokaże. W każdym razie jest tu bezpieczniej niż w tym *bed and breakfast* w Southend.

Samson z ulgą wyprowadził się z pensjonatu, bo przy panującym tam nastroju powoli zaczynał tracić rozum, ale po trzech dniach spędzonych tutaj miał wrażenie, że wpadł z deszczu pod rynnę. Nędzny pokój koło dworca był co prawda przygnębiający, ale przynajmniej można tam było obserwować z okna życie i ruch na ulicy i nie miało się uczucia zupełnego wykluczenia z normalnego świata. A właśnie takie uczucie opanowywało go tutaj coraz częściej. Tereny budowlane gdzieś na południu Londynu, gdzie szybko powstawały bloki mieszkalne, ale na razie dookoła nie było po prostu niczego, nawet choćby śladów jakiegś

infrastruktury. Kiedy Samson odsuwał rankiem brudne, pożółkłe firanki w oknie przyczepy, które trochę zasłaniały wnętrze, przed jego oczami rozpościerał się widok na liczne budowle w stanie surowym, które na tle szarego zimowego nieba przypominały ruiny. Widać było tylko kilka dźwigów i pełno pozamykanych na zimę różnego rodzaju pojazdów budowlanych. To one właśnie, ze schowanymi w nich licznymi częściami do maszyn i narzędziami, były przedmiotem ochrony.

Przynajmniej śnieg sypał teraz tak intensywnie, że wszystko było już przykryte jego coraz grubszą warstwą. Deszczowa chlapa byłaby o wiele gorsza, wszystko wokół tonęłoby w błocie, brudzie i przygnębiającej barwie brązu. Choć nawet mimo śniegu pustka tego miejsca i jego odległe położenie sprawiały przygnębiające wrażenie. Czasami słychać było krakanie wron. Ludzi Samson nie widział ani razu i wszystko dookoła stawało się powoli ucieleśnieniem obłędu i szaleństwa. Z jednej strony brakowało mu ludzi, ale z drugiej strony wiedział, że widok choćby jednej osoby przeraziłby go śmiertelnie: w jego położeniu ludzie oznaczali niebezpieczeństwo. Powinien się cieszyć, że może siedzieć tu na końcu świata i mieć jakieś takie poczucie bezpieczeństwa.

Ale jak długo?

Jak długo może to trwać?

Jak długo będzie w stanie to znosić?

Tego dnia rankiem wyruszył na spacer, obszedł całą ogromną budowę i wysypał ptakom suchy chleb, który nazbierał. Wdychając głęboko zimne, świeże powietrze, zrozumiał, że nie wytrzyma już długo. Tkwił po uszy w ciężkim kryzysie psychicznym, zapewne było to coś w rodzaju głębokiej depresji i z każdą upływającą godziną zsuwał się coraz niżej i czuł, że być może policja wcale nie stanowiła dla niego największego niebezpieczeństwa, lecz on sam, jego rozpacz, przygnębenie, brak nadziei i smutek. Nie wyczekiwać końca czegośkolwiek to było najgorsze. Od wczorajszego wieczoru kilka razy myślał o tym, że śmierć, chociaż przerażająca, może też stanowić coś w rodzaju wybawienia, i zrozumiał, że takie myśli niosą z sobą ryzyko: że któregoś styczniowego dnia, jak zwykle zimnego i ciemnego, albo może któregoś lutowego dnia, równie ciemnego i śnieżnego, zawiśnie pod sufitem swojej przyczepy. Bo nie będzie już w stanie znieść krakania wron w zimowej ciszy ani pustki każdego dnia.

Kiedy wrócił do przyczepy, usłyszał silnik nadjeżdżającego samochodu. Po sekundzie zwierzęcego, ślepego przerażenia zdołał się jakoś uspokoić: znał ten silnik.

To był samochód Johna.

Wczoraj John wcale się nie pokazał, a dziś Samson przez cały długi dzień miał nadzieję, że się pojawi. To było aż absurdalne: nie znosił tego faceta i wiedział, że sypiał on z kobietą, o której Samson marzył. A jednocześnie John był jedynym człowiekiem, na którego Samson mógł liczyć w tej całkowitej izolacji. Jedynym, który z nim rozmawiał i który stanowił jego kontakt ze światem. Samson

nienawidził go i zarazem za nim tęsknił, i już za samą tę tęsknotę odczuwał wręcz wstręt do siebie samego.

Zatrzymał się przy stopniach przyczepy i czekał. Burton zaparkował, wysiadł i podszedł do niego. Wysoki, o szerokich ramionach, ubrany w czarną skórzaną kurtkę i niedbale zawiązany na szyi szary szalik.

Nic dziwnego, że Gillian była nim zafascynowana.

Dusząca kluska w krtani Samsona zrobiła się jeszcze większa.

- Był pan na spacerze? spytał John. Trzymał pod pachą wielki stos gazet i czasopism i podał to wszystko Samsonowi.

- Coś do czytania. Nudzi się pan tutaj śmiertelnie, prawda?

- Tu jest bardzo cicho potwierdził Samson.

John wrócił do swojego samochodu, otworzył bagażnik i wyciągnął z niego dwie wielkie papierowe torby.

- Coś do jedzenia. I kilka butelek piwa. Alkohol wprawdzie nie rozwiązuje problemów, ale pomaga je znieść.

- Właściwie nie piję alkoholu powiedział sztywno Samson i miał ochotę sam siebie za to natychmiast spoliczkować: John miał naprawdę dobre intencje.

I teraz wzruszył tylko ramionami.

- W każdym razie zostawię panu te kilka butelek. Może będzie pan miał nastrój potem.

- Tak. Dziękuję Samson otworzył tymczasem drzwi przyczepy. Wejdzie pan do środka? spytał.

- Nie mam czasu. Mam jeszcze jedno spotkanie.

- Z Gillian? wyrwało się Samsonowi. John potrząsnął głową.

- Nie odparł.

- Jak... się czuje Gillian?

- Powiedziałbym, że stosownie do okoliczności odpowiedział John.

Mam wrażenie, że przeżywa bardzo silną traumę, ale nie tkwi w miejscu, tylko próbuje zrobić pierwsze kroki i odnaleźć się w nowej przyszłości. Stara się o wypłatę ubezpieczenia na życie, rozmawia z bankiem na temat hipoteki wziętej na dom, była znowu w swoim biurze. Ach, prawda, wysłała córkę do swoich rodziców do Norwich.

- Odesłała Becky?

- Nie można tego nazwać odesłaniem. Ona i Becky stale się kłóciły i w końcu Gillian doszła do wniosku, że będzie dobrze, kiedy zejdą sobie na jakiś czas z drogi. Co prawda pojutrze zaczyna się szkoła, ale Becky i tak nie jest w stanie brać teraz udziału w normalnym życiu. Gillian zwolniła ją więc na cały styczeń i załatwiła dla niej w Norwich terapeutę, którego Becky będzie regularnie odwiedzać. To dziecko potrzebuje teraz profesjonalnej pomocy. Myślę, że Gillian podjęła słuszną decyzję.

„No jasne pomyślał wrogo Samson. Tom nie żyje, Becky jest u dziadków i masz drogę wolną. Wszystko zgodnie z planem, prawda?”.

Ale oczywiście nie ważył się wypowiedzieć tej myśli głośno. Zamiast tego spytał:

- A co nowego w sprawie morderstwa? Wiadomo już coś? Są jakieś ślady czy coś nowego?

- Niestety nic, o czym bym wiedział stwierdził John z wyraźnym ubolewaniem. Szukają pana i poza tym działają raczej po omacku.

- Ma pan przecież swoje kontakty w policji...

- Jak do tej pory nie mam żadnych nowych informacji powiedział John. Spojrzał na zegarek. Muszę jechać. Przykro mi, Samson. Wiem, że jest tutaj pusto i czuje się pan cholernie samotny, ale w tej chwili nie mogę dla pana zrobić więcej niż zajrzeć tu od czasu do czasu i zaopatrzyć pana w najkonieczniejsze rzeczy.

- To i tak bardzo dużo wymamrotał Samson. Dziękuję, John. Patrzył za nim, kiedy tamten podszedł do samochodu i wsiadł do niego.

John wracał do życia. Jechał na spotkanie, na kolację, gdzieś, gdzie były głosy śmiechu, światła i towarzystwo ludzi.

Ten przystojny John Burton. Z którego wprost emanowało jedno: że zawsze, przez całe swoje życie, w razie nieszczęścia będzie spadał jak kot na cztery łapy. Niezależnie od tego, co przyniesie los. Niezależnie od czyhających po drodze pułapek.

„Podczas kiedy ja zawsze przegrywam. Zawsze. I prawdopodobnie widać to po mnie. Wszyscy to widzą. A mało jest rzeczy, które czynią mężczyznę tak nieatrakcyjnym, jak coś w rodzaju szyldu wypisanego na czole: *Ja zawsze przegrywam!*”.

Podniósł torby z zakupami, które John postawił na śniegu, i wszedł do swojego mrocznego domostwa.

„Może jednak napiję się dziś wieczorem piwa” pomyślał.

John rozmyślał o Samsonie Segalu w czasie drogi powrotnej do miasta. Ten człowiek był już niemal wykończony psychicznie, dało się to wyraźnie wyczuć i przypuszczalnie długo nie wytrzyma. John był pewien, że Segal rozważał cały czas myśl, czy nie oddać się dobrowolnie w ręce policji; powstrzymywała go jedynie pewność, że więzienna cela wcale nie poprawi jego sytuacji. Może nie byłby w niej już sam, ale właśnie w tej okoliczności dla człowieka takiego jak Segal ukrywało się coś przerażającego: był on zawsze czymś w rodzaju piorunochronu dla cudzej agresji i nie potrafił się obronić przed ludźmi, którzy wchodzili mu na głowę. I Samson zdawał sobie z tego sprawę. Być może Samson był trochę pomyłony, ale nie był głupi. Tego John był pewien. Segal był w stanie zdobyć się zarówno na dość jasną ocenę samego siebie, jak i na rzeczową ocenę sytuacji, w której się znalazł. Było dla niego oczywiste, że więzienie akurat dla niego będzie niewyobrażalnym piekłem.

Włączając się do wielkomięjskiego ruchu, John rozmyślał także o motywach własnego działania. Ukrywając Samsona, popełniał czyn karalny. Policja potrzebowałaby teraz tylko przesłuchać tego trzęsącego się ze strachu Polaka, który wydawał się jedynym na całym świecie przyjacielem Segala. I wówczas wyszłoby na jaw, że on, John, był tam także kilka dni temu i dowiedział się o miejscu, w którym przebywał Segal. Wiedząc o tym, John powinien był natychmiast pomaszerować na policję. Fielder przecież tylko czekał na sposobność, żeby móc jego, Johna, na czymś przyłapać, i z pewnością nie przepuściłby takiej okazji.

Detektyw inspektor Peter Fielder.

Prawdopodobnie to on właśnie był przyczyną, dla której John wmieszał się w tę sprawę i mówiąc w przenośni postanowił udać się teraz na ryzykowny spacer na samym skraju przepaści. Dawniej John nie miał tak wielu kontaktów z Fielderem, które byłyby przyczyną ich wzajemnej niechęci. Choć nie było między nimi żadnej wielkiej waśni, konfliktu czy choćby tylko małej sprzeczki, po prostu odbierali się nawzajem jako ludzi niesympatycznych. John uważał detektywa inspektora Fieldera za wyjątkowo konserwatywnego kołtuna i przeciętnie uzdolnionego śledczego, który jednak zrobił karierę i z pewnością będzie ją robił dalej, bo nadzwyczaj sztywno trzymał się przepisów, był zawsze niezawodny i nigdy w życiu nie wdałby się w kłótnię czy choćby w sprzeczkę z ludźmi, którzy byli ważni dla jego kariery. Bezpośrednią współpracowniczką Johna była wtedy sierżant Christy McMarrow kobieta, w której Fielder był beznadziejnie zadurzony. Każdy o tym wiedział, ale Fielder był i jest prawdopodobnie do dziś przekonany, że nadzwyczaj zgrabnie ukrywa swoje namiętne uczucia. A już wtedy były one tematem plotek na wszystkich korytarzach i każdy podśmiewał się z usychającego z tęsknoty inspektora, aż w końcu wszyscy, nawet ci najbardziej pełni nadziei romantycy i zagorzali plotkarze stracili podstawę swoich oczekiwań: historia nie rozwinęła się dalej. Fielder poprzestał tylko na ubóstwianiu. John od początku przewidywał takie

zakończenie. Fielder był zbyt drobnomieszczański i konwencjonalny na to, aby dopuścić się cudzołóstwa.

I nawet kiedy w wyniku odejścia Johna w pewnym sensie odziedziczył Christy jako współpracowniczkę, nie doszło między nimi do żadnego romansu.

John wiedział, że Fielder nim pogardzał, bo John zdołał sobie przyswoić tylko nieliczne z drobnomieszczańskich cnót, ale jednocześnie mu zazdrościł, ponieważ John korzystał ze wszystkich uciech życia, których odmawiał sobie Fielder. Tak zresztą zachowywało się wielu jego kolegów. John był niezbyt lubiany przez innych mężczyzn powodem było to, że był bardzo przystojny, nie miał żadnych skrupułów i był całkowicie niezależny, a w dodatku mógł mieć każdą kobietę, która go oczarowała. I kiedy swego czasu młoda praktykantka zapędziła go w kozi róg, a większość jego kolegów z całego serca myślała: a dobrze ci tak, to jednak Johnowi udało się pokonać wszystkich ich własną bronią: dobrowolnie zrezygnował ze służby w policji i odważył się na samodzielność. I dziś wiedział doskonale, że to właśnie wszyscy dawni koledzy mieli świadomość przegranej, nie on.

Dostrzegł miejsce do zaparkowania i odstawił samochód. Do restauracji, w której się umówił, był jeszcze spory kawałek, ale w tamtej okolicy wolne miejsce do parkowania było tak trudno znaleźć, jak źródło na pustyni. Tym bardziej że góry śniegu, z którymi daremnie walczyła służba drogowa, także zabierały sporo miejsca.

Włoska restauracja przyjęła go ciepłem i blaskiem świateł, zapachem makaronu i przypraw, gwarem i dźwięczeniem szklanych kieliszków. Sobota wieczór. Było dość tłoczno, ale John już w drzwiach dostrzegł, że na niego czekali. Kobieta siedziała dość daleko z tyłu, przy stoliku stojącym nieco z boku.

Mądra dziewczynka.

Nadawała się do tego znakomicie.

Także go zauważyła i pomachała mu ręką. Kiedy szedł w jej stronę, mijając liczne stoliki, dostrzegł jej wyraz twarzy pełen radosnego oczekiwania. Miała już coś dla niego. Wprost płonęła chęcią zaprezentowania mu swojej niespodzianki i z góry cieszyła się na pochwałę.

Detektyw konstabl Kate Linville. Trzydzieści pięć lat. Choć wyglądała, jakby miała przynajmniej czterdzieści dwa lata. Jasnobrązowe włosy, blada cera. Rysy twarzy, które trudno było zapamiętać. Małe oczka zawsze sprawiające wrażenie nieco podpuchniętych, jak gdyby upiła się ostatniej nocy i niewiele spała, co z pewnością nie miało miejsca. Jej oczy po prostu tak nieszczęśliwie wyglądały. Kate była stale niedostrzegana przez mężczyzn, także jej kariera w policji nie przebiegała tak jak trzeba. Dlaczego właściwie zdecydowała się na ten zawód to już za czasów Johna było dla wszystkich zagadką.

Należała wtedy, za czasów jego pracy w Yardzie, do tych kobiet, które były zakochane w Burtonie. Jednak on o tym nie wiedział i nawet coś takiego mu się nie śniło. Ale któregoś dnia, kiedy stał akurat przy kopiarce, ona podeszła do niego,

także ze stertą akt w ręku, czekała dłuższą chwilę w milczeniu, po czym nagle spytała:

- Czy miałby pan ochotę w weekend pójść ze mną do kina?

Jej głos drżał, wargi były blade, a John, który spojrzał na nią zaskoczony, pojął, że ona na taką okazję czekała całe miesiące i że to zdanie musiała ćwiczyć godzinami. Dostrzegł też coś jeszcze, kiedy zobaczył jej oczy: że ona usychała z tęsknoty za nim, że był bohaterem jej snów za dnia i w nocy, że w jej myślach istniał świat, w którym ona i on przeżywali razem cudowne rzeczy. Rozpoznał monotonię jej życia, smutek cichych wieczorów i pustych weekendów. Zobaczył rozpacz, która zmusiła ją do takiej odwagi, żeby zadać mu to pytanie.

Czy miałby pan ochotę w weekend pójść ze mną do kina?

Jakoś się wtedy na wesoło od tego kina wywinął i zgodnie z oczekiwaniami ona już nigdy nie zadała mu takiego pytania. Ani też nie zwróciła się do niego z żadną podobną prośbą.

Ale kiedy teraz, wiele lat później, zastanawiał się, kogo mógłby poprosić o parę informacji, przyszła mu do głowy właśnie ona. Nie należała do odważnych, a ryzykowała bardzo wiele: pracę, wszczęcie postępowania dyscyplinarnego, ale John skalkulował to prawidłowo: była tak potwornie samotna, że nie mogła się oprzeć pokusie spotkania nawet za tę cenę. Może będzie potem druga albo i trzecia randka. I to z mężczyzną, za którym latami usychała z tęsknoty. Jej rozpacz była o wiele większa niż ostrożność, John właśnie na to liczył i nie zawiódł się. Byli dziś umówieni po raz drugi. I ona przypuszczalnie siedziała tu już dobre pół godziny, czekając na niego.

- Witaj, Kate powiedział, kiedy podszedł do stołu.

- Witaj, John odpowiedziała.

- Przepraszam, że się trochę spóźniłem. Musiałem dość daleko zaparkować, co tutaj nie jest łatwe. Też przyjechałaś samochodem?

Potrząsnęła głową.

- Koleją. Chciałam móc napić się wina.

Westchnął, ale tylko w duchu. Przyjechałby do Bexley, gdzie mieszkała od wieków, ale ona upierała się przy centrum miasta, twierdząc, że i tak ma tam do załatwienia jakieś zakupy. Jeśli zrobi się późno a wiedział, że tak się stanie, podobnie jak ostatnim razem, kiedy próbowała przeciągać spotkanie w nieskończoność nie będzie mógł z czystym sumieniem pozwolić jej samej jechać koleją. Czy na to właśnie liczyła? Że on ją odwiezie? Albo że zaoferuje jej nocleg u siebie?

Usiadł i wziął do ręki kartę dań, którą podał mu kelner. Kate poczekała, aż on wybierze danie i zamówi wszystko dla nich obojga, po czym pochyliła się i wyszeptała:

- Mam sporo nowości! Uśmiechnął się do niej, mówiąc:

- Opowiadaj!

- A więc, znaleźliśmy coś ciekawego w życiu Carli Roberts. Należała ona mianowicie do pewnej grupy samopomocy. Kobiety samotne, rozwiedzione, owdowiałe i tym podobne. Spotykały się raz w tygodniu i próbowały... no, jakoś razem uporać się ze swoją sytuacją. Nie ma już tej grupy od dobrych trzech miesięcy, ale zgłosiła się jej założycielka i opowiedziała o wszystkim inspektorowi Fielderowi. W tej grupie była kobieta, która była... no, może nie zaprzyjaźniona z Carłą Roberts, ale w każdym razie nieco jej bliższa. Liza Stanford. Nie do końca samotna. Ale też niezbyt szczęśliwa w swoim małżeństwie.

- Rozumiem odpowiedział John. W duchu zanotował już sobie to nazwisko. Ile kobiet należało do tej grupy?

- Było w niej sześć kobiet. Fielder ma już ich nazwiska. Anne Westley nie ma wśród nich, niestety, to byłoby już zbyt piękne. Ale ta Stanford... to był strzał w dziesiątkę!

- W jakim sensie?

- No więc Christy wpadła wczoraj na pewien pomysł. Nasza przebiegła Christy McMarrow rzekła Kate z odcieniem zawiści i goryczy w głosie. Nigdy nie mogła znieść Christy. Christy także nie była w żadnym stałym związku, ale żyła pogodnie i radośnie i nigdy nie miała problemów z umówieniem się na weekend. Nie mówiąc już o tym, że szef ją ubóstwiał.

- Christy poszła wczoraj z listą kobiet z tej grupy do spółdzielni lekarskiej, w której pracowała Anne Westley, i porównała ją z kartoteką pacjentów doktor Westley. I jakie nazwisko tam znalazła?

- Liza Stanford zgadł John. Skoro mówiłaś o strzale w dziesiątkę.

- Dokładnie tak potwierdziła Kate..

Umilkła na chwilę, bo do stołu podszedł kelner z karafką wina oraz butelką wody. Ustawił kieliszki na stole, nalał wina i odszedł.

- Liza Stanford ma syna kontynuowała Kate po chwili. Finley Stanford. Była z nim cztery albo pięć razy u doktor Westley. Szef oczywiście wpadł z tego powodu w euforię. Bo cały czas szukał czegoś wspólnego między Anne Westley a Carla Roberts i był już niemal zrozpaczony. On zakłada, że to nie jest przypadek, że te kobiety znały Lizę Stanford.

- Przypuszczalnie ma rację rzekł John. Próbował poukładać najróżniejsze pytania i myśli, które przychodziły mu teraz do głowy.

- A co z synem Lizy Stanford? spytał. Mam na myśli kwestie medyczne. Był z nim jakiś problem, coś poważnego?

Kate zaprzeczyła.

- Nie, nic poważnego, jakieś drobiazgi. Zapalenie gardła. Ospa wietrzna. Kontuzja sportowa. Nic spektakularnego. Nic, co by wskazywało na jakiś motyw działania sprawcy w stosunku do Westley.

- A jak ma się to wszystko do Gillian Ward? Czy ona też zna tę kobietę?

Kate wykrzywiła z żalem twarz.

- To też zostało natychmiast sprawdzone. Oczywiście sprawa byłaby wtedy jeszcze prostsza. Ale nie, Gillian nigdy nie słyszała o tej kobiecie. Fielder próbuje właśnie ustalić, czy jej mąż miał z nią jakieś kontakty. Może zawodowo albo poprzez sport. Ale to oczywiście jest o wiele trudniejsze.

- Odwiedziliście Lizę Stanford?

Kate sprawiała wrażenie, jakby oczekiwała właśnie tego pytania.

- A teraz będzie najlepsze powiedziała. Fielder oczywiście odwiedził ją *natychmiast*. Jeszcze wczoraj późnym popołudniem. To znaczy, próbował ją odwiedzić. I okazało się, że ona znikła! Prawie dwa miesiące temu!

- Znikła?

- Fielder zastał tylko jej męża. I zgadnij, kto to jest? Stanford. Doktor Logan Stanford.

- Ach powiedział John zaskoczony. Miłosierny Stanford?

- Właśnie on. Ten bajecznie bogaty adwokat ze swoją przewspaniałą, nowobogacką willą w Hampstead. Przyjacielskie kontakty ze wszystkimi prominentami, politykami z premierem włącznie, ach, może nawet z królową i tak dalej. Raz po raz jakieś głośne imprezy charytatywne, dzięki czemu o Stanfordzie piszą wszystkie brukowce. To właśnie on. I to on powiedział Fielderowi, że jego żona zniknęła już około połowy listopada.

- Aha. I Stanford uważa, że to normalne? Czy może podjął już jakieś działania w tej sprawie?

- O ile wiem, to wszystko jest trochę tajemnicze powiedziała Kate. Z jej sformułowania wynikało, że nie jest informowana o wszystkim na bieżąco w stu procentach i John natychmiast to zrozumiał.

- Stanford nie zrobił w tej sprawie nic. Ponoć nie jest to nic niezwykłego, jeśli chodzi o jego żonę. Mam na myśli fakt, że ona od czasu do czasu znika. Stanford wyznał też Fielderowi, że jego małżeństwo nie należy do zbyt szczęśliwych. To odpowiada temu, co wiemy na temat tej grupy kobiet. Liza Stanford nosiła się z zamiarem odejścia od męża. Powstaje więc obraz kobiety bardzo nerwowej, cierpiącej na różnego rodzaju depresje, która od czasu do czasu pozwala sobie na coś w rodzaju przerwy w życiu, by się zastanowić, jak ma właściwie wyglądać jej przyszłość. I w tym czasie ona w ogóle nie kontaktuje się ze swoją rodziną.

- A na czym dokładnie polegają jej problemy w małżeństwie? Czy Fielderowi udało się dowiedzieć czegoś na ten temat?

- Tego niestety nie wiem przyznała Kate. Przecież wiesz, tak naprawdę to on zawsze naradza się tylko ze swoją Christy. Dowiaduję się tylko tego, co jest omawiane na ogólnych konferencjach, a na ten temat była tylko krótka rozmowa wczoraj wieczorem.

- A ten syn Lizy. Co z nim? Czy był w domu?

- Tak. Finley ma dwanaście lat i akurat siedział przy komputerze, kiedy pojawił się Fielder. Nie wydawał się zbyt rozmowny, ale tacy są chłopcy w tym wieku. Chyba było z nim wszystko w porządku. Nie sprawiał wrażenia, że zniknięcie matki specjalnie go poruszyło albo że ta sytuacja była dla niego w jakiś sposób niezwykła, przynajmniej tak to widział Fielder.

- Hm zastanawiał się John. A co ty o tym sądzisz? Jak widzisz tę całą sprawę? spytał wreszcie.

- Ja? zdziwiła się Kate. Wydawała się niezmiernie zaskoczona tym, że John całkiem poważnie zapytał ją o własne zdanie. No, mówiąc szczerze, nie za bardzo umiem to wszystko ocenić powiedziała. Żona i matka znika na całe tygodnie, a jej mąż i syn żyją sobie dalej tak, jak gdyby nic się nie stało. Zwłaszcza że ona ma skłonności do depresji, przecież w takiej sytuacji każdy by się chociaż trochę martwił, prawda? Nawet jeśli ona robiła to nieraz i zawsze wracała do domu po takim zniknięciu, to obawiałabym się, że akurat teraz może zrobić coś głupiego. Przecież mogła popełnić samobójstwo, a rodzina nawet o tym nie wie!

- A do tego dochodzi jeszcze fakt, że miała kontakty z kobietami, które w krótkim odstępie czasu zostały zamordowane. Jakkolwiek widzi to Fielder, to nie może być przypadek powiedział John w zamyśleniu. Bawił się bezwiednie kieliszkiem do wina, ale cofnął rękę, kiedy pojawił się kelner i przyniósł talerze z parującym makaronem. Przez kilka minut jedli oboje w milczeniu, co było bardzo na rękę Johnowi: mógł jako tako uporządkować fakty i myśli.

Nie potrafił ocenić, czy Stanford był wiarygodny, w tym celu musiałby z nim sam porozmawiać. Ale cała historia wydała mu się co najmniej dziwna.

„Jeśli chcę się w to dalej mieszać, muszę z nim pomówić” pomyślał. Kate, zupełnie jak gdyby czytała w jego myślach, podniosła w tym momencie głowę znad talerza i spytała:

- John, wiem, właściwie mnie to nie obchodzi, ale... dlaczego? Dlaczego chcesz o tym wszystkim wiedzieć? Czemu nie dasz Fielderowi po prostu robić tego, co do niego należy? Czemu chcesz prowadzić dochodzenie na własną rękę?

Już na samym początku powiedział jej, że zna Gillian Ward, której mąż został zamordowany i stąd jego zainteresowanie sprawą. Nie wspomniał o tym, co było między nimi czy też nadal jest? Sam tego teraz dokładnie nie wiedział. Powiedział tylko, że jest trenerem jej córki. Instynkt podpowiadał mu, że w przeciwnym wypadku Kate nie powiedziała by mu ani słowa. Mówiła o wszystkim, co chciał wiedzieć, tylko dlatego, że robiła sobie w związku z nim jakieś nadzieje.

- Bawi mnie to po prostu powiedział. Ku swemu zdziwieniu niemal natychmiast uświadomił sobie, że to stwierdzenie całkowicie odpowiadało prawdzie. Poza wszystkim cała ta sprawa po prostu go bawiła, *sprawiła mu to przyjemność*. Związek z Gillian był swoistą inspiracją jego obecnego działania, ale tymczasem obudził się w nim także instynkt myśliwego. Był znakomicie przygotowany do tego, co właśnie robił, i zauważył, że rzeczywiście brakowało mu tej pracy. Nie hierarchii, kariery urzędniczej, intryg ani też grzecznego słuchania rozkazów i poleceń. Ale po prostu

tej pracy. A poza tym wiesz przecież dodał że znam rodzinę Wardów. Bardzo lubię ich córkę. Ta dziewczynka przeżywa naprawdę wielką traumę. Może to dodatkowo wzmacnia mój gniew na człowieka, który do tego doprowadził.

Spojrzał na Kate i dostrzegł, że ją przekonał.

- Nie wspomniałam jeszcze o dwóch sprawach powiedziała. Dotąd nie przekazano tej informacji prasie. Wiemy, że Carla Roberts w ciągu ostatnich dwóch tygodni z niejasnych powodów czuła się zagrożona. Mówiła o tym swojej córce. Mieszkała przecież na ostatnim piętrze wysokiego bloku i zauważyła, że winda co trochę wjeżdża na jej piętro. Niezwykle często. I że nikt z niej nie wysiada. Z tego powodu miała obawy.

- Zakładam odparł John że zbadano system obsługujący windę. Usterka czysto techniczna została więc wykluczona?

- Tak jest. I teraz Fielder sądzi, że Anne Westley też może była zagrożona. Nie jest to tak zupełnie pozbawione sensu, bo nagle, dwa tygodnie przed świętami, chciała sprzedać dom i jak najszybciej przeprowadzić się do miasta a przecież wytrzymała tam całe lata.

- Fielder twierdzi, że jej grożono? A w jaki sposób?

- Znalazł w jej domu pewien obraz. Anne Westley miała na strychu pracownię malarską i malowanie obrazów było takim jej hobby. Jej ulubionymi motywami były kwiaty i drzewa, słoneczne krajobrazy. Tworzyła obrazy o pozytywnym wydźwięku i radosnej kolorystyce. Ale był wśród nich jeden, który zupełnie nie pasował do pozostałych.

- W jakim sensie?

- Ja sama go nie widziałam, ale Fielder go opisał. Głęboka, czarna noc. Pośrodku dwa świecące punkty. Reflektory samochodowe, tak to zinterpretował. Zastanawiał się, czy ona je widziała, zanim została zamordowana. Światła jakiegoś samochodu, który pojawił się tam, na tym kompletnym pustkowiu, gdzie znajdował się jej dom. I to nie raz. A z samochodu nikt nie wysiadał. Po prostu tylko samochód, który przyjeżdżał i potem znikał. Zupełnie jak winda w bloku Carli Roberts.

- Nieźle wykombinowane powiedział John. Dostyc kreatywny sposób myślenia jak na pozbawionego fantazji Fieldera, to musiał przyznać. Obu kobietom celowo napędzano stracha. Jeśli chodzi o Carle Roberts, to mniej więcej wiadomo od kiedy rzekł John. Jeśli ten terror zaczął się dwa tygodnie przed jej śmiercią, to...

- ...to mniej więcej pokrywa się to w czasie ze zniknięciem Lizy Stanford dokończyła Kate.

Tajemnicza kobieta, której nie można odnaleźć. Ale jednocześnie w świadomości Johna całkiem mimowolnie pojawiło się inne nazwisko: Samson Segal. Który śledził przecież bardzo różnych ludzi. Czy to on jeździł raz po raz windą do góry? Czy to on kręcił się po tym pustkowiu w lesie koło domu starszej pani?

- Obie kobiety były ponoć prześladowane powiedział John. Ale mówiłaś o dwóch sprawach, o których jeszcze nie wspomniałaś.

Nieoczekiwanie uśmiechnęła się kokieteryjnie.

- Później oświadczyła.

Jadła przez chwilę, po czym powiedziała:

- Fielder nigdy tego nie powiedział wprost, w każdym razie nie na konferencji, ale zawsze są przecieki: on nosi się z myślą, że to ty mógłbyś być wplątany w tę sprawę.

- Wiem o tym. Ale to absurd. I moim zdaniem z tego nie da się wyprowadzić nic konstruktywnego. Znam Wardów, tak. Ale nie znałem obu zamordowanych kobiet. Obojętnie, jak by to rozpatrywał, nie znajdzie motywu, dla którego miałbym coś podobnego zrobić.

- Ja ryzykuję całkiem sporo zauważyła nieoczekiwanie Kate.

- Wiem o tym.

- No, robię to chętnie!

Uśmiechnął się do niej z zakłopotaniem. Nie wolno mu było robić jej zbyt wielkich nadziei. W tym momencie stało się już dla niego jasne, czemu nie przyjechała samochodem. Chciała jechać jego samochodem. I najchętniej do jego mieszkania.

- Niektórzy uważaliby to, co robię, za głupie powiedziała Kate.

- Ja nie uważam tego za głupie. Możesz mi naprawdę zaufać i zdać się na mnie. Nikt się nie dowie o naszych spotkaniach i rozmowach zapewnił John.

Zgrabnie skierował rozmowę na neutralny temat. Strategia Kate była już dla niego jasna: podkreślając, jak bardzo się naraża, liczyła na jego podziw i uznanie. A przynajmniej na wdzięczność. Miał się czuć zobowiązany w stosunku do niej, a ona próbowałaby to wykorzystać.

Poruszył obojętny temat. Opowiadał jej o swojej firmie, o obiektach, których nadzorem się zajmował: o budowach, supermarketach, stacjach benzynowych, czasami także domach prywatnych.

- Poza tym mam czterech pracowników do ochrony osób. Ci są ostatnio bardzo poszukiwani i wiem, że powinienem rozwijać firmę w tym kierunku, ale dotąd się na to nie zdecydowałem.

- Dlaczego? spytała Kate.

- Nie chcę jeszcze podejmować tak wielkich zobowiązań powiedział. Kiedy założyłem firmę, myślałem raczej o rozwiązaniu przejściowym, z którego mogę w każdej chwili zrezygnować. Im większa firma, tym bardziej się czuję unieruchomiony.

- Czy także z tego powodu jesteś sam? To znaczy, nie masz żony ani dzieci? Bo nie chcesz brać na siebie zbyt wielu zobowiązań?

- Możliwe powiedział niejasno. Dyskretnie spojrzął na zegarek. Nie wolno mu było dopuścić do tego, by Kate przegapiła ostatni pociąg.

- A ja bym tak chciała... Mieć rodzinę... powiedziała Kate rozmarzona.

- Nie jest to takie proste przy twoim zawodzie. Wzruszyła ramionami.

- Inni jakoś dają radę.

- Pewnie.

Znów weszli na niebezpieczny teren. John skinął na kelnera i dał znak, że chciałby zapłacić. Poczuł wręcz ucisk w gardle, kiedy dostrzegł spojrzenie Kate pełne po prostu pożądania. Oczywiście nie za darmo dostarczyła mu wszystkich informacji, ale na szczęście nie uzgodnili, jak ma wyglądać rewanż. Jeżeli więc nie dostanie tego, na co liczyła, nie będzie to jego wina.

Kiedy zapłacił i oboje stali w ciemności na ulicy, powiedział:

- Odprowadzę cię na dworzec.

- Dziękuję. W jej głosie słychać było rozczarowanie. Szli w milczeniu obok siebie. W końcu powiedziała z rozpaczą:

- Nie muszę koniecznie wracać do domu, John. Zatrzymał się.

- Kate...

- Jutro jest niedziela. Nie pracuję. Możemy zjeść razem śniadanie.

- Przykro mi, Kate. Ale to niemożliwe.

- Dlaczego nie? Czy... masz dziewczynę?

- Nie. Ale w tej chwili w moim życiu nie ma miejsca na kobietę.

- Przecież nie chcę cię do niczego zobowiązywać, John. Można przecież zobaczyć, co będzie dalej. A jeśli nie będzie... no to czasem tak bywa.

„Puste słowa” pomyślał. Jeśli miałby się o coś założyć i być pewnym wygranej, to o to, że takiej kobiety jak Kate nigdy się nie pozbędzie, jeśli zasygnalizuje choćby minimum przychylności ze swojej strony. Już nie mówiąc o tym, co by było, gdyby spędził z nią noc. Kate była kobietą, która zamieniłaby się w prześladowczynię, gdyby została odrzucona.

- To niemożliwe, Kate. To nie ma nic wspólnego z tobą. Tylko ze mną powiedział.

- Myślałam...

- Co?

- Ach, nic.

Co jeszcze mogła powiedzieć? Że sądziła, iż jego zainteresowanie dotyczy jej, a nie tylko paru poufnych informacji? Było niemal widoczne, jak ona w tej chwili się czuła: jak idiotka.

Mimo to zaryzykował pytanie:

- Powiedziałaś, że masz dla mnie coś jeszcze?

Spojrzała na niego tępo. W końcu przyszło jej do głowy, że jej poczucie własnej wartości jeszcze bardziej ucierpi, jeśli teraz, kiedy wyraźnie została odrzucona,

zacznie się droczyć czy też obrażać. Aż nadto wyraźnie będzie wówczas widać, na co liczyła i jak bardzo jest rozczarowana.

- Tak. Jest coś jeszcze. Jeśli chodzi o morderstwo tych dwóch kobiet, mediom nie wspomniano o bardzo ważnym szczególe. A mianowicie, w jaki sposób obie zostały zamordowane.

- A więc nie zostały zastrzelone? Spodziewał się tego, bo ciągle była mowa o wyjątkowo okrutnym sposobie, w jaki zostały uśmiercone.

- W przypadku Westley sprawca przestrzelił zamek w drzwiach, żeby wejść do pomieszczenia, w którym przebywała ofiara. A poza tym broń posłużyła mu do tego, by wymusić uległość na obu kobietach. Sprawca mógł im wówczas związać nadgarstki i kostki u nóg za pomocą taśmy klejącej i wiedział, że nie będą się bronić.

- A potem?

- Potem wpychał im do ust ścierkę do naczyń. Wcisnął ją głęboko do krtani. U Carli Roberts doprowadziło to do torsji. I udusiła się wymiocinami.

- A Anne Westley?

- Tu musiał sobie pomóc. Nie umarła tak szybko. W końcu dokładnie zakleił jej tą taśmą nos i wtedy się udusiła.

- Cholera powiedział John.

„Nienawiść pomyślał co za niewiarygodna, szalona nienawiść. Tu nie chodziło tylko o to, żeby te kobiety umarły. One miały umierać w męczarniach”.

- Thomas Ward został jednak zastrzelony? upewnił się, choć w gruncie rzeczy był tego pewien, bo Gillian, która znalazła swojego męża, powiedziała mu, gdyby było inaczej.

- Tak. I to potwierdza teorię Fieldera, że Thomas Ward był przypadkową ofiarą. Sprawca spodziewał się kobiety. Ale nieoczekiwanie zastał w domu mężczyznę. I to nie było jakiego. Thomas Ward był bardzo wysoki. Bardzo wysportowany. Ward z pewnością broniłby się inaczej niż te dwie starsze kobiety, gdyby sprawca natychmiast go nie zastrzelił.

- A te kobiety naprawdę zostały *uduszone* ścierką do naczyń?

- Tak.

- I ścierki należały do ofiar? To znaczy, były po prostu pod ręką? Najbliżej? Czy też sprawca przywiózł je z sobą?

- One należały do ofiar. U Carli Roberts jej córka zidentyfikowała tę ścierkę. W przypadku Westley identyczne ścierki znaleziono w szufladzie w kuchni. A więc sprawca zaopatrzył się w narzędzie zbrodni na miejscu.

Dotarli do dworca Charing Cross akurat wtedy, gdy na peron wjechał pociąg.

- No to na razie powiedziała Kate. Była jeszcze bledsza niż zwykle.

- Miłej podróży powiedział John. I dziękuję!

Była urażona i nawet się nie odwróciła, kiedy wsiadła. Zajęła miejsce po przeciwnej stronie wagonu. Przypuszczał, że płakała.

Niedziela, 10 stycznia

Po raz pierwszy, od kiedy Tom został zamordowany, weszła do domu zupełnie sama. Ostatnim razem towarzyszył jej John. Teraz u jej boku nie było nikogo.

We wszystkich pomieszczeniach czuć było coraz bardziej intensywną, nieprzyjemną woń. Należało jak najszybciej wyrzucić większość produktów żywnościowych.

Gillian natychmiast zaniósła swoją walizkę na górę, do sypialni, która wyglądała dokładnie tak jak wtedy, kiedy ją opuściła 29 grudnia. Porządnie zaciągnięta kolorowa kapa na łóżku. Na jej szafce nocnej otwarta książka, powieść kryminalna, którą zaczęła czytać, obok nieco pognieciony „Times”. Po stronie Toma kilka czasopism sportowych. Jego sweter leżał na krześle w kącie, krawat wisiał na drzwiach szafy.

„Nie ma chyba sensu trzymać wszystkich jego rzeczy” - pomyślała Gillian.

Postanowiła, że wypakuje swoją walizkę później, otworzyła tylko boczną kieszeń, wyjęła kosmetyczkę i poszła z nią do łazienki. Wstawiła szczoteczkę do zębów do kubka, położyła grzebień na półce pod lustrem. Starła się nie patrzeć na rzeczy Toma. Maszynka do golenia, płyn po goleniu, płyn do płukania ust, roztwór soli fizjologicznej do przechowywania soczewek kontaktowych. Na koszu do bielizny pod umywalką para jego czarnych skarpet. Chociaż próbowała się na to przygotować, podobnie jak podczas krótkiego ostatniego pobytu w domu, teraz ogarnęła ją jakaś dziwna konsternacja i bezradność wobec pozornej normalności, jaką uosabiały niemal nietknięte wnętrza domu. Niedzielny ranek w styczniu. Na dworze śnieg i nisko wiszące ciemne chmury. A w domu brudne rzeczy do prania, odłożone książki i gazety, które wyglądały tak, jak gdyby czekały, żeby czytać je dalej któregoś wieczoru. Wszędzie przedmioty codziennego życia. Dom wcale nie wyglądał jak miejsce krwawej zbrodni. Wyglądał jak całkiem normalny dom.

Gillian czuła, że miała do wyboru dwie możliwości. Mogła usiąść, gapić się w ścianę, pozwolić, aby ogarnęła ją świadomość tego, co tu się stało, i zacząć krzyczeć.

Mogła się też dać pochłonać bez reszty wszystkim licznym czynnościom, których wymagał dom po tak długiej nieobecności.

Zdecydowała się na drugi wariant.

Następne cztery godziny spędziła na intensywnych porządkach. Uprała całą górę rzeczy, część włożyła do suszarki, a część rozwiesiła na sznurkach w piwnicy. Sprzątnęła lodówkę, wyrzuciwszy uprzednio większość produktów, które w niej były, i wyniosła dwa ogromne worki do pojemnika na śmieci. Rozebrała choinkę, która tymczasem straciła niemal wszystkie igły, i wyniosła ją na taras, zdjęła z okien gwiazdy oraz lampki, spakowała wszystko do przygotowanych pudełek i wyniosła

je na strych. Wyrzuciła żwirek z kuwety Chucka, bo kocur w piątek pojechał razem z Becky do Norwich i miał wrócić dopiero za kilka tygodni. Sprzątnęła też łazienki oraz toaletę, odkurzyła cały dom, powlekła na nowo pościel w łóżkach, wywietrzyła dokładnie wszystkie pomieszczenia. W końcu zapaliła ogień na kominku w salonie, zaparzyła duży dzbanek kawy i odetchnąwszy głęboko, usiadła w fotelu. W domu pachniało przyjemnie, było ciepło i przytulnie, na kominku huczał ogień, trzaskały palące się szczapy drewna. Kawa była gorąca i mocna.

Trzecia godzina.

Co zrobić z resztą dnia?

Zapaliła papierosa, ale stwierdziła, że to niezbyt przyjemnie palić w salonie, po czym go zgasiła.

Wiedziała, że siedzieć i wpatrywać się w ogień to dla niej po prostu niebezpieczne. Płakała rozpaczliwie w ramionach Johna, ale tak naprawdę nie przeżyła jeszcze prawdziwego załamania po śmierci Toma, po tym jak znalazła go martwego w jadalni. Instynktownie czuła, że to jeszcze ciągle jest przed nią. Ta trudna chwila jak gdyby czekała na właściwy moment. Do tej pory udawało jej się przed tym obronić głównie dlatego, że prawie nigdy nie była sama. Na zmianę były Tara i Becky, które znikwały najwyżej na jedną czy dwie godziny, żeby załatwić najpilniejsze sprawy, przeciwko czemu trochę protestowała Becky. W tych chwilach często był koło niej także John. Odbywały się też długie rozmowy na policji.

Po raz pierwszy była zupełnie sama. W dużym, pustym i cichym domu. Prawdopodobnie powrót tutaj był jednak dużym błędem.

Piła właśnie czwartą filiżankę kawy, kiedy zadzwonił telefon. To był John.

- Witaj, Gillian. Chciałem się tylko dowiedzieć, jak się czujesz.

- Całkiem dobrze. Wysprzątałam cały dom, uprałam górę rzeczy i delektuję się kolejną filiżanką kawy.

Jej głos brzmiał tak nienaturalnie wesoło, że jej samej sprawiało to przykrość.

- A co u ciebie? spytała.

- Sprzątałaś dom? Jaki *dom*? Jesteś u siebie w domu?

- Tak.

- Jak to? Poszłaś tam tylko po to, żeby posprzątać?

- Wprowadziłam się z powrotem. Dziś przed południem.

- Ale dlaczego?

- Mieszkam tutaj. W każdym razie będę mieszkać tak długo, aż nie znajdę dla siebie czegoś nowego. Nie mogę przecież wiecznie omijać wielkim łukiem własnego domu.

John umilkł na chwilę.

- Co się stało? zapytał wreszcie cicho.

Postanowiła przestać udawać. Dlaczego nie miałby się dowiedzieć?

- Pokłóciłam się z Tarą. W czwartek wieczór, kiedy pojechałeś do siebie. I od tej chwili... nie czułam się już u niej dobrze.

- Z jakiego powodu się pokłóciłyście?

- Mówiliśmy o tobie. Becky zrobiła mi przykrą scenę, bo ty i ja byliśmy razem w aucie i ona to widziała. Kiedy wybiegła z salonu i zamknęła się w łazience, z jakiegoś powodu, którego sama już nie rozumiem, ja... ja opowiedziałam Tarze, że pracowałeś w policji. I dlaczego tam już nie pracujesz.

- Aha. I ona oczywiście przyjęła to bardzo negatywnie wyraził swoje przypuszczenie John.

- No, była dosłownie oszołomiona. Molestowanie seksualne to pojęcie, które przeraża większość kobiet. Wyjaśniłam jej wszystkie aspekty sprawy, ale ona nie mogła pojąć, jak mogłam tak bez zastrzeżeń uwierzyć w twoją wersję. Nie mówiąc już o tym, że nie była w stanie zrozumieć, jak mogę po tym wszystkim spotykać się z tobą.

- Rozumiem odparł John.

- Nie żeby ona potem w kółko do tego wracała mówiła dalej Gillian.

Raczej w ogóle unikałyśmy tego tematu. Ale od tego czasu nie czułam się u niej dobrze. Denerwowałam się, kiedy dzwoniłeś. A jak chciałam zadzwonić do ciebie, to czekałam, aż ona wyjdzie z domu. Był to stan niemiły, trudny i jakiś pełen napięcia. Poza tym...

- Tak? spytał John, kiedy zawahała się i umilkła.

- Poza tym muszę wreszcie wrócić do życia. Nie mogę przecież stale siedzieć na sofie w mieszkaniu Tary i czekać, aż nagle zobaczę przed sobą jakąś drogę, która pojawi się ni stąd, ni zowąd. Tara w końcu też pracuje. I tak przeważnie jestem u niej sama.

- Ale u siebie w domu jesteś tym bardziej sama. I nie sądzę, żeby to było dla ciebie dobre.

- Myślę, że w obecnej sytuacji nic nie jest dla mnie dobre...

- Pozwól, że do ciebie przyjadę, albo przyjedź do mnie. Proszę.

- Nie dziś, John. Muszę znaleźć własną drogę. Rozumiał ją, ale...

- Posłuchaj, Gillian, jest jeszcze coś innego. Poza twoją trudną sytuacją psychiczną wiesz przecież, że istnieje teoria, jakoby twój mąż był tylko przypadkową ofiarą. Że tak naprawdę miałaś zginąć ty.

- Wiem. To nic nowego.

- Gillian, sprawca nie dostał tego, co chciał. I nie wiemy, czy on na tym poprzestanie.

- Nikomu nie otwieram drzwi. Nie zostawiam też otwartych drzwi do ogrodu. Dom jest dobrze zabezpieczony, John. Mamy nawet instalację alarmową. Mogę ją włączyć na noc.

- Nie lubię, kiedy jesteś sama.

- Poradzę sobie.

- Zadzwoń do mnie natychmiast, gdyby coś się działo. Obiecała mu to.

Zakończyła rozmowę i znów zaczęła wpatrywać się w ścianę. Zastanawiała się, dlaczego wszystko w niej wzbraniało się przed bliskością Johna. Kiedy jeszcze mieszkała u Tary, w pierwszych dniach po śmierci Toma sama szukała kontaktu z Johnem, życzyła sobie jego obecności, miała wręcz nadzieję, że w tych trudnych dniach znajdzie u niego otuchę i wsparcie. A potem wszystko się zmieniło. W niej samej. Godzinami siedziała nieruchomo i rozmyślała o tym, jak to wszystko mogło się w ogóle stać, dlaczego najpierw raz po raz wpadała w depresję, potem wdała się w romans, a na koniec Tom został zamordowany. Najokropniejsze, co do niej docierało po wielogodzinnym krążeniu wokół tych pytań, było przeświadczenie, że to ona niepotrzebnie wszystko dramatyzowała i wyolbrzymiała i to właśnie wywołało tak nieszczęśliwy rozwój wypadków. Cierpiała, ponieważ Tom zamknął się w sobie, a powinna była dokładniej się zastanowić i zrozumieć, że przecież nigdy jej nie opuścił. Wpadała w rozpacz z powodu agresji i uporu Becky, a przecież należało to po prostu przeczekać. W jej życiu nie zaszło nic, czego by nie przeżywały tysiące innych kobiet. I gdyby nie była ciągle *ciągle jeszcze* tą samą dziewczynką, której wiecznie brakowało zaufania i wiary w siebie, mogłaby się ze wszystkim uporać. Wiele lat temu porzuciła bezpieczeństwo rodzinnego domu i o wiele za szybko znalazła się pod opieką Toma. Od chwili ich pierwszego spotkania on zawsze był koło niej, dlatego czuła się bezpieczna. To, co wydawało jej się radosnym uwolnieniem od nadopiekuńczości rodzicielskiego domu, było tak naprawdę ucieczką pod ochronny parasol silnego i świadomego swojej wartości mężczyzny. I kiedy Thomas przy ogromnym przeciążeniu zawodowym i braku tchu, z jakim pędził przez życie, coraz bardziej się od niej oddalał, zareagowała jak opuszczone dziecko, rzucając się natychmiast w ramiona innego mężczyzny. Pojawił się John, pragnął jej, podziwiał ją i poprzez to dał jej ciepło, którego jej brakowało, a ona dzięki temu odzyskała przynajmniej część wiary w siebie. Ale jej życie nie mogło już tak wyglądać, zrozumiała to wreszcie w ciągu ostatnich dni, dręczona bólem, poczuciem winy i żalem. Musiała się nauczyć samodzielnego istnienia, bez względu na to, jak gorzka i trudna będzie droga do opanowania takiej umiejętności.

Znowu zadzwonił telefon. Tym razem była to matka Gillian, akurat ona, i musiała jej koniecznie opowiedzieć o tym, że Becky ma się względnie dobrze, że pojechała z dziadkiem na basen i że w poniedziałkowy rano po raz pierwszy pójdzie do terapeuty. A potem matka chciała się dowiedzieć, kiedy będzie pogrzeb Toma.

„Jeszcze to jest przede mną” pomyślała Gillian wyczerpana.

- Jeszcze nie wiem, mamo. Ciało jest nadal w zakładzie medycyny sądowej. Dam ci znać odpowiednio wcześniej.

- Co za potworna tragedia powiedziała matka. Cieszę się tylko, że masz tę przyjaciółkę, u której możesz mieszkać! Gdybyś była u siebie w domu, nie

miałabym ani chwili spokoju!

Gillian postanowiła nie wyprowadzać jej z błędu. Matka powinna sądzić, że ona ciągle jest u Tary. Zbyt dobrze wyobrażała sobie lament, którego musiałaby wysłuchać, gdyby było inaczej, a w tej chwili po prostu nie miała na to siły.

- Pozdrów ode mnie Becky poprosiła na pożegnanie. I poproś ją, żeby do mnie zadzwoniła. Chciałabym usłyszeć jej głos.

Tuż po wpół do czwartej. Przed nią było długie i ciche popołudnie. Wstała, włożyła kurtkę, buty, rękawiczki, zawiązała szalik na szyi. Na szczęście w ciągu ostatniego tygodnia spadło mnóstwo śniegu.

Postanowiła odsnieżyć ogród. Potem może będzie po prostu zbyt zmęczona na załamanie nerwowe.

Poniedziałek, 11 stycznia

1.

Czy przypomina sobie pani Lizę Stanford? spytała Christy. Wiedziała, że moment, w którym po raz trzeci zawitała do pediatrycznej spółdzielni lekarskiej, gdzie kiedyś pracowała Anne Westley, był nader niesprzyjający. Poniedziałkowy ranek, dla wielu szkół pierwszy dzień nauki po feriach świątecznych. Poczekalnia była wypełniona po brzegi. Christy dowiedziała się, że dwie lekarki miały grypę, a pozostali medycy, młody, zdenerwowany lekarz i druga lekarka, która wyglądała tak, jakby sama była kolejną kandydatką do położenia się do łóżka z grypą, mieli pełne ręce roboty, aby zapanować nad istnym szturmem pacjentów. I pośrodku tego chaosu wylądowała ona, żeby zadać kolejne szczegółowe pytania dotyczące pacjenta Finleya Stanforda i jego matki. Christy zjawiała się tak dalece nie w porę, że najchętniej pożegnano by się z nią w kilku mniej lub bardziej uprzejmych słowach i po paru zdawkowych komplementach, ale w końcu wszyscy rozumieli, że ona przecież też wykonuje swoją pracę.

- Czy nie dałoby się później? spytała wykończona nerwowo asystentka, ale Christy potrząsnęła głową przyjaźnie, lecz zdecydowanie.

- Niestety nie. Proszę mi wierzyć, nie naprzykrzałabym się pani, gdybym nie musiała.

Asystentka, która nazywała się Tess Pritschar jak można było przeczytać na identyfikatorze przyczepionym do jej białego fartucha w końcu zdecydowała się odpowiedzieć na pytania Christy. Przeszły obie do wolnego gabinetu jednej z chorych lekarek, gdzie Tess zajęła miejsce za biurkiem, wskazując Christy stojące przed nim krzesło. Na pytanie o Lizę Stanford Tess skinęła twierdząco głową.

- O tak. Ją pamiętam bardzo dobrze.

- Dlaczego? Czym zwróciła pani uwagę? Tess wydała z siebie pogardliwe prychnięcie.

- Swoim bogactwem. I arogancją. Cierpiała chyba na nadmiar jednego i drugiego.

- To znaczy, było widać, że ona ma dużo pieniędzy?

- Trzeba było być ślepym, żeby tego nie zauważyć. Była wręcz obwieszona pieniędzmi... Zawsze najelegantsze kostiumy. Ciężka złota biżuteria. Olbrzymie słoneczne okulary od Gucciego. Torebka od Hermesa. A na zewnątrz Bentley. Kiedyś zaparkowała wprost przed gabinetem, to mogłyśmy go dokładnie zobaczyć.

- Rozumiem. I zachowywała się... arogancko?

- My, asystentki lekarskie, byłyśmy dużo poniżej jej poziomu odpowiedziała Tess. Ledwo raczyła otwierać usta, gdy do nas mówiła. Rozmowa z nami była poniżej jej godności. Przypuszczam, że tam w środku z doktor Westley była bardziej rozmowna. Musiała chyba być, jeśli chciała wyjaśnić, co dolega jej chłopcu.

- Nigdy pani przy tym nie było? To znaczy w gabinecie lekarki? Tess potrząsnęła głową.

- Nie. Ja nie, ani nikt inny. Nie ma właściwie takiego zwyczaju, no chyba że potrzebna jest asystentka. Ale to nie było konieczne. Chłopakowi nigdy nie dolegało nic poważnego.

- A jak odbierała pani Finleya? Tess zastanawiała się przez chwilę.

- Miły chłopiec. Sympatyczny. Był zawsze bardzo cichy, ale nie w taki pyszałkowaty sposób jak jego matka, tylko raczej nieśmiały. Bardzo zamknięty w sobie.

- Wyjątkowo nieśmiały? Wyjątkowo zamknięty w sobie?

- Nie, aż tak nie. Przerabiamy tu dosłownie wszystko, wie pani. Niektóre dzieci latają po przychodni jak nakręcone baki, a rodzice nie mogą nad nimi ani na chwilę zapanować. Są też dzieci, które nie lubią chodzić do lekarza i są tutaj tak okropnie wystraszone, że milkną i całkowicie zamykają się w sobie. Finley należał do tych dzieci, które reagowały spokojnie. Ale absolutnie normalnie.

- Ale on pojawił się w waszej przychodni dość późno, prawda? Jeśli dobrze zrozumiałam, obejrzawszy w piątek dokumenty, przychodził tutaj pięć razy. Do dziewiątego roku życia. Jako małe dziecko nie był pod waszą opieką?

- Nie. Miał już siedem lat, kiedy zjawił się po raz pierwszy. O ile sobie przypominam, chodziło wtedy o zapalenie oskrzeli, które było wynikiem przeziębienia i jakoś nie chciało ustąpić. A więc nic szczególnego.

- Ogólnie Finley był zdrowym dzieckiem?

- Tak. Wszystko, z czym przychodziła tu z nim jego matka, to były niegroźne zachorowania. I zbyt często też nie chorował.

- Czy doktor Westley wypowiadała się na temat Lizy Stanford? Czy cokolwiek w ogóle o niej mówiła?

- Nie odparła Tess. W tych sprawach była bardzo kategoryczna. Przynajmniej w stosunku do nas, pracowników. Nigdy nie powiedziała ani słowa na temat pacjentów ani ich rodziców. A już jeśli chodzi o Stanford, to szczególnie. A z pewnością dotarło do niej, jak myśmy ją obmawiały, i wystrzegła się jak nie wiem co, żeby nie brać w tym udziału i nie dolewać oliwy do ognia.

- Czy może być tak, że doktor Westley rozmawiała na jej temat ze swoimi kolegami lekarzami?

- To już prędzej powiedziała Tess z wahaniem. W każdym razie ta dwójka lekarzy, która tu dzisiaj jest, nie pracowała wtedy, kiedy była u nas Westley. Ona częściej wymieniała się zastępstwami z doktor Phyllis Skinner.

- To jedna z tych pań, które mają gripę, prawda? wyraziła swoje przypuszczenie Christy.

- Właśnie tak. A więc, jeśli pani chce z kimś porozmawiać o pacjentach i poszczególnych przypadkach medycznych, to właśnie z nią.

- Mogę dostać jej adres? Muszę zadać doktor Skinner kilka niecierpiących zwłoki pytań.

- Oczywiście odpowiedziała Tess i spojrzała na zegarek. Z zewnątrz słyszała dzwoniący niemal bez przerwy telefon na przemian z dzwonkiem do drzwi.

- Pani sierżant, nie chcę być nieuprzejma, ale...

- Zaraz skończę obiecała Christy jeszcze tylko dwie sprawy. Żebym była dobrze poinformowana: Finley przychodził tutaj między siódmym a dziewiątym rokiem życia. Pięć razy. Dziś ma dwanaście lat. To znaczy, że nie był tutaj już od trzech lat?

- Nawet mniej więcej od trzech i pół roku. Wszystko się zgadza.

- Czyli nie bywał tutaj z matką, kiedy doktor Westley odchodziła na emeryturę?

- Zgadza się.

- I druga sprawa: mamy zeznanie, zgodnie z którym Liza Stanford cierpiała na częste depresje. Takie depresje, które prowadziły do tego, że od czasu do czasu znikwała, ukrywała się i była całkowicie niedostępna dla swojej rodziny. Nie można jej było w ogóle odnaleźć. Czy wie pani coś na ten temat?

- Nie odparła Tess zaskoczona.

- A więc nie zauważyła pani u niej żadnych objawów depresji?

- No więc rzekła Tess zdecydowanie gdyby ona miała cierpieć na depresję, to prędzej mi kaktus na dłoni wyrośnie, niż to prawda. To raczej ona mogłaby kogoś wpędzić w depresję, już choćby poprzez swój sposób bycia. Ona sama... no, nie można zajrzeć człowiekowi do środka, szczególnie jeśli ktoś broni się jak może przed nawiązaniem jakiegokolwiek bliższego kontaktu. Ale czegoś takiego nie mogę sobie wyobrazić, jeśli o nią chodzi. Tak jak ja odebrałam Lizę Stanford, uważam to za wykluczone.

- Dziękuję, że znalazła pani dla mnie czas.

Na liście kobiet, które Christy chciała odwiedzić, znajdowały się jeszcze trzy nazwiska. Były to trzy pozostałe uczestniczki spotkań grupy Ellen Curran, obok zamordowanej Carli Roberts i zaginionej Lizy Stanford.

Ellen Curran przysłała mailem wszystkie nazwiska i adresy członkiń grupy, ale Christy ustaliła już, że będzie mogła porozmawiać tylko z jedną z tych trzech kobiet. Dwie pozostałe już w grudniu wyjechały w podróż do Nowej Zelandii i miały wrócić do Anglii dopiero w lutym.

Pozostała Nancy Cox, która wydała się Christy bardzo sympatyczna już w czasie rozmowy telefonicznej.

- Proszę do mnie po prostu przyjechać przed południem powiedziała od razu. Od roku jestem na emeryturze i delektuję się tym stanem. Mam czas.

Christy, przebijając się powoli przez korki porannego ruchu drogowego, rozmyślała usilnie o swojej sobotniej rozmowie z Fielderem. Chciała wiedzieć, jakim właściwie człowiekiem jest Logan Stanford, którego dotychczas znała tylko z prasy, ale Fielder zwlekał dłuższą chwilę z odpowiedzią.

- Szczerze mówiąc, nie lubię go powiedział wreszcie. Ale ta okoliczność nie powinna mieć oczywiście najmniejszego wpływu na dochodzenie. On ma po prostu bardzo dużo pieniędzy, nie ukrywa tego i wręcz się z tym afiszuje, a tacy ludzie nigdy nie wydawali mi się zbyt sympatyczni. Poza tym jest typowym adwokatem gwiazdą, który robi wrażenie, jakby szedł do celu po trupach, był trochę na bakier z prawdą, wcale się tym nie przejmował, na boku zarabiał jeszcze dodatkowo nieopodatkowane pieniądze i potrafił nawet zdobywać w urzędach kolejne tymczasowe zarządzenia uderzające w każdego, kto odważy się nadepnąć mu na odcisk. Rozumie pani, co mam na myśli?

Roześmiała się.

- Tak, rozumiem. Ale niech pan będzie ostrożny w swoich wypowiedziach. Zwłaszcza jeśli chodzi o oszustwa podatkowe!

- Mówię to tylko pani, Christy. Nie mam pojęcia, czy to prawda. Ale to do niego pasuje. Można sobie wyobrazić.

- I naprawdę nie jest zaniepokojony zniknięciem swojej żony?

- Twierdzi, że jest do tego przyzwyczajony. Tak samo jak do tego, że ona się kiedyś pojawi ni stąd, ni zowąd. Dlatego jego niepokój jest ograniczony.

- Uważa pan, że to normalne? Mam na myśli to, że się jest do tego przyzwyczajonym... Człowiek, który jest tak depresyjny, że znika na całe tygodnie... To nie jest normalny stan! Przecież nie można na tym po prostu poprzestać i liczyć na to, że ona się pojawi. On powinien spróbować jej pomóc.

- On wydał mi się człowiekiem dosyć chłodnym emocjonalnie. I bardzo skoncentrowanym na swojej karierze oraz podtrzymywaniu poważania, jakie ma u

ludzi. W każdym razie nie wiemy, czy i jak próbował w przeszłości coś robić, żeby się uporać z tym problemem. Partnerzy ludzi skłonnych do depresji mogą też ponosić klęski właśnie z ich powodu. Kiedyś w końcu nie mają już siły, pozwalają, żeby wszystko toczyło się jakoś dalej i mają nadzieję, że to się dobrze skończy.

Teraz, w drodze przez miasto, Christy przyszła do głowy jeszcze jedna myśl. Tess, asystentka w gabinecie Anne Westley, niemal wykluczyła możliwość, że Liza Stanford mogłaby cierpieć na depresję. Do tego dochodziła okoliczność, że ta rodzina dosłownie pławiła się w pieniądzach.

„Małżonka adwokata pomyślała Christy koszmarne bogata. Droga biżuteria, ciuchy wprost od designerów. Bentley. Do takiej kobiety właściwie pasuje fakt, że znika na jakiś czas z całkiem innych powodów, na przykład po to, żeby pojechać na kurację odmładzającą. Jakaś ostoja w Brazylii. Może siedzi gdzieś w klinice w Sao Paulo, poddaje się zabiegom odsysania tłuszczu, podnoszenia opadających powiek, wygładzania dekoltu, powiększania ust i tak dalej. O czymś takim mówi się raczej niechętnie. Pod karą śmierci zakazała swojemu mężowi wygłoszenia choćby tylko małej wzmianki na ten temat, a wszystko, co jej przyszło do głowy, to depresja. O takich niegroźnych możliwościach też nie należy zapominać”.

Ale jednocześnie doskonale rozumiała argumenty Petera Fieldera.

- Mamy dwie zamordowane kobiety, a trzecia, która z obiema miała coś do czynienia, znikła bez śladu. Christy, tu coś strasznie śmierdzi! Wiem, że istnieją najróżniejsze zwariowane przypadki, ale tu no niech mi ktoś udowodni, że to przypadek. I niech pani nie zapomina: małżeństwo Stanfordów w żadnym wypadku nie było pełne harmonii i szczęścia. Jeśli żona bierze udział w spotkaniach grupy samopomocy *samotnych kobiet* po to, by znaleźć jakieś inspiracje do zrobienia decydującego kroku w kierunku rozstania, to można wyciągnąć wniosek, że takie małżeństwo jest bliskie rozpadu. Co wiemy? Może Carla Roberts energicznie doradzała przyjaciółce, żeby ta zostawiła wreszcie zimnego jak lód adwokata i on miał tego dosyć. Rozwód kosztowałby go mnóstwo pieniędzy. Których on może wcale nie ma. Ludzie nieraz mieszkają w luksusowych domach, jeżdżą równie luksusowymi autami i tak dalej, ale ile razy było tak, że to wszystko okazywało się tylko pozorami, sztuczną fasadą, przykrywającą coś zupełnie innego. Może ta imponująca willa jest zadłużona po dach. Wspaniałe samochody w leasingu, a raty spłacane z wielkim trudem. Rozwód w tej sytuacji byłby czymś równoznacznym ze skręceniem karku. Może Stanford nienawidził tej grupy kobiet, do której należała jego żona, a przede wszystkim nienawidził Carli Roberts.

- A co w takim razie z Anne Westley? I Thomasem Wardem? Czy też Gillian Ward?

Na to pytanie Fielder nie potrafił odpowiedzieć. Christy zresztą też nie.

U Nancy Cox czekało na nią śniadanie składające się z tostów, różnych rodzajów konfitur, jajecznicy na boczku i świeżo upieczonych bułeczek *scones*. Do tego był jeszcze ogromny dzbanek wspaniale pachnącej kawy. Nancy nakryła do stołu w salonie swojego małego domku szeregowego znajdującego się w Fulham. Była drobną kobietą o sympatycznych oczach, krótko obciętych siwych włosach i w ogóle sprawiała bardzo miłe wrażenie. Na jej sofie spały dwa zwinięte w szare kłębki koty. W ogrodzie stał ulepiony ze śniegu bałwan.

- Moje wnuki były tu w weekend wyjaśniła Nancy, dostrzegłszy zdziwione spojrzenie Christy.

Christy, która wczesnym rankiem ledwie zdążyła na stojąco wypić kawę, a później przełknęła tylko po drodze czekoladowy batonik, z przyjemnością pozwoliła się ugościć. Zjadła dwie porcje jajecznicy, jeden tost i wypijała trzy filiżanki kawy. Znów stwierdziła, że porządne śniadanie może znakomicie przyczynić się do wzrostu sił witalnych człowieka i w dodatku poprawić mu humor. Ale wiedziała, że w ciągu następnych kilku dni będzie ją obowiązywać ścisła dieta Christy stale prowadziła wojnę ze zbędnymi kilogramami.

To, co opowiedziała Nancy, pokrywało się w zupełności ze słowami Ellen Curran. Ale tylko częściowo odpowiadało słowom asystentki medycznej Tess.

- Arogancka? Właściwie wcale nie sprawiała takiego wrażenia. Tak, rzeczywiście zawsze miała na sobie strasznie drogie ubrania, a biżuteria, którą nosiła tylko na jednej ręce, pewnie była więcej warta niż to, co ja dostanę jako emerytka w ciągu pięciu lat. Ale te rzeczy nie czynią przecież człowieka szczęśliwym, prawda? Mnie ona wydawała się zawsze smutna. Przybita.

- A co mówiła o swoim małżeństwie? Chciała się przecież rozstać z mężem.

- Ach, wie pani, zawsze myślałam, że ona nigdy się z nim nie rozstanie. Ona tylko chciała się czasami upewnić, że ma taką możliwość. Trudno powiedzieć, co właściwie zarzucała swojemu mężowi. Ona w ogóle bardzo mało mówiła. Właśnie ona i Carla Roberts były dość milczące, podczas gdy my cztery niemal bez przerwy paplałyśmy jedna przez drugą.

- Carla Roberts...

Na twarzy Nancy pojawił się wyraz zatroskania i smutku.

- Wiadomo już, kto ją zamordował? Po prostu nie chciałam uwierzyć, kiedy przeczytałam o tym w gazecie. Człowiek nigdy nie myśli, że coś takiego może przytrafić się komuś, kogo się *zna*. Byłam kompletnie wytrącona z równowagi!

- Nawet jeśli Carla i Liza nie były zbyt rozmowne to coś przecież musiały w tym czasie powiedzieć, prawda?

Nancy się zastanawiała.

- Tak, Liza mówiła kilka razy, że jest bardzo nieszczęśliwa w małżeństwie. Jej mężowi chodziło tylko o pieniądze, o prestiż i opinię. Przecież piszą o nim często w gazetach, bo organizuje tyle imprez charytatywnych. Ale to wcale nie świadczy o

tym, że troszczył się też dostatecznie o swoją żonę, prawda? Myślę, że czuła się niesłuchanie samotna, nawet kiedy mąż był w domu.

- A wie pani, czy on zgadzał się na to, żeby Liza chodziła na spotkania waszej grupy?

- Myślę, że w ogóle o tym nie wiedział. Ona chyba mówiła mu tak ogólnie, że chodzi na spotkania grupy zajmującej się odnajdywaniem samego siebie. A on prawdopodobnie uważał, że to głupie, ale nie niebezpieczne.

- Czy Carla doradzała Lizie, żeby się rozwiodła?

- Tego nie wiem. One obie czasami cicho o czymś rozmawiały, ale nie wiem, o czym.

Na twarzy Nancy pojawił się nagle wyraz świadczący o poczuciu winy.

- Mówiąc szczerze, ja je obie uważałam za dość nudne. My wszystkie świetnie się z sobą bawiłyśmy, a one dwie siedziały razem jak ponuraczki... W końcu przestałam zwracać na nie uwagę. Lizy zresztą często i tak nie było.

- Były po temu jakieś powody?

- Jakieś zobowiązania towarzyskie. No tak, to chyba zależało też od postawy jej męża. Ellen była i tak trochę zła z tego powodu.

- A czy jest wykluczone, że mąż czasami utrudniał jej spotkania w grupie?

- Nie, oczywiście, że nie. Ale mogę tylko powiedzieć, co ona mówiła. Za bardzo się nie wypytywałyśmy.

- Czy Liza wymieniła kiedyś nazwisko lekarki zajmującej się jej synem, doktor Anne Westley?

- Nie, nigdy. Dlaczego?

Christy nie odpowiedziała na to pytanie.

- A o czym mówiła Carla Roberts? spytała, dodając zaraz: Mam na myśli, kiedy w ogóle coś mówiła.

- O, Carla miała ogromne problemy powiedziała Nancy. Była kobietą załamana. Jej mąż uciekł z sekretarką, a firma splajtowała. Carla w ciągu jednej nocy straciła wszystko. Dom poszedł pod młotek... I nagle wylądowała w drogerii, gdzie rozpakowywała pudła i porządkowała regały, żeby w ogóle przetrwać. W każdym razie jeszcze zanim poszła na rentę, kiedy do reszty osamotniała. Ona po prostu nie mogła tego wszystkiego pojąć i z tym się pogodzić. A córka, jedyna bliska osoba, która jej została, miała już własne życie i coraz bardziej się od niej oddalała.

- Tak, córka chyba nie za bardzo się o nią troszczyła.

- No tak. Nancy wzruszyła ramionami. Tacy są dzisiaj młodzi ludzie. Im chodzi tylko o siebie, o swoje życie, o własną przyszłość. Kiedy mój mąż nagle pojawił się z inną kobietą i poprosił o rozwód, też wpadłam w czarną dziurę, może mi pani wierzyć. A moje dzieci rzadko mnie widywały w tym czasie. Miały swoje studia, swoich przyjaciół... Weekendy z płaczącą matką nie cieszyły się wielkim powodzeniem.

Christy pomyślała po raz kolejny, że rada, by zrezygnować z tradycyjnego życia rodzinnego i dzieci, była na wskroś słuszna. Jej decyzja, żeby tej rady posłuchać także. Coraz częściej miała wrażenie, że w dzisiejszych czasach wychowywano dzieci wyłącznie na skończonych egoistów.

Wypiła ostatni łyk kawy, wyjęła z torebki swoją wizytówkę i podała ją Nancy.

- Proszę do mnie zadzwonić, jak tylko coś się pani przypomni. Cokolwiek, na przykład co powiedziała Liza albo Carla, albo nawet że przy jakiejś okazji o czymś wspomniały. Wszystko może mieć ogromne znaczenie.

- W każdym razie pomyślę o tym obiecała Nancy.

Działka była ogromna, nawet jak na Hampstead, a ponieważ John orientował się trochę w cenach działek w różnych dzielnicach Londynu, mógł łatwo ustalić, ile musieli wybulić Stanfordowie za to, żeby sprawiać odpowiednie wrażenie. Sam dom położony był spory kawałek od ulicy, między starymi, wysokimi drzewami, które rosły ciasno obok siebie. Nawet teraz, mimo braku liści, tworzyły one gęstą, hermetyczną ścianę, za którą dom był niemal niewidoczny. John sprawdził szybko strony świata i stwierdził, że drzewa, zwłaszcza latem, niemal zupełnie pochłaniały światło słoneczne. Dom był właściwie całkowicie zacieniony. John zastanawiał się, jak ktoś mógł wydać gigantyczny majątek na willę stojącą na działce przypominającej park, po to, by mieszkać w zupełnym niemal mroku, podczas kiedy równie mroczne mieszkanie w podwórzu byłoby znacznie tańsze. To, że Liza Stanford cierpiała ponoć na depresję, już go za bardzo nie dziwiło.

Chciał właśnie nacisnąć dzwonek, umieszczony razem z kamerą obok kutej żelaznej bramy, kiedy zobaczył chłopca, który szedł przez zaśnieżony ogród. Chłopiec nie szedł starannie odsnieżonym podjazdem, lecz wprost przez śnieg, ciągnąc za sobą sanki, rodzaj plastikowej platformy ze specjalnie uformowanym siedzeniem. John pomyślał o drewnianych sankach ze swojego dzieciństwa.

Dużo, bardzo dużo się zmieniło od tego czasu.

Chłopiec otworzył bramę i dopiero w tym momencie zauważył obcego mężczyznę, który tam stał i czekał. Chłopiec drgnął przestraszony.

- Dzień dobry powiedział z obawą.

- Dzień dobry odpowiedział John. Nazywam się John Burton. Ty jesteś...

- Finley. Finley Stanford.

- Właściwie chciałem się zobaczyć z twoją matką. Czy jest w domu?

- Nie.

- A wiesz może, kiedy wróci?

- Nie.

- A gdzie ona jest?

- Nie wiem.

- Nie wiesz?

- Ona znikła powiedział Finley.

John spojrzał na niego z udawanym zdumieniem.

- Znikła? A od kiedy jej nie ma?

- Od połowy listopada. Znikła 15 listopada. To było w niedzielę.

- Aha. Spakowała swoje rzeczy, wyszła z domu i nie wróciła? Tak to było?

- Nie. W niedzielę po południu oglądaliśmy telewizję, mama i ja. Ona piła herbatę, a ja kakao. I jedliśmy ciasteczka.

- Tylko mama i ty? A twojego ojca nie było?
- On był w swoim gabinecie. Miał coś do zrobienia.
- Rozumiem. I co było potem?
- Tata wyszedł, bo był umówiony na kolację. Z klientem. Mój tata jest adwokatem.

- Wiem.
- Mama i ja nie jedliśmy kolacji, bo byliśmy już bardzo najedzeni. Tymi ciasteczkami. Potem jeszcze grałem trochę na komputerze. O dziewiątej musiałem iść do łóżka.

Finley przerwał nagle i spojrzał nieufnie na Johna.

- Dlaczego chce pan to wszystko wiedzieć?
- Jestem dobrym znajomym twojej matki. Chciałem z nią porozmawiać w pewnej bardzo pilnej sprawie. Byłoby to dla mnie bardzo ważne, gdybym ustalił, co się właściwie stało.

- Tak powiedział Finley wyraźnie zmartwiony. Właśnie ja tego też nie wiem. Następnego ranka obudził mnie tata i powiedział, że w nocy mama wyszła, ale na pewno wróci. To poszedłem potem tak jak zwykle do szkoły. Miałem nadzieję, że będzie w domu, jak wrócę, ale... wzruszył bezradnie ramionami. John patrzył na niego uważnie. Chłopiec był blady i delikatny, lecz wyglądał na zdrowego. Martwił się wyraźnie o matkę, ale nie sprawiał wrażenia dziecka chwiejnego psychicznie. Wydawał się natomiast bardzo spokojny i wręcz zapatrzony w siebie. John zastanawiał się, czy Finley nie jest aż za bardzo spokojny. Dzięki swojej pracy trenera młodzieżowych drużyn piłki ręcznej John miał do czynienia z dużą liczbą dzieci pochodzących z rodzin dysfunkcyjnych i dawno już zauważył, że dzieci z rodzin obciążonych wyjątkowo trudnymi problemami charakteryzuje czasem osobliwy spokój, który można określić jako coś w rodzaju całkowitego zamknięcia się w sobie. I co za tym idzie, samotności. Jeśli u dzieci z rodzin o zdrowych, normalnych stosunkach występowały jakieś zaburzenia zachowania, to można je było natychmiast dostrzec w przeciwieństwie do tych dzieci, o których prędzej czy później dowiadywano się, że matka pije albo ojczym używa wobec nich przemocy. John spotkał w swej pracy bardzo dużo dzieci, u których nie występowały żadne zaburzenia zachowania, a których rodzinny dom był praktycznie katastrofą.

John zastanawiał się, czy bez żadnych uprzedzeń mógłby właśnie w ten sposób scharakteryzować Finleya: uderzająco niepozorny.

- Do jakiej szkoły chodzisz? zapytał.
- Williams Ellis School. Na Highgate.
- Lubisz chodzić do szkoły? Masz wielu przyjaciół? Chłopiec zastanawiał się przez chwilę.
- Tak, szkoła jest okay. Przyjaciół nie mam zbyt wielu. Ale ja lubię być sam.
- Rozumiem powiedział John. I wrócił do sprawy, o której mówił poprzednio.

- Czy to się już kiedyś zdarzyło? To, że twoja matka po prostu znikła i nikt nie wiedział, gdzie jest?

- Raz. Mniej więcej dwa lata temu. I wtedy wróciła po dziesięciu dniach.

A więc znikanie Mrs Stanford nie jest znowu tak normalne, jak to twierdził Stanford w rozmowie z Fielderem. Znikła tylko raz, i to na umiarkowanie długi czas. Teraz nie dała znaku życia od piętnastego listopada. Był jedenasty stycznia. Zatem nie było jej już prawie dwa miesiące.

- Policja też już o nią pytała powiedział Finley. W piątek. Był tu inspektor ze Scotland Yardu. Ale pan nie jest z policji?

- Nie, Finley. Nie jestem z policji.

- To z jakiego powodu te pytania? rozległ się ostry głos za nim. Burton się odwrócił. Za nim stał mężczyzna. Zapewne wyszedł z drugiej strony domu i niezauważony podszedł do nich z tyłu. Dżinsy, sweter, starannie uczesane srebrnosiwe włosy. Logan Stanford.

- Doktor Stanford? spytał John.

- Czego pan tu chce? odparł Stanford, nie przedstawiając się. Co ma pan do omówienia z moim synem?

- Ten pan jest znajomym mamy. Musi z nią porozmawiać.

- Ach tak? A w jakiej sprawie?

- To bardzo osobista sprawa odparł John.

- Kim pan jest? spytał Stanford. Głos miał bardzo spokojny.

- John Burton.

Stanford spojrział na niego uważnie. John był w stanie wyobrazić sobie tego człowieka na sali sądowej. Nie sprawiał wrażenia ani sympatycznego, ani też niesympatycznego. Bardzo rzeczowy. Bardzo opanowany. Całkowicie nieprzenikniony. Ale co naprawdę działo się w nim samym trudno to było ustalić.

John postanowił iść prostą drogą.

- Doktorze Stanford, w piątek była u pana policja. Z powodu pańskiej żony. Wie pan więc, o co chodzi.

- Kim pan jest? powtórzył Stanford.

- Zostały zamordowane dwie kobiety. I jeden mężczyzna. Śmierć mężczyzny według wszelkiego prawdopodobieństwa była zupełnie przypadkowa. Sprawca chciał zamordować kobietę. Uratował ją przypadek, ale jest bardzo prawdopodobne, że grozi jej niebezpieczeństwo. Chce pan wiedzieć, kim jestem? Jestem bardzo bliskim przyjacielem tej kobiety. Ona i jej bezpieczeństwo leżą mi na sercu.

- To zrozumiałe. Ale nie mogę panu pomóc.

- Zakładam, że detektyw inspektor Fielder wyjaśnił panu wszystkie powiązania w tej sprawie. Wie pan, dlaczego policja zainteresowała się pańską żoną. Jest ona

jedynym znanym dotychczas ogniwem łączącym obie kobiety. Rozmowa z nią byłaby naprawdę niesłychanie ważna.

- Nie wiem, gdzie ona jest.

- Czy uważa pan, że to normalne? Że od dwóch miesięcy nie wie pan nic na temat miejsca pobytu swojej żony?

Stanford wzruszył ramionami.

- Ocenę tego, co ja uważam za normalne, proszę pozostawić mnie, Mr Burton.

- Czy pańska żona cierpi na ciężką depresję?

- Mr Burton...

- W ten sposób przedstawił pan to policji.

- Dotarł pan do zasadniczego punktu, Mr Burton: wypowiadam się na ten temat wobec policji. Ale nie wobec całkowicie obcego człowieka, który zaczepia w bramie i wypytuje mojego syna, i jako jedyne uzasadnienie podaje fakt prywatnej znajomości z rodziną ofiary morderstwa. Uważam naszą rozmowę za zakończoną.

Przez chwilę obaj mężczyźni patrzyli na siebie w milczeniu. John pojął, że w tym momencie nic już nie wskóra. Stanforda nie można było na niczym przyłapać. Nic nie mogło nim wstrząsnąć, prawdopodobnie nie dało się go także sprowokować, zwłaszcza do wypowiedzenia jakiejś nieprzemyślanej uwagi. Nie można było wydobyć z niego absolutnie nic.

- Do widzenia, doktorze Stanford powiedział John.

- Do widzenia odpowiedział Stanford. Położył rękę na ramieniu syna.

John się odwrócił, przeszedł przez ulicę i wsiadł do samochodu, który zaparkował na jej skraju. Był przekonany, że Stanford zanotował sobie numery rejestracyjne i sprawdzi natychmiast, czy nazwisko Johna jest prawdziwe. Być może będzie się starał dotrzeć do dalszych informacji.

A choćby nawet.

John nie zamierzał zrezygnować. Bo tu była chyba jedyna możliwość, żeby się czegokolwiek dowiedzieć, a tą możliwością był właśnie chłopiec. Musiał chodzić do szkoły, Stanford nie mógł go pilnować przez całą dobę na okrągło. William Ellis School, Highgate. Nie będzie trudno znaleźć tam Finleya.

Chłopiec był słabym punktem Stanforda. Nie dlatego, że można go było łatwo schwytać. Tylko dlatego, że mnóstwo wiedział. Choć nauczył się tłumić wszystko w sobie i odgrywać tę samą komedię, którą grali jego rodzice: jesteśmy szczęśliwą, kochającą się, zamożną rodziną.

Ten teatr był najbardziej zakłamaną szmirą, jaką kiedykolwiek grano w tym mieście.

Wtorek, 12 stycznia

1.

Gillian miała wrażenie, że od dnia, w którym znalazła Toma martwego w jadalni, ani razu się nie zatrzymała. Niemal dosłownie, z wyjątkiem nocy, kiedy brała silny środek nasenny i padała jak ścięte drzewo. Na szczęście budziła się następnego ranka jak z narkozy, bez śladu ciężkich wspomnień i męczących snów. Jej noce były ciemne, zupełnie czarne i puste. Kiedy wstawiała, czuła się jak chomik w klatce, który wskakuje na swoje koło i biega w nim aż do całkowitego wyczerpania. Zwierzę w klatce uciekało przed nudą i samotnością swojego więzienia, ona przed chwilą, w której dotrze do niej, co się właściwie stało.

Kiedys wreszcie nie będzie w stanie dalej tak uciekać. Uporządkowała cały dom.

Zaniosła do punktu zbiórki używanej odzieży ubrania Toma, zapakowane w liczne torby. Posortowała dziecinne ubrania Becky, odłożyła na bok własne dawno nienoszone rzeczy. Wyniosła ze strychu kartonowe pudła i stare gazety, wypełniając po brzegi pojemnik na makulaturę, po czym zadzwoniła do firmy zajmującej się odpadami i poprosiła o odbiór wszystkich pojemników w początku przyszłego tygodnia. W piwnicy stały jeszcze meble z pierwszego okresu ich małżeństwa, właściwie pamiątki, które zawsze wywoływały u Gillian zbyt wiele nostalgicznych wspomnień, by mogła się z nimi rozstać. Teraz trafiły na listę przedmiotów, które zamierzała wywieźć.

W piwnicy znalazła też liczne, poskładane starannie kartonowe pudła służące do pakowania, które zostały tu złożone jeszcze po ich przeprowadzce do tego domu. Wyniosła je na górę i zaczęła pakować do nich rzeczy. Książki, porcelana, fotografie w ramach, świeczniki...

Teraz, w to wtorkowe popołudnie, dom wyglądał tak, jak gdyby wszystko było prawie gotowe do przeprowadzki.

Poczuła głód, wyjęła pizzę z zamrażalnika i wsunęła ją do piekarnika. Czekając, aż się upiecze, włączyła komputer i zaczęła szukać w Google adresu jakiegoś pośrednika nieruchomości w Southend albo w Londynie. Nie знаła nikogo z tej branży i w gruncie rzeczy chciała znaleźć pierwszy lepszy adres, ale jej wzrok padł na nazwisko „Luke Palm” i nagle w głowie pojawiło się jakieś wspomnienie. Nazwisko było wymienione w jednej czy dwóch gazetach. Palm był tym mężczyzną, który znalazł zamordowaną Anne Westley. Rozważała, czy nie był dla niej najlepszą możliwością. Mogła mu otwarcie powiedzieć, z jakiego powodu chciała sprzedać ten dom, i prawdopodobnie nie zemdlałby od razu ani też nie zareagował w jakiś dziwaczny sposób. W pewnym sensie był częścią całej historii. Od chwili

wtargnięcia w jej życie potwornej, brutalnej przemocy Gillian czuła się czasem jak ktoś, kto dryfuje na samotnej krze oderwanej od normalności i ludzi, w których życiu nigdy nie zagościło bezprawie. Podświadomie wyobraziła sobie, że Luke Palm także dryfuje na takiej krze. Wydał jej się godny zaufania bardziej niż wszyscy inni.

Wybrała numer jego biura i sekretarka zaraz ją z nim połączyła.

- Palm.

- Gillian Ward zrobiła krótką przerwę i czekała na reakcję, ale widocznie Palm nie zapamiętał jej nazwiska. Z pewnością czytał w gazetach o morderstwie Toma, lecz tylko jeden dziennik wymienił jego pełne nazwisko.

- Chciałabym sprzedać dom powiedziała tu, w Southend, dzielnica Thorpe Bay. Chętnie zasięgnęłabym porady, nie wiem, jakiej ceny mogę się spodziewać. Zupełnie nie mam pojęcia, jak dziś wygląda rynek nieruchomości.

- Nie ma problemu. Mogę w każdej chwili obejrzeć pani dom. Kiedy miałaby pani czas?

- Czy jutrzejszy dzień odpowiadałby panu? Jutro po południu?

- Jutro, niestety, mam już kilka terminów. Dopiero wpół do szóstej wieczorem, czy to nie byłoby za późno?

- Nie, to byłoby w samą porę.

Podawała mu swój adres i numer telefonu. Kiedy się pożegnali, siedziała jeszcze przez kilka minut przy stole w jadalni i patrzyła na zaśnieżony ogród. Prawdopodobnie była to jej ostatnia zima tutaj.

„Zrobię to pomyślała naprawdę to zrobię. Spalę za sobą wszystkie mosty”.

Zobaczyła przez okno, że kilka głodnych ptaków fruwało wokół karmnika, który stał obok wiśni w ogrodzie. Rozczarowane odlatywały po chwili, kiedy przekonywały się, że karmnik był pusty. Przed oczami Gillian pojawił się nagle pewien obraz, przed którym nie mogła się obronić: urodziny Becky przed dwoma laty. Dziewczynka gorąco marzyła o karmniku w prezencie i dostała go. Gillian stała przy oknie, patrząc, jak ona i Tom jeszcze tego popołudnia ustawiali karmnik w ogrodzie. Policzki Becky były zaróżowione z radości. Tomowi też sprawiało wyraźną przyjemność, kiedy mógł coś zrobić razem z córką. Oboje wydawali się tacy szczęśliwi i pełni harmonii. Patrząc na nich, Gillian czuła ciepło. Coś z tego ciepła czuła jeszcze dziś i to było niebezpieczne.

Bardzo niebezpieczne.

Odegnęła ten obraz sprzed oczu.

Ogród był teraz pusty, pokryty grubą warstwą śniegu. Nie było tam już mężczyzny, który śmiał się i rozmawiał z dzieckiem. Były tylko głodne ptaki.

„Muszę potem kupić karmę dla ptaków” pomyślała Gillian.

Samson starannie zamknął za sobą drzwi przyczepy kempingowej i schował klucz do kieszeni kurtki. Zadygotał z zimna, które poczuł, gdy tylko znalazł się na zewnątrz. Wspaniałe niebieskie niebo, słońce i śnieg, którego powierzchnia migotała i lśniła. Przynajmniej dziesięć stopni poniżej zera, ocenił Samson. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz przeżył tak mroźną i śnieżną zimę. Wręcz przeciwnie w ostatnich latach o tej porze roku panowała przeważnie plucha, padał deszcz i było beznadziejnie. Chyba nikt już nie wierzył w białe Boże Narodzenie w Anglii ani w to, że zobaczy na pobliskich wzgórzach dzieci jeżdżące popołudniami na sankach. Samson pamiętał coś takiego jedynie z wczesnego dzieciństwa.

Ale to było już dawno temu.

Miał z sobą torbę z pokruszonymi resztkami suchego chleba. Zmiotł ręką śnieg z niewykończonego fragmentu muru i wysypał na cegły okruchy. Wiedział, że wystarczyło odejść zaledwie kawałek, a już chmara ptaków usiądzie na murze. Karmił je w ciągu ostatnich dni regularnie. Było to jego jedyne towarzystwo na tym pustkowiu, a krakanie głodnych wron powodowało niemal bolesny ucisk w jego sercu.

- Od tej chwili musicie radzić sobie same powiedział cicho. Ja tu już dłużej nie wytrzymam.

Miał w planie dotrzeć do najbliższych przedmieść Londynu, znaleźć tam telefon lub pocztę, odszukać w książce telefonicznej adres Johna Burtona albo zapytać o to w informacji. Potrzebował nowego schronienia, a Burton był jedynym człowiekiem, który mógł mu pomóc. Gdyby nie zdołał go znaleźć, pozostawał jedynie Bartek, ale Samson sądził, że on raczej zemdleje na jego widok albo go natychmiast przepędzi. Gavin, jego brat, był ostatecznym wyjściem, a to z powodu Millie. Samson musiał się więc udać do jaskini lwa, zanim umrze z głodu albo zamarznie. Ostatecznie i tak wyląduje na policji w areszcie śledczym, nie miał co do tego żadnych złudzeń. I wszystko sprowadzało się tylko do pytania, jak dalece da się odwlec ten moment. Był już w takim stanie, że pobyt w więzieniu nie wydawał mu się czymś najgorszym, co go może spotkać. Zniszczyła go samotność. Kiedy teraz ruszał w drogę w poszukiwaniu Johna, robił to po to, żeby uratować własne życie. Jeszcze kilka dni w przyczepie na opuszczonej budowie i pewnie popełniłby samobójstwo.

Było w pół do drugiej po południu. Na horyzoncie majaczyły kontury pierwszych domów na skraju miasta, ale Samson nie wiedział, co to za dzielnica. Oceniał, że ma przed sobą dobre półtorej godziny marszu, zanim dotrze do zamieszkaney okolicy, ale to go nie przerażało. Zawsze lubił chodzić pieszo, był ciepło ubrany, a przed wyjściem przygotował sobie gorący posiłek z puszki. Nic nie mogło mu się przytrafić. Potrzebował pilnie schronienia przed nadejściem nocy. Temperatura spadała wtedy prawie do piętnastu stopni poniżej zera.

Ruszył. Przy każdym kroku zapadał się głęboko w śnieg marsz nie był łatwy.

„Jutro będę mieć niezłe zakwasy w mięśniach” pomyślał.

Odwrócił się tylko raz. Niewykończone fasady bloków i dźwigi budowlane sterczały na tle niebieskiego nieba. Jego przyczepa wydawała się z tej odległości mała i zagubiona w śniegu.

Ptaki krążyły nad murem, walcząc o resztki chleba.

Od godziny trzeciej John siedział w zaparkowanym przed szkołą samochodzie i starał się mieć na oku wszystkie wyjścia. Kilku uczniów właśnie opuściło budynek z czerwonej cegły z białymi framugami okien, inni weszli do środka, ale nie było wśród nich Finleya. Do szkoły przylegały łąki i pola Hampstead Heath z licznymi boiskami do gry w tenisa, także inne tereny sportowe i różne budynki należące do szkoły. Nawet jeśli Finley miał tam zajęcia, John przypuszczał, że w drodze do domu chłopiec kiedyś musi opuścić budynek którymś z wyjść. W pewnej odległości znajdował się przystanek autobusowy. Można było założyć, że Finley jeździł stamtąd do domu.

John był dobrej myśli.

Nie był równie optymistycznie nastrojony, kiedy myślał o swojej firmie. Dochodzenie, którym tak intensywnie zajmował się w ostatnich dniach, pochłaniało sporo czasu i odbijało się negatywnie na jego obecności z biurze. Miał dobrych pracowników, ale wiedział, że jako szef powinien trzymać rękę na pulsie, a na to po prostu brakowało mu czasu. Poza tym ogarniało go poczucie winy, kiedy myślał o Samsonie. Dawno powinien był się u niego pokazać. Biedak był tam rzeczywiście sam jak palec i przypuszczałnie bliski rozpaczy. John czuł się za niego odpowiedzialny zamiast trochę się o niego zatroszczyć, odgrywał rolę prywatnego detektywa, który starał się wytropić zaginioną kobietę i godzinami musiał wyczekiwać na okazję, która popchnęłaby sprawę do przodu. Różnica była taka, że prawdziwy prywatny detektyw z reguły otrzymywał za swą pracę wynagrodzenie, podczas gdy on, John, zaniedbywał właśnie pracę, która stanowiła jego źródło utrzymania.

Wszystko jedno. Skoro już zaczął, musi doprowadzić rzecz do końca.

O godzinie czwartej zaczął się ruch. Pierwsi uczniowie wyszli ze szkoły, za chwilę na ulicę wybiegały kolejne, coraz większe grupy. Spokojnej, zasypanej śniegiem ulicy niemal nie można było rozpoznać. Wypełniły ją wołania, krzyki i śmiechy dzieci i młodzieży. John wysiadł i rozejrzał się w skupieniu. Miał nadzieję, że w tym tłumie uczniów nie przeoczy Finleya.

Jednocześnie zwracał baczna uwagę na ulicę i inne zaparkowane tu auta. Niewykluczone, że doktor Stanford zjawi się osobiście, żeby odebrać syna. John nie obawiał się kolejnej konfrontacji, ale zdawał sobie sprawę, że jego szanse, żeby spotkać Finleya samego, spadną do zera, jeśli Stanford zobaczy go przed szkołą. Przypuszczałnie nie zostawi wówczas chłopca ani na moment bez opieki, nawet jeśli miałby zaangażować bodyguarda.

Ale teraz John nie mógł go nigdzie dostrzec. W końcu kiedyś ten człowiek musiał też pracować, żeby zarabiać swoje wielkie pieniądze.

Finley pojawił się przed nim tak nagle, że John niemal drgnął przestraszony. Chłopiec nie szedł, jak inne dzieci, w jednej z licznych hałasujących grup uczniów,

lecz był zupełnie sam. Rozpoznał natychmiast Johna, podszedł do niego. Zatrzymał się i patrzył na Burtona spokojnymi, pełnymi łagodności oczami.

- Witaj, Finley powiedział John i jeszcze raz kątem oka zerknął na okolicę. Nigdzie nie było widać Stanforda.

- Dzień dobry, Mr Burton odpowiedział Finley. Mój ojciec powiedział, że nie powinienem z panem rozmawiać.

- Tak, przypuszczałem, że tak będzie. I wiem, że wiele od ciebie oczekuję, kiedy proszę, żebyś zrobił to mimo wszystko. Ale to jest ważne. Tu chodzi o twoją matkę.

Finley był wyraźnie w rozterce. Nie chciał robić czegoś, czego stanowczo zabronił mu ojciec, ale był też dzieckiem, które tęskniło za matką.

- Ale pan nie zna mojej matki? spytał.

- Nie przyznał John. Nie znam jej. Ale to bardzo ważne, żeby móc z nią porozmawiać. Ważne dla kogoś, kogo znam bardzo dobrze.

Finley podniósł w górę ramiona.

- Ale ja nie wiem, gdzie ona jest.

- Czy masz jej zdjęcie? spytał John.

Finley skinął głową. Zdjął z ramion torbę, postawił ją wprost na śniegu i zaczął czegoś szukać. Po chwili wyciągnął z portfela zdjęcie i podał je Johnowi.

- To ona.

John obejrzał zdjęcie. Piękna kobieta, stwierdził natychmiast. Długie blond włosy, uderzająco duże oczy. Ostre, delikatne rysy twarzy. Ale dostrzegł też co innego: wyraz zaszczucia i strachu w tych oczach. Symptomy depresji? Czy też był to konkretny lęk, strach, który zatruwał życie Lizy Stanford?

Oddał zdjęcie chłopcu.

- Twoja mama jest bardzo piękna powiedział. Finley skinął głową.

- Tak.

- Twój ojciec jest teraz w biurze?

- Tak. Wróci do domu dopiero wieczorem.

- Jedziesz do domu autobusem?

- Tak.

- Jeśli chcesz, mogę cię podwieźć do domu i w drodze moglibyśmy trochę porozmawiać.

Finley energicznie potrząsnął głową.

- Nie wsiadam do samochodów obcych ludzi.

- Okay. Masz absolutnie rację. Ale możesz mi poświęcić pięć minut? Na krótką rozmowę?

- Mój autobus odjeżdża dopiero za dziesięć minut powiedział Finley.

- Dobrze. Finley, przyznasz, że to trudne do zrozumienia, że człowiek znika tak po prostu, *bez powodu*. A już zwłaszcza jeśli to jest matka. Musiała przecież zostawić

kogoś, kto z pewnością jest jej najdroższy na świecie, a mianowicie ciebie. Kobieta robi coś takiego tylko wtedy, kiedy jest pod ogromną presją.

- Tak powiedział Finley.

- Twój ojciec powiedział na policji, że matka zawsze cierpiała na depresję. Wiesz, co to jest depresja?

- Człowiek jest wtedy bardzo smutny.

- Otóż to. Czy można tak było powiedzieć o twojej matce? Że zawsze była smutna?

- Tak odpowiedział poważnie Finley. John spróbował z innej strony.

- U ludzi skłonnych do depresji często nie można rozpoznać powodu ich smutku. Oni sami czują, że jest jakiś powód, ale nam się wydaje, że go nie ma. Jak gdyby ten smutek był taką chorobą jak katar czy zapalenie gardła. Właśnie pewnym rodzajem choroby. Także wtedy, kiedy w życiu tych ludzi właściwie wszystko jest w porządku i wtedy każdy zadaje sobie pytanie: *Dlaczego on czy też ona jest ciągle taka smutna?* Czy tak było z twoją matką?

Na twarzy Finleya pojawił się wyraz niepewności.

- Ma pan na myśli to, że nie wie się, dlaczego jest się smutnym?

- Tak, właśnie to mam na myśli.

- Właściwie tak nie jest powiedział chłopiec cicho. Nie patrzył już na Johna.

- Więc znałeś zawsze powód jej smutku? spytał ostrożnie John. Finley skinął głową.

- I wiesz, dlaczego ona odeszła?

Finley nie zareagował. Wpatrywał się intensywnie w czubki swoich butów. John dostrzegł, że tętnice na skroniach widoczne pod jego bardzo jasną skórą pulsowały wyraźnie.

- Czy możesz mi powiedzieć? Finley pokręcił głową.

- Ale może to by mi pomogło odnaleźć twoją matkę.

Chłopiec patrzył nieruchomo niewidzącym spojrzeniem. Wydawało się, jakby liczył na jakąś pomoc, o której nie wiedział, jak ona ma wyglądać.

- Czy między twoimi rodzicami często dochodziło do kłótni? spytał John.

Finley wyglądał tak, jak gdyby chciał uciec. John zrozumiał, że go nie zatrzyma ani minuty dłużej.

Przyszła mu do głowy pewna myśl, cień możliwości odnalezienia Lizy, a do tego potrzebował kilku informacji, których nie otrzyma, jeśli będzie dalej naciskać na chłopca.

Niespodziewanie zmienił temat.

- Robisz coś jeszcze poza nauką w szkole? zapytał bez namysłu. Chodzi mi o popołudnia. Masz jakieś hobby? Rugby? Może gra na jakimś instrumencie? Czy coś innego?

Finley wydawał się zaskoczony, alei pełen ulgi.

- W środy gram w piłkę ręczną. A w czwartki mam lekcje fortepianu.

- Grasz w piłkę ręczną? O, to dobrze. Ja sam w wolnym czasie uczę dzieci grać w piłkę ręczną.

- Naprawdę? Finley spojrzał na niego z podziwem.

- Tak, naprawdę. Jesteś dobry?

- Ujdzie.

- Gracie w szkole?

- Tak.

- A lekcje gry na fortepianie... one też odbywają się tutaj?

- Nie. U prywatnej nauczycielki. W pobliżu Hampstead Tube Station.

- Rozumiem. Zakładam, że dawniej mama cię tam zawoziła, prawda? A teraz chodzisz sam?

- Tak. Mój ojciec ma mało czasu.

- Wszystko jasne, Finley. Dziękuję, że chciałeś ze mną porozmawiać. Mam nadzieję, że zdążysz na autobus.

- Jeszcze czas stwierdził Finley. Odwrócił się, żeby odejść. Do widzenia powiedział niewyraźnie.

- Do widzenia odparł John. Patrzył uważnie za chłopcem. Idąc, ściągał on ramiona trochę do przodu. Wyglądał przez to jak ktoś, kto niesie niewidzialny ciężar.

W żadnym wypadku nie jest to szczęśliwe dziecko. Choć bez wątpienia zadbane, któremu zapewniano wszelką pomoc w nauce i na które czekał w domu wielki, pełen zabawek i dobrze wyposażony pokój. A jednak chłopiec był smutny i najwyraźniej opuszczony.

Była to drobna iskierka nadziei, ale jednocześnie jedyna szansa, którą widział John: jeśli Liza Stanford była gdzieś w pobliżu, z całą pewnością spróbuje choćby od czasu do czasu dowiedzieć się, jak się czuje jej syn. Albo przynajmniej będzie chciała go tylko zobaczyć, żeby łatwiej jej było znieść taką rozłąkę. John miał nadzieję, że Liza będzie próbowała zajrzeć w te miejsca, o których wiedziała, że o określonych porach pojawiał się tam Finley. Że będzie się starała być w pobliżu, żeby go zobaczyć. Jeśli będzie miał szczęście, to może uda mu się ją rozpoznać. Spróbować ją zagadnąć albo chociaż pójść za nią.

Była to tylko nikła szansa, nic więcej. I to oznaczało, że będzie musiał zarywać niemal wszystkie popołudnia. Umyślnie nie zapytał Finleya o godziny jego zajęć pozalekcyjnych, żeby chłopcu nie wydało się to podejrzane. W tej sytuacji trzeba będzie tkwić na posterunku już od wczesnego popołudnia. Czasochłonne i przy tym mrozie bardzo nieprzyjemne.

Spojrzał na zegarek. Zastanawiał się, czy ma pojechać do biura i dopilnować wszystkiego, ale zdecydował, że załatwi to telefonicznie. A zamiast tego odwiedzi

Gillian.

Christy McMarrow siedziała w biurze inspektora detektywa Petera Fieldera. Jeszcze poprzedniego dnia poinformowała go dokładnie o swoich rozmowach z Nancy Cox i asystentką z dawnego gabinetu Anne Westley. Fielder zaś postanowił spróbować odwiedzić bliską koleżankę Anne Westley, doktor Phyllis Skinner.

Co mu się nie udało.

- Zatelefonowałem do doktor Skinner powiedział. Wolałbym co prawda odwiedzić ją osobiście, ale ona rzeczywiście leży w łóżku z ostrą grypą i nie może nikogo przyjmować. Pamięta Lizę Stanford. Opisuje ją podobnie jak ta asystentka opisała ją pani: pyszałkowata, arogancka. Zupełnie nieprzystępna. Mówiła, że Anne Westley z początku nigdy nic o niej nie mówiła, ale zaraz po przejściu na emeryturę zatelefonowała do doktor Skinner i powiedziała, że ma problem z matką jednego z pacjentów. A dokładnie mówiąc, byłego pacjenta, ponieważ w tamtej chwili Anne Westley już nie pracowała od dwóch albo trzech tygodni. Chodziło o Lizę Stanford.

- Ach! powiedziała Christy i wyprostowała się w fotelu. Fielder machnął bagatelizująco ręką.

- Niestety, ten trop nie prowadzi daleko. Doktor Skinner szykowała się właśnie do podróży i następnego dnia zamierzała pakować walizki, nie miała więc w ogóle czasu. Sprawiała wrażenie tak zabieganej, że Anne Westley zauważyła to, zanim jeszcze zdążyła wspomnieć, o co chodzi. Powiedziała więc, że może lepiej będzie spotkać się po urlopie doktor Skinner. No i kilka dni po powrocie Phyllis Skinner z urlopu miała się odbyć inauguracja domu w Tunbridge, który zbudowali Anne i Sean Westleyowie. Dzień przed imprezą mąż doktor Westley spadł z dachu domu, potem dostał w szpitalu zapalenia płuc i zmarł. Krótko mówiąc: to, co Anne Westley chciała powiedzieć koleżance, zostało zapomniane wśród nawału późniejszych tragicznych wydarzeń. Żadna z obu kobiet już o tym potem nie myślała ani nie pamiętała.

- I do tej rozmowy już później nie doszło?

- Nie. Niestety.

- Cholerny pech powiedziała zapalczywie Christy.

- Fakt zgodził się Fielder. Ale narzekanie nic nam teraz nie pomoże. Jednak tym bardziej potwierdził się fakt, że Liza Stanford odgrywa ważną rolę w tej historii. Ta kobieta знаła dwie ofiary mordercy, a jedna z tych ofiar, czyli Anne Westley, miała z nią właśnie jakiś problem. I oto Liza znikła. Jest z pewnością uwikłana we wszystkie te sprawy. Nawet nie wiemy dokładnie, z jakiego powodu i jak, ale założę się, że ona jest kluczem do rozwiązania. Albo przynajmniej jest dla nas zasadniczym etapem na drodze do znalezienia tego klucza.

- To znaczy, że musimy ją koniecznie znaleźć.

- Tak.

- Co robimy? Przepuścimy jeszcze raz solidnie przez magiel jej męża?

Fielder skinął powoli głową.

- Ten facet to cholernie twardy orzech do zgryzienia. Wydaje się sympatyczny i skłonny do współpracy, ale jak nie będzie chciał czegoś powiedzieć, to nie powie. W dodatku ma świetne układy i znajomości.

- Które z pewnością wykorzysta.

- Z absolutną pewnością. Musimy być ostrożni. Raz-dwa wniesie zażalenie na nasze czynności albo coś podobnego i uderzy od razu do tych na samej górze.

- Mimo to powiedziała Christy on jest w tej chwili naszą jedyną szansą.

- A prócz tego możemy rozpocząć oficjalne poszukiwania Lizy Stanford.

- Tego on nie pozostawi bez odpowiedzi.

- Chyba nie przyznał Fielder. Tym bardziej że możemy snuć jedynie mgliste przypuszczenia. Podstawa, na której się opieramy w naszych działaniach, przypomina cienką warstwę lodu. Jego wersja brzmi, że żona ukryła się przed światem z powodu depresji, że robi to często i dlatego nie ma powodu do niepokoju. To podważa sensowność oficjalnych poszukiwań.

Oboje umilkli zdeprymowani. W końcu Fielder spytał:

- A co z Samsonem Segalem? Pojawił się tymczasem jakiś ślad?

- On się dalej ukrywa odpowiedziała Christy. Był absolutnie moim głównym podejrzanym, ale zaczynam mieć wątpliwości. Może rzeczywiście jest tylko nieszkodliwym dziwakiem, którego teraz ogarnęła panika i boi się, że może zostać o coś oskarżony. Jest, że tak powiem, żywym przeciwieństwem kogoś takiego jak nasz szanowny doktor Stanford: to człowiek, który w razie wątpliwości nigdy nie będzie umiał sobie poradzić.

- Byłoby interesujące dowiedzieć się, czy on znał Lizę Stanford.

- Nie wspomina o niej nic w swoich zapiskach.

- Jednak nie można tego wykluczyć. Jego też musimy koniecznie znaleźć.

- A John Burton?

- Musimy go mieć na oku powiedział Fielder i dodał: Poprosiłem o akta śledcze tamtej sprawy.

- Sir, nie doszło przecież do rozprawy sądowej zaprotestowała Christy. Miała wrażenie, że szefowi trzeba będzie jeszcze nieraz przypomnieć ten fakt. Oskarżenie było przecież nieuzasadnione!

- Mimo wszystko. Chcę to jeszcze raz przeczytać.

- A ja...

- Pani spróbuje szczęścia u doktora Stanforda. Może tu pani sukces będzie większy niż mój.

Przewróciła wymownie oczami. Czuła, że Fielder chętnie wypuściłby ją na Stanforda niemal jak myśliwskiego psa. Na człowieka, z którego nie można było nic

wydobyć.

- Zrobi się, szefie powiedziała z rezygnacją.

Pierwszym, co zobaczył, idąc drogą, były szeroko otwarte drzwi domu. I wobec wszystkiego, co się stało ostatnio, nagle ogarnęło go przerażenie. Wyczuwał wręcz jakieś niebezpieczeństwo, zatrzymał się więc nagle, chcąc sobie uświadomić, jak powinien zareagować. Ale w tym samym momencie zobaczył za rogiem Gillian wracała właśnie z położonego za domem ogrodu. Widocznie była niedługo na dworze, bo nie miała na sobie płaszcza ani szalika, jedynie wysokie buty, aby móc przejść przez głęboki śnieg. W ręce trzymała plastikowe wiadro. Drgnęła przestraszona na widok przybysza, ale uspokoiła się natychmiast, kiedy zobaczyła, kto to był.

Nie była jednak szczególnie uradowana, co zauważył John.

- Witaj, Gillian powiedział.

Uśmiechnęła się, ale bardziej uprzejmie niż serdecznie.

- Witaj, John.

Podszedł do niej i pocałował ją, ale ona przekręciła głowę w ten sposób, że zaledwie musnął ustami jej policzek.

- Prawdopodobnie to nieuprzejme, że wpadam tu bez uprzedzenia powiedział. Ale byłem właśnie w pobliżu...

Była to nieprawda. We wtorki nie miał treningów i nie było absolutnie żadnego powodu, dla którego musiałyby przyjeżdżać do Thorpe Bay. Żadnego oprócz zobaczenia Gillian.

- Wejdz, proszę, do środka. Gillian weszła do domu przed nim i postawiła wiadro obok drzwi.

- Karmiłam ptaki powiedziała.

- Aha rozejrzał się. Wzdłuż ścian na korytarzu piętrzyły się liczne skrzynie, a obrazki koło wyjścia zostały zdjęte, na co wyraźnie wskazywały jaśniejsze ślady na ścianie.

- Co tu się dzieje? spytał.

- Spakowałam już trochę rzeczy odpowiedziała, wchodząc do kuchni. Chcesz kawy?

- Chętnie.

Rozejrzał się, potrząsając głową. To, co widział, wskazywało wyraźnie, że Gillian szykowała się do przeprowadzki.

Wszedł za nią do kuchni. Na dworze było już prawie ciemno, ale mimo to mógł dostrzec przez szybę w drzwiach prowadzących do ogrodu karmnik dla ptaków, umocowany na wkopanym w ziemię kiju. Odwrócił się do Gillian, która właśnie wsypywała kawę do ekspresu.

- Dlaczego nie wychodzisz przez kuchenne drzwi, kiedy chcesz wyjść do ogrodu?

Znieruchomiła na chwilę.

- Nie mam pojęcia odparła i dodała: Miałabym opory, gdybym musiała zostawić te drzwi otwarte. Nawet na parę chwil... Przez nie... wszedł morderca. To po prostu... ja nie potrafię.

- Ale drzwi wejściowych też nie powinnaś zostawiać otwartych. To trochę nieracjonalne.

Włączyła ekspres do kawy.

- Trochę? Wszystko w moim życiu jest od pewnego czasu całkowicie nieracjonalne.

Podszedł do niej bliżej.

- Gillian! Co się dzieje? Co to tutaj znaczy... Ty wszystko pakujesz? Chcesz się wyprowadzić?

- Tak. Sprzedaję ten dom. Jutro przychodzi agent.

- Czy to nie jest trochę pochopne?

- Mam mieszkać i wychowywać dziecko w domu, w którym został zamordowany mój mąż?

- A dokąd chcesz się wyprowadzić? Chcesz wynająć gdzieś tutaj mieszkanie?

- Nie zostanę tu. Wracam do Norwich. Popatrzył na nią przerażony.

- Do Norwich? Ale dlaczego?

- Stamtąd pochodzę. Tam mieszkają moi rodzice. Jako samotna matka, która musi pracować, będę musiała, niestety, często zostawiać moją córkę pod opieką innych. Wolę, żeby to byli dziadkowie niż ktoś obcy. W mojej sytuacji bliscy są mi potrzebni, a tutaj ich nie mam.

- Ale twój dom jest tutaj. Becky chodzi tu do szkoły i ma tu swoich przyjaciół. Masz w Londynie firmę, która jest źródłem twojego utrzymania. I to wszystko jest *tutaj*.

- Sprzedam tę firmę. Dobrze prosperuje, więc nie będzie z tym kłopotu. Razem z pieniędzmi ze sprzedaży domu będzie to dobry kapitał startowy. Dzięki temu będę miała też czas, żeby znaleźć pracę. Jakoś to dalej będzie.

- Wszystko już dokładnie zaplanowałaś powiedział John, nadal niczego nie pojmując.

Kawa z sykiem popłynęła ciemną strugą do filiżanek, które Gillian ustawiła w ekspresie. Dolawszy do niej spienionego mleka, ustawiła filiżanki na stole. John ostrożnie wypił łyk i mimo to natychmiast sparzył sobie wargi. Prawie tego nie zauważył. Obserwował Gillian, która wpatrywała się nieruchomo w swoją filiżankę, jak gdyby cappuccino kryło w sobie jakąś fascynującą tajemnicę. Był gotów się założyć, że ciągle jeszcze była pod wpływem szoku i także tu leżała przyczyna jej niesamowitej bladości, nieco mechanicznego sposobu mówienia i nienaturalnego

spokoju. Włosy miała nieuczesane i wyglądała jak ktoś, kto właśnie wyszedł z łóżka. Była bez makijażu, przez co sprawiała wrażenie o wiele młodszej. Wydawała się tak krucha i podatna na zranienie, że John najchętniej trzymałby ją długo w ramionach, ale wyczuwał, że to jest ostatnie, czego ona w tej chwili pragnie.

- Jakoś to dalej będzie powiedziała.

- Tak, ale czy musisz przewracać wszystko do góry nogami? A przede wszystkim, czy musisz podejmować takie decyzje teraz, kiedy nie odzyskałaś jeszcze spokoju? Gillian, upłynęły dopiero dwa tygodnie od chwili, gdy znalazłaś tutaj swojego męża. Dwa tygodnie! Jeszcze się z tym nie uporałaś, nie przetrwałaś tego w sobie. A już nieomal przekreślasz całe swoje życie!

- Taki już mam charakter i dlatego postępuję tak, a nie inaczej.

Nie znał jej takiej upartej, szorstkiej i nieprzystępnej. Czuł coraz większą rozpacz, bo nagle zauważył, że jego słowa w ogóle do niej nie docierają. Mógł mówić, co chciał, nie poruszało to Gillian w najmniejszym stopniu.

Mimo to spróbował jeszcze raz.

- Rozumiem, że nie chcesz mieszkać w tym domu. Tu masz całkowitą rację, za dużo smutnych wspomnień się z nim wiąże. Ale możesz przecież przeprowadzić się gdzieś w obrębie miasta. Poszukaj jakiegoś pięknego mieszkania dla siebie i Becky, ale nie niszczonego od razu poprzedniego życia. Nie przekreślaj go.

Nagle zaczęła sprawiać wrażenie bardzo zmęczonej.

- John, proszę. Wszystko jest już ustalone.

Teraz najchętniej chwyciłby ją za ramiona i potrząsnął. Zaskoczyła go nagła konfrontacja z tak silnymi emocjami, z *własnymi* silnymi emocjami. Chyba nigdy nie dane mu było doznać odrzucenia przez kobietę, może tylko wtedy, kiedy była rozczarowana nim samym i przebiegiem ich związku. W takich wypadkach to on stwarzał wewnętrznie jakiś dystans między kobietą a nim i przez to stawał się przyczyną frustracji partnerki. Tym razem było inaczej. Tym razem był skłonny nawet błagać, żeby ona nie wyjeżdżała.

- A gdybyś przeprowadziła się do mnie powiedział nagle i natychmiast się poprawił: Gdybyście *obie* przeprowadziły się do mnie? Ty i Becky? I oczywiście kocur Chuck?

Popatrzyła na niego zaskoczona. Przynajmniej tyle osiągnął była zaskoczona.

- Do ciebie?

- Dlaczego nie? To inne miasto, inne otoczenie, a więc wszystko, czego szukasz. I miałabyś wsparcie w opiece nad Becky.

Niemal się zaśmiała.

- John! Odczuwasz taki lęk przed jakąkolwiek stabilizacją, że nawet nie zdołałeś porządnie umeblować mieszkania. Naprawdę sądzisz poważnie, że dasz sobie radę, kiedy wprowadzą się do ciebie kobieta, dziecko i kocur?

Wiedział, że to pytanie było uzasadnione. A jednocześnie wiedział, że jego odpowiedź będzie całkowicie odpowiadała prawdzie:

- Tak. Ze wszystkim sobie poradzę, kiedy *ty* się do mnie wprowadzisz. Potrząsnęła głową.

- John...

- Proszę. Zastanów się nad tym.

- Prawie się nie znamy. Poszliśmy tylko raz do łóżka. Nic więcej między nami nie było.

Spojrzał na nią niemal z rozpaczą. Wiedział, że zanadto się pośpieszył ze swoją propozycją. Mąż Gillian został zamordowany, a ona tak naprawdę jeszcze nie była w stanie tego pojąć. On tymczasem już snuł wspólne plany na przyszłość! Zachował się jak idiota, ale nagle poczuł lęk... potworny lęk, że mógłby ją stracić.

- Jeśli tak to widzisz powiedział to rzeczywiście nic więcej między nami nie było. Ale ja od tej chwili cię kocham, Gillian.

Sprawiła wrażenie, że ją to wszystko przerasta.

- John, to po prostu niemożliwe. Zrozum to, proszę. Kiedy zdradziłam z tobą Toma, to w gruncie rzeczy zachowałam się jak małe dziecko. Dziecko, które błaga o trochę zainteresowania i poczucia bezpieczeństwa, bo mu się wydaje, że nie będzie w stanie bez tego żyć. I poprzez to spowodowałam potworną tragedię. Nie mogę przecież postępować dalej tak, jakby nic się nie stało. Rozumiesz?

- Tak. To, co się stało z twoim mężem, było potworne i doskonale rozumiem, że walczysz z koszmarnym poczuciem winy. Że analizujesz wszystkie motywy, które zaprowadziły cię do mnie. Może wyciągniesz z tego właściwe wnioski, ale... mimo wszystko jestem przekonany, że w jakiś sposób należymy do siebie. I wiem, że cię kocham.

- Ja nie mogę... zaczęła, ale on przerwał jej:

- Pierwszy raz mówię to kobiecie. Pierwszy raz czuję coś takiego do jakiejś kobiety. Proszę, wszystko jedno, co ci teraz przychodzi do głowy, nie lekceważ tak całkowicie moich uczuć.

Patrzyli na siebie w milczeniu. Po długiej chwili Gillian rzekła:

- Nie chcę ci sprawiać bólu. Ale przeprowadzam się do Norwich. Do mojej rodziny. Do reszty mojej rodziny.

Cholera. A niech to szlag. Okay. Nie będzie czołgał się przed nią na kolanach.

Ogarnięty narastającym bólem, o którym wiedział, że wkrótce będzie się wydawał nie do zniesienia, mimo wszystko zapytał:

- Czy jest coś, co mogłoby cię do mnie przekonać? Odwróciła głowę.

- Nie odpowiedziała.

Środa, 13 stycznia

1.

Piękna pogoda się skończyła i od wczesnego ranka znów sypał śnieg. Wielkie, padające gęsto płatki tworzyły niemal nieprzeniknioną ścianę dzielącą od świata wszystkich i wszystko.

John był przed południem w swojej firmie, żeby załatwić tam przynajmniej kilka najpilniejszych spraw biurowych. Bolała go głowa, choć już zdążył wziąć trzy aspiryny. Po odwiedzinach u Gillian zaszył się w Halfway House i bez żadnych zahamowań szukał zapomnienia w alkoholu. Szukał też schronienia przed natłokiem myśli, które opanowywały go coraz bardziej.

Co się, do diabła, z nim stało?

Jeszcze nigdy żadna kobieta go nie zraniła. Przede wszystkim rozstanie z kobietą jeszcze nigdy nie sprawiło mu bólu. Przez całe jego dotychczasowe życie było dokładnie odwrotnie: to on wchodził w związki, nie angażując się, i kobiety prędzej czy później zaczynały żądać czegoś, czego on nie był w stanie im dać. Wspólne życie, małżeństwo, dzieci... Wówczas po prostu się żegnał, za każdym razem z niemiłym uczuciem, że zranił osobę, która przecież nie zrobiła mu nic złego, a jednocześnie z uczuciem ulgi, że udało mu się uniknąć niebezpieczeństwa, że da się usidlić czy też przywiązać na stałe. Rozkoszował się swoją wolnością, przelotne związki traktował jako coś odświeżającego i angażował się w nie we właściwy sobie sposób:

„prawdopodobnie nie jestem zdolny do trwałego związku”. Nie był typem mężczyzny, który analizuje w kółko swoje dzieciństwo i młodość, jeszcze w dodatku z pomocą psychologa, żeby stwierdzić, jakie są podstawy jego struktury psychicznej. Jego zdaniem nie miało żadnego znaczenia, czy ojciec lub matka popełnili jakieś błędy w wychowaniu albo może w okresie jego dojrzewania coś wymknęło im się spod kontroli. W gruncie rzeczy obecnie nic już nie można było zmienić. Było, jak było.

Teraz stał po raz pierwszy wobec możliwości konfrontacji z faktem, że się mylił. Że wszystko mogło być inaczej.

John Burton stwierdził coś wstrząsającego: zakochał się w kobiecie. Zakochał się tak bardzo, że sama myśl o możliwości utraty tej kobiety wydała mu się prawie nie do zniesienia. Błagał ją, żeby z nim została, i został odprawiony w kwitkiem. Nie mogąc tego pojąć, stwierdził, że to jego uczucia nie zostały odwzajemnione lub *też już nie były* odwzajemniane. Wszystko wskazywało na to, że on po prostu nie mógł zdobyć tej kobiety. Jak gdyby w swoim życiu znów stał przed koniecznością

rozstania, ale tym razem to nie on je inicjował. I to on będzie z tego powodu cierpiał.

Zupełnie nie miał doświadczenia w tej kwestii i w pierwszym odruchu zareagował po prostu ucieczką: najpierw się upił, żeby przynajmniej złagodzić ból dręczących go myśli.

Około wpół do dziesiątej wsiadł do samochodu i ruszył w drogę do domu, choć właściwie był kompletnie niezdolny do prowadzenia pojazdu. Wiedział, że fakt, iż nie został zatrzymany przez jakiś patrol policji drogowej, graniczył wprost z cudem jechał wyjątkowo agresywnie, bezwzględnie, wręcz wyzywając los. Wściekłość, którą czuł teraz w stosunku do Gillian, wyładował poprzez sposób, w jaki prowadził. A ponieważ miał więcej szczęścia niż rozumu, jak sam później mówił, zajechał bez najmniejszego szwanku wprost pod drzwi swojego mieszkania, wtoczył się po schodach na górę i runął na materac, nawet nie zdejmując ubrania. Nie zasnął następnego dnia, co zawdzięczał swojemu budzikowi: denerwujące, bardzo głośne pikanie obudziło go punktualnie o wpół do siódmej z ciężkiego snu, zmusiło do wstania mimo dotkliwego bólu głowy i wyschniętych ust. Odzież i łóżko śmierdziały wprost niemiłosiernie oparami alkoholu i tłuszczu używanego w kuchni pubu Halfway House. Pełen odrazy do samego siebie dowlóknął się do łazienki i wszedł pod prysznic, potem doprowadził się do stanu względnej zdolności do pracy za pomocą trzech filiżanek mocnej kawy oraz kilku tabletek aspiryny. Zanim dotarł do biura, czuł się już lepiej. Chyba jeszcze nigdy w życiu nie wypił tyle alkoholu co poprzedniego wieczoru przysięgł sobie, że więcej tego nie zrobi. Mógł stracić prawo jazdy i mieć na karku postępowanie karne, a wszystko z powodu Gillian. Dlatego że go odtrąciła.

Nigdy więcej. Nigdy więcej nie zrobi z siebie idioty z powodu kobiety. W okolicach pory obiadowej poczuł niepokój. W biurze było dość roboty, żeby spędzić cały dzień za biurkiem, ale on zamierzał o trzeciej zająć swoje miejsce naprzeciw William Ellis School w nadziei, że matka Finleya Stanforda pojawi się tam, żeby choć potajemnie spojrzeć na syna, kiedy ten będzie szedł na zajęcia sportowe. Pytanie brzmiało: czy John miał jeszcze w ogóle ochotę mieszać się w tę historię. Jego głównym motywem była dotychczas Gillian, fakt, że była ona częścią tajemniczych wydarzeń i że prawdopodobnie groziło jej niebezpieczeństwo. Czy wobec rozwoju sytuacji miał się jeszcze z powodu Gillian angażować w coś, co właściwie już go nie obchodziło?

W końcu zdecydował jednak, że robi to, co zamierzał. Obrazić się i wycofać ze wszystkiego jak dziecko to po prostu do niego nie pasowało.

Zadzwoił do klubu piłki ręcznej. Oświadczył, że złapał ciężkie przeziębienie, dlatego dziś, a także przez cały tydzień nie będzie w stanie prowadzić treningów. Potem włożył kurtkę, wziął kluczyki samochodowe i opuścił biuro. Natychmiast niemal zniknął w padającym gęsto śniegu.

O trzeciej zaparkował przed szkołą Finleya Stanforda. I czekał. Wypatrywał. Padający śnieg nie ułatwiał zadania.

Kiedys i gdzie matka Finleya musiała się w końcu pojawić.

Tak powiedział Luke Palm. Dom jest rzeczywiście w dobrym stanie. Zadbany i bardzo ładny.. Nie widzę tu wielkich problemów.

Stali oboje w jadalni. Na dworze powoli zapadała ciemność. Sypał śnieg. I to bez przerwy, od wczesnego ranka.

Palm obejrzał wszystko, zrobił też trochę notatek. Potem skinął głową z zadowoleniem.

- Nie będzie problemów powtórzył.

Gillian czuła osobliwe napięcie. Nawet pozytywne uwagi Palma nie były w stanie tego zmienić. Nie powiedziała jeszcze tego, co wydawało jej się zasadnicze, i nie była pewna, czy Palm tego nie wie. Ale chyba wówczas dałby to po sobie poznać.

- Jest jeszcze coś... powiedziała z wahaniem.

- Tak?

- Chciał pan wiedzieć, dlaczego sprzedaję ten dom, a ewentualni kupcy też będą o to pytać. Powiedziałam panu, że mój mąż umarł i dlatego chcę się przeprowadzić tam, gdzie mieszkają moi rodzice. Prawda jest taka, że on nie umarł. On... Nie dokończyła.

Palm skinął głową.

- Wiem. Nie skojarzyłem tego od razu, kiedy pani do mnie dzwoniła, ale kiedy zacząłem się zastanawiać, skąd znam pani nazwisko, wszystko stało się jasne. Pani nazwisko widziałem w jakiejś gazecie. Wiem, pani mąż...

- On został zamordowany. Znalazłam go tutaj, w tym pokoju. Palm rozejrzał się zakłopotany.

- Rozumiem...

- Niektórych kupców pewnie to odstraszy.

- Nie musimy tego mówić stwierdził Palm. Jeśli ktoś sam się o tym dowie i potem zrezygnuje, to nie będziemy mogli nic na to poradzić. Ale w żadnym razie nie musimy tego od razu mówić.

Gillian skinęła głową.

- Dziękuję. To był powód, dla którego wybrałam pana. Pomyślałam, że zrozumie pan to wszystko lepiej. Ponieważ pan... ma trochę przykrych doświadczeń...

Oboje umilkli pogrążeni nagle w niewesołych myślach i wspomnieniach. Obojgu przyszło do głowy, że człowiek nawet się nie spodziewa, jak absurdalne sytuacje mogą się stać jego udziałem. Palm zastanawiał się nad osobliwością jakiegoś dziwnego zrzędzenia losu, w efekcie którego stawał się właśnie agentem specjalizującym się niejako w sprzedaży domów, w których popełniono zbrodnię. A Gillian pomyślała, że uważałaby za szalonego każdego, kto kilka tygodni wcześniej spróbowałby przepowiedzieć jej takie właśnie, a nie inne koleje losu: że będzie

sprzedawała swój dom i przeprowadzała się do East England. I że w tym celu wyszuka sobie agenta, któremu nie będzie musiała tłumaczyć zawłości tej sytuacji, bo on sam znalazł już raz w sprzedawanym przez siebie domu ofiarę morderstwa i miał za sobą związany z tym chaos i uraz psychiczny.

Odprowadziła Luke'a do drzwi, pożegnali się i za chwilę zobaczyła, jak śnieżna zadymka pochłonięła Palma, zanim jeszcze dotarł przez ogród do ulicy, gdzie zaparkował samochód.

„Zupełnie jak kurtyna” pomyślała z mimowolnym dreszczem.

Jej spojrzenie padło na wiadro z karmą dla ptaków, które stało obok drzwi. Całkiem dziś zapomniała nakarmić ptaki, a w dodatku nie wiedziała, czy one po nastaniu ciemności w ogóle jeszcze przylecą do karmnika. Ale chciała dać im przynajmniej taką szansę. Westchnęła, włożyła wysokie buty, kurtkę, wzięła wiadro i zaczęła się przedzierać przez głęboki śnieg do ogrodu, okrążając dom.

Tymczasem zrobiło się zupełnie ciemno.

Wcale nie było łatwo się tam przedostać. Gillian ugrzęzła w śniegu powyżej kolan. Wysokie buty praktycznie nic nie dawały, spodnie przemokły jej niemal natychmiast i pomyślała, że potem będzie musiała się przebrać. A poza tym prawie nic nie widziała. Kiedy dotarła do karmnika i obróciła się, ledwo mogła rozpoznać własny dom. W gęsto padającym śniegu dostrzegła światło w kuchni.

Nasypała kilka garści karmy do domku zadowolona, że jednak to zrobiła: to, co nasypała wczoraj, ptaki już zjadły, nie pozostało ani jedno ziarenko.

Trzymając rączkę wiadra w zmarzniętych palcach, brnęła do domu. Śnieg topił się na jej włosach i ściekał po twarzy. Taniec miotanych wiatrem śnieżnych płatków sprawił, że niemal zrobiło jej się niedobrze. Brodząc w głębokim śniegu wzdłuż domu, odetchnęła z ulgą, kiedy dotarła do drzwi zapalona w korytarzu lampa przynajmniej oświetlała wejście. Wnętrze obiecywało ciepło, było też suche i przytulne. Czowała się jak po wędrówce przez Arktykę, a przecież wyszła zaledwie do własnego ogrodu. Zamknęła drzwi, odgradzając się od śniegu, zimna i zapadającej nocy.

W lustrze, które wisiało zaraz przy wejściu, zobaczyła osobliwy widok: ona sama z warstwą śniegu na włosach, niżej zupełnie mokre pasma włosów, śnieg na jej ramionach, przemoczone džinsy. Zdjęła kurtkę, pochyliła się i ściągnęła buty. Wszystko było mokre. Kiedy się wyprostowała, wydawało jej się, że dostrzegła w lustrze za sobą jakiś ruch.

W kuchni.

Na kilka sekund zastygła nieruchomo. Coś jak cień, który przemknął dalej w ułamku sekundy, i nie była pewna, czy jej się nie wydawało. To było tak szybko. Może jej ruch spowodował złudzenie, że dostrzegła coś innego.

Serce zabiło jej nagle tak gwałtownie i szybko, że odczuwała to wprost niezwykle wyraźnie.

Jak długo była na dworze? Pewnie niewięcej niż pięć minut. Drzwi domu były wtedy szeroko otwarte. Gdyby ktoś czekał na zewnątrz na okazję, to ona akurat się pojawiła: pięć minut z pewnością wystarczyło, żeby wejść do domu przez szeroko otwarte drzwi i ukryć się gdzieś w środku. I czekać na kobietę, która tu mieszkała.

Nagle poczuła niezachwianą pewność, że ktoś tu był. Czuła to. Nie była sama.

Jej pierwszym impulsem było zadzwonić na policję, ale kiedy się gwałtownie odwróciła, dostrzegła, że telefonu nie było w ładowarce w korytarzu. Zapewne leżał w kuchni i jeśli tam się ktoś ukrył, to wejście do środka graniczyłoby z szaleństwem. Czy miała pójść do sąsiadów? *Halo, czy mogę od was zadzwonić na policję? Widziałam jakiś cień w mojej kuchni.*

Ośmieszyłyby się zupełnie, gdyby się okazało, że tu nikogo nie było.

Ale tu ktoś jest! Słyszę jego oddech!

Z trudem zdołała stłumić histeryczny szloch, kiedy stwierdziła, że to, co słyszała, było jej własnym oddechem.

Ja oszaleję. I, do cholery, nie odważę się wejść do własnej kuchni!

Zastygła w bezruchu, wprost sparaliżowana i zupełnie niezdolna do podjęcia najprostszej decyzji. Nie miała niczego, czym mogłaby się w razie konieczności bronić.

W żadnym wypadku nie wolno jej było się oddalić od drzwi wyjściowych, które teraz stanowiły drogę ucieczki. Ale czy wobec tego miała tu stać całą noc? A co, jeśli ten ktoś miał żelazne nerwy i także będzie czekać tak długo, aż ona popełni jakiś błąd?

„Może mi się tylko coś wydawało” pomyślała.

I dokładnie w tym momencie zgasło światło. Wszędzie. W całym domu. W jednej sekundzie zrobiło się zupełnie ciemno.

Gillian nie wytrzymała i zaczęła krzyczeć. Otworzyła gwałtownie drzwi, wybiegła na zewnątrz, w ciemność i śnieg, choć była tylko w skarpetach i bez żadnego okrycia. Wybiegłaby nawet, gdyby była całkiem bosa. Była jak najdalej. Uciekać ze śmiertelnej pułapki, w którą zamienił się jej dom w ciągu zaledwie kilku minut.

Dotarła do końca drogi prowadzącej przez ogród, kiedy przed nią pojawił się nagle jakiś cień. Wyłonił się dosłownie znikąd, jak gdyby na nią czekał. A ponieważ stanął na jej drodze, biegnąc, uderzyła weń z rozpędem i zaczęła krzyczeć, waląc na oślep pięściami w nieznaną jej istotę. Strach spowodował, że była jak oszalała. Słyszała tylko szum krwi we własnych uszach, spazmatyczny oddech i krzyk. Nagle ktoś przytrzymał żelaznym uchwytem jej nadgarstki i ściągnął je w dół.

- Co się dzieje, na miłość boską?! usłyszała męski głos.

- Puść mnie! krzyknęła zdyszczanym głosem.

- To ja, Luke Palm. Co się stało? Przestała się bronić.

- Luke Palm? krzyknęła przeraźliwym, wysokim głosem. Luke pojawił się jak nie z tego świata.

- Zostawiłem chyba u pani swój notatnik. Dlatego wróciłem. Przecież pani cała drży!

Jej ramiona zrobiły się nagle całkiem bezwładne.

- Proszę mnie puścić.

Ostrożnie uwolnił jej nadgarstki, obawiając się, że znów zacznie go bić. Ale ona nie była w stanie się ruszyć. Resztką energii, która jej pozostała, była konieczna do tego, żeby nie osunąć się w śnieg.

- U mnie w domu ktoś jest wyszeptała. Nagle poczuła, że wprost brakuje jej sił, żeby mówić głośno.

- U pani w domu? Kto?

- Nie wiem. Ale tam ktoś jest. I nagle zgasło światło.

- Przecież byliśmy dopiero co w każdym pomieszczeniu. Nikogo nie było.

- Karmiłam ptaki. I drzwi były otwarte. Kiedy wróciłam... w kuchni był jakiś cień... zauważyła sama, że brzmiało to nierealnie. Stopniowo uspokajał się jej oddech i bicie serca. Poczowała zimno i to, że stoi praktycznie boso w śniegu. Stopy miała jak sople lodu. Dygotała z zimna.

Palm także to zauważył.

- Przecież pani prawie nic nie ma na sobie. Chodźmy, musi pani wrócić do domu.

- Ale tam ktoś jest powtórzyła.

- Pójdę z panią powiedział odważnie Luke. Potykając się, brnęła obok niego do drzwi wejściowych.

W korytarzu panowała całkowita ciemność. Palm wymacał wyłącznik, ale światła nie było.

- Prawdopodobnie bezpiecznik. Ma pani tu gdzieś latarkę?

Przestała dygotać ze strachu, za to teraz trzęsła się z zimna i szczękała zębami.

- Tak... w... szufladzie... w komodzie... pod lustrem... na górze... Tymczasem ich oczy zdążyły nieco przywyknąć do ciemności, a poza tym, mimo padającego gęsto śniegu, do środka wpadało trochę światła z latarni ulicznej. Luke Palm otworzył szufladę, znalazł latarkę i włączył ją.

- Gdzie pani widziała ten cień?

- W kuchni.

Palm nagle przestał się tak palić do tego, by wejść do ciemnego pomieszczenia.

- Bezpieczniki są w piwnicy? spytał.

- Tak ale chce pan teraz rzeczywiście iść do piwnicy?

- Wszystko będzie prostsze, kiedy będziemy mieli światło.

Zeszli po schodach na dół do piwnicy. Przy skrzynce z bezpiecznikami stwierdziła, że faktycznie wyskoczył główny bezpiecznik. Palm go włączył. Natychmiast dotarło do nich jasne światło z korytarza.

- Jak to się mogło stać? spytała Gillian skonsternowana.

- Nie mam pojęcia. Coś przeciążyło system. Chodźmy na górę.

Na górze światła były włączone we wszystkich pomieszczeniach. Zajrzeli do kuchni. Było w niej pusto.

- Myślę, że nikogo nie ma stwierdził Palm. Na wszelki wypadek szarpnął drzwiami prowadzącymi do ogrodu i wydał okrzyk zaskoczenia, kiedy się otworzyły.

- Drzwi nie są zamknięte! Czy zamknęła je pani ostatnio? Jest pani pewna?

- Nie wiem przyznała Gillian. Wydaje mi się, że zawsze je zamykam, ale nie mogę przysiąc, że zrobiłam to teraz.

Palm wyjrzał na zewnątrz. Na tarasie było kilka śladów stóp, nieco już zasypanych śniegiem. Nic dziwnego on i Gillian byli przedtem razem na dworze.

Luke nabrał odwagi. A Gillian sama sobie wydała się teraz trochę śmieszna. Zajrzeli do jadalni, do salonu, przeszukali pierwsze piętro i spiżarnię, ale nigdzie nie było żywej duszy.

- Chyba zachowałam się idiotycznie powiedziała Gillian, kiedy w końcu wrócili do salonu. Wydawało mi się, że naprawdę widziałam jakiś ruch, ale to chyba było urojenie. Obawiam się, że moje nerwy są na wykończeniu...

- To nic dziwnego. Po tym wszystkim, co się tu zdarzyło, po tym, co musiała pani przeżyć... Każdy od czasu do czasu wpadłby w panikę. Niech pani nie robi sobie wyrzutów.

Stali naprzeciw siebie. Gillian spojrzała na pękniętą wargę Luke'a.

- Co to jest? spytała w poczuciu winy.

Palm przejechał wskazującym palcem po wargach, drgnął, poczuwszy niespodziewany ból i uśmiechnął się.

- Nie jest pani najgorsza w boksowaniu.

- Przykro mi, przepraszam...

- Nie ma problemu, przeżyję to. Niech pani posłucha, czy nie sądzi pani, że należałoby zawiadomić policję? Oni mogliby kogoś przysłać, żeby się tu dokładnie rozejrzał.

Gillian potrząsnęła głową.

- Ośmieszę się tylko. Wystarczy, że wygłupiłam się przed panem. Popatrzył na nią bardzo poważnie.

- Sądzę, że to nie jest właściwy sposób myślenia. Nie jest pani kobietą, która z nieuzasadnionych powodów nagle wpadła w histerię. Gdzieś ciągle jeszcze jest morderca, którego policja nie złapała, i on był już w tym domu. Czy policja w ogóle wie, że pani jest tu sama?

- Nie. Oni tego nie wiedzą.

- Nieszczerze mi się to podoba.

- Mr Palm... Przerwał jej.

- Myśli pani zapewne, że mnie to nic nie powinno obchodzić, ale po tym, kiedy pojawiłem się tu jako swego rodzaju ratownik i szukałem razem z panią owego cienia, czuję się także za to wszystko odpowiedzialny. Nie najlepiej się czuję na samą myśl o tym, że mam pojechać do domu i zostawić tu panią samą.

- Zarygluję wszystkie drzwi.

- Ale już zostawiła pani otwarte drzwi kuchenne. To jest niepokojące. Nie powinna pani być sama.

Wiedziała, że on ma rację. Czy *cień*, który widziała, był człowiekiem z krwi i kości, czy też nie działa się dobrze, kiedy była sama. Pojęła teraz, jak będzie wyglądała ta noc i następne: nie będzie w stanie spać. Zostawi zapalone światło. Ze wstrzymanym oddechem będzie nasłuchiwać każdego szmeru w domu. Przy jakimkolwiek dźwięku będzie siedziała wyprostowana w łóżku, sztywna ze strachu.

Właśnie tego doświadczyła i wiedziała: jej nerwy nie zniosą już takiej sytuacji.

- Coś wymyślę obiecała.

3.

Był kompletnie przemarznięty, kiedy dotarł do domu, choć w drodze powrotnej włączył ogrzewanie w samochodzie na całą moc. Za długo brnął tam i z powrotem przez śnieg, za długo przebywał na dworze w tak niskiej temperaturze. I teraz nic już nie pomagało przy tak silnym wychłodzeniu organizmu. Miał nadzieję, że pomoże długi, gorący prysznic.

Lizy Stanford nie udało mu się zobaczyć. John obserwował szkołę i przylegającą do niej halę sportową, najpierw siedząc w samochodzie, ale potem wydało mu się, że pole widzenia jest stąd zbyt małe. Wsiadł więc z samochodu, całe popołudnie włóczył się po terenach szkoły i przede wszystkim wokół wszelkiego rodzaju boisk sportowych, wciąż uważając, by jego obecność nie rzuciła się nikomu w oczy. Dorosły mężczyzna, który pozornie bez celu kręcił się w pobliżu miejsc, gdzie przebywali nieletni uczniowie, był zawsze bardzo podejrzany. Oznaczało to, że stale musiał zmieniać punkt, z którego prowadził obserwacje, co z kolei oznaczało też nieco więcej ruchu. Ale mimo to w końcu coraz mocniej dawały mu się we znaki wilgoć i zimno; najpierw zaczęły mu marznąć stopy, potem dygotał już na całym ciele, aż wreszcie miał dosyć. Zaczął tracić wiarę we własny plan kto w ogóle powiedział, że Liza interesowała się synem? A jeśli nawet, to czy będzie próbowała zaspokoić swoje pragnienie ujrzenia syna, rzucając na niego choćby tylko krótkie spojrzenie w czasie jego zajęć pozaszkolnych? A kto powiedział, że ona w ogóle żyje? Może czekał po prostu na fantom, kręcąc się jak pedofil wokół szkoły i przeraźliwie marznąc.

I kiedy wreszcie późnym popołudniem zobaczył Finleya wychodzącego ze szkoły i idącego w stronę autobusu, a dookoła nie było widać choćby cienia jego matki, postanowił zrezygnować. W ogóle. To wszystko to nie była jego sprawa. W końcu niech policja wyjaśni tę zagadkę. Dla niego wraz z dzisiejszym popołudniem wszystko było zakończone.

Kiedy szedł po schodach do swojego mieszkania, czuł się jak ktoś uwolniony od wielkiego ciężaru. Przeskakiwał po dwa stopnie, by jak najprędzej dotrzeć do ciepłego mieszkania. Rozstać się z tą sprawą oznaczało także uwolnić się od Gillian. Co musiało mu się koniecznie udać. Nie był typem mężczyzny, który całymi latami marzy o nieosiągalnej kobiecie, jak Fielder ten w efekcie bezustannej tęsknoty za Christy po prostu się ośmieszał.

Koniec. Z głowy. Po sprawie.

Zatrzymał się gwałtownie, kiedy zobaczył jakąś skuloną postać siedzącą na ostatnim stopniu schodów przed jego mieszkaniem. Samson Segal patrzył na niego rozszerzonymi ze strachu oczami.

- Wreszcie powiedział.

Samson był ostatnią osobą, którą John spodziewał się spotkać i w gruncie rzeczy także ostatnią, którą w ogóle chciał mieć na karku. Przy czym dzisiejszego wieczora

nie chciał w ogóle nikogo widzieć. Marzył jedynie o gorącym prysznicu, podwójnej whisky i całkowitym spokoju.

- Samson! powiedział zaskoczony. Jak pan tu wszedł?

Samson podniósł się niepewnie i John zauważył przy tym, jak bardzo był wynędzniały. Od czasu ich pierwszego spotkania w pensjonacie koło dworca Samson gwałtownie schudł. Chyba rzeczywiście czuł się paskudnie.

- Jeden z pana sąsiadów tu w domu wpuścił mnie do środka. Siedziałem na dole przy wejściu i już dygotałem z zimna, więc on się zlitował. Powiedziałem, że jestem pańskim pracownikiem i muszę z panem pomówić.

- Rozumiem John pojął, że teraz nie pozostawało mu nic innego, jak wpuścić Segala do mieszkania. Niech pan wejdzie. Tu na klatce schodowej też jest zimno. Musiał pan strasznie zmarznąć.

Samson przytaknął.

- Tak. I nie za bardzo... dobrze się czuję powiedział z trudem.

John otworzył drzwi i zaprowadził Samsona do salonu, gdzie posadził go w jedynym fotelu, który stał nieco samotnie na błyszczącym parkiecie pośrodku dużego pomieszczenia. Ale przynajmniej pokój był dobrze ogrzany.

- Chce się pan czegoś napić?

- Najchętniej gorącej herbaty.

John zniknął w kuchni. Wstawił wodę do gotowania i zaczął szukać w szafkach herbaty. Rzadko pijał herbatę, zwykle nie miał jej zapasów i teraz nie był pewien, czy coś znajdzie. Po dłuższych poszukiwaniach znalazł dwa woreczki herbaty miętowej i wrzucił je do dzbanka. Ustawił na tacy dwa kubki oraz cukierniczkę i zastanawiał się, czekając, aż się zagotuje woda. Co kazało Segalowi opuścić bezpieczną kryjówkę na budowie i dotrzeć aż tutaj? Właściwie znał odpowiedź: Samson był w naprawdę kiepskim stanie psychicznym i poczucie opuszczenia na tym odludziu stało się już nie do zniesienia. Po prostu nie wytrzymał.

Powinienem być częściej do niego zaglądać. Ale przecież się nie rozerwę.

Nagle poczuł, że jego życzenie, żeby skończyć z tą historią, wycofać się ze wszystkiego i wrócić do normalnego życia, niełatwo będzie na razie zrealizować. Teraz przykleił się do niego ten Segal, a ponieważ był to człowiek poszukiwany od dwóch tygodni przez policję, którego John po prostu ukrył, to siedzieli razem we wspólnych tarapatach.

Zaklął, wlewając gorącą wodę do dzbanka. Jak mógł być taki głupi! Zaoferować schronienie człowiekowi, który był poszukiwany w związku ze sprawą trzech morderstw i w dodatku poprzez swoje zachowanie stał się jeszcze bardziej podejrzany.

Nigdy się nie nauczysz, Burton Jak unikać trudności!

Wrócił do salonu z tacą. Samson siedział nieruchomo dokładnie tam, gdzie go zostawił. Z braku stołu John postawił tacę wprost na podłodze i usiadł na parkiecie,

opierając się o ścianę. Gorący prysznic będzie chyba musiał poczekać.

- Dlaczego przyszedł pan tutaj, Samson?

Samson sprawiał wrażenie nieszczęśliwego i pełnego poczucia winy.

- Ja już nie wytrzymałem. Wyruszyłem wczoraj w południe. Zamknąłem dobrze przyczepę. Tutaj są klucze. Wyciągnął klucze z kieszeni kurtki i położył je na podłodze.

- Wczoraj w południe? To gdzie pan spędził ostatnią noc?

- Dotarłem tu wczoraj wieczorem. Znalazłem pana adres w książce telefonicznej. Najpierw jechałem długo różnymi autobusami. A potem czekałem całą wieczność pod pana drzwiami. Ale... pan nie przyszedł.

Jasne. Wczoraj wieczorem całymi godzinami pił w knajpie, żeby się uporać z odrzuceniem przez panią jego serca.

- W końcu nie byłem w stanie znieść zimna mówił dalej Samson. To poszedłem na dworzec i spędziłem tam całą noc, stale zmieniając miejsce, żeby za bardzo nie rzucać się w oczy. Strasznie się bałem, że złapie mnie policja.

- To było cholernie ryzykowne, Segal. Miał pan naprawdę szczęście.

- Wiem, ale co miałem robić? Zamarznąć u pana przed wejściem?

- Powinien był pan zostać w przyczepie.

- Ja już tam nie wytrzymam. Proszę mnie zrozumieć. Siedziałem tam i czułem, że zaraz oszaleję. Nie wiem, co się dzieje. Czy ciągle jestem podejrzanym? A może policja tymczasem złapała już kogoś innego? Czy będę musiał się ukrywać całe lata, czy da się to w ogóle przewidzieć? John, człowiek może oszaleć od takich myśli, naprawdę!

- Mogę to zrozumieć.

- I przyszedłem tu dzisiaj przed południem. Pana jeszcze nie było. Ale na szczęście ten starszy pan mnie dosyć szybko wpuścił.

- Czyli siedzi pan tutaj pod drzwiami już sześć czy siedem godzin? Samson skinął głową. John się zastanawiał.

- Dokąd chce pan teraz iść?

Na twarzy Samsona pojawiło się przerażenie.

- Nie mogę zostać tutaj?

- To dla mnie spore ryzyko.

- Wiem. Ale nie mam nikogo oprócz pana.

- Nie wyrzucę pana za drzwi, nie ma obawy. Ale coś musimy wymyślić.

John pił herbatę i zastanawiał się. Gorący napój dobrze mu robił, mimo że nienawidził smaku mięty. Problemem było to, że niezależnie od tego, jak długo będzie rozmyślał, przypuszczalnie nie przyjdzie mu do głowy nic innego, niż zatrzymać Segala tutaj pozostaje jeszcze tylko mieć nadzieję, że policja nie

wpadnie na pomysł złożenia mu wizyty. Samson nie mógł wrócić do domu, do brata i bratowej, a do przyczepy nie dałoby się go teraz zawlec za nic w świecie.

Będzie się do mnie kleił tak długo, aż znajdą sprawcę.

John zastanawiał się, czy to w ogóle nastąpi. Jak wiedział od Kate Linville, Fielder i jego ekipa także szukali Lizy Stanford ale czy uda im się ją znaleźć? I jak długo to będzie trwać?

Znów nie był pewny swojej decyzji, żeby się z tego wszystkiego wycofać.

Może za bardzo przeceniał samego siebie, może było to związane z jego niechęcią do Petera Fieldera, ale miał jakieś przeczucie, że wcześniej niż policji uda mu się przeniknąć ten beznadziejny gąszcz, splot osobliwych okoliczności tej sprawy. Pytanie tylko, czy miał jeszcze na to ochotę.

A może to, czy miał ochotę czy nie, nie grało już żadnej roli. Może do następnego ruchu zmuszał go fakt, że zetknął się z Samsonem Segalem.

- Zastanawiałem się już, czy nie oddać się w ręce policji powiedział Samson. Przynajmniej wszystko byłoby już za mną. Ciągłe uciekać to potworne. Ukrywać się. I nie widzieć końca tego wszystkiego. Czasami naprawdę chcę się poddać.

- Proszę, niech pan tego przedwcześnie nie robi. Niech pan nie zapomina, że ja poprzez pana też jestem w to wmieszany.

- Nikomu nie powiem, że pan mi pomógł zapewnił natychmiast Samson.

John potrząsnął głową. Samson Segal nie miał zielonego pojęcia o wyrafinowanych metodach przesłuchań ani o nieustępliwości śledczych. Błyskawicznie zaplątałby się w swych zeznaniach, tak że raz-dwa wyspiewałby dokładnie wszystko, i to z najdrobniejszymi szczegółami.

- Ja coś mam... zaczął John.

W oczach Samsona natychmiast dostrzegł cień nadziei.

- Tak?

John bagatelizująco machnął ręką.

- Niech się pan nie cieszy zbyt wcześnie. Nie mam pojęcia, dokąd zaprowadzi ten trop. W każdym razie w sprawie zaczyna się coś dziać. Także po stronie policji. Już od dawna nie jest pan tam typowany jako jedyny możliwy sprawca.

- Ale wtedy..

- Na pańskim miejscu na razie pozostałbym w ukryciu. Jak mówiłem, ten nowy ślad może się okazać całkiem nieistotny. A poza tym i tak naruszył pan prawo, uchylając się od złożenia zeznań na policji.

- Ale to nie to samo co oskarżenie o trzykrotne morderstwo odparł Samson.

Temu John nie mógł zaprzeczyć.

- Zgadza się powiedział.

Było dla niego jasne, że jutro musi podjąć jeszcze jedną próbę. Finley Stanford miał iść na lekcję gry na fortepianie. Gdzieś w pobliżu Hampstead Tube Station. Ta

okolica przynajmniej będzie łatwiejsza do obserwacji niż rozległe tereny przylegające do szkoły, a John nie będzie się rzucać w oczy.

- A więc dzisiejszą noc spędzi pan w każdym razie tutaj powiedział.

Gdzieś tu powinienem mieć śpiwór, dostanie go pan. A potem zobaczymy, co będzie.

Teraz intuicja podpowiadała mu wyraźniej niż kiedykolwiek, że Liza Stanford jest kluczem do rozwiązania tej sprawy. Że spotkanie z nią wyjaśniłoby bardzo wiele i być może wszystko zmieniło. Także w życiu nieszczęsnego Samsona Segala.

- Nie wiem, jak pan powiedział ale ja jestem potwornie głodny. A ponieważ musimy unikać szerszej publiczności, mój ulubiony lokal na końcu ulicy odpada. Zamówię dla nas pizzę. Zgoda?

- Ja też jestem potwornie głodny przyznał Samson. Nic nie jadłem od wczoraj w południe.

- No to już czas coś zjeść. John poderwał się na nogi. Jaką pizzę lubi pan najbardziej?

Pierwszy raz zobaczył na twarzy Samsona uśmiech.

- Hawajską powiedział tamten radośnie.

4.

Kiedy zadzwonił posłaniec z pizzą, było już po jedenastej. Wraz z nim do mieszkania wtargnęły zimno i zapach śniegu. Tara wzięła oba pudełka, zapłaciła i wróciła do salonu, gdzie na sofie siedziała Gillian ubrana w piżamę, szlafrok i grube wełniane skarpety. Włosy miała jeszcze mokre pół godziny leżała w gorącej kąpieli, żeby się zrelaksować i rozgrzać. Tara dodała do wody jakiejś esencji pachnącej eukaliptusem, która miała zapobiec przeziębieniu. Upierała się przy tym, kiedy usłyszała, że jej przyjaciółka biegła po głębokim śniegu w samych skarpetach.

- Zmarznięte stopy to niebezpieczne. A przeziębienie jest ci w tej chwili zupełnie niepotrzebne.

Zareagowała na telefon od Gillian z niejaką ulgą. A Gillian przez bardzo długą chwilę walczyła z sobą, ale nie przyszedł jej do głowy nikt inny, do kogo mogłaby uciec oprócz Johna, ale to było związane z kolejnymi problemami. Była przestraszona, wprost przepełniona dojmującym uczuciem paniki, a jednocześnie pełna wahań i rozterki, czy nie zareagowała zbyt histerycznie na coś, co być może po prostu sobie wmówiła.

Siedziała jeszcze kilka godzin z Lukiem Palmem w kuchni, aż w końcu około dziewiętej Luke powiedział, że musi jechać do domu, ale zrobi to tylko wtedy, jeśli Gillian zdecyduje się nie spędzać tej nocy samotnie. Do niej samej też dotarło, jak wielki czuje strach i że nie wytrzyma w swoim domu ani minuty dłużej. Dlatego zadzwoniła do Tary. Luke Palm zabrał ją samochodem do Londynu i wysadził wprost pod drzwiami Tary. Jego ulga była wyczuwalna, ale sprawiła, że strach Gillian jeszcze wzrósł. Gdyby traktował ją jak przewrażliwioną neurotyczkę, która pozwoliła sobie nadmiernie rozhuścić własną fantazję, czułaby się dużo spokojniejsza. Ale Palm bardzo poważnie potraktował wydarzenia tego wieczoru.

Myślała, że to może normalne w przypadku mężczyzny, który znalazł zamordowaną kobietę w domu położonym daleko w lesie. Luke Palm miał teraz nieco inne spojrzenie na rzeczywistość niż przed tym wszystkim, co dane mu było przeżyć.

Tara robiła jej wyrzuty, dlaczego od razu nie zadzwoniła na policję.

- To było najśluszniesze, co mogłaś zrobić! Oni muszą wiedzieć, że dzieje się coś takiego!

- Tara, ja przecież nie jestem w ogóle pewna, czy coś się stało. Zdawało mi się, że widziałam jakiś cień w kuchni. Ale może się pomyliłam. Może mi się wydawało. Ten agent i ja obszukaliśmy potem cały dom. Nikogo nie było.

- I przy tych poszukiwaniach zdeptaliście dokładnie wszystkie ślady, które być może znalazłby policyjny ekspert. To nie było zbyt mądre z twojej strony, Gillian.

- Sama sobie wydawałam się śmieszna powiedziała cicho Gillian. Nie zgodziła się też na zawiadomienie policji przynajmniej teraz, po wszystkim, jak

proponowała Tara.

- Nie. Będą mi robić te same wyrzuty co ty, Tara. Jestem wykończona i śmiertelnie zmęczona. Nie mam ochoty rozmawiać teraz z jakimś policjantem ani wysłuchiwać jego wymówek. Po prostu już nie mogę.

Tara ustąpiła. Napełniwszy gorącą wodą wannę, wysłała przyjaciółkę do łazienki, potem zamówiła pizzę i wyjęła z lodówki dwa piwa. Gillian była jej wdzięczna, że zareagowała na wszystko, niczego nie komplikując. Właściwie nie było między nimi jakiegoś konfliktu, ale jej romans z Johnem wniósł do ich przyjaźni pewien dysonans, z którym się jeszcze nie uporały. Kiedy siedziały w salonie i jadły pizzę, Tara powiedziała wprost:

- Gillian, chciałam ci to cały czas powiedzieć: przykro mi, że tak wtedy zareagowałam. To było zbyt gwałtowne i za bardzo wmieszałam się w twoje sprawy. Byłam po prostu przerażona. Molestowanie seksualne... to jest takie pojęcie, że gdy sieje słyszy, czuje się dreszcz przerażenia, a ja w pierwszym momencie nie mogłam zrozumieć, jak ty.. ach, wszystko jedno. I poprzez to, jak zareagowałam, przepędziłam cię, ale cały czas chciałam zadzwonić i powiedzieć, że naprawdę tego żałuję!

- No i w końcu masz mnie znowu u siebie - powiedziała Gillian. Widzisz, nie pozbyłaś się mnie.

- Dzięki Bogu. Mój dom zawsze stoi dla ciebie otworem.

- Nagle zaczęłam się tak strasznie bać. To znaczy, z jednej strony sama sobie wydaję się głupia. A z drugiej strony policja mnie przecież ostrzegęła. Ktokolwiek zamordował Toma mógł chcieć zamordować mnie i może tego nadal próbować. Czy uważasz to za absurdalne?

Tara odłożyła kawałek pizzy, który właśnie zamierzała ugryźć.

- Nie. Choć chciałabym uważać to za absurdalne. Byłabym się wtedy dużo lepiej czuła.

- Ale...

Tara odsunęła swoje pudełko z pizzą i pochyliła się do przodu. Sprawiała poważne wrażenie, wręcz niepokojąco poważne, jak stwierdziła Gillian.

- Gillian, jestem prokuratorem i znacznie częściej niż ty mam do czynienia z tym światem, który tobie wydaje się w tej chwili tak *absurdalny*. Pierwszy raz zetknęłaś się z przemocą, szaleństwem i strachem, i mam wrażenie, że próbujesz się z tym uporać, spychając wszystko w sferę urojeń. Co nie może działać, o czym w gruncie rzeczy wiesz, bo fakt, że znalazłaś swojego męża zastrzelonego w waszym domu, to rzeczywistość. Nie upraszczaj sprawy. Widzę i rozumiem, że wydaje ci się, że tylko w ten sposób możesz to wszystko wytrzymać. Ale jeśli zakwestionujesz fakt istnienia niebezpieczeństwa, to będzie lekkomyślne. Już to, że wróciłaś do domu, było błędem, i jest mi bardzo przykro z tego powodu, także dlatego, że czuję się współwinna. Drugi raz do tego nie dopuszczę.

- Teraz jestem bezpieczna. Tara się skrzywiła.

- Nie wiem. Nie wiem, czy jesteś tu bezpieczna.

- Dlaczego nie?

- Gillian, my nie wiemy, kto ci depta po piętach. Ciągłe jeszcze jest ten Samson Segal, którego wciąż nie schwytano. Mówiąc dokładniej: policja wydaje się nie mieć zielonego pojęcia, gdzie on mógł zniknąć. Jak wiadomo, szpiegował cię całymi miesiącami. Czy naprawdę sądzisz, że on mnie nie zna? Jako twojej przyjaciółki? I że nie może względnie szybko ustalić, gdzie się ukrywasz?

- Nie mamy jednak pojęcia, czy on ma z tym wszystkim coś wspólnego powiedziała Gillian, ale sama zauważyła, że nie brzmiało to zbyt przekonująco. Bo tu chodziło o ryzyko. A ono istnieje właśnie dlatego, że nikt nie ma o niczym *pojęcia*.

- Wtedy, w końcu grudnia i na początku stycznia, kiedy mieszkałaś tu z Becky, byłam spokojna powiedziała Tara. Ale w tej chwili już nie. Będiesz tutaj cały dzień sama, podczas kiedy ja będę w biurze. I ta myśl nie nastraja mnie zbyt optymistycznie.

- Nie będę nikomu otwierać.

- I jak długo to wytrzymasz? Siedzieć tutaj od rana do wieczora, nie widząc żywej duszy i właściwie nie mogąc wyjść, bo to też jest niebezpieczne?

- To będzie bardzo męczące przyznała Gillian. Nagle straciła apetyt i też odsunęła pudełko z pizzą. Czowała, że Tara chciała się jej pozbyć i wydawało jej się, że zna powód: Tara sama się bała. Jeśli zbrodniarz tropił Gillian, to każda osoba, która próbowała ją przed nim ukryć, chcąc nie chcąc, też była na jego celowniku.

Rozumiała przyjaciółkę. Ale nagle poczuła się opuszczona.

- Co proponujesz? spytała.

- Jesteś tutaj cały czas mile widziana powiedziała Tara. Jak długo chcesz. Ale nie jesteś tu bezpieczna. Wysłałaś Becky do swoich rodziców i uważam, że to była bardzo rozsądna decyzja. Może byłoby dobrze, gdybyś też...

- Nie! powiedziała Gillian.

Zabrzmiało to tak gwałtownie i ostro, że Tara drgnęła przestraszona.

- Nie powtórzyla spokojniej. Nie do Norwich. Nie do moich rodziców. Jeśli twoje obawy się potwierdzą i sprawca będzie przypuszczał, że jestem u ciebie, dlatego że zna cię jako moją przyjaciółkę, to wie też, że mam rodziców. Może on nawet wie, że Becky tam jest. Nie mogę dopuścić do tego, żeby i ona była zagrożona. Kiedy tam ucieknę, zwabie go za sobą. To zbyt ryzykowne.

- Tu masz rację przyznała Tara z rezygnacją.

- Coś znajdę zapewniła Gillian, ale właściwie nie miała pojęcia, do kogo mogłaby się zwrócić. Oczywiście miała w mieście przyjaciół i znajomych. Ale czym innym było spotkać się z kimś od czasu do czasu i pójść na kawę albo wieczorem na kolację, czymś zaś zupełnie innym zamieszkać u kogoś na całe tygodnie, żeby uciec przed mordercą.

„Nie mam pojęcia, co w takim razie robić” pomyślała zniechęcona. Tara wydawała się nad czymś zastanawiać.

- Jakiś hotel? zaproponowała z wahaniem. Gdzieś daleko na północy. Albo na południu. Na wsi. Może jakiś *bed and breakfast*.

- Hm. Co tam będę robić cały dzień?

- No, przynajmniej byłabyś bezpieczna. To najważniejsze.

Gillian zastanawiała się. Hotel, pensjonat... Gdzieś daleko, na odludziu. Może w Kornwalii, a może w Devon. Widziała siebie wędrującą przez zaśnieżone klify, z twarzą zaczerwienioną od lodowatego wiatru. Tara miała rację: przynajmniej byłaby po prostu bezpieczna.

- Nie wiem... Z pewnością byłoby to rozsądne.

Rozsądne. Ale niezbyt pociągające. Gillian pytała samą siebie, czy miała jakiś wybór.

W każdym razie byłoby to rozwiązanie tylko na krótką metę. Nie chciała zniknąć na całe miesiące. Ale mogłaby się w ten sposób przygotować do nowego życia w Norwich. Zabrać laptopa i choćby przejrzeć oferty pracy. Sprawdzić rynek nieruchomości. Może pozbyłaby się uczucia, że ciągle drepcze w miejscu.

- Nikomu nie możemy pisnąć o tym ani słówka powiedziała.

- Nikomu rzekła Tara.

„Co za koszmar” pomyślała Gillian.

Czwartek 14 stycznia

1.

Obejmował stąd spojrzeniem cały budynek Hampstead Tube Station z ciemnoczerwonej cegły i był tu już prawie od godziny. Także ulice Hampstead, High Street oraz Heathstreet, przy której rozwidleniu znajdował się dworzec. Mimo zimna i śniegu między domami panował ożywiony ruch pełno tu było pubów, sklepów i kawiarni. Nie będzie łatwo dostrzec wśród licznych śpieszących się przechodniów osobę, której szukał: kobietę o blond włosach wypatrującą swego syna.

Oczywiście był przygotowany na to, że ona będzie w jakiś sposób zamaskowana. Gdyby chciała z jakiegoś powodu pozostać nierozpoznana, zapewne założyłaby perukę. I atrybut *blond włosy* przestawał istnieć, nie należało się go spodziewać. Czyli także czarnolub rudowłosa kobieta, która będzie tu stać i się rozglądać, powinna wzbudzić jego zainteresowanie. Ale nie widział na razie żadnej kobiety, która *stała*. Nieprzerwany strumień ludzi opuszczających dworzec oraz przechodnie na ulicy nikt nie zatrzymywał się ani na chwilę. Było zimno i wilgotno.

Ważne było, żeby wypatrzeć Finleya, kiedy się tu pojawi, i zobaczyć, do którego domu wejdzie. John miałby o wiele większe szanse, gdyby nie musiał obserwować dwóch ulic o bardzo ożywionym ruchu, lecz pojedynczy budynek i jego okolicę.

Może będzie miał szczęście.

Swojemu tymczasowemu lokatorowi Samsonowi nie powiedział, co ma zamiar zrobić. Wyjaśnił mu tylko, że zamierza spędzić cały dzień w biurze, on zaś, Samson, ma nie opuszczać mieszkania i nikomu nie otwierać drzwi. Samson obiecał mu to. Siedział w fotelu w salonie i patrzył za wychodzącym Johnem.

„U mnie on też długo nie wytrzyma” pomyślał John.

Przestępował z nogi na nogę, chuchając w dłonie. Zapomniał rękawiczek. Cała historia skończy się pewnie tak, że nie znajdzie Lizy Stanford, za to nabawi się zapalenia płuc.

O wpół do piątej, kiedy był już przekonany, że dziś nie stanie się nic, co posunęłoby sprawę do przodu choćby o krok, dostrzegł nagle Finleya Stanforda idącego wzdłuż High Street. Chłopiec musiał wysiąść z autobusu gdzieś dalej. Niósł plecak, w którym zapewne były nuty. Szedł powoli, zupełnie się nie śpiesząc. Gra na fortepianie nie wydawała się należeć do jego wielkich namiętności.

John stał się czujny. W ułamku sekundy opuściły go frustracja, doznanie zimna i zmęczenia. To była ta chwila. Jeśli Liza Stanford chciała spojrzeć na syna, to ten

moment był najlepszy. Za minutę lub dwie Finley zniknie w domu nauczycielki gry na fortepianie, a wtedy można go będzie zobaczyć dopiero w chwili, kiedy będzie stamtąd wychodził. Do tego czasu robi się już zupełnie ciemno.

Rozejrzał się. W jedną stronę ulicy, w drugą, za siebie. Czy było gdzieś widać jakąś postać, która wydałaby się podejrzana?

Kobieta pojawiła się nagle, jak z nicości. Już samo to musiało zwrócić uwagę. John dokładnie sekundę wcześniej patrzył w miejsce, gdzie teraz stała nie było jej tam wtedy. Ani nawet w pobliżu. A teraz stała około stu metrów dalej, grubo opatulona, podobnie jak większość przechodniów tego dnia. Nieco dziwne wydawało się jedynie to, że nie było widać ani jednego pasma jej włosów. Miała na głowie niezgrabną, robioną na drutach czapkę, nasuniętą głęboko na twarz i uszy. Włosy schowane były pod nią bardzo dokładnie.

Ale najbardziej osobliwe wrażenie, wobec panującej pogody, robiły jej ogromne okulary słoneczne zakrywające niemal pół twarzy. Do tego podniesiony kołnierz płaszcza, szalik zasłaniający podbródek... To kobieta, która nie chciała być rozpoznana.

Wpatrywała się w dom stojący po przeciwległej stronie ulicy budynek z pomalowaną na niebiesko fasadą, na którego parterze mieścił się sklep z antykami. Obok drzwi do sklepu znajdowała się wąska brama wjazdowa i właśnie w tej bramie zniknął Finley Stanford.

Kobieta dosłownie wlepiła znieruchomiąły wzrok w jego sylwetkę.

John był już pewien. Był całkowicie pewien. Miał to, co chciał. Jego plan był słuszny. Tęsknota matki. I lekcja gry na fortepianie. To ostatnie było sprawą wyłącznie między nią a synem: jej życzenie i gotowość Finleya, by je spełnić. Czwartkowe popołudnia należały wyłącznie do nich. Liza przywoziła syna na lekcję, załatwiała tymczasem jakieś zakupy, wracała dziesięć minut wcześniej, żeby przysłuchiwać się grze syna, po czym szła z nim gdzieś wypić kakao, a latem zjeść lody.

John widział jej postać, widział żal i smutek na jej twarzy, czego nie można było całkowicie ukryć mimo okularów, szalika i czapki.

Ruszył.

Albo zrobił to zbyt gwałtownie, zbyt nagle, albo Liza Stanford, niemal jak wszystkie uciekające zwierzęta, rozwinęła w sobie rodzaj szóstego zmysłu na wypadek grożących jej niebezpieczeństw. W widoczny sposób się przestraszyła, popatrzyła dookoła i cofnęła się błyskawicznie. Znikła tak szybko, że miało się wrażenie, jakby jej tu nigdy nie było.

John teraz już biegł. Był zbyt nieostrożny, zbyt niecierpliwy. Ta kobieta żyła w stanie ciągłego lęku, obawiając się, że w każdej chwili może zostać rozpoznana. Podświadomie kierowała na wszystkie strony świata tysiące wszelkiego rodzaju niewidzialnych anten. Widziała albo wręcz wyczuwała, że ktoś ją obserwuje.

Zatrzymał się, bo nigdzie jej już nie widział. Myślał, że zwariuje. Była tuż, tuż... Gdyby był odrobinę ostrożniejszy.. Zdusił w sobie przekleństwo i nagle pragnienie kopnięcia najbliższej ściany. Był wściekły, przede wszystkim na siebie. Wymknęła mu się i najgorsze było to, że teraz zapewne nie pokaże się w pobliżu szkoły swojego syna przez całe tygodnie. Nawet jeśli będzie wprost umierać z tęsknoty, nie odważy się już na takie ryzyko.

Wiedział, że nic to nie pomoże, jeśli odda się teraz złości i rozczarowaniu. Należało zachować spokój i zastanowić się. Wciąż nie można było wykluczyć, że ona przyjechała tu samochodem, a w takim wypadku musiała zaparkować w jednej z bocznych ulic. To oznaczało, że musiałaby wyjechać na High Street, bo ulice tutaj były niemal wyłącznie jednokierunkowe. Gdyby ją przy tym zauważył, mógłby się może przykleić do jej zderzaka.

Była to jego jedyna, choć co prawda niewielka szansa. Mogła przecież zniknąć na całe godziny w którymś ze sklepów czy też w jakiejś kawiarni i później udać się na przystanek autobusowy. Albo nawet pójść po prostu piechotą do domu.

Pobiegł do swojego auta, które także zaparkował w jednej z bocznych ulic, w dodatku w miejscu, gdzie obowiązywał zakaz parkowania. Wsiadł i szybko ruszył. Podjechał tak daleko, jak tylko się dało, i zatrzymał się, żeby móc dokładnie obserwować ulicę przed sobą. Jeśli Liza będzie tędy przejeżdżać, zdołałby ją bez trudu dogonić. Miał tylko nadzieję, że nie wyłoni się zza niego żaden pojazd zamierzający skręcić, bo wówczas musiałby jechać dalej i nie mógłby czekać. Widział doskonale, że liczni przechodnie idący ulicą posyłali mu oburzone spojrzenia, bo musieli omijać łukiem jego auto, wchodząc dość daleko na jezdnię. Jakiś mężczyzna zaklął głośno, uderzając w klapę silnika samochodu Johna. Ten z całym spokojem pokazał mu środkowy palec.

W napięciu przyglądał się każdemu samochodowi jadącemu w jego kierunku z lewej strony. Dobrze, że przynajmniej śnieg teraz nie padał, co już było wręcz niezwykle tej zimy. Wychylił się daleko za kierownicę, wpatrując się we wnętrze każdego auta. Akurat była to chwila popołudniowego natężenia ruchu, jeden samochód dosłownie kleił się do drugiego. Zewsząd dobiegało głośne trąbienie i pisk hamulców. John wiedział, że w każdej chwili mógł zostać przepędzony ze swojego miejsca, a wtedy miałby poważny problem, bo zatrzymanie się po tamtej stronie ulicy było niemożliwe.

I w tym momencie ją zobaczył. Mały niebieski ford fiesta, za kierownicą kobieta w słonecznych okularach i głęboko nasuniętej na czoło czapce. Sprawiała wrażenie całkowicie skoncentrowanej na tym, co się działo na ulicy. Tuż za nią jechał kolejny samochód. Spróbować się wcisnąć pomiędzy dwa auta to było dość ryzykanckie i brawurowe, John mógł tylko mieć nadzieję, że nie spowoduje przy tym wypadku. Nie pozostało mu jednak nic innego, musiał zaryzykować. Kiedy ford fiesta znalazł się dokładnie na wysokości jego samochodu, przycisnął pedał gazu. Wyskoczył do przodu tak daleko, że zablokował niemal pół pasa ruchu i gdy ford przejeżdżał koło niego, ruszył gwałtownie naprzód. Kierowca samochodu jadącego tuż za fiestą

przycisnął hamulec tak gwałtownie, że jego pojazd wpadł w poślizg. Zdołał jednak jakoś się zatrzymać. Rozległo się głośnie trąbienie, kierowca wymachiwał jak szalony rękami i zapewne posłał w stronę Johna całą wiązkę soczystych przekleństw.

Ale John był już po właściwej stronie ulicy i udało mu się wyjść z tego bez żadnej kolizji. Dostrzegł, że Liza spojrzała we wsteczne lusterko, wystraszona głośnym trąbieniem i piskiem opon za nią. Miał nadzieję, że nie rozpoznała w nim mężczyzny, który wcześniej biegł w jej kierunku. W każdym razie niewiele by jej to pomogło, bo nie za bardzo miała dokąd uciekać, jadąc w kolumnie wolno sunących aut.

Miał ją. Według wszelkiego prawdopodobieństwa nie uda jej się od niego odczepić. Mimo wszystko zanotował numer rejestracyjny samochodu, kiedy czekali na zmianę świateł na skrzyżowaniu. Miał dzięki temu jakiś punkt zaczepienia, gdyby miało się wydarzyć coś niespodziewanego.

Opanowało go niemal dziecinne uczucie radości.

Czuł też swój instynkt myśliwego. Nie sądził, że jeszcze czegoś takiego doświadczy.

Wydawało się, jakby Liza Stanford rzeczywiście nie zauważyła, że jest śledzona. W każdym razie nie podjęła żadnej próby ucieczki przed jadącym za nią samochodem Johna. Nie próbowała gwałtownie ruszać na światłach ani też skręcać niespodziewanie bez kierunkowskazu. Sprawiała wrażenie zupełnie spokojnej. John przypuszczał, że poprzednio na ulicy jedynie coś instynktownie wyczuła, ale go nie dostrzegła, i teraz złościła się na siebie z powodu zbyt gwałtownej i przedwczesnej ucieczki. Nie była pewna słuszności swej decyzji. Prawdopodobnie w czwartki płoneła wprost chęcią choćby tylko wzrokowego kontaktu z synem i czekała na to cały tydzień, a dziś tak raptownie przerwała swój pobyt w jego pobliżu. Zwykle czekała, aż jej syn wyjdzie z domu nauczycielki. Zamiast tego była teraz w drodze do domu i pytała samą siebie, czy to było słuszne.

Jechali oboje w stronę południowej części Londynu. Czyli dokładnie w przeciwnym kierunku niż do Hampstead, gdzie znajdował się dom Lizy i Logana Stanfordów. John zastanawiał się, czy zarejestrowała samochód na swój wcześniejszy adres przypuszczał jednak, że tak było. Bardzo przebiegłe posunięcie: gdyby stało się coś, co pociągnęłoby za sobą dochodzenie policyjne, każdy policjant wyładowałby przed drzwiami jej męża, który oświadczyłby, że żona zniknęła bez śladu. Rzeczywiście wyglądało to tak, jak gdyby Liza organizowała sobie nowe życie jak najbardziej anonimowo.

Ale dlaczego? Dlaczego zamężna kobieta i matka małego jeszcze dziecka robi coś takiego?

Dotarli już do Croydon w południowo-wschodniej części miasta. W ciągu ostatnich dwudziestu lat bardzo szybko powstały tu liczne osiedla bloków mieszkalnych były to jednakowe, bezduszne budowle, które jednak dzięki temu oferowały znakomite możliwości ukrycia się. Liza skręciła w stronę jednego z blokowisk i po chwili zaparkowała samochód na skraju ulicy, w luce, którą odkryła między niekończącymi się rzędami samochodów. John był w gorszej sytuacji. Musiał jechać jeszcze spory kawałek, zanim znalazł miejsce do zaparkowania auta. Czym prędzej pobiegł z powrotem. Na szczęście zobaczył Lizę stojącą przed szklanymi drzwiami jednego z bloków. Szukała w torebce klucza do bramy.

Podszedł do niej.

- Liza Stanford?

Przestraszyła się tak bardzo, że torebka wyleciała jej z rąk i wpadła w śnieg. Patrzyła na Johna przerażona. Widział, że drżą jej usta, a przez ogromne słoneczne okulary dostrzegł rozszerzone strachem oczy.

Pochylił się, podniósł torebkę i podał jej.

- Pani Liza Stanford, prawda? spytał, chociaż doskonale wiedział, że to ona. Zbyt wyraźnie zareagowała na swoje nazwisko.

- Kim pan jest? spytała w odpowiedzi. Miała lekko schrypnięty głos.

- John Burton.

- Czy to mój mąż nasłał pana na mnie? Potrząsnął głową.

- Nie. To nie ma nic wspólnego z pani mężem.

Sprawiła wrażenie przestraszonej, zdezorientowanej i niezdecydowanej, co ma teraz zrobić.

- Muszę z panią porozmawiać powiedział John. To bardzo ważne. W ogóle nie zależy mi na tym, żeby komukolwiek zdradzić miejsce pani pobytu. Ale potrzebuję od pani kilku informacji.

Doskonale czuł, że mu nie ufała, ale jednocześnie obawiała się tak po prostu przepędzić go do diabła, bo w ten sposób tylko pogorszyłaby swoją sytuację. Wyglądała tak, jakby najbardziej pragnęła uciec, ale jednocześnie wydawała się rozumieć bezsens takiego kroku.

- Proszę powiedział John. Przypuszczalnie nie zajmę pani wiele czasu. A to jest bardzo ważne.

W widoczny sposób ciągle jeszcze się wahała, czy ma go spytać, jak ją znalazł.

- Pan był przedtem na ulicy powiedziała. Kiedy ja...

- Tak potwierdził John. Kiedy pani obserwowała swojego syna. Przypuszczałem, że pani przyjdzie, dlatego tam czekałem.

Jej twarz momentalnie zrobiła się kredowobiała.

- Czy pan rozmawiał z Finleyem? spytała.

- Tak.

- Co u niego?

- Wszystko dobrze. Ale oczywiście brakuje mu matki. I coś go chyba gnębi pomijając nawet fakt zniknięcia jego matki. Ale ma dobrą opiekę.

- Dobrą opiekę powtórzyła. Tak, o tym wiedziałam. Że będzie miał dobrą opiekę.

Walczyła z sobą, John widział to wyraźnie. Najchętniej zaczęłaby mu wiercić dziurę w brzuchu pytaniami o syna, wyciągnęłaby z niego każdą najdrobniejszą informację na jego temat. Ale to oznaczałoby jednocześnie, że w jakimś stopniu musiałaby się na niego zdać i mu zaufać. A ciągle jeszcze była pełna obawy i podejrzliwości.

Zaryzykował bezpośredni atak.

- Czy zna pani doktor Anne Westley? I Carlę Roberts?

Po raz drugi w ciągu tych kilku minut drgnęła przerażona. A potem powiedziała:

- Proszę, niech pan wejdzie. Musimy pomówić.

Znalazła klucz i otworzyła drzwi. Wsiedli razem do windy i pojechali w górę.

Mieszkanie było urządzone za pomocą jasnych, prostych mebli i przypominało trochę miłą, czystą kwaterę studencką. Czyli nic szczególnego, ale jednocześnie było to takie miejsce, w którym nikt nie czuł się źle. Mimo wszystko rzucało się w oczy, że kobieta, która tu mieszka, wprowadziła się niedawno: brakowało

sympatycznych drobiazgów, które każdy gromadzi starannie przez lata, a które mówią niemal wszystko o mieszkańcu, tworząc niepowtarzalny nastrój wnętrza. Wszystkie przedmioty były tutaj niemal nowe, bez śladów zużycia. Pewną osobistą nutę salon zyskiwał tylko dzięki kilkunastu fotografiom Finleya. Zdobiły one parapety i regały. Finley jako niemowlę. Finley jako mały chłopiec. Finley dzisiaj. Na plaży, na nartach, w łodzi, w zoo, z przyjaciółmi w ogrodzie. Normalne zdjęcia zupełnie normalnego dzieciństwa...

A jednak było w tej rodzinie coś nienormalnego. Coś bardzo nienormalnego.

John odwrócił się, kiedy Liza weszła do pokoju. Niosła tacę z dwiema filiżankami kawy i dzbanuszką mleka. Pozbyła się już swego maskującego przebrania. Nie miała ani okularów, ani też czapki, pod którą chowała włosy. John zobaczył piękną kobietę, którą znał z fotografii Finleya. Duże oczy, pełne usta. Długie, lekko falujące blond włosy. Była jeszcze bardziej atrakcyjna, niż sobie wyobrażał na podstawie zdjęcia Finleya. I jeszcze bardziej smutna i przybita, niż się spodziewał.

- Dlaczego? spytał i wskazał zdjęcia jej syna. Dlaczego robi pani sobie coś takiego? Mam na myśli rozłąkę z synem.

Postawiła tacę na drewnianym stoliku.

- Zapytał mnie pan o Anne Westley i Carle Roberts powiedziała. O dwie zamordowane kobiety. O nie chodzi, prawda?

- Tak.

- Ale nie jest pan z policji?

- Nie. Jestem kimś w rodzaju... prywatnego śledczego. W moim najbliższym otoczeniu popełniono zbrodnię, która może mieć związek z morderstwem Mrs Westley i Mrs Roberts. Dlatego wmieszałem się w tę historię.

- Rozumiem Liza sprawiała wrażenie nieco dezorientowanej.

- Czy zna pani rodzinę Wardów? spytał John. Thomasa i Gillian Wardów?

Zastanawiała się przez chwilę.

- Nie.

- Thomas Ward także został zamordowany.

- Tę wiadomość przeoczyłam powiedziała. O Carli i doktor Westley czytałam w gazetach.

- Anne Westley była lekarką pani syna, prawda?

- Tak.

- Lubiła ją pani? Czy może miała pani z nią jakieś problemy?

- Lubiłam ją, Fin także ją lubił. Miała bardzo miły sposób odnoszenia się do dzieci.

Obserwował ją dokładnie.

- Jaki był pani stosunek do Carli Roberts?

Usiadła przy stole, wzięła jedną z filiżanek i wskazała gościowi miejsce naprzeciw siebie.

- To nie były szczególnie bliskie stosunki. Nawet nie mogę powiedzieć, że byłyśmy zaprzyjaźnione. Poznałyśmy się w tej grupie kobiet, o której pan zapewne wie.

John skinął głową, usiadł przy stole i wypił łyk kawy.

- Tak odpowiedział.

- My obie byłyśmy kimś w rodzaju outsiderek. Inne kobiety paplały w kółko, gadały o swoich nieudanych związkach, opowiadały o swojej przyszłości, o planach, nadziejach, lękach... Już nie wiem, o czym jeszcze. Ale ja nie należę do tego typu ludzi. Nie potrafię się tak otwierać i zwierzać. A Carla była podobna do mnie. My obie siedziałyśmy raczej w milczeniu.

- Czy to nie sprzeczność? Czy do takich grup nie należy się właśnie po to, żeby dzielić swoje przeżycia i swoje myśli?

- Może tak. Ja w każdym razie poszłam tam, bo szukałam pomocy, ale potem zauważyłam, że w tej grupie właściwie jej nie znajduję. To była taka próba. Na większości spotkań i tak byłam nieobecna. Brano mi to tam za złe. Ale było mi to właściwie obojętne.

- Policja pani szuka powiedział John bez związku.

- Oni mnie nie znajdują. O ile pan mnie nie wsypie.

- *Ja* panią znalazłem. Oni mogą wpaść na ten sam pomysł i po prostu kręcić się w pobliżu pani syna.

- Już go teraz długo nie zobaczę. Zostałam ostrzeżona.

- Lizo powiedział John z naciskiem. Policja prowadzi intensywne dochodzenie w sprawie trzech morderstw, które z dużym prawdopodobieństwem można przypisać jednemu sprawcy. Jak dotychczas największym problemem było to, że wydaje się, jakby między trzema ofiarami morderstw nie było żadnego związku. W efekcie tego zupełnie niejasny jest motyw, jakim kierował się sprawca. Pani osoba stanowi coś w rodzaju pierwszego od wielu tygodni światła w tunelu: dwie z ofiar były pani znane. Policja nie spocznie, póki pani nie znajdzie.

Popatrzyła na niego poważnie.

- Nikogo nie zamordowałam. Ani Carli Roberts, ani doktor Westley, ani nikogo innego. Nie miałam w ogóle żadnego powodu, żeby to zrobić.

- Policja będzie na to patrzeć inaczej. Znała pani osobiście dwie kobiety, które zostały zamordowane w naprawdę okrutny sposób. Trzy miesiące temu znikła pani tak, jakby panią ziemia pochłonęła. Pani mąż mówi coś o depresjach, z powodu których rzekomo znikła pani już kilkakrotnie. Nikt nie może mu zaprzeczyć. Powstaje wrażenie, że coś jest z panią nie w porządku, a w związku z dochodzeniem w sprawie morderstw wszystko to sprawia, że pani sytuacja staje się bardzo niejasna.

- Być może. Mimo to nikomu nie wyrządziłam najmniejszej krzywdy. Doktor Westley widziałam cztery czy pięć razy, kiedy byłam z synem w jej gabinecie. Bliżej w ogóle jej nie znałam. A Carla Roberts była neurotyczną starszą panią, która mogła każdego nieco zirytować, ale to wszystko. Nie morduję kogoś tylko dlatego, że mnie irytuje, Mr Burton.

- A z jakiego powodu kogoś pani morduje?

- W ogóle nikogo nie morduję.

- A dlaczego Carla Roberts działała pani na nerwy?

- Ach, ona wiecznie lamentowała w kółko z powodu swojej przeszłości. Że jej mąż przez całe lata ją oszukiwał i doprowadził rodzinę do ruiny finansowej. A ona nie zauważyła w porę, że coś takiego się zbliża, i stale powtarzała, że nie mogła uwierzyć w to, co dane jej było nagle przeżyć. To już stało się u niej czymś w rodzaju obsesji.

- Z mężem nie utrzymywała już żadnych kontaktów?

- Nie. Ulotnił się bardzo skutecznie, gdzieś za granicę. O ile wiem, nie może nawet wrócić do Anglii, bo natychmiast dopadliby go wierzyciele.

John westchnął. Znalazł Lizę Stanford, owo brakujące ogniwo, jak sądził. I teraz wydawało mu się, że znów stał przed murem, na końcu drogi, która okazała się ślepą uliczką.

- A pani sama? Nie miała pani powodów, by żywić jakieś urazy czy pretensje do tych obu kobiet? Do doktor Westley i Mrs Roberts? Z jakichkolwiek przyczyn?

- Nie powiedziała Liza, ale w jej głosie zabrzmiało coś jak gdyby tchnienie niepewności. Coś takiego pojawiło się też na jej twarzy.

John to zauważył.

Coś w tym jest. Do cholery, coś w tym jest!

- Czy to jest wszystko czysty przypadek? Że zostają zamordowane dwie kobiety, a jednocześnie pani znika? I porzuca pani męża? Opuszcza jedyne dziecko? I przeprowadza się pani zaledwie na drugi koniec Londynu? Już choćby biorąc pod uwagę odległość, obie kobiety były w pani zasięgu.

Liza spojrzała na niego zmrużonymi oczami.

- Zawsze daje się pan tak ponosić fantazji?

- Jeśli chodzi o Carłę Roberts, to policja wie, że ona sama otworzyła drzwi mordercy, z pełnym zaufaniem, kiedy tylko do nich zadzwonił. Samotna kobieta, która mieszka na pustym ostatnim piętrze bloku, raczej nie otwiera drzwi każdemu, kto do nich zadzwoni. Ale kiedy stoi za nimi jej dobra znajoma, to będzie zapewne inaczej.

Liza wstała. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili się zawahała. John doskonale wiedział, że chciała go poprosić, żeby się natychmiast wynosił. A jednak się rozmyśliła. Nie mogła sobie pozwolić na to, aby go zdenerwować. Miał ją w ręku.

Widział, że była wściekła.

Także wstał. Przez kilka sekund patrzyli na siebie w milczeniu. A potem John powiedział:

- Dlaczego nie wyrzuci mnie pani za drzwi? Dlaczego tak potwornie obawia się pani tego, że natychmiast pomaszeruję na policję i zdradzę pani kryjówkę? Dlaczego, do diabła, jeżeli nie popełniła pani przestępstwa, niczego nie obawia się pani tak bardzo, jak zostania rozpoznaną? Co się dzieje, Lizo? Co się dzieje w pani życiu?

Nie odpowiedziała. Spróbował jeszcze raz.

- Brała pani udział w spotkaniach grupy samopomocy, do której należały samotne kobiety. Rozwiedzione bądź też takie, które zostały nagle opuszczone i próbowały jakoś się uporać ze swoją sytuacją. Oświadczyła tam pani, że jest zameżna, ale że nosi się pani z zamiarem rozstania. Dlaczego, Lizo? Dlatego tak bardzo chce pani uciec od męża, że teraz się pani ukrywa i siedzi w tym małym mieszkanku w Croydon i to zupełnie incognito?

Nadal milczała. John pomyślał, że nic mu już nie powie i będzie musiał pójść, nie usłyszawszy ani słowa wyjaśnienia.

Ale właśnie kiedy chciał już zrezygnować, wziąć kluczyki od auta i opuścić jej mieszkanie, zaczęła mówić.

- Naprawdę chce pan wiedzieć? Chce pan wiedzieć, co się dzieje z moim życiem? Na chwilę zamknęła oczy. Ciężko mi to pojąć! Że po tych wszystkich latach *ktoś naprawdę chce się czegoś dowiedzieć o moim życiu!*

Willę otaczała całkowita ciemność.

Nie świeciła nawet lampa przy bramie ani też przy krętej ścieżce prowadzącej przez ogród do domu. Wieczór wydawał się nieco jaśniejszy tylko dzięki bieli śniegu. Gałęzie drzew uginały się pod jego ciężarem.

Christy spojrzała na zegarek. Była szósta. Miała nadzieję, że zastanie w domu doktora Stanforda albo przynajmniej jego syna, ale na jej dzwonienie do bramy nie zareagował nikt. Ciemność za drzewami, które tak szczelnie zasłaniały dom od ulicy, wskazywała raczej na to, że w środku nikogo nie było.

Christy zastanawiała się, czy jechać do kancelarii Stanforda w mieście. Obawiała się jednak, że się wtedy rozminą.

Ale czekać tutaj? Na takim zimnie? I gdzie był chłopiec?

Powoli i niezdecydowanie przekroczyła cichą, zaśnieżoną ulicę, idąc w stronę swojego samochodu. I akurat kiedy chciała otworzyć drzwi, usłyszała czyjś głos:

- Pani chciała do Stanfordów?

Christy się odwróciła. Przy ogrodowej bramce domu, nieco na ukos naprzeciwko willi Stanfordów stała kobieta. Christy oceniła jej wiek mniej więcej na siedemdziesiąt lat. Kobieta obiema rękami przytrzymywała na piersiach płaszcz narzucony na ramiona. Christy podeszła do niej.

- Tak. Muszę pilnie porozmawiać z kimś od nich z doktorem Stanfordem albo z jego żoną. Ale zdaje się, że nikogo nie ma w domu.

Kobieta mówiła przyciszonym głosem.

- Mrs Stanford nikt nie widział już od wielu tygodni.

- Ach tak? Christy udała zaskoczenie. Może uda jej się zdobyć choć kilka informacji od tej kobiety? Na razie postanowiła zataić fakt, że jest policjantką, żeby jej nie przestraszyć.

- Mówi pani, że od wielu tygodni?

- Od... niech pani poczeka, zaraz... Gdzieś tak od połowy listopada. Wtedy ją chyba widziałam po raz ostatni. Przywiozła ze szkoły swojego syna. Wie pani, ona niezbyt często wychodziła z domu, ale zawsze odwoziła i przywoziła syna. Obserwowałam to z mojego salonu.

- Może Mrs Stanford jest chora i leży w łóżku? wyraziła szybko swoje przypuszczenie Christy.

- Proszę pani chora!? Dwa miesiące? I nie pojawił się tu do tej pory żaden lekarz? Nie, w to nie uwierzę. Nikt z sąsiadów też w to nie wierzy.

- To co pani o tym sądzi? A sąsiedzi co oni o tym myślą? spytała Christy.

Kobieta jeszcze bardziej zniżyła głos.

- Tam to jest prawdziwy *dramat* syknęła.

- Naprawdę?

- A nie powie pani, że się tego ode mnie dowiedziała? Boja się go boję. Wszyscy się go boją!

- Mówi pani o doktorze Stanfordzie?

- Nigdy by pani o nim tego nie powiedziała, prawda? Bardzo uprzejmy, bardzo akuratny. Bardzo spokojny. W gruncie rzeczy absolutnie nie można się na niego uskarżać, ale...

- Tak?

- Jak się jest sąsiadem, to się widzi to i owo. Nikt tutaj nie jest aż tak ciekawy, ale przecież nie można zawsze odwracać głowy, nie?

- Pewnie zgodziła się z nią Christy.

- No więc Liza Stanford czasami była potwornie potłuczona. Praktycznie zawsze nosiła ogromne okulary słoneczne, nawet jak deszcz padał i było ciemno, ale ja czasem widziałam, jak ona szła do bramki bez okularów, żeby wyjąć pocztę ze skrzynki. Podpuchnięte oczy, popękane wargi, granatowe siniaki. Także krwiaki na szyi albo zakrwawiony nos. Wyglądała jak po rundzie bokserskiej. I to przegranej...

Christy dosłownie zapało dech.

- I pani myśli, że...

- Ja tam nie chcę o nikim złych plotek rozpuszczać powiedziała kobieta. Ale w końcu można czasem policzyć i dodać dwa do dwóch, nie? Kto tę kobietę tak regularnie tłucze? I to tak strasznie? Tam, w tej ciemnej willi, mieszka tylko troje ludzi: Liza, jej syn i jej mąż.

- Rozumiem powiedziała Christy. Rzeczywiście to wygląda tak, jakby.. Ale zastanawiam się, czemu ona nigdy nie poszła z tym na policję?

Zadała to pytanie z umyślnie odegraną naiwnością. Pracowała już dość długo w policji. Dobrze wiedziała, że były tysiące powodów, dla których kobiety będące w takiej sytuacji jak Liza Stanford nie szły na policję. Albo do jakiejś poradni. Zdobywały się na to tylko nieliczne.

- On jest bardzo wpływowy, ten jej mąż mówiła kobieta. Dużo pieniędzy i wielkie poważanie wśród ludzi. Jest na ty z najważniejszymi politykami w kraju. Bóg wie, kogo on jeszcze zna na tym świecie. I prawdopodobnie jest dobrym kumplem szefa policji, mnie by to przynajmniej nie zdziwiło. Więc może Liza nie widzi już dla siebie żadnej szansy. I boi się, że to tylko pogorszy jej sytuację.

- A kiedy widziała ją pani po raz ostatni spytała Christy to też była tak pobita?

Kobieta potrząsnęła przecząco głową.

- Przynajmniej nic nie mogłam dostrzec. Te wielkie okulary słoneczne... One zakrywały niemal całą twarz.

Olbrzymie okulary od Gucciego... Christy przypomniła się rozmowa z asystentką z gabinetu doktor Westley. Ciemne okulary, które Liza miała na twarzy nawet w ciemnych pomieszczeniach, sprawiały, że wydawała się osobą arogancką i nieprzystępną, a to

z kolei powodowało, że była przez wszystkich odrzucana. A przecież nie mogła postępować inaczej. W czasie swego małżeństwa z wielce poważanym doktorem Stanfodem musiała prawdopodobnie możliwie najdokładniej ukrywać twarz.

- I mówi pani, że tu wszyscy się boją doktora Stanforda? upewniła się Christy.

Kobieta przytaknęła.

- Nic dziwnego. Naprawdę, musiałyby pani kiedyś zobaczyć tę kobietę. Mężczyzna, który robi coś takiego, nie może być normalny. On jest niebezpieczny. Przecież widać, że to nie było tylko parę policzków, rozumie pani? On musi być pełen brutalnej siły i nienawiści. Coś z nim jest nie tak. Ma czasem takie nieruchome oczy. Jest jakiś taki lodowaty. Nie mogłabym go ścierpieć, choć zawsze mnie bardzo uprzejmie pozdrawia.

- I nikt z sąsiadów nie próbował interweniować?

- A jak? Ona wszystkiemu by zaprzeczyła, gdyby ją zapytać. Przecież zawsze próbowała ukrywać ślady. A zadzwonić po policję... nikt nie miał na tyle odwagi. Przecież tak naprawdę nikt właściwie niczego nie widział. Dom stoi daleko od drogi, jest otoczony drzewami, dookoła ogromny ogród. Przecież nikt nic nie widział ani nie słyszał. Gdyby było słychać jakieś krzyki, wołania o pomoc, to wtedy wszyscy by wiedzieli, że policja go złapie na gorącym uczynku. Ale tak... Oni nie mogliby nic zrobić ani wystąpić przeciwko niemu, a on zaraz by namierzył tego, kto do nich zadzwonił, no a wtedy..

- A wtedy co? spytała Christy, kiedy kobieta nagle umilkła. Kobieta miała chyba jakieś obawy, że się ośmieszy albo że przesadza.

- Nie zna go pani. Ja się po prostu bałam.

- A u syna nic pani nie zauważyła?

- To ciche i takie blade dziecko. Moim zdaniem zbyt ciche i zbyt blade. Z pewnością nie jest to dziecko szczęśliwe.

- Ale nic nie wskazywało na to, że też jest źle traktowany?

- Nie, nigdy. Jakoś wydaje mi się, że Stanford nie ma problemów z dziećmi. On ma problem z kobietami.

- Z innymi też, czy tylko z tą jedną?

- To tylko takie wrażenie... tak, z nią jedną. Ale nie potrafię tego uzasadnić.

Christy podziękowała za rozmowę i pożegnała się, usiłując zapamiętać nazwisko kobiety, które przeczytała na tabliczce przy bramie. Może będą musieli do niej wrócić.

- Ale ode mnie się pani nic nie dowiedziała! zawołała za nią kobieta.

Christy wsiadła do samochodu, zawróciła i pojechała z powrotem w kierunku centrum miasta. Przez zestaw głośnomówiący zadzwoniła do inspektora Fieldera. Jak się spodziewała, siedział jeszcze w biurze.

Opisała mu daremną próbę odwiedzin u państwa Stanfordów, opowiedziała też o rozmowie z sąsiadką.

Po stronie Fieldera najpierw zapanowało pełne konsternacji milczenie.

- A to dopiero powiedział w końcu i dodał: A ta sąsiadka wydała się pani wiarygodna? Może ona po prostu zmyślała czy spekulowała.

- Nie wydaje mi się. Sądzę za to, że ona się go rzeczywiście boi. I to wszystko jakoś razem do siebie pasuje. Dawno było jasne, że w tej rodzinie coś nie gra, a historie z depresją Lizy i jej rutynowym znikaniem wydawały się nam przecież więcej niż podejrzane. Całość nagle zaczyna nabierać wyraźnych konturów.

- Tak powiedział Fielder. Sprawiał wrażenie zmartwionego. Sądzi pani, że...

- Sądzę, że Liza ukryła się gdzieś przed mężem, bo czuje, że jej życie jest zagrożone. Albo ona już nie żyje. I to on doprowadził do jej zniknięcia.

- Czy pani wie, co pani mówi?

- Oczywiście, że wiem. Sir, ta sprawa śmierdzi aż pod niebiosa! Mam paskudne przeczucia. Stanford jest człowiekiem, którego obawiają się wszyscy sąsiedzi. Który regularnie katuje żonę. Sąsiadka opisała w gruncie rzeczy psychopatę, a w żadnym wypadku nie zrobiła na mnie wrażenia blagierki.

- Mimo wszystko to są tylko przypuszczenia, Christy. A twierdzenie, że on maltretuje żonę, opiera pani tylko na rozmowie z sąsiadką przy płocie. To jest raczej mało poważny dowód.

- A co w tym niepoważnego? Liza znikła. Dwie kobiety, które znała, zostały zamordowane przez tego psychopatę!

- Ma pani na myśli Stanforda... Miłosierny Stanford, człowiek, który regularnie zbiera tysiące funtów dla najbiedniejszych... ten człowiek ma być za to odpowiedzialny?

- Nie wykluczałabym tego. Ten człowiek ma nierówno pod sufitem. On ma jakiś olbrzymi problem, dlatego w brutalny sposób dręczy swoją żonę. Może mu się wydawało, że ze strony Carli Roberts grozi mu jakieś niebezpieczeństwo. Może Liza zwierzyła jej się i opowiedziała o tragedii, jaką było jej małżeństwo, a Carla zaczęła ją namawiać, żeby poszła na policję. *Idź na policję! Złóż na niego doniesienie! Jeśli tego nie zrobisz, to ja to zrobię!* Albo coś w tym rodzaju. A on się o tym dowiedział i wpadł w szał. Tak jak regularnie wpada w szał i wtedy tłucze swoją żonę!

- A doktor Westley?

- Doktor Westley, jak wiemy, próbowała porozmawiać z koleżanką na temat Lizy Stanford. Bo, jak się wyraziła, był z nią jakiś problem. Może Westley odkryła u Lizy ślady maltretowania. Takie rzeczy zwykle nie uchodzą uwagi lekarza. Albo Liza coś jej na ten temat powiedziała. Anne Westley nie wiedziała dokładnie, co ma robić, i dlatego chciała z kimś porozmawiać. Śmierć jej męża zepchnęła wszystko na dalszy plan.

- Ale to było ponad trzy lata temu, a została zamordowana dopiero teraz.

- Może Stanford dowiedział się o tym dopiero teraz. Może w kłótni Liza mu to wykrzyczała. *Moja przyjaciółka wszystko wie! I ta była lekarka naszego syna też!* Liza

się bała. I chciała, żeby jej mąż wiedział, że są ludzie, który znają jej dramat, i że oni zaczną dociekać, jeśli jej się coś poważnego przytrafi. Ona w tym momencie nie zdawała sobie sprawy, na jakie niebezpieczeństwo naraża te kobiety.

- A gdzie w tej teorii jest miejsce na morderstwo Thomasa Warda? Albo Gillian Ward, jeśli to ona miała być właściwą ofiarą?

- Tego nie wiem musiała przyznać Christy. Ale jestem prawie pewna, że te sprawy mają z sobą coś wspólnego. Tylko my jeszcze nie wiemy co.

- Musimy najpierw odnaleźć Lizę Stanford, bo to nic nie da powiedział Fielder po kilku sekundach milczenia. Po tym, co teraz wiemy, miałoby sens sprawdzić wszystkie schroniska dla kobiet w okolicy. Całkiem możliwe, że ona się w którymś ukryła.

- A może już nie żyje. Albo sama znajduje się w ogromnym niebezpieczeństwie, albo ktoś, kto jej pomaga!

Usłyszała westchnienie Fieldera.

- Wiem, Christy, dokąd pani zmierza. Ale na tym etapie śledztwa nie możemy wydać nakazu aresztowania Stanforda. Mamy tylko liczne przypuszczenia i niejasne zeznania.

- Zeznanie sąsiadki w żadnym wypadku nie było niejasne zaprzeczyła Christy i zahamowała gwałtownie przed czerwonym światłem na skrzyżowaniu, którego o mało nie przejechała. Zauważyła, że narasta w niej wściekłość, która sprawiła, że jechała zbyt szybko i nieostrożnie. Inspektor Fielder wiał się jak piskorz i doskonale wiedziała dlaczego. Wpływy Stanforda. Jego układy i powiązania. Adwokat odnoszący liczne sukcesy, dobry przyjaciel i polityk. Członek najbardziej wpływowych klubów w mieście. A co powiedziała sąsiadka? *On jest prawdopodobnie bliskim kumplem szefa policji.* Właśnie tego obawiał się Fielder, Christy była gotowa się o to założyć. Fielder dbał przede wszystkim o swoją karierę i wyobrażał sobie, jak ewentualny awans znika za horyzontem, jeśli teraz zrobi nierozważny krok i, mówiąc obrazowo, lód się pod nim załamie.

Cholera! Najchętniej walnęłaby pięścią w kierownicę. Nienawidziła facetów dorabiających się odpowiednio wysokiej pozycji, dzięki której byli ponad wszystkimi. Których prawo i ustawy nie dotyczyły. Którzy chronili się za kupą pieniędzy, za sukcesami, właściwymi kontaktami i mogli za tą barierą dawać upust najobrzydliwszym perwersjom. I byli przekonani, że nic ani też nikt nie jest im w stanie w tym przeszkodzić.

Ale ze mną, Stanford, ci się nie uda, możesz być tego pewien!

- Musimy zintensyfikować nasze poszukiwania, żeby odnaleźć Mrs Stanford powiedział Fielder oficjalnie. Zanim nie będę miał jej zeznań, nie mogę podjąć żadnych kroków przeciwko jej mężowi.

- Ale jeśli on ją znajdzie, zanim nam się to uda?

- Przecież w ogóle jej nie szuka.

- On tak mówi. Wierzy pan w którekolwiek jego słowo? A ma dość pieniędzy, żeby zapłacić kilku oddziałom morderców. Ona stanowi dla niego niebezpieczeństwo. I on musi ją znaleźć!

- Sierżancie, niech pani się tak nie nakręca. Przecież nie wiemy, czy on szuka swojej żony albo każe komuś jej szukać. Nie wiemy, czy jest odpowiedzialny za morderstwo Westley i Roberts, nie mówiąc już o śmierci Thomasa Warda. Nawet nie jesteśmy pewni, czy on maltretował żonę. Nie wiemy nic! Dla takiej niejasnej historii nie mam zamiaru się wychylać, przykro mi.

I tu Christy zrobiła coś, na co jeszcze nigdy nie pozwoliła sobie w stosunku do szefa: bez komentarza czy nawet pożegnania wyłączyła telefon. Tak żeby nawet nie mógł oddzwonić. Czego on, jak przypuszczała, nawet nie próbowałby zrobić: z pewnością bardzo mu ulżyło, że miał ją wreszcie z głowy.

Zawróciła z piskiem opon. Bo właściwie chciała jeszcze pojechać do biura. Ale teraz postanowiła udać się do domu i wejść do wanny z gorącą wodą.

I otworzyć butelkę dobrego wina.

Piątek, 15 stycznia

1.

Było prawie wpół do pierwszej w nocy, kiedy się wreszcie pożegnał. Liza stała w oknie, patrzyła w dół i widziała go idącego w świetle latarni. Właściwie chciałyby, żeby jeszcze został, ale nie odważyła się go o to poprosić. W jego obecności czuła się choć trochę bardziej bezpieczna. John Burton był mężczyzną, którego nie można było onieśmielić albo zaniepokoić. Dobrze wiedział, jak bronić własnej skóry, i potrafił to robić.

A mimo to ciągle nie wiedziała, czy może mu zaufać. Do ostatniej chwili nie do końca mogła zrozumieć jego rolę w tej grze która tak naprawdę była wszystkim, tylko nie *grą*. Nazwał siebie *prywatnym śledczym*, a ona czuła, że poza tą informacją nie uda jej się wydobyć z niego nic więcej. Mówił tylko tyle, ile chciał. Z całą pewnością ani zdania więcej.

Może poszedł teraz prosto na policję, żeby zdradzić jej miejsce pobytu. Możliwe sądził, że właśnie w ten sposób można jej pomóc.

Choć nie sprawiał wrażenia aż tak naiwnego.

Zniknął, a ona odwróciła się od okna i zaciągnęła zasłony. To mieszkanie w mgnieniu oka przestało jej się wydawać bezpieczną kryjówką, miejscem, w którym mogła się schronić przed całym światem. John Burton ją odnalazł. To oznaczało, że mógł to zrobić każdy.

Usiadła przy stole, nalała sobie kawy. Zaparzyła dużo kawy tego wieczoru, kiedy opowiadała Johnowi Burtonowi, temu zupełnie obcemu mężczyźnie, historię swojego męczeństwa. O psychicznych poniżeniach, od których się wszystko zaczęło. O przymusie ciągłej kontroli. O latach, w czasie których nie dochodziło jeszcze do przemocy, ale gdy narastało w niej uczucie, że nie wolno jej oddychać. Kiedy musiała zdawać rachunek z każdego kroku, każdego ruchu i niemal każdej myśli.

- Nie było niczego, o czym wolno by mi było decydować. Ani o meblach, ani o dywanach, ani o zasłonach, ani o obrazach na ścianie. Ani o sztuczkach, którymi jedliśmy, ani o kwiatkach w ogrodzie. Ani też o książkach, które stały na regałach. Nawet o moich ubraniach, o mojej bieliźnie, o kosmetykach, o biżuterii. Także o samochodach. O niczym. Absolutnie o niczym. On jest chorobliwym perfekcjonistą i wszystko, absolutnie wszystko musi być zgodne z jego wyobrażeniem perfekcyjnego domu, perfekcyjnej żony, perfekcyjnego życia.

Zadał jej pytanie, które musiało paść:

- Dlaczego pani od niego nie odeszła? A ona odpowiedziała cicho:

- Ludzie tacy jak on, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, robią przede wszystkim jedną rzecz: odbierają swojej ofierze wszelki ślad wiary w siebie. Oni niszczą duszę drugiego człowieka. Nagle nie ma się już siły, żeby iść. Przestaje się wierzyć, że można sobie w życiu z czymkolwiek poradzić, choćby to była drobnostka. Człowiek mimo woli zaczyna się trzymać swego dręczyciela, bo on najpierw niszczy psychicznie i bardzo przekonująco wmawia, że bez niego nie można żyć.

John skinął głową. Była mu wdzięczna, że nie zareagował wygłoszeniem banału w rodzaju: ale taka atrakcyjna kobieta jak pani na pewno szybko by sobie kogoś znalazła.

Miała wrażenie, że rozumiał, co jej mąż zrobił z jej duszą.

- Kiedy zapytał w końcu zaczął panią bić?

Wydawał się dobrze wiedzieć, że musiało do tego dojść. Znał przebieg pewnych procesów.

Ona doskonale wiedziała, że tak będzie. I odpowiedziała:

- Kiedy pojawił się na świecie Fin. Mój mąż nie mógł się pogodzić z tym, że w moim życiu był już ktoś drugi. Moje dziecko. A posiadanie dziecka daje kobiecie siłę. Czułam się silniejsza, kiedy Fin się urodził. Nie sądzę, żeby zmieniło to coś w moim zachowaniu, ale może... byłam pełna szczęścia i wewnętrznego spokoju. Miłości do tego małego stworzenia. Nie mógł już dotrzeć do samej głębi mojej duszy ze swoim sadystycznym zachowaniem, kontrolowaniem, atakami, zniewagami. Dzięki Finowi zbudowałam wokół siebie pewien rodzaj ochronnej zapory. A to mojego męża doprowadzało do szaleństwa. Nie miał już nade mną totalnej kontroli. To było dla niego nie do zniesienia.

Opowiedziała, jak trudno jej było ukrywać kolejne okaleczenia. Zawsze ogromne słoneczne okulary, kiedy miała podbite oczy. Pęknięta warga oznaczała, że całymi dniami nie mogła wychodzić z domu. Czasami była zmuszona zamykać się na całe tygodnie.

Czuła, że John Burton był wściekły. Nie na nią. Ale na mężczyzn takich jak jej mąż. Na mechanizmy psychologiczne i zasady, które doprowadzały kobiety do sytuacji całkowitej bezradności.

Czuła potrzebę, żeby wyjaśnić mu dokładnie całość tego fenomenu, jego totalność. Wyjaśnić, dlaczego zastygła jak sparaliżowana w tym koszmarze.

- Bałam się. Najbardziej tego, że stracę Fina. Mój mąż jest potężny i bardzo wpływowy. Cały czas uważałam za możliwe, że koniec końców znacznie gorzej na tym wyjdę, jeśli ciężko pobita zjawię się na policji i złożę na niego doniesienie. On by się z tego szybko wywinął. Widzi pan, leczyłam się już wcześniej z powodu depresji. Byłby to wyciągnięty na światło dzienne i zaczęto by mnie uważać za wariatkę. I znalazłby się ktoś, kto by potwierdził, że sama się okaleczyłam.

Wylądowałabym na zamkniętym oddziale psychiatrycznym. I nigdy już nie zobaczyłabym swojego dziecka.

- To nie jest takie proste odparł John. Można stwierdzić, czy ktoś się sam okaleczył, czy też zrobiła to druga osoba. Nie sądzę, że mógłby panią zamknąć w szpitalu psychiatrycznym.

Wzruszyła ramionami.

- Zawsze groził, że to zrobi. Wprost ryczał: *Jesteś szalona! Wsadzę cię do zakładu! I nigdy stamtąd nie wyjdiesz!* Nie byłabym w stanie zaryzykować tego wtedy. Jedyne, co czułam, to strach.

Żeby ten strach uzasadnić, zdjęła sweter, który miała na sobie. W obecności tego obcego przecież mężczyzny. Pod spodem miała głęboko wyciętą koszulkę typu top. Odwróciła się i usłyszała, że niemal jęknął, kiedy to zobaczył: źle zabliznione rany poniżej szyi, na ramionach i plecach.

- Aż wreszcie zaczął atakować mnie nożem wyszeptwała.

- Wielki Boże, Lizo!

Wstał, podszedł do niej i objął ją ramionami. Stali tak w milczeniu przez dobrą minutę. Była świadoma jego siły, jego spokoju poczuła coś jak gdyby bezpieczeństwo.

Ale niemal podświadomie przywołała się do porządku: *nie ufaj żadnemu mężczyźnie.*

Uwolniła się gwałtownie, włożyła sweter, a on poruszony do głębi, obiecał:

- Pomogę pani, Lizo. Proszę mi wierzyć, że pani pomogę!

- Nie może mi pan pomóc. Nie może pan nic poradzić przeciwko niemu.

- Udało mu się doprowadzić do tego, że uważa go pani za wszechmocnego, i to jest zrozumiałe. Ale on jest normalnym człowiekiem. Też podlega przepisom prawa.

- Zamorduje mnie, kiedy tylko mnie dopadnie.

- Nie robi tego. Pójdzie do więzienia. Zaśmiała się gorzko.

- I pan wierzy, że stamtąd nie będzie mógł komuś zapłacić, żeby zrobił to, co on każe?

- Chce pani pozwolić, żeby wyszedł z tego bez szwanku? I ukrywać się przez resztę życia?

- Może nie mam już innego wyjścia.

- Pani syn...

W jej oczach błysnął gniew, bo wydawało jej się, że był to wyrzut z jego strony.

- Proszę mi teraz nie mówić, że nie wolno mi było go opuszczać! Proszę mi tego nie mówić! Nie ma pan pojęcia o mojej sytuacji! Jak mogłam zabrać Fina? Dziecko, które musi chodzić do szkoły i prowadzić w miarę normalne życie?

Logan dopadłby mnie wtedy natychmiast. Nie mogę całkiem zniknąć, mając przy sobie dwunastoletniego chłopca, to po prostu niemożliwe. Wiem, że Finowi jest u niego dobrze. On nigdy by go nie skrzywdził. Nigdy też tego nie robił do tej pory.

Jakkolwiek to brzmi, jest kochającym ojcem. Nawet więcej: wprost ubóstwia swego syna. A ja nie mogłam zrobić nic innego. Fin ma cały czas swój dom, swoją szkołę, swoich przyjaciół i żyje normalnie. Tak jest dla niego lepiej, niż gdyby musiał się ukrywać wraz ze mną. Proszę mi wierzyć, rozstanie z nim doprowadza mnie niemal do szaleństwa. Mogę to znieść tylko dlatego, bo wiem, że tak jest dla niego najlepiej. I dlatego, że próbuję go od czasu do czasu zobaczyć. Tak jak dzisiaj. Choć wiem już, jakie to ryzykowne. To nie pan, tylko mój mąż mógł się tam na mnie czaić.

- Finleyowi bardzo pani brakuje. Rozpaczliwie walczyła ze łzami.

- Tak... Tak. Myśli pan, że o tym nie wiem? Myśli pan, że się tym nie zadręczam? Wydaje mi się czasem, że umrę z tego powodu. Ale mimo wszystko wiem, że Finleyowi jest lepiej niż przedtem. A ja, inaczej niż gdyby mój mąż doprowadził do separacji i zamknął mnie w zakładzie psychiatrycznym, czuję teraz pewną wolność i możliwość zakończenia przeze mnie tej sytuacji. Jeżeli nie zniosę życia bez Fina, to wrócę. Mimo tego wszystkiego, co mnie wtedy czeka.

- A pani mąż nigdy się nie obawiał, że Finley się komuś zwierzy? Nauczycielowi? Koledze z klasy albo jego rodzicom?

- Mój mąż nie wie, co to strach i obawa. A przynajmniej nie wie, jak to się odczuwa. Wie tylko, jak należy wokół siebie rozsiewać strach. Fin był równie sparaliżowany strachem jak ja. Oboje zawsze wiedzieliśmy, że będzie jeszcze gorzej, kiedy komuś coś powiemy. Mój mąż nie musiał nam wyraźnie zabraniać rozmawiania o tym z kimkolwiek. Nigdy byśmy tego nie zrobili. Nam chodziło tylko o to, żeby jakoś wytrzymać. I przeżyć.

Piła swoją kawę i patrzyła nieruchomym wzrokiem na przeciwległą ścianę, gdzie z licznych zdjęć Finley patrzył na nią dużymi oczami. Zastanawiała się, czy Burton rzeczywiście to zrozumiał. Życie z niebezpiecznym psychopatą zmieniało wszystko, nawet ogólny obraz świata, odbierało istniejące wcześniej poczucie bezpieczeństwa i stabilizacji. Kiedyś, przed laty, w innym życiu, które ledwo pamiętała, wierzyła w coś, co gwarantowało jej bezpieczny byt: prawo, ustawy, sprawiedliwość, ludzką solidarność. Ziemia pod jej stopami wydawała się stabilna, a ona czuła się bezpieczna w społeczeństwie, w którym wzrastała.

A potem się dowiedziała, że to wszystko, w co tak niezachwianie wierzyła, było nader złudne. Nie było żadnej ochrony, żadnej sprawiedliwości ani też solidarności między ludźmi. Było prawo silniejszego i nic więcej. Świat był miejscem budzącym zgrozę, utrzymywanym we względnej równowadze dzięki cienkiej i nietrwałej sieci złudnego systemu bezpieczeństwa. Kto się nie utrzymał na powierzchni i prześlizgnął przez oka tej sieci, spadał w otchłań bez dna i zdarzało się to znacznie większej liczbie osób, niż przypuszczała. Zrozumiała to dopiero wtedy, kiedy ją

właśnie także to spotkało. Kiedy nie było niczego ani nikogo, kto by jej pomógł utrzymać się na powierzchni.

Burton raz jeszcze spytał o Carłę i Anne. Carla Roberts i Anne Westley.

Uśmiechała się gorzko i z rezygnacją, kiedy siedziała sama wieczorami, w blasku migoczących płomieni świec, w miejscu, które mimo wszystko było jej schronieniem w ciągu ostatnich ośmiu tygodni, pełna lęku, że je straci.

Carla i Anne jej dwie próby szukania pomocy. I obie te próby się nie powiodły. Obie kobiety po prostu nie stanęły na wysokości zadania.

- A pani mężowi nie przeszkadzało, że chodziła pani na spotkania tej grupy? chciał wiedzieć Burton.

Potrząsnęła głową.

- On nie wiedział, że tam spotykały się kobiety, które były rozwiedzione albo po prostu samotne. Powiedziałam mu coś o ezoteryce, co on uważał za idiotyczne, ale to go przynajmniej nie zaniepokoiło. Oczywiście wszystko było ryzykowne w najwyższym stopniu. On w każdej chwili mógł zacząć dociekać, dokąd ja regularnie chodzę. Nie zrobił tego. Miał w tym okresie bardzo dużo pracy i trochę zaniedbał nadzorowanie mnie.

- Zwierzyła się pani Carli Roberts?

- Nie ze wszystkimi szczegółami. Ona i tak stale mówiła tylko o sobie i swoim okropnym losie, a we mnie widziała cierpliwą słuchaczkę. Ale pewnego dnia spotkałyśmy się poza grupą, u niej w domu. Jak zwykle miałam założone okulary słoneczne i Carla najpierw narzekała i lamentowała przez pół godziny, ale w końcu nagle umilkła, przyjrzała mi się i spytała: *Dlaczego właściwie nosisz bez przerwy te okulary?* A był to jesienny, deszczowy i pochmurny dzień. Normalnie w takich sytuacjach opowiadałam coś o nadwrażliwych oczach, alergii albo zapaleniu spojówek. Ale wtedy nagle... nie wiem dlaczego... W każdym razie zdjęłam okulary i powiedziałam: *Dlatego!*

Wyglądałam fatalnie. Prawe oko było niemal całkowicie zapuchnięte i podbite na ciemnofioletowo. Niezbyt piękny widok.

- Jak zareagowała Carla?

- Była mocno skonsternowana. Ta dzielna Carla, której zdawało się, że najgorsze, co mężczyzna może zrobić kobiecie, to mieć romans z sekretarką i doprowadzić do plajty rodzinny biznes. No to się dowiedziała, co jeszcze może się wydarzyć na tym świecie. Była dość przerażona.

- Zadawała jakieś pytania? Doradzała pani, żeby złożyć doniesienie na męża?

- Tak, pytania zadawała, owszem. Nie opowiedziałam jej wszystkiego o tym, co przeżywałam. Ale powiedziałam, że mój mąż wpada czasem w gniew i lubi rozwiązywać problemy ze mną za pomocą pięści. Była przerażona, ale... co tu dużo mówić. Kwadrans potem już znowu lamentowała i mówiła tylko o swoich problemach. Jej niewierny mąż. Córka, która nie za bardzo się o nią troszczy. Plajta ich firmy. I jej samotność. Ona taka była. Nie była złym człowiekiem, tylko nie

dostrzegała nikogo oprócz siebie. W gruncie rzeczy nie potrafiła się zdobyć na odrobinę dystansu do siebie. Chyba nic na to nie mogła poradzić.

- A próbowała z panią jeszcze kiedyś o tym porozmawiać? Albo może oferowała jakąś pomoc?

- Nie. Już się prawie potem nie widywałyśmy. Grupa się wkrótce rozwiązała, a moja osobista sytuacja też się zaostrzyła. Już prawie nie mogłam utrzymywać żadnych kontaktów, z nikim. Bałam się śmierci. Nie chciałam już spotykać się z Carlą i wysłuchiwać jej narzekań.

- A zwracała się pani jeszcze wcześniej do doktor Westley? Opowiedziała mu o sytuacji z doktor Westley i John pojawił wówczas, dlaczego jego pytanie, czy żywiła jakąś urazę do Anne i Carli, wydawało jej się nie do końca na miejscu. Nie, nie nazwałaby tego urazą. Ale one obie właściwie ją zostawiły, kiedy była w potrzebie. Tego była świadoma.

- Czy pani mąż przypuszczał, że poza rodziną były jeszcze dwie osoby, które mogły stanowić dla niego zagrożenie? Dlatego, że te osoby wiedziały, co się dzieje u pani w domu? spytał John.

Zastanawiała się.

- Ja mu o tym nie powiedziałam. Ale oczywiście mógł do tego dojść.

- Jak?

- Nie mam pojęcia. Ale wiem, że po nim można było się spodziewać wielu rzeczy, rozumie pan? Mogło tak być, że o tym wiedział.

- A nazwisko *Ward* nic pani nie mówi? Thomas i Gillian Wardowie?

- Nie. Przykro mi. Nigdy nie słyszałam.

Potem John się pożegnał. Ale najpierw jeszcze raz obiecał, że jej pomoże. Zastanawiała się w głębi ducha, jak zamierzał się do tego zabrać.

- Czy jest jeszcze coś, co powinienem wiedzieć? zapytał już w drzwiach, a kiedy zaprzeczyła, dodał:

- Na pewno? Czy powiedziała mi pani wszystko, co może być ważne w tej sprawie?

- Tak.

Zostawił jej swoją wizytówkę na wypadek, gdyby jednak jej się coś przypomniało. Albo gdyby potrzebowała pomocy. Nie wiedział, że już dawno postanowiła niczego nie ryzykować. Może John Burton zaliczał się do ludzi, którym można było zaufać, ale ona nauczyła się postrzegać mężczyzn jako potencjalnych wrogów. I wydawało jej się, że bezpieczniej będzie nie robić żadnych wyjątków.

Postanowiła zniknąć. Wyjechać gdzieś dalej. Zrezygnować na całe miesiące z kontaktów z Finleyem, nawet gdyby miało to być jeszcze bardziej bolesne.

Nie powiedziała Burtonowi wszystkiego. Ale czy on mógł tego oczekiwać? Nie znała go. Był dla niej kimś zupełnie obcym.

A poza tym pytał o to, co może być ważne *w tej sprawie*.

Nie wiedziała, czy to, co zatrzymała dla siebie, mogło być ważne.
Prawdopodobnie nie.

Widział przed sobą jasno całą sytuację. Liza opisała ją dokładnie, spokojnym głosem. Prawie bez emocji.

Kompetentna, sympatyczna i miła lekarz pediatra doktor Anne Westley. Do każdego odnosiła się jak matka. Kobieta, która tak znakomicie umiała się obchodzić z dziećmi. Wiedziała też, jak uspokoić rodziców i jak z nimi postępować.

I Liza Stanford. Na skroni głęboka tłuczona rana, efekt uderzenia pięścią, które zadano jej poprzedniego wieczora i w wyniku którego runęła na kant szafy. Jej mężowi nie smakowała kolacja. Stek irlandzki bez marchewki. Akurat nie miała w domu marchewki i nie było już czasu, żeby ją kupić. A on wyraźnie zażądał, by na kolację był stek irlandzki, do którego przyrządzenia niezbędna była marchewka. Miała nadzieję, że tego nie zauważy.

Oczywiście, że zauważył.

Właściwie nie wyszłaby następnego dnia z domu, gdyby nie zaszła taka konieczność. Rana ciągle krwawiła, nie można jej było ukryć. Ale potem przyszedł ze szkoły Finley i powiedział, że bardzo nieszczęśliwie i boleśnie upadł w czasie zajęć wychowania fizycznego. Podparł się przy upadku prawą ręką, lecz z początku prawie nie odczuwał bólu. Ale po południu ręka spuchła i bolała coraz bardziej. Liza miała nadzieję, że to przejdzie samo, lecz Finley marudził coraz bardziej i w końcu nie widziała innej możliwości niż wizyta u lekarza. Przykleiła na swoją ranę wielki plaster, zaczesła włosy do przodu, tak że prawie nic nie było widać, i oczywiście założyła ciemne okulary. Najchętniej pojechałaby gdzieś na pogotowie, gdzie jej nie znano, ale Finley, bardzo roztrzęsiony i bliski płaczu, domagał się koniecznie, żeby pojechali do doktor Westley, tak przez niego lubianej lekarki.

Tak oto późnym popołudniem wylądowali w gabinecie doktor Westley, a że chodziło o wypadek, zostali przyjęci poza kolejnością, choć poczekalnia była pełna. Ręka rzeczywiście było poważnie skrzyta. Finley dostał temblak, a potem Anne Westley usiadła za biurkiem, żeby wypisać receptę na środek przeciwbólowy. Liza siedziała naprzeciwko, Finley bawił się w kącie plastikowymi figurkami z ulicy Sezamkowej, które go zawsze fascynowały.

Anne wyrwała z bloczku gotową receptę i chciała właśnie podać ją Lizie przez stół, ale nagle znieruchomiała.

- Co pani tam ma? spytała zaskoczona.

Liza instynktownie zaczesła ręką włosy do przodu. Przy tym ruchu poczuła coś ciepłego i mokrego na skroni i na policzku. „O nie” pomyślała przerażona.

- Przecież pani krwawi powiedziała Anne. Niech pani poczeka, muszę to obejrzeć.

Wyszła zza biurka i podeszła do Lizy, choć ta protestowała.

- To nic, to nic... już dobrze, to nic takiego.

Plaster zupełnie przesiąkł krwią. Zanim wyszła z domu, miała wrażenie, że rana zaczyna się goić i krew zakrzepła. Ale z jakiegoś powodu otworzyła się i znów zaczęła krwawić.

Anne pochyliła się nad Lizą i ostrożnie zdjęła jej okulary. Lewe oko też nieco ucierpiało w wyniku uderzenia, ale nie było jeszcze otoczone ciemnym siniakiem to miało nastąpić dopiero następnego dnia. Mimo to powieka była mocno zaczerwieniona i spuchnięta, a delikatnego zielonkawego zabarwienia nie dało się przeoczyć i nie można go było pomylić z zielonym cieniem do powiek. Liza usłyszała, jak Anne gwałtownie wciągnęła powietrze do płuc. A potem zręcznie, jednym ruchem usunęła plaster.

- Dobry Boże powiedziała przerażona. To bardzo źle wygląda! Czy była pani z tym u lekarza?

- Nie odparła Liza. To już przedtem przestało krwawić i myślałam, że samo się zagoi.

- Ale ta rana wygląda tak, jakby tworzył się tu stan zapalny. Przepisałabym pani maść z antybiotykiem. A poza tym to trzeba lepiej zabandażować. Plaster nie będzie się trzymał. Mam tu gdzieś taki spray powstrzymujący krwawienie, proszę poczekać.

- Dobrze powiedziała sztywno Liza. Nie ważyła się spojrzeć na lekarkę.

Anne oparła się o kant biurka.

- Co się właściwie stało? spytała pozornie obojętnym głosem, patrząc na Lizę uważnie.

Liza wiedziała, że to będzie najbardziej stereotypowa z możliwych odpowiedzi, ale na razie nie przyszło jej nic do głowy:

- Schody u nas w domu. Już mi się to kilka razy zdarzyło. Stopnie są bardzo strome, a ja jestem klasyczną wielką niezdara uśmiechnęła się niezbyt przekonująco. Rana naprawdę bardzo bolała, gdy tylko wykonywała najmniejszy grymas. Jestem dość gapowata. A na poręczy na dole jest taka wystająca ozdoba wyrzeźbiona w drewnie i uderzyłam w nią twarzą. Miałam i tak szczęście, że nie straciłam oka. Głupie, prawda? Muszę być ostrożniejsza, ale zawsze, już w szkole na wychowaniu fizycznym...

Umilkła.

„Za dużo gadam” pomyślała.

- Mrs Stanford powiedziała Anne, która ciągle stała przed nią oparta o biurko. Proszę na mnie spojrzeć.

Liza z wahaniem podniosła wzrok. Czuła się naga i bezbronna bez wielkich ciemnych okularów, za którymi mogła się schronić. Pomyślała, że pewnie wygląda strasznie.

- Mrs Stanford, nie chcę się mieszać w nie swoje sprawy. Ale chciałabym pani powiedzieć... że w każdej sytuacji można znaleźć pomoc. Czasami sądzimy, że nasze położenie jest bez wyjścia. Ale tak nie jest. Zawsze jest jakaś droga...

Liza popatrzyła siwowłosej kobiecie prosto w oczy. Dostrzegła jej zatroskanie i przerażenie.

Ona wie. Ona wie dokładnie, co się stało.

W milczeniu odwróciła wzrok.

- Zajmę się teraz pani głową powiedziała Anne po dłuższej chwili. W jej głosie słychać było rezygnację. Czy tak będzie w porządku?

Liza skinęła głową.

Pozwoliła sobie opatrzeć ranę, podczas kiedy Finley dalej bawił się w kącie i nie spojrzał w ich stronę ani razu. Liza dostrzegła też, że Anne zerknęła w stronę dziecka z widoczną troską w oczach. Była wyraźnie zirytowana, że Finley nie reagował, kiedy jego matce obmywano twarz z krwi i zakładano opatrunek. Liza zastanawiała się, czy Anne Westley wyciągnęła wnioski, które niejako same się narzucały: że Finley aż za dobrze znał widok matki w takim stanie i nauczył się od tego odgradzać, bo inaczej byłoby to dla niego nie do zniesienia.

Anne Westley nic już nie powiedziała. Ale kiedy Liza w końcu opuściła gabinet, pomyślała: „Może przyjdę tu jeszcze raz. Może ona mi pomoże. Ona już wie i była przerażona”.

Liza sama już nie wiedziała, czy postać upartej, obstającej przy swoim lekarki nastrajała ją jeszcze bardziej przygnębiająco, czy też przerażała. Prawdopodobnie jedno i drugie. Liza bała się, że będzie jeszcze gorzej, jeśli ktoś zacznie się w to mieszać. Ale jednocześnie zrodziła się w niej jakaś pewność, że to wszystko nie może trwać wiecznie, choć ona nie jest w stanie z własnej inicjatywy wykonać choćby paru decydujących kroków. Przez następne dni od czasu do czasu poddawała się myśli, że ktoś inny weźmie sprawę w swoje ręce w gruncie rzeczy chodziło o to, że ktoś inny, tylko nie ona, złoży doniesienie na policji. I ta myśl napępiała ją na przemian nadzieją i paniką. Myśli, które ją przy tym ogarniały, były coraz bardziej sprzeczne. Aż kiedyś wreszcie pojęła, że nic się nie stanie. Nie słyszała więcej o doktor Westley.

- I któregoś dnia temat był dla mnie zamknięty powiedziała do Johna. Wewnętrznie skreślony. Wiedziałam już, że ze strony Anne Westley nie mogę liczyć na pomoc.

Jechał nocą przez miasto, a przez głowę przelatywały mu tysiące myśli. Ciągłe musiał się upewniać, czy nie przekracza dopuszczalnej prędkości. Był wzburzony i raz po raz przychodziły mu do głowy kolejne możliwości rozwiązania tej sprawy.

Jedna z nich była taka, że wprowadzie kierował swoje podejrzenia przede wszystkim w stronę doktora Stanforda, ale równocześnie rozważał, czy nie należało wziąć pod uwagę także samej Lizy?

Ta kobieta przeszła piekło. Łotr, który był jej mężem, wyładowywał na niej swoje sadystyczne zapędy, których rozmiar przerażał Johna, choć jako były policjant widział już niejedno i niełatwo go było czymś zaskoczyć. Ten człowiek był chory, to nie podlegało dyskusji. Ale czy był mordercą?

Jak ogromną goryczą musiał napełnić Lizę fakt, że od obu kobiet, które wiedziały o wszystkim, nie otrzymała żadnej pomocy? Czy właśnie od osób tej samej płci oczekiwała ona szczególnej solidarności i tym bardziej nie mogła potem zrozumieć, dlaczego jej nie doświadczyła? Mówiła o tym pozornie beznamiętnie ale na ile było to bolesne? Stwierdziła, że nawet nie czuła do nich żadnej urazy. Opowiadała o tym spokojnie, bez widocznego zaangażowania uczuciowego. John przypominał sobie liczne przesłuchania, które prowadził niejednokrotnie osoba siedząca naprzeciw niego zachowywała się dokładnie tak samo. A później okazywała się mordercą albo oszustem pozbawionym wszelkich skrupułów.

Jedno było pewne: zarówno Anne Westley, jak i Carla Roberts byłyby skłonne dobrowolnie otworzyć drzwi swojego mieszkania, gdyby zadzwoniła do nich Liza.

Czy Liza ukryła się po to, żeby się mścić?

Uderzył ręką w kierownicę. Do cholery, coraz bardziej wikłał się w tę sprawę. Najpierw Samson. Teraz Liza. Oboje poszukiwani przez policję. Oboje podejrzani. I on znał dokładnie miejsce pobytu ich dwojga.

Dawno powinien był pójść na policję z tym, co wiedział. Zdawał sobie sprawę, że nie robiąc tego, popełniał przestępstwo.

Był śmiertelnie zmęczony, a jednocześnie niemal czuł wibrowanie adrenaliny. Znał to: coś takiego pojawiała się u niego po wielogodzinnym, wymagającym wytężonej uwagi obserwowaniu kogoś. Było to wyczerpujące zmęczenie i napięcie, któremu towarzyszyło ostre pieczenie oczu, a zarazem świadomość niebezpieczeństwa i możliwości jego eskalacji w każdej sekundzie, co z kolei powodowało napięcie niemal każdego nerwu oraz czujność całego organizmu. Wyobrażał sobie, że podobny stan występował po zażyciu narkotyku.

Skręciwszy w ulicę, gdzie znajdowało się jego mieszkanie, spojrzął natychmiast w okna i stwierdził z ulgą, że były ciemne. Samson Segal położył się zapewne spać, dzięki Bogu. John nie miał najmniejszej ochoty na nocną rozmowę z nim.

Zaparkował auto, przebrnął przez śnieg, otworzył bramę i chwiejąc się ze zmęczenia, wszedł po schodach na górę. Znalazłszy się w mieszkaniu, zajrzał do salonu. Dostrzegł w mroku sylwetkę Segala śpiącego w śpiworze na karimacie. Na szczęście się nie obudził.

John zniknął w swojej sypialni. Zdjął z siebie ubranie, rzucając je po prostu na podłogę. Położył się na materacu i nagle ogarnęło go bolesne wspomnienie Gillian. Nie zmienił pościeli od chwili jej pobytu tutaj i wydawało mu się, że poczuł zapach jej perfum, kosmetyków, jej samej.

Ukrył twarz w poduszce. Musi zapomnieć o tej kobiecie, wyrwać z serca każde wspomnienie o niej. Nie chciał cierpieć, rozpaczać i oddawać się ponurym myślom.

Jutro zmieni pościel.

Zaledwie powziął ten zamiar, natychmiast zasnął.

Zrobię to powiedziała Gillian. Siedziały z Tarą naprzeciw siebie w kuchni i jadły śniadanie. Za oknem było jeszcze zupełnie ciemno. Wynajmę gdzieś pokój i na jakiś czas zniknę.

Nie spała całą noc, oddając się rozmyśleniom. Czowała się bezpieczna w mieszkaniu Tary, ale było dla niej jasne, że to uczucie mogło być zwodnicze, a przede wszystkim rozumiała, że nie wolno jej narażać przyjaciółki na niebezpieczeństwo. Trzeba było być kimś pozbawionym wszelkich skrupułów, żeby w jej położeniu zakwaterować się u kogoś w przekonaniu, że nic złego się nie stanie. Równie fatalnie mogła się skończyć przeprowadzka do własnego domu. Gillian wciąż nie wiedziała, czy tam rzeczywiście ktoś był. Tara miała rację, to było idiotyczne ze strony Gillian, że nie zawiadomiła natychmiast policji. Przynajmniej wyjaśniono by wtedy, czy sobie coś wmówiła czy nie. A tak znów działała zupełnie po omacku.

„To już się nie da zmienić” pomyślała, przewracając się na kanapie w czasie ostatniej bezsennej nocy. Ale postanowiła, że przynajmniej od tej chwili będzie działać rozsądnie.

- Jesteś pewna? spytała Tara w odpowiedzi. Wyglądała na bardzo zaspaną. Było dopiero wpół do siódmej rano.

- Jestem pewna. Jak długo nie wiem, czy ktoś rzeczywiście upatrzył sobie mnie na następną ofiarę i jak długo nie znamy powodu tego wszystkiego, nie powinniśmy się narażać i ryzykować. Ani mojego życia, ani twojego. Będzie po prostu lepiej, jeśli zniknę wszystkim z pola widzenia.

- Myślę, że wkrótce będziesz mogła wrócić. Policja prowadzi dochodzenie pod wielką presją. Znajdą tego łotra.

- Zajmę się swoją przyszłością powiedziała Gillian. Wezmę z sobą laptopa i zacznę szukać w Internecie mieszkania i pracy w Norwich. A tu wszystko będzie szło swoim zwykłym biegiem. Pośrednikowi wyślę klucz do domu, będzie mógł zacząć robić oględziny. A gdybym miała jechać do Norwich, na przykład na rozmowę kwalifikacyjną, to pojedę stamtąd. Nie ma problemu.

- To brzmi dobrze rzekła Tara. Słuchaj, muszę niestety jechać już do biura, ale dziś jest piątek i wrócę wcześniej. Proponuję tak: dziś po południu zawiozę cię do Thorpe Bay, żebyś mogła spakować wszystko, co ci będzie potrzebne. A stamtąd pojedziesz już swoim autem.

Gillian zaprotestowała.

- Nie mogę się na to zgodzić, Tara. Masz tyle pracy. Pozwól, że pojedę koleją.

Tara potrząsnęła głową.

- Będziesz jechała całą wieczność. Naprawdę mogę cię zawieźć. To nie problem.

Wypiła ostatni łyk kawy i wstała.

- Poczekasz tu na mnie?

- Tak. Wszystko jasne. Dziękuję powiedziała Gillian. Miała nadzieję, że podjęła właściwą decyzję.

4.

John obudził się nagle, bo wydało mu się we śnie, że nagle ktoś wszedł do jego pokoju. Poderwał się natychmiast i zobaczył nad sobą uśmiechniętą twarz Samsona Segala.

- Obudziłem pana? spytał Samson troskliwie.

John miał ochotę na jakąś kąśliwą odpowiedź, powstrzymał się jednak ale po co Segal zakradał się do jego pokoju?

- W porządku. Która godzina? spytał.

- Zaraz ósma.

- O cholera! zaklął John. Powiniennem być już w biurze dodał i obejrzał swój budzik, który stał obok na podłodze. Ze zmęczenia zapomniał go wczoraj w nocy nastawić, co mu się dotychczas nigdy nie zdarzyło.

- Późno pan wczoraj wrócił powiedział Samson. Czekałem do wpół do dziesiątej, ale potem...

- To był bardzo długi wieczór rzekł John. Wstał, spojrział w okno. Dzień dopiero się zaczął, zrobiło się jasno, a w mieszkaniu pachniała świeżo zaparzona kawa.

- Zrobiłem śniadanie wyjaśnił Samson. Poszedłem na dół i kupiłem paczkę pieczywa do tostów.

- Przecież miał pan siedzieć w mieszkaniu!

- Ale wtedy nie mieliśmy zupełnie nic do jedzenia. Już wczoraj wieczorem... umilkł zakłopotany.

John przejechał palcami po rozczochranych włosach.

- Przykro mi. Powiniennem był o tym pomyśleć. Zaraz przyjdę na śniadanie.

Wszedł do łazienki, dłuższą chwilę stał pod prysznicem, zdecydował, że może dziś zrezygnować z golenia, włożył dzinsy i sweter i poszedł do kuchni. Z braku stołu Samson ustawił na szafce koszyk z pieczywem, talerze, filiżanki, toster i przysunął barowy stółek jedyny sprzęt do siedzenia, jaki był w kuchni. Nalał kawy i wskazał na stółek, mówiąc:

- Proszę, niech pan usiądzie. Ja śniadania jadam na stojąco.

- Ja też odparł John. A więc może pan usiąść.

Samson nie usiadł jednak, tylko postawił na stołku filiżankę z kawą.

„Rzeczywiście, stół by nie zaszkodził” pomyślał John.

Łamał sobie głowę, czy i jak szczegółowo powinien o wszystkim poinformować Samsona. W zasadzie nigdy nie lubił rozmawiać z innymi o swoich rozmyślaniach, zanim sam nie doszedł do jakiegoś zadowalającego wniosku. Tak było już wtedy, kiedy jeszcze pracował w policji. Z drugiej strony nie uważał Samsona za głupiego, a w dodatku ten przez kilka miesięcy obserwował rodzinę Wardów. Mogło się

zdarzyć, że przyjdzie mu do głowy coś ważnego, kiedy John wtajemniczy go w niektóre szczegóły.

- Czy mówi coś panu nazwisko Stanford? spytał. Doktor Logan Stanford?

Samson się zastanowił.

- Stanford... To nie ten adwokat? Który ma tak niesłychanie dużo pieniędzy i stale organizuje jakieś imprezy charytatywne? Dość często o nim piszą w gazetach. Tuż przed Bożym Narodzeniem u nas w Thorpe Bay też coś takiego zorganizował... w klubie golfowym, jakąś loterię tombola czy coś takiego.

„Interesujące pomyślał John. Zawsze ma to coś wspólnego ze sprawą: Stanford zatrzymał się w Thorpe Bay. Bardzo blisko domu Gillian”.

- Ale osobiście pan go nie zna? Samson się roześmiał.

- Nie. Ktoś taki jak on nawet by mnie nie zauważył! W takich kręgach raczej się nie obracam.

John postanowił ujawnić przynajmniej kilka szczegółów swojego dochodzenia.

- Jego żona, Liza Stanford, utrzymywała kontakty z obiema zamordowanymi kobietami. Z Carla Roberts i Anne Westley.

- Tak? Skąd pan wie?

- Nieważne. Wiem. I dobrze byłoby się dowiedzieć, czy jej mąż także utrzymywał kontakty z Gillian Ward.

- Niech pan go o to zapyta!

- Pytałem Lizę Stanford. Ona twierdzi, że nigdy nie słyszała nazwiska Ward. Nie wie pan coś na ten temat?

- Niestety nie. Samson sprawiał wrażenie zdezorientowanego. Zakładam, że chciałby pan wiedzieć, czy widziałem kiedykolwiek doktora Stanforda u Wardów? Nie, nie widziałem. To znaczy, ja znam jego twarz tylko z gazet, ale raczej bym go nie przeoczył, tak sędzę. A jak wygląda jego żona, tego w ogóle nie wiem.

- Bardzo atrakcyjna. Wysoka, szczupła. Długie blond włosy. Zawsze nosi ogromne ciemne okulary. To kobieta, którą zauważa się natychmiast.

- Nie odparł Samson. Przykro mi. Gillian w ogóle rzadko ktoś odwiedzał. Przychodziła właściwie tylko jej najlepsza przyjaciółka. Od czasu do czasu także matki, które przywoziły i odwoziły koleżanki z klasy Becky. Ale poza tym nikt.

- Rozumiem powiedział John z rezygnacją. Zgadzało się to z informacjami, które przekazała mu Kate: Gillian oświadczyła na policji, że nie zna Lizy Stanford. Fielder i jego ludzie sprawdzili dokładnie otoczenie zawodowe Thomasa Warda, a także klub tenisowy. John nie sądził, żeby rozwiązanie było takie proste, że uda się znaleźć Stanforda w tym samym klubie tenisowym albo w kartotece klientów Warda. O czymś takim Kate wiedziałaby już w czasie ich ostatniej rozmowy. Trudno będzie ustalić, co łączyło te sprawy i osoby o ile w ogóle coś łączyło.

Miłosierny Stanford brutalnym mordercą. Johnowi nietrudno było to sobie wyobrazić teraz, kiedy wiedział już, jak ten wytworny pan traktował żonę, jeśli

cokolwiek działa się nie po jego myśli. Ale mimo wszystko było tu wiele sprzeczności. Kate powiedziała, że zarówno Anne, jak i Carla prawdopodobnie całymi tygodniami były w dość subtelny sposób terroryzowane i zastraszane. Carla całkiem otwarcie mówiła o dziwnych wydarzeniach w jej bloku, w przypadku Anne przypuszczenie to opierało się na interpretacji jednego z jej obrazów. Trudno było sobie wyobrazić, że Stanford przez dłuższy czas codziennie przyjeżdżał pod blok Carli po to, by jeździć windą tam i z powrotem i napędzać stracha samotnej kobiecie. To do niego po prostu nie pasowało, pomijając już fakt, że nie za bardzo miałyby na to czas. Mało prawdopodobne było także to, że nocami kręcił się gdzieś po wąskich leśnych drogach, żeby przestraszyć lekarzkę swojego syna. Gdyby to Stanford zamordował obie kobiety, to miałyby jeden zasadniczy motyw: zbyt wiele wiedziały i należało zrobić wszystko, aby umilkły. I można to było zrobić szybko bez tej wrzawy, do której doszło. Także wyjątkowo brutalna metoda, za pomocą której uduszono obie kobiety, wydawała się Johnowi co najmniej dziwna. Aż taka nienawiść...

Czy coś takiego zrobiłby człowiek, któremu chodziło tylko o to, by usunąć ze swej drogi niebezpieczeństwo? Choć z drugiej strony Stanford był sadystą. Chorym i perfidnym sadystą.

Liza... Ona z pewnością miała powody, aby nienawidzić Anne i Carłę i chcieć zakosztować smaku zemsty. A z drugiej strony John nie bardzo mógł sobie wyobrazić w tej roli udręczoną, zastraszoną i zrozpaczoną kobietę. Wiedział jednak, że nie da się wykluczyć takiej możliwości. Liza była piękną kobietą i budziła w nim coś w rodzaju instynktu obrońcy, z czego John doskonale zdawał sobie sprawę i właśnie dlatego musiał uważać, żeby temu nie ulec.

- Czy Mrs Stanford ma coś wspólnego z tymi zbrodniami? spytał Samson.

- Nie wiem. John bawił się tostem, który leżał na jego talerzu. On też nie jadł nic od wczorajszego południa, ale głód, który poczuł zaraz po wstaniu z łóżka, zniknął. Ta sprawa za bardzo go pochłaniała.

A do tego, kiedy patrzył na przygotowane przez Samsona śniadanie, pojawiła się kolejna dręcząca myśl: z czego właściwie żyła Liza? Musiała przecież płacić czynsz za mieszkanie, musiała jeść i pić. Kupować benzynę do auta. Pomijając już to wszystko, mieszkanie musiało być wynajęte na konkretne nazwisko, które można w każdej chwili sprawdzić, nie mogła więc posłużyć się swoim. Wynajmujący żądają okazania dokumentów. Jak rozwiązała ten problem?

Poprzedniego wieczoru zdarzyło się tak wiele, że te pytania po prostu nie przyszły mu do głowy. O ile mógł ocenić Stanforda, to ten z pewnością dawno już zablokował wszystkie swoje konta. A to, że Liza posługiwała się swoją kartą kredytową, było całkiem nieprawdopodobne, nie mówiąc już o tym, że byłoby to niebezpieczne i pozwalało ustalić miejsce jej pobytu.

A z tego wynikało kolejne pytanie: Kto wspiera czy też kto wspomaga *Lizę Stanford*?

Do cholery, powinienem był o tym wcześniej pomyśleć.

- Jest pan zupełnie zatopiony w myślach powiedział Samson.

W roztargnieniu skinął głową. Czy to wszystko miało z sobą coś wspólnego nawet jeśli było to coś najbardziej nieprawdopodobnego i szalonego? Czy może za tym wszystkim kryli się Gillian lub jej mąż? Gillian nie zdradziłaby tego na policji, ponieważ w ten sposób narażała na niebezpieczeństwo Lizę. Czy Wardowie z tego powodu zwrócili na siebie uwagę mordercy którym mógł być tylko Logan Stanford?

Ale dlaczego miałyby to zrobić dopiero teraz? Zgodnie z tym tokiem rozumowania Anne Westley stanowiła dla niego zagrożenie już od trzech lat. A może Stanford dowiedział się wszystkiego o niej dopiero teraz nieważne, w jaki sposób. I *dopiero teraz* sytuacja się zaostrzyła. Liza znikła. Stanford mógł mieć wrażenie, że wszystko wymyka mu się spod kontroli.

I sięgnął po środek, który dobrze znał: przemoc.

- Czy jest pan zdania, że znalazł się pan bliżej rozwiązania tej sprawy? spytał Samson nieśmiało.

John odpowiedział zgodnie z prawdą:

- Tego na razie nie mogę powiedzieć. W pewnym sensie tak, ale ciągle jeszcze wszystko wydaje się bardzo zagmatwane i niejasne. Nie udało mi się dotrzeć do sedna sprawy.

- Jest pan moją jedyną nadzieją powiedział szybko Samson. Ze zdenerwowania miał czerwone plamy na policzkach. Proszę, niech pan nie rezygnuje. Jest pan jedynym człowiekiem, który może mnie uwolnić od tego oskarżenia.

- Policja też nie ułatwia sobie zadania, Samson. Wcale nie zależy im na tym, żeby schwytać kogoś, kto nie jest mordercą.

- Ale ja im nie ufam. Proszę Samson popatrz na Johna błagalnie niech pan mi pomoże. Jestem zrozpaczony. Chciałbym wrócić do swojego życia. Tylko to. Po prostu wrócić do swojego życia.

John powstrzymał się od uwagi, że w jego oczach życie Samsona miało zbyt mało uroku, żeby chcieć do niego wracać.

Nie znał wszystkich szczegółów, ale to, co wiedział, nie wyglądało zbyt pociągająco: mężczyzna, który mieszkał u brata i bratowej, bezrobotny, oddający się bez reszty dziwaczному hobby, jakim było szpiegowanie innych i podpatrywanie ich życia. Dzięki czemu poprzez identyfikację z obserwowanymi osobami i ich życiem udawało mu się osiągnąć jakiś rodzaj zadowolenia i satysfakcji. A jego własna bratowa w tym czasie grzebała sobie w jego komputerze, wydrukowała prywatne zapiski i pobiegła z tym na policję, żeby go wydać jako zbrodniarza. Jakoś trudno było się dopatrzeć jakiegokolwiek harmonii w życiu tej rodziny.

Mimo wszystko: to było życie Samsona Segala. I nawet jeśli był on w tym wszystkim nieszczęśliwy, było to życie, które znał. W którym nauczył się jakoś egzystować i sobie radzić, bo było znajome i bliskie.

W porównaniu z życiem człowieka poszukiwanego przez policję i niemającego pojęcia, kiedy to się skończy, poprzednia egzystencja Samsona rzeczywiście była rajem.

- Zrobię, co będę mógł, Samson obiecał John. Może pan być pewien, że...

W tym momencie zadzwonił telefon.

John przeprosił i wyszedł z kuchni. Telefon leżał w salonie na stercie książek. Numer na wyświetlaczu wydał mu się znajomy, jednak w pierwszej chwili John nie wiedział zupełnie, kto dzwoni.

- Mówi Kate Linville usłyszał w słuchawce żeński głos.

- O... witaj, Kate to dlatego numer wydał mu się znajomy. Zdziwiło go, że ona dzwoni. Od tamtego wieczoru przy stacji Charing Cross był przekonany, że już nigdy o niej nie usłyszy.

- Co u ciebie słychać? zapytał grzecznościowo.

- Dzięki. W porządku. A u ciebie? *Czego ona może chcieć?* Zastanawiał się.

- Też dobrze.

- John, właściwie postanowiłam, że nie będę się dla ciebie narażać i robić czegoś, czego mi nie wolno. Wszystko to jest zbyt ryzykowne i w sumie mogę na tym tylko stracić.

- Obiecałem ci, że nigdy, w żadnych okolicznościach nie zdradzę nikomu, że to ty mnie o tym wszystkim informowałaś. I na tym możesz polegać. Mam może złą opinię, ale z pewnością nigdy nie złamałem danego słowa.

- Tego nie chciałam sugerować. Mimo wszystko jest to dość ryzykowne.

- Jasne. Jak wszystko, co robimy w życiu. Kate zawahała się i dodała po chwili:

- Nie wiem, dlaczego uważam za konieczne, żeby cię ostrzec, ale... no, nie jesteś mi całkiem obojętny.

- Ostrzec mnie?

- Może to nie ma znaczenia. Ale Fielder poprosił w prokuraturze o wydanie akt śledczych twojej sprawy.

- Moich akt z tamtej sprawy?

- A ile masz jeszcze akt? Mam na myśli akta sprawy o gwałt powiedziała Kate wyniośle.

- Rozumiem. Czyli ciągle jeszcze nie jest to sprawa zamknięta.

To właściwie nie zaskoczyło Johna aż tak bardzo. Fielder zawsze go nie cierpiał, a w dodatku w sprawie, którą teraz prowadził, trochę się pogubił. John wiedział, że Stanford był od dawna osobą, na którą skierowali swoją uwagę śledczy, ale ponieważ znał Fieldera, wiedział też, że właśnie z tego powodu inspektor znalazł się w opałach. Gdyby wytypował Stanforda jako mordercę, a w końcu okazałoby się, że się pomylił, musiałby się liczyć z poważnymi problemami z przebiegiem własnej kariery. O ile w ogóle mógłby wtedy myśleć o jakiejś karierze. Fielder nie lubił ryzyka i unikał go, jak tylko mógł. Zawsze panicznie się wszystkiego obawiał i z

pewnością robi, co się da, by jak najszybciej wytypować innego sprawcę zanim ewentualnie będzie się musiał zająć osobą Stanfordem.

- Wszystko jasne rzekł John. Dzięki, Kate, że mi o tym powiedziałaś. Fielder zabrnął w ślepią uliczkę jeśli o mnie chodzi. Moja sprawa wówczas nie trafiła przed sąd. Z tego Fielderowi nie uda się nic skonstruować.

- Tak odparła Kate. Chciałam tylko, żebyś był ze wszystkim na bieżąco. Nawiasem mówiąc, spojrzawszy na okładkę tych akt, pomyślałam, że jesteś w tej chwili osobą bardzo pożądaną i interesującą. Fielder jest już drugą osobą, która chciała je przeczytać.

John wiedział, że na okładce akt śledczych notowano zawsze, kto zażądał do nich wglądu i komu zostały doręczone.

- Naprawdę? A kto jeszcze chciał do nich zajrzeć?

- To było żądanie doręczenia od... czekaj, co to za nazwisko?

Usłyszał jakiś szelest, Kate widocznie musiała szukać tego w swoich notatkach. Zastanawiał się. Przypuszczalnie był to Stanford. Zanotował oczywiście numer rejestracyjny samochodu Johna, szybko sprawdził jego tożsamość, po czym zaczął dociekać wszystkiego na temat Burtona i natknął się na sprawę z czasów jego pracy w policji. A jako adwokat z doskonałymi znajomościami na pewno znalazł jakąś możliwość dotarcia do akt.

John wiedział, że należało działać szybko.

- Pozwól mi zgadnąć powiedział. Czy był to adwokat doktor Logan Stanford?

- Nie rzekła Kate. To była kobieta. Z prokuratury właśnie. Zaraz, o, już mam jej nazwisko... Tara Caine, prokurator Tara Caine.

- Tara! John wstrzymał oddech z wrażenia. Najlepsza przyjaciółka Gillian.

- To niesłychane! zawołał.

Kilka zasadniczych elementów tych puzzli zaczęło natychmiast do siebie pasować. Nagłe, zupełnie zaskakujące odrzucenie go przez Gillian. Jej chęć powrotu do Norwich. Niemal całkowite zerwanie znajomości z nim. Kłótnia z Tarą, kiedy Gillian opowiedziała przyjaciółce parę szczegółów z jego życia i przeszłości. Nawet się wtedy od niej wyprowadziła. Co jednak nie zniechęciło Tary i nie wpłynęło na zmianę stanowiska. Dalej podburzała Gillian przeciwko niemu. Zażądała wglądu w jego akta, skrupulatnie je przestudiowała, z pewnością próbując znaleźć wszystko, co mogłoby go obciążyć. I zapewne w odpowiednim świetle przedstawiła to Gillian. I dopięła swego. Gillian straciła panowanie nad sobą i zerwała rozpoczynający się związek z nim. John mógł sobie aż nadto dobrze wyobrazić argumentację Tary: *Masz dziecko! Masz dziecko, córkę tuż przed okresem dojrzewania! I chcesz być z facetem, przeciwko któremu prowadzono dochodzenie o gwałt? Czy nie rozumiesz, że twoje dziecko znajdzie się w niebezpieczeństwie? Dochodzenie i jego wynik to jedno, ale z pewnością nie było ono bezpodstawne! Po prostu nie mieli dość dowodów na to, żeby skierować sprawę do sądu. Ale to nie znaczy, że on jest niewinny!*

Nie mógł się powstrzymać, aby nie sapnąć głośno z oburzenia. Ona jest po prostu żmiją. Cholerną, wstrętną żmiją.

- John? spytała Kate. Jesteś tam jeszcze? Wziął się szybko w garść.

- Jestem, jestem. Dziękuję, Kate. Naprawdę bardzo cenię to, że mi o tym wszystkim opowiedziałaś. A Tara zwróciła już te akta?

- Tak. Jeszcze przed Bożym Narodzeniem.

- Okay było w tej ostatniej informacji coś, co nie pasowało do całości, ale nie wiedział jeszcze co.

- Caine powiedziała Kate. Gdzieś już to nazwisko się pojawiło przy okazji naszej sprawy, prawda?

- Tak. Ona jest przyjaciółką Gillian Ward. Żony trzeciej ofiary. I to chyba właśnie jest powodem, dla którego Tara miesza się w tę sprawę i chętnie widziałaby mnie wśród podejrzanych.

Przyszło mu do głowy coś jeszcze.

- Kate, czy wyświadczysz mi jeszcze jedną przysługę? Mam tutaj numer rejestracyjny pewnego samochodu. Będzie cię to kosztowało tylko jeden telefon możesz sprawdzić, na czyje nazwisko jest zarejestrowany ten samochód?

- To mogę zrobić powiedziała Kate po krótkiej chwili.

Wyciągnął z kieszeni kartkę, na której zanotował numer rejestracyjny samochodu Lizy, i podyktował go Kate.

- Dobrze powiedziała Kate. Poczekaj jeszcze chwilę John miał wrażenie, że czekała na *niego*, na coś, co dałoby jej choćby cień nadziei. Na propozycję randki w weekend lub choćby na ciepło w jego głosie, czego mogłaby się ucześcić.

- A więc na razie powiedział.

- Na razie odpowiedziała. I rozłączyła się gwałtownie.

Johnowi nie pozostawało nic innego, jak mieć nadzieję, że mimo wszystko pomoże mu ustalić właściciela samochodu.

Zadzwoił telefon. Gillian rozpoznała na wyświetlaczu numer Johna i zawahała się. Postanowiła odebrać. John w końcu nie zrobił jej nic złego.

- Witaj, John powiedziała.

- Witaj, Gillian usłyszała wyraźną ulgę w jego głosie. Prawdopodobnie obawiał się właśnie tego: że rozpozna jego numer i nie odbierze.

- Co u ciebie słychać? spytał.

- Wszystko w porządku.

- Naprawdę?

- Tak. Chociaż poprawiła się *wszystko w porządku* może nie jest właściwym określeniem po tym, co się stało. Ale radzę sobie. Życie płynie dalej.

- Ciągle jeszcze przygotowujesz dom do przeprowadzki?

- W tej chwili nie zastanowiła się, ale pomyślała, że jednak nie będzie niczego ukrywać i dodała: Nie jestem w domu. Jestem znowu u Tary.

Po drugiej stronie zapanowało milczenie.

- No to mam w ręku oczywiście złe karty zauważył John.

- John...

- Ona jest zupełnie przeciwko mnie. I tymczasem przekonała cię z pewnością do swoich zastrzeżeń.

- W ogóle już nie rozmawialiśmy o tobie. Przeprowadziłam się do niej z powrotem, bo nie czułam się dobrze w wielkim, pustym domu. Przemilczała wydarzenia tamtego wieczoru. W końcu przecież ciągle nie wiedziała, czy nie padła ofiarą własnego urojenia.

- Muszę po prostu sama dojść do tego, jak najlepiej się z tym wszystkim uporać. W twoich oczach wygląda to pewnie tak, jak gdybym się rozpaczliwie miotła. Jakbym robiła jakieś bezsensowne zygzaki. Może tak jest. Ale nie znalazłam jeszcze własnej drogi. W moim życiu nic już nie jest takie, jak było przedtem.

- Czy możemy się zobaczyć? zabrzmiało to wręcz błagalnie.

- Nie. To jest...

- Proszę, Gillian. Tylko zobaczyć. Wypić razem kawę. Porozmawiać o czymś, co nie jest ważne ani trudne. Obiecuję, że nie będę się narzucał z propozycjami w rodzaju wspólnej przyszłości i tak dalej. Chcę cię tylko *zobaczyć*.

- To niemożliwe, John. Dziś wyjeżdżam. Za kilka godzin.

- Wyjeżdżasz już do Norwich?

- Nie, jeszcze nie podeszła do drzwi balkonowych, spojrzała na pokrytą śniegiem poręcz i ciemne, antracytowo-szare niebo nad Londynem. Nie po raz pierwszy pytała samą siebie, jak zdoła każdego roku przetrwać styczeń. Zniknę po prostu na pewien czas. Zamieszkałam w jakimś hotelu, gdzieś daleko na wsi. Będę

mieć nadzieję, że wszystko się wyjaśni i wtedy będę mogła próbować wrócić do normalnego życia.

„W ten sposób on nie dowie się przecież, dokąd mam zamiar wyjechać uspokoila samą siebie. Ja sama jeszcze tego nie wiem”.

John sprawiał wrażenie zdumionego.

- W hotelu? W jakim hotelu? Na wsi? Skąd taki pomysł?

- To nie ma znaczenia. Zostanę tam przez jakiś czas, uporządkuję swoje życie na nowo i spróbuję stanąć na nogi.

- A dlaczego nie zostaniesz u Tary?

- Tak po prostu będzie lepiej.

- Gillian powiedział błagalnie. Tu się coś nie zgadza! Przed czym ty się chcesz ukryć? Albo przed kim? Dlaczego wyprowadziłaś się z domu, chociaż miałaś tam tyle roboty przed wyprowadzką? Dlaczego wyprowadzasz się teraz od Tary i szukasz anonimowości jakiegoś hotelu? Mam wrażenie, że jesteś człowiekiem, który ucieka!

- Jestem człowiekiem, który musi sam dojść do tego, jak ma żyć dalej, John. To wszystko.

- Ale nie dojdiesz do tego, zmieniając co chwila miejsce zamieszkania. Czy może kryje się za tym detektyw inspektor Fielder? Czy to on chce cię umieścić gdzieś w nieznanym a bezpiecznym miejscu?

- Policja nie ma o tym pojęcia.

John umilkł na chwilę. A potem spytał cicho:

- Czy ty się ukrywasz przede mną?

- Dlaczego miałabym się ukrywać przed tobą?

- Bo ona, Tara, podjudza cię przeciwko mnie. Nie mam pojęcia, co ona ci naopowiadała. Ale dziś dowiedziałem się, że zażądała wglądu w akta mojej sprawy sprzed lat. I nie zrobiła tego z pewnością bez przyczyny.

Gillian była naprawdę zaskoczona.

- Akta śledcze twojej sprawy? O tym mi nie mówiła.

- Prawdopodobnie nie chce, żebyś wiedziała, że po prostu mnie szpieguje. Ale z całą pewnością miała te akta w rękach. I także z całą pewnością skrupulatnie je przestudiowała.

Gillian odwróciła się od okna.

Ona jest moją przyjaciółką. I pasuje do niej, że zrobiła coś takiego.

Powiedziała to głośno:

- Ona jest moją przyjaciółką, John. Przypuszczalnie naprawdę bardzo się martwiła. Dlatego chciała sama jeszcze raz przeczytać, co się wtedy stało. A dzięki jej zawodowi dotarcie do takich akt nie stanowi dla niej problemu. Czy to nie jest normalne, że coś takiego zrobiła? Ja prawdopodobnie postąpiłabym dokładnie tak

samo. I musisz mi uwierzyć: nie powiedziała mi nic na ten temat. Czyli prawdopodobnie nie znalazła tam nic, o czym by nie wiedziała.

- Nie mogła nic powiedzieć, bo wtedy nie znaleziono niczego, absolutnie niczego, z czego można by skonstruować oskarżenie i wnieść je do sądu. Bo niczego takiego po prostu nie było.

- Pod tym względem nie mam co do ciebie żadnych wątpliwości, John.

- A pod jakim względem masz?

- Pod żadnym. Powiedziałam ci tylko, jaki mam problem. Muszę stanąć na własnych nogach. Muszę odzyskać równowagę.

Umilkli oboje.

- A więc powiedział w końcu John uważaj na siebie. W jego głosie słychać było rezygnację.

- Będę uważać obiecała Gillian. Wyłączyła się bez pożegnania. Spojrzała na zegarek. Zaraz będzie dziewiąta. Jeszcze wiele godzin do wczesnego popołudnia, kiedy Tara obiecała wrócić. Gillian już wszystko spakowała.

Mogła teraz tylko czekać.

John poszedł ostatecznie do swojego biura, choć obawiał się, że nie zdoła się na niczym skoncentrować ani zebrać myśli. Ale miał dużo pracy, ostatnio stracił równie dużo czasu, alternatywa zaś spędzenia dnia z pogrążonym w ponurych rozmyślaniach Samsonem nie była zbyt nęcąca.

Jednak na kilka godzin udało mu się wrócić do swojego znanego, codziennego świata; ta okoliczność znakomicie wpłynęła na jego nerwy. Musiał sporządzić plany dyżurów na najbliższe tygodnie, odpowiedzieć na zapytania ewentualnych klientów, podpisać rachunki i przyjąć wypowiedzenie jednego z pracowników. Nawet nie zauważył, kiedy upłynął czas. Gdy wreszcie wstał zza biurka, żeby zrobić kawę, stwierdził, że było już wpół do czwartej. Poza nim w biurze był tylko pracownik dyżurujący przy telefonie. Piątek po południu. Każdy chciał jak najwcześniej zacząć weekend.

John nie jadł nic poza kilkoma kęsami chleba rano i stwierdził, że jest głodny. Może zamiast kawy należało kupić gdzieś hamburgera. Postanowił pojechać do domu, bo załatwił już większość najpilniejszych spraw. Samson prawdopodobnie znów pogrążył się w swojej depresji. Lepiej nie zostawiać go samego na dłużej. John cały czas czuł podświadomą obawę, że ten dziwny człowiek prędzej czy później zrobi jakieś głupstwo.

Zaledwie opuścił biuro, poczuł niepokój, o którym zapomniał w ciągu kilku godzin pracy. Największy problem stanowiły w tej chwili dwie osoby: Samson i Liza. John martwił się też o Gillian, bo miał wrażenie, że coś tu było nie w porządku. Intuicyjnie wyczuwał jej lęk, a fakt, że postanowiła zacząć uciekać, niepokoił go dodatkowo. Jego uczucie, że on sam drepcze w miejscu i nie wie, co robić dalej, stało się wręcz dojmujące. Wprawdzie znalazł Lizę i rozmawiał z nią, ale nie przyniosło to oczekiwanego przełomu. Właściwie wcale się nie posunął w swoim śledztwie.

„Czegoś ciągle nie widzę” myślał gorączkowo. Z czasów swojej pracy w policji wiedział dobrze, że wiele istotnych rzeczy znajduje się często niemal tuż przed oczami śledczego, a mimo to nie można ich dostrzec tylko dlatego, że z otoczenia nie udaje się wyłowić choćby ich zarysów i poprzez to zrozumieć ich znaczenia.

Może coś takiego działo się właśnie teraz. Może rozwiązanie leżało tuż przed nim, a on nie potrafił go dostrzec.

Podjechał przy McDonalddie do okienka *drive-in*, kupił cheeseburgery i frytki dla siebie i Samsona. Kiedy dotarł z tym do domu i wszedł po schodach na górę, stwierdził, że obie torby zjedzeniem są już zimne.

Samson siedział w fotelu w salonie i czytał książkę. John zauważył natychmiast, że było z nim kiepsko. Miał ziemistą, niezdrową cerę, zaczerwienione oczy, a na twarzy wyraz udręki. Widać było, że niedługo załamie się psychicznie.

„Musi się w końcu coś wydarzyć” pomyślał John.

- Proszę podał mi jedną z toreb przegapiłem porę obiadową, a w mojej ubogiej lodówce przypuszczalnie niewiele pan znalazł. Z pewnością będzie panu lepiej, kiedy pan coś zje!

- Dziękuję powiedział Samson cicho, ale nie brzmiało to tak, jak gdyby w to uwierzył.

Akurat kiedy zaczęli jeść, zadzwonił telefon. John odebrał natychmiast. Była to Kate.

- Wybacz, John. Dopiero teraz mogłam spełnić twoją prośbę. Miałam strasznie dużo pracy.

- Nie ma problemu. Udało ci się ustalić właściciela samochodu?

- Tak. I to jest rzeczywiście osobliwe.

- Osobliwe? Dlaczego?

- Bo akurat o tej osobie już dzisiaj rozmawialiśmy. Samochód jest zarejestrowany na prokurator Caine. Czy to przypadek?

- To jest... niewiarygodne powiedział powoli John.

- Czy jest coś, o czym powinnam się dowiedzieć? spytała Kate. Ja byłam wobec ciebie szczerą!

- Wiem. Tylko w tym momencie nie mogę jeszcze nic powiedzieć. Nie wszystko jest na razie całkowicie jasne. Muszę uporządkować pewne fakty.

Tara Caine!

Gdyby tylko mógł się spodziewać...

- No więc jak wszystko uporządkujesz, to pomyśl o mnie powiedziała Kate nieco uszczypliwie, zanim odłożyła słuchawkę.

John gotów był się założyć, że jej następnym krokiem będzie próba dotarcia do akt osobowych Tary Caine i dokładne zbadanie jej życia, a przynajmniej jego zawodowej części. Wiedział, że Kate daleko nie zajdzie: nie będzie w stanie stwierdzić, co Tara ma wspólnego z Lizą Stanford, bez kilku dodatkowych informacji. Samson przestał jeść.

- Co się dzieje? spytał.

John odłożył nadgryzionego burgera z powrotem do pudełka. Nagle zupełnie stracił apetyt. Tara Caine. Liza Stanford jeździła samochodem zarejestrowanym na prokurator Caine. I John byłby gotów się założyć o to, że umowa najmu mieszkania również była zawarta na nazwisko Tary. Czy to więc Tara pociągała za wszystkie sznurki w tej sprawie? Czy to ona pomagała Lizie, oferując jej mieszkanie, samochód i pieniądze na życie? Umożliwiając jej w ten sposób zniknięcie?

Zastanawiał się gorączkowo. Jakie wnioski można tutaj wyciągnąć?

- Co pan wie o Tarze Caine? spytał. Najlepszej przyjaciółce Gillian Ward?

Samson się zastanowił.

- To ta, która odwiedzała ją w Thorpe Bay? Niewiele, niestety. Byłem tylko obserwatorem z zewnątrz. Obie wydawały się naprawdę blisko zaprzyjaźnione.

Gillian cieszyła się, kiedy ona przyjeżdżała. Obejmowały się na powitanie. Ale o czym rozmawiały... nie mam pojęcia!

- Gillian mieszka w tej chwili u niej.

- To mnie nie dziwi. To zrozumiałe, że nie może wytrzymać w domu, w którym został zamordowany jej mąż.

- Jasne. Pytanie brzmi: może Liza wcale nie jest tym poszukiwanym wspólnym elementem łączącym wszystkie osoby w tej sprawie? Może jest nim właśnie Tara?

Samson patrzył na niego zupełnie zdezorientowany.

- Mówi pan teraz o Lizie Stanford? Żonie tego adwokata? O którą pytał mnie pan dziś rano?

- Tak. Nie mogę panu teraz wszystkiego szczegółowo wyjaśnić, ale jakoś jestem trochę niespokojny.

John sięgnął po telefon i wybrał numer Gillian. Ale Gillian się nie zgłosiła, po krótkim zaś oczekiwaniu John usłyszał sygnał poczty głosowej.

Po chwili wahania John zostawił jej wiadomość: „Gillian, mówi John. Muszę z tobą porozmawiać, to bardzo ważne. Oddzwoń do mnie jak najszybciej, dobrze? Dziękuję!”.

- Czy Gillian jest w niebezpieczeństwie? spytał Samson. Oczy miał rozszerzone strachem. Odsunął od siebie burgera i frytki. Chyba także stracił apetyt.

- Nie wiem. Naprawdę nie mam pojęcia. To wszystko jest bardzo zagadkowe.

- Ale Tara, jej najlepsza przyjaciółka, nie stanowi chyba dla niej żadnego zagrożenia?

- Mam nadzieję, że nie odpowiedział John. Sięgnął po kurtkę, którą rzucił w pośpiechu na parapet. Muszę wyjść. Czeka mnie jeszcze jedna rozmowa.

- A nie da się tego zrobić przez telefon?

- Nie znam, niestety, numeru tej osoby. Poza tym lepiej będzie... nie dokończył zdania. Wyjaśnienia trwałyby za długo, w dodatku Samson w ich efekcie byłby tylko bardziej zaniepokojony. I prawdą było to, co John powiedział Kate: jeszcze nie udało mu się wyjaśnić wszystkich powiązań w tej sprawie. Miał jednak niedobre przeczucia. A właściwie bardzo złe.

Postanowił natychmiast pojechać do Lizy Stanford. Była jedyną osobą, która mogła odpowiedzieć na parę pilnych pytań.

Była czwarta godzina, kiedy Tara wróciła do domu. Przywiozła kilka zapakowanych w folię kanapek i wodę mineralną.

- Nie wiem, jak daleko dzisiaj zajedziesz powiedziała do Gillian. Ale kupiłam to, żebyś przynajmniej nie umarła w drodze z głodu i pragnienia.

- Jesteś fantastyczna, Tara powiedziała Gillian z wdzięcznością. Widok przyjaciółki sprawił jej dużą ulgę. Bezczyenne oczekiwanie w pustym i nie swoim mieszkaniu było wyczerpujące nerwowo: Gillian przeczytała wszystkie możliwe czasopisma, przejrzała kilka książek i w końcu wysprzątała łazienkę, co było rzeczywiście konieczne. A potem już nie przychodziło jej do głowy, jak mogłaby wykorzystać pozostałe godziny, siedziała więc w oknie i wpatrywała się w śnieżyce, która się tymczasem zaczęła.

- To przecież oczywiste rzekła Tara i spojrzała w lustro. Miała na sobie eleganckie jasnoszare spodnie i buty na wysokich obcasach. Było zagadką dla Gillian, jak ona w tym stroju potrafiła przebrnąć przez odgarnięty śnieg na skraju chodników. Zaraz się przebiorę.

Dziesięć minut później obie kobiety siedziały w samochodzie Tary. Tara miała teraz na sobie dzinsy, grubą kurtkę i nieprzemakalne buty na nogach. Na tylnym siedzeniu Gillian położyła swoją torbę i zakupione kanapki.

„Mam nadzieję pomyślała że postępuję właściwie”.

Jechały powoli. Popołudniowy ruch w piątek jak zwykle spowodował w mieście chaos. Dopiero kiedy dotarły do autostrady, Tara mogła nieco przyspieszyć.

- Zaraz będziemy w Thorpe Bay powiedziała. I zanim się spakujesz, będziesz mieć z głowy to najgorsze natężenie ruchu. Wiesz już, dokąd chcesz pojechać?

- Mówiąc szczerze, ciągle jeszcze nie mam pojęcia przyznała Gillian. Cały czas się zastanawiam, czy to rzeczywiście konieczne przyłożyła policzek do chłodnej szyby samochodowej. Zupełnie nie rozumiała, dlaczego miała tak rozpaloną twarz. Może to ze zdenerwowania. A może od tych rozmyślań.

- To jest ciągła ucieczka. Zaraz po tym... wydarzeniu w domu chciałam tylko uciec jak najdalej. Do ciebie. I do dzisiejszego ranka myślałam, że lepiej będzie wyjechać z Londynu. Ale teraz nie jestem pewna, czy to nie jest zbyt pochopna decyzja. Czy nie szaleję... tak naprawdę bez powodu!

- Thomas, który został zamordowany w waszym domu, to nie jest *żaden powód* przypomniała Tara. A to, co się stało ostatnio...

- Ja wcale nie wiem, czy w ogóle coś się stało przerwała jej Gillian. To właśnie jest problem. Ja po prostu tego nie wiem! Bo wydaje mi się coraz bardziej prawdopodobne, że nic się nie stało. Cień! Kiedy próbuję odtworzyć sobie w pamięci tę sytuację, nawet nie potrafię sobie przypomnieć *tego cienia!* To stało się w ułamku sekundy i przypuszczalnie było tylko urojeniem.

- Ale może jednak nie. Może by ci się coś stało. I może miałaś ogromne szczęście, że ten Luke Palm jeszcze wrócił zauważyła Tara.

Szyba pod policzkiem Gillian wydała jej się nagle jeszcze zimniejsza.

...że ten Luke Palm jeszcze wrócił...

„Przecież wcale jej nie powiedziałam, jak się nazywał ten pośrednik pomyślała Gillian, ale była to pierwsza, niemal intuicyjna myśl, która poprzedziła następną, jaką podpowiedział jej rozum: A może jednak powiedziałam? W czasie tych ostatnich dwóch dni? W czasie naszych rozmów?”. Nie mogła tego całkowicie wykluczyć, była jednak niemal pewna, że tego nie zrobiła. Bo przecież nie chciała przyznać się Tarze, że zwróciła się do tego samego agenta, który znalazł martwą Anne Westley, a ponieważ jego nazwisko pojawiło się kilkakrotnie w prasie, Tara natychmiast i bez jej informacji wiedziałaby, o kogo chodzi. To wyjaśnienie i porównanie do lodowej kry, na której dryfowała w kompletnej izolacji od wszystkich ludzi, w których życiu nigdy nie zagościła przemoc i zbrodnia, wydało się Gillian jakieś głupie i niestosowne. A do tego Luke Palm, w życiu którego pojawił się ten sam cień cień zbrodni. To było coś, co chciała zachować dla siebie, nawet nie zastanawiając się nad powodem swoich obaw. Nie chciała mówić o tym Tarze. Może miało to coś wspólnego z głęboką traumą psychiczną, której doznała tego wieczoru, kiedy znalazła Toma martwego i w panicznym strachu, niemal na granicy szaleństwa, biegła po domu, szukając dziecka. Nikomu, nawet najlepszej przyjaciółce nie chciała mówić, co wtedy czuła.

„Wszystko jedno, to już nieważne” pomyślała, ale nie mogła się uwolnić od dręczącej myśli:

Jeśli to nie ja jej powiedziałam, jak się nazywa agent, to skąd ona o tym wie?

Przypomniała sobie wieczór sprzed zaledwie dwóch dni. Widziała samą siebie wybiegającą w panice z domu, zaraz po tym, kiedy wydało jej się, że w kuchni zobaczyła jakiś cień i w domu nagle zgasło światło. Biegła w skarpetach przez śnieg i przy bramce wpadła z impetem na jakąś postać, której mało nie pobiła w ślepym przerażeniu. Domniemany przeciwnik chwycił ją w końcu za nadgarstki i przytrzymał.

„To ja, Luke Palm!”.

A ona, jeszcze bardziej przerażona, krzyknęła przeraźliwie:

„Luke Palm?!”.

Jeśli ktoś był wtedy w ogrodzie albo w domu, to musiał ją usłyszeć.

„To absurd” pomyślała.

Spojrzała z boku na Tarę. Prosty nos, pełne usta. Wysokie czoło. Była tak piękną kobietą. Dziwne właściwie, ale dotychczas najwyraźniej nie było w jej życiu żadnego mężczyzny.

Skąd, do diabła, ona zna to nazwisko?

Gillian prześledziła w myślach wszystkie rozmowy, jakie odbyła z przyjaciółką od tej chwili, kiedy Palm przywiózł ją do niej swoim samochodem. Była właściwie

pewna, że mówiła tylko o *agencie*. I wspomniała o nim bardzo pobieżnie.

Agent, któremu zleciłam sprzedaż domu, akurat już poszedł. Na szczęście wrócił, bo czegoś zapomniał. I poszedł wtedy ze mną do domu. Włączył bezpiecznik na dole w piwnicy i wszystko razem ze mną przeszukał. Ale nikogo nie było.

- Co się dzieje? spytała Tara, spoglądając na Gillian. Jesteś strasznie blada. Źle się czujesz?

- Nie, wszystko w porządku Gillian spróbowała się uśmiechnąć, ale chyba nie wypadło to zbyt przekonująco, bo Tara spytała ponownie:

- Naprawdę? Wyglądasz na roztrzęsioną.

- Po prostu nie jestem pewna, czy dobrze robię powiedziała Gillian.

Nagle wszystko wydało mi się takie nonsensowne: chować się gdzieś daleko, w jakiejś dziurze. To doprawdy desperacki krok.

- Ale zostać tutaj to mogłoby pociągnąć za sobą jeszcze bardziej desperackie kroki powiedziała Tara. Jeśli sprawca będzie znów próbował tego samego.

Dotarli do Thorpe Bay. Ciche ulice. Ciche domy. Tonące w śniegu ogrody. Dzieci jeżdżące na sankach na pobliskiej górze. Do niedawna wszystko to stanowiło dla Gillian ramy normalnego życia.

Ale teraz nic już nie było normalne. Teraz miała zamiar zrobić tylko jeden krok i zacząć ucieczkę.

Znów poczuła ten dziwny niepokój gdzieś w głębi podświadomości. Jakąs osobliwą nieufność, która mimo że wydała jej się kompletnym nonsensem, nie pozwalała o sobie zapomnieć.

Coś jakby głos w niej samej, który cicho, ale nieubłaganie i wyraźnie zaklinał:

Uciekaj! Tu coś nie gra! Postaraj się wysiąść z auta twojej przyjaciółki! Zrób wszystko, żeby odjechała!

„Może jednak wymieniłam to nazwisko w którejś chwili myślała Gillian gorączkowo i z rozpaczą nie mogę przecież przysiąc, że tak nie było!”

Może po prostu była już tak wystraszona i zdezorientowana, że teraz wszędzie dopatrywała się niebezpieczeństwa.

Tara skręciła na podjazd do domu Gillian. Koła jej samochodu ugrzęzły w śniegu.

- No to jesteśmy powiedziała.

Spojrzała na Gillian. A wtedy Gillian to zobaczyła. Zobaczyła to w jej oczach.

Dziwne, obce spojrzenie. Nienaturalnie powiększone źrenice. Oczy Tary były zupełnie nieruchome.

Gillian poczuła nagły strach. I jedno wiedziała bardzo dobrze: nie wolno było dopuścić do tego, żeby Tara to zauważyła. Nie wolno jej było zauważyć nieufności Gillian, jej przerażenia i irytacji.

- Okay powiedziała tak spokojnie i lekko, jak tylko potrafiła. Idę więc szybko do środka, zapakuję parę rzeczy i ruszam w drogę. A ty, Tara, chyba powinnaś już

jechać z powrotem. Wtedy będziesz w domu przed zapadnięciem ciemności.

- Nie śpieszę się aż tak bardzo odrzekła Tara. Otworzyła drzwi po swojej stronie i wysiadła. Pójdę z tobą dodała.

Gillian też wysiadła. Ręka, w której trzymała klucze do domu, drżała jej, i miała nadzieję, że Tara tego nie zauważy.

Tara obeszła auto dookoła. Poruszała się zupełnie normalnie.

A jeśli to wszystko, co wymyśliłam to bzdura? Może mi się tylko wydaje? Prawdopodobnie czeka mnie wkrótce załamanie nerwowe i wmawiam sobie różne bzdury pomyślała Gillian.

W tym momencie usłyszała swój telefon, który ciągle miała w torebce, leżącej na podłodze przed siedzeniem pasażera w samochodzie Tary.

Gillian odwróciła się natychmiast, ale Tara ją zatrzymała.

- Zostaw. Oddzwonisz potem. Nie trać teraz czasu powiedziała. Znow miała dziwne, nieruchome spojrzenie.

Gillian poczuła pot na czole.

- Dobrze odpowiedziała. Wydało jej się, że jej głos zabrzmiał nienaturalnie, ale Tara chyba tego nie zauważyła.

Powoli brnęły przez śnieg do domu. Gillian otworzyła drzwi i otrzepała buty ze śniegu. Usłyszała, że Tara idąca tuż za nią zrobiła to samo.

Czuła, że serce bije jej głośno i bardzo szybko, a pot jeszcze mocniej wystąpił na czoło. Nie wiedziała, czy to przypadek, że idąca za nią Tara była tak blisko, niemal przykleiła się do jej pleców. Nie do pomyslenia, żeby w tej sytuacji Gillian mogła pójść gdzieś sama albo zatelefonować. I co mogłaby powiedzieć komuś, do kogo udałoby jej się zadzwonić? *Jestem w domu z moją przyjaciółką. Mam jakieś dziwne uczucie wydaje mi się, że coś jest z nią nie w porządku. Oczywiście, może być tak, że sobie to wszystko wmawiam, ale jest mi prawie niedobrze ze strachu i sędzę, że potrzebna mi pomoc.*

Właściwie była tylko jedna osoba, do której mogłaby zadzwonić i która nie uznałaby jej za nieszkodliwą wariatkę. Był to John Burton, który z całą pewnością pośpieszyłby jej na pomoc. Musiałaby powiedzieć mu tylko kilka słów: *Proszę, przyjedź tutaj!* A on przyjechałby na pewno.

Ale ukradkowe, potajemne telefonowanie było teraz wykluczone. Tara szła za nią jak cień.

„Do toalety za mną nie wejdzie” pomyślała Gillian.

Na parterze domu była toaleta dla gości. Z oknem, które wychodziło na zewnątrz. Mogłaby spróbować przez nie wyjść i wybiec na ulicę. Zadzwonić do sąsiada i zatelefonować stamtąd.

Tara nie za bardzo mogłaby w tym przeszkodzić.

- Co jest? spytała Tara. Nie masz zamiaru iść do pokoju i zacząć pakować swoich rzeczy?

Gillian odwróciła się do niej. Miała nadzieję, że nie wyglądała tak źle, jak się czuła.

- Muszę koniecznie do toalety powiedziała przepaszająco. Poczekasz chwilę?

Tara patrzyła na nią nieruchomym wzrokiem. I w tym momencie zadzwonił telefon. Obie kobiety wzdrygnęły się, po czym Gillian wyciągnęła rękę, chcąc odebrać. Tara znów ją zatrzymała, mówiąc:

- Zostaw, niech dzwoni. Tylko stracimy czas.

Po szóstym dzwonku włączyła się automatyczna sekretarka.

Samson był daleki od tego, żeby naprawdę zrozumieć, w jakim kierunku rozwinęło się śledztwo, a John opuścił mieszkanie tak szybko, że nie można mu było zadać choćby jednego pytania. I teraz Samson kręcił się beczynn timer po mieszkaniu, zaniepokojony i dezorientowany.

Jeszcze raz przypomniał sobie ostatnie chwile rozmowy z Johnem.

Czy Gillian jest w niebezpieczeństwie? spytał i otrzymał mało uspokajającą odpowiedź: *Nie wiem.*

A potem spytał, czy nie grozi jej niebezpieczeństwo ze strony jej najlepszej przyjaciółki Tary, i tym razem John odpowiedział: *Mam nadzieję, że nie.*

To też nie było dużo lepsze niż poprzednia odpowiedź. Tara.

Na podstawie aluzji i niejasnych wypowiedzi Johna Samson w ogóle nie mógł się połapać w sytuacji. John rozmawiał przez telefon i nagle, usłyszawszy nazwisko *Tara Caine*, zrobił się jak zelektryzowany. Mówił coś o łączącym te sprawy wspólnym elemencie, którego wszyscy daremnie szukali. Miało to jakiś związek z żoną Miłosiernego Stanforda, ale tego toku myśli Samson zupełnie nie był w stanie prześledzić.

Próbował przywołać w pamięci wszystkie te obrazy, które w jakiś sposób związane były z Tarą Caine.

Widział ją kilka razy, kiedy przyjeżdżała odwiedzać Gillian. Od razu było wtedy jasne, że kobiety łączy bliska przyjaźń. Witały się z radosną serdecznością świadczącą o naprawdę głębokiej zażyłości i ogromnym zaufaniu. Samsonowi podobała się Tara. Nieufnie i zazdrośnie czuwał nad stworzonym przez siebie obrazem Gillian i jej rodziny, którego niezniszczalność stała się dla niego z upływem czasu wręcz świętą. I wielkie znaczenie miał dla niego fakt, czy w tym obrazie znajdzie się jakieś miejsce dla przyjaciółki. Obecność Tary Caine uspokoiła go. Wydała mu się sympatyczna i, co liczyło się jeszcze bardziej, znakomicie pasowała do Gillian. Sprawiała wrażenie kobiety normalnej, bardzo inteligentnej i eleganckiej, ale w żadnym razie nie ekstrawaganckiej. Czasami przyjeżdżała wprost z biura i miała na sobie elegancki garnitur, ale często zjawiała się ubrana w dżinsy, sweter i sportowe buty.

„Wszystko tutaj pasuje, myślał wtedy, wszystko jest w porządku. Perfekcyjna przyjaciółka perfekcyjnej żony w perfekcyjnej rodzinie”.

Widocznie jednak pomylił się bardziej, niż myślał. Thomas Ward wcale nie był sympatycznym człowiekiem, a małżeństwo Wardów było mocno zagrożone. Gillian wplątała się w związek pozamałżeński, miała też ogromne problemy z córką. A teraz jeszcze coś było nie w porządku z jej najlepszą przyjaciółką Samson nie wiedział tylko, co to było.

Czy Tara stanowi zagrożenie dla Gillian? Mam nadzieję, że nie.

Chodził tam i z powrotem między oknem i stojącym na środku pokoju fotelem. Czuł intensywną woń zimnych frytek. Popatrzył z odrazą na swojego nadgryzionego burgera, który leżał na wierzchu tekturowego pudełka. Nie pojmował, że całkiem niedawno był jeszcze tak strasznie głodny, że ślina ciekła mu do ust na samą myśl o jedzeniu. Teraz na tę samą myśl czuł gwałtowny skurcz żołądka.

John powiedział, że Gillian zatrzymała się u Tary. To zrozumiałe. To musiał być dla niej koszmar, wrócić do domu, w którym został zamordowany jej mąż. Samson wstydził się właściwie tej myśli, bo John był jedynym człowiekiem, który mu pomagał i w dodatku bardzo się z tego powodu narażał, ale mimo wszystko: Samson czuł ogromną ulgę, że Gillian nie uciekła do Johna, tylko do swojej przyjaciółki.

Można było więc z tego wywnioskować, że jej związek z Johnem nie był zbyt bliski.

John próbował dzwonić do Gillian, ale ona nie odebrała telefonu. Jeśli była w niebezpieczeństwie, to bardzo możliwe, że ciągle nie miała o tym pojęcia.

Samson często spotykał się ze zwrotem, że ktoś *wyrywał sobie włosy z głowy* i był to dla niego metaforyczny wyraz sytuacji, że ktoś był bliski szaleństwa z powodu bezradności, niepewności i gniewu. Po raz pierwszy w życiu stwierdził, że faktycznie można coś takiego robić całkiem dosłownie. Bo teraz niemal wyrywał sobie włosy, przeczesując je co chwila palcami, jak gdyby chciał w ten sposób zmusić rozum, żeby zrodził jakąś sensowną myśl, dzięki której nie musiałby tylko beczynnie czekać. Czekać, siedząc w nieogrzewanym pensjonacie albo też w przyczepie kempingowej na jakiejś opuszczonej budowie, czy też w mieszkaniu w starym budownictwie, czekać, czekać, nawet nie wiedząc na co.

Chciał wreszcie coś zrobić. Mieć jakiś mniej lub bardziej czynny udział w tej sprawie. Być do czegoś lub dla kogoś przydatnym. Nie, nie dla siebie. Lecz dla wszystkich, którzy starali się tę sprawę rozwikłać.

Przede wszystkim dla Gillian.

Miał włosy zmierzwione niemal jak szczotka, ale żadna myśl nadal nie przychodziła mu do głowy. John próbował zadzwonić do Gillian, żeby ją ostrzec. Dlaczego on nie miałby spróbować tego samego?

Mógłby się dowiedzieć w informacji o numer Tary Caine i zadzwonić tam. Ale nie był do końca przekonany o sensowności tego pomysłu. Było późne piątkowe popołudnie i bardzo prawdopodobne, że o tej porze Tara była już w domu i to ona odebrałaby telefon. Na wyświetlaczu zobaczyłaby numer Johna Burtona. A on, Samson? Co miałby wówczas powiedzieć?

Halo, tu Samson Segal, mężczyzna poszukiwany z powodu podejrzenia o zabójstwo. Jak pani widzi, siedzę teraz w mieszkaniu Johna Burtona, byłego gliny. Czy mogę rozmawiać z Gillian Ward?

Może udałoby mu się usunąć z telefonu Johna funkcję rozpoznawania numeru. Choć właściwie nie miał pojęcia, jak to zrobić. Może mógłby też uspokoić się na tyle, żeby się podać za kogoś innego i *może* w efekcie Tara poprosiłaby Gillian do telefonu.

A potem? Co potem?

Czy przyjęłaby spokojnie do wiadomości ostrzeżenie, podczas kiedy osoba, przed którą ją akurat ostrzegano, stałaby koło niej?

„Mimo to pomyślał muszę spróbować”. Poczuł, jak robi mu się gorąco.

Po chwili okazało się, że jego obawy były niepotrzebne: w informacji powiedziano mu, że nie otrzyma numeru telefonu Tary Caine. Pani prokurator zastrzegła swój prywatny numer.

„Właściwie nic dziwnego przy jej zawodzie pomyślał. Ilu byłych więźniów terroryzowałoby ją po zakończeniu odsiadki!”.

Samson ze zdenerwowania nie był już w stanie usiedzieć w fotelu i patrzeć beczynnym w sufit. Zwłaszcza kiedy mentalnie zdobył się aż na taką odwagę, że zadzwonił i był gotów działać dalej.

Chociaż raz chciał zrobić coś decydującego, coś naprawdę ważnego. Wyniósł resztki niezbyt apetycznego obiadu do kuchni, wrzucił je do wiadra z odpadkami i co naprawdę osobliwe przy tej właśnie czynności przyszła mu do głowy genialna myśl.

Gillian mieszkała u Tary, ale było bardzo prawdopodobne, że od czasu do czasu wracała do siebie. Choćby po to, żeby podlać kwiaty, odebrać pocztę czy też zabrać rzeczy, które mogły jej być potrzebne. A jej numer telefonu Samson znał na pamięć. I wiedział też, że był to telefon z automatyczną sekretarką. Dostatecznie często dzwonił do Wardów, kiedy wiedział, że nikogo nie ma w domu, żeby tylko usłyszeć jej głos: *Nie możemy teraz odebrać telefonu, ale prosimy o pozostawienie wiadomości.*

Zawsze się wtedy rozłączał, nic nie mówiąc. Ale tym razem już coś powie. I nawet jeśli nie istniała żadna gwarancja sukcesu tej akcji, bo nie wiadomo było, kiedy Gillian odsłucha wiadomość, była to jednak jakaś szansa. Uważał, że wcale nie miała szansa. I było to lepsze niż nic nie robić i czekać.

Wrócił do salonu. Drżącymi palcami wybrał tak dobrze znany numer i kilka razy odchrząknął.

Żeby tylko nie zawiódł go głos!

Tara i Gillian wpatrywały się jak urzeczone w aparat telefoniczny.

Głos Gillian zabrzmiał głośno i wyraźnie: „Prosimy o pozostawienie wiadomości”.

Rozległ się sygnał dźwiękowy.

Najpierw słycać było głośne chrząkanie. „Mężczyzna pomyślała Gillian. Może John. Może Luke Palm, który miał jakieś pytania w związku ze sprzedażą domu. Luke Palm, którego nazwiska Tara nie mogła znać”.

- Tak, no więc, halo, Mrs Ward usłyszały głos. Wyraźnie jakiś mężczyzna. Gillian wydawało się, że skądś zna ten głos, ale nie mogła sobie natychmiast przypomnieć skąd.

- To ja, Samson. Samson Segal.

Gillian otworzyła usta ze zdumienia. Samson Segal. Ten dziwny facet, który ukrywa się przed policją. On dzwonił i nawet odważył się zostawić wiadomość na sekretarce.

- Mrs Ward, niepokojmy się o panią teraz głos Samsona zabrzmiał mniej nieporadnie. Może wyda się to pani dziwne i oczywiście nie mogę tego teraz dokładniej wyjaśnić, ale... Musi pani być ostrożna, jeśli chodzi o pani przyjaciółkę. O Tarę Caine. Bo coś tu nie gra. Niech pani trochę się wycofa, na dystans Samson przerwał. Mam nadzieję, że wkrótce odsłucha pani pocztę dodał. To jest ważne. Proszę.

Zakończył rozmowę wyraźnym kliknięciem.

Gillian się nie ruszała. Miała wręcz wrażenie, że nie oddycha.

Nie miała pojęcia, dlaczego zadzwonił akurat Samson Segal. Nie miała też pojęcia, kogo miał na myśli, mówiąc *my*. Było dla niej zupełnie niejasne, skąd przyszło mu do głowy, żeby właśnie w osobie Tary widzieć niebezpieczeństwo.

Ale wiedziała jedno: on miał rację. I dlatego to, co mówił, absolutnie nie było jakąś bzdurą. A ona sama też nie widziała w tej chwili ducha.

- Ależ ty masz wiernych przyjaciół usłyszała za sobą Tarę. Jej głos brzmiał zupełnie inaczej niż zwykle był pozbawiony wszelkich emocji. Zupełnie jak mechaniczny głos jakiejś maszyny. Miłych i zatroskanych przyjaciół. Jak to dobrze dla ciebie.

Gillian przejechała językiem po nagle spieczonych wargach. Odwróciła się powoli do Tary, spróbowała się uśmiechnąć i miała nadzieję, że nie wyszedł z tego jakiś grymas.

- Segal nie jest moim przyjacielem. To facet z zaburzeniami psychicznymi. I jak wiesz, szuka go policja. Zakładam, że chce odwrócić od siebie uwagę. Wydaje mu się, że poprawi swoje położenie, kiedy będzie rozsiewać jakieś dziwaczne plotki.

- Interesujące plotki rzekła Tara. Gillian wzruszyła ramionami.

- Ten człowiek ma trochę nierówno pod sufitem. Nie przywiązuję wagi do jego gadania. Słuchaj, muszę się pośpieszyć. Idę szybko do toalety i...

- Co ty zamierzasz? spytała Tara. W jej postawie i głosie było coś osobliwego, jak gdyby czekała na błąd Gillian. Chcesz zwać przez okno w kłopot?

Gillian próbowała mówić normalnie, ale czuła, że przede wszystkim nie brzmi to naturalnie.

- Oczywiście, że nie, co ty, skąd ci to przyszło do głowy? Chcę tylko...

- Przestań przerwać Tara. Nie próbuj mnie uważać za głupią! Chcesz umknąć, to wszystko. Trzęsiesz się ze strachu, Gillian. I to już od dłuższego czasu, a nie dopiero od chwili, kiedy ten dureń wskazała ruchem głowy telefon był na tyle głupi, żeby głośno na cały dom obwieścić, czego masz się bać.

- To nieprawda. Ja...

- Już w samochodzie się zmieniłaś. Ale ja jeszcze nie byłam tego pewna w stu procentach. Tylko takie uczucie... Gdybyś robiła to zgrabniej, to może by ci się udało. Ale teraz... po tak jednoznacznym ostrzeżeniu... Poważnie myślisz, że choćby na moment spuszczyć cię z oczu?

Gillian dostrzegła nagle jakieś migotanie i usłyszała głośny szum w uszach.

Jakoś zdołała wziąć się w garść. Nie może teraz zasłabnąć. Musi panować nad nerwami.

- Tara, dlaczego? Co ja ci zrobiłam? spytała.

Tara patrzyła na nią z zainteresowaniem. Gillian odwzajemniła jej spojrzenie z niepokojem. Przecież to była znana i bliska twarz jej przyjaciółki. Twarz, którą znała od lat. A jednak teraz wydawała się całkowicie zmieniona. O zupełnie innej mimice i wyrazie. Do tego ten głos, który nie był głosem Tary. W głosie Tary zawsze było słycać uczucia. Śmiech albo zmartwienie, radość albo gniew. Teraz nie było słycać nic. Był to osobliwy, bezduszny, wręcz nieludzki głos.

- Mnie osobiście nic nie zrobiłaś powiedziała Tara. Mnie osobiście Carla i Anne też nic nie zrobiły.

W jej głosie słycać było nienawiść. Gillian drgnęła przerażona.

- Carla i Anne... powtórzyła oszołomiona. – Ty je...? Tara wzruszyła ramionami.

- Świat wcale nie jest uboższy bez nich obu.

- A Tom...?

- Tom był nieplanowany.

- Tara, nie rozumiem, co się dzieje powiedziała Gillian błagalnie. Proszę, powiedz mi...

Tara się roześmiała. Nie był to przyjemny śmiech.

- Nie, kochanie. Wiem dokładnie, co zamierzasz. Chcesz mnie wciągnąć w długą, miłą rozmowę w nadziei, że tymczasem ktoś tu wpadnie i wyciągnie cię z tarapatów. Zapomnij! Musimy się zastanowić, co teraz zrobimy. Wiesz, co jest tragiczne? Ja rzeczywiście postanowiłam cię wypuścić. Nie mam pojęcia dlaczego.

Może dlatego, że spędziłyśmy razem ryle czasu. A może dlatego, że dwa razy mi się z tobą nie udało.

To ona była tym cieniem w kuchni pomyślała Gillian z przerażeniem. -I dlatego znała nazwisko Luke Palm. Dwa razy próbowała mnie zabić.

Tylko dlaczego? Dlaczego?

- Chciałam się ciebie pozbyć. Żeby cię nie było w pobliżu. Nie mogę cię znieść, Gillian. A ponieważ bałaś się mieszkać tutaj sama, jakiś mały hotel gdziekolwiek wydał mi się genialnym pomysłem. Stamtąd wyniosłabyś się do Norwich i przypuszczalnie przez resztę tego życia nigdy byśmy się już nie zobaczyły. Ale teraz nie mogę pozwolić ci odejść. To z pewnością rozumiesz.

- Proszę, Tara. Dlaczego?

Tara sięgnęła do kieszeni kurtki i w następnej sekundzie trzymała w dłoni pistolet. Skierowała jego wylot wprost w stronę Gillian.

- Musimy najpierw dotrzeć tam, gdzie będziemy bezpieczne. Możliwe, że ten typ, który nagrał się właśnie na twoją sekretarkę, zadzwoni zaraz na policję. A więc jazda stąd. A potem muszę się zastanowić, co z tobą zrobię wskazała pistoletem drzwi. Idziemy do garażu. Jeśli zrobisz jeden nieprzemyślany ruch albo będziesz próbowała zwać czy coś podobnego, to w tej samej chwili dostaniesz kulkę w głowę. Kapujesz? Ja się nie zawaham!

Gillian przełknęła ślinę. Wydawało jej się, że gra w jakiejś dziwacznej, całkowicie odrealnionej sztuce teatralnej. I że za chwilę Tara zaśmieje się normalnie, jak zwykle, nie w ten obcy, dziwny sposób, tylko wesoło i przyjaźnie, że opuści rękę z bronią i powie: *Gillian, nie patrz tak! Nie bądź tak przerażona! To był kawał! Nie chciałam cię naprawdę przerazić! Dobry Boże, chyba nie wzięłaś tego poważnie?*

Ale zarazem wiedziała, że tak się nie stanie. To wszystko, co się działo, to nie był kawał. Tara nigdy nie przepadała za makabrycznymi dowcipami. W ogóle była osobą raczej poważną.

Miała na myśli dokładnie to, co powiedziała.

Gillian powoli ruszyła w stronę drzwi. Tara cofnęła się, żeby ją przepuścić. I wzięła rolkę taśmy do oklejania paczek, która leżała obok drzwi na stercie kartonów do przeprowadzki.

Kiedy znalazły się już na dworze, Gillian powiedziała błagalnie:

- Tara, nie wiem, co masz przeciwko mnie. Ale cokolwiek by to było pomyśl o Becky. Ona ma tylko mnie.

Tara znowu się roześmiała. I znów był to ten niesamowity, pozbawiony wszelkich emocji śmiech.

- Nie uwierzysz, Gillian powiedziała. Ale właśnie o niej myślę. O niej myślałam cały czas. To właśnie Becky jest powodem. Wiesz co? Dla niektórych dzieci byłoby lepiej, gdyby rosły bez matki i ojca. Dla niektórych dzieci lepszy byłby każdy sierociniec. Uwierz mi, wiem, o czym mówię.

- Ale...

- Zamknij się, proszę, i idź dalej rozkazała Tara. Wcisnęła pistolet głęboko w fałdy płaszcza Gillian. Gdyby ktoś przechodził obok, nie mógłby niczego zauważyć. Ale i tak nikogo nie było widać. W zapadającym zimowym zmroku ulica była jak wymarła.

- Z pewnością będziemy miały czas, żeby pogadać. Później. Ruchem głowy wskazała garaż.

Gillian szła powoli ścieżką.

Wiedziałam, że pan przyjdzie powiedziała Liza Stanford z rezygnacją. Z początku nie otwierała drzwi mimo dzwonka, aż John zszedł na dół i zaczął przechadzać się tam i z powrotem przed wejściem do bloku, żeby zobaczyła, że to on, a nie jej mąż, policja czy też ktokolwiek, kogo się obawiała.

Potem zadzwonił znowu i wreszcie rozległ się brzęczyk domofonu. Kiedy dotarł do jej mieszkania, czekała na niego w półotwartych drzwiach.

- Czy wypije pan herbatę? zapytała, kiedy wszedł.

- Nie, dziękuję. Lizo, czy zna pani Tarę Caine? obserwował ją uważnie, zadając to pytanie.

Przeraziła się wyraźnie, a jej źrenice powiększyły się nagle.

- Tara Caine. Tak. Znam ją.

- Prosiłem panią wczoraj, żeby powiedziała mi pani wszystko rzekł John.

- Nie pytał pan o nią odparła cicho Liza. Powoli weszła do salonu i usiadła na krześle przy stole. John poszedł za nią, ale zatrzymał się pośrodku pokoju.

- Pani samochód jest zarejestrowany na nią. I przypuszczam, że to ona wynajęła dla pani mieszkanie.

Liza skinęła głową.

- I także ona daje pani pieniądze na życie? Bo pani mąż, o ile jestem w stanie go ocenić, zablokował wszystkie konta?

- Założyła konto na swoje nazwisko i zostawiła mi kartę. Mogę dzięki temu pobierać pieniądze, jeśli są mi potrzebne.

- Bardzo wspaniałomyślnie. Ona opłaca pani mieszkanie, utrzymuje panią. To nie jest przecież takie oczywiste, prawda?

- Ja jej wszystko zwrócę. Uzgodniłyśmy to.

- Aha. A kiedy to ma nastąpić? I jak?

- Tego jeszcze nie wiem. Wszystko stało się tak szybko... Nie mogliśmy wszystkiego zaplanować do końca.

- Co stało się tak szybko?

- Musiałam uciec. Musiałam zniknąć! cały czas wpatrywała się nieruchomo w blat stołu, a teraz wreszcie podniosła wzrok. John zobaczył w jej oczach łzy i wściekłość.

- Nie może pan sobie tego wyobrazić. Nikt, kto tego nie przeżył, nie może sobie tego wyobrazić. Całe lata żyłam w strachu o własne życie. To były lata rozpacz, poniżenia, fizycznego bólu i psychicznego znęcania się.

Wiedziałam, że on któregoś dnia by mnie zamordował. Po prostu o tym wiedziałam.

- Nie posunąłby się do tego odparł John. Pani mąż, Lizo, mówiąc szczerze, to wyjątkowy kawał łotra, ale nie jest głupi. Nie zaryzykowałby pójścia do więzienia.

- On nie poszedłby do więzienia, proszę mi wierzyć. Byłby wszystko tak zorganizował, że wyglądałoby to na nieszczęśliwy wypadek. Znalazłby jakąś lukę, żeby wyjść z tego cało. On taki jest. Znam go dostatecznie długo.

I tu John widział, że dotarł do sedna sprawy. Liza na własne życzenie robiła ze swojego męża kogoś wszechmocnego, niemal boską istotę stojącą ponad wszelkim prawem, której nie można było pociągnąć do odpowiedzialności za cokolwiek. „Może pomyślał John wyjątkowa perfidia mężczyzn pokroju Logana Stanforda polega przede wszystkim na tym, że dosłownie i w przenośni wdeptują swoje żony w ziemię, a samych siebie wynoszą pod niebiosa”. Od przemocy fizycznej gorsza była chyba przemoc psychiczna, czyli to, co oni potrafili zrobić z umysłami swoich żon. Liza to inteligentna osoba. A jednak Stanford doprowadził do tego, że święcie uwierzyła w to, że była nikim i niczym. On zaś w jej świadomości był bogiem. Jakakolwiek walka z nim nie miała w jej oczach sensu, bo od samego początku uważałaby ją za przegraną.

John potrząsnął głową. Nie był to najważniejszy moment na filozofowanie. Nie wiedział dlaczego, ale nie mógł pozbyć się uczucia, że czas nagli. Że zbliża się jakieś niebezpieczeństwo.

- Tak czy inaczej, mniejsza z tym na razie powiedział. W tej chwili nic nie byłoby w stanie przekonać Lizy, że jej mąż wylądowałby w więzieniu jak każdy inny kryminalista. Skąd pani zna Tarę Caine?

- Znam ją od października ubiegłego roku odpowiedziała Liza. Dokładnie od 31 października.

- A więc niezbyt długo?

- Nie. Od dwóch i pół miesiąca.

Podszedł bliżej do stołu, usiadł naprzeciwko Lizy. Czuł osobliwe wibracje, chciałby uzyskać wszystkie informacje jak najszybciej, ale się opanował. Zbyt natarczywe wypytywanie Lizy mogło być równoznaczne z atakowaniem jej, a to niosło z sobą niebezpieczeństwo, że ona w ogóle nic już nie powie.

- Jak ją pani poznała? Liza się uśmiechnęła.

- Przypadek. Mój mąż i ja otrzymaliśmy zaproszenie na siedemdziesiąte piąte urodziny dawnego kolegi męża. Wielka uroczystość w hotelu Kensington. Mój mąż uparł się, żebym poszła także, choć fatalnie się czułam. Byłam wykończona nerwowo, a poza tym miałam piękną śliwkę, czyli wielkiego siniaka na twarzy, wokół lewego oka. Oko było zapuchnięte i podbite na niebiesko. A nikt nie czuje się zbyt pewnie, kiedy musi iść z czymś takim między ludzi.

- Zrozumiałe aż nadto dobrze rzekł John. A pani mąż nie obawiał się w ogóle, że ludzie będą szeptać po kątach na pani i także na jego temat?

- Wiedział, że jakoś ukryję wszystko pod makijażem. Taka sytuacja miała miejsce nie po raz pierwszy. Mam takie kosmetyki, które pokryją wszystko. To ważne

utensylia dla źle traktowanych żon. Dzięki nim można zatuszować wiele problemów.

- Poszła więc pani na tę imprezę... Skinęła głową.

- Było tam mnóstwo ludzi. Oczywiście przede wszystkim prawnicy. Adwokaci. Prokuratorzy. Sędziowie. Mój mąż był jak zawsze w centrum uwagi. Latem tego roku zorganizował turniej tenisowy, gdzie grano o pieniądze, które zostały przeznaczone dla afrykańskich dzieci chorych na AIDS. Odniósł przy tym wielki sukces, zebrał mnóstwo pieniędzy i na tym przyjęciu bardzo mu z tego powodu gratulowano. Wszyscy klepali go po ramieniu i podkreślali, że jest wspaniałym człowiekiem... a ja stałam obok i dosłownie chciało mi się rzygać. Naprawdę chętnie bym zwymiotowała na samym środku sali, pośród tych sztywnych, wystrojonych ludzi, którym się zdawało, że robią najwspanialsze rzeczy, a w istocie celebrowali tylko i czcili samych siebie, w ogóle nie zauważając, że jest wśród nich ktoś, komu może być naprawdę źle.

John wiedział już mniej więcej, co było dalej.

- Pani prokurator Caine była wśród gości. I w przeciwieństwie do innych coś zauważyła.

- Naprawdę nie czułam się dobrze tego wieczoru powiedziała Liza. Zdawało mi się, że w pomieszczeniu jest niemożliwie gorąco i nagle ogarnęło mnie uczucie, że strasznie poci mi się twarz. Zaczęłam się poważnie obawiać o swój makijaż. Głupie, prawda? Właściwie powinno to być nieprzyjemne dla mojego męża, gdyby wszyscy nagle zobaczyli moje podbite oko. Ale ja zawsze uważałam to za coś hańbiącego dla mnie.

- Zgodnie z tym, co wiem powiedział John tak zachowują się wszystkie kobiety w podobnej sytuacji.

- Uciekłam do damskiej toalety. Na szczęście nikogo tam akurat nie było. I kiedy próbowałam przed lustrem poprawić makijaż, nagle zaczęłam płakać. Dostałam prawdziwych spazmów. Byłam przerażona. Szminka dosłownie po mnie spływała, oczy momentalnie spuchły... a wiedziałam, że zaraz muszę wrócić do gości. Ale nie byłam w stanie przestać. Po prostu nie mogłam.

Umilkła. Znać było po jej twarzy, że znów widziała tę chwilę przed sobą ten moment, który najwyraźniej doprowadził do całkowitej zmiany w jej życiu.

- I wtedy nagle otworzyły się drzwi mówiła dalej. Przeraziłam się śmiertelnie. Ta kobieta, która wtedy weszła, to była właśnie Tara. Wtedy jej jeszcze nie znałam, ale przypuszczałam, że musiała być jedną osób zaproszonych na bankiet urodzinowy. Nie zdążyłam uciec do kabiny, jak zamierzałam. Wyszarpnęłam całą garść chusteczek z pojemnika przy lustrze i robiłam wszystko, żeby to wyglądało na jakąś alergię czy katar... I nagle Tara zatrzymała się tuż za mną i spytała, czy może mi pomóc. Wtedy opuściłam chusteczki, które przyciskałam do twarzy. Płakałam. Zobaczyłyśmy się w lustrze. Na mojej twarzy nie było już ani śladu makijażu. Skóra wokół oka mieniła się wszystkimi kolorami. Chyba przez minutę żadna z nas nie

była w stanie się odezwać, a potem Tara spytała po prostu: *pani mąż?* To było pytanie i stwierdzenie zarazem. I po raz pierwszy nie próbowałam szukać żadnej wymówki czy wyjaśnienia. Ani słowa o jakimś upadku ze schodów, wypadku rowerowym, niefortunnym uderzeniu rakieta tenisową. Po prostu nie miałam już na to siły. I przytaknęłam. A Tara spytała: *pani jest przecież żoną Logana Stanforda, prawda?* I znowu przytaknęłam.

- I wtedy powstał plan, żeby się pani ukryła? spytał John.

- Nie, jeszcze nie wtedy odparła Liza. Powiedziałam Tarze, że w żadnym wypadku nie mogę wrócić na przyjęcie. Tara mi pomogła. Wyprowadziła mnie z hotelu tak, że nikt nic nie zauważył, zapłaciła za taksówkę i pojechała ze mną do domu. Zapłaciła też kobiecie, która miała w tym czasie pilnować Finleya i odprowadziła ją do drzwi, podczas kiedy ja ciągle czekałam w samochodzie. Potem w domu zrobiła mi gorącej herbaty. A ja przez cały czas płakałam.

- I wtedy jej pani o wszystkim opowiedziała?

- Tak. Absolutnie o wszystkim. Wyplęnęło to ze mnie jak woda.

- Ona jest prokuratorem. Teoretycznie powinna była natychmiast potem wszcząć dochodzenie i postępowanie, bez względu na to, czy się pani na to zgodziła czy nie.

- Też tak powiedziała. Błagałam ją, by tego nie robiła. W końcu ustąpiła. Ale zanim poszła, popatrzyła na mnie i powiedziała z naciskiem: *Lizo, ja nie ustąpię, póki nie pójdzie pani sama na policję i nie złoży doniesienia. Musi się pani odważyć zrobić ten krok. To bardzo ważne. Tu chodzi o pani życie i pani poczucie własnej wartości. Niech pani doprowadzi do tego, żeby ten łotr wylądował za kratkami!* Dokładnie tak powiedziała.

- I potem spytał John cały czas naciskała, żeby pani to zrobiła?

- Tak. Dzwoniła do mnie prawie codziennie. Nalegała, prosiła, dodawała odwagi. Czasami się cieszyłam, że słyszę jej głos. A czasami czułam się jak w pułapce. Ale tak ogólnie... Było to dla mnie jakąś pociechą, że w końcu trafiłam na człowieka, któremu nie było obojętne, co ze mną będzie. Nawet jeśli jej zainteresowanie mną było czasami aż nadto intensywne.

- I coraz bardziej mieszała się w tę sprawę?

- Tak. Do tego z gwałtownością, która mnie aż zaskakiwała. Czasami wydawało mi się, że nienawidzi Logana bardziej niż ja. To, że nie wszczęła dochodzenia i postępowania przeciwko niemu natychmiast, musiało jej przyjść niesłychanie ciężko. Z drugiej strony potrzebowała jakiejś mojej współpracy. Nie było przecież świadków naszej rozmowy wtedy, w hotelowej łazience, sprawa nie byłaby tak jednoznaczna, raczej wątpliwa, gdybym ja nie potwierdziła swojej wersji. Poza tym dla niej było bardzo ważne, żebym to ja zrobiła decydujący krok. Ciągle podkreślała, że muszę się bronić. Oddać cios. Wykończyć go. Nie miałam zadowolić się uczuciem, że to ona, Tara, mnie uratowała, albo policja. Miałam ratować się sama. *To jest bardzo ważne dla twojego późniejszego życia, Lizo* powtarzała.

- To z pewnością nie jest bezpodstawne zauważył John. Ale z pani opisu wynika, że podchodziła do tego bardzo emocjonalnie. Niezwykle emocjonalnie. Niemal

wydaje się, że... urwał. Pomyślał, że tylko odwróci uwagę Lizy od zasadniczej sprawy, jeśli wyjawি jej swoje spekulacje.

- Co pan ma na myśli? spytała.

- Zastanawiałem się, dlaczego Tara Caine zaangażowała się w pani sprawę aż tak bardzo i aż z taką gwałtownością. Mam wrażenie, że ważną rolę odegrały tu jej własne doświadczenia, ale oczywiście w tej chwili nie ma na to żadnego dowodu.

- Ona nigdy nie mówiła o sobie powiedziała Liza. W jej pełnych melancholii oczach pojawił się cień nieufności. A co się w ogóle dzieje?

Dlaczego tak bardzo interesuje się pan Tarą Caine?

- Jak doszło do tego, że ona wynajęła pani to mieszkanie? spytał John, nie odpowiadając na jej pytanie.

- Ach, to poszło bardzo szybko odrzekła. W połowie listopada doszło do jeszcze większej eskalacji napięcia między moim mężem i mną, wpadłam w histerię i zaczęłam błagać Tarę, żeby mi pomogła od niego uciec. Na szczęście tydzień wcześniej rozmawialiśmy o tym tak szczegółowo, że zgodziła się, bym zostawiła Finleya. Jego los właśnie bardzo jej leżał na sercu, ale w końcu zrozumiała, że Logan nigdy by go nie zaatakował ani nie uderzył. On kocha tego chłopca niemal bałwochwalczo, wręcz go ubóstwia. To jedyne, co przemawia na jego korzyść.

- Mimo wszystko postąpił wobec niego okrutnie i nieodpowiedzialnie zaprzeczył John. Odniosłem wrażenie, że Finley zamknął się we własnym świecie. To wprost niesłychane, co to dziecko musiało znieść przez tyle lat. Nawet jeśli chłopiec nie został nigdy zaatakowany fizycznie jego dusza jest ciężko zraniona.

- Co kilka dni Tara zjawia się tutaj powiedziała Liza i chce, żebym wreszcie złożyła doniesienie na Logana. Żebym wniosła o rozwód. Zaczęła nowe życie z Finleyem. Przestała się ukrywać. Wiem, że ona ma rację, ale... Liza potrząsnęła głową. Jeszcze nie potrafię, nie jestem w stanie. A w niektóre dni wydaje mi się, że będzie jeszcze gorzej. Że raczej wolałabym się ukryć jeszcze lepiej i skuteczniej, niż wychylić na zewnątrz i spróbować go zaatakować. Ale Tara nie ustępuje i pewnie kiedyś do tego doprowadzi. Często myślę... że ja jestem dla niej czymś w rodzaju projektu. Ona chce coś zrobić i poprzez to coś osiągnąć. Ale przynajmniej dzięki niej jestem w tej chwili bezpieczna.

„Dobrze powiedziane pomyślał John. Projekt. To chyba się zgadza”. Tara Caine nie występowała sama przeciwko Loganowi Stanfordowi, chociaż jako prokurator miała wszelkie możliwości i środki, żeby to zrobić.

Chciała skłonić Lizę, by ona zrobiła to sama. Inwestowała w tę sprawę swój czas i sporo pieniędzy. Gdyby jej się udało, można było z łatwością przewidzieć, że zainwestowane pieniądze otrzyma bez trudu z powrotem: po rozwodzie Liza będzie osobą zamożną.

Jednak w przypadku Tary pieniądze z pewnością nie odgrywały zasadniczej roli. John nawet nie był w stanie uzasadnić, dlaczego zakładał to z taką pewnością. Po

prostu czuł, że tak jest. Tu chodziło o coś znacznie ważniejszego i mającego o wiele większe znaczenie.

- Czy opowiedziała pani Tarze o Carli Roberts? zapytał. I o Anne Westley?

- Tak, opowiedziałam jej o nich obu. Tara chciała wiedzieć, czy nikt w moim otoczeniu nigdy niczego nie zauważył. Powiedziałam, że nie, a przynajmniej nic o tym nie wiedziałam, i że zwierzyłam się tylko dwóm kobietom w nadziei, że to coś zmieni. No ale to nie zadziałało, jak pan wie.

Tu coś było... John jeszcze nie widział co, ale miał wrażenie, że jest coraz bliższy rozwiązaniu tej sprawy. Szukał, podobnie jak zespół śledczych, osoby, którą znały wszystkie trzy ofiary, a one przecież nie miały z sobą nic wspólnego. Carla, Anne i Tom. I Gillian, która prawdopodobnie miała się znaleźć na miejscu Toma.

John miał po raz pierwszy nazwisko takiej osoby po raz pierwszy, od kiedy w tej sprawie pojawił się Samson Segal, któremu jednak nie można było udowodnić znajomości z Carłą Roberts i Anne Westley.

Tara Caine, co wydawało mu się coraz bardziej oczywiste, była wręcz opętana ideą pomocy kobiecie, która nie była w stanie pomóc sobie sama. I którą każdy, do kogo zwracała się o pomoc, pozostawił samej sobie. Mimo że naprawdę była w potrzebie.

Powstawał pewien obraz, ale były tu jeszcze niewyjaśnione kwestie. Na razie John nie był w stanie wyobrazić sobie tego obrazu jako kompletnej całości, a to właśnie umożliwiłoby mu dokładne zrozumienie sprawy.

Ale jestem bliski rozwiązania. I w jakiś sposób jest to związane z Tarą Caine. A Gillian jest u niej!

Wyciągnął telefon.

- Przepraszam powiedział. Muszę zadzwonić.

Po raz drugi tego dnia wybrał numer Gillian. I znów nikt nie odebrał. Po pewnym czasie odezwała się poczta głosowa.

John zostawił kolejną wiadomość: „Gillian, to ja, John. Proszę, zadzwoń do mnie, to bardzo ważne. Odezwij się koniecznie!”.

- Co się dzieje? spytała Liza, której uwagi nie uszedł ton głosu Johna, zdradzający ogromne zaniepokojenie.

Machnął ręką.

- To za dużo wyjaśnień. Możliwe jednak, że mamy wielki problem. John wiedział, że nadszedł czas, by zobaczyć się jak najszybciej z detektywem inspektorem Fielderem. Dysponował już takimi informacjami, których nie wolno mu było zatrzymać dla siebie, a potrzebował teraz policyjnego aparatu z jego możliwościami, żeby móc działać dalej. I nie sądził, żeby Lizę Stanford należało trzymać od tego wszystkiego z daleka, podobnie jak jego dawną koleżankę, konstabl Kate Linville.

Może także on nie powinien się od tego odżegnywać.

Wstał. Postanowił, że zanim pójdzie na policję, pojedzie najpierw do Tary Caine. W końcu obie kobiety siedziały jeszcze w jej mieszkaniu, a Gillian zapewne dlatego nie odbierała telefonu, że widząc jego numer na wyświetlaczu, obawiała się, by znowu nie zaczął się jej narzucać.

Ale sam już w to nie wierzył. Kiedy rozmawiali ostatnio, Gillian właśnie zamierzała opuścić Londyn. Teraz był piątkowy wieczór. Gillian była prawdopodobnie w drodze, i to od kilku godzin. Czy Tara była z nią?

Jeszcze jedna myśl przyszła mu do głowy.

- Czy ma pani możliwość, żeby zadzwonić do Tary? spytał.

W mieszkaniu nie było telefonu stacjonarnego, ale Liza miała komórkę. Wybrała numer Tary i podała telefon Johnowi.

- To numer jej telefonu. Nie mam innego.

Niemal zgodnie z oczekiwaniem nikt nie odbierał. Nie zgłosiła się też poczta głosowa. John zaklął cicho.

- Lizo, proszę zostać tutaj i nigdzie nie wychodzić powiedział, idąc w stronę drzwi. Niech pani nie szuka zbyt pochopnie nowego schronienia ani też nie podejmuje żadnych kroków. Proszę tu zostać. Być może będzie mi pani jeszcze potrzebna.

Miał nadzieję, że nie będzie go prosić, żeby nie szedł na policję, ale ta myśl nie przyszła jej do głowy.

- Dokąd miałabym iść? spytała zrezygnowanym głosem. Bez Tary i tak nie moge podjąć żadnej decyzji.

- Odezwę się jeszcze obiecał i wyszedł na klatkę schodową. Schodząc po schodach w dół, słyszał, jak zamknęła za nim drzwi i dwa razy przekręciła klucz.

W samochodzie było gorąco. Tara widocznie włączyła ogrzewanie na całą moc. A dodatkowo ów gruby wełniany koc, który Tara narzuciła jej na głowę: Gillian miała uczucie, że pot leje się z niej strumieniami. Wełna nieprzyjemnie drapała w twarz.

Co chwila ogarniał ją paniczny strach, że się udusi. Musiała użyć wszystkich swych sił psychicznych, żeby nie ulec panice. Była uwięziona w rozgrzanym do niemożliwości samochodzie, przykryta z głową ciężkim wełnianym kocem, z ustami zaklejonymi taśmą nie, nie wolno jej było się poddać i wpaść w panikę. Bo wówczas rzeczywiście nie będzie w stanie oddychać.

Błagała Tarę, aby nie zaklejała jej ust taśmą.

- Tara, proszę, proszę cię. Ni rób mi tego. Boję się. Proszę! Przysięgała, że nie wyda z siebie żadnego dźwięku, ale Tara nawet nie chciała o tym słyszeć.

- Teraz jesteś w stanie obiecać mi wszystko. Nie, Gillian, zapomnij. Nie zaryzykuję, a już na pewno nie z twojego powodu!

W garażu, gdzie były zasłonięte słupem przed ciekawskimi spojrzeniami, Tara kilkakrotnie owinęła ciasno głowę Gillian taśmą, zaklejając jej usta. Taśma przykleiła się także do włosów i Gillian doskonale zdawała sobie sprawę, jak bolesne będzie jej odrywanie, choć to właściwie nie było w tym momencie jej największym zmartwieniem. Najgorszy był brak powietrza. Lęk przed uduszeniem. Strach, że zwymiotuje. Już choćby z tego powodu nie mogła się poddać panice. Miała skłonność do ataków mdłości, kiedy za bardzo się denerwowała.

Musiała skrzyżować ramiona na plecach, a Tara ciasno okleiła jej taśmą nadgarstki.

- Gdzie są twoje kluczyki do samochodu? spytała.

Gillian mogła wydać z siebie tylko niewyraźne dźwięki, wskazując ruchem głowy w kierunku zaparkowanego samochodu Tary. Tara zrozumiała. Przyniosła torebkę przyjaciółki do garażu i zaczęła w niej szukać kluczyków. Znalazła je, po czym odstawiła torebkę. Gillian przypomniała sobie w tym momencie o swoim telefonie, na który ktoś próbował się dodzwonić niecałe pół godziny temu. Nie będzie już miała szansy, by odpowiedzieć na ten telefon.

Tara otworzyła samochód Gillian i kazała jej usiąść na siedzeniu pasażera. A potem zamknęła auto. Gillian rozpaczliwie próbowała rozerwać taśmę krępującą jej nadgarstki, ale nie udało jej się nawet choć trochę poluzować. Potem próbowała otworzyć drzwi skrepowanymi rękoma, także nadaremnie. Mogła tylko siedzieć i czekać.

We wstecznym lusterku zobaczyła, że Tara wsiadła do swojego samochodu, zawróciła i podjechała na wstecznym biegu tuż pod otwartą bramę garażu. Było jasne, że Gillian miała się przesiąść. Tara z pewnością wjechałaby do garażu i zrobiła to wszystko za zamkniętymi drzwiami, ale na to brakowało miejsca.

Garaż był zajęty przez duże bmw Toma.

Tara wysiadła, otworzyła bagażnik i wyciągnęła Gillian z jej auta.

- Wejdiesz teraz do mojego bagażnika rozkazała. I żadnych sztuczek!

Gillian, zupełnie bezbronna, czując przez płaszcz pistolet przyciśnięty do ciała, z rezygnacją weszła do bagażnika jaguara. Nie było tu zbyt wiele miejsca, musiała przyjąć niemal embrionalną pozycję, z kolanami tuż pod brodą.

Walczyła ze Izami, czując, jak Tara bezlitośnie wiąże jej taśmą kostki. Przez krótką chwilę myślała nawet o jakiejś obronie, bo Tara odłożyła pistolet i stała pochylona pod otwartą klapą bagażnika. Celny kopniak w podbrzusze unieruchomiłby ją na jakiś czas. Ale co potem? Z rękami związanymi na plecach czy byłaby w stanie dość szybko wybiec na dwór? Jej dawna przyjaciółka z pewnością prędko by się pozbierała i po kilku sekundach chwyciła pistolet. Gillian nie wątpiła teraz, że Tara nie żartowała. Strzał w głowę. Jak u Toma.

Wydało jej się to zbyt ryzykowne. I zaraz potem także kostki miała związane, a tym samym musiała zrezygnować z tej myśli. Jediną szansę miała wtedy, kiedy nagle ogarnęło ją owo dziwne, niesamowite uczucie i kiedy zdała sobie sprawę, że powinna pozbyć się Tary w jakikolwiek sposób. Co byłoby się udało, gdyby Samson Segal nie wpadł na fatalny pomysł, żeby ją ostrzec. Skąd w ogóle przyszło mu do głowy, żeby o cokolwiek podejrzewać Tarę? Beż wątplenia miał rację, ale jak, do diabła, przejrzał jej zamiary? I mówił „my”. Z kim on był?

Tara wyciągnęła z bagażnika samochodu Gillian gruby wełniany koc i rzuciła go na związaną kobietę.

- Żebyś nie zmarzła powiedziała. Kto wie, jak długo będziemy w drodze.

Gillian znów poczuła łyzy w oczach, nie tylko dlatego, że gruby koc utrudniał jej oddychanie, ale także dlatego, że ten właśnie koc obudził w niej wspomnienie o dawnych szczęśliwych czasach: zawsze leżał w samochodzie należącym do Toma, jeszcze w czasach studenckich; był to niemożliwy stary grat, który dawał się uruchomić tylko po rytualnym zaklinaniu, a tapicerka na tylnym siedzeniu była niemal całkowicie wytarta. Dlatego Tom położył tam ten koc. Dopiero się wtedy poznali i wkrótce byli tak zakochani, że stale chodzili z głowami w chmurach, a któregoś pięknego dnia w maju pojechali nad morze, żeby popływać. Gillian zapamiętała lodowatą morską wodę i chłodne wiosenne powietrze. Zbyt długo pluskała się w morzu, potem dygotała z zimna, miała sine wargi i szczękała zębami. Tom w końcu przyniósł ów koc z tylnego siedzenia i owinął nim Gillian, a potem objął ją ramionami i próbował ogrzać ciepłem własnego ciała. Siedzieli tak na plaży całą wieczność, w samotnej zatoce, małe raki zagrzebywały się w piasku, gdzieś wysoko krzyczały mewy, a płaskie skały pokryte były smugami zielonych wodorostów. W płytkich kałużach, które pozostały na plaży po ostatnim przyptywie, odbijało się niebieskie niebo. Gillian zapamiętała te chwile jako niewypowiedzianie romantyczne, jako niczym niezakłócone szczęście, i wiedziała, że nigdy ich nie zapomni. Kiedy kilka lat później Tom nie chciał już mieć tego koca

w swoim eleganckim bmw, ona wyścieliła nim w końcu bagażnik swojego samochodu.

Kłapa bagażnika zamknęła się z trzaskiem, Tara przejechała samochodem kilka metrów do przodu, po czym wysiadła i zamknęła bramę do garażu. Gillian pomyślała wtedy, że jeśli przeżyje to wszystko, to już nigdy nie będzie w stanie prowadzić *normalnego życia*. Te przeżycia będą już na to zbyt ciężkie i trudne. Będą zawsze obecne. Zupełnie jak wspomnienie o Tomie, morzu i tamtym chłodnym majowym dniu. Na to wszystko nałożyły się inne obrazy: zamordowany Tom, tak dziwnie wygięty na krześle w jadalni, na które upadł. Wieczór z Lukiem Palmem, kiedy wydawało jej się, że zobaczyła w kuchni jakąś postać.

Głos Samsona na sekretarce. Martwe, nieruchome oczy Tary.

Od tej chwili to będzie jej rzeczywistość.

I ona, Gillian, oddałaby teraz wszystko za to, żeby wróciło tamto życie i tamten świat, na który tak narzekała. Chciała tylko zachować swoje życie takie, jakie było. W tej chwili nie pragnęła niczego innego.

Kiedy samochód już jechał, Gillian zaczęła się zastanawiać, jakie były jej szanse. Szybko doszła do mało pocieszających wniosków. Kiedy ktoś zauważy, że znikła? Jej rodzice i Becky kiedyś w końcu zadzwonią i po drugiej lub trzeciej próbie będą się dziwić, że ani nie odbiera telefonów, ani nie oddzwania. Ale potem? Jak mieliby ją znaleźć?

Luke Palm także będzie próbował nawiązać z nią kontakt, najpóźniej wtedy, kiedy znajdzie kogoś zainteresowanego kupnem domu albo kiedy pojawią się jakieś związane z tym pytania. On przynajmniej wiedział, że owego wieczoru Gillian pojechała do swojej przyjaciółki przy czym nie znał jej nazwiska. Ale w każdym razie wiedział, gdzie mieszkała, bo ją tam zawiózł. Czy zwróci się do policji, kiedy zniknięcie Gillian wyda mu się dziwne?

A poza tym?

Powiedziała Johnowi, że chce zamieszkać na pewien czas w jakimś hotelu na wsi. Jeśli on zawiadomił o tym policję, to może w ogóle nikt nie będzie się interesował tym, że jej nie ma w Londynie. Policja założy, że zrobiła tak, jak zaplanowała, i nie chce, żeby jej przeszkadzano. Bo przecież to będzie właśnie to, czego można się spodziewać po kobiecie w głębokiej traumie, której mąż został zamordowany. Choć co prawda jej auto zostało w garażu. Ale czy ktokolwiek tam zajrzy? A poza tym mogła przecież pojechać pociągiem, co wobec warunków panujących teraz na drodze także będzie zrozumiałe.

Cień nadziei wiązał się z osobą Samsona Segala. Ten głupiec, któremu na dobrą sprawę zawdzięczała swoje obecne położenie, z zupełnie niepojętych, choć słusznych powodów wpadł na to, że Tara Caine może stanowić dla niej zagrożenie. Ale co ten człowiek robi ze swoją wiedzą, w jaki sposób ją wykorzysta?

Jakie zamiary miała Tara? Mogła przecież bez trudu zastrzelić Gillian w domu. Czy to dobry znak, że tego nie zrobiła? Niekoniecznie zdecydowała Gillian z

rozpaczą. Tara nie była głupia. Usłyszała ostrzeżenie na sekretarce. Zdawała sobie sprawę, że Luke Palm wie, dokąd pojechała Gillian wtedy wieczorem. Sąsiedzi także mogli zauważyć przyjazd jej i Tary tego wieczoru do domu. Gdyby za jakiś czas ktoś znalazł w domu zwłoki Gillian, to właśnie Tara byłaby wtedy bardzo starannie przesłuchana. Nie, Tara chciała zrobić dokładnie to, co zapowiedziała: znaleźć bezpieczne miejsce i tam się zastanowić, co dalej. Parę spraw wymknęło jej się z rąk: najpierw wygadała się, że zna nazwisko agenta, a potem pojawiło się to ostrzeżenie Samsona.

Ale tymczasem Tara zdobyła się właściwie na przyznanie się do winy wobec dawnej przyjaciółki. Z tego wynikało, że nie traktowała Gillian jako osoby, która będzie mieć kiedykolwiek okazję do przekazania tej wiedzy.

Ona nie może pozwolić mi uciec pomyślała Gillian. Może tylko próbować zrobić wszystko, żebym znikła, i to tak, by nie padł na nią żaden cień podejrzenia. O nic innego tutaj nie chodzi.

Z powodu tej myśli oddychanie nagle zaczęło jej przychodzić z jeszcze większym trudem. Koc wydawał się naciskać jej twarz jak ołowiany ciężar, taśma dusiła nie tylko dlatego, że tak okrutnie zaklejała usta, lecz także z powodu nieprzyjemnej i intensywnej woni kleju, którym była pokryta. Auto ruszało i co chwila się zatrzymywało. Miejski ruch w piątkowe popołudnie. Będą jechać w ten sposób tak długo, aż dotrą do granicy miasta. Ten ruch wywoływał mdłości i to było najgorsze. Niemożliwe gorąco panujące w samochodzie, zapach taśmy, ruch raz po raz zatrzymującego się i ruszającego samochodu wszystko to powodowało., że żołądek podchodził Gillian niemal do gardła. Mogła mówić o szczęściu, że przez cały dzień prawie nic nie jadła.

Mimo to czuła narastające uczucie mdłości.

„Nie myśl o tym nakazała sobie, używając do tego całej siły swej woli.

Skoncentruj się na czymś innym”.

Dotarł do niej stłumiony głos spikera z włączonego radia usłyszała prognozę pogody. W najbliższych dniach miało być bardzo zimno. Nie należało się spodziewać kolejnych opadów śniegu, ale spiker radził kierowcom, by pozostali w domu, jeśli jazda samochodem nie była konieczna. Drogowcy ciągle walczyli z ostatnim atakiem zimy i śniegiem zalegającym na ulicach.

Potem zabrzmiała muzyka.

Gillian wydawało się nawet, że Tara nuciła słyszana melodię.

„Zawsze dostaje się kolejną szansę pomyślała a więc bądź gotowa, by wykorzystać swoją”.

Odpędziła myśl, która nasunęła jej się niemal natychmiast: że to powiedzenie jest głupie, bo nigdzie nie było napisane, że każdy będzie miał ową drugą szansę.

Czasami nie miało się nawet tej pierwszej, jedynej szansy.

Spodziewał się właściwie, że w domu Tary Caine nikogo nie będzie. Mimo to zadzwonił kilka razy, w końcu cofnął się o kilka kroków na ulicę i popatrzył w okna. Balkon Tary. Za nim okna salonu. Wszędzie ciemno. Znajdujące się obok balkonu małe okno też musiało należeć do jej mieszkania, ale także ono było ciemne.

Była to chwila, w której należało iść na policję. John wsiadł do samochodu.

Myślał o tym wieczorze, kiedy przywiózł tutaj Gillian. Początek stycznia. Gillian zabrała kilka rzeczy od siebie z domu i po raz pierwszy od śmierci Toma miała zobaczyć miejsce, w którym jej mąż został pozbawiony życia. John pomógł jej zanieść rzeczy na górę do mieszkania Tary, ale Gillian nie chciała, żeby wchodził do środka. Rozumiał to: w mieszkaniu była Becky, zrozpaczona i wstrząśnięta. I jednocześnie z wyostrzonymi zmysłami. Nie powinna była bezpośrednio po śmierci ojca widzieć u boku matki innego mężczyzny, nawet jeśli był tylko przyjacielem gotowym nieść pomoc. Dziewczynka z pewnością dopatrywałaby się tu natychmiast czegoś więcej i odczuwałaby to jako zagrożenie. Tę obawę wyraziła Gillian i John to respektował.

Teraz, patrząc na ciemne okna i widząc sprawę w zupełnie innym świetle, myślał, że może wówczas wcale nie chodziło o Becky. Może niedobre przeczucia i skrepowanie Gillian związane były z Tarą. Może ona już wtedy zaczęła nastawiać Gillian przeciwko mnie.

Ale nie, wtedy to jeszcze nie mogło mieć miejsca. To musiało się zacząć dopiero tego wieczoru, kiedy Gillian opowiedziała Tarze o wydarzeniach, w następstwie których John odszedł ze służby w policji. I wtedy obie kobiety się pokłóciły. Tara nie rozumiała zupełnie, dlaczego Gillian utrzymuje kontakty z mężczyzną, na którego przeszłości była obrzydliwa plama o nazwie *gwałt*. Bo taka plama, mimo że usunięta w efekcie późniejszego dochodzenia, zdaniem Tary pozostawia trwałe ślady. To musiało zrobić wrażenie na Gillian. Bo natychmiast potem wysłała Becky do dziadków w Norwich i wróciła do własnego domu wbrew radom każdego, kto jej dobrze życzył.

Ale dlaczego John nie mógł się pozbyć osobliwego uczucia, że coś przeoczył właśnie w tym punkcie sprawy?

Opowiedziałam Tarze, że kiedyś pracowałeś w policji. I dlaczego tam już dzisiaj nie pracujesz...

Przypominał sobie dokładnie słowa Gillian. Wręcz je słyszał. Dziwił się, że wróciła do domu, a ona próbowała mu to wyjaśnić. Czuła się niezręcznie, bo było to związane z tamtą głupią historią sprzed lat. Musiała skonfrontować go z faktem, że to ciągle jeszcze się za nim wlokło, rodziło nieufność i podejrzenia i że przypuszczalnie tak już będzie zawsze.

Była dosłownie oszołomiona...

Wyprostował się.

Właśnie w tym miejscu coś się nie zgadzało.

Była dosłownie oszołomiona...

Co powiedziała mu Kate? Że Tara Caine zażądała wglądu w akta śledcze Burtona i przeczytała je, i to już w grudniu. Zwróciła je, jak mówiła Kate, jeszcze przed Bożym Narodzeniem. To oznaczało, że w tamten czwartek na początku stycznia, kiedy Gillian opowiedziała jej o dochodzeniu wszczętym przeciwko Johnowi, Tara dokładnie wiedziała o całej sprawie. Wiedziała o niej już dawno, znała wszystkie szczegóły, była poinformowana o całym jej przebiegu. Jeśli więc wtedy *była dosłownie oszołomiona*, to tylko udawała, że tak było. Czyli odgrywała swoje przerażenie przed Gillian.

Dlaczego?

Może chciała za wszelką cenę ukryć fakt, że po prostu szpiegowała Johna. John przypuszczał, że samo wymienienie nazwiska *Burton* wywołało w niej jakieś wspomnienia może jakiejś rozmowy z którymś z kolegów albo czegoś, na co gdzieś kiedyś trafiła. Była dokładnie poinformowana o jego sprawie i zatrzymała tę wiedzę dla siebie. Aż do owego czwartku musiała więc zakładać, że Gillian o niczym nie ma pojęcia. Bo gdyby była rzeczywiście jej najlepszą przyjaciółką, to czy nie byłoby normalne, że powiedziałaaby Gillian o wszystkim, co zdołała ustalić? Widocznie Tara nie była przekonana o niewinności Johna, a przynajmniej cały czas widziała w nim jakieś zagrożenie. Dlaczego milczała i udawała przerażoną po opowieści Gillian?

John wiedział, że ciągle jeszcze nie można było na podstawie tych faktów wskazać czegoś, co rzeczywiście obciążało Tarę. Można było za to przewidzieć, że znajdzie się całe mnóstwo przekonujących wyjaśnień jej zachowania, a jej zaangażowanie w sprawę Lizy Stanford także nie powodowało, że znajdzie się ona natychmiast w kręgu podejrzanych. A jednak spiętrzenie tylu dziwnych wydarzeń było w przekonaniu Johna alarmujące.

A nade wszystko niepokoił go fakt, że obie kobiety nagle znikły bez śladu.

Po krótkim namyśle włączył silnik i gwałtownie zawrócił na ulicy, powodując głośne klaksony kierowców przejeżdżających samochodów.

Jechał w kierunku Scotland Yardu.

Sobota, 16 stycznia

1.

Konstabl Rick Meyers pojawił się na posterunku policji w sobotę wczesnym rankiem. Miał służbę w ten weekend, ale przypuszczał, że niewiele będzie się działo i może wreszcie znajdzie czas na to, żeby się zająć licznymi sprawami urzędowymi i pismami, które piętrzyły się na jego biurku. Zasypany śniegiem świat wydawał się cichy i spokojny i wprost tonął w niewinnej bieli. Może nawet sama pogoda sugerowała, że w tym dniu nie wydarzy się nic szczególnego. Dlatego konstabl Meyers był przerażony, kiedy nagle zjawił się przed nim jego przełożony i podsunął mu wprost pod nos jakąś kartkę.

- Musimy koniecznie coś sprawdzić. To zapytanie ze Scotland Yardu w Londynie. Chodzi o niejaką Mrs Lucy Caine-Roslin. Mieszka na Reddish Lane.

- Reddish Lane? W Gorton?

- Tak. Niestety, musi pan tam pojechać.

- A o co tu chodzi? spytał Meyers. Był akurat pochłonięty pisaniem pilnego sprawozdania.

- Możliwe, że zatrzymała się u niej jej córka. I to właśnie musimy ustalić. Scotland Yard ma do niej kilka ważnych pytań.

- Do tej córki? spytał Meyers głupkowato.

- Tak. Bo ona ni stąd, ni zowąd znikła, a muszą ją koniecznie przesłuchać i możliwe, że przyjechała do swojej matki. Ta córka nazywa się... - przełożony spojrzał na kartkę: Tara Caine. Pani prokurator z Londynu.

- Prokurator? Naprawdę? I pochodzi z takiej dziury?

- Widocznie tak.

- To dlaczego nie zadzwonimy po prostu do tej Lucy Caine-Roslin? spytał Meyers, z trudem podnosząc się z krzesła. Przypuszczał, że przełożony wpadł już na ten sam pomysł i że był jakiś powód, dla którego miało być tak, a nie inaczej. I że ten pomysł raczej nie uratuje go przed wyprawą w mało przyjemną okolicę Manchesteru, gdzie miał szukać jakiejś starej baby.

- Próbowano dodzwonić się do niej już wielokrotnie. I nikt tam nie odbiera telefonu. To nic nie da. Musi pan tam wpaść. Nie możemy zignorować polecenia Scotland Yardu.

Tego sobotniego ranka przynajmniej ruch na drodze był niewielki, a drogowcy zdołali się już na szczęście uporać ze swoją pracą. Rick Meyers jechał w miarę szybko. Zupełnie nie cieszyło go to zadanie, i to nie tylko dlatego, że wszystkie jego

plany brały z tego powodu w łeb. Żaden policjant nie lubił jeździć do Gorton w południowym Manchesterze, nawet jeśli jego zadaniem było tylko odnalezienie jakiejś starej kobiety. W tej okolicy nawet najbardziej niewinna sprawa mogła się skończyć bardzo źle. Były tam lepsze i gorsze miejsca, a w tych gorszych stały tylko na wpół zawalone domy, w których mieszkali narkomani, drobni przestępcy i podobne męty. Ci się nie wahali, jeśli tylko mieli możliwość zdobycia za wszelką cenę paru groszy, żeby mieć na następną działkę. Było to siedlisko ludzi, którzy spadli na sam dół drabiny społecznej, skąd niżej praktycznie nie można już było spaść. Przemoc była tu najczęściej stosowanym środkiem, a każdy policjant uchodził za niemile widzianego natręta. Meyers zaś nie był bohaterem. Często sam zadawał sobie pytanie, jak mógł być tak głupi, żeby wpaść na pomysł zarabiania na życie pracą w policji.

Także tego ranka zadawał sobie to pytanie i jak zawsze nie znalazł na nie odpowiedzi.

Obraz za oknem samochodu zmieniał się powoli, w Gorton nie lądowało się zniecka. Domy wzdłuż ulicy stawały się coraz nędzniejsze i bardziej zaniedbane. Coraz rzadziej zdarzały się wokół nich ogródki. Strefa przemysłowa sprawiała wrażenie nie tylko zupełnie opuszczonej, ale i wyjątkowo ponurej, i to wrażenie nie ustępowało nawet mimo grubej warstwy śniegu. Odzieżowy outlet, do którego nikt nie wchodził w ten sobotni poranek. Złomowisko starych samochodów. Tuż obok ciągnął się rząd biednych domków szeregowych. Tylko śmieci zgromadzone w plastikowych workach albo wyrzucone z okien wprost na ulicę wskazywały na to, że te budy są jeszcze w ogóle zamieszkane. Potem pojawiły się kamienice. Odrapane ściany. Wybite szyby w oknach. W jednym domu w ogóle brakowało drzwi wejściowych. Coraz więcej śmieci, brudu, zaniedbania. Meyers dobrze wiedział, że wśród tych śmieci znajduje się całe mnóstwo strzykawek. Z irytacją zauważył małe dziecko, które mimo brudu i zimna bawiło się wprost na ulicy bez opieki, narażone na tyle niebezpieczeństw. Rodzice pewnie spali, bo byli pijani albo naszprycowani, albo wszystko razem.

Dzieciak, nieświadomy niczego, śmiał się i cieszył, bawiąc się w świeżo spadłym śniegu. Jak wszystkie dzieci na świecie.

Meyers poczuł smutek.

Było dla niego zagadką, w jaki sposób jakaś dziewczynka z takiej okolicy mogła zajść tak daleko i zostać prokuratorem w Londynie. Musiała to być doprawdy bardzo dzielna osoba.

Reddish Lane była bardzo długa, a Meyers stwierdził z ulgą, że dom o poszukiwanym numerze nie znajdował się w jej najgorszym miejscu.

W tej okolicy na dolnych piętrach domów mieściły się mniejsze lub większe sklepy i nawet jeśli niektóre z nich zostały zamknięte, i miały okna zasłonięte markizami czy też zbitymi na krzyż deskami, to jednak większość z nich zdołała jakoś przetrwać. Dzielnica nie sprawiała wrażenia zamożnej, wręcz przeciwnie, nie była jednak opustoszała.

„Mogło być gorzej” pomyślał.

Mrs Caine-Roslin mieszkała w małym wolno stojącym domku, zbudowanym z czerwonej cegły i otoczonym niewielkim ogródkiem, w którego przeciwległym rogu znajdowała się mała, na wpół rozwalona szopa. Sam dom sprawiał wrażenie dość solidnego i tylko jeśli przyjrano mu się dokładnie, można było zauważyć, że już od dawna nikt się nie troszczy o jego stan. Ramy okienne wymagały malowania, należało też naprawić bramkę i wymienić niektóre dachówki. Na parterze, jak w większości domów, znajdowała się wielka szyba wystawowa, teraz zasłonięta niebieską roletą, a na nieco zniszczonym szyldzie z trudem można było przeczytać, że mieścił się tu zakład naprawy rowerów. Słońce, deszcz i wiatr zrobiły przez lata swoje i większość liter była zniszczona. Warsztat nie istniał zapewne od dawna.

Było wątpliwe, czy w tym domu w ogóle ktoś jeszcze mieszkał.

Rick Meyers zaparkował na skraju ulicy, wysiadł i z powątpiewaniem zajrzał do okien na parterze. Nie widział światła, ale na to było już za jasno. Jednak w oknach ciągle wisały firanki i wydawało mu się nawet, że dostrzegł na parapetach jakieś kwiaty w doniczkach. Nie zauważył mimo to żadnych śladów życia ani na podwórku, ani też przed domem, ale to mogło mieć jakiś związek z nieczynnym zakładem w dolnej części domu.

Meyers przebrnął przez śnieg, którego nikt od dawna nie odgarniał ze ścieżki prowadzącej do domu. Może ta stara Caine-Roslin dawno już tu nie mieszkała, może córka zabrała ją do Londynu i umieściła w jakimś domu starców. Dziwne, że tu ktokolwiek był zameldowany. Ale takie rzeczy zdarzały się czasami.

A poza tym ta córka znikła i była poszukiwana przez Scotland Yard. Też dziwna historia.

Drzwi prowadziły do dolnej części domu, ale zabito je dwiema deskami na krzyż. A tuż obok nich strome schody zbudowane po zewnętrznej części muru prowadziły na górę. Tam też znajdowały się drzwi. I wydawało się, że były używane.

Na stopniach leżało tyle śniegu, że Rick Meyers z trudem wspiął się po nich na górę. Schody z jednej strony ograniczał mur, ale z drugiej nie było żadnej poręczy, niczego, czego można byłoby się przytrzymać. Wydawało się, że od tygodni nikt nie odgarniał z nich śniegu. Rick Meyers zastanawiał się, jak starsza kobieta była w stanie pokonywać tak strome i zaśnieżone stopnie bez poręczy. Lucy Caine-Roslin musiała chyba od czasu do czasu wychodzić z domu, żeby sobie kupić coś do jedzenia. Świeży śnieg na schodach nie pozwalał stwierdzić, kiedy ktoś wchodził tu po raz ostatni. Ale jeśli sam Rick, człowiek względnie młody, miał spore trudności, żeby się tu wspiąć, to jak udawało się to kobiecie liczącej przynajmniej sześćdziesiąt lat? Rick był coraz bardziej przekonany, że w tym domu nikt nie mieszkał.

W końcu dotarł na górę i zastukał do drewnianych, pomalowanych na czarno drzwi. W ich rogach widać było wyraźnie odpryski farby.

- Mrs Caine-Roslin, czy może mi pani otworzyć? zawołał i dłuższą chwilę nasłuchiwał uważnie. Tu policja, konstabl Meyers! Mam do pani pytanie.

W środku nadal panowała zupełna cisza.

Na próbę poruszył klamką. Ku jego zdziwieniu klamka ustąpiła i drzwi otworzyły się do środka. W ogóle nie były zamknięte.

Kaszlnął, kiedy w nozdrza uderzyła go okropna woń rozkładu, płynąca ze szczelnie zamkniętego mieszkania.

- Dobry Boże! jęknął, szukając po kieszeniach chusteczki, której nie mógł znaleźć. Przeciskając się koło stołu i krzeseł, podbiegł do najbliższego okna w kuchni i niemal wyrwał je z framugi, chcąc jak najszybciej otworzyć. Wychylił się daleko na zewnątrz, oddychając głęboko. Do środka wpłynęło zimne, czyste powietrze. Uplłynęła zaledwie minuta, od kiedy przedzierał się przez śnieg do budynku, a teraz wydało mu się, że tak cudownym powietrzem nie oddychał od wieków. Jakby sam był częścią tego makabrycznego smrodu, który panował w mieszkaniu.

Cały czas przeszukiwał kieszenie munduru, wreszcie natrafił na jakąś pogniecioną chusteczkę i wyciągnął ją. Meyers nienawidził tego, co musiał teraz zrobić. Ale był policjantem. Musiał stawić czoła temu, co było przerażające i o czym już wiedział czekało na niego tu, w tym mieszkaniu.

Wciągnął głęboko powietrze, po czym przyłożył chusteczkę do ust i odwrócił się od okna. Rozejrzał się po kuchni. Wydawała się posprzątana, choć na meblach leżała już warstwa kurzu. Na stole stały dwa talerze, na których widać było jakieś zepsute resztki jedzenia, pokryte niebieskawobiałym puchem pleśni, co z pewnością także było powodem okropnego zapachu. Choć, niestety, nie to było główną jego przyczyną. Obok stały dwa kieliszki z winem i butelka było to dobre wino, co Meyers rozpoznał po etykietce. Cokolwiek się stało z Lucy Caine-Roslin a wszystko wskazywało na to, że nie było to nic dobrego to z pewnością przerwano jej posiłek. Do którego nie zasiadła sama.

Na kredensie zauważył papierową torbę. Nadruk na niej zdradzał, że do jedzenia przyniesiono potrawę przyrządzoną w chińskiej restauracji. A więc ktoś odwiedził starą kobietę, przynosząc z sobą poczęstunek. A potem?...

Wyszedł z kuchni. Wiedział, że prawdziwe wyzwanie dopiero na niego czekało.

Znalazł Lucy Caine-Roslin w pokoju dzieciennym. W każdym razie wydawało się, że był to *kiedyś* pokój dziecienny. Albo pokój jakiejś nastolatki. Kanapa do spania przykryta patchworkiem, w oknach zasłony o tym samym wzorze. Szafa na ubrania, której drzwi były szeroko otwarte, a w środku wisiały na wieszakach dwa swetry. Kilka plakatów na ścianach, jeden z nich przedstawiał chyba Cata Stevensa, o ile Meyers mógł rozpoznać. Fotel, na którym leżało kilka czasopism i jakieś zabazgrane papiery.

Wzdłuż ściany drewniane regały, a na nich liczne książki, dziecięce i młodzieżowe, co można było rozpoznać po tytułach i kolorowych okładkach, z obu

stron podparte plastikowymi podpórkami. Meyers myślał potem, że właśnie dlatego sądził, że był to pokój młodzieżowy: bo były tam te książki i plakat Cata Stevensa na ścianie.

Lucy Caine-Roslin leżała na plecach pośrodku pomieszczenia i wyglądała jak ciemna, wzdęta powłoka ze skóry, która kiedyś była człowiekiem. Zimne i suche powietrze w słabo nagrzanym pomieszczeniu zakonserwowało zwłoki lepiej, niż gdyby przebywały w mniej sprzyjających warunkach. Twarz była dość dobrze zachowana i tylko oczu albo tego, co z nich pozostało Meyers nie chciał dokładniej oglądać. I tak z trudem mógł nad sobą panować.

W każdym innym wypadku przyjąłby, że śmierć tej kobiety była wprawdzie pożałowania godna, ale naturalna: może zrobiło jej się niedobrze, kiedy gość poszedł i zanim jeszcze zdążyła sprzątnąć w kuchni. Ale temu przeczyła pewna okoliczność, fakt mianowicie, że w jej ustach coś wydawało się tkwić, coś wielkiego i z początku niemożliwego do zidentyfikowania. Opanowany w tej chwili niemal absolutnie, Meyers pochylił się nad śmierdzącymi zwłokami. Ścierka. Wielka ścierka w kratkę. Mogła to być ścierka do naczyń.

Ktoś przemocą wepchnął jej ścierkę do krtani. I kilkakrotnie zakleił nos taśmą.

Meyers się wyprostował, podszedł do okna i otworzył je. Wychylił się, by znów głęboko wciągnąć powietrze.

- Dobry Boże wymamrotał i wytarł chusteczką czoło wilgotne teraz od potu.

Śmierć Lucy Caine-Roslin nie byłaby właściwie niczym nadzwyczajnym. Stara kobieta, która najwyraźniej leżała martwa w swoim mieszkaniu już od tygodni i nikt niczego nie zauważył. Jej samotność była tragiczna, ale nie niezwykła. Wiele starszych, samotnych osób, które nie miały już nikogo, umierało i nikt tego nie dostrzegał. W przypadku Lucy Caine-Roslin było to jednak nieco dziwne, bo ona nie była całkiem samotna miała córkę w Londynie. Ale także ona, jak się wydawało, nie zauważyła śmierci matki. Może córka zamknęła definitywnie rozdział swojego życia w Gorton i nigdy tu nie przyjeżdżała. Meyers znów odwrócił się od okna i spojrzał na pokój. Wnętrze pasowało do tego, co widział: było sympatyczne i czyste, choć rzucało się w oczy, że ta rodzina nigdy nie miała zbyt wiele pieniędzy. Meble były proste i mocno zniszczone, a zasłony i firanki przypuszczalnie uszyto własnoręcznie. Czy to było mieszkanie, w którym wychowywała się przyszła pani prokurator? Jej życie wyglądało dziś prawdopodobnie całkiem inaczej.

Ale Lucy Caine-Roslin nie zmarła po prostu na atak serca czy coś podobnego. Ktoś wepchnął jej do gardła ścierkę do naczyń. I możliwe, że właśnie dlatego się udusiła. Wyglądało na to, że Lucy Caine-Roslin została po prostu zamordowana. Stara kobieta, która z pewnością nie miała w domu żadnych cennych przedmiotów. Komu potrzebna była jej śmierć?

Meyers przypomniał sobie o swoim zadaniu. Córka. Przysłano go tutaj, żeby odszukał córkę.

Choć zakładał, że był w mieszkaniu sam, zajrzał gwoźli ostrożności do wszystkich pomieszczeń. Mieszkanie okazało się znacznie większe, niż można się było tego spodziewać, oglądając budynek z zewnątrz. Składało się z salonu, jadalni, sypialni i łazienki, oprócz oczywiście kuchni i pokoju dzieciennego. Wszędzie było wysprzątane do połysku. Na stole w salonie stał dzbanek do herbaty, a obok filiżanka; z herbaty, która kiedyś była w naczyniu, pozostał po wypiciu czy też wyparowaniu brązowy osad. Koronkowa serwetka, którą ktoś zaczął robić, leżała na fotelu wraz z wklutym w nią szydełkiem. Na parapetach stały fiołki w doniczkach, teraz już mocno wyschnięte. Choć Lucy Caine-Roslin z pewnością nie była w stanie zadbać o fasadę i podwórze, to w mieszkaniu panowała nad wszystkim znakomicie.

Poszukiwana prokurator Tara Caine nie zatrzymała się jednak w mieszkaniu swych rodziców.

Meyers wydobył z kieszeni telefon. Musiał teraz wezwać policyjnych fachowców. Choć Lucy Caine-Roslin zmarła i nikt tego nie zauważył, należało wszystko dokładnie zbadać. To wszystko, co można było zrobić dla tej starej kobiety.

Zasnęła, choć z początku w ogóle nie sądziła, że będzie to możliwe. Ogromne wyczerpanie było jednak silniejsze niż jej przerażenie, mdłości i konsternacja spowodowana wszystkim, czego doświadczała. Nie miała pojęcia, jak długo spała. Obudziło ją gwałtowne szarpnięcie samochodu, hałas kręcących się w miejscu kół i wycie silnika.

„Ona nie może podjechać dalej” pomyślała.

Ona. Jej najlepsza przyjaciółka. Ktoś, komu całkowicie ufała. Człowiek, którego znała od lat i który nagle okazał się kimś zupełnie obcym.

Usłyszała, że Tara wysiadła z samochodu i zamknęła za sobą drzwi. Zaraz potem kłapa bagażnika uniosła się gwałtownie do góry. Lodowate powietrze wpłynęło do wnętrza, dostało się nawet pod ciężki, duszący koc. Tara zerwała go jednym ruchem. Gillian natychmiast zacisnęła odruchowo powieki. Jasne światło dnia było niemal bolesne po wielu godzinach ciemności.

- No, jesteśmy. Dalej się nie da powiedziała Tara. Śnieg jest tu zbyt głęboki. Wysiada! Jeszcze wypowiadając te słowa, wyciągnęła z kieszeni nóż, przycisnęła sprężynę, otwierając ostrze i przecięła taśmę krępującą kostki Gillian.

- Wychodź! rozkazała.

Gillian próbowała się wyprostować i stęknęła z bólu. Zbyt długo musiała wytrzymać w niewygodnej skurczonej pozycji na twardym dnie bagażnika samochodu, który trzęsąc się i kołysząc, przedzierał się powoli przez zaśnieżone, nierówne drogi. Czuła teraz niemal każdą kość i ból w całym ciele. Nie miała pojęcia, jak ma się poruszyć. Kiedy w końcu udało jej się otworzyć oczy i mrugając, spojrzeć na okolicę, zobaczyła najpierw Tarę, która pochylała się nad bagażnikiem jak wielki czarny cień na tle ołowianego, szarego nieba. Za nią ciągnęła się rozległa, pokryta śniegiem przestrzeń. Nie było niczego, co przypominałoby jakiś dom czy osiedle.

Jesteśmy daleko od miasta, na jakimś całkowitym odludziu. Zupełnie same.

- No, już! poganiała Tara.

Kiedy Gillian nadal nie udawało się nawet poruszyć, Tara chwyciła ją pod pachy i wyciągnęła na zewnątrz. Zrobiła to z zaskakującą siłą. Ale Gillian nie była w stanie utrzymać się na nogach i natychmiast runęła w śnieg. Choć był miękki i zimny, już po sekundzie poczuła, jak twarde są jego kryształki, które boleśnie kłuły ją w twarz. Wydając nieartykułowane dźwięki, wstawała powoli, a ponieważ miała związane ręce, utrzymanie równowagi przychodziło jej z wielkim trudem.

Tara znowu pomogła jej wstać.

- Zaraz będzie lepiej. Mięśnie ci się rozluźnią. Mamy przed sobą długi marsz.

Gillian walczyła z nagłym zawrotem głowy, którego doznała, gdy tylko stanęła na nogach. Poczowała, że chce jej się pić, i to wprost potwornie. Od południa

poprzedniego dnia nic nie piła, a taśma na ustach, gruby koc i rozgrzane wewnątrz bagażnika też zrobiły swoje. Rozpaczliwie próbowała dać to do zrozumienia Tarze. Wiedziała dobrze, że nie ujdzie daleko, jeśli nie dostanie niczego do picia.

Tara wydawała się nad czymś zastanawiać, po czym sięgnęła do ust Gillian i jednym ruchem oderwała z nich taśmę. Głowa Gillian była owinięta kilkakrotnie, taśma oklejała też włosy, i to tak dokładnie, że nie można było jej teraz odlepić, ale przynajmniej Tarze udało się ją na tyle ściągnąć w dół, że wisiała poniżej podbródka.

- Wody wychrypiała Gillian.

Tara otworzyła drzwi samochodu i wyciągnęła z torby leżącej na tylnym siedzeniu butelkę wody mineralnej. A ponieważ Gillian miała skrępowane ręce i nie mogła pić sama, otworzyła butelkę i przytknęła ją do ust Gillian. Gillian piła chciwie.

- Proszę powiedziała wreszcie, kiedy wypita wszystko. Proszę, nie zaklejaj mi już ust.

- Co, źle, kiedy nie za bardzo można oddychać, prawda? spytała Tara, ale w jej głosie było słychać coś jakby współczucie. W porządku, ale powiem ci coś: zostawię tę taśmę. Tu i tak nie ma nikogo, kto mógłby usłyszeć, jeśli zaczniesz wrzeszczeć. Ale mimo wszystko, jak tylko spróbujesz wołać o pomoc albo uciekać, to cię zakleje tak, że nie będziesz nic słyszała ani widziała. Jasne?

- Tak odparła Gillian. Rozejrzała się. Dookoła dalekie, pokryte śniegiem pola. Pagórkowaty krajobraz. Las gdzieś na horyzoncie. Szosa, na której stały, pokryta była cienką warstwą twardego śniegu. Nigdzie ani śladu wsi czy pojedynczego domostwa. Tara miała rację: Gillian mogła krzyczeć, ile tylko chciała, nikt jej i tak nie usłyszy. Podobnie było z ucieczką: jak daleko mogła pobiec, mając ręce związane na plecach? Nie miała żadnych szans, Tara dogoniłaby ją natychmiast.

- Gdzie my jesteśmy? spytała.

Tara otworzyła wielką torbę i włożyła do środka trochę jedzenia: zawinięte w folię kanapki i dwie butelki wody. Wzięła do ręki pistolet.

- Peak District odpowiedziała. Że tak powiem, w samym środku wielkiego nigdzie.

Peak District. Wielki park narodowy na północy Anglii, który rozciągał się na terenie kilku hrabstw, a zaczynał już na przedmieściach Manchesteru. Północno-zachodnie granice parku sięgały niemal do granic miasta.

Manchester.

Tara pochodziła z Manchesteru.

- Znasz tę okolicę? spytała Gillian niepewnie.

- Można tak powiedzieć odrzekła Tara. Jesteśmy teraz w pobliżu chaty. To znakomite miejsce. Nikt nas tam nie znajdzie.

- Jakiej chaty?

- Żadnych pytań odparła Tara krótko. Ruszaj się w końcu! Idź!

- Ale w jakim kierunku?

- Tutaj Tara wskazała pistoletem na pola. Tu biegnie droga, choć w tej chwili jej nie widać. Idź prosto.

Na skraju pola zaczynał się las, który Gillian zauważyła już wcześniej. Fakt jego istnienia dawał choćby nikły cień nadziei. Jeśli w ogóle była jakaś możliwość ucieczki, to tylko tu. W odróżnieniu od pozbawionej wszelkich zarośli i drzew wyżyny, na której się właśnie znajdowały, w lesie można się było ukryć to stanowiło teraz dla związanej Gillian jakąś szansę. Ale nie robiła sobie zbyt wielkich nadziei. Musiałyby mieć bardzo dużo szczęścia, żeby skutecznie wywieść w pole swoją prześladowczynię. I nawet wtedy byłaby w stanie przeżyć tylko wówczas, gdyby udało jej się dotrzeć w miarę szybko do jakiejś wsi czy choćby pojedynczego gospodarstwa. Było bardzo zimno. Przetrwanie nocy na dworze wydawało się mało prawdopodobne.

Powoli brnęła dalej. Miejscami zapadała się w śniegu aż po kolana. Raz po raz przekonywała się, jak trudno utrzymać równowagę, mając ręce ścignięte silnie do tyłu i skrępowane. Za sobą słyszała ciężki oddech Tary, której wędrówka w głębokim śniegu także nie przychodziła zbyt łatwo. W dodatku Tara niosła w jednej ręce torbę w prowiantem, a w drugiej trzymała pistolet, nie wając się ani na sekundę odwrócić myśli i uwagi od swoich zamiarów. Z pewnością nie widziała w skrępowanej Gillian jakiegoś wielkiego niebezpieczeństwa, ale sytuacja nie była dla niej całkowicie pozbawiona ryzyka.

Gillian zatrzymała się w końcu. Miała wrażenie, że ten marsz trwa już od wielu godzin.

- Czy nie możemy zrobić choć krótkiej przerwy? spytała, odwracając się do Tary. Tamta potrząsnęła głową.

- Za pół godziny musimy być w chacie odparła. Wytrzymamy.

- Tara, możesz mi przynajmniej wyjaśnić, dlaczego...

- Nie przerwała Tara. Oszczędzam siły. Ty też powinnaś. Mamy przed sobą jeszcze dość stromy odcinek i byłoby idiotyczne tracić teraz siły na gadanie. A więc zamknij się i jazda.

Gillian posłuchała. Broniła się z całych sił przed ogarniającą ją rozpaczą. Zimne powietrze kłuło boleśnie w płucach. Śnieg oślepiał. A nade wszystko czuła coraz większe wyczerpanie i brak sił.

Powoli szła dalej.

A od ciebie chciałabym usłyszeć kilka naprawdę wyczerpujących wyjaśnień powiedziała zimno sierżant Christy McMarrow do Johna. Oboje siedzieli w biurze Christy w Scotland Yardzie. Sobotnie przedpołudnie. Detektyw inspektor Fielder pojechał do Croydon, żeby porozmawiać ponownie z Lizą Stanford, którą odwiedził jeszcze poprzedniego wieczoru. Dwóch jego ludzi próbowało się skontaktować z Loganem Stanfordem, inni pojechali do Thorpe Bay, do domu Wardów, jeszcze inni do mieszkania Tary w Kensington. Konstabl Kate Linville, która po telefonie do Johna natychmiast przystąpiła do zbierania wiadomości na temat Tary Caine, miała okazję do jednego z nielicznych w swoim życiu zawodowych udanych występów, kiedy przedstawiła zasadniczy fakt dotyczący Tary: ten mianowicie, że jedyną żyjącą krewną pani prokurator była jej matka zamieszkała w Manchesterze i być może właśnie ona była w stanie coś powiedzieć o aktualnym miejscu pobytu córki. Ze zdumieniem stwierdzono, że Kate zdążyła przeprowadzić dochodzenie w sprawie Tary już wtedy, kiedy jeszcze nikomu nie przychodziło to nawet do głowy. Kate zaś oświadczyła, że była zdumiona, kiedy zobaczyła nazwisko Tary na aktach śledczych sprawy Johna i że to właśnie skłoniło ją do kolejnych kroków. Z rozkoszą wręcz zademonstrowała swój kryminalistyczny węch i intuicję, których nikt jej dotychczas nie przypisywał.

Kiedy kilkakrotnie podejmowane próby nawiązania telefonicznego kontaktu z Mrs Caine-Roslin się nie powiodły, skierowano w końcu pilną prośbę do miejscowego posterunku policji, żeby ktoś odwiedził starszą panią i ustalił, czy zatrzymała się u niej jej córka. John z niejaką ulgą przyjął fakt, że policyjny aparat wreszcie został uruchomiony i zaczął działać we właściwym kierunku. Poprzedniego wieczoru przesłuchiwano go całymi godzinami, a kilka osób niemal poderwało się radośnie z miejsca, kiedy oświadczył, że znalazł Lizę Stanford. Nader sceptycznie zareagowano jednak na jego podejrzenia dotyczące Tary. Mimo późnej pory Fielder jeszcze tego samego wieczoru odwiedził Lizę i przeprowadził z nią pierwszą rozmowę, ale wszystko, co dotyczyło Tary Caine i Gillian Ward, zostało przesunięte na następny ranek. John czuł aż nadto wyraźnie, że jego śmiałe teorie, których rzeczywiście jeszcze nie potrafił przekonująco uzasadnić, uważano za co najmniej osobliwe i dziwne mimo to jednak postanowiono ustalić miejsce pobytu prokurator Caine. Ale cała miniona noc była już stracona, długa, bezsenna noc, w czasie której nie był w stanie choćby na chwilę zmrużyć oka. Chodził w swoim mieszkaniu od okna do drzwi, wypalił dwie paczki papierosów i już wczesnym rankiem zjawił się w Scotland Yardzie, gdzie chciał się koniecznie dowiedzieć o kolejnych krokach w śledztwie.

Christy McMarrow znalazła dla niego czas i szybko stało się jasne, że jej głównym zadaniem było ustalenie źródła informacji Johna. Ale John nie miał zamiaru mówić, skąd pochodzą bądź jak doszedł do swojej wiedzy, w dodatku był zdania, że to w tej chwili zupełnie nieistotne.

On i Christy pracowali razem przez długie lata. Lubili się, czasami po zakończeniu pracy szli razem coś wypić. Christy była jedną z pierwszych osób, która każdemu, czy chciał słuchać czy nie, mówiła, że podniesione przeciwko Johnowi zarzuty w sprawie o gwałt są kompletną bzdurą. Toteż John miał nadzieję, że akurat ona zrozumie jego sytuację. Ale Christy odnosiła się do niego chłodno i bezosobowo i wydawało się, jakby zupełnie zapomniała o tym, że kiedyś byli przyjaciółmi.

Spróbował jeszcze raz:

- Christy, ja...

Przerwała mu natychmiast, mówiąc:

- Nie otrzymałam odpowiedzi na moje pytanie, jak wpadłeś na to, żeby szukać Lizy Stanford. Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to możliwość, że rozmawiałeś z Keirą Jones. Córką Carli Roberts.

- Nie rozmawiałem z nią.

- To z kim?

Czuł rosnącą niecierpliwość.

- Christy, czy to naprawdę ma teraz jakieś znaczenie? Mamy inne problemy. Gillian Ward znikła. Prokurator Caine także. I to ostatnie...

- ...wcale nie musi mieć nic wspólnego z dotychczasowymi zbrodniami oświadczyła Christy, wchodząc mu w słowo. Twoje teorie są niejako wzięte z sufitu. I dziwaczne, mówiąc delikatnie. Zgodnie z tym, co mówiłeś, Gillian Ward miała zamiar gdzieś wyjechać, do jakiegoś odległego hotelu, żeby poświęcić się czemuś w rodzaju szukania samej siebie i...

- Nie. Nie mówiłem o szukaniu samej siebie. Raczej miałem wrażenie, że próbuje się ukryć.

- W każdym razie w jej zniknięciu dopatrujesz się jakiegoś zagrożenia i jednocześnie poważnie podejrzewasz prokurator Caine, że jest seryjną morderczynią, tak?

- Zwróciłem tylko uwagę na to, że jak dotąd ona jest pierwszą i jedyną osobą, która znała wszystkie trzy ofiary. I niepokoi mnie, że nagle znikła tak, jakby się pod ziemię zapadła. A razem z nią Gillian Ward. A Gillian Ward przez was samych jest uważana za osobę, której grozi wielkie niebezpieczeństwo. I to przynajmniej powiedział mi sam Fielder.

- Myślę, że... zaczęła Christy, ale w tym momencie zadzwonił telefon na jej biurku. Podniosła słuchawkę, chwilę słuchała, po czym rzekła krótko:

- Odbiorę telefon u pana w biurze. Chwileczkę podniosła się. Przepraszam. Zaraz wrócę.

Wyszła z pokoju. John wstał, podszedł do okna. Czuł rosnącą niecierpliwość i niepokój. Policja uruchomiła co prawda wszystkie konieczne procedury, ale te według niego były zbyt powolne. I znakomicie pasowało do Fieldera to, że odstawił

na boczny tor jedną ze swoich najzdolniejszych współpracowniczek, każąc jej rozpracować swego najzacieklejszego wroga. Czyli jego. Jakby w tej chwili dla Christy nie było ważniejszych zadań!

„Jeszcze pięć minut pomyślał jeszcze przez pięć minut będę brać udział w tym idiotycznym przedstawieniu, a potem stąd idę. I będę szukać Gillian na własną rękę”.

Christy wróciła do pokoju dokładnie po pięciu minutach. Widać było wyraźnie, że była niespokojna i pełna napięcia. John zrozumiał natychmiast, że otrzymała niepokojące wiadomości. Podszedł do niej, ale ona minęła go i usiadła za biurkiem. Wydawało się, że jest jej zupełnie obojętne, czy John będzie stał, czy także usiądzie.

- Jak wpadłeś na to, żeby podejrzewać prokurator Caine? spytała. John, nic nie rozumiejąc, potrząsnął głową.

- Przecież wyjaśniłem to już wczoraj wieczorem. Ona jest przyjaciółką Gillian Ward, dlatego znała też dobrze Thomasa Warda. Od Lizy Stanford dowiedziała się o Carli Roberts i Anne Westley. Czyli zna wszystkie trzy ofiary. Zażądała wglądu w akta śledcze mojej sprawy sprzed lat, ale zachowywała się w stosunku do Gillian tak, jak gdyby nie miała pojęcia o tej sprawie. Wiem, to jest zupełnie niewystarczające, ale coś mi mówi, że...

- Samochód Gillian Ward stoi w garażu w Thorpe Bay przerwała mu Christy. Ślady opon przed wjazdem wskazują, że niedawno przyjechało tam jakieś inne auto. I nie są to ślady samochodu Gillian ani też jej męża.

John zbladł.

- Czy to może być samochód marki Jaguar?

Christy twierdząco skinęła głową. Czyli policja zdążyła już to ustalić.

- Tak. I zanim zapytasz to mogły być opony jaguara prokurator Tary Caine. Zawahała się przez chwilę, po czym mówiła dalej: Nasi ludzie odsłuchali sekretarkę w telefonie Mrs Ward. I był tam nagrany przedziwny telefon. Z wczoraj.

- Wasi ludzie weszli do jej domu? John wiedział doskonale, że w tak krótkim czasie nikt nie był w stanie zdobyć pozwolenia, które było konieczne do podjęcia takiego kroku. A więc coś w tej sprawie okazało się tak niepokojące, że zaryzykowano naruszenie przepisów. A jak to się stało? spytał.

- Polecenie detektywa inspektora Fieldera. Christy znów się zawahała i dodała: I jeszcze posterunek policji w Manchesterze. Fielder połączył się z nimi. Znalezione matkę Tary, Lucy Caine-Roslin, martwą, w jej własnym mieszkaniu. Wszystko wskazuje na to, że została zamordowana.

- Do jasnej cholery!

- Wydaje się, że chodzi o tego samego sprawcę, co w przypadku Roberts, Westley i Warda. Wskazują na to dość wyraźnie pewne ślady na miejscu zbrodni.

Ścierka do naczyń w ustach zamordowanej? o mało nie zapytał John. Ugryzł się w język w ostatniej chwili. Gdyby teraz powiedział coś na temat ścierki, dla Christy byłoby jasne, że w Scotland Yardzie jest kret. Ktoś, kto informuje Johna o szczegółach

śledztwa. Nie należało jeszcze bardziej narażać na niebezpieczeństwo constabl Linville, co przecież i tak już nastąpiło.

- A jaka wiadomość była na sekretarce Gillian? zapytał zamiast tego.

- Była to wiadomość od Samsona Segala Christy patrzyła na niego przenikliwie. Od człowieka, którego szukamy.

John nawet nie mrugnął.

- Doprawdy?

- Tak, doprawdy tak. Segal zwrócił się bezpośrednio do Mrs Ward, ostrzegając ją przed prokuratorem Caine. I wyraźnie użył słowa *my*. *On i ktoś jeszcze*, kogo nazwiska nie wymienia, martwią się o Mrs Ward. Prosi ją, żeby była ostrożna. Czy przychodzi ci do głowy, kto może być owym tajemniczym towarzyszem Samsona Segala?

- Nie.

Patrzyła na niego uważnie. John wiedział dobrze, że była bardzo przebiegła i obdarzona znakomitą intuicją.

- Gdzie przebywa Samson Segal, John?

- A skąd mam wiedzieć?

- Jest poszukiwany przez policję. Pomoc w ukrywaniu go jest przestępstwem.

- Wiem o tym. Pracowałem tu dość długo.

- John...

- Christy! podszedł blisko do biurka i pochylił się nad nią, opierając ręce na blacie. Miał tuż przed sobą jej twarz. Widział zmarszczki wokół jej oczu, które w ostatnich latach stały się jeszcze wyraźniejsze. Christy, nie opowiadaj, że naprawdę podejrzewasz tego człowieka! On jest zupełnie nieszkodliwy i ty o tym wiesz! Jest strasznie egzaltowany i ubóstwia Gillian, dlatego od miesiący kręcił się koło jej domu jak zakochany nastolatek, ale z całą pewnością poza niezbyt cnotliwymi myślami nie popełnił żadnego przestępstwa. Jest tylko śmiesznym dziwakiem i nędznym świntuchem, ale nikim więcej. Nie marnuj cennego czasu, ścigając go. Naprawdę tego nie rozumiesz? Wyprostował się. Gillian znikła. Tary Caine też nie można odnaleźć. A Gillian ostatnio u niej mieszkała. Czyli jest możliwe, że razem opuściły Londyn. Samochodem Tary? Pojechały do Thorpe Bay? W każdym razie tam, przy domu Wardów, natrafiono na ślady opon, które mogą być śladami samochodu Caine. Dokąd mogła pojechać? Może w kierunku Manchesteru? To jej rodzinne strony. A tam przecież też coś się wydarzyło, bo mamy już morderstwo matki Tary i...

- Mrs Caine-Roslin nie została zamordowana teraz powiedziała Christy. Nie ma jeszcze wyników sekcji zwłok, ale koledzy w Manchesterze mówią, że definitywnie musiała leżeć w mieszkaniu już od dawna. Przynajmniej osiem tygodni.

Wytrzeszczył na nią oczy. Co się stało? Dlaczego tak się stało?

- Motyw powiedziała w zamyśleniu Christy McMarrow. Wydawała się mówić do siebie, a nie do Johna. Jaki motyw mogła mieć prokurator Caine, jeśli to ona

popęłniła te zbrodnie? Nie widzę tu żadnego wspólnego motywu! Potarła rękami zmęczone i zaczerwienione oczy. Nie widzę tu żadnego wspólnego motywu powtórzyła.

- Musicie ją znaleźć! powiedział John natarczywie. Obawiam się, że Gillian jest w ogromnym niebezpieczeństwie. Nie łapię jeszcze sensu tego wszystkiego, podobnie jak ty, ale potem będzie dość czasu, żeby do tego dojść. Zakładając, że to Caine zamordowała Thomasa Warda, i zakładając dalej, że jej właściwym celem była Gillian, teraz Caine ma to, czego chciała. Ma Gillian.

- Wydamy nakaz pościgu za samochodem Mrs Caine powiedziała Christy. Bo może obie kobiety rzeczywiście nim podróżują. A poza tym, John, bardzo cenię fakt, że podpowiadasz mi, co ma robić policja, ale wiemy to bez ciebie, możesz mi wierzyć. Twoja współpraca nie jest już tutaj mile widziana. Popatrzyła na niego zimno.

Poczuł wzbierającą w nim wściekłość. Aż do tej chwili odczuwał głównie rozpacz i wyczerpanie. Rozpacz, bo obawiał się, że nie zdołają uratować Gillian. I wyczerpanie, ponieważ ostatnie dni wykończyły go niemal zupełnie. Ale teraz jedno i drugie zamieniło się w gniew. Zastanawiał się przez chwilę, za kogo się uważała Christy McMarrow. Zbeształa go, traktowała pogardliwie, choć przecież przekazał im wszystko to, co już dawno powinni byli wiedzieć sami. Poprzez Kate Linville dotarł do paru istotnych wyników policyjnych dochodzeń, ale to *on* wyciągnął z nich właściwe wnioski, *on* był na tyle bystry i przebiegły, żeby wytropić Lizę Stanford, *on* ustalił, że to Tara Caine знаła wszystkie trzy ofiary tej serii zbrodni, i właśnie dlatego był człowiekiem, którego tak pilnie potrzebował teraz Fielder. Wykonał doskonałą robotę i Christy o tym wiedziała.

Zjawił się u niej wczoraj, ignorując mur niechęci i wrogości, który ona wzniosła pomiędzy nim a sobą.

- Dlaczego, Christy? zapytał. Dlaczego traktujesz mnie z taką wrogością? Co ja ci zrobiłem?

I właśnie teraz dotarł do sedna sprawy. Przestała wreszcie grać nieprzystępną i obcą. Wstała, wyszła z za biurka, podeszła do niego. Była drobna, pulchna i pełna gniewu, co teraz, kiedy stała tuż przed nim, było wyraźnie widać. Po raz drugi w ciągu tych kilku minut John dostrzegł pod jej oczami zmarszczki i cienie będące efektem ciągłego zmęczenia.

- Co mi zrobiłeś? powtórzyła jego pytanie. Rozczarowałeś mnie, Johnie Burton, gorzko rozczarowałeś! Byłeś jednym z najzdolniejszych pracowników w Metropolitan Police. Byłeś super. Wszystko wskazywało na to, że zrobisz wielką karierę, bo miałeś ku temu wszelkie dane. Świetnie mi się z tobą pracowało. Byłeś dla mnie kimś naprawdę wielkim. Widziałam w tobie ideał, wzór. Myślałam, że zostaniemy zespołem, który będzie miał najwyższy współczynnik wykrywalności przestępstw w całym Yardzie. Moje zawodowe plany były ściśle związane z tobą. A ty narobiłeś sobie idiotycznego bigosu, wdając się w taką głupią historię. I to z

praktykantką! Zaryzykowałeś całą swoją karierę tylko dlatego, że nie potrafiłeś kontrolować własnych hormonów. Nie mogłam tego pojąć. Do dziś nie mogę pojąć!

- Nie mogłem wtedy wiedzieć, jakich środków użyje ta dziewczyna.

- Ale musiałeś wiedzieć, że igrasz z ogniem. Byłeś jej szefem. Ona była dla ciebie tabu. I gdyby twoja znajomość ludzkiej psychiki nie była tak przytłumiona pokładami żądz, to widziałbyś wyraźnie, że ta mała była neurotyczką pierwszej klasy. To przecież było widać. Atrakcyjna, a zarazem ze skłonnościami do hysterii, ale ty oczywiście widziałeś tylko jej śliczną buzię i bujny biust. Na resztę wolałeś być ślepy. Ty *idioto!*

Ostatnim słowem niemal plunęła.

Wiedział doskonale, że miała rację, i to jeszcze bardziej podsycało jego gniew.

- A może odparł zimno prawdziwym powodem twojej wściekłości jest fakt, że obiektem mojego *braku kontroli nad hormonami*, jak to sformułowałaś, była inna kobieta, a nie ty?

Dostrzegł w jej oczach, że odgadł, i jak bardzo ją to zabolowało. I poczuł uderzenie jej ręki na twarzy.

- Ty dupku powiedziała.

4.

Dotarły do chaty, kiedy Gillian zwątpiła już w jej istnienie. Samochodem, jak oceniała, od tego rozwidlenia dróg, gdzie zostawiły auto, dotarłyby tu w dziesięć minut; piechotą szły ponad godzinę. Powodem był także śnieg, w którym tonęły miejscami aż po biodra, musząc walczyć niemal o każdy krok. Wypiły prawie wszystką wodę mineralną, ale jej resztek Tara nie chciała oddać Gillian, której pragnienia nie można było zaspokoić. Ostre powietrze i wysiłek fizyczny wysuszyły ją jak chyba nigdy w życiu. Ciągłe wydawało jej się, że nie da już rady przejść nawet jednego metra.

- Kiedy byłaś ostatnio w tej chacie? spytała wreszcie. Obawiała się, że owej podejrzanej chaty albo w ogóle nie ma, albo że Tara dawno straciła orientację.

- Miałam wtedy siedemnaście czy osiemnaście lat odparła Tara i po chwili zastanowienia dodała: Tak, siedemnaście. Jak miałam osiemnaście lat, wyjechałam z domu i całymi latami już się tam nie pokazywałam.

Siedemnaście lat! Tara miała teraz prawie czterdzieści.

- A jesteś pewna, że ona jeszcze stoi?

- Coś z niej na pewno zostało. Taka chata nie rozplywa się po prostu w powietrzu.

- I myślisz, że ją znajdziesz?

- Idź ciągle drogą. Droga prowadzi wprost do niej.

- Ale przecież drogi w ogóle nie można rozpoznać. Mogłyśmy ją już dawno zgubić.

- Nie łam sobie tym głowy. Wiem dokładnie, gdzie jesteśmy. I przestań gadać, a zacznij oszczędzać siły.

W końcu dotarły do lasu, co wcale nie ułatwiło przedzierania się naprzód. Wiele gałęzi drzew pod ciężarem śniegu połamało się i leżało na drodze, inne, obciążone śniegiem, zwieszały się w dół tak nisko, że co chwila musiały się pochylać, żeby pod nimi przejść. Wreszcie z prawej strony pojawiła się rozległa polana, gdzie jak okiem sięgnąć, także nie było żadnej ludzkiej siedziby, co z irytacją stwierdziła Gillian. Na skraju polany, osłonięta drzewami, rzeczywiście stała chata.

- No, nareszcie powiedziała Tara. Był to rodzaj domku z bali, jak stwierdziła Gillian, bardziej solidny i stabilny, niż sobie wyobrażała. Domek stał na wzgórzu, a za jego tylną ścianą piętrzył się las. Strome zbocze prowadziło dalej w dół, w rozległą i wydawałoby się niekończącą się dolinę. Gillian była tu kiedyś przed laty z rodzicami, jeszcze jako dziecko, i wiedziała, że Peak District to cudowne krajobrazy obfitujące na przemian we wzgórza, doliny, jeziora i lasy, a także niewielkie wapienne skały wśród poszarpanych przez wiatr zarośli. Latem można tu było znaleźć liczne wyschnięte koryta rzek, na których brzegach rosły rzadkie gatunki kwiatów, a wśród skał nieoczekiwanie pojawiały się łąki porośnięte bujną, zieloną

trawą. Do stromych zboczy przytulone były czarowne, zimą odcięte od świata wioski, a łączące je drogi były tak wąskie, że nie mieściły się na nich dwa samochody. Niebieskie niebo ożywiała latem barwna gra obłoków, co można było podziwiać niemal z boku, stojąc na którymś ze zboczy.

Ale teraz, zimą, wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Zasypany śniegiem krajobraz gdzieś daleko przechodził płynnie w szare niebo, ciemne chmury wisiały nisko nad ziemią, pola i lasy pokrywała gruba warstwa śniegu. Gillian zastanawiała się, czy porzucić nadzieję na to, że gdzieś tu jednak są choćby tylko pojedyncze domostwa, których nie widać z powodu nisko wiszących chmur i mgły. Może gdy pogoda nieco się poprawi...

- Tam na dole jest potok powiedziała nieoczekiwanie Tara, spoglądając w dół stromego zbocza. Teraz pewnie zamarznęty i zasypany śniegiem. Jako dziecko bawiłam się tam całymi godzinami. Budowałam tamy z kamieni, jeziora. Latem można tam było chodzić bosą, brodzić po wodzie. Albo nawet usiąść w wodzie, żeby się ochłodzić.

- Też tu bywałaś jako dziecko? podchwyciła Gillian. Zauważyła, że Tara wyglądała bardziej normalnie, kiedy mówiła o swoim dzieciństwie. Miała swoje zwykłe, żywe i błyszczące oczy, a nie takie nieruchome, o dziwnie tępym wyrazie, jak poprzedniego dnia w Thorpe Bay, kiedy odsłuchiwała wiadomość pozostawioną na sekretarce przez Samsona. Gillian pojęła, że teraz wiele zależy od tego, żeby nie doprowadzać Tary do tego osobliwego stanu.

Tara rozejrzała się dookoła i odpowiedziała:

- Tak. To mój ojciec zbudował tę chatę. Sam ją zbudował.

- Musiał być bardzo zręczny.

- Potrafił zrobić wszystko, do czego potrzebne były jakiegokolwiek rzemieślnicze zdolności potwierdziła Tara. Znalazła w torbie klucz i próbowała otworzyć drzwi, przekręcając go w zamku. Nie udało się to od razu, widocznie zamek był zardzewiały.

- Od lat nikogo tu nie było wymamrotała.

- Twoi rodzice już tu nie przyjeżdżają?

- Mój ojciec nie żyje od dawna. Miałam osiem lat, kiedy umarł.

- Och... przykro mi.

Gillian uświadomiła sobie, że nigdy o tym nie rozmawiała. Dziwne, że nigdy tego nie zauważyła. Tara walczyła wciąż z zamkiem, a Gillian czuła się tak wyczerpana, że wprost broniła się przed chęcią osunięcia się w śnieg. Mimo że Tara była całkowicie pochłonięta swoim zajęciem i nie zwracała na nią uwagi, Gillian nawet nie brała pod uwagę możliwości ucieczki. Każda myśl o tym wydawała jej się w tej chwili bezsensowna.

W końcu zamek ustąpił, zawiasy zaskrzypiały głośno i masywne drewniane drzwi się otworzyły.

- Pani pierwsza, proszę powiedziała ironicznie Tara, wykonując ruch ręką.

Lodowate, stęchłe powietrze wypełniało ciemne wnętrze. W mroku trudno było cokolwiek dostrzec.

Zupełnie jakby się wchodziło do grobu. Było to pierwsze, przytłaczające wrażenie Gillian. Tara zapaliła latarkę, którą przyniosła z sobą, i zaczęła otwierać okiennice, co było zadaniem równie trudnym jak otwarcie drzwi. Oczy Gillian przyzwyczajają się powoli do mroku dostrzegła dwie ustawione prostopadle do siebie kanapy i drewniany stół, który stał pomiędzy nimi. Żeliwny piec w rogu. Mała szafa. I drzwi, które prowadziły do następnego pomieszczenia.

- Na tych kanapach sypiali moi rodzice wyjaśniła Tara. Do mnie należała taka mała izdebka z tyłu.

Pierwsza okiennica wreszcie puściła. W chacie zrobiło się nieco jaśniej, ale tym bardziej dało się widzieć, jak bardzo zaniedbane było jej wnętrze. Ściany pokrywały pleśń i mech. Tapicerka na kanapach była zupełnie zniszczona. Podłogę pokrywało coś śliskiego, a Gillian na pierwszy rzut oka nie potrafiła określić, czy był to jakiś rodzaj liszajów czy coś innego. W ciągu wielu lat przez każdą szparę do wnętrza chaty dotarła wilgoć, a ponieważ piec także nie był używany od lat, wysuszenie pomieszczenia było już raczej niemożliwe.

Mieszkać tutaj to też było niemożliwe. Ale Gillian miała złe przeczucie, że Tara nie będzie się o to troszczyła.

Zamek drugiej okiennicy odskoczył z trzaskiem i zrobiło się jeszcze jaśniej. Wręcz rozpaczliwy stan pomieszczenia stał się tym bardziej widoczny.

- Nie sądzisz, że możemy spróbować rozpalić w piecu? spytała Gillian.

Tara wzruszyła ramionami.

- O ile z tyłu za chatą jest jeszcze jakieś drewno, to może tak. Choć jeśli nawet, to polana są pewnie całkiem mokre. Siądź wreszcie wskazała w kierunku kanapy.

Gillian się zawahała.

- Siadaj! powtórzyła ostro Tara.

Gillian usiadła, a kanapa ustąpiła całkowicie pod jej ciężarem, uginając się niemal do podłogi. Wypełnienie mebla było chyba całkowicie przegniłe i pełne robactwa. Zapewne jakieś czerwie. Gillian miała nadzieję, że przy tej temperaturze wszystko zamarzło.

Tara wyszła z chaty, ale wróciła za chwilę z pustymi rękoma.

- Nie ma drzewa. Czyli z ognia nici.

Gillian opuściły resztki odwagi, jeśli to w ogóle było możliwe. Teraz, kiedy się nie ruszała, zaczęła przeraźliwie marznąć mimo grubego płaszcza. Tara rzeczywiście wymyśliła i znalazła zupełnie opuszczone miejsce, gdzie Gillian nie znajdzie żaden człowiek. A więc chodziło jej o to, żeby zyskać czas do namysłu. Wynikiem tego namysłu mogło być tylko stwierdzenie, że w jakiś sposób musi się pozbyć swojej byłej przyjaciółki. Wtedy Tara będzie mogła spokojnie wrócić do Londynu w przekonaniu, że nikt nie trafi na ślad tego, co zrobiła. Będzie mogła opowiadać każdemu, że Gillian udała się w drogę do jakiegoś hotelu, a ona od tej

chwili już o niej nie słyszała. Mogła poderżnąć Gillian gardło. Mogła ją zastrzelić. Mogła też po prostu zostawić ją w chacie, zamknąwszy uprzednio drzwi i okiennice. To nie będzie długo trwało: umrze z głodu albo po prostu zamrze. Do tego lasu chyba już od bardzo dawna nikt nie zawitał, nikt więc nie usłyszy jej krzyków. Nawet jej zwłok nikt nie znajdzie. Czyli chodziło o to, żeby nie zabijać Gillian w Londynie ani też w Thorpe Bay, bo wówczas jej plan: bez zwłok nie ma morderstwa, spaliłby na panewce. A teraz, nawet gdyby ją ktoś podejrzewał, nie będzie jej można nic udowodnić.

Gillian musiała myśleć o ucieczce, bo to była jej jedyna, choć bardzo nikła szansa. Gdzieś tutaj, na tym pustkowiu, też musiała być jakaś ludzka siedziba, nawet jeśli wyglądało to tak, jakby były zupełnie same na świecie. Gillian pomyślała, że może uda jej się jakoś zdobyć kluczyki samochodowe i dotrzeć do pozostawionego auta. Kluczyki leżały na piecu, obok klucza do chaty. Chyba wypadły Tarze z torby, kiedy wyjmowała resztkę wody mineralnej i jedzenie, a ponieważ była pogrążona w myślach, podniosła je i położyła tam machinalnie. Ale Tara stała teraz przy piecu, opierając się plecami o jego żeliwne drzwiczki; Gillian nie mogła na razie w żaden sposób dotrzeć w jego pobliże. Było zimno Tara marzła w widoczny sposób i co chwila rozcierała sobie ramiona. Sprawiała wrażenie osłabionej i wyczerpanej.

- Nigdy nie bywaliśmy tu zimą powiedziała nagle i zabrzmiało to niemal przepaszająco. Zwykle każdego roku przyjeżdżaliśmy do chaty po raz pierwszy dopiero na Wielkanoc. A potem przez całe lato. I najpóźniej w połowie października po raz ostatni. To był koniec sezonu. Noce były wtedy dość zimne, często padał deszcz i nie dało się już długo siedzieć na dworze. Krajobraz jest tu przepiękny. Dookoła przyroda nietknięta przez człowieka, niemal aż po horyzont.

- Ale jesteśmy w pobliżu Manchesteru? spytała Gillian. Tara skinęła głową.

- W Dark Peak, w północnej części parku narodowego.

Gillian westchnęła zniechęcona. Wiedziała, że Peak District dzielił się na Dark Peak na północy oraz White Peak na południu. Podczas gdy White Peak był dość gęsto zaludniony, to Dark Peak składał się przeważnie z rozległych wysokich torfowisk, które ciągnęły się kilometrami, i gdzie praktycznie nie można było napotkać ludzkiej siedziby. Czasami przybywali tutaj turyści szukający samotności, ale nigdy o tej porze roku. Był to naprawdę istny koniec świata.

- Czy ta ziemia należała do twojej rodziny? spytała, żeby jakoś podtrzymać rozmowę.

Tara roześmiała się ironicznie.

- Dobry Boże! Moja rodzina nigdy nie miała zbyt dużo pieniędzy. Ojciec miał warsztat naprawy rowerów, sprzedawał też używane rowery, które zdołał jakoś doprowadzić do porządku. Dzięki temu mogliśmy jakoś żyć, ale posiadać ziemię... na to nigdy nie było nas stać!

- No ale...

- Tak, ta chata jest, że tak powiem, zbudowana nielegalnie. Teren naokoło nie należy do nikogo i nikogo też na szczęście nie obchodził. Moi rodzice dotarli tutaj kiedyś w czasie jakiejś wędrownki jeszcze przed moimi narodzinami i ojciec powiedział wtedy do matki, że zbuduje jej tutaj chatę z bali. Co, jak widać, zrobił. Tara się rozejrzała. Na jej twarzy pojawił się wyraz tkliwości. Było tu naprawdę pięknie. Spędzaliśmy tutaj cudowne weekendy. Razem z ojcem robiłam wtedy tyle rzeczy. Budowaliśmy szałas z gałęzi, zakładaliśmy ogródki, w których hodowaliśmy przyniesione z lasu kwiaty, ojciec bawił się ze mną w Indian i pokazywał mi, jak się tropi zwierzęta w lesie. Mój ojciec dał mi wiele sił. Na całe życie.

- To musiało być dla ciebie ciężkie przeżycie, kiedy tak wcześnie umarł powiedziała Gillian. Poruszyła nieznacznie rękami na plecach.

Wydawało jej się, że taśma owinięta wokół nadgarstków trochę się poluzowała. Jeszcze nie na tyle, żeby mogła się uwolnić, ale przy dużej cierpliwości może udałoby jej się w końcu oswobodzić ręce. Musiała być jednak bardzo ostrożna. Żadnych gwałtownych ruchów, żeby tylko Tara nic nie zauważyła.

- Atak serca mówiła dalej Tara i wyglądała tak, jak gdyby na jej twarz powoli opadał cień. Gillian czuła niemal fizycznie ból i żal, jakie ciążyły tej kobiecie od wielu lat, odkąd doświadczyła czegoś tak bolesnego, że do tej pory nie mogła się z tym pogodzić ani uporać. To był całkiem normalny dzień, ojciec pracował w swoim warsztacie na podwórku za domem, ja akurat przyszedłam ze szkoły i zaraz pobiegłam do niego. Zobaczył mnie, wyprostował się, uśmiechnął się do mnie i upadł. Tak po prostu upadł. I potem umarł w szpitalu. Kilka godzin później.

Tara niespokojnie poruszyła rękami.

- Cholera, powinnam była pomyśleć o papierosach. Tak bym teraz zapaliła. Szlag by to trafił!

Jej ból zamieniał się we wściekłość, i to błyskawicznie. Gillian poczuła strach. I tak cały czas miała wrażenie, że Tara stała się czymś w rodzaju emocjonalnej beczki z prochem. Nigdy jej takiej nie знаła. Tara zawsze sprawiała wrażenie zrównoważonej i rzeczowej. Widocznie była to jej perfekcyjna maska od lat. Zawsze elegancko ubrana, z nienagannym makijażem, dobrze ostrzyżonymi i ułożonymi włosami opanowana, chłodna i pełna dystansu pani prokurator. Kobieta, która we wszystkich życiowych sprawach kierowała się zawsze rozumem i podejmowała nader racjonalne decyzje.

„Czy kiedykolwiek widziałam ją zdenerwowaną albo wyprowadzoną z równowagi?” zastanawiała się Gillian. Przypomniła sobie sytuację, która miała miejsce całkiem niedawno: kiedy opowiedziała Tarze o przeszłości Johna. I Tara nie zareagowała jakoś wyjątkowo emocjonalnie, jak można byłoby się spodziewać po niejednej kobiecie, choć oczywiście ją to poruszyło. Może tu tkwił problem? *Gdybym tylko wiedziała!*

- Tara powiedziała Gillian. Jestem twoją przyjaciółką. I cokolwiek się stało...

- Daruj sobie przerwala zimno Tara. Ty *byłaś* moją przyjaciółką, Gillian. Dawniej. Ale już na samym początku rozczarowałam się co do ciebie. Jesteś trochę jak moja matka, a to jest najgorsze, co w ogóle mogę powiedzieć o człowieku. Moja matka była miłą, towarzyską osobą i sądzę, że nikt by nie pomyślał, że jest zdolna do czegoś złego. Każdy ją lubił.

- Twoja matka... nie była taką miłą i sympatyczną osobą, za jaką wszyscy ją brali? spytała Gillian. Poczula teraz wyraźnie, że taśma się obluzowała. Najchętniej zaczęłaby szarpać ramionami, opanowała się jednak. Jak długo Tara miała w swoim zasięgu nóż i pistolet, Gillian, nawet gdyby uwolniła ręce, była na przegranej pozycji.

- Moja matka była słaba. Długo tego nie zauważałam, bo to mój ojciec dawał jej siłę. Ale kiedy umarł, matka pokazała swoją prawdziwą twarz. Z dnia na dzień stała się po prostu beczącą sierotą. Nie potrafiła tego, nie potrafiła tamtego. Za to stale narzekała na nerwy i na zdrowie. Mój ojciec zawarł ubezpieczenie na życie, dzięki któremu mogliśmy na początku jakoś związać koniec z końcem, ale czy myślisz, że moja matka wykorzystywała ten czas, żeby poszukać sobie jakiejś pracy? Żeby zrobić cokolwiek, by jakoś dalej żyć, utrzymać się i wychować córkę? Nie, ona tylko siedziała w kącie, wypłakiwała sobie oczy i lamentowała, że nie mamy za co żyć. A ja miałam osiem lat! Nie mogłam jej pomóc. Przecież to mnie przerastało.

- Ale w końcu jakoś...

- W końcu jakoś stanęliśmy na nogi, to masz na myśli? Tara skinęła głową. Tak, jakoś stanęliśmy. Kiedy matka wreszcie przestała beczeć i rozpaczać, przyszedł jej do głowy genialny pomysł. Właściwie klasyczne rozwiązanie dla kobiety takiej jak ona. Złapała sobie następnego faceta. Nie potrafiła żyć bez mężczyzny. A nie wyglądała wtedy źle. Miała trzydzieści pięć lat i była całkiem atrakcyjna. Mogła przebierać wśród mężczyzn. Miłych, sympatycznych mężczyzn.

Tara sięgnęła po nóż, którym jeszcze przy samochodzie przecięła taśmę krępującą kostki Gillian. Powoli przejechała nim wzdłuż kciuka aż do palca wskazującego prawej ręki Gillian zobaczyła, że z cienkiej linii nacięcia zaczęła płynąć krew. Na razie powoli.

- Ale ona wybrała Teda Roslina. Prawdopodobnie dlatego, że on najgorliwiej o nią zabiegał i przypochlebiał jej się jak mógł za pomocą swoich sztuczek. Robił wszystko, żeby czuła się przy nim fantastyczną kobietą. Ale fakt, że on sam nie miał nic, nic sobą nie reprezentował i w ogóle był nikim, już mojej matki nie interesował. Była nim wprost zachwycona. No i tuż przed moimi dziewięcymi urodzinami się pobrali.

Krew płynęła z cienkiego nacięcia coraz intensywniej.

- Ale wkrótce potem moja matka srodze się rozczarowała. Myślę, że to Ted Roslin miał dobry połów, a nie ona. Dom należał do niej i Ted mógł zająć warsztat mojego ojca, który zawsze całkiem nieźle prosperował. Ale moją matką Ted nie interesował się wcale, wbrew temu, co tak dobrze udawał przed ślubem. Ona go kompletnie nie ruszała. Nie leciał na nią. Czasami słyszałam, jak go niemal błagała,

żeby ją wziął w ramiona. Stale chciała z nim spać, a on stale znajdował jakieś wymówki. Po prostu nie miał na nią ochoty.

- Dlaczego? spytała Gillian. Była przecież młoda i ładna...

- On nie przepadał za kobietami przerwała Tara. Rozumiesz?

- Och rzekła Gillian. Ale... w końcu lat siedemdziesiątych homoseksualista mógł przecież już dość jawnie... To znaczy, mam na myśli, że nie musiał się maskować i żenić...

Znowu jej przerwano.

- On za facetami też nie przepadał wyjaśniła Tara. Z zadowoleniem przyglądała się krwi, która teraz ciekła po jej ręce coraz silniejszym strumieniem.

- On przepadał za małymi dziewczynkami dokończyła.

Na szczęście drogi na północy kraju były już czarne i całkowicie przejezdne. Jechali dość szybko i bez zakłóceń. Dzień kończył się powoli, zapadał zmrok, a John chciał dotrzeć do Manchesteru wczesnym wieczorem. Jeszcze od siebie zadzwonił do informacji i znalazł w Manchesterze dwie osoby o nazwisku Lucy Caine. Brakowało drugiego członu nazwiska, był jednak pewien, że jedna z tych kobiet jest matką Tary. Tylko dwa adresy. To jeszcze było do zrobienia.

Na siedzeniu pasażera obok niego siedział Samson Segal, zdenerwowany, ale zarazem pełen ulgi, że John pozwolił mu z sobą jechać. Ogarnięty lękiem i niepokojem, bo nie miał pojęcia, jak się to wszystko zakończy. Po niezbyt sympatycznej rozmowie z Christy McMarrow w Scotland Yardzie John pojechał natychmiast do swojego mieszkania, żeby wziąć szybki prysznic, ustalić adres Lucy Caine i wyruszyć do Manchesteru. Być może mylił się całkowicie, ale ponieważ Manchester był jego jedynym punktem zaczepienia, postanowił się tego trzymać. Tara Caine wychowała się tam. Może jeszcze z czasów dzieciństwa wiedziała o jakichś możliwościach ukrycia się w samym Manchesterze i w jego okolicy. Jeśli rzeczywiście upatrzyła sobie Gillian na kolejną ofiarę i może także zdawała sobie sprawę, że już ją ścigano, to z pewnością będzie szukała jakiegoś bezpiecznego miejsca.

Samson czekał na niego w napięciu i zasypał go pytaniami, ale John przerwał mu natychmiast.

- Czy dzwonił pan do Gillian? I zostawił na jej sekretarce ostrzeżenie?

Samson zbladł.

- Tak...

- To było lekkomyślne, Samson. Bardzo lekkomyślne. Gillian i prokurator Caine znikły. Jest bardzo możliwe, że prokurator Caine była wczoraj w Thorpe Bay, a jeśli tak, to prawdopodobnie z Gillian. Można tylko mieć nadzieję, że Caine nie odsłuchiwała tej wiadomości. Inaczej kłopoty, w których tkwi teraz Gillian, będą jeszcze większe.

- Dlaczego? spytał Samson przerażony.

John był zdenerwowany. Nie powinien był zostawiać Samsona samego. Ten człowiek miał wyjątkowy talent do robienia tego co niewłaściwe i w dodatku w niewłaściwym momencie.

- Jeżeli Tara Caine jest rzeczywiście niebezpieczna, a w tej chwili musimy przyjąć, że tak jest, to szanse Gillian, żeby wyjść z tego cało, będą większe, o ile Caine będzie przypuszczać, że Gillian o niczym nie wie. Jak tylko Gillian nabierze podejrzeń, Caine będzie w niej widzieć zagrożenie.

- Chciałem ją ostrzec. Myślałem, że...

- Ale tego nie można robić, zostawiając wiadomość na sekretarce. Nie ma pan przecież pojęcia, kto ją odsłucha.

Samson wyglądał tak, jakby błyskawicznie pogrążył się w ciężkiej depresji.

- Ja zawsze robię wszystko źle! powiedział z rozpaczą.

Rzeczywiście tak jest miał ochotę potwierdzić John, ale zrezygnował. Dodatkowe dobijanie Samsona nic w tej chwili nie dawało.

Kiedy John oświadczył, że wyjeżdża na dwa dni przynajmniej dwa, jak sam dodał Samson nagle drgnął.

- Pojadę z panem!

- Nie, poczeka pan tutaj.

- Chcę pojechać z panem. Proszę. Nie zrobię nic, nie uzgodniwszy tego z panem. Ale nie mogę tutaj czekać. Zwariuję!

John się wahał, ale w końcu ustąpił. Samson narobi mniej głupstw, jeśli będzie pod jego kontrolą. A poza tym mogą się zdarzyć sytuacje, w których dobrze byłoby mieć kogoś koło siebie.

- Okay. Ale będzie pan trzymał buzię na kłódkę, rozumiano? I nie zrobi pan nic na własną rękę.

- To już obiecałem. A... dokąd właściwie jedziemy?

- Do Manchesteru. Tara Caine urodziła się tam i wychowała. To właściwie czysta teoria i narodziła się chyba tylko z rozpacz i bezradności, ale jeśli Caine będzie czuła, że jest przyparta do muru, to może spróbuje uciekać w miejsce, które dobrze zna. Czyli w swoje rodzinne strony.

- Do rodziców? spytał Samson.

- Najwyraźniej miała tylko matkę odparł John. I ona właśnie dziś rano została znaleziona przez manchesterską policję. Zamordowana, prawdopodobnie przez tego samego sprawcę, który szaleje tutaj. Możliwe, że jest to Tara Caine.

Samson otworzył szeroko usta i po chwili jęknął:

- O dobry Boże...

- Nie ma czasu do stracenia rzekł John.

Kiedy wieczorem byli już blisko Manchesteru, Samson, który cały czas milczał, najwyraźniej pogrążony w ponurych rozmyślaniach, nagle spytał głośno:

- Co zrobimy najpierw, kiedy będziemy na miejscu?

- Poszukamy domu Mrs Caine odparł John. A potem zobaczę, czego będziemy się mogli dowiedzieć. Dookoła na pewno są sąsiedzi, którzy tę rodzinę dobrze znali. Może są jakieś miejsca, w których Tara bywała częściej, bo lubiła tam chodzić. Jest możliwe, że właśnie tam uciekła z Gillian.

Samson skinął głową. John spojrzał na niego. Samson był zatroskany i jednocześnie bardzo niespokojny.

„On kocha Gillian pomyślał John. I potwornie się o nią boi”.

- Myśli pan, że mamy jakąś szansę? spytał Samson.

- Wolałbym szukać igły w stogu siana przyznał John, ale zaraz dodał krzepiąco: Głowa do góry, Samson. Nie mamy aż tak złych kart.

Nie powiedział tego głośno, ale naprawdę pomyślał: *Czy w ogóle mamy jakąś szansę?*

W jednym mieli szczęście: pierwszy adres na niezbyt ciekawym przedmieściu Manchesteru okazał się tym właściwym. Dom z cegieł, niewielkie podwórko. Ledwo czytelny szyld obwieszczał, że można tu było kupić albo naprawić rower. Dla Johna interesujące było tylko jedno: policyjna biało-czerwona taśma blokująca wejście do domu, którą przeciągnięto od bramki do ogródka i dalej wzdłuż muru. Było już wiadomo, że chodzi o miejsce, w którym znaleziono martwą Lucy Caine.

Zaparkował samochód tuż obok wielkiej zasy na skraju drogi. Wysiedli obaj. Było wprost lodowato zimno, za to latarnie uliczne dawały choć trochę światła. John właściwie nigdy się nie modlił, ale wobec możliwej perspektywy długiej jazdy jeszcze tej nocy skierował w stronę nieba krótkie zdanie: *Proszę, Boże, niech tylko nie zacznie znów padać!*

- Co robimy? spytał Samson. Spojrzał na dom otoczony trzepoczącą na wietrze taśmą. Czy to jest ten dom...?

- Tak odparł John. To właśnie ten dom.

Dom, w którym żyła i zmarła matka prokurator Caine. Czy to dom, w którym Tara Caine spędziła dzieciństwo? Mógł tylko mieć taką nadzieję. Bo tylko wtedy zdoła się czegokolwiek dowiedzieć od sąsiadów.

Było tuż po szóstej. W większości domów naokoło w oknach świeciło się światło. Ich mieszkańcy z pewnością byli już u siebie, choć zapewne jeszcze nie zasiedli do kolacji. Właściwie całkiem dobry czas na to, co zamierzał zrobić John.

- Zrobimy rzecz następującą powiedział do Samsona. Zagramy w otwarte karty, ale nie będziemy nic mówić o Gillian ani też o tym, że Tara jest prawdopodobnie bardzo niebezpieczną osobą. Powiemy, że jesteśmy jej przyjaciółmi z Londynu i że jej szukamy. Fakt, że dzisiaj znaleziono jej zamordowaną matkę, na pewno odbił się w tej okolicy głośnym echem.

Takie rzeczy szybko się rozchodzą. Tara znikła, a my się o nią bardzo martwimy. I chcemy się dowiedzieć, czy ktoś tutaj zna jakieś miejsce, w którym ona mogła się schronić. Wszystko jasne?

- Ja... jasne wyjąkał Samson. Był roztrzęsiony, blady i zdenerwowany i John pomyślał, że chyba nie za bardzo nadaje się do takiego zadania. Zastanawiał się, czy nie lepiej było zostawić go w aucie i kazać mu tam czekać, aż on, John, załatwi to sam. Ale z drugiej strony, może trzeba będzie zastukać do wielu domów, zanim jeśli w ogóle uda się zdobyć jakąś informację, a czas naglił.

- Da pan radę powiedział John krzepiąco. Niech pan uważa, zajmie się pan tą stroną ulicy. Ja zacznę zaraz od najbliższych sąsiadów i potem przejdę do następnych domów.

- Mam się przedstawiać prawdziwym nazwiskiem?

- Pewnie. Przecież pościg za panem nie jest ogłoszony w całym kraju. Niech się pan przedstawia jako Samson Segal z Londynu i dobry przyjaciel Tary. Wszystko jasne?

- Jasne potwierdził Samson.

John skinął głową i przeszedł na drugą stronę ulicy. Spojrzał na dom Lucy Caine-Roslin. Ciemne, puste, martwe okna. Czy Tara Caine zabiła własną matkę?

Po krótkim wahaniu wszedł do pierwszego domu. Nie było czasu do stracenia.

Brnęła powoli w głębokim śniegu. Ciemność zapadła już dawno temu, niebo było całkowicie zachmurzone i nie należało liczyć na światło księżyca czy choćby gwiazd, ale białe pola i łąki dawały przynajmniej jaśniejszą poświatę. Za to zaczął wiać wiatr, była więc nadzieja, że może wkrótce rozpędzi chmury.

Była jedynym człowiekiem w tej zupełnie opustoszałej okolicy. Świadomość tego dawała jej poczucie spokoju. Niemal bezpieczeństwa. Kciuk, w który się zacięła, bolał coraz bardziej. Lubiała ten ból i lubiała się ranić. Fascynował ją widok płynącej krwi. Uwielbiała jej kolor i ciepło. Uwielbiała też pulsowanie, które pojawiało się w zranionej części ciała. Jak uderzenia serca. Jak gdyby serce zaczęło wędrować i szukać sobie innego miejsca w ciele. Na przykład w kciuku. Ale mogło to być całkiem inne miejsce. To miejsce wyznaczała ona sama. Mogła umiejscowić własne serce nawet w stopie.

Przeważnie kaleczyła się w nogi. Dlatego stale nosiła garnitury ze spodniami, nigdy nie wkładała spódnicy. Nie mogła już pokazać swoich nóg.

Wiedziała, że nie zabłądzi. Dobrze знаła tę okolicę. Mogła tu chodzić z zawiązanymi oczami. Choć teraz była bardziej wyczerpana, niż się spodziewała. Dzień był bardzo długi, a poprzedniej nocy też nie spała, jechała cały czas na północ, a w końcu utknęła w koszmarnym korku spowodowanym wypadkiem ciężarówki.

Tuż po pierwszej zjechała na parking musiała zrobić przerwę. Zdawała sobie sprawę, że nie będzie w stanie jechać dalej, jeśli przynajmniej trochę nie wypocznie. Choć oczywiście było to niebezpieczne. Gillian leżała pod kocem w bagażniku i nie trzeba było mieć zbyt wielkiej fantazji, żeby rozumieć, że cały czas rozmyślała nad ucieczką. Ale była tak dobrze związana, że o własnych siłach nie mogła się wydostać. I auto było przecież zamknięte. A ona wyciągnęła się na przednich siedzeniach, próbując się choć trochę uspokoić i odpocząć. Nie mogła zasnąć, na to była za bardzo zdenerwowana, zbyt niewygodna była też pozycja, w której leżała. Ale przynajmniej trochę odpoczęła.

Zanim ruszyła w dalszą drogę, wysypała do pojemnika na śmieci zawartość torebki Gillian. Wyłączyła też jej telefon i wrzuciła go do innego pojemnika. Przypuszczalnie nikt go już nie znajdzie.

Wędrówka do chaty okazała się bardzo męcząca, droga powrotna również. Ale przypominały jej się teraz polne ścieżki, którymi przed laty biegała tyle razy w letnie wieczory. Tam i z powrotem, tak lekko i beztrąsko. Życie w chacie było dość trudne i prymitywne, ale zawsze cieszyło ją niezmiernie. Przyroda. Wolność. Była wtedy gotowa bez wahania oznajmić każdemu, że świat jest piękny, a życie dobre.

Źle obliczyła, jak długo będzie trwać dojście do chaty z głównej drogi przy takiej ilości śniegu. Podobnie jak nie sądziła, że będzie musiała tak daleko zostawić samochód. Itak było to względnie blisko chaty, co graniczyło z cudem. Miała też

olbrzymie szczęście, że w Peak District przynajmniej główne drogi były regularnie odśnieżane. I to nawet tutaj, w północnej części parku.

Zatrzymała się na chwilę, próbując zawinąć w szalik przynajmniej dolną część twarzy. Panowało przenikliwe zimno, a ostre powietrze przy każdym oddechu aż kłuło w płucach. Dobry Boże, ależ to wszystko było męczące! Wydawało jej się, że od południa przybyło śniegu, co było zwykłym złudzeniem, bo przecież od tego czasu ani razu nie padało. Prawdopodobnie była u kresu sił.

Samochód był z pewnością niedaleko. Już sama myśl o tym, że usiądzie na miękkim siedzeniu, włączy silnik, a wraz z nim ogrzewanie, dodała jej sił. Nie może teraz osłabnąć. Choć oczywiście byłoby rozsądniej zaczekać do jutra. Kilka godzin snu działałoby cuda. Ale w którymś momencie nagle poczuła dziwny lęk, że nie dożyje jutrzejszego dnia. W chacie było lodowato. Temperatura na zewnątrz wydawała się spadać z każdą chwilą, a częściowo zbutwiała budowla nie dawała schronienia. Cały czas istniało ryzyko zamarznięcia w czasie snu. Wyprowadziła więc Gillian jeszcze raz na zewnątrz, żeby mogła się w końcu wysikać w krzakach, potem okleiła jej znów kostki, zamknęła bardzo starannie okiennice i drzwi i ruszyła w drogę. Reszta była jasna: Gillian zamarznie albo umrze z głodu, choć bardziej prawdopodobne było, że zamarznie, zanim w ogóle poczuje głód. Zostawiła jej skromne zapasy dwie kanapki i trochę wody, choć zrobiła to głównie dlatego, żeby nie nieść tego z powrotem. Niewiele to da. Z powodu rąk związanych na plecach Gillian nie będzie w stanie jeść. A gdyby nawet udało jej się uwolnić, to i tak nie będzie miała żadnej szansy, żeby wyjść z chaty.

Niestety, tego nie można było zmienić. Gillian musiała umrzeć, bo stała się dla niej zagrożeniem.

Kciuk pulsował. Pulsowała cała ręka. I to było dobre, bo oznaczało życie i ciepło. W jej ciele też pulsowała krew. Jak długo się to działo, wszystko było w porządku. Bo wtedy ona żyła, oddychała i robiła to, co słuszne.

Wszystko, dzięki Bogu, wreszcie zaczęło iść swoim zwykłym trybem. Chociaż popełniła ogromny błąd: gdy jechały do domu Gillian, wymieniła niebacznie nazwisko agenta. To błąd, którego z początku sama nie zauważyła. Gillian zaczęła nagle zdradzać jakiś olbrzymi niepokój i napięcie... Ale to mogło być złudzenie. Przyczyny mogły być też inne: Gillian była niespokojna i niepewna z powodu całej zaistniałej sytuacji. Pełna lęku przed wyruszeniem w nieznane. Chciała uciec do hotelu, żeby się tam ukryć przed kimś, kto tak naprawdę był tylko fantomem. Prawdopodobnie obawiała się wszystkich uczuć, które opadłyby ją w czasie samotnych spacerów nad morzem, i rozmyślań nad swoim życiem.

A Tara myślała wtedy: Okay, jeśli postanowisz, że zostajesz w swoim domu, to jest mi już wszystko jedno. Najważniejsze, żebyś wreszcie znikła mi z oczu.

Rzeczywiście nie miała wtedy zamiaru ponownie atakować Gillian. To nie było tak samo jak z tymi dwiema starymi kobietami.

Może znała ją zbyt dobrze. Może Gillian była jej zbyt bliska. A może była to jakaś przesądna obawa, która ją wręcz paraliżowała. Z Carlą Roberts i Anne

Westley wszystko poszło tak łatwo.

Problemy, które pojawiły się w przypadku Gillian, wydawały się czymś w rodzaju ostrzeżenia: zostaw ją w spokoju!

Ale przecież możliwe, że ogóle nie powinna się uciekać do pojęcia *przesąd*. Było faktem, że z Gillian dwa razy się nie udało. I dwa razy mogło się to źle skończyć dla Tary. Mądry, kto potrafi spostrzec, że właśnie jest o krok od przebrania miary.

Nagła zmiana zachowania Gillian w drodze z Londynu do Southend wzbudziła nieufność i podejrzliwość Tary. I nakazała jej daleko posuniętą ostrożność. *Nie spuszczaaj jej z oczu* radził jej wewnętrzny głos i dlatego Tara poszła za nią do domu. Tam Gillian wydawała się spokojna jak zwykle, więc Tara przestała się obawiać, że ona może stanowić dla niej jakieś zagrożenie. Wydawało jej się, że uległa jakiemuś złudzeniu. Ale na szczęście w tym momencie zadzwonił ten śmieszny dziwak. Jak on mógł być taki głupi? Trąbił swoje ostrzeżenie głośno na całe mieszkanie, nagrywając je na sekretarkę.

Jasne, że Gillian chciała udąć, że to bagatelizuje. Ale to już nic nie dało, jej przeciwniczka była na to zbyt przebiegła.

I podczas długiej jazdy do Manchesteru myślała w kółko o dwóch sprawach: w jaki sposób Samson Segal zdołał dojść do tego, że ona może stanowić zagrożenie dla Gillian? I kto działał razem z nim? Bo przecież użył słowa *my*.

I dlaczego Gillian wcześniej nabrała podejrzeń? Co się stało?

Odpowiedź na drugie pytanie przyszła jej do głowy na wysokości Northampton. W myślach jeszcze raz prześledziła przebieg całego popołudnia aż do chwili, kiedy dostrzegła zmianę w zachowaniu Gillian. I nagle doznała olśnienia. Chodziło o nazwisko agenta. Luke Palm. Gillian przecież nigdy go nie wymieniła. Tara usłyszała je tego wieczoru, kiedy Palm niespodziewanie wrócił i Gillian głośno go zawołała.

Tamtego dnia wszystko szło źle. Tara wraz z zapadnięciem zmroku przyjechała do Thorpe Bay. Miała zamiar po prostu zadzwonić do drzwi domu Gillian. Tak jak to zrobiła u Carli Roberts. Gillian wpuściłaby ją i tym samym jej los byłby przypieczętowany. Ale Tara zauważyła czyjeś auto zaparkowane przed domem i zaczęła podejrzewać, że ktoś przyjechał do Gillian w odwiedziny, co jak się okazało, było prawdą. Tara musiała czekać całą wieczność, aż gość, o którym się później dowiedziała, że był pośrednikiem nieruchomości, pożegnał się. Gillian poszła potem do ogrodu, zostawiwszy szeroko otwarte drzwi, a Tara wykorzystała ten moment i wśliznęła się do środka. Zrobiła to, mimo że w tej chwili usłyszała ostrzeżenie swego wewnętrznego głosu: *Zostaw to! To zbyt ryzykowne*. Mimo wszystko czekała na Gillian w kuchni, ale wtedy nagle zgasło światło, Gillian wpadła w panikę, wybiegła, a potem niespodziewanie wrócił Luke Palm. Tara zdążyła uciec do ogrodu i uciekając, musiała zrobić wielki łuk, żeby się dostać do swojego samochodu.

Na pierwsze pytanie nie znalazła odpowiedzi. Jakie niebezpieczeństwo groziło jej ze strony dziwnego sąsiada Gillian? Co, do diabła, sprawiło, że właśnie on nabrał wobec niej jakichś podejrzeń? Tu nie mogła się dopatrzeć żadnego błędu ze swojej strony.

Wszystko jedno. Zajmie się tym potem. Na razie wszystko było w porządku. Jeśli tylko zapanuje nad nerwami, to wszystko dobrze się skończy.

Zobaczyła samochód akurat w tym momencie, kiedy opanowało ją przemożne wręcz pragnienie, by osunąć się w śnieg i odpocząć za wszelką cenę. Auto stało na skraju szosy jak mały, ciemny cień. Wiatr rzeczywiście rozgonił chmury, i to na tyle, że mogła już dostrzec jedną czy dwie gwiazdy. Ale także dlatego robiło się coraz zimniej. Jeszcze parę godzin i zapanuje trzaskający mróz. W duchu pogratulowała sobie decyzji rezygnacji ze snu w chacie.

Zaczęła grzebać w torbie. Była to duża torba, w której często nosiła akta sądowe. Kluczyki wrzuciła do niej przed wyruszeniem z chaty wczesnym popołudniem. Gdzieś muszą być...

Znalazła wszystko, co tylko możliwe, ale nie kluczyki. Puderniczka. Portfel z pieniędzmi. Książka. Mapa. Paczka chusteczek. Kilka gum do żucia. Paszport.

Kluczyków nie było.

Podeszła bliżej do auta, postawiła torbę na masce i szukała dalej, wyciągając wszystkie *rzeczy* i układając je przed sobą. W końcu namacała jakiś klucz, ale po wisiorku w kształcie serduszka poznała natychmiast, że był to klucz do chaty. To nie były kluczyki do jej samochodu, które wisały na kółku razem z kluczem do mieszkania.

W panice wysypała całą zawartość torby. Wyleciało wszystko, jakaś kartka z notesu, połamane ołówki, pojedyncze monety.

Aż jęknęła.

- Cholera! Cholera jasna!

Wiedziała dokładnie, że wrzuciła klucze do torby. A torba była naprawdę głęboka, nie mogły więc wypaść.

Stała teraz w ten późny zimowy wieczór na dworze, przy lodowatym północnym wietrze i temperaturze, która jak oceniała, wynosiła przynajmniej dwadzieścia stopni mrozu. W samym środku pustkowia opuszczonego przez Boga i ludzi, gdzieś w Dark Peak, obok swojego auta, i nie mogła nim odjechać. Jak okiem sięgnąć nigdzie nie było żadnego domu, żadnej zagrody, nie mówiąc już o całej wsi.

- Okay powiedziała głośno. Co się stało? Ustal to.

Czy zgubiła klucze gdzieś po drodze? W takim wypadku nie było najmniejszej szansy, żeby je znaleźć w głębokim śniegu. Ale nie wierzyła w to. Według wszelkiego prawdopodobieństwa nie miały prawa wypaść z tak głębokiej torby.

Zduśiła w zarodku narastającą panikę. Jej sytuacja była w tej chwili o wiele gorsza, niż gdyby postanowiła zostać w chacie. Stała po prostu wobec bezpośredniego zagrożenia życia. Tym ważniejsze było, żeby nie stracić teraz głowy.

Zrobiła tak jak zawsze, kiedy usiłowała rozwiązać jakiś problem: spróbowała odtworzyć w pamięci sytuacje decydujące o tym, co się stało.

Chata. Związana Gillian na sofie. Ona sama stała oparta plecami o piec. Mówiła. Opowiadała. Obok niej na piecu leżał klucz, którym otworzyła chatę.

Tylko ten klucz?

Zacisnęła oczy i spróbowała odtworzyć w pamięci wnętrze chaty. O Boże, nie tylko klucz, którym otworzyła domek, przecież leżał tam także klucz do jej mieszkania i do samochodu, oba spięte metalowym kółkiem. Te klucze wypadły jej z torby, kiedy wyjmowała zapasy jedzenia, i przypadkowo na nie natrafiła. Położyła je na piecu.

Ale w takim razie musiałaby je zobaczyć, kiedy przed wyjściem brała z pieca klucz do chaty. Nie wzięła przecież jednego klucza, zostawiając dwa pozostałe na piecu.

To oznaczało, że kiedy wychodziła, tych drugich kluczy już tam nie było. Oprócz klucza do chaty nic na piecu nie leżało.

Gillian błagała, żeby Tara pozwoliła jej się wysikać. I przechodziła wtedy obok pieca. Czy w tym momencie chwyciła klucze?

To możliwe. Ależ ona jest podstępna. Rzeczywiście mogło tak być. Oznaczało to także, że Gillian mogła lepiej poruszać rękami, niż zakładała Tara. Zapewne taśma się obluźowała. Prawdopodobnie Gillian szarpała rękami, podczas kiedy ona opowiadała jej o swoim dzieciństwie i młodości spędzonych z takim ojczymem jak Ted Roslin i słuchając, tylko udawała przerażenie.

Tara niemal roześmiała się głośno. To już było rzeczywiście za wiele. Miała w ręku klucz do domku, w którym zamknęła Gillian, i stała obok samochodu, którym nie mogła odjechać. A Gillian z kolei miała kluczyki do samochodu, ale była uwięziona w chacie.

Dobra robota! I sprytnie pomyślane!

Tara, kompletnie wytrącona z równowagi, szarpnęła klamkę i z zaskoczeniem stwierdziła, że drzwi auta były otwarte. Samochód nie był zamknięty. Mogła więc przynajmniej wsiąść do środka. Dzięki Bogu to nie był ten model, w którym drzwi po pewnym czasie zamykały się automatycznie, jeśli kierowca wysiadł i zapomniał ich zamknąć.

Jak najszybciej pozbierała wszystkie rzeczy wysypane z torby na maskę i usiadła na siedzeniu pasażera. W samochodzie panowało lodowate zimno, ale przynajmniej dawał jakieś schronienie przed wiatrem. Odczuła ogromną ulgę. A w bagażniku z tyłu leżał przecież gruby wełniany koc, mogła więc jakiś czas wytrzymać.

Przez chwilę zastanawiała się, czy dałaby radę spać na krótko stacyjkę i w ten sposób uruchomić auto, ale porzuciła tę myśl. Nie miała pojęcia, jak to zrobić, a poza tym wcale nie wiedziała, czy w takim samochodzie było to w ogóle możliwe. I ryzyko, że coś w ten sposób uszkodzi, też było zbyt wielkie.

Znów zaczęła rozważać wszystkie szanse i możliwości. Iść z powrotem do chaty? Odebrać Gillian klucze? Albo może po prostu czekać tutaj w nadziei, że następnego ranka przyjedzie jakiś pług i ją ściągnie?

Jesteś w pułapce, Tara!

Nie, nie jest. Odchyliła do tyłu głowę i odetchnęła głęboko.

Myśleć. Zachować zimną krew. I potem zrobić to, co najwłaściwsze.

To zawsze było jej receptą na wszystko i zawsze prędzej czy później działało.

Ręka bolała ją coraz bardziej, a noc, niosąca z sobą wszystkie lęki całego życia, wydawała się otaczać ją ze wszystkich stron.

John dotarł prawie do końca ulicy i niemal stracił wiarę w powodzenie swojego przedsięwzięcia, w którym nie posunął się ani o krok naprzód. Spotkał się z najróżniejszymi reakcjami. W dwóch mieszkaniach w ogóle nie otwarto mu drzwi, chociaż światło i głosy wskazywały na obecność domowników. W innym stara kobieta nieufnie patrzyła na niego znad łańcucha dodatkowo zabezpieczającego jej drzwi, ale mimo kilkakrotnie powtórzonej prośby Johna wydawała się nie rozumieć, o co w ogóle chodzi. Inni znowu byli agresywni i odpowiadali na zarzuty, których John im w ogóle nie postawił. „Mrs Caine-Roslin? Tak, łatwo teraz mówić: można było zauważyć, że ona od tygodni w ogóle nie wychodziła z mieszkania. Ale co pan sobie myśli, my też mamy własne problemy! I jak ma się dość na głowie przez cały dzień, to nie można w kółko patrzeć na to, co się dzieje z lewej czy z prawej strony. A poza tym Caine ma córkę, czemu ona się nie troszczyła o matkę? Nie można przecież brać sobie na głowę kłopotów innych ludzi! Czy ja tę córkę w ogóle bliżej znam? Nie, w ogóle nie. Widywałem ją czasem, jak tu przyjeżdżała swoim jaguarem, w eleganckich ciuchach. Pewnie uważa się teraz za coś lepszego od nas. Ponoć jest ważną figurą w sądzie w Londynie”.

Niektórzy cieszyli się, że ktoś w ogóle ich odwiedził tego długiego zimowego wieczoru i choć trochę rozproszył ich samotność ci byli gotowi opowiadać wszystko, tylko nie to, co interesowało Johna. Z trudem wysłuchiwał długich historii o czymś życiu, żeby w końcu móc wreszcie nawiązać do tego, co w tej chwili było takie ważne: „To jest bardzo interesujące, rzeczywiście. Ale teraz szukam pilnie córki Mrs Caine-Roslin, Tary Caine. Znał pan ją jako dziecko albo nastolatkę? A może zna pan jakieś miejsce, w którym mogła się teraz schronić?”.

Było jednak kilka osób, które znały Tarę i które mieszkały na tej samej ulicy jeszcze wtedy, kiedy ona mieszkała w domu rodziców. Tym właśnie osobom John zawdzięczał obraz Tary: najpierw ślicznego, ale wątłego dziecka, zawsze cichego i zamkniętego w sobie, a potem młodej dziewczyny, dziwnie odizolowanej od wszystkich, praktycznie nieutrzymującej bliższych kontaktów z nikim, kto mieszkał na tej samej ulicy.

- Zawsze sprawiała wrażenie nieszczęśliwej opowiadała o Tarze pewna starsza dama, która sprowadziła się do Gorton w roku 1981. Jej ojciec zmarł, a matka wyszła po raz drugi za mąż. Ale ten facet, za którego wyszła, był jakiś dziwny. To znaczy, nie żeby jakoś rzucał się w oczy, pił albo się awanturował. Nie, to nie. Przejął warsztat naprawy rowerów po zmarłym Mr Cainie i prowadził dalej ten interes całkiem porządnie. Ale było w nim coś takiego... nie wiem. Nie lubiłam go. Nikt na tej ulicy jakoś go nie lubił.

- A jaki był jego stosunek do pasierbicy?

- Nie wiem dokładnie. Właściwie nie utrzymywałam kontaktów z tą rodziną. Tylko ta dziewczynka zawsze robiła na mnie wrażenie chorej. Chorej na ciele i

duszy.

- A było jakieś miejsce, dokąd ona mogłaby uciec? Żeby się schronić przed jakąś trudną sytuacją rodzinną?

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Możliwe, że było takie miejsce. Ale ja nic o tym nie wiem. Przykro mi. Chętnie bym panu pomogła.

John stał w ciemności na ulicy, trząsał się z zimna i patrzył bezmyślnie na pustą torbę z McDonalda, zwiewaną przez wiatr po chodniku. W jego głowie powoli powstawał prawdziwy obraz Tary Caine i jej życiowej drogi, która zaczęła się tutaj, w tej niezbyt ciekawej społecznie dzielnicy na przedmieściu Manchesteru i prowadziła przez studia uniwersyteckie aż do osiągnięcia bardzo wysokiego statusu zawodowego i społecznego w Londynie. Kto rozpoczynał swoje życie zawodowe w dzielnicy takiej jak Gorton, miał wyjątkowo kiepską pozycję startową. Tara musiała dysponować ogromnym potencjałem intelektualnym, ambicją i dyscypliną, żeby zająć tak daleko.

Ale w jej życiu wydarzyła się jakaś ogromna tragedia, oprócz śmierci ojca. Była dzieckiem, kiedy on zmarł. Ojczyzna, jak się wydawało, nikt nie lubił, choć właściwie nikt nie mógł mu zarzucić czegoś konkretnego. I życie tej rodziny po śmierci ojca Tary też zdawało się biec dalej swymi zwykłymi torami. Mieli dom, a z warsztatu rowerowego mogli się wszyscy utrzymać.

A mimo to Mrs Caine pod koniec jej życia znaleziono martwą w mieszkaniu.

Jej córka prawdopodobnie zabiła czworo ludzi.

Robiła na mnie wrażenie chorej. Chorej na ciele i duszy.

To jednak nie mówiło mu nic o tym, gdzie Tara mogła przebywać dziś. I gdzie była Gillian.

Nie posunął się ani o krok naprzód. Czas mijał, a on nie był ani odrobinę bliższy rozwiązania tej sprawy. Nie wiedział nawet, czy był na właściwym tropie. Tylko fakt, że Tara wychowała się w Manchesterze, przywiódł go do tego miasta. A przecież mogło to być zupełną pomyłką. Obie kobiety mogły być w tej chwili na drugim końcu Anglii.

Podniósł głowę i dostrzegł jakąś postać na drugiej stronie ulicy. Samson.

Machał rękami w jego stronę, wyraźnie podniecony. John w kilku krokach był koło niego.

- Co tam?

Samson aż się jękał ze zdenerwowania.

- Ja... ja kogoś znalazłem. To może coś być. Starszy pan. Znał rodzinę

Caine'ów od wielu lat. On... Ach, niech pan idzie ze mną.

Poszli obaj szybkim krokiem ulicą w dół. Dom, przed którym zatrzymał się Samson, stał nieco poniżej domu Caine'ów, po przeciwnej stronie ulicy, i sprawiał wrażenie zaniedbanego i opuszczonego, podobnie jak większość domów tutaj. John poczuł, że opuszcza go resztką otuchy. Miał tylko nadzieję, że nie zastanie tu znów starego człowieka z mocno zaawansowaną sklerozą, który będzie opowiadał jakieś historie niemające żadnego związku z ich sprawą.

Mężczyzna mieszkał na pierwszym piętrze i czekał już na nich w otwartych drzwiach. Przynajmniej pod jednym względem John poczuł się uspokojony: mężczyzna zupełnie nie sprawiał wrażenia kogoś cierpiącego na sklerozę. Patrzył na nich z sympatią i uwagą. To była twarz mądrego, doświadczonego przez życie człowieka.

„Intelektualista pomyślał John. Dzięki Bogu”.

Podał mu rękę.

- John Burton. Jestem przyjacielem Tary Caine. Bardzo się o nią martwię, ale o tym Mr Segal z pewnością już panu opowiedział.

- Angus Sherman przedstawił się starszy pan. Proszę, wejdźcie panowie do środka.

Po chwili siedzieli na staroświeckiej sofie w ciepłym salonie, każdy ze szklaneczką sherry w rękę. Mieszkanie było pedantycznie wysprzątane, choć nosiło ślady ubóstwa: stare dywany, nieliczne, tanie i najprostsze meble. Ale za to było tu mnóstwo książek.

Mr Sherman powiedział, że był świadkiem dzieciństwa i młodości Tary.

- Byłem dobrym znajomym jej ojca. To był bardzo sympatyczny człowiek. On i Tara byli bardzo z sobą związani, a jego przedwczesna śmierć stała się dla tej dziewczynki prawdziwą tragedią. Kto by pomyślał... Oł, dostał ataku serca, przewrócił się i kilka godzin później umarł w szpitalu. Nawet nie miał jeszcze czterdziestu lat!

- Mr Sherman, musimy wiedzieć, czy.. wtrącił John. Angus Sherman skinął głową.

- Oczywiście. Przyszło mi coś do głowy, kiedy pański znajomy wskazał ruchem głowy Samsona, który przebierał nogami z niecierpliwości jeszcze w drzwiach pytał o coś, co mogłoby być schronieniem dla Tary. I wtedy przyszła mi do głowy chata.

- Chata?

- Tak. W Peak District. Dość wysoko, w północnej części parku, gdzie są tylko wrzosowiska i gdzie praktycznie nikt nie mieszka. Oni tam mieli chatę.

- Tam, pośród tego pustkowia?

- Tak, tam, pośród tego pustkowia. Ike Caine, ojciec Tary, zbudował ją własnoręcznie. Taki rodzaj domku z bali. Zaraz po ślubie z Lucy. To miał być prezent dla niej.

- I Tara lubiła tam jeździć?

- Jak tylko pogoda na to pozwalała, cała rodzina jeździła tam na każdy weekend. Tara kochała te wyjazdy i pobyty w chacie. Czasami ostrzegałem Ike'a. Chata była zbudowana całkiem nielegalnie, a oni nigdy nie wystąpili o wydanie zezwolenia na budowę. Ale Ike tylko się śmiał. *Angus, żaden człowiek nie będzie sobie tym zawracał głowy* mówił do mnie. *Nie mamy tam wody ani prądu. Mała chata w lesie. Wygląda prawie jak paśnik dla zwierzyny. Myślę, że nikt jej nawet nie zauważy.*

I rzeczywiście nigdy nie było z tym problemów. W każdym razie nie za życia Ike'a.

- Sądzi pan, że ta chata jeszcze stoi? spytał John. Angus w zamyśleniu pokiwał głową.

- Taaa... nie wiem. Ike zbudował ją w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych. W 1978 umarł. Potem, jak mi się wydaje, rodzina Caine'ów rzadko tam jeździła. Ale właściwie... Może jeszcze chyba stać, prawda?

Trzydzieści lat. John miał wątpliwości. Ale była to jakaś iskra nadziei. I szansa. Jedyna szansa.

- Nie wie pan, czy Tara potem tam jeździła? spytał. Angus spojrzał na niego z wyraźnym żalem.

- Nie wiem dokładnie. Po śmierci Ike'a coraz bardziej traciłem z nimi kontakt. Ten człowiek, za którego wyszła Lucy.. No, nie mogę powiedzieć o nim nic złego, ale nie był to ktoś, do kogo czułem sympatię. I Tara nie była już ta sama co kiedyś. Przedtem, jeszcze zanim umarł jej ojciec, była wesołą, otwartą, pełną życia dziewczynką. Często się śmiała i zawsze miała tyle do powiedzenia. Ale potem stała się milcząca i zamknięta w sobie. Jakoś odizolowała się od całego otoczenia. Zrobiła się jakaś taka nieprzystępna dla każdego. Dlatego potem właściwie już nic nie wiedziałem o ich życiu. Dopóki nie miała prawa jazdy, nie mogła jeździć tam sama. A na rower to było za daleko. Czy później tam bywała... nie mam pojęcia.

- A wie pan, gdzie się znajduje ta chata? spytał John.

Angus wstał, wziął z regału jakąś książkę i zaczął w niej czegoś szukać.

- Książka o Peak District... Gdzieś tu powinna być i mapa... Niestety, mogę to panom pokazać tylko bardzo ogólnie... Mniej więcej... O, jest!

Położył książkę na stole. Trzej mężczyźni pochylili się nad nią. Na stronie, na której Angus otworzył książkę, była czarno-biała mapa parku Peak District. Sherman namalował ołówkiem małe kółko między liniami.

- Tutaj powiedział. Jeśli dobrze zrozumiałem Ike'a, chata musiała się znajdować właśnie tutaj.

- Hm John był pełen wątpliwości. To, co na mapie było tylko małym kółkiem, w rzeczywistości oznaczało ogromny obszar składający się z wrzosowisk, wzgórz i lasów. Na przeczesanie takiego terenu trzeba by wielu dni.

Angus wskazał ołówkiem czarną kreskę.

- To jest lokalna droga. Zaczyna się prawie zaraz za Manchesterem. Właśnie tędy musieli jeździć Caine'owie, kiedy udawali się do chaty. Choć nie prowadzi ona wprost do chaty. Ostatni odcinek przebiegał nieutwardzoną polną drogą. Gdzie dokładnie odbija od tej drogi, tego nie wiem.

- Prawdopodobnie jest tam mnóstwo polnych dróg wyraził swoje przypuszczenie John. Przetarł rękami piekące ze zmęczenia oczy.

Angus popatrzył z niepokojem w okno.

- Ale wie pan co, wiara w to, że tych warunkach dotrze pan do tej chaty, graniczy z iluzją. Tam leży pewnie z metr śniegu. Dojechać tam samochodem to niemożliwe. Ta lokalna droga jest może odsnieżana, ale boczne drogi albo te polne nigdy w życiu.

John i Samson popatrzyli na siebie. Sherman miał z pewnością rację.

- Ale w takim razie rzekł John Tara też nie mogła dotrzeć do chaty. W każdym razie nie autem.

- Na pewno nie potwierdził Angus.

Tu do rozmowy po raz pierwszy włączył się Samson. Ze zdenerwowania znowu się jąkał.

- Ale w takim razie mu... musielibyśmy natknąć się gdzieś na j... jej auto. Stałoby gdzieś przy drodze.

- Słusznie rzekł John i wstał. I w śniegu będą też ślady butów. Spróbujemy więc. Bardzo panu dziękujemy, Mr Sherman. Bardzo nam pan pomógł. Zaraz ruszamy w drogę.

Angus także wstał.

- Proszę, niech pan weźmie tę książkę. Żeby mógł pan znaleźć właściwą drogę do Peak District.

John wziął książkę, mówiąc:

- Dziękujemy. Na pewno ją zwrócimy. Nie wiem, jak byśmy sobie bez pana poradzili.

Stary człowiek się uśmiechnął.

- Zrobiłbym wszystko dla Tary. Jeśli ona siedzi tam gdzieś sama, roztrzęsiona i pełna rozpacz, to musi ją pan znaleźć! Była takim cudownym dzieckiem. I tak bardzo ją lubiłem! Bardzo też ceniłem jej ojca. I świadomość, że być może w jakimś stopniu przyczynię się do jej uratowania, to pod koniec mojego życia wielki prezent dla mnie.

John skinął głową. Unikał w tym momencie wzroku Shermana. Wszystko wskazywało na to, że jeśli uda im się znaleźć Tarę, ten stary człowiek w zasadniczy sposób przyczyni się do aresztowania seryjnej zabójczyni, mającej na sumieniu życie czworga ludzi. Angus nie musiał jednak o tym wiedzieć.

Świadomość tego faktu mogłaby go zabić.

Miała latarkę, którą zostawiła Tara. Dzięki temu miała światło. W jej położeniu to było dużo. Bardzo dużo.

Ręce i nogi miała wolne. Gdy tylko usłyszała, że Tara przekręciła klucz w zamku, oswobodziła ręce z krępującej je taśmy. Uwolnienie kostek nie było już żadnym problemem.

Miała też kluczyki samochodowe. Chwyciła je, przechodząc koło pieca, i cały czas trzymała w dłoni.

Chata była zamknięta niemal hermetycznie. I panowało w niej lodowate zimno. Gillian obawiała się chwili, kiedy wyczerpią się baterie w latarce. Wówczas otoczy ją całkowity mrok. I wszystko będzie stracone.

Musi stąd wyjść. Jeśli chce żyć, to musi się stąd wydostać!

Kiedy chwyciła klucze leżące na piecu, myślała o tym, że w ten sposób zmuszała Tarę do powrotu. Tara nie mogła opuścić Peak District na piechotę. W tym momencie samochód był dla niej bezużyteczny, nieprawdopodobne było także to, żeby w pobliżu przechodzili ludzie, zwłaszcza że zapadał już zmrok. Zimno, największy wróg Gillian, było jeszcze większym wrogiem Tary na zewnątrz. Potrzebowała kluczyków. A więc musiała wrócić. I wtedy..

Tak, ale co wtedy właściwie? Czy Gillian uda się ją obezwładnić? Kobieta uzbrojoną w nóż i pistolet? Która była zdecydowana na wszystko i nie miała nic do stracenia?

Gillian opanowała teraz jedna myśl: *Muszę stąd wyjść, zanim ona wróci!*

W wąłym świetle lampy przeszukała cały domek. Nic, nic, nie było tu niczego, co mogłoby się jej przydać. Na czym i w czym oni tu gotowali i jedli? Daremnie szukała sztuców, kuchennego noża, w który mogłaby się uzbroić. Nad piecem wisiała półka, na której stało kilka plastikowych koszyków, ale te były puste. Widocznie Mrs Caine wszystko stąd zabrała, kiedy wiedziała, że chata nie będzie już używana. I była bardzo dokładna, nie przeoczyła niczego.

Już na samą myśl o Mrs Caine-Roslin Gillian poczuła dreszcz przerażenia. Podobnie jak na wspomnienie tego wszystkiego, o czym opowiedziała jej Tara w ciągu kilku godzin przed swoim wyjściem. Ale teraz Gillian nie powinna o tym myśleć. To może zrobić potem. W tej chwili nie wolno jej było tracić ani odrobiny energii. Teraz chodziło tylko o to, żeby stąd wyjść. O nic innego.

Musi jej się udać wyłamać zamek drzwi wejściowych albo zamek którejs okiennicy, to była jedyna możliwość ratunku. Przydałoby się coś, czego można by użyć jako łomu, ale nie było tu dosłownie nic. Kilka mebli. Żadnych narzędzi, żadnych sztuców. Nie było nawet szklanej butelki, którą można byłoby stłuc i wykorzystać ostre kawałki szkła z szyjki. Przyniesione butelki z wodą były z plastiku.

Obejrzała trzymane w ręku klucze. Na kółko nawleczone były dwa klucze: do samochodu i do mieszkania Tary. Klucz do mieszkania był dość wąski i ostro zakończony. Był to jedyny względnie spiczasty przedmiot, jakim w tej chwili dysponowała. I możliwe, że stanowił jej jedyną, bardzo nikłą szansę. Gdyby nie wzięła tych kluczy, musiałaby się poddać i zamarznąć tutaj albo umrzeć z głodu.

Przesunąwszy regał w pobliże wejścia, ustawiła na nim latarkę w taki sposób, że snop światła padał na zamek. Uklękła przy drzwiach i zaczęła dokładnie oglądać zamek. Zmarły Mr Caine naprawiał rowery i własnoręcznie zbudował chatę z bali w północnoangielskim lesie; znał się na tym i najwyraźniej miał wybitne uzdolnienia manualne. Gillian obawiała się, że nie zamontował tu niedbale byle jakiego zamka. Z pewnością jego intencją było dobre zabezpieczenie chaty. Na próbę zaczęła grzebać kluczem w zamku. Bez rezultatu. Nie sądziła, że będzie w stanie cokolwiek poruszyć w tym mechanizmie.

Dobrze. Były jeszcze dwa okna. Z ciężkimi drewnianymi okiennicami od zewnątrz. Może tu będzie miała więcej szczęścia.

Przesunęła znów regał z latarką, żeby mieć światło, i uważnie obejrzała konstrukcję okna.

Proste, małe, kwadratowe szyby. Otwierały się po przesunięciu w bok niezabezpieczonej zasuw. Problemem były jednak znajdujące się za nimi okiennice. Były one zamykane z dwóch stron za pomocą ogromnej zasuw znajdującej się pośrodku i unieruchomionej za pomocą kłódki. Wyglądała tak solidnie, że Gillian poczuła, jak opuszcza ją odwaga. Kłódka przypominała zamek w drzwiach wejściowych, jak oceniła na pierwszy rzut oka.

Do oczu napłynęły jej łzy. Nagle poczuła przemożną ochotę, żeby usiąść w kącie i po prostu się wyplakać. Zmusiła się jednak, aby odsunąć tę myśl. Płacz do niczego nie doprowadzi i tylko odbierze jej część energii.

Skoncentruj się rozkazała sama sobie znajdź jakieś wyjście. Tara zjawi się tu prędzej czy później, bo nie będzie w stanie odjechać autem, a wtedy powinnaś być jak najdalej stąd.

Tara zamordowała własną matkę. Tara zamordowała Carlę Roberts i Anne Westley. Zamordowała Toma, miała też zamiar zamordować Gillian. Dwa razy zakradła się do domu Gillian i tam na nią czyhała nie udało jej się tylko dlatego, że Luke Palm niespodziewanie wrócił. I wydawało się, że Tara cały czas uważała wszystko to, co zrobiła, za logiczne i dające się wyjaśnić. Za coś, co było jedynie następstwem, skutkiem pewnych wcześniejszych okoliczności i jako takie musiało się wydarzyć. Wiedziała, że wchodzi w konflikt z prawem, ale na płaszczyźnie jakieś moralnej instancji umiejscowionej ponad wszelkim ludzkim ustawodawstwem uważała się za absolutnie niewinną. Było to jej niezłomne, najgłębsze przekonanie, od którego nic nie mogło jej odwieść.

On gwałcił mnie przez pięć długich lat. Ted Roslin, mój ojczym. Czasami całymi tygodniami co wieczór przychodził do mojego łóżka. Jego głód był tym większy, im bardziej usiłował go zaspokoić. Gwałcił małą dziewczynkę, córkę kobiety, z którą się ożenił co zrobił

tylko dlatego, że ona miała córkę, która była małą dziewczynką. Z żadnego innego powodu. Byłam ślicznym dzieckiem. Blond włosy. Długie nogi. Duże, błyszczące oczy. Jak sam mi powiedział, spodobałam mu się od razu, więcej jeszcze: stałam się jego obsesją, opętaniem. Dlatego rozkochał w sobie moją matkę. Łatwo mu z nią poszło. Bo ona była zdecydowana znaleźć partnera za wszelką cenę, nawet całkowicie ignorując każdy sygnał ostrzegawczy czy podejrzany objaw. Na przykład fakt, że kochanemu Tedowi przy mojej matce kutas nie stawał, i to od samego początku. Okay, z tego nie musi wynikać perwersyjna skłonność do dzieci. Ale powinno się spróbować ustalić przyczynę, prawda? Ona próbowała to zrobić dopiero wtedy, kiedy już się z nią ożenił i było wiadomo, że nie da się tak łatwo przepędzić. Wtedy rzeczywiście zaczęło jej coś śmierdzieć, bo pod względem erotycznym była dla niego jak martwa ryba. I w końcu kiedyś załapała dlaczego. On też nie zadawał sobie zbyt wielkiego trudu, żeby ukrywać swój „szczególny stosunek” do mnie. I mamusia doskonale wiedziała, co było grane. Prowadziła z nim ostre, pełne zazdrości dyskusje. Rozumiesz? To, co on mi robił, wcale jej tak bardzo nie przeszkadzało, gorsze było to, że nie robił tego z nią. Ale mimo wszystkich sprzeczek, na jakie sobie w ogóle pozwalała, zawsze prędzej czy później szła na ustępstwa. Bo strach, że on ją opuści, był większy niż zazdrość, niż jej urażona kobieca duma. Woląta nie ryzykować i nie irytować go. Godziła się na wszystko, żeby tylko z nią został.

Gillian wzięła się w garść. Zauważyła, że od kilku minut wpatruje się bez ruchu w okiennice, zupełnie ich nie widząc. Słowa Tary dźwięczały jej w głowie, słyszała je, były jak zawieszona tu, w tej gęstej, lodowatej ciemności. Mimo niebezpieczeństwa, w jakim się znajdowała, słuchała z przerażeniem, kiedy tamta opowiadała o swoim dzieciństwie i młodości, głosem jednostajnym jak automat, czasami wręcz pogodnym, chwilami ironicznym i gorzkim o czasie po śmierci swojego ukochanego ojca.

O czasie spędzonym w piekle.

Gillian starała się nie myśleć o przerażeniu stale przywoływanym przez to, co usłyszała. Nie miała czasu, żeby się zajmować tym, co usłyszała. Później. Kiedy będzie bezpieczna.

Okiennice.

Były wykonane z połączonych z sobą desek i przymocowane do ścian za pomocą zawiasów. Zawiasy zaś połączone były z okiennicami żelaznymi sztabami przyśrubowanymi do drewna. W świetle latarki Gillian dostrzegła, że śruby były mocno naruszone przez czas, wilgoć i postępującą korozję. Spróbowała włożyć klucz Tary w rowek główki w nadziei, że będzie mogła go użyć jako śrubokręta, ale to się nie udało. Klucz wysuwał się z nacięcia, w dodatku śruby były tak zardzewiałe, że nawet za pomocą prawdziwego śrubokręta trudno byłoby je poruszyć. Deski wydawały się Gillian za grube i zbyt solidnie połączone. Wyłamanie ich było niemożliwe.

Zacząła szukać jakiegoś słabego miejsca w całej konstrukcji. Drewno nigdy nie było zabezpieczone farbą i przez lata całkowicie zszarzało. Gillian zatrzymała wzrok koło jednej z metalowych sztab. Drewno wokół niej przybrało jeszcze inny

kolor, jego włókna nie były szare, lecz zielonkawe, niemal czarne. Obmacała drewno palcami. Wydawało jej się, że jest miększe niż w pozostałych miejscach. Zaczęła wbijać w nie spiczasty koniec klucza i rzeczywiście udało jej się wydlubać niewielki kawałek zmurszałego fragmentu deski. Poczowała, że zrobiło jej się gorąco ze zdenerwowania. Także wokół drugiej sztaby drewno przybrało czarny kolor i także tam udawało jej się wydlubać jego kawałek kluczem. Rdza atakująca przez wiele lat śruby naruszyła więc wespół z wilgocią także drewno.

Zaczęła obiema pięściami walić rozpaczliwie w okiennice. Te cholerne nadwątlone miejsca muszą w końcu puścić!

Jednak nie były aż tak uszkodzone. Gillian opuściła ręce. Była już trochę zasapana. Jej siła mimo wszystko nie wystarczy.

Potrzebny mi jest młotek.

Raczej iluzja niż życzenie. W chacie nie było nawet sztućców. Nie mówiąc już o jakimś narzędziu. O tym przekonała się aż nadto dokładnie.

Czyli nie ma młotka. Czego można użyć zamiast niego? Gdyby miała coś w rodzaju tarana, jakiś przedmiot, którym mogłaby uderzać w zmurszałe drewno tak długo, aż wyłamie jego większy lub mniejszy fragment. Jeszcze raz oświetliła pomieszczenie. Stół. A mówiąc dokładnie: nogi od stołu. Albo jedna z nich.

Może to da się użyć jako taran.

Odstawiła latarkę, przewróciła stół, stawiając go na blacie do góry nogami, i zaczęła oglądać jego drewniane nogi. Były przyśrubowane do blatu i z boku sklezione z deskami.

Gdyby jej się udało wydlubać kluczem klej spod desek, byłby to jakiś postęp. Wydawało jej się, że przynajmniej jedną śrubę będzie dość łatwo wykręcić. Jeśli potem zacznie chwiać nogą stołową w dwie strony, to być może uda się ją wyłamać.

Strach i zwątpienie ogarnęły ją nagle z przemożną siłą. Kilka długich sekund zajęło jej, aby się opanować. Szansa była tak mała. A niebezpieczeństwo tak wielkie.

Znów wzięła się w garść.

Zaczęła mozolnie wydlubywać klej ze szpary między deskami.

John prowadził samochód. Samson siedział obok niego, trzymając na kolanach książkę Angusa Shermana. Na dworze było już zupełnie ciemno, ale na szczęście intensywny ruch samochodów, który w ten piątkowy wieczór jeszcze dwie godziny wcześniej całkowicie zatkał wszystkie drogi wyjazdowe z Manchesteru, mieli już praktycznie za sobą. I choć po drodze pojawiło się parę przeszkód, takich jak czerwone światła na kolejnych skrzyżowaniach i niewielki korek spowodowany manewrami jakiegoś samochodu ciężarowego, to jednak jechali w miarę szybko. John początkowo kłął głośno, jeśli tylko musiał zwolnić, bo czuł, że czas nagli coraz bardziej, a z doświadczeń swojej pracy w policji wiedział dobrze, że często minuty i sekundy decydowały o życiu lub śmierci ofiary. Ale w końcu zmusił się do zachowania spokoju. Nic nie dawało walenie pięścią w kierownicę ani głośne urąganie kierowcy samochodu przed nimi, który włókł się jak ślimak w poszukiwaniu parkingu. Powodowało to tylko podwyższenie poziomu adrenaliny, a to mogło później prowadzić do poważnego błędu.

Samson na szczęście zachowywał się całkiem spokojnie, z napięciem wpatrywał się w mapę, przesuwając po jej liniach palcami, i odzywał się tylko wtedy, kiedy należało zmienić kierunek jazdy.

- Tu, sądzę, musimy zjechać w prawo.

- Tam z przodu, na rondzie, wydaje mi się, że drugi wyjazd. John ofuknął go już parę razy:

- *Sądzi pan, wydaje się panu, czy też pan wie?*

Wyraźne wahanie Segala, jego brak przekonania i wątpliwości przed każdym działaniem, wynikające z niskiej samooceny, coraz bardziej działały mu na nerwy. Ale kiedy spojrzął na Samsona i zobaczył, że ten niemal walczy ze łzami, szybko przywołał się do porządku. Doprowadzenie do tego, że Segal stanie się kłębkim nerwów, też z pewnością nic nie da i będzie po prostu niesprawiedliwe. Ten człowiek wykonał całkiem dobrą robotę, znajdując Shermana. Otrzymali dzięki temu naprawdę wiele obiecujących wskazówek. Samson po prostu taki był. Nieustanne relatywizowanie wszystkich wypowiedzi poprzez słowa: *może, tak sądzę* albo *możliwe, że* było częścią jego osobowości.

Minęli ostatnie fragmenty południowych przedmieść Manchesteru. Niekończące się rzędy domków szeregowych. Strefa przemysłowa. Boisko do gry w piłkę nożną. McDonald. A potem światła zostawały coraz bardziej za nimi. Widać już było tylko reflektory samochodów jadących z naprzeciwka.

- Jesteśmy na drodze M60 powiedział Samson. Była to obwodnica otaczająca Manchester. Koło Stockport musimy z niej zjechać i wjedziemy na drogę szybkiego ruchu prowadzącą do Peak District. Samson powstrzymał się w ostatniej sekundzie, żeby nie dodać jak sądzę. I tam musimy jechać... jeszcze około pięciu mil dokończył.

- Wszystko jasne odparł John. Ale teraz będzie trudniej, niż to wygląda na mapie, Samson. Musimy znaleźć właściwą drogę do District a przynajmniej tę, którą Sherman uważa za właściwą. On też nie jest pewien, jeśli chodzi o położenie chaty.

- Wiem odrzekł Samson. Mam nadzieję, że nie przyjedziemy za późno.

Zjechali z autostrady i wjechali na drogę szybkiego ruchu, na której ruchu prawie wcale nie było. John zahamował gwałtownie, kiedy zobaczył drogowskaz zapraszający na parking, skąd prowadziły szlaki turystyczne do Peak District. Zobaczyli też tablicę informującą o drodze prowadzącej na wrzosowiska. John nie miał pojęcia, czy byli we właściwym miejscu, ale droga szybkiego ruchu odbijała za bardzo na południe. Peak District. Ta nazwa brzmiała tak niewinnie. Wydawałoby się, że chodzi tu o uporządkowany teren, w którym łatwo się zorientować. W rzeczywistości mieli przed sobą ciągnące się milami łąki, niewielkie wzgórza i wrzosowiska. John wiedział, że jeśli będą mieli pecha, to mogą tu jeździć całymi dniami, nie docierając nawet w okolice chaty.

Ale w każdym razie teraz musieli znaleźć wjazd do Peak District, a mógł się on zaczynać równie dobrze tu, na tym parkingu.

Oczywiście nikogo oprócz nich tu nie było. John zatrzymał się, włączył oświetlenie i wziął do ręki książkę.

- Z dużym prawdopodobieństwem to jest właściwa droga powiedział po chwili. W każdym razie to ta droga, którą mamy tu na planie. Ale czy nasze założenie jest słuszne, o tym wiedzą tylko bogowie.

Droga była wąska, ale częściowo odśnieżona, i prowadziła z parkingu najpierw przez niewielki las, po minięciu którego ujrzeli po obu stronach rozległe pola. Wszędzie śnieg, jak daleko sięgał wzrok. Ale właśnie dzięki jego poświacie można było mimo ciemności jakoś się zorientować. Śnieg był teraz błogosławieństwem i jedyną nadzieją. Choć już teraz stało się dla Johna jasne, że nie mają żadnej szansy, żeby zobaczyć jakąś chatę stojącą na skraju polnej drogi. Jeśli Gillian i Tara pojechały tam samochodem, to można było już teraz zrezygnować z dalszych poszukiwań. Ale właśnie z powodu śniegu musiały zostawić auto na skraju odśnieżonej drogi, a dzięki temu ów stóg siana, w którym szukali igły, stawał się nieco mniejszy. Albo też igła robiła się większa.

Iskierka nadziei. Zaparkowany samochód marki Jaguar. John uczepił się tej iskry, jadąc powoli przez ciemne, zaśnieżone pustkowia.

Gillian, już jedziemy! Kochana, wytrwaj jeszcze chwilę!

Kiedy Samson nagle spojrzał w jego kierunku, zorientował się, że nie tylko tak pomyślał.

On powiedział te słowa głośno.

Zamknęła auto od środka, położyła się na tylnym siedzeniu, zawijając się dokładnie w gruby wełniany koc, który wyjęła z bagażnika. Jednak mimo ciepłych spodni, które miała na sobie, ocieplanej kurtki i koca po chwili zaczęła strasznie marznąć. Podwinęła kolana pod brodę i objęła je ramionami; mimo wszystko nie udawało jej się powstrzymać dygotania. Miała wrażenie, że samochód musiał również dygotać i trząść się i trudno jej było powstrzymać się od uśmiechu na myśl o tym, jak to musiało wyglądać z zewnątrz. Zwłaszcza w tej scenerii, w otoczeniu pól pokrytych grubą warstwą śniegu i przy tym mrozie.

Rozbawiło ją to tylko na chwilę, bo wnet znów ogarnęło ją przerażenie. Cały czas się zastanawiała, czy dobrze robi. Może powinna była iść dalej, gdzieś w kierunku Manchesteru i liczyć na to, że prędzej czy później spotka ludzi albo że trafi na pojedynczą zagrodę, na pług śnieżny, może nawet na turystę lub narciarza. Ale zdawała sobie sprawę, że na to wszystko może zacząć liczyć dopiero następnego dnia przed południem, czyli dziesięć lub dwanaście godzin od teraz. Nie wytrzyma tak długiego marszu, o tym też wiedziała. Była zupełnie wyczerpana, nogi bolały ją straszliwie, a całe ciało gwałtownie domagało się snu. Zbyt wielkie było niebezpieczeństwo, że ulegnie pokusie, aby osunąć się w miękki śnieg z zamiarem kilkusekundowego odpoczynku. Gdyby wówczas zasnęła, jej los byłby przypieczętowany.

Nie obudziłaby się nigdy.

Dlatego rozsądny wydał jej się plan, żeby odpocząć tu, w samochodzie, odzyskać choć trochę siły i wyruszyć w drogę dopiero rankiem. Nie spodziewała się jednak, że we wnętrzu zamkniętego pomieszczenia, jakim był samochód, będzie tak zimno. Może przynajmniej uda jej się zachować trochę ciepła, jeśli wtuli się w tapicerkę na tylnym siedzeniu i szczelnie owinie kocem. Możliwość zamarznienia będzie wówczas z pewnością mniejsza.

Na dworze przy tej temperaturze z całą pewnością groziła jej śmierć. Tutaj być może.

Więcej nie mogła oczekiwać od losu.

Tymczasem rozważała myśl powrotu do chaty i przyniesienia tych cholernych kluczyków, ale tę możliwość szybko odrzuciła. Gillian z pewnością na to właśnie liczyła, zabierając klucze, bo z jakiego innego powodu miałyby to zrobić. To oznaczało, że Gillian będzie przygotowana na jej powrót, co z kolei wiązałoby się z kolejnym niepotrzebnym ryzykiem. Tara nie miała zamiaru stanąć twarzą w twarz z ogarniętą paniką i śmiertelnym strachem Gillian, by otrzymać od niej cios w głowę szufladą albo czymś innym. Niech więc Gillian siedzi tam sobie, zapuszcza korzenie i czeka na nią dalej. Przyjemnej zabawy.

Nie wyobrażała sobie, że Gillian uda się wydostać z chaty, było to jej zdaniem wręcz niemożliwe, ale widziała już w swoim życiu desperatów gotowych na

wszystko, dlatego cały czas trzymała w ręku nóż. Pistolet wsunęła pod wycieraczkę. Zbyt niebezpieczne wydawało jej się zasypianie z naładowaną i przyciśniętą do ciała bronią. Wyciągając z bagażnika koc, natrafiła też na kawałek drutu, jakiego zwykle używało się w ogrodzie. Zrobiła z niego pętlę i trzymała ją w drugiej ręce.

Wciąż się obawiała, że jej głównym problemem będzie to, żeby nie zasnąć głęboko w czasie tych nocnych godzin, bo wówczas z pewnością nie obudziłaby się nigdy. Teraz stwierdziła, że w ogóle nie może zasnąć. Choć była straszliwie zmęczona, w tej chwili przez jej głowę przelatywały tysiące najróżniejszych myśli. Osiągnąć spokój to było niemożliwe. Właśnie Gillian, tej rozpieszczonej córeczce nadopieczonych rodziców, która nie miała zielonego pojęcia o prawdziwych tragediach tego świata, opowiedziała wszystko o Tedzie Roslinie i o krwawym śladzie, który ona, Tara, włókła za sobą przez całe życie. Ten ślad to była próba znalezienia spokoju dla siebie i swojej duszy. Teraz wszystko w niej wprost wrzało, a ona leżała i miała wrażenie, że słyszy łomotanie swojego serca niemal we własnej głowie. Ożyło tyle wspomnień, pojawiło się tyle obrazów, których nie chciałyby już nigdy oglądać. Które chciałyby zapomnieć, wymazać z pamięci za wszelką cenę. Próbowwała wyprzeć je teraz ze swoich myśli, zmuszając się do ułożenia dokładnego, bardzo szczegółowego planu wszystkich zadań, które czekały na nią w najbliższych dniach, kiedy tylko znajdzie się w Londynie. W biurze było mnóstwo pracy, w najbliższy wtorek miała ważną sprawę w sądzie, a do kolejnej w następnym tygodniu musiała się dobrze przygotować, przeczytawszy uprzednio całą górę akt. Już na samą myśl o tym przechodziły ją ciarki. Poza tym musiała znaleźć chwilę czasu, żeby się pokazać u Lizy. Ta kobieta zbyt wiele czasu spędzała sama. Choć była bezpieczna, mąż jej prześladowca i dręczyciel już jej nie zagrażał, to teraz pojawiło się inne niebezpieczeństwo: tęsknota za synem. Samotność. Przekonanie o braku jakichkolwiek perspektyw życiowych.

„Musi w końcu złożyć doniesienie na tego łotra” pomyślała Tara. Marzyła od wielu tygodni o tym, żeby osobiście wnieść oskarżenie przeciwko Loganowi. Sprawiłoby jej to niesłychaną satysfakcję. Ale musiała mieć pewność, że Liza nie ustąpi i będzie konsekwentnie stać przy niej. Znała kobiety tego rodzaju. Były nieobliczalne.

Opowiedziała Gillian o swoim pierwszym spotkaniu z Lizą w łazience hotelu Kensington w czasie urodzinowego przyjęcia. To było jak przeznaczenie: musiała wyjść do toalety akurat w tym momencie, kiedy żona Miłościwego Stanforda wybuchnęła płaczem i próbowała zakryć podbite oko. Tara zrozumiała natychmiast, co się dzieje; wiedziałyby nawet wtedy, gdyby nie zobaczyła śladów pobicia. Ofiary przemocy rozpoznają się nawzajem znakomicie. Nawet wtedy, kiedy na zewnątrz nic nie widać i pozornie wszystko jest w porządku. Są otoczone osobliwą aurą. Przemoc, której doznały, otacza je jak ciężki płaszcz i dusi. To, co przeżyła Liza Stanford, było widoczne dla Tary natychmiast, jak wielki czerwony wykrzyknik, jeszcze zanim ona jej cokolwiek powiedziała.

„Ale dlaczego w takim razie nie wszczęłaś od razu dochodzenia przeciwko niemu?” - spytała Gillian.

Doprawdy trzeba jej było wybaczyć to pytanie. Skąd miała wiedzieć, jak jest naprawdę?

„Bo to *ona* musi go zniszczyć, nie ja. Musi go zniszczyć z całym przekonaniem o słuszności tego, co robi. Tylko w ten sposób może wrócić do normalnego życia”.

Och Boże, jak długo wtedy strzępiła sobie język, żeby przekonać Lizę do złożenia doniesienia.

Donieś na niego. Wsadź go do kicia. Wykończ go. Do cholery, odpląć mu za swoje! Zrób to, żeby wiedział, z kim zadziera! Żeby się z tobą liczył!

Niestety Liza była klasyczną ofiarą. Zesztywniała ze strachu i niezdolną do podjęcia jakiegokolwiek decyzji. *Dobrze, zrobię to, nie, nie teraz, boję się, nie wiem, co mam robić.*

Liza opowiedziała Tarze całą swą historię i w trakcie tego opowiadania działo się coś dziwnego: Tara towarzyszyła Lizie w jej docieraniu do samego dna cierpień i wydawało jej się, że wtedy runęły wszystkie mury, którymi przez wiele lat tak starannie otaczała to, czego sama doznała. O czym tak bardzo chciała zapomnieć. Bo miała nadzieję, że nigdy nie dojdzie do konfrontacji z obrazami i uczuciami, które w niej istniały, a teraz nagle się ujawniły. W którymś momencie opowieści Lizy nie wiedziała już, kto kogo wziął za rękę i wszedł z nim w sam środek najbardziej osobistych przeżyć, pełnych bólu, cierpienia i upokorzenia. I kiedy Tara rozpaczała z powodu wahań i niezdecydowania Lizy, to zrozumiała jednocześnie, że sama wcale nie była lepsza. Ona także nie wyrównała rachunku krzywd. Zagrzebała starannie w swoim wnętrzu całe zło, upokorzenia i wszystką podłość, jakie ją w ciągu tylu lat spotykały, robiąc tak w nadziei, że to nigdy nie da o sobie znać. Że nie zacznie jak trup rozkładać się i śmierdzieć. A teraz zauważyła, ile trucizny zebrało się w niej samej. I że był ktoś, kto na nią czekał. Na to, żeby to wszystko wreszcie uporządkować.

Nie, nie Ted Roslin. Ten stary gnój, który wmówił sobie, że *kocha* to dziecko, które przez tyle lat krzywdził, dawno już umarł po długim cierpieniu, będącym następstwem raka prostaty i przedwczesnej demencji.

Lucy Caine-Roslin. Jej matka. Kobieta, która ją zdradziła. Z którą Tara niczego w ciągu tylu lat nie wyjaśniła. Odwiedzała ją od czasu do czasu w Gorton, z zadowoleniem donosząc o swoich sukcesach zawodowych. Uniwersytet. Świetnie zdawane egzaminy. Adwokatura w Manchesterze. Awans i praca w prokuraturze w Londynie. Znakomite zarobki. Szacunek i poważanie wśród ludzi. Jechała swoim eleganckim jaguarem przez Reddish Lane, wysiadała przed domem matki elegancko ubrana, dumna ze swoich sukcesów, i sądziła, że dzięki temu osiągnie spokój. Ale sama była zbyt tchórzliwa, żeby zacząć rozmowę o tym, co się kiedyś stało. I dlatego tak naprawdę nigdy nie mogła osiągnąć spokoju.

Obróciła się na wąskim siedzeniu samochodu, próbując znaleźć wygodniejszą pozycję, ale to się nie udało. Myślała o tym ciemnym listopadowym dniu, gdy znów pojechała do Manchesteru.

Weekend. Liza jeszcze nie wyprowadziła się z domu, ale sytuacja między nią a Loganem się zaostrzyła. W Tarze obudziła się jej własna przeszłość. Bo Tara ciągle słuchała opowieści Lizy. I nie była w stanie już niczego stłumić w sobie.

Było zupełnie ciemno, kiedy zajechała przed dom rodziców, także w oknach nie widziała światła. Obawiała się, że matki nie będzie w domu, choć było to mało prawdopodobne: Lucy po śmierci drugiego męża bardzo się od wszystkich odsunęła. Prawie nie wychodziła z domu i nikogo też nie odwiedzała. Opuszczała dom właściwie tylko po to, żeby zrobić zakupy, a raz w tygodniu chodziła na cmentarz i odwiedzała groby swych mężów. Poza tym spędzała cały czas, sprząając mieszkanie, oglądając w telewizji ckliwe wyciskacze łez i wyszukując w kolorowych czasopismach informacje na temat życia dworu królewskiego, z czym starała się być zawsze na bieżąco. Nigdy nie sprawiała wrażenia nieszczęśliwej ani niezadowolonej. Jako młoda kobieta wpadała w panikę na samą myśl o perspektywie życia bez partnera, a teraz, z wiekiem, pogodziła się ze swoją sytuacją. Zadziwiająco dobrze radziła sobie z samotnością.

Drzwi mieszkania jak zwykle nie były zamknięte i Tara zastała matkę w salonie, którego okna wychodziły na podwórko i warsztat. Lucy oczywiście siedziała przed telewizorem. Patrzyła na film i jednocześnie robiła szydełkiem jedną ze swoich głupich koronkowych serwetek, które były porozkładane w mieszkaniu jako podstawki. Miała na sobie gruby wełniany sweter robiony na drutach i futrzane pantofle na nogach, bo w mieszkaniu nie było zbyt ciepło. Lucy zawsze oszczędzała na ogrzewaniu. Przed nią na stole stał dzbanek z herbatą.

Lucy ucieszyła się, że widzi córkę, choć jak zwykle zrobiła to na swój osobliwy, dziwnie powściągliwy sposób. Było to typowe dla wszystkich jej emocji. Ponieważ jadalnia wcale nie była ogrzewana, nakryła dla siebie i Tary w kuchni. Tara przywiozła jedzenie z chińskiej restauracji, a do tego drogie czerwone wino z Londynu. Policzki Lucy już po pierwszych kilku łykach zaczerwieniły się, a oczy zaczęły błyszczeć.

- To jest jak Boże Narodzenie powiedziała.

Tara pochyliła się do przodu. Wypiła kilka łyków wina, ale prawie nie tknęła jedzenia. Nie była głodna.

- Mamo, przyjechałam, żeby coś z tobą omówić powiedziała. Chociaż dopiero co trzęsła się z zimna, teraz zauważyła, że nagle zrobiło jej się gorąco. Jest coś, o czym musimy porozmawiać.

Lucy popatrzyła na nią niewinnie.

- Tak?

- Ted rzekła Tara. Ted Roslin. Lucy wydawała się nie rozumieć.

- A co z nim?

- Nigdy o nim nie rozmawialiśmy. Lucy z żalem pokiwała głową.

- I on już od tak dawna nie żyje! Powinnaś pójść na cmentarz. Byłam tam parę dni temu. Zniosłam mu doniczkę z wrzosami i postawiłam na grobie. To ładnie wygląda.

- Ja? Tara wiedziała, że w jej głosie słyhać agresję, czego właściwie chciała uniknąć. Dlaczego miałabym iść na grób Teda? Mogę odwiedzić grób mojego ojca, ale *jego* na pewno nie! A czy tacie też zniosłaś wrzosy?

- Oczywiście. Co ci jest? Jesteś taka zirytowana.

- Nie. Nie jestem zirytowana. Przykro mi, jeśli to tak wygląda. Tara dziwiła się teraz sama sobie. Bo choć w środku walczyła z niesłychaną wręcz agresją, jaką wywołał w niej już sam widok matki, udawało jej się zachować miły i spokojny głos. „Zawód” pomyślała. Nauczyła się zachowywać wobec wszystkich, także najgorszych zbrodniarzy, w taki sposób, który niósł z sobą jakąś otuchę i obietnicę, a to w tym celu, żeby doprowadzić ich do złożenia określonego zeznania. Nie miało sensu, żeby jako prokurator ostro atakowała siedzącego przed nią mężczyznę, który zamordował swoje czteromiesięczne dziecko tylko dlatego, że przeszkadzał mu jego płacz. Nie miało sensu mu mówić, co ona o nim myśli. Należało odnieść się do niego z tak daleko idącym zrozumieniem i sympatią, żeby on za pięć minut wybuchnął płaczem i szlochając, przyznał się do wszystkiego, bo wydawało mu się, że przecież można się zwierzyć tej miłej kobiecie sprawiającej wrażenie matki. A potem Tara mogła spokojnie zażądać najwyższego wymiaru kary. Ten mechanizm często działał znakomicie.

- Mamo, ja chciałabym po prostu coś zrozumieć. I to jest powód, dla którego tu przyjechałam. To, że ja do tej pory czegoś *nie* rozumiem, powoduje właśnie, że tak rzadko u ciebie bywam. Choć przecież mogłabym zrobić dla ciebie o wiele więcej.

- Nie rozumiem rzekła Lucy. Jej oczy zrobiły się nagle czujne.

- Musimy się dogadać powiedziała Tara żebyśmy mogły w przyszłości dobrze z sobą żyć.

- Tak?

- Chodzi, jak już mówiłam, o Teda. Tara obserwowała matkę uważnie. Wiesz przecież, co on mi zrobił.

Lucy nagle zamknęła się w sobie jak ostryga. Widać to było wyraźnie na jej twarzy.

- Znowu z tym zaczynasz?

- Znowu? Tara wpatrywała się w matkę. Powiedziałaś: znowu? A kiedy ja w ogóle zaczęłam o tym mówić?

- Dawniej wyjaśniła Lucy. Dawniej byłaś tu kilka razy.. i chciałaś mi zatruwać życie... Wstała. Myślałam, że chcesz spędzić ze mną miły wieczór powiedziała wyraźnie dotknięta. Że tęsknisz za swoją matką, chcesz trochę pogadać, a teraz nagle mnie atakujesz, robisz wyrzuty i...

- Usiądź, mamó powiedziała Tara rozkazującym tonem. Jej głos był tak ostry, że zaskoczona Lucy rzeczywiście usiadła na swoim krześle. Tym razem mnie nie spławisz i nie uda ci się też uciec. Będiesz tu siedziała i odpowiesz na moje pytania, zrozumiano?

- Jak ty się do mnie odzywasz?

- Tak, jak na to zasłużyłaś, mamó. Dokładnie tak. Tak, jak zasłużyła na to matka, która przez pięć lat przyglądała się, jak jej córka jest gwałcona przez ojczyńca i ani razu nie stanęła w jej obronie. *Ani razu!*

- Pięć lat odparła Lucy. Ależ przesadzasz.

- Pięć lat, mamó, i wiesz o tym bardzo dobrze! Miałam dziewięć lat, kiedy zaczął. Pół roku po tym waszym cholernym weselu. I miałam czternaście lat, kiedy przestał. Bo, dzięki Bogu, zaczęłam wtedy mieć już kształty kobiety i nic nie mogł wskórać.

- Czego ty chcesz? spytała Lucy. Jej oddech był teraz szybszy, a w płucach coś rzęziło. Chcesz mnie doprowadzić do ataku astmy? Zamordować mnie?

- Przestań z tą twoją astmą! Nigdy nie miałaś astmy! Zawsze zaczynasz rzeźnić, kiedy coś jest dla ciebie nieprzyjemne. Ale teraz nie będę się tym przejmować.

- Chciałabym się dowiedzieć... zaczęła Lucy, ale Tara przerwała jej ostrym głosem:

- Nie. To ja chciałabym się czegoś dowiedzieć. Chciałabym się dowiedzieć, dlaczego do tego dopuściłaś. Dlaczego mnie nie broniłaś. Dlaczego nie wystawiłaś tego obrzydliwego typa za drzwi i nie przepędziłaś go, wymierzywszy mu uprzednio potężnego kopniaka!

Lucy wyciągnęła chusteczkę. Zaraz pewnie zacznie płakać.

- Jestem stara. Nikogo nie mam na świecie. Tylko ciebie. A ty przyjeżdżasz i mnie dręczysz. Stara kobieta, która nie może się bronić!

- A to dziecko, które wtedy też nie mogło się bronić?

Lucy wytarła oczy.

- Mój Boże! Mówisz tak, jak gdyby...

- Tak? spytała Tara.

- Jak gdyby stało się coś złego. Tylko dlatego, że Ted cię lubił. To był dobry chłop. Tak łatwo nie znalazłabym innego. Kto ożeniłby się z owdowiałą kobietą z dzieckiem? Bez ciebie miałabym lepsze karty w ręku, tak też trzeba na to spojrzeć.

Znacznie później Tara przypomniała sobie, że to był moment, w którym poczuła zawrót głowy. Z początku bardzo lekki. Ale zauważyła, że coś w niej zaczęło się dziać, że coś już się stało. Że to, co widziała, nie było już tak ostre i wyraźne, a w uszach usłyszała cichy szum.

- Uważasz więc, że nie stało się nic złego? spytała cicho. Czy to dla ciebie normalne, że dorosły mężczyzna, prawie pięćdziesięcioletni, co noc wchodzi do łóżka dziewięcioletniej dziewczynki? Że zatyka jej usta, kiedy ona próbuje

krzyczeć? I grozi jej, że jeśli komukolwiek coś powie, to pójdzie do sierocińca? Uważasz, że to *nic złego*?

Lucy wyczyściła sobie nos. Zdażyła już wziąć się w garść.

- Ja też nie miałam lekko! rzekła.

- Ach! Doprawdy?

- Ty widzisz tylko siebie powiedziała Lucy. Moja sytuacja jest ci obojętna. A ja musiałam żyć z tym, że on mnie ciągle odtrącał. Mogłam robić, co chciałam, a on i tak mnie ignorował. Gapił się na ciebie, latał za tobą. Czekał przy bramie, kiedy wracałaś ze szkoły. Patrzył za tobą cały czas. Ciągle. A ja byłam dla niego jak powietrze. Nie istniałam jako kobieta. Gotowałam mu jedzenie, prałam jego bieliznę, sprzątałam mieszkanie, żeby było przytulne i czystutkie. Odkładałam z pieniędzy na jedzenie każdy grosz, żeby móc sobie kupić coś ładnego. I być piękna dla niego. A on w ogóle tego nie dostrzegał. On *mnie* nie dostrzegał.

Szum w uszach stał się głośniejszy.

- Byłaś dorosłą kobietą. Ja byłam *dzieckiem*!

I nagle, na ułamek sekundy, w oczach Lucy błysnęła nienawiść.

- Taaa, dzieckiem! Byłaś wyrachowaną młodą dziewczuchą! I nieźle grałaś! W tych twoich wąskich dzinsach i krótkiej koszulce! I jeszcze się cieszyłaś, że możesz mnie wykopać! Że wyglądałam przy tobie jak stare pudło. A miałam trzydzieści pięć lat! Nie byłam jeszcze stara. Byłam ładna. Ale nic nie mogłam przy tobie!

Tara nawet nie zauważyła, że wstała. Wydawało jej się, że ściany kuchni się kołysały. To było bezcelowe. Nic sobie nie wyjaśnia. Ani teraz, ani nigdy. Jej matka niczego nie będzie żałować. Nawet nie będzie próbowała czegokolwiek zrozumieć.

Jej matka uważała, że to ona była ofiarą.

- Myślę, że nie mogę ci tego przebaczyć, mamó powiedziała.

Lucy także podniosła się z krzesła. Automatycznie, jak zawsze, wzięła do ręki kuchenną ścierkę, która wisiała obok pieca, i wytarła małą plamę sosu na stole.

- Co przebaczyć? spytała. Nie brzmiało to ani cynicznie, ani ironicznie. W jej słowach nie było słyhać nawet gorczy czy też urazy.

To zabrzmiało po prostu... jak pytanie. Którym przecież było.

Tara nagle poczuła tamten ból. I poczucie opuszczenia, jak tamta mała dziewczynka przed laty. Poczucia rozpacz. Przerażenie. Bezradność. Strach. Osaczenie. Niekończącą się męczarnię i wstyd. Brak nadziei.

Zrozumiała, że nie opuści jej jedno: świadomość, że jest zupełnie sama na świecie. Nie opuści jej świadomość, że nie ma nikogo i że nie istnieje nikt, dla kogo by coś znaczyła. Jak gdyby spadała z powrotem do piekła. Zdradzona przez kobietę, która była pierwszym człowiekiem w jej życiu: przez kobietę, która ją urodziła.

I w tym momencie jej wzrok padł na ścierkę w czerwono-białą kratkę, którą matka wycierała stół.

- Ciągłe masz jeszcze te swoje stare ścierki usłyszała swoje własne słowa.

To była chwila, w której straciła kontrolę na sobą. Nawet nie przypuszczała, jakie to mogło być cudowne.

Wydała głośny okrzyk triumfu. W całkowitej ciszy, która ją otaczała, zabrzmiało to znacznie głośniej, niż się spodziewała.

- O radości! krzyknęła.

Trzymała w ręku nogę od stołu. Nie miała pojęcia, ile czasu upłynęło, ale oceniała, że dobre czterdzieści pięć minut, nim udało jej się wydłubać wszystkie klej. Potem dłuższy czas kręciła i chwiała nogą. Aż wreszcie, kiedy niemal opuściły ją siły, a po czole i całym ciele ciekł pot, śruba ustąpiła. Gillian tak łatwo wyciągnęła nogę z zamocowania, jak gdyby to w ogóle nie stanowiło żadnego problemu.

Nie wierzę! Zdziałało! Naprawdę działało!

Potrzebowała jeszcze całej minuty, żeby odzyskać siły. Usiadła na sofie, otarła czoło z potu, poczekała, aż uspokoi się oddech. Tylko moment. Nie miała zbyt wiele czasu. Tara mogła się tu pojawić w każdej chwili, a teraz była jej najgorszym wrogiem i stanowiła największe zagrożenie. Gillian nie chciała ryzykować po raz drugi zamknięcia w chacie, która była zabarykadowana niemal jak Fort Knox. Chciała uniknąć ponownego zagrożenia, jakie niesłoby przebywanie w tej temperaturze bez źródła ciepła. Wiedziała, że tym razem by przegrała. Nie chciała też ryzykować, że zostanie uduszona ścierką wepchniętą do krtani. Tak jak zrobiła Tara ze swoją matką. I z Carlą Roberts oraz Anne Westley.

Przedtem, kiedy siedziała skulona na sofie, Tara stała oparta o piec i mówiła o pomocy, której jej nie udzielono. Mówiła mentorskim, pouczającym tonem wykluczającym jakąkolwiek dyskusję. Gillian nie miała wrażenia, że Tara oczekiwała od niej jakiegokolwiek odpowiedzi, wołała więc milczeć.

Nieudzielenie pomocy jako czyn karalny jest traktowane zbyt łagodnie, po macoszemu, zarówno wprawie karnym, jak i w naszym społeczeństwie. Wielu ludzi po prostu to bagatelizuje. Sprawca tak, on jest zły. Ale ktoś, kto patrzy, widzi i nie interweniuje... no, taki ktoś w mniemaniu wszystkich zachowuje się co najwyżej niezbyt poprawnie. Oczywiście zdaniem wszystkich w żadnym wypadku nie można go stawiać na równi ze sprawcą. I dlatego często się go pomija. Jego osobę i jego rolę. Nawet wykazuje się w stosunku do niego daleko idące zrozumienie. W końcu, mówiąc szczerze, nikt sam nie wie, jak zachowałby się na jego miejscu.

Gillian wstała, chwyciła w obie ręce nogę od stołu. Starła się włożyć w pierwsze uderzenie wszystkie siły, jakie jej jeszcze pozostały. Ciężki kawał drewna uderzył z hałasem w okiennicę. Nawet nie drgnęła.

Gillian zatrzymała się, odetchnęła głęboko. Jeszcze raz.

Daj z siebie wszystko, Gillian! Jazda! Dasz radę! Musisz sobie z tym poradzić!

Kolejne uderzenie, wymierzone z całej siły.

Usłyszała trzeszczenie. Gdzieś coś chyba drgnęło, ale nie była tego pewna.

To oczywiste, że sprawcę należy ukarać i zatrzymać. Ale przeważnie chodzi wówczas o kogoś z ogromnymi odchyleniami psychicznymi i ma się wrażenie, że taki człowiek nigdy nie miał szansy z tym się uporać. Życiorysy takich ludzi, a zwłaszcza te ich fragmenty, które dotyczą dzieciństwa, czyta się jak opowieści w rodzaju horroru. Daleka jestem od tego, żeby twierdzić, że ktoś zostanie seryjnym mordercą, bo jego matka była alkoholiczką, a ojciec go krzywdził, ale... no, takie fakty wszystko nieco relatywizują, prawda? Ale ci, którzy przyglądają się temu i milczą nie ma nic, co by ich usprawiedliwiało. W tym kraju rodzice dopuszczają do tego, że ich dzieci umierają z głodu, albo je torturują, doprowadzając do śmierci, a ich sąsiedzi odwracają głowy, żeby nic nie widzieć. W naszym kraju mężowie dręczą swoje żony i nikt nic nie zauważa. W tym kraju uczniowie są mobbingowani przez kolegów z klasy, tak że w końcu rzucają się pod pociąg, a nauczyciele w ogóle nie interweniują. Tak się dzieje stale i wszędzie. I może to mieć miejsce tylko dlatego, że większość społeczeństwa jest zbyt tchórzliwa albo leniwa, zbyt letargiczna, zbyt wygodna i za mało zainteresowana, żeby w porę przedsięwziąć jakieś środki.

O czym ona przedtem myślała? Miała przed oczami obraz tarana, zanim przyszedł jej do głowy pomysł ze stołem. Może uderzanie po wielekroć, ale niezbyt mocno to błąd, może należy zgodnie z zasadą tarana uderzyć raz, za to z całej siły.

Ujęła nogę w obie ręce, cofnęła się, wzięła rozpęd i uderzyła z całej siły w okiennicę.

Deski zadygotały. Teraz była tego pewna. Obejrzała zawiasy. Drewno wysunęło się z nich o kilka milimetrów.

To się może udać. Może jednak w tym strasznym dniu będzie miała trochę szczęścia. Zatrzymała się, ciężko oddychając. Bolały ją ręce. Jeszcze raz chwila odpoczynku przed następnym uderzeniem.

Tara opowiedziała Gillian jakąś nedorzeczną historię o Lizie Stanford. Gillian nie знаła Stanforda osobiście, ale czytała o nim w gazetach. Mężczyzna widziany na zdjęciach może nie wydawał jej się nadzwyczaj sympatyczny, ale nigdy w życiu nie oceniłaby go jako człowieka tak brutalnego, że graniczyło to z patologią. Stale organizował różne imprezy charytatywne, czemu zresztą zawdzięczał swój przydomek, a Gillian miała wrażenie, że nie chodziło mu tylko o rozgłos w mediach i o to, by zrobić dobre wrażenie. Pieniądze zbierane dzięki niemu szły rzeczywiście na pomoc potrzebującym i to się w końcu najbardziej liczyło. Kogo obchodziły jego motywy? Z dwojga złego lepiej przecież wykorzystywać wybujałą ambicję i robić coś dobrego, niż nie robić nic.

Ale że jego żona ukryła się przed nim, że on latami ją dręczył w niesłychanie brutalny sposób Gillian zaniemówiła, usłyszawszy o tym.

- Miłosierny Stanford? To niesłychane! Jesteś pewna?

- Widziałam Lizę. Już tamtego wieczoru w hotelu. Jej podbite oko. A później pokazała mi swoje ciało. Blizny, krwiaki, obtarcia naskórka. Wytworny pan adwokat jest sadystą. I psychopatą!

- I ona znosiła to całymimi latami?

- *Tak, w takie historie trudno jest uwierzyć. Niemal nie da się ich zrozumieć. Ale one dzieją się ciągle. Ofiary zachowują się cicho i mają nadzieję, że będzie lepiej, jak im się uda dopasować. Nie pobudzać złości sprawcy. Bo to jest właśnie coś, w co one na jakiejś płaszczyźnie swojej świadomości są gotowe uwierzyć, a mianowicie, że to one są winne. Że to z nimi jest coś nie w porządku i dlatego ich dręczyciel jest niemal zmuszony zachowywać się tak, a nie inaczej. To Logan Stanford jest ofiarą, rozumiesz? Ożenił się z okropną kobietą. Liza jest winna temu, że on raz po raz traci nad sobą kontrolę i panowanie.*

- *I nie było nikogo, komu mogłaby się zwierzyć? Kto pomógłby jej opuścić jak najszybciej męża?*

- *Wciągu tylu lat wtajemniczyła w to dwie kobiety. Dwie kobiety, od których miała nadzieję otrzymać pomoc. Przyjaciółkę. I lekarzkę swojego syna.*

- *Tak?*

- *Carlę Roberts. I doktor Anne Westley.*

I w tej sekundzie Gillian zrozumiała. Kiedy Tara wymieniła te dwa nazwiska. Carla Roberts i Anne Westley. Zrozumiała w jednej chwili całą historię. Owo „dlaczego”. Ową wydawałoby się bezsensowną śmierć dwóch starszych, zupełnie niewinnych kobiet. I motyw Tary.

- *One obie nie pomogły?*

- *Nie. Roberts była zajęta biadoleniem i uzalaniem się nad sobą i nie zainteresowała się tym wcale. A Westley była tak niezdecydowana i tak dalece nie wiedziała, co ma robić, że w końcu postanowiła nie robić nic. I w rezultacie obie trzymały się od tego z daleka. Liza nie miała żadnej szansy na jakąś pomoc z ich strony.*

Zaniechanie pomocy. Wielki temat w życiu pani prokurator. Carla Roberts i Anne Westley zachowały się tak jak Lucy Caine-Roslin: zamknęły oczy. Odwróciły głowy. Byle nie widzieć, co się dzieje. Nie ryzykować kłopotów.

- *I ty dlatego je obie...?*

- *Czy w to wierzysz, czy nie, ale z początku wcale nie miałam takich zamiarów. Byłam naprawdę wściekła na te kobiety, bo zostawiły drugiego człowieka w tak ogromnej potrzebie, co było bardzo na rękę Stanfordowi, ale nie myślałam o tym, żeby je zabijać. Chciałam im tylko napędzić trochę stracha. Troszkę je przepłoszyć, żeby nieco zwątpiły w swój wygodny mieszczański byt. Terroryzowałam je. Liza Stanford musiała dzień i noc obawiać się o swoje życie. Więc one obie też powinny były mieć przynajmniej jakie takie pojęcie o tym, jak to smakuje.*

- *Rozumiem.*

- *Łatwo było uszkodzić mechanizm drzwi wejściowych w bloku Carli Roberts. Mogłam wchodzić i wychodzić, kiedy tylko chciałam i miałam trochę czasu. Sprawiało mi przyjemność wysyłanie windy na ostatnie piętro, gdzie mieszkała Carla, a z tej windy oczywiście nikt nie wysiadał. W ten sposób można kogoś długo nękać. No i druga rzecz: samochód nocą w odludnej okolicy, w której stał dom Anne Westley. Światła reflektorów, które przesuwają po ścianach jej sypialni. Silnik nagle gaśnie. Ale nikt nie wysiadał.*

- *I cel został osiągnięty.*

- O tak, z pewnością. Obie damy musiały się bardzo denerwować. Ale...

- Ale to ci nie wystarczyło?

Gillian oddychała głęboko. Najgorsze było to, że z każdą minutą czuła się coraz słabsza. Ale nie mogła się poddać. Udało jej się już tyle zrobić. Miała szansę, żeby z tego wyjść, jeśli tylko nie straci sił.

Pomyślała o Becky. Becky jej potrzebowała.

Ostatnia rozpaczliwa próba. Używając do tego całej siły i wykorzystując własny ciężar, rozpędziła się i uderzyła w okiennice.

Rozległ się głośny trzask i jedna z okiennic wyleciała z zawiasów, wypadła na zewnątrz i pociągnęła za sobą drugą. Obie uderzyły w zewnętrzną ścianę chaty i zawisły na jednym zawiasie.

Okno było otwarte.

Patrząc w noc i śnieg na zewnątrz, Gillian potrzebowała dobrych kilku sekund, żeby zrozumieć, że się udało. Uwolniła się będąc w sytuacji właściwie bez wyjścia. Po tak niezwykłym, ogromnym wysiłku drżały jej ręce i bolały mięśnie.

Ale była wolna.

Teraz należało działać bardzo rozważnie i nie podejmować żadnego ryzyka.

Cenne klucze ukryła głęboko w kieszeni płaszcza i upewniła się kilkakrotnie, że nie wypadną. Do drugiej kieszeni włożyła obie kanapki i butelkę z resztką wody mineralnej. Butelka wystawała na zewnątrz i zapewne będzie przeszkadzać w marszu, ale w tych warunkach należało mieć z sobą coś do picia i jedzenia. Latarkę, która oddała jej tak cenne usługi, Gillian włożyła do kieszeni z kluczami. Miała więc wszystko, co było jej potrzebne a przynajmniej to wszystko, co była w stanie zdobyć w obecnej sytuacji.

Usiadła na parapecie, obróciła się i zeskoczyła na drugą stronę. Gałąź jakiegoś iglastego drzewa przejechała jej po twarzy, drapiąc boleśnie w policzek, ale Gillian prawie tego nie zauważyła. Wylądowała w głębokim, miękkim śniegu, wygrzebała się z niego natychmiast i ostrożnie wyjrzała zza rogu chaty.

Ale nie było nikogo widać. Okolica była dość dobrze widoczna dzięki poświacie śniegu, między chmurami prześwitywały też księżyc i gwiazdy, dodatkowo oświetlając krajobraz. Gillian przedarła się przez niewielki kawałek lasu i przystanąła. Miała stąd dobry widok. Za sobą i obok siebie miała las. Przed sobą rozległe pole, przez które szła razem z Tarą zaledwie kilka godzin wcześniej. Można było nawet dostrzec ślady w śniegu. Nie będzie więc trudne znalezienie drogi powrotnej do samochodu.

Niepokoili ją świadomość, że pole nie dawało żadnego schronienia przed czymkolwiek wzrokiem. Gillian będzie doskonale widoczna, i to z daleka, jako czarna postać poruszająca się na białym tle. Jeśli Tara była w drodze powrotnej do chaty, zobaczy ją tu natychmiast. Ale to działało także w drugą stronę.

Gillian patrzyła przez chwilę na zimowy krajobraz i rozważała, czy nie iść wzdłuż lasu, który znajdował się w znacznej odległości przed nią. Wówczas byłaby

niewidoczna wśród drzew. Ale to oznaczałoby jednocześnie, że musiałyby zrobić ogromny łuk i pokonać niemal dwa razy dłuższą drogę. Poza tym cały czas istniało niebezpieczeństwo, że w nocy pomyli kierunki i zabłądzi. W lesie nie było żadnych śladów, których mogłaby się trzymać, a gdyby zabłądziła właśnie tam, to przy panującej temperaturze nie przeżyłaby nawet dwóch dni. Zdecydowała się więc iść tą samą drogą, którą przyszły tu obie z Tarą. Zobaczy Tarę odpowiednio wcześniej i będzie miała wówczas dość czasu, żeby się zastanowić, co dalej. Jej szanse były większe: to ona liczyła się z tym, że zobaczy Tarę. Tara natomiast będzie zakładać, że jest tu zupełnie sama.

Ruszyła w drogę. Wiedziała, że po tym wszystkim, co przeszła, powinna raczej unikać przedzierania się przez głęboki śnieg na tak długim odcinku. Ale euforia, która ją ogarnęła w chwili uwolnienia się z chaty, była jak zastrzyk adrenaliny. Czuła niezwykle przyпіływ sił i energii.

Dam radę. Ja nie dam jej się zabić.

Znów usłyszała w myślach głos Tary. I nawet teraz znów poczuła dreszcz przerażenia.

- Tak, straszenie Roberts i Westley w którymś momencie przestało mi wystarczać.

- I wtedy je zamordowałaś?

- Tak. Ale w tym momencie, gdy to się stało... już nie chodziło o nie. Chodziło tylko o kontynuację tej chwili, kiedy czułam się zaspokojona. Ale to nie było całkowite zaspokojenie. Nigdy, nigdy, nigdy nie będę zaspokojona.

- Co masz na myśli?

- Mam na myśli to, że nie jestem w stanie przestać. Kiedy mordowałam Roberts i Westley, zrozumiałam, że jak długo żyję, nie będę w stanie przestać.

- Co przestać?

- Lucy. Moja matka. Nie jestem w stanie przestać mordować moją *matkę*.

John nie przypuszczał, żeby w terenie takim jak Peak District istniały *ślepe ulice*, ale teraz najwyraźniej w coś takiego wjechali. Najpierw posuwali się całą wieczność lokalną drogą, nigdzie jednak nie dostrzegli zaparkowanego auta Tary, aż nagle droga po prostu się skończyła: zatrzymali się na niewielkim parkingu w kształcie litery T, służącym do zawracania. Nie informował o tym żaden znak drogowy. Przed sobą i obok siebie widzieli jedynie gęsty las. Żadnego śladu jakiegoś samochodu, nie mówiąc już o chacie ani o dwóch brnących przez śnieg kobietach. John zawrócił i zatrzymał się.

- No tak. Czyli ta droga nie wydaje się właściwa. Samson dodał przygnębionym głosem:

- Pewnie jest tutaj dużo takich dróg.

- Bez wątpienia. Proszę mi jeszcze raz pokazać mapę. Studiował plan dłuższą chwilę, po czym rzekł:

- Moim zdaniem jesteśmy gdzieś tutaj. To znaczy, że cały czas znajdujemy się w obszarze zakreślonym przez Shermana. Jednak gdzieś przy jego dolnym skraju. Chata być może znajduje się o wiele dalej, gdzieś bliżej środka.

- Jeżeli w ogóle stoi w tym obszarze. W końcu Sherman nigdy nie widział tego domku, a jego położenie opisywano mu przecież trzydzieści lat temu.

John w tym momencie miał ochotę cisnąć książką w poprzek auta, ale się opanował.

- Jasne. Sherman może mieć zupełnie fałszywy obraz, jeżeli chodzi o położenie chaty. Może też być tak, że tej chaty w ogóle już nie ma. Może Tara Caine obrała zupełnie inny cel swojej podróży. Ona i Gillian mogą teraz siedzieć w Kornwalii. Albo w Szkocji. Albo w jakiejś walijskiej, zabitej deskami dziurze, czy ja wiem. Ale ta chata jest w tej chwili naszym jedynym punktem zaczepienia i choć do szaleństwa doprowadza mnie już sama myśl, że trwonimy tutaj czas nasz i przede wszystkim Gillian to na razie nie mamy wyboru. Musimy szukać tutaj. Wszystkie inne pomysły byłyby jeszcze bardziej absurdalne.

- O... oczywiście zgodził się Samson. To jedziemy z powrotem? John włączył silnik.

- Tak. Przypominam sobie, że zaraz na początku też był jakiś zjazd z tej drogi. I chyba prowadził na północ. Sprawdzimy to.

- Ale to była bardzo wąska droga.

- Wydała mi się jednak odśnieżona. I kto wie, może doprowadzi nas do jakiejś następnej drogi. System dróg tutaj przypomina pajęczą sieć, każda nić łączy się z kolejną. Kiedyś będziemy mieć przeszukane wszystkie.

Jechali dalej w ciemnościach późnego wieczoru. Samson w napięciu wypatrywał przez okno jakiejś wskazówki, znaku. Jedno stało się dla niego jasne: słuszna była

ich teoria, zgodnie z którą obie kobiety mogły jechać tylko głównymi trasami, a nie bocznymi. On sam pod masami śniegu nie był w stanie wypatrzeć żadnej drogi.

„Wszystko będzie dobrze” mówił do siebie w myślach, niemal zaklinając rzeczywistość, ale sam nie był pewny, czy wierzy we własne słowa.

W ogóle nie zauważył, że jechali tą drogą bardzo, bardzo długo. I zbyt wiele czasu upłynęło, nim dotarli do rozwidlenia, na które się pierwotnie nie zdecydowali, ponieważ droga, którą mieliby jechać, wydała im się zbyt wąska. Ale nie było innej możliwości w rozsądnym zasięgu czasowym.

- To wszystko trwa zbyt długo syknął John.

Dotarli w końcu do rozwidlenia i skręcili w wąską drogę, która prowadziła przez rozległy, wyżynny i bezleśny obszar.

- Torfowiska wysokie powiedział John. A raczej ich pierwsze odnogi.

Zaklął.

- Sherman wspominał o torfowiskach. Przedtem za bardzo zjechaliśmy na południe, co powinienem być zauważyć o wiele wcześniej.

Zahamował, kiedy zobaczył kolejne rozwidlenie dróg. Stali na małym skrzyżowaniu. Mieli do wyboru: jechać prosto, w lewo lub na prawo.

- Cholera zaklął tym razem Samson.

- Właściwie zauważył John moglibyśmy teraz rzucić monetą: awers czy rewers?

Rozejrzał się, próbując się zorientować.

- Sherman powiedział, że chata została zbudowana na skraju jakiegoś obszaru leśnego. Co jest właściwie logiczne. Ike Caine sam zbudował tę chatę i na pewno nie włókł pni drzew z daleka. A więc gdzie widzimy las?

Wysiedli obaj. Skulili się na wietrze, który wydał im się jeszcze silniejszy i jeszcze bardziej lodowaty.

- Do diabła, ale zimno powiedział John. Chuchał w ręce, bo zmarzły natychmiast po wyjściu z samochodu. Miał nadzieję, że Gillian w tej chwili nie była na dworze. W dodatku gdzieś tutaj, w tej okolicy, z dala od jakiegokolwiek ludzkiej siedziby. Przy tej temperaturze łatwo było zamarznąć.

- Tam, z tyłu powiedział nagle Samson, wskazując ręką na północ. Wydaje mi się, że widzę las na horyzoncie!

„Ciemniejsza smuga gdzieś daleko na horyzoncie to rzeczywiście może być jakiś las” pomyślał John. W takim razie muszą jechać prosto. Ani na wschodzie, ani na zachodzie nie mogli nic dostrzec, ale to niekoniecznie oznaczało, że *nie ma* tam lasu. Okolica była wyżynna, z licznymi wzniesieniami, i to także utrudniało rozpoznanie czegokolwiek. Tylko do pierwszego pagórka można było cokolwiek zobaczyć, ale co było dalej wszystko ginęło w mroku.

- Jedźmy prosto zdecydował John. Może ma pan rację i to rzeczywiście jest las, tam daleko. Co jest bliżej musimy zobaczyć i jak zwykle przy tego rodzaju

poszukiwaniach trzeba szukać choćby najdrobniejszego punktu zaczepienia. I cieszyć się, że w ogóle jakiś znaleźliśmy. A więc w drogę!

Wsiadli do samochodu, ruszyli.

Cały czas wierząc, że to ich jedyna, choć bardzo nikła szansa.

W którymś momencie rzeczywiście zasnęła, chociaż akurat tego powinna była uniknąć za wszelką cenę. Obudziła się nagle, nękana jakimś koszmarem i chciała usiąść, ale poczuła gwałtowny ból całego ciała, tak silny, że niemal zastygła w bezruchu. Co to było? Bolało ją wszystko, każda kość, każdy mięsień, każdy nerw. Stęknęła cicho, a w jej umyśle, jeszcze niemal pijanym i zamroczonym ciężkim snem, pojawiła się myśl, że dopadła ją jakaś nagła, tajemnicza choroba. Ale przyczyną bólu była jedynie skurczona, niewygodna pozycja, jaką musiała przybrać, żeby się zmieścić na tylnym siedzeniu samochodu. I oczywiście niesamowite zimno panujące dookoła. Miała wrażenie, że dosłownie zeszywniała. Zasnęła, tak po prostu a nie wolno jej było do tego dopuścić. To było niebezpieczne. Miała szczęście, że coś ją zbudziło.

Coś ją zbudziło? Może sen. Stała naprzeciwko swojej matki i Lucy coś do niej mówiła. Ale tak cicho, że ona nic nie rozumiała i z rozpaczą zadawała sobie ogromny trud, żeby uchwycić choć jedno czy dwa słowa. Co jej się nie udawało. Błagała matkę, żeby mówiła głośniej, ale Lucy tylko się uśmiechała i nie zwracała uwagi na jej prośby. Tara doprowadzała do szaleństwa myśl, że może Lucy ma jej do przekazania coś niesłychanie ważnego, coś, co stanowiłoby odpowiedź na wszystkie jej pytania. Wszystko było stracone tylko dlatego, że ona nie mogła zrozumieć swojej matki. Jej serce bilo jak oszalałe. Dlatego właśnie się obudziła.

I zobaczyła Gillian.

Stała może dziesięć kroków przed samochodem. Dokładnie rzecz biorąc, Tara nie była w stanie rozpoznać Gillian. Widziała tylko czarną postać odcinającą się od bieli śniegu w jasnym świetle księżyca. Postać nie ruszała się w ogóle i wydawała się obserwować samochód.

To mogła być tylko Gillian. Kto poza nią mógłby się pojawić o tej porze na tym odludziu?

Tara momentalnie odzyskała jasność umysłu. Ostrożnie osunęła się na tylne siedzenie. Zastanawiała się, czy Gillian zauważyła ją albo jakiś ruch we wnętrzu samochodu. Ale Gillian wydawała się nie reagować. Z powodu zeszywniałych mięśni Tara podniosła się tylko nieznacznie i bardzo powoli, możliwe więc, że Gillian z zewnątrz niczego nie dostrzegła.

Cholera, cholera, cholera! Zrobiło jej się wręcz niedobrze na samą myśl, że mogłaby w tej chwili jeszcze spać. Gillian mogłaby ją wtedy łatwo obezwładnić. I wszystko byłoby skończone.

Jak, do diabła, udało jej się wydostać? Chata była przecież tak zabezpieczona, że praktycznie nie dało się wejść do niej albo z niej wyjść, jeśli wszystko było zamknięte. Jedyna możliwość była taka, że Gillian miała jakieś narzędzie, z pomocą którego udało jej się wyłamać zamek albo otworzyć okiennice. Ale w chacie nie było nic, absolutnie nic. Tara jeszcze przed laty zabrała z niej wszystko. Nie było

tam żadnego sztucца ani otwieracza do butelek, nawet szczoteczki do zębów, nic. Wszystko, czym dysponowała Gillian, to były dwa klucze. W tym momencie stanowiło dla Tary prawdziwą zagadkę, jak ona mogła wydostać się na zewnątrz tylko za pomocą tych kluczy.

Klucze. *Kluczyki do samochodu*. Te ostatnie znalazły się teraz w jej zasięgu. Jeśli zdoła unieszkodliwić Gillian, wejdzie w ich posiadanie. I będzie wreszcie w stanie opuścić to niegościnne miejsce. Poczwała na całym ciele dziwne swędzenie na samą myśl o tym, że włączy silnik i ogrzewanie na najwyższą moc. Chciało jej się wprost wyć z tęsknoty za ciepłem.

Ale teraz musiała zachować zimną krew i jasny umysł. Spróbowała sięgnąć po pistolet, ale ten, położony pod siedzeniem, za bardzo przesunął się do przodu. Nie była w stanie go dosięgnąć. Wszystko jedno, i tak nie była dobrym strzelcem, trafiała tylko wtedy, kiedy miała cel bezpośrednio przed lufą. Pozostał nóż, który trzymała w ręce, ale nie mogła wykluczyć, że Gillian też była uzbrojona; w końcu wydostała się na zewnątrz za pomocą *czegoś*. Pozycja Tary na tylnym siedzeniu była w związku z tym niezbyt korzystna. Jeśli Gillian zajrzy do samochodu, zanim wsiądzie...

Tara ostrożnie naciągnęła na siebie koc, zakrywając całe siedzenie. Wcisnęła się możliwie najgłębiej w miękką tapicerkę. Oczywiście, koc znajdował się przedtem w bagażniku, ale wątpiła, czy Gillian będzie miała głowę do takich drobiazgów. A ona, Tara, zyskała teraz odrobinę przewagi. Bo wiedziała, gdzie znajduje się Gillian. Gillian zaś nie miała najmniejszego pojęcia o miejscu pobytu kobiety, która czyhała na jej życie. I zapewne oczami wyobraźni widziała już Tarę wędrującą mozolnie przez Peak District do Manchesteru.

Tara się przeraziła, usłyszawszy nagle głośny, metaliczny trzask. Co to było? Ale za chwilę się uspokoiła. Gillian uruchomiła pilotem zamek i otworzyła samochód. Tara uśmiechnęła się złośliwie. Jak dobrze, że przedtem zamknęła auto od wewnątrz. Gillian zakładała teraz, że samochód był cały czas zamknięty. I będzie jej się wydawało niemożliwe, żeby Tara była w środku.

Chodź szeptala bezgłośnie chodź, wejdź do środka. Usiądź za kierownicą. No, zrób to.

Usłyszała skrzypienie śniegu na zewnątrz i wstrzymała oddech. Wprost stopiła się w jedno z tapicerką, leżąc nieruchomo pod kocem. Stała się niemal niewidzialna.

Drzwi od strony kierowcy otworzyły się. Tara trzymała w rękach nóż i drucianą pętlę.

Tym razem, gnana strachem, pokonała drogę o wiele szybciej, mimo ogromnego wyczerpania. Odetchnęła z ulgą, kiedy wreszcie zobaczyła auto. Nie była zaskoczona, bo jak Tara miałyby je uruchomić? Szła teraz wolniej i ostrożniej. Ponieważ po drodze nie spotkała Tary, doszła do wniosku, że nie będzie ona już próbowała odzyskać kluczyków. Przypuszczalnie ruszyła piechotą w drogę do Manchesteru.

Zachowując spory dystans, przyglądała się samochodowi uważnie i nieufnie. W śniegu widziała wiele śladów, które zostały tu zrobione, prawdopodobnie jeszcze zanim Tara po południu ruszyła z chaty w drogę. Możliwe, że były wśród nich także świeże ślady Tary. Zapewne dopiero stojąc przed autem, stwierdziła, że nie ma kluczy. Gillian wyobraziła sobie, jak Tara coraz bardziej gorączkowo, a wreszcie panicznie grzebała w torbie. To musiała być dla niej okropna chwila: była tak blisko celu. A mimo to całkowicie bezradna.

Gillian nie dostrzegła żadnego ruchu. Panowała idealna cisza. Skierowała klucz z pilotem w stronę auta i przycisnęła otwieracz. Światła reflektorów błysnęły, rozległ się charakterystyczny trzask otwieranych zamków. Gdyby nie były zamknięte, dźwięk byłby zupełnie inny, Gillian wiedziała o tym. Dobrze. Czyli nikt tymczasem nie otwierał samochodu.

Zbliżała się powoli.

Kiedy dotarła do drzwi od strony kierowcy, szybko spojrzała przez szybę do wnętrza auta. Sądziła, że będzie musiała użyć przy tym latarki, ale było dość jasno: na niebie prawie nie było chmur, świecił księżyc, dodatkowego światła dostarczała poświata od śniegu.

Samochód był pusty. Na tylnym siedzeniu, rzucony niedbale, leżał jej gruby wełniany koc.

Otworzyła drzwi.

Wsiadając, otrzepała śnieg z butów. Osunęła się za kierownicę, włożyła kluczyk do stacyjki, próbowała uruchomić silnik. Dwa razy się nie udało, bo miała palce aż zeszywniałe z zimna. Za trzecim razem silnik obrócił się parę razy. Znowu przekręciła kluczyk. Silnik, krztusząc się, zaskoczył i za chwilę zgasł.

Prawdopodobnie zimno. Tara parę razy wspomniała, że ma kłopoty z uruchomieniem auta w niskiej temperaturze.

No chodź, zaskocz wreszcie!

Kolejna próba znowu się nie powiodła. Wiedziała z doświadczenia, że w takich wypadkach najlepiej poczekać minutę. Przeważnie potem działało. Usiadła wygodniej, oparła głowę o zagłówek. Zmuszała się do spokoju. Dygotała wskutek długotrwałego napięcia. Ale przecież już się prawie udało. Poradziła sobie w

najbardziej niebezpiecznej i krytycznej sytuacji, jakiej jej było dane doświadczyć w ciągu całego życia. Teraz musi uruchomić samochód i wkrótce będzie bezpieczna.

Przestań dygotać! Zwyciężyłaś!

Nadal nie mogła się uwolnić od świadomości czyhającego na nią niebezpieczeństwa. Coś sprawiało, że ciągle jeszcze jej serce waliło jak oszalałe. Coś dostarczało kolejnych porcji adrenaliny. Kiedy stała na zewnątrz przed samochodem, nie odczuwała takiego lęku i przerażenia jak teraz.

Nie wpadaj w histerię!

I właśnie wtedy, gdy chciała po raz trzeci przechylić się do przodu i spróbować uruchomić silnik, nagle zrozumiała. Jej instynkt wiedział o tym wcześniej, mózg potrzebował więcej czasu: koc. Stary wełniany koc, który zawsze drapał, jeśli się nim przykryć. Ten koc powinien leżeć w bagażniku.

W żadnym wypadku nie na tylnym siedzeniu!

Gwałtownie otworzyła drzwi i spróbowała błyskawicznym ruchem wyskoczyć na zewnątrz. W tej samej chwili dostrzegła w lusterku ciemną postać za sobą. Gillian spóźniła się o ułamek sekundy. Przed jej twarzą przeleciała drucziana pętla i zacisnęła się na krtani. Ból był wręcz potworny. Pętlę zaciągnięto z taką siłą, że Gillian została gwałtownie pociągnięta do tyłu dokładnie w chwili, w której próbowała wyskoczyć z samochodu. Ogarnięta paniką odruchowo sięgnęła rękami do zaciskającego się na jej szyi drutu, którego ucisk niemal miażdżył gardło i tamował dopływ powietrza. Wydała z siebie charczący, pełen rozpaczyny odgłos.

- Bądź cicho powiedziała Tara. Jej głos brzmiał spokojnie, niemal łagodnie. Bądź cicho, inaczej sama się udusisz!

Gillian znieruchomiała. Ucisk nieco zelżał. Mogła zaczerpnąć powietrza, ale szyja bolała ją potwornie. Tara tak mocno zaciągnęła pętlę, że drut wprost werznął się w skórę. Przypuszczalnie będzie to widoczne jeszcze całymi tygodniami.

Jeśli pożyje tak długo.

Jej głowa była przyciśnięta do zagłówka tak silnie, że całe ciało znieruchomiało. Rozpaczliwie walczyła o każdy łyk powietrza i w duchu wymyślała sobie od idiotek. Kiedy przedtem stała na dworze i rozważała wszystkie możliwości, wyciągnęła następujący wniosek: skoro drzwi samochodu można było *otworzyć* pilotem, oznaczało to, że Tara *zamknęła* je w ten sam sposób przed południem. Wynikało z tego, że Tara nie mogła być w samochodzie, bo bez klucza nie da się otworzyć drzwi. Ewentualność, że samochód był otwarty i Tara do niego wsiadła, zamykając potem drzwi od środka, w ogóle nie przyszła jej do głowy. Gillian po prostu nie widziała tej możliwości. Była wyczerpana, zmęczona i zestresowana. Jej mózg nie pracował tak jak zwykle. Zobaczyła koc na tylnym siedzeniu i w jej głowie nie zapaliło się czerwone światelko.

„Głupia, głupia, głupia!” stęknęła.

- Tak, głupio wyszło zgodziła się z nią Tara, jak gdyby czytając w jej myślach. Czasami wpadamy w najbardziej banalne pułapki. Ale nie przejmuj się. Innym też

się to zdarzało.

Gillian czuła potrzebę kaszlnięcia. Ból rozsadzający jej krtań docierał przez kark aż do ramion. Gardło bolało ją tak, jakby było zranione od wewnątrz.

Tara pociągnęła za pętlę z taką siłą, że Gillian mogła mówić o szczęściu, że nie została natychmiast ścięta.

- Dla... wychrypiała.

- Miałaś nic nie mówić przypomniała Tara.

Gillian usłyszała, jak Tara otwiera sprężynowy nóż. Zaraz potem poczuła jego zimną klingę tuż poniżej prawego ucha. Zrobiła rozpaczliwy ruch, ale zapłaciła za to natychmiast ponownym werżnięciem się pętli z gardło. Wydała z siebie rozpaczliwy jęk i znieruchomiała, przyjmując poprzednią pozycję.

- Grzeczna dziewczynka pochwaliła ją Tara. Szybko się uczysz. Nie próbuj żadnego oporu, bądź mądra. Ze mną nie wygrasz.

- Dla... ponowiła swą próbę Gillian.

- Dla, dla, dla, dla przedrzeźniała ją Tara. Delikatnie dotykała raz po raz nożem płatka jej ucha. No wygadaj się. Co takiego chcesz mi powiedzieć?

Poczucie braku jakiejkolwiek nadziei i żal ogarnęły Gillian z przemożną siłą. Odczuwała to jak ogromny, ołowiany ciężar. Walczyła z całych sił. I przegrała.

Choć tak bardzo bolało ją gardło, udało jej się w końcu wydusić z siebie kilka w miarę zrozumiałych słów.

- Dla... czego? spytała. Brzmiało to tak, jakby miała ostre zapalenie migdałków. Dlaczego... ja?

- Tak, dlaczego ty? powtórzyła Tara. Tyle ci przecież opowiedziałam o sobie i ciągle nie rozumiesz? Nie załapałaś do tej pory? Tego błędu, który popełniłaś? *Niewybaczalnego* błędu?

Gillian milczała.

Zrozumiała w tym momencie, o jaki błąd Tarze chodziło. Błąd, który w chorym umyśle tamtej wyglądał jak powtórzenie jej własnej historii.

- John wykrztusiła.

Tara delikatnie kłuła ją ciągle końcem noża.

- Słusznie, John. Właśnie on to twój błąd. Gillian kaszlnęła znowu, zanim wychrypiała:

- Ja... uważam, że John... jest niewinny. A... twój kolega... prokurator... też tak sądzi.

Tara wydała z siebie dźwięk pełen pogardy.

- Znasz tego kolegę? Który swego czasu był odpowiedzialny za sprawę Burtona?

- Nie.

- Ale ja go znam. To wstrętny upierdliwiec. Niedołęga. Jeden z tych, którzy od rana do nocy martwią się tylko o gładki przebieg swojej kariery. Wiesz co, każdy z

nas, prokuratorów, zabezpiecza się jak najlepiej, zanim wniesie oskarżenie. Nikt nie lubi przegrywać przed sądem. Ale jak zakończy się sprawa tego nigdy nie wiemy w stu procentach. Nie wiemy, jaką strategię obierze nasz przeciwnik czyli adwokat. Nie wiemy, jakich świadków powoła, jaki obrót przybierze sprawa. Nie wiemy, jak zadecyduje sędzia. Zawsze ponosimy jakieś ryzyko. I niektórzy z nas lubią ryzyko niektórzy nie. Burton miał szczęście. Ten niezguła, na którego biurku wylądowała jego sprawa, znany jest z tego, że się wyjątkowo dobrze zabezpiecza. Tak dobrze, że najrzadziej z nas wszystkich wnosi oskarżenie. On musi mieć przyznanie się do winy podane na srebrnej tacy, żeby zdobyć się na odwagę i wnieść oskarżenie. W sprawie Burtona była cała masa niejasności. Rozumiesz? To, że nie doszło do wniesienia oskarżenia, nic nie znaczy. Nic zwłaszcza że za sprawę odpowiadał ten właśnie prokurator.

- Ale...

- Nie ma tu, żadnego ale! Głos Tary był ostry. Chcesz powiedzieć, że o tym nie wiedziałaś? Akurat! Masz małą córkę. Bezbronne dziecko.

I zadajesz się z facetem, przeciwko któremu prowadzono dochodzenie w sprawie *czynu niezrądnego*? Ryzykujesz, żeby takiemu człowiekowi podsunąć pod sam nos własną córkę? Tylko dlatego, że nie możesz już wytrzymać z mężem, ale całkiem bez mężczyzny też nie potrafisz żyć? I dlatego igrasz z niewinnością, z cielesną nietykalnością twojego dziecka? I uważasz to za *normalne*?

- Ja...

- Tak, ja, ja, ja! Tobie chodzi tylko o siebie! Leciałaś na niego i zapomniałaś o wszelkich skrupułach! Ładnie sobie to wszystko wmówiłaś. On przecież nic nie zrobił! Ta dziewczyna, która na niego doniosła, oczywiście kłamała! A on on jest jak niewinne jagnię! Wiesz co, Gillian, coś takiego może zrobić kobieta, która odpowiada tylko za siebie i za nikogo innego. Ja nawet tego nie mogę zrozumieć, ale to twoja sprawa, gdyby chodziło o ciebie. Ale tu chodzi też o Becky! I ratować Becky to była moja niezłomna decyzja. Ona nie może przeżyć tego, co przeżyłam ja. Nigdy.

Gillian znów zakaszła. Głos miała już w miarę normalny, ale w gardle czuła ogień.

- Wiedziałaś o tym jeszcze przed Bożym Narodzeniem? spytała. O historii Johna opowiedziała Tarze już po Nowym Roku, ale Tara próbowała po raz pierwszy zabić swą byłą przyjaciółkę krótko po Bożym Narodzeniu. I wtedy zabiła Toma, całkowicie niewinnego Toma. Było to przecież tak okrutne. Perwersyjne. Straszne. Kobieta, która oszalała. I nikt, *nikt* nic nie zauważył. Na prokurator Caine nie padł nawet cień podejrzenia. Prowadzono szeroko zakrojone, intensywne dochodzenie, a ona mogła w tym czasie spokojnie wylądowywać swą żądzę zemsty i nienawiść.

- Jak tylko usłyszałam nazwisko Burton, w mojej głowie coś kliknęło. Na początku nie wiedziałam czemu, byłam w tym czasie jeszcze w Manchesterze, kiedy to się stało, ale wiedziałam, że ktoś kiedyś wymienił to nazwisko w związku z jakimś dochodzeniem. Nie miałam trudności z dotarciem do akt tego dochodzenia.

A poza tym natychmiast było dla mnie jasne, że ty o wszystkim wiedziałaś. Nie jesteś dobra w kłamaniu, Gillian. Kiedy mi w końcu o tym opowiedziałaś, tylko udawałam przerażenie. Wiedziałam o wszystkim od dawna.

Gillian znów zakaszła. Jakżeby chciała, żeby ta kula ognia, którą czuła w gardle, w końcu znikła. Najchętniej wsadziłaby sobie do ust pełną garść śniegu.

- Tara, proszę, nie idź dalej tą drogą. Już dość niewinnych ludzi straciło życie. Te dwie stare kobiety w Londynie i Tunbridge... rzeczywiście się nie popisały, ale to nie usprawiedliwia ich zabicia. Tom przecież też nikomu nic nie zrobił. Ale po tym, co mi opowiedziałaś o swoim dzieciństwie, mogę zrozumieć, że widziałaś przed sobą tylko taką drogę. Naprawdę, mogę to bardzo dobrze zrozumieć.

- Ach tak?

- Tak powiedziała z rozpaczą Gillian. Zauważyła, że Tara jej nie wierzy, ale ona w tym momencie nie kłamała. Tara przeszła przez najgorsze piekło, przez jakie może przejść dziecko. Nikt jej nie pomógł. Nie pomogła jej ani matka, ani też nikt w jej otoczeniu, a zmiana, jaka w efekcie tych wydarzeń zaszła w osobowości małej dziewczynki, była z pewnością aż nadto wyraźna. Zawiedli sąsiedzi, nauczyciele, rodzice jej przyjaciół. Gillian nie wyczuwała zimnej nienawiści, żądz mordy, bezwzględного okrucieństwa w dorosłej kobiecie, jaką dziś była Tara.

Czuła bezdenną rozpacz bezradnego dziecka.

- Będę zeznawać w twojej sprawie, Tara. Każdy sędzia, który usłyszy twoją historię...

- ...z radością zostawi mnie w spokoju? Jaka ty jesteś naiwna, Gillian. Oczywiście, że mnie zamkną, jak mnie złapią. Powiedzą, że spotkało mnie wprawdzie coś strasznego, ale nie można mnie wypuścić na wolność, bo jestem tykającą bombą zegarową. Zabawne, prawda? Roslin nie wylądował za kratkami. Moja matka też nie. Burton zadowolony spaceruje po świecie. Miłosierny Stanford także uniknie kary, bo ta głupia krowa Liza nigdy nie złoży na niego doniesienia. Ale mnie... mnie złapią i wsadzą na resztę życia do więzienia. Tak wygląda sprawiedliwość tego świata! Ale ja nie zamierzam się z tym pogodzić.

Ucisk drutu na szyi Gillian był coraz silniejszy.

Zamknęła na chwilę oczy w poczuciu całkowitej bezradności i braku pomysłu, jakich użyć słów, by coś dotarło do Tary. Kiedy otworzyła je ponownie, wydało jej się, że gdzieś w dali błysnęło światło. Znikło natychmiast, ale zanim w umyśle Gillian mogła powstać jakaś iluzja, pojawiło się znowu. Tym razem widziała je dłużej, po czym światło znikło i pojawiło się znowu.

Gillian wpatrywała się w noc, niemal usiłując przebić wzrokiem ciemność. To niemożliwe. A może jednak? Może jakiś fenomen fizyczny, światło gwiazd odbite od śniegu albo coś takiego. W normalnej sytuacji pomyślałaby, że to reflektory samochodu. Że to zbliżający się samochód, którego światła w tym pagórkowatym krajobrazie raz są widoczne, a raz nie. Ale to był absurdalny pomysł. Oczywiście, pewnie bywali tutaj myśliwi, strażnicy leśni, może również zimą zjawiali się turyści.

Ale nie nocą. Nawet zakochane pary, które chciały zostać bez świadków, nie przyjeżdżały do Peak District zimą.

Nie rób sobie żadnych nadziei. To nie jest samochód nigdy w życiu. Jesteś tutaj zupełnie sama z tą szaloną kobietą, masz na szyi drucianą pętlę i nóż koło policzka. Tkwisz po uszy w koszmarze i koniec.

Zamknęła znów oczy i otworzyła je, jakby wbrew swoim destrukcyjnym myślom chciała wręcz wymusić to, co przed chwilą widziała. I rzeczywiście, znów zobaczyła światło. Tym razem dostrzegła dwa światła, dwa reflektory. To naprawdę był jadący drogą samochód.

I zbliżał się.

Tara jeszcze nic nie zauważyła. Mówiła coś, czego Gillian nie rozumiała, po czym nagle oświadczyła:

- Tak. No to już czas.

Tym słowom towarzyszyło szarpnięcie pętłą.

Gillian jęknęła głośno.

- Nie chciałam tego robić sama rzekła Tara. Byłaś przez długie lata moją przyjaciółką, Gillian. Ale teraz jesteś dla mnie zagrożeniem. Wolalabym, żebyś umarła tam, w chacie, ale skoro się stamtąd uwolniłaś... Nie pozostaje mi nic innego, jak cię unieszkodliwić. Nie chcę iść do więzienia. Rozumiesz?

- Tak.

- Dobrze. Wsiadamy. Powoli!

Gillian zastanawiała się z rozpaczą, jak mogłaby zyskać na czasie. Ktoś jechał drogą jeżeli choć teraz nie będzie miała pecha i samochód nigdzie nie skręci, to ten ktoś, ktokolwiek to będzie, musi tędy przejeżdżać w ciągu najbliższych dziesięciu minut. I zdziwi się z pewnością, kiedy zobaczy parkujące tutaj auto. Założy, że komuś zepsuł się samochód, po czym zatrzyma się, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Tylko co wtedy, jeśli będę już martwa!

Musi być jakiś temat, którym da się zająć Tarę.

„Muszę zadawać jej pytania myślała gorączkowo. Pytania o to, co było wcześniej. Ktoś, kto tyle przeszedł, czuje na ogół potrzebę opowiadania o swoich przeżyciach. Wyjaśniania wszystkiego, czego doznał”.

Przyszło jej coś do głowy. Uczepiła się tego jak tonący brzytwy. Tara opowiedziała jej, jak zabiła swoją matkę: wpychając jej do ust ścierkę i zaklejając nos taśmą. Udusiła ją w ten sposób. A potem wywlokła z kuchni do swego dawnego dzieciennego pokoju. Miejsca zbrodni popełnianej po wielekroć na niej, co działo się już tak dawno temu.

Sam widok kuchennej ścierki był swoistym, elektryzującym bodźcem prowadzącym do zbrodni. Wyzwalającym morderstwo.

- Chciałabym się czegoś dowiedzieć, Tara powiedziała Gillian. I jak najszybciej, zanim Tara mogła wejść jej w słowo, dokończyła: Ta ścierka do naczyń, którą ty..

którą ty twojej matce...

- Którą ją udusiłam? I te dwie kobiety także? Gillian odetchnęła głęboko.

- Tak, to mam na myśli. Jak... jak na to wpadłaś? To był przypadek? Jak gdyby to miało jakieś znaczenie. Zwłaszcza w tej chwili. Ale każda sekunda, którą dzięki temu zyskiwała, mogła być decydująca. Znow widziała światła reflektorów. Wyraźnie bliżej. Jak dotąd samochód nie zmienił kierunku jazdy.

- Przypadek? W tej historii nie było przypadków powiedziała Tara pogardliwie. Potem dodała zmienionym głosem: Tylko Thomas... on przypadkowo pojawił się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Właściwie nic przeciwko niemu nie miałam.

- Ścierka do naczyń przypomniała Gillian.

- Ach, prawda. Ścierka do naczyń. Nie wspomniałam o tym jeszcze? Tara znow mówiła beznamiętnie, w ów nienaturalny sposób, w jaki mówiła dziś przez cały dzień.

- Moja matka była zawsze znakomitą gospodynią. Stale coś czyściła i w kółko sprzątała. *U nas można jeść prosto z podłogi* mawiała. To było dla niej najważniejsze. Lśniące czystością, śliczne mieszkanie. Z koronkowymi serwetkami i własnoręcznie uszytymi firankami. Z obrzydliwymi fiołkami w doniczkach z białej porcelany. No i zawsze miała pod ręką te ścierki w czerwono-białą kratkę. Żeby natychmiast wytrzeć każdy pyłek kurzu i każdą plamkę Tara urwała, zastanawiając się przez chwilę. Gillian miała wrażenie, że analizowała każde słowo, chcąc jednak oddać matce sprawiedliwość. Była w końcu prawnikiem. Nie rzucała zbyt łatwo oskarżeń. Nie twierdzę, że ta jej skłonność do czystości była aż tak obsesyjna. Jednak moja matka była tu dość skrupulatna, a w czasie tych lat spędzonych z Tedem przybierało to na sile. Zastanawiałam się nad tym i potem doszłam od wniosku...

- Tak? podchwyciła Gillian, kiedy Tara zająknęła się i urwała. *Mów dalej!*

- Doszłam do wniosku, że ona chciała się w ten sposób uporać z tym, co się działo. Pozbyć się tego brudu, który Ted wniósł do naszej rodziny, o którym ona wiedziała i z którego doskonale zdawała sobie sprawę. Przeciwstawiała mu to swoje cholerne czyściutkie mieszkanie i kiedy tego wieczoru zobaczyłam znow tę ścierkę, pomyślałam...

Gillian nie ważyła się teraz odezwać. Tara wprost dygotała. Gillian odczuwała to jako bolesne szarpnięcia drucianej pętli na swojej szyi.

- Pomyślałam: uduś się twoim własnym zakłamaniem powiedziała Tara. I dokładnie tak się stało. Tym się udusiła.

Nagle się wyprostowała, co Gillian odczuła jako kolejne silne szarpnięcie drutu.

- Samochód jedzie powiedziała zaskoczona. O cholera!

To one! powiedział John i zahamował gwałtownie. Obok ogromnej ulgi, że wreszcie udało im się odnaleźć obie kobiety, doznał także innego uczucia: przerażenia. Zobaczył wyraźnie, jak niebezpieczna była sytuacja, którą zastał. Tara i Gillian wysiadły właśnie z samochodu i stały na środku drogi. O pół kroku za Gillian stała Tara i przyciskała jej do szyi nóż. Gillian wydawała się sztywna ze strachu.

- Wielki Boże jęknął Samson.

John wyłączył silnik, ale pozostawił włączone reflektory.

- Zostaje pan tutaj, w samochodzie przykazał Samsonowi. Zrozumiano?

- Tak. Do... dokąd pan idzie?

John otworzył drzwi po swojej stronie.

- Chcę porozmawiać z Tarą Caine. I jeszcze raz: nie rusza się pan z miejsca.

Samson skinął głową. Oczami rozszerzonymi ze strachu patrzył przez szybę na to, co dane im było zastać. Wydawał się wstrząśnięty. John miał nadzieję, że Samson będzie się trzymał jego wskazówek i zostanie w samochodzie. Samson bez wątplenia miał dar robienia tego co niewłaściwe i w niewłaściwym momencie, a w obecnej sytuacji mogło to się stać przyczyną nieszczęścia.

John wysiadł i zrobił kilka ostrożnych kroków w stronę obu kobiet. W świetle księżyca i samochodowych reflektorów widział wszystko z brutalną dokładnością. Tara trzymała w ręku nóż. A kiedy podszedł bliżej, zauważył też, dlaczego Gillian miała tak nienaturalnie wyprostowaną i wyciągniętą szyję oraz nieruchomą głowę: wokół szyi miała zaciągniętą pętlę z drutu, którą trzymała w drugiej ręce Tara. Doskonale sobie wyobrażał, jak boleśnie drut wpijał się w szyję i zmuszał Gillian do całkowitego bezruchu, jeśli chciała uniknąć gorszego bólu. Była zupełnie bezbronna. Nie miała żadnych szans, żeby uwolnić się samodzielnie.

Jednakże nie było widać, żeby Tara trzymała w ręku pistolet, z którego zastrzeliła Thomasa Warda. Nie mogła więc tak po prostu strzelić do Johna.

- Ani kroku dalej, Burton powiedziała Tara. Był to głos kogoś, kto nawykł do wydawania rozkazów. Panowała nad sytuacją, a przynajmniej była o tym przekonana. John nagle wyobraził ją sobie na sali sądowej. Prawdopodobnie jej zachowanie cechowało tam dokładnie to samo: opanowanie pełne świadomości i przekonania o sukcesie. John zastanowił się, czy ona ma powód, żeby czuć taką przewagę. Niestety, było faktem, że przynajmniej w tej chwili wydawała się mieć w ręku lepsze karty.

Zatrzymał się.

- Czego pani chce? zapytał.

- A skąd pan wie, że ja czegoś *chcę*? odparła Tara.

- Możemy stać tutaj godzinami naprzeciwko siebie. Ale nie sądzę, że dzięki temu coś pani osiągnie.

- Mogę teraz, na miejscu, natychmiast zabić pańską przyjaciółkę. Proszę mi wierzyć, że pan mi w tym nie przeszkodzi.

- Z pewnością, ale co dalej? Pół sekundy później obezwładniłbym panią, a to dla pani niezbyt przyjemna perspektywa, jak mi się wydaje.

Gillian cicho jęknęła z bólu. John zauważył ruch: Tara szarpnęła pętlą. Było jasne, że za retoryczne zwycięstwo, do którego dążył, musiałyby zapłacić Gillian. John poczuł, że jego ręka bezwiednie zaciska się w pięść. Caine była brutalna i pozbawiona wszelkich skrupułów. Bezwzględnie niebezpieczna.

Patrzył na nią wyczekująco.

- Kluczyki do samochodu powiedziała Tara. Chcę, żeby mi pan rzucił tu kluczyki, i to tak, żebym mogła dosięgnąć je stopą.

- Kluczyki do samochodu?

- Tak, i pański telefon. Nie mam pojęcia, czy tu jest zasięg, ale nie chcę, żeby pan zadzwonił po gliny, jak tylko odwrócę się plecami.

Zrozumiał, co zamierzała.

- Chce pani uciec moim samochodem. I zabrać Gillian. A mnie zostawić tutaj.

- Sprytny chłopiec. Zawsze będzie pan miał moje auto, gdzie znajdzie pan przynajmniej schronienie przed wiatrem. Oczywiście bez kluczyków, bo te mam z sobą. Spacer piechotą do Manchesteru potrwa okropnie długo i prawdopodobnie jeszcze pan zabłądzi. Ale może drogą będzie przejeżdżał ktoś, kto pana zabierze. Choć o tej porze roku ta okolica jest raczej wymarła.

Odpowiedział cicho:

- Czy pani naprawdę wierzy, że się pani uda? Policja całego kraju już pani szuka, prokurator Caine. Znalaziono pani matkę. Jest pani podejrzana w najwyższym stopniu. Jest pani przecież specjalistą, fachowcem od tych spraw. Wie pani doskonale, że może poprawić swoje położenie, poddając się. I uwalniając Gillian.

- To mi nic nie da odpowiedziała zimno Tara. Przy tym wszystkim, co mam na sumieniu... nie mam pańskiego szczęścia, Burton. Dzięki któremu nie będzie mi można nic udowodnić, a moja sprawa wyląduje na biurku największego nieudacznika w londyńskiej prokuraturze. *Panu* dzięki temu się udało. *Mnie* spotka inny los.

- Ja nie popełniłem żadnego przestępstwa.

- Twierdzenie nie stanie się prawdziwe poprzez to, że będzie je pan powtarzał.

Zastanowił się.

- Zaproponuję coś pani, Mrs Caine. Sama pani zauważyła, że potrzebny jest pani zakładnik, nawet jeżeli ma to być najmniejsza szansa, żeby wyjść cało z tak krytycznej sytuacji. Gillian ma córkę, która już straciła ojca. Proszę nie odbierać jej matki. Proszę ją uwolnić i wziąć mnie jako zakładnika.

Ta próba miała małe szanse powodzenia. Tara była przebiegła. Już sama wymiana tutaj, nocą, na szosie, była dla niej zbyt ryzykowna. Tara mogła też o wiele łatwiej kontrolować Gillian. John, o głowę wyższy, był policjantem i w dodatku doskonałym sportowcem. Nie był też nawet w połowie tak wyczerpany i wystraszony jak Gillian. Był o wiele bardziej niebezpiecznym przeciwnikiem i Tara o tym wiedziała.

- Pański telefon zażądała zamiast odpowiedzi. I kluczyki!

John wyciągnął telefon z kieszeni spodni, pochylił się, położył aparat na śliskiej powierzchni i popchnął go w kierunku Tary. Po kilku chwilach telefon znalazł się tuż przy jej stopie.

- Bardzo ładnie. Teraz kluczyki. John się wyprostował.

- Kluczyki są w stacyjce.

- To proszę je przynieść. Nie wsiądę do tego cholernego auta po to, by się przekonać, że mnie pan okłamał. Chcę mieć kluczyki w rękę!

Cofając się, szedł powoli w stronę samochodu.

„Ona jeszcze nie zauważyła, że mam pasażera pomyślał bo w takim przypadku kazałaby jemu przynieść klucze. Jasne, reflektory ją oślepiają. Nie może rozpoznać niczego, co jest za nimi”.

Zastanawiał się, jak to obrócić na swoją korzyść. Fakt, że Tara Caine sądziła, że ma do czynienia tylko z jednym przeciwnikiem, podczas kiedy naprawdę było ich dwóch, mógł być ich asem w rękawie. Gdyby to nie Samson Segal był tym asem.

Dopiero koło samochodu odwrócił się, otwierając drzwi po stronie kierowcy. I w ostatniej chwili udało mu się powstrzymać okrzyk zaskoczenia: siedzenie pasażera było puste.

Tylne siedzenie także, podobnie jak bagażnik.

Samson Segal opuścił samochód. Z całą pewnością przez klapę bagażnika. John nigdy by się tego po nim nie spodziewał. Samson musiał odszukać koło kierownicy przycisk do otwierania klapy bagażnika, uruchomić go i wysliznąć się przez lekko uchyloną klapę na jezdnię.

A teraz? Co on zamierzał zrobić teraz?

John poczuł niepokój. Z prawej i lewej strony rosło parę krzaków, zupełnie łyśkich o tej porze roku, w dodatku ukrytych głęboko pod śniegiem teraz były to jedynie śnieżne wzgórki. Samson musiał się precyzyjnie przemieszczać gdzieś za nimi, coś innego nie wchodziło po prostu w grę.

To mogło się bardzo źle skończyć.

„Powiedziałem mu, że ma się nie ruszać z miejsca pomyślał John wściekły. Dostanie za swoje, jak go dopadnę”.

- No, co jest? zawołała Tara. Wyciągnął kluczyki.

Miał nadzieję, że Samson nie zamierza zrobić nic głupiego. Był to bardzo zły moment na robienie z siebie bohatera. A Samson był beznadziejnie zakochany w

Gillian i z pewnością wprost się palił do tego, żeby zostać jej zbawcą. Mogło się to skończyć tragicznie.

Nie powinienem był go z sobą zabierać. To od samego początku nie był dobry pomysł.

Z kluczykami w ręku zbliżał się powoli do obu kobiet. Rozejrzały się chętnie po okolicy, zerkając na prawo i lewo, żeby wypatrzeć Samsona i zorientować się przynajmniej, co on zamierza, ale nie odważył się na to. Tara zauważyłaby, że kogoś lub czegoś wypatruje. Błędu niedoceny Tary nie wolno mu było popełnić.

- Wszystko jasne powiedział. Mam kluczyki.

- Proszę mi je rzucić. Tak samo jak telefon.

Popchnął w jej stronę kluczyki po śliskiej drodze, ale zrobił to tak, żeby zatrzymały się spory kawałek od telefonu, który ciągle leżał koło stopy Tary. Nie należało jej aż tak bardzo ułatwiać sytuacji.

- Spluwy nie ma pan z sobą przypadkiem, były glino? spytała Tara.

- Nie.

- Niech pan zdejmie kurtkę i rzuci ją daleko od siebie!

Zrobił, jak mu poleciła. Przyjrzała się uważnie jego swetrowi, czy gdzieś nie widać kształtu pistoletu. Musiała się tym zadowolić, dokładniejsze sprawdzenie nie wchodziło teraz w grę.

John zobaczył, że Tara zaczęła powoli przykucać. Ciągnąc pętlę, zmuszała Gillian, żeby zrobiła to samo. Cały czas trzymała nóż tuż przy jej szyi. Ale za chwilę miał nastąpić krytyczny dla Tary moment. Miała tylko dwie ręce. Jedną musiała sięgnąć po telefon i włożyć go do kieszeni, a w dodatku potrzebowała się mocno przechylić, żeby sięgnąć po klucze, które leżały kawałek dalej. Czy weźmie wtedy nóż między zęby? Czy też przełoży go do drugiej ręki, w której trzymała pętlę? John wiedział, że była to chwila, w której można by ją obezwładnić, bo nie będzie w stanie zadać ciosu nożem. Oceniał odległość między sobą a kobietami. Zbyt daleko. Nie dotarłby odpowiednio szybko na miejsce.

Tara, zupełnie jakby czytała w jego myślach, znieruchomiła nagle, jeszcze zanim sięgnęła po telefon.

- Do tyłu! powiedziała. Aż do samochodu! I to natychmiast! Rozkazowi towarzyszyło kolejne szarpnięcie pętlą. Gillian stęknęła i odruchowo sięgnęła obiema rękami do szyi. Nie udało jej się włożyć palców pod drut pętla była zaciśnięta zbyt mocno.

Nie pozostało mu nic innego. Cofał się powoli.

- Tak jest dobrze! zawołała Tara, kiedy zatrzymał się koło samochodu.

Ostrożnie przełożyła nóż do ręki, w której trzymała pętlę. Drugą sięgnęła po telefon i wsunęła go do kieszeni kurtki.

A potem próbowała sięgnąć po kluczyki, co jej się nie udało leżały zbyt daleko. I w tym momencie John dostrzegł, że za jaguarem pojawił się Samson. Rzeczywiście przekradł się niepostrzeżenie wzdłuż krzaków koło obu kobiet, okrążył samochód i

stał teraz dokładnie za nimi. Był oddalony od nich zaledwie o kilka kroków, mając dzięki temu to, co było konieczne, żeby obezwładnić Tarę: przede wszystkim krótki dystans do niej. Do tego dochodził fakt, że Tara nie miała pojęcia o jego obecności. Jeśli będzie dostatecznie zwinny i sprytny, zbliży się do niej jeszcze bardziej, tak że ona go nie zauważy.

Jeśli będzie dostatecznie zwinny i sprytny...

Pojęcia *zwinny i sprytny* w zestawieniu z Samsonem brzmiały absurdalnie, John uczepił się jednak tej jedynej nadziei, która mimo wszystko istniała. On sam nie miał innego wyjścia niż podporządkować się rozkazom Tary. Był teraz skazany na czekanie na rozwój wydarzeń. Samson w każdym razie znakomicie wykorzystał czas, żeby znaleźć się na lepszej pozycji. Miał więc teraz w ręku potencjał. Nie wolno mu było stracić szansy, którą dzięki temu zyskał.

Tara musiała się wyprostować i za pomocą pętli pociągnęła za sobą Gillian.

Musiała też wespół z Gillian zrobić dwa kroki w bok, by ponownie przykucnąć i sięgnąć po klucze. Tak też zrobiła. John widział wściekłość na jej twarzy. Tara doskonale wiedziała, że umyślnie rzucił klucze w taki sposób.

„Teraz pomyślał John teraz!”.

Może w tym momencie zadziałała telepatia. Samson ruszył nagle do przodu. On, który zawsze się wahał, cofał i był wiecznie pełen obaw, teraz dosłownie wystrzelił w kierunku dwóch kobiet. Dotarł do nich, nim upłynęła sekunda, dokładnie w tej chwili, kiedy Tara usłyszała czy też wyczuła ruch za swoimi plecami i odwróciła się. Samson uderzył w nią z takim impetem, że nie mogła nawet pomyśleć o obronie. Wypuściła z ręki pętlę i runęła na ziemię. Wciąż trzymała w ręku nóż i mogła wbić go błyskawicznie między żebra Samsona, który był tak zdumiony własną odwagą, że aż znieruchomiał.

Ale w tym momencie John był już na miejscu. Odepchnął Samsona, ukląkł na klatce piersiowej Tary i rozbroił ją jednym zręcznym chwytem. Potem poderwał się i zmusił Tarę do powstania, wykręcając jej rękę na plecach.

- Żadnych zbędnych ruchów ostrzegł ją. Inaczej będzie bardzo bolało.

Tara była jak ogłuszona, bo ani nic nie mówiła, ani nawet nie spróbowała się szarpać.

Była pokonana, niezdolna teraz do podjęcia chociażby próby jakiegś zmiany sytuacji.

John mimo to nie spuszczał z niej oka. Była niebezpieczną przeciwniczką i nie miała absolutnie nic do stracenia.

- Idziemy do mojego samochodu powiedział. I to powoli. Krok za krokiem. Proszę robić wszystko, co każę, bo inaczej zadam pani ból. Okay?

Skinęła głową.

John najchętniej zająłby się teraz Gillian, ale to musiało poczekać. Bezpieczeństwo ich wszystkich było w tej chwili najważniejsze. Kątem oka dostrzegł, że Gillian przykucnęła na środku drogi, zszokowana przynajmniej tak

jak Tara. Ale był już koło niej ktoś, kto się nią zaopiekował: Samson usiadł obok niej i otoczył ją ramionami. Niezdarnie gładził ją po włosach. Gillian nie płakała, tylko położyła głowę na jego ramieniu w geście, który zdradzał nie tyle pragnienie schronienia, ile całkowite wyczerpanie i ogromne zmęczenie.

Samson wyglądał na oszołomionego i przejętego. John z całego serca życzył mu teraz jak najlepiej.

Może to był najważniejszy moment w życiu Samsona Segala. Na który rzeczywiście zasłużył.

Środa, 20 stycznia

John poczuł coś jak balsam na duszy, kiedy skręcił w Thorpe Bay Avenue. Uśmiechnął się na samą myśl o tym, że właśnie on zareagował uczuciem cudownego spokoju na widok zadbanych domków jednorodzinnych, ogródków, zacisznych uliczek i parków. Chodniki były dokładnie odśnieżone, w niektórych ogródkach stały bałwany ze śniegu, krzewy i żywopłoty pokrywała gruba warstwa śniegu. Już od kilku dni nie padało, ale wszystko zastygło w lodowatym wietrze wiejącym z północy. W następnym tygodniu miało przyjść ocieplenie i wówczas urok zimy szybko minie. Resztki topniejącego śniegu na chodnikach szybko staną się brudne, a wkrótce nadciągnie luty z chlapą i deszczem. Ale na razie, tego dnia, świat wyglądał jak w zimowej bajce.

Miał nadzieję, że Gillian nie urwie mu głowy, kiedy zjawi się u niej niespodziewanie. Powiedziała mu, że po południu wyjeżdża pociągiem do Norwich i że będzie w domu mniej więcej do wpół do trzeciej. John liczył na to, że pozwoli mu się odwieźć na dworzec. Dzwonił do niej poprzedniego dnia i powiedział, że rozmawiał ze swoją dawną koleżanką, sierżant Christy McMarrow ze Scotland Yardu. Gillian poprosiła, żeby do niej zadzwonił, jeśli tylko będzie coś nowego w sprawie Tary, która została już przewieziona do Londynu. Obiecał jej to z radością. Cieszyła go każda możliwość kontaktu z Gillian.

Spotkał się z Christy przede wszystkim po to, żeby ją przeprosić, ale o tym Gillian nie musiała wiedzieć. Oczywiście rozmawiał z nią o wszystkim, co tylko możliwe. Także o Samsonie.

- Nie mogę ci obiecać, że nie będziesz miał z tego powodu kłopotów powiedziała Christy. Samson był poszukiwany przez policję, a ty zapewniłeś mu schronienie. I bez względu na to, jak zakończyła się sprawa, nie muszę ci mówić, że...

- Jasne przerwał jej. Wiem.

- Oczywiście wstawię się za tobą i za Segalem także. O ile wszystko dobrze zrozumiałam, on ci się wymknął z samochodu, tam w Peak District.

- Tak. Nie mam pojęcia, co by było, gdyby tego nie zrobił. Mogłoby być źle.

Popatrzyła na niego przenikliwie.

- Jak już ostatnio mówiłam, byłeś cholernie dobrze poinformowany, John. Może masz jakieś zdolności jasnowidzenia, w co mówiąc szczerze, nie wierzę, ale wiedziałeś o szczegółach, które nie mogły ci być dostępne. Przypuszczam, że nie zechcesz złożyć w tej sprawie żadnych wyjaśnień?

- Nie.

- Tak myślałam.

- Co się dzieje z Caine? spytał.

- Siedzi w areszcie śledczym. Mamy zeznanie Gillian Ward na temat wszystkiego, co ona jej wówczas opowiedziała. Ona sama też przyznała się do winy.

- To zebrało się tam sporo faktów.

- Tak można z pewnością powiedzieć. Christy rozstawiła palce i zaczęła wyliczać: Morderstwo popełnione na Lucy Caine-Roslin. Morderstwo popełnione na Carli Roberts. Morderstwo popełnione na Anne Westley. Morderstwo popełnione na Thomasie Wardzie. Urowadzenie i próba morderstwa Gillian Ward. To wystarczy kilka razy na dożywocie. Czyste szaleństwo, prawda? Taka opanowana, sprawiająca zawsze poważne wrażenie kobieta... Ale właśnie to wrażenie ułatwiało jej sprawę i otwierało niejedne drzwi. Carla Roberts nie znała jej osobiście, ale przypuszczalnie właśnie dlatego otworzyła jej drzwi: bo Tara wydała jej się osobą godną zaufania.

John wiedział o wszystkim. Gillian opowiedziała mu to jeszcze tamtej nocy w Peak District poruszona, zrozpaczona i mimo wszystko pełna współczucia dla kobiety, która przez tyle lat była jej najlepszą przyjaciółką.

- Tara Caine sama jest ofiarą powiedział John. Jako dziecko przeżyła rzeczy straszne. I świadomość, że spędzi resztę życia w więzieniu, wcale nie napawa otuchą ani spokojem.

Christy wzruszyła ramionami i powiedziała:

- Tak już czasami jest. Sam wiesz, że w życiu nic nigdy nie jest czarne albo białe. I nie zapominaj, że tu straciło życie troje zupełnie niewinnych ludzi. Carla Roberts i Anne Westley były nieszkodliwymi starszymi paniami, które nie dostrzegły trudnej sytuacji drugiego człowieka albo też źle go oceniły, ale przecież nie można ich z tego powodu o cokolwiek obwiniać. Thomas Ward nikomu nie zrobił najmniejszej krzywdy, ale przypadkowo trafił na szaloną kobietę idącą drogą zemsty za wszelką cenę. A jeśli chodzi o starą Caine-Roslin: ona dawno powinna była się znaleźć w więzieniu za to, co zrobiła swojej córce. Ale tak, jak rozwiązała ten problem Tara, tak nie można. Na to nasze społeczeństwo nie może pozwolić.

- Wiem, oczywiście, wiem.

John zahamował przed domem Gillian. Ta budowla z wykuszami, wysuniętymi oknami i wieżyczkami zwłaszcza teraz, w zaśnieżonym ogrodzie, przypominała rzeczywiście domek z cukru z jakiejś bajki dla dzieci. John doskonale rozumiał, dlaczego Gillian nie chciała już tu mieszkać. Pomijając nawet fakt, że znalazła tutaj w jadalni swojego zamordowanego męża, co czyniło dla niej nieznośnym przebywanie przynajmniej w tym pomieszczeniu, ten dom po prostu już do niej nie pasował. Idylliczne małe gniazdko dla niej i dla jej rodziny. Wykusze, wieżyczki i owocowe drzewa w ogródku.

Ten czas skończył się dla Gillian na zawsze. Życie w okrutny sposób zrobiło z niej zupełnie innego człowieka.

Wysiadł. Wszedł do ogrodu i zrobiwszy kilkanaście kroków, zadzwonił do drzwi. Miał nadzieję, że nie wyjechała wcześniej, niż zaplanowała. Drzwi się otworzyły.

Gillian.

Było tuż po drugiej, spodziewał się więc, że będzie już w miarę gotowa do podróży.

Ale ona miała na sobie czarne legginsy, gruby sweter i domowe pantofle na nogach.

- Och powiedziała. Nie spodziewałam się odwiedzin.

- Przepraszam, że zjawiam się tak niespodziewanie. Ale pomyślałem, że... no... poczuł irytację, że jąka się jak zakłopotany osiemnastoletni chłopak. Chciałem cię po prostu zobaczyć. I może mógłbym cię odwiedzić na dworzec, jeśli chcesz.

- Wejdz do środka powiedziała.

Wszedł do domu. Dookoła ciągle jeszcze piętrzyły się kartonowe pudła. Ale nigdzie nie widział żadnej walizki ani torby podróżnej.

- Nie jadę do Norwich powiedziała.

- Nie?

- Nie. Rozmawiałam dziś z rodzicami. Przywiozą w weekend Becky i Chucka tutaj. Z początkiem lutego Becky musi koniecznie iść do szkoły, a przedtem musimy mieć czas, żeby się znowu do siebie przyzwycząić.

Patrzył na nią, nic nie rozumiejąc.

- Wypijesz espresso? spytała.

- Tak, chętnie. Poszedł za nią do kuchni.

- Co to znaczy, Gillian? Becky ma chodzić do szkoły *tutaj*?

- Przynajmniej na razie. Aż sprzedam ten dom i znajdę coś innego. Wsypała kawę do ekspresu. Nie wyjeżdżam do Norwich.

- Nie? powtórzył.

- Nie. Wczoraj wieczorem długo o tym rozmyślałam. Dzisiaj w nocy też. Wiesz, tu jest pewna rozbieżność, jakiś brak spójności w moim działaniu. Z powrotem do domu. Do mamy i taty. Myślałam, że znajdę tam spokój i poczucie bezpieczeństwa. Ale teraz wiem, że ani jednego, ani drugiego już nie znajdę. Przynajmniej w czasie możliwym do przewidzenia. Wsunęła do ekspresu małe filiżanki i włączyła go.

- Nie mogę się tak po prostu schronić u rodziców, znaleźć się z powrotem pod ich opieką. Zastanawiała się przez chwilę i dodała: To byłoby zupełnie niewłaściwe posunięcie. Nie zachowywałam się zbyt dojrzałe, jeszcze zanim... zanim stało się to z Tomem i właśnie to musi się zmienić. Muszę wreszcie być dorosła.

- Rozumiem, co masz na myśli odparł. Ale uważam, że w ostatnich dniach zachowałeś się bardzo dojrzałe. Nieważne, co było przedtem i jak surowo siebie teraz oceniasz. Kiedy trwał ten koszmar, w którym znaleźliśmy się wszyscy, cały czas byłeś silna. I bardzo odważna.

Właśnie dlatego myśli Johna dotyczące ich przyszłości już na sam widok jej domu były takie same jak myśli Gillian. Ta sielankowa budowla i wszystko, co z nią związane już do niej nie pasowała. Po tym wszystkim, co ich spotkało, Gillian

mogła tylko patrzeć do przodu. A nie oglądać się wstecz, w przeszłość, która już nie istniała.

- Podziwiam cię powiedział cicho. Podała mu kawę.

- Pomyślałam sobie, że poszukam jakiegoś mieszkania dla siebie, Becky i Chucka w Londynie. Nie sprzedam firmy, tylko poprowadzę ją dalej sama. Będzie na pewno ciężko, dlatego jest ważne, żebym miała blisko z domu do pracy, bo muszę się przecież zatroszczyć o Becky. Ale poradzę sobie. W końcu bardzo wiele samotnych matek też sobie radzi w tej sytuacji.

- Oczywiście, że sobie poradzisz musiał się opanować, żeby w jego głosie nie było zbyt wyraźnie słycać radości, ulgi i *szczęścia*. Gillian zostaje. Będzie nawet mieszkać w Londynie. Odetchnął głęboko. Serce biło mu równo i spokojnie.

Czuła, co się z nim dzieje.

- John...

Wiedział doskonale, co chciała powiedzieć.

- Wiem, że potrzebujesz czasu, Gillian. Ale możemy chyba kiedyś pójść razem coś wypić czy zjeść, prawda? Trochę lepiej się poznać. Bo dotychczas to...

- ...to tylko raz przespaliśmy się z sobą dokończyła, kiedy się zająknął. Tak, poznać się lepiej to byłoby miłe. Ale nie mogę ci jeszcze nic obiecać, John.

- Oczywiście, że nie. Chcę tylko dostać szansę. Nic więcej.

Wypił swoją kawę, odstawił filiżankę. Miał nadzieję, że ich spotkania nie będą wyglądały tak jak dziś i tydzień wcześniej: on zjawiał się niespodziewanie, a ona była na tyle uprzejma, żeby zaoferować mu kawę, po czym on musiał się pożegnać i wyjść. A przecież chciał o wiele, wiele więcej. Teraz, w tej chwili, najchętniej wziąłby ją w ramiona, ukrył twarz w jej włosach i poczuł bicie jej serca. Ale wiedział, że następny krok należał do niej. Wszystko inne prowadziło donikąd.

- Szansę dostaniesz na pewno powiedziała miękkiem głosem. Uśmiechnęła się do niego ciepło. Zawdzięczam ci życie, John. Policja nigdy nie znalazłaby nas w porę. Gdybyś ty nie...

- Nie! Położył na chwilę palec na jej wargach. Nie! Wtedy, tej nocy w Peak District, dziękowałaś mi już za to po wielekroć. I w porządku. Nie chciałbym, żeby..

- Żeby co?

- Cokolwiek będzie między nami w przyszłości, nie chciałbym, żebyś się kierowała wdzięcznością. Kiedy do mnie zadzwonisz, żeby się ze mną umówić, co, mam wielką nadzieję, zrobisz niejedną raz, to nie chcę, żebyś dzwoniła wyłącznie dlatego, że jesteś mi coś winna. Zrób to tylko wtedy, kiedy rzeczywiście będziesz tego chciała.

Skinęła głową.

- Mogę ci to obiecać.

Oboje umilkli, aż wreszcie John powiedział:

- Lepiej już pójde. Masz z pewnością dużo pracy.

- Są jakieś nowiny w sprawie Tary?
- Jest teraz w areszcie śledczym. Ale przyznała się na policji do wszystkiego.
- Bardzo mi jej żal. Wiem, że to, co zrobiła, jest niewybaczalne, ale nie potrafię inaczej, John: dla mnie ona jest ofiarą. A nie sprawcą.
- Mimo wszystko nie może przebywać na wolności. Jest ciężko chora i stwarza ogromne zagrożenie. Ale dostanie pomoc psychologiczną, której potrzebowała już od dawna.

- Jeśli to będzie możliwe, chciałabym ją odwiedzić. Później.

- Z pewnością będzie to możliwe.

- A co z tą kobietą, od której się to wszystko zaczęło? Z Lizą Stanford?

John rozmawiał z Christy także na temat Lizy.

- Liza złożyła wreszcie doniesienie na swojego męża powiedział. Policja umieściła ją w domu opieki dla kobiet. Jej syn jest tam z nią. Oczywiście wszystko nie będzie takie proste. Musi udowodnić to, co zarzuca Loganowi. Doktor Westley, która byłaby ważnym i wiarygodnym świadkiem, nie żyje. A prokurator Caine, której zeznanie także miałyby duże znaczenie, siedzi w areszcie z zarzutem popełnienia czterech morderstw. Stanford otoczy się z pewnością całą chmurą najwybitniejszych adwokatów. Niestety nie wygląda to zbyt korzystnie dla niej, ale to trzeba przeczekać. Najważniejsze, że ona do niego nie wróci. Mam wielką nadzieję, że tak będzie.

- Właściwie to ona była tą kroplą, która przepełniła kielich. Albo kamieniem, który pociągnął za sobą całą lawinę okropnych wydarzeń.

- Tak, to prawda zgodził się John. Ale to, co kipiało w Tarze od lat i było tłumione przez tak długi czas, osiągnęło już takie rozmiary, że wystarczył niewielki impuls. Gdyby to nie była Liza Stanford, Tara Caine znalazłaby kogoś innego, kto odegrałby tę samą rolę. Tak czy owak musiało dojść do takiej eskalacji. Moim zdaniem nie można było temu zapobiec.

John miał rację, Gillian wiedziała o tym. Wiedziała też, że Tara postępowałaby dalej w ten sam sposób. Gillian cały czas słyszała przerażające zdanie, które Tara powiedziała tamtej nocy w Dark Peak: *Nie mogę przestać mordować moją matkę.*

Udzielając pomocy Lizie Stanford, Tara kierowała się słusznymi intencjami, ale już kiedy mordowała Lucy Caine, poczucie ogromnej krzywdy z powodu nieudzielenia jej tak koniecznej pomocy w dzieciństwie przeszło w chęć odwetu za wszelką cenę. Właśnie od tego momentu Tara zaczęła dosłownie szukać ofiar, żeby się zemścić. Carla Roberts i Anne Westley znakomicie się do tego nadawały. W przypadku Gillian Tara musiała się posłużyć dość misterną konstrukcją, by usprawiedliwić przed sobą swój zamiar: chciała chronić Becky przed kochankiem jej matki, któremu przecież nigdy nie udowodniono popełnienia przestępstwa. Prawdopodobnie Tara coraz łatwiej i szybciej dopatrywałaby się wrogów w zupełnie niewinnych osobach i nie odstąpiłaby od swojego zamiaru ani też nie wahałaby się, jak to było z Gillian. Choć tutaj, jak przypuszczała Gillian, przyczyny wahań Tary

należało się dopatrywać głównie w tym, że dwa razy jej się nie udało. Może po prostu zawiodły ją na krótko nerwy.

Gillian odprowadziła Johna do drzwi. To, że postanowił już iść, on sam odczuwał niemal jako akt samozaparcia. Ale jednocześnie wiedział, że postępuje słusznie.

- Dasz znać, prawda? spytał. Dasz mi znać o sobie, jak już będziesz miała nowy adres?

- Tak obiecała.

Podniósł rękę i pogłaskał jej policzek. A potem ruszył ścieżką przez ogród wprost do swego samochodu.

Kiedy się odwrócił, zobaczył, że już zamknęła drzwi. Mimo to był szczęśliwy. Ogromnie szczęśliwy.

Popatrzył na ulicę i zobaczył nadchodzącego Samsona. Ten miał na głowie grubą wełnianą czapkę naciągniętą głęboko na czoło i kilkakrotnie owinięty wokół szyi szalik. Szedł powoli, w zamyśleniu i sprawiał wrażenie kogoś zupełnie obojętnego na otoczenie, ale John pomyślał natychmiast: znowu to robi. Znowu kręci się koło domu Gillian. Jakby nie miał dość kłopotów z tego powodu!

- Dzień dobry, Samson powiedział.

Samson wyglądał na przerażonego, jak zawsze, kiedy ktoś się do niego zwracał.

- Och, John odpowiedział. Ruchem głowy wskazał na dom. Wszystko w porządku... u Gillian?

- Wszystko w porządku.

- Szkoda, że wyprowadza się tak daleko.

- Tak... powiedział John niepewnie. Nie miał ochoty informować Samsona o zmienionych planach Gillian. To może zrobić tylko Gillian. Albo niech Samson sam się o tym dowie.

- *Idę na spacer* powiedział Samson. Wyglądał na zmartwionego, wręcz przygnębionego. John popatrzył w kierunku przeciwnego końca ulicy, gdzie znajdował się jego dom.

- Co słysząc u pana w domu? spytał. Pańska bratowa jest panu winna przeprosiny. Przeprosiła?

Samson potrząsnął głową.

- Nie, nie przeprosiła. Ona nigdy tego nie robi. Robi mi tylko wyrzuty, że uciekłem i się ukrywałem. I jest zła, bo zjawiłem się z powrotem.

- Właściwie powinna się wstydić.

- Właściwie... dobrze, że tak zrobiła odrzekł Samson. To znaczy, że na mnie doniosła. Inaczej nie musiałbym się ukrywać. I nie pojechałbym z panem do Peak District. I kto wie, jak by się to wówczas skończyło.

- Jeśli tak na to spojrzeć, to rzeczywiście powinniśmy być wdzięczni pańskiej bratowej stwierdził John. Przemilczał fakt, że gdyby nie mała rozsądny telefon z ostrzeżeniem, to może Tara nie czułaby się tak zapędzona w kozie róg i nie

widziałyby jedyne ratunku w ucieczce na północ z Gillian jako zakładnikiem. Pozwolił, żeby Samson zachował przeświadczenie, że jest prawdziwym bohaterem, i cieszył się tym.

- Mimo wszystko mówił dalej jak długo chce pan jeszcze samemu sobie robić krzywdę, Samson? Czuć się jak piąte koło u wozu w pańskiej rodzinie i żyć marzeniami, bo rzeczywistość jest trudna do zniesienia?

Już w następnej chwili zrobiło mu się przykro. Pożałował swoich słów i dodał natychmiast:

- Przepraszam. Właściwie nie powinno mnie to obchodzić.

- Nie, nie, to znaczy, nie szkodzi powiedział Samson. Ma pan rację.

John patrzył na niego i myślał o tamtej nocy w Peak District. To było rzeczywiście osobliwe, że ten niezdamy, jękający się człowiek, któremu brakowało choćby odrobiny pewności siebie, w sytuacji naprawdę niebezpiecznej potrafił się zdobyć na tyle pomysłowości i odwagi, żeby ich po prostu uratować. John na szczęście nie musiał sobie *wyobrażać*, że tak mogłoby być, bo *wiedział*, że tak naprawdę było. Samson działał odważnie, mądrze, zdecydowanie i bardzo rozważnie. Zasłużył na to, żeby ktoś wreszcie dał mu szansę.

- Wie pan co, zastanawiałem się nad czymś powiedział. To nie była prawda, bo ten pomysł przyszedł mu do głowy właśnie teraz. W mojej firmie w piątek jeden z pracowników wypowiedział umowę o pracę. To znaczy, że mam wolne miejsce.

Co pan na to?

Samsonowi dosłownie szczęka opadła.

- Sądzi pan, że ja...?

- Przecież dopiero co udowodnił pan, że w krytycznych momentach potrafi zachować zimną krew i zrobić dokładnie to, co słuszne, i we właściwym momencie powiedział John. A zapewniam pana, że sytuacje, w jakich mogą się znaleźć pracownicy mojej firmy, są z reguły o wiele mniej niebezpieczne. Nie chciałby pan po prostu spróbować?

Samson ledwo mógł uwierzyć w to, co słyszał.

- To znaczy, że... ja...

- Potrzebuje pan pracy rzekł John. A jeśli mogę panu coś doradzić: niech pan się wyprowadzi. Niech pan zażąda od brata wypłaty swojej części spadku, co on łatwo może zrobić, biorąc kredyt na hipotekę domu. A pan niech poszuka sobie czegoś w pobliżu swojego nowego miejsca pracy. Jakiegoś małego mieszkania, w którym poczuje się pan jak u siebie. Czas już... John się zająknął. Nienawidził, kiedy ludzie mieszały się w jego życie, a dokładnie to właśnie robił: mieszał się w życie Samsona.

- Co? spytał Samson.

- Byłby już czas, żeby zacząć nowe życie powiedział John. I pomyślał: dla nas wszystkich.

- Ma pan rację odpowiedział Samson. Powiedział to zdanie z dziwną pewnością siebie, bez wahania czy jąkania. Stał w promieniach słońca tego zimowego dnia i wydawało się, że dokonała się w nim jakaś przemiana.

- Tak, ma pan całkowitą rację powtórzył.

Uśmiechnął się nagle i John zrozumiał, że był świadkiem wyjątkowej chwili: Samson był szczęśliwy.